

Lewis R. Walton

**Z pamiętnika
Lucyfera**

Spis treści

Wstęp	5
Prolog: Requiem dla Anioła	7
Rozdział 1 Na początku	9
Rozdział 2 Wojna wśród gwiazd	21
Rozdział 3 Wygnanie	28
Rozdział 4 Miejsce zwane Edenem	36
Rozdział 5 Zwycięstwo nad wrogim brzegiem	46
Rozdział 6 Wojna rozszerza się	52
Rozdział 7 Nieoczekiwana burza	63
Rozdział 8 Jeden świat, jeden Mistrz	77
Rozdział 9 Dolina ognia	85
Rozdział 10 Plan egipski	93
Rozdział 11 Uciekajcie!	102
Rozdział 12 Wojna pustynna	107
Rozdział 13 Poselstwo z kosmosu	114
Rozdział 14 Namiot tajemnicy	120
Rozdział 15 Niebezpieczeństwo w Ziemi Obiecanej	128
Rozdział 16 Babilon	142
Rozdział 17 Tajemniczy sen	155
Rozdział 18 Gwiazda nad Izraelem	171
Rozdział 19 Gość z kosmosu	183
Rozdział 20 Sąd o północy	201
Rozdział 21 Dzień krzyża	212
Rozdział 22 Zmartwychwstanie!	221
Rozdział 23 Kontratak	226
Rozdział 24 Objawienie	245
Rozdział 25 Konspiracja Zedronna	263
Rozdział 26 Wiatry zmiany	271
Rozdział 27 Ameryka	279
Rozdział 28 Dzień sądu	292
Rozdział 29 Wydłużające się cienie	299
Rozdział 30 Apokalipsa	311
Epilog	317

Wstęp

Dzisiaj w Oxfordzie jest deszczowa pogoda; z okna mojego pokoju, na trzecim piętrze, przyglądam się angielskim przyjaciołom, wędrującym po chodniku. Nie zważając na pogodę, śmiało zmierzają – wzdłuż ulicy High Street – w kierunku pobliskiego targu mięsnego, gdzie nadal znaleźć można gulasz zajęczy oraz rogaciznę.

Niedaleko stąd dzwony kościoła Chrystusa wybijają swą odwieczną melodię – brzmienie, którego nie tworzą żadne diody, czy chipsy komputerowe, ale studenci kolegium, którzy pociągają za liny. Ich dźwięk zaś rozlega się po mieście, jak coś, co zostało utkane przez aniołów.

Aniolowie. Śmieszne, że chce mi się o nich myśleć... Ale w końcu, dlaczego nie? Znacznie częściej niż zdajemy sobie z tego sprawę, mamy odczucie, że nie jesteśmy sami – że tuż poza granicą ludzkiego wzroku i słuchu znajdują się istoty, goście z kosmosu, których obecność dotyka naszego życia. Jakby niewyjaśniony impuls powoduje, że nagle zatrzymujesz się, niby naciskając na hamulec, zanim wejdiesz pod koła nadjeżdżającej ciężarówki, której przedtem nie zauważyłeś. Albo wypadek samolotu, na który się spóźniłeś, a o którym czytałeś później. *A czasami poczucie zła... jakby tam, gdzie nasze zmysły nie mogą wędrować, było coś, co czeka na nasze dusze...*

To właśnie ta druga myśl odciąga mnie od okna w kierunku biurka. Jest bowiem historia, którą powinienem opowiedzieć – historia anioła, jakby epicznego bohatera, o wojnie kosmicznej i o kosmicznym ratunku; o najpotężniejszym ze wszystkich aniołów i o tym, co wydarzyło się, gdy stanął on w obliczu tajemniczego równania. Historia, która zaczyna się w kosmosie, w miejscu zwanym Królestwem Światła, a kończy się na ruinach San Francisco. A pomiędzy tym... no, do tego dojdziemy w odpowiedniej chwili.

Biorę czystą kartkę papieru i zaczynam. W tym starym angielskim mieście, gdzie przeszłość czepia się twoich rękawów, gdy przemieszczasz się wzdłuż ulic – ja, jako gość z Ameryki, zajęty studiami post-doktoranckimi na temat spraw Wspólnoty Europejskiej, rozpoczynam moją przygodę – nie z diodami i chipsami komputerowymi, ale z piórem i atramentem.

Mam nadzieję, że spodoba ci się rezultat.

Lewis R. Walton
Oxford University
Oxford, England

Prolog: Requiem dla Anioła

W końcu płomienie przygasły i mogę dostrzec co się stało.

Aż do wczoraj kraj spowity był dymem. Dzisiaj jednak niebo znowu stało się przejrzyste, jak gdyby wymyte pierwszymi tegorocznymi burzami. Ze złamane-go szczytu Twin Peaks patrzę na wyrazistą niebieską linię zatoki San Francisco, gdzie białe nakrętki tańczą w narastającym popołudniowym wietrze, a silny odpływ ściąga pływający wrak w kierunku Golden Gate. Słynny, pomarańczowy most już nie istnieje; pozostały jedynie jego wieże, a z każdej z nich kołtuny splełanych metalowych kabli delikatnie huśtają się w popołudniowym wietrze.

Aż trudno uwierzyć mi w to, co widzę! Przecież zaledwie trzy tygodnie temu to miejsce było pełne życia: kolorowych żagli, syczącego ruchu na jezdniach, jak i tych uskrzydłonych pojazdów, które przewoziły ludzi po niebie. A teraz nie ma już po tym śladu.

San Francisco nie żyje.

Z mojego skalistego wierzchołka nie dostrzegam niczego poza gruzami. Rozpoznać potrafię tylko jeden budynek – wysoki biurowiec, który przetrwał ze względu na swój piramidalny kształt – i rozmyślam nad tym, co widzę, starając się uprzytomnić sobie, jak bardzo zostałem pobity. Moja ponura zaduma wkrótce jednak zostaje przerwana, bowiem stoi przede mną narastająca kolejka posłańców, czekających, aby złożyć sprawozdanie z tego, co stało się na innych miejscach. Z wielkim lękiem przed tym, co mogę usłyszeć, mechanicznie kiwam ręką w kierunku pierwszego.

– Mistrzu, to samo stało się w Denver. Faktycznie nie potrafiłem nawet zlokalizować centrum miasta. To nie do wiary!

Wieści z Moskwy, czy z Tokio nie różnią się wcale. Moi zwiadowcy sprawdzają sytuację w Liverpoolu; podobnie także ci, którzy są w Bombaju i w Limie, a później jeszcze w Sydney i w Nairobi. Żadnego śladu życia? Odpowiedź jest identyczna:

– Mistrzu, bez powodzenia. Zdaje się, że to, co widzisz tutaj, wydarzyło się wszędzie.

Nie jestem chętny do ustępstw, ale przeczuwając to, co najgorsze, zbieram grupę moich najlepszych zwiadowców. Jeśli jeszcze istnieje jakieś życie – znajdą je.

– Na terenie rolniczego stanu Montana – mówię – byli pewni ludzie, którzy mogli przetrwać, bo oczekiwali tego wszystkiego i byli na to przygotowani. Gromadzili zapasy i sprzęt, a niektórzy nawet budowali bunkry ze stali i betonu. Idźcie tam sprawdzić. Może znajdziemy choć garstkę żyjących ludzi.

Ale powrót tej grupy zwiadowców całkowicie odsuwa moją nadzieję przetrwania życia człowieka.

– Nigdzie nie ma niczego, Mistrzu – informuje dowódca eskadry. – Nie ma niczego. Ludzkość przeminęła. To koniec.

Tak więc tyle pozostało z mojego imperium! Jestem Lucyferem. Należę do istot, zwanych aniołami i roszczę sobie prawo do tego świata. W pewnej chwili historii ludzkości zacząłem panować nad Ziemią i od tego czasu desperacko walczyłem, aby utrzymać ją dla siebie, bowiem to dziwne i małe ciało niebieskie stało się moją jedyną nadzieją. A teraz jest wojna, i jest to moje ostatnie terytorium.

Ale nie zawsze tak było. Kiedyś żyłem daleko stąd, w miejscu zwanym Królestwem Światła. Byłem najpotężniejszym z aniołów, dowódcą Legionów Kosmosu i przez niemal 98 eonów czasu stałem przed samym Starodawnym, właśnie jako dowódca gwardii u Jego wznoszącego się wysoko niebiesko-złotego tronu. Ale gdzieś w środku 97 eonu coś się zmieniło, coś głęboko w mojej duszy, czego nadal nie potrafię zrozumieć. Wyzwałem Go, chcąc zapanować nad całym wszechświatem. *Próbowałem przejąć Jego tron!* I wtedy właśnie rozpoczęła się wojna.

Jedna trzecia Jego sił przyłączyła się do mnie i walczyliśmy okrutnie i bestialsko, ustępując z pola walki, ale nigdy nie poddawaliśmy się. Wojna rozszerzyła się na cały wszechświat – najwyraźniej aż po czwarty kwadrat Zewnętrznego Kręgu, gdzie znajdujemy się teraz – na małym przyczółku, na skraju kosmicznego morza. Miejsce to nazywa się *Ziemia*. Tutaj postawiliśmy wówczas ostatnie kroki i tutaj, jak się wydaje, zostaliśmy w końcu pokonani. Nasi ludzcy sprzymierzeńcy przeminęli i pozostaliśmy sami – jako armia międzygwiazdnych wojowników, czekających na swoje przeznaczenie. Ta pustka jest nie do zniesienia. Dla nas piekło już się rozpoczęło.

Jak to się stało – załamane marzenia, które teraz stały się jakby nocną marą? Stawiałem sobie to pytanie miliardy razy i nadal nie potrafię tego wyjaśnić. Może jednak jest jakieś miejsce, gdzie mogę zacząć poszukiwania?

Zanim rozpoczęła się wojna, zacząłem pisać dziennik, który od tamtego czasu pisałem stale. Dzisiaj chcę go otworzyć, aby – być może – znaleźć odpowiedź.

Czas poczytać *Pamiętnik Lucyfera*.

Rozdział 1

Na początku

Królestwo Światła, eon 97, wiek 4456.4

Jestem Lucyferem, Nosicielem światła i stoję w obecności Starodawnego. Bliżej niż o sto kroków, znajduje się Jego tron – wieża promieniująca błękitem i złotem, emanująca energią.

Pod tronem widnieje miejsce, które nazywamy Kamieniami Ognistymi – olbrzymi teren spotkań, wybrukowany diamentami, sięgający nieomal horyzontu i wypełniony lśniącymi istotami, które przybywają i odchodzą na kosmiczne wyprawy. Poprzez ten kryształowy ocean przepływa rzeka światła, falująca jak ogień. Czasami światło to pod naszymi stopami jest czysto białe, zaś innym razem gotuje się kolorami, zamieniając plac zgromadzeń w połyskujący żar. To tutaj spędzam większość czasu i tutaj też gromadzą się Jego legiony, czekając na zadania. Wszystkie znajdują się pod moim dowództwem.

Często prosi On o muzykę i wtedy wzywam Zgromadzenie do zaśpiewania hymnu, którego słowa nigdy mnie nie przestaną poruszać: „*Temu, który siedzi na tronie światłości...*” Słucham go już od nieomal stu eonów, ale każde jego wykonanie jest lepsze od poprzedniego. Gdy wypowiada się Jego imię, wtedy Latający zakrywają swoje twarze w pełni czci, a niezwykle kryształowe sklepienie, znajdujące się nad nami, drży w wyniku energii. Nigdy nie męczy mnie słuchanie tego hymnu i – jak sądzę – nigdy nie zmęczy.

Na tym miejscu światłości i ruchu, pieśni i tajemnicy, jest tylko jedno nadrzędne uczucie; wszystkich nas pociąga do Niego moc, która pochodzi gdzieś z naszego wnętrza. Nie potrafię wyobrazić sobie gorszego losu, jak oddzielenie od Niego.

On jest ucieleśnieniem miłości.

Eon 97, wiek 4460.2

Dziwne to, ale prawdziwe: jestem przy Nim od wieków, od czasów przed stworzeniem Wewnętrznego Kręgu, ale nadal Go nie rozumiem. Wszyscy, którzy tu jesteśmy mamy swój początek – czas, w którym powołał nas do istnienia, a równocześnie powiedziano mi, że On istnieje od zawsze. I w tym właśnie cała tajemnica. Jak może coś powstać z niczego? Jak może Ktoś istnieć, nie mając początku?

Jest jednak jeszcze inna tajemnica. On jest jeden, a przecież są to trzy osoby – i jak daleko tylko potrafię sięgnąć pamięcią wstecz – ich osobowości są od-

dzielne. Jest więc sam Starodawny, który przebywa na tronie. Jest także ten, którego nazywają Ruach i na imię Mu *Wiatr*. Nie da się Go dojrzeć, ale można Go *poczuć*, a Jego moc jest przygniatająca. Myślę, że to On sam mógł być źródłem energii do stwarzania. Wzbudza w nas zarówno podziw, jak i lęk.

Trzecia jednak Istota intryguje mnie najbardziej. Często słyszałem, jak Starodawny nazywa Go „Narodzony”, a to zbija całkowicie z tropu moje rozumowanie, bowiem określenie „Narodzony” sugeruje, że On także został stworzony. Jednak powiedziano nam, że On nie ma początku. W takim razie, dlaczego nosi takie imię? I spróbujcie tylko pomyśleć o tym, jak odnosi się to do mojego statusu? To przecież ja jestem pierwszy wśród wszystkich stworzeń. Poza tym, wielu mówiło, że jestem najpiękniejszym aniołem w kosmosie. A tutaj ta trzecia Osoba na tronie nosi imię, które sugeruje stworzenie. Jeśli tak, to dlaczego jest On czczony bardziej niż ja? Czyżby Starodawny nie mówił nam całej prawdy?

Nie! Nigdy więcej nie mogę pozwolić, by taka myśl przyszła mi do głowy! Kwestionować Jego prawdziwość? On jest prawdą. Jego prawo utrzymuje porządek, bez którego ten cały złożony wszechświat z jego systemami kręgów i zgodności orbit, upadłby. Nasze życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Wszystko wśród całego stworzenia głosi, że On ma rację. Czy rozświeciłem miliard słońc, albo powołałem do życia ciepłe istoty? Skąd, jeśli nie od Niego, może wypływać rzeka energii, która rozświeca kamienie brukowe pod naszymi stopami?

Nie, lepiej przyjąć, że Narodzony jest po prostu tajemnicą, której nigdy nie będę w stanie zrozumieć. A jeśli naprawdę jest On jednym z Trzech, jeśli jest większy ode mnie – to niech już tak zostanie.

Jestem zadowolony. Będę u tronu czynił to, co najlepsze.

Eon 97, wiek 4461.0

Właśnie stało się coś naprawdę dziwnego. Wyprawa Wysokiej Komendy wymagała mojej obecności na formacji Paralese 3. Gdy więc byłem tutaj nieobecny, Aldebaran, mój drugi zastępca, przejął zarządzanie. Gdy zwołał Zgromadzenie i poprowadził hymn, tron nagle zajaśniał czerwonym, gorącym światłem – kolorem, jakiego nigdy wcześniej tam nie widzieliśmy. Jak powiedział potem Aldebaran, sklepienie wypełniło się tak wysokim poziomem energii, że zgromadzenie z trudnością nawet mogło śpiewać. Wszystko to stało się podczas drugiej zwrotki.

Właśnie w drugiej zwrotce jest fragment, którego nigdy nie rozumiałem – fragment na temat Stworzyciela oddającego się światu... *Któremu światu?* Są ich przecież miliardy. A co to oznacza, że On „daje” siebie? Niby dlaczego musi tego dokonać? W każdym razie w tym momencie tron emanował energią pulsującą

na zewnątrz w kierunku Kamieni Ognistych, która rozprzestrzeniła się po całym Mieście, aż po bramy i dalej, w przestrzeń.

– Było to tak – powiedział później Aldebaran – jakby Wszechmogący obejmował swoimi ramionami cały kosmos. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Wszyscy pokłoniliśmy się w wyrazie hołdu.

Dziwne. Tak bardzo dziwne. Co się właściwie dzieje? I dlaczego wszystko to miało miejsce wtedy, gdy byłem nieobecny?

Eon 97, wiek 4461.1

Gdy ponownie znalazłem się na swoim stanowisku w Królestwie Światła, starałem się dowiedzieć wszystkiego, co tylko możliwe. Wydaje się, że nikt nie rozumie owego incydentu z hymnem. Jest jednak jeszcze coś, nad czym warto się zastanowić. Jak niosą wieści, Ci Trzej mają zamiar rozpocząć kolejny akt stworzenia. Podczas swej służby u tronu Aldebaran podsłuchał rozmowę, z której wynikało, że planują stworzenie jeszcze jednego systemu galaktycznego. Nie słyszał za dużo szczegółów, ale wystarczająco wiele, aby zrozumieć, że coś się ma wydarzyć.

Dobrze pamiętam ostatni przypadek, kiedy miało to miejsce. Trzej mieli prywatną naradę, a potem Ruach i Narodzony udali się do drugiego kwadratu Zewnętrzznego Kręgu i wkrótce (jak pamiętam, tylko dziewięć wieków później) dowiedzieliśmy się o stworzeniu Archonu 24.

Jakież to było przeżycie! Nowa formacja była tak ogromna, że mocno wpłynęła na grawitację całego kwadratu, doprowadzając nawet do zniekształcenia koordynacji czasu, aż po Drugi Krąg. Andrade, jeden z moich starszych zastępców, dowódca echelonu, został wyznaczony do towarzystwa w grupie Stworzyciela. Patrzył więc na to wszystko z pewnej odległości i, jak powiedział, była to jedna z najbardziej niesamowitych rzeczy, jakie kiedykolwiek widział. Narodzony po prostu przemówił, rozkazując, aby pojawiło się życie i materia, a w tej samej chwili Ruach uwolnił absolutnie monstrualne poziomy energii. Wkrótce przestrzeń wypełniła się światłem i ową materią – dokładnie tak, jak polecił Narodzony, a Archon 24 ruszył po swojej drodze, jako połyskujące słońce, które objęło przestrzeń o wielkości ponad osiemdziesięciu milionów lat świetlnych!

Muszę przyznać, że stwarzanie wywołuje we mnie swego rodzaju obsesję, ze względu na tę cudowną moc, jaką posiadają Ci Trzej. Oczywiście, nikt z nas nie rozumie z tego wiele, ale jest jedno, czego jestem niemal pewien: wierzę, że źródłem tej wszelkiej nowej materii jest energia uwolniona przez Ruach. Wszyscy wiemy, że gwiazdy też przemieniają pewną małą ilość materii w wielkie ilości energii, rozświetlając tym niebiosa w przestrzeni. Po rozważaniu tego przez wiele wieków, doszedłem do wniosku, że podczas stworzenia proces ten działa w odwrotnym kierunku – że to energia staje się materią, utkaną w taką formę, jakiej zażąda Narodzony. I sądzę, że Ruach jest źródłem!

Wszystko to wskazuje nam choć trochę na ogrom mocy, jaką posiada ta duchowa Istota, którą nazywamy „Wiatrem”. Jeśli niewielkie ilości materii potrafią uwalniać ogromne poziomy energii, jaka więc ilość energii potrzebna jest do uczynienia świata, do wypełnienia galaktyki? Moc, która musi być przy stwarzaniu jest niepojęta. Jakaż więc niesamowita jest ta Istota!

Ale powiedzmy, że to wszystko nasuwa mi pytanie! Zastanawiam się więc: czy ktokolwiek z nas mógłby dostać się do tego strumienia energii? A jeśli tak, to czy *my* moglibyśmy także uruchomić twórcze moce w taki sposób, w jaki uczynił to Narodzony? Czy to jest właśnie tym, co Go wyróżnia? Być może jest On tylko jednym z nas – kimś, kto rozwiązał tajemnicę kosmosu i wie, jak posługiwać się twórczą mocą. Jeśli tak jest, może to wyjaśniać, dlaczego ma On dostęp do tronu!

Czuję, że mój umysł wpada w ekstazę. Ta myśl zaczyna mnie prześladować, jak moc, która wypełnia nowonarodzoną gwiazdę; jeśli i ja mógłbym rozwiązać równanie kosmosu, być może i ja mógłbym osiągnąć tron! A gdy Zgromadzenie śpiewać będzie Hymn, ich hołd skieruje się nie tylko na Świętych, ale i na mnie!

A może zostałem przeznaczony do takiego odkrycia? Bardzo możliwe, że z czasem i inni rozwiążą tajemnicę kosmosu i przyłączą się do Starodawnego na tronie. *Jakiż to pomysł – kosmos bogów!* Nic nie mogłoby być przed nami ukryte. Moglibyśmy poznać wszystko i pławić się w chwale, obecnie należącej tylko do Tych Trzech!

Jak dotąd, nigdy jeszcze nie miałem tak poruszającego pomysłu. Wydaje mi się, że już nigdy nie będę taki sam!

Eon 97, wiek 4462.1

Dzisiaj Trzej mieli kolejną naradę. Niezwykle lśniące, lazururowe światło otoczyło tron jak kurtyna, blokując jednocześnie widok i dźwięk. Chociaż stałem tak blisko, jak to możliwe, niczego nie mogłem się dowiedzieć. Muszę też przyznać, że od tej chwili zaczęło mnie to martwić. Przez 97 eonów stałem przed tym tronem i czekałem, podczas gdy Oni planowali Archon 24, Andromedę oraz ogromną strukturę Zewnętrzny Kręgu. Widziałem, jak Narodzony udawał się na te prywatne narady i pozostawiał mnie za sobą, ale nigdy nie narzekałem. Gdy jednak chodzi o to nowe stworzenie, to coś zupełnie innego, ponieważ obejmuje ono istoty, które mają tam mieszkać.

Wkrótce po incydencie z hymnem, Aldebaran przyszedł do mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Nie wiem, czy powinienem cię tym kłopotać, Lucyferze, ale gdy chodzi o to nowe stworzenie, to wydaje mi się, że będzie to coś niezwykłego. Przynajmniej jak dotąd – tylko ta jedna planeta w systemie ma być zamieszkała. Ci, którzy będą tam mieszkać, mają być niższego rzędu od nas. Tak więc nie będą to anio-

łowie. Faktycznie, na tyle, na ile potrafię powiedzieć, mają oni zostać ograniczeni jedynie do swojej orbity – żadnych podróży galaktycznych, niczego. I – weź to pod uwagę, będzie ich tylko dwoje. Tylko dwoje, na całej orbicie!... O, i słyszałem też, jak Trzej mówili coś o stworzeniu ich „na swój obraz”. Co z tego rozumiesz?

Byłem zszokowany, bowiem żadna z tych rzeczy nie miała dla mnie sensu. Dwie istoty na całej planecie? Będą się po niej krzątać bez jakiegoś oczywistego celu? Jak tylko dwie istoty będą mogły poradzić sobie z nią całą? Nie będą nawet w stanie odpowiednio śpiewać. Hymn na dwa głosy? Ten pomysł jest śmieszny! A co mają znaczyć te słowa, odnoszące się do gatunku istot stworzonych na obraz Świętych? Odczuwam, że kryje się za tym coś jeszcze innego, ale nie potrafię odgadnąć co.

I to właśnie mnie niepokoi. Dlaczego mnie nie zaproszono, abym przysłuchał się dyskusji, w wyniku której doszło do takiego pomysłu? Jestem największym ze wszystkich stworzonych istot, dowódcą Legionów Kosmosu. Ja także jestem „narodzony”; jeśli to słowo cokolwiek oznacza. Dlaczego więc to On ma prawo uczestniczyć w naradzie, a ja nie? Takie rzeczy, jak Archon 24 i wypaczenie czasu – mają wpływ na nas wszystkich. Czy nie możemy mieć przywileju wyrażenia swojego zdania i skomentowania czegoś, zanim to się stanie? Przypuszczam, że inni też mogą zadawać sobie podobne pytania. Dyskretnie zapytam o to i zobaczę, czy może ktoś inny jest także niezadowolony.

Eon 97, wiek 4462.2

Więcej informacji! Andrade, mój bliski przyjaciel z Echelonu 5, został ponownie wyznaczony do udziału w wyprawie twórczej i przyniósł mi wieści. Nowy system będzie bardzo odległy, daleko poza Zewnętrznym Kręgiem. Aldebaran miał rację; na początku zasiedlona będzie tylko jedna orbita, planeta, którą Narodzony nazwał „Ziemią”. Zostanie oświetlona całkiem małym słońcem i połączona z systemem pustych planet, które – jak sądzę – Trzej mają zamiar wykorzystać na kolonizację w przyszłości. Otaczająca galaktyka będzie miała tylko przeciętne rozmiary...

Ale co z istotami, które będą tam żyły? Nie znamy żadnych dalszych szczegółów.

Eon 97, wiek 4462.27

A więc tajemnica została rozwiązana, i odczuwam przypływ ogromnych emocji, jakich nigdy dotąd nie doznałem. To prawda, że istoty na Ziemi będą niższego gatunku od nas, ale zostanie im dana moc, jakiej nawet my nie posiadamy: *będą mogli pomnażać siebie i powoływać do życia jeszcze więcej istot ze swojego gatunku!*

Tak więc to jest powodem, dlaczego będzie ich tylko dwoje!

Powiniem był dostrzec to wcześniej. Teraz pasują wszystkie elementy układanki. Na pewno będą dwie istoty, ale – jak twierdzi Andrade – będą musiały razem działać, aby wytworzyć nowe życie; żadne z nich oddzielnie nie będzie mogło tego osiągnąć. Tak więc faktycznie tworzą one jedność – jedna istota stworzona będzie przez dwie osoby. Teraz lepiej rozumiem urywek rozmowy, który tak zdziwił Aldebarana – stwierdzenie o zaplanowaniu nowej formy życia „na nasz obraz”. A więc zrobili to! Jedna istota, złożona z dwóch osób i zdolność do tworzenia życia – wszystko się w tym zawiera: te nowe stworzenia w jakimś stopniu będą odbiciem tych Trzech. I, czy domyślilibyście się, że Narodzony to wszystko zaplanował!

Jestem ciekaw czy On odczuwa, że zbliżam się do rozwiązania tajemnicy kosmosu? Pracuję nad tym w każdej wolnej chwili. Pewnego razu byłem tak zaabsorbowany moimi kalkulacjami, że niemal nie usłyszałem wezwania Starodawnego. Narodzony tam był, patrzył się, a ja odczuwałem w tamtym momencie, jakby skanował mój umysł. Wyglądał na trochę zasmuconego, ale niczego nie powiedział.

Wróćmy jednak do mojej sprawy. Jeśli On odczuwa, że zbliżam się do rozwiązania tajemnicy i że pewnego dnia mogę znaleźć się w pozycji żądającego miejsca na tronie, to czy ta nowa planeta z jej twórczymi istotami, może stać się Jego sposobem na zatrzymanie mnie? Jeśli im dano tajemnicę jeszcze przede mną, to tron może nagle wypełnić się Jego siłami, stawiając kres wszystkiemu, co starałem się osiągnąć. Być może cała ta sprawa dotycząca ograniczenia ich do Ziemi jest jedynie fortelem, zaplanowanym po to, aby uspić moją czujność (ze względu na bezpieczeństwo), aż zadecyduje postawić swoje nowe stworzenia na moim miejscu.

Po raz pierwszy w życiu odczuwam dziwne uczucie wściekłości. Myślę o Nim, a moje wnętrzości gotują się we mnie aż do bólu. Powoli dochodzę do przekonania, że nadszedł czas, aby rozważyć coś, co do tej pory było nie do pomyślenia; być może powinienem upomnieć się o tron!

Muszę porozmawiać z Andradem.

Eon 97, wiek 4463.4

Tak, Andrade jest prawdziwym przyjacielem. On także jest zaniepokojony wieściami. Jest chętny, aby dyskretnie rozejrzeć się wśród swoich podwładnych za tymi, którzy odczuwają to samo. Ja też muszę porozmawiać z wieloma innymi – potrzeba nam bowiem siły w dużej ilości. Jeśli Narodzony ma kontynuować swoje plany bez przeszkód, wkrótce my możemy zostać usunięci w cień przez Jego nową rasę. Muszę porozmawiać z Markonidesem, dowódcą Pierwszego Echelonu. A potem są jeszcze: Marcolith i Zedronn, i Barshok... lista imion szyb-

ko rośnie w moich myślach, aż dochodzi do dwunastu błyskotliwych i wpływowych przywódców, którym mogę zaproponować śmiało i ryzykowne przedsięwzięcie: zasugeruję, że domagamy się mieć więcej do powiedzenia w kosmicznym rządzie.

Mam początek organizacji!

Eon 97, wiek 4463.9

Brenzar oraz jego podwładni dowódcy przyszli dzisiaj w drodze do miejsca zadania w pobliżu Magelona z rutynową wizytą kurtuazyjną. Miałem więc możliwość usłyszenia ich. Nigdy nie pracowałem blisko z Brenzarem, ale on pracował często wraz z Telzonem. Zdecydowałem więc, aby wypróbować sposoby, jakich nigdy dotąd nie wykorzystywałem. Nie powiedziałem jednak mu wszystkiego. W efekcie wydawało się, że Telzon był mi w pełni oddany – chociaż, oczywiście nie jest. Tak naprawdę jest on bezmyślnym lojalistą i sądzę, że będzie dla mnie problemem.

Jednak mój podstęp zadziałał doskonale! Nikt tutaj nigdy nie usłyszał cokolwiek innego, jak tylko absolutną prawdę. Tak więc Brenzar przyjął wszystko, co powiedziałem, a ze względu na swoje zadanie i podróż, nie będzie mógł porozmawiać z Telzonem przez przynajmniej dwa wieki. Oznacza to, że właśnie ominęły mnie dwa wieki ciężkiej pracy! Podczas swojej podróży będzie szerzył mój pogląd, przyśpieszając tym sposobem realizację mojego planu w całym oktancie Drugiego Kręgu.

Przyznaję, że czynienie tego wszystkiego wydaje mi się jednak dziwne; nigdy dotąd nie przestąpiłem prawa kosmosu i gdy mówiłem fałszywie, przejęło mnie nieznanne uczucie niepokoju. Szybko postarałem się jednak nad tym zapanować, myśląc o całym czasie, jaki udało mi się zaoszczędzić. I pomyśleć tylko, że mogę w tym mieć potężną broń, z jaką nie poradzi sobie Narodzony! W końcu jest On jednym z Trzech, a skoro prawo wyszło od tronu, On nie będzie chciał go przestąpić. Tym sposobem mogę walczyć na terenie, na który On nie może wejść!

Walczyć... słowo to powoduje, że dreszcze przechodzą mi po kręgosłupie, ale mogę być przecież szczerzy wobec siebie; bitwa się rozpoczyna. A jeśli mam walczyć, to muszę atakować mocno i często. Ta nowa broń mi dopomoże.

Eon 97, wiek 4465.0

Praca posuwa się dalej. Osobiście rozmawiałem niemal z połową czołowych dowódców, z których niektórzy jasno oświadczyli, że nie są w najmniejszym stopniu zainteresowani moimi pomysłami. Zwłaszcza Benedan, może okazać się kłopotliwy i będę musiał szczególnie uważnie obserwować tron, aby zauważyć, czy przypadkiem nie zdobywa on słuchaczy. Jednak najgorszy jest Gabriel. Jest

zarliwym lojalistą, a jego pozycja jest tak wysoka, że nie wiem, czy będę mógł go zatrzymać. Martwię się z jego powodu.

Ale chwileczkę! Być może jest jeszcze inny sposób, aby sobie z nim poradzić; dlaczego nie spróbować zneutralizować jego wpływów? Roześlę na ten temat informacje, poddając w wątpliwość jego zdanie w sprawie Plejad. Jeśli uda mi się doprowadzić do powątpiewania innych w jego kierownictwo, nikt nie będzie się troszczył o to, co myśli! Mam w tym olbrzymią przewagę, nie muszę się ograniczać do prawdy.

A w końcu – co to jest prawda? Czy nie jest ona względna? Czy nie zależy ona od czasu, miejsca i okoliczności? Moje cele są dobre – chcę tylko zapewnić prawa tym, którzy świadczyli wierną służbę. A jeśli moje plany się powiodą, wtedy wybrukuję dla nich ścieżkę do tronu! Czy może być coś szlachetniejszego?

Eon 97, wiek 4470.0

Sprawy nie mogłyby się układać lepiej! Rozmawiałem z ponad połową dowódców echelonów i brygad – wpływowych oficerów, którzy mają pod swoim dowództwem miliony poddanych – i znaczna ich część przyłączyła się do mnie. Teraz, kiedy wzywam na spotkanie całe Zgromadzenie, widzę przyjazne mi twarze znajdujące się we wszystkich szeregach. Wymieniamy znaczące spojrzenia, bowiem nasza rewolucja nabiera rozpędu. Dyskretnie przytakuję teraz niektórym z nich, gdy stoję przed samym tronem i unoszę rękę, wzywając Zgromadzenie do wyciszenia się...

Ale chwileczkę; zamiast patrzeć na mnie, gapią się w osłupieniu w kierunku tronu! Odwracając się, aby zobaczyć co się wydarzyło, zauważyłem, że Starodawny osobiście przejął zarządzanie. *On stal!* Gdy Zgromadzenie wyciszyło się, niezręcznie zszedłem w dół, przyłączając się do przywódców brygad w Pierwszym Echelonie, a On zaczął mówić.

Jego głos, jak grzmot, brzmiał pośród Kamieni Ognistych. Posadzka odbijała głębokie lazuruwe światło, zaś Jego słowa przenikały głęboko moją duszę.

– Kocham was wszystkich – rozpoczął – i to bardziej, niż potraficie sobie wyobrazić. Od momentu stworzenia obawiałem się takiej chwili, jak dzisiaj, ale zawsze wiedziałem, że nadejdzie.

Przerwał, a cisza stała się okropna. Udało mi się szybko zerknąć w lewo i zobaczyłem Markonidesa. Jego ciało wskazywało na napięcie, zaś na twarzy malowała się dziwna ekscytacja, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem. Wszyscy milczeli; nawet ci latający, którzy unosili się nad nami, czekali w ciszy, a twarze i stopy przykryli swymi lśniącymi skrzydłami.

– Chcę powiedzieć wam o czymś bardzo cennym – mówił dalej Starodawny. – Nazywa się to wolnością. Na początku, zanim jeszcze ukształtowałem jakiegokolwiek życie, miałem do podjęcia decyzję: czy mam was nią obdarzyć, czy też

powiniennem kontrolować waszą wolę? To drugie zagwarantowałyby wasze posłuszeństwo, ale obrabowałyby was z tego, co jest najcenniejsze, a czym mogłem was obdarować. To także ograbiłoby mnie ze spontanicznej miłości, jaką wy możecie mi ofiarować w darze. Tak więc dałem wam wolność, wiedząc, że gdzieś w odległej przyszłości może być ona źle użyta.

Markonides nie stał już niewzruszenie; mięśnie jego szyi stały się jak ohydne węzły, zaś szczeka drżała nerwowo. Zedronn, stojący trzy echelony dalej, był w lepszej sytuacji. Nie trzeba było być geniuszem, aby wiedzieć dokąd to wszystko zmierzało: *Odkryto mnie!*

– Teraz – kontynuował – posłuchajcie przypowieści: „W odległym kwadrancie kosmosu istniała galaktyka o cudownych rozmiarach; jej słońca mogły być widziane przez miliardy wieków świetlnych, zaś jej obecność utrzymywała cały kwadrant w jedność, bowiem jej grawitacja była naprawdę wielka. Pewnego razu jednak zbuntowała się i powędrowała własnym szlakiem, zmierzając w odległą przestrzeń”.

Zatrzymam się, stawiając wam pytanie: jaki był tego wynik?

Znowu przerwał, a Jego słowa rozbrzmiewały jeszcze echem po całym terenie miejsca zgromadzeń; potem czekał, jakby spodziewając się odpowiedzi. A odpowiedź była oczywista i mogli ją dostrzec nawet neofici z osiemdziesiątego echelonu: galaktyka o monstrualnych rozmiarach, która wymknęła się spod kontroli, opuszczając wyznaczoną drogę – spowoduje, że siła grawitacji pociągnie za sobą połowę kwadrantu. A co potem? Wcześniej, czy później nastąpi kolizja, która zniszczy wszechświat.

Nigdy nie odpowiedział na to pytanie. Pozwolił, abyśmy uświadomili sobie sami, że związek przypowieści z rzeczywistością był niesympatycznie jasny: szelmowska galaktyka o wielkim wpływie prowadziła innych ze sobą na ścieżkę niebezpieczeństwa! W taki więc sposób na mnie patrzył.

On wie – On wie, co robię!

Czekam oniemiały ze strachu na oskarżenie idące od tronu, ale ono nie nadchodzi! Zamiast tego Starodawny kieruje nasze spojrzenie na rzekę światła, która faluje pod naszymi stopami. To nowy kolor, którego jeszcze nie widzieliśmy, pod kamieniami – głęboka, promieniująca zieleń, jasna, jak bajeczne góry Aralonu – planety, której klimat został zatrzymany na wiecznej wiośnie.

Ale On mówił dalej:

– Odcień, jaki widzicie, przedstawia szczególny dar dla was. Zieleń jest mieszaniną kolorów niebieskiego i złotego, – tak, jak mój dar jest przemieszczeniem dwóch wielkich prawd. Niebieski kolor przedstawia prawo, boskie przykazania, które utrzymują ten cały wszechświat. Bez prawa, nic nie byłoby bezpieczne.

Wielkie zgromadzenie jakby zahipnotyzowane pochłania każde słowo i przytakuje w milczeniu. Bez prawa przecież system kręgów i ich galaktyk wpadłby w kolizję i cały kosmos znalazłby się w niebezpieczeństwie. Każdy o tym wie – szcze-

gólnie ci z nas, którzy przeszli przez skrzyżowanie Pierwszego Kręgu, gdzie krzyżują się pola mocy wielkiej Formacji Reginy. Zawsze, gdy udaję się tam, jestem wręcz osłupiały z powodu złożoności pól i zdumiewam się nad doskonałością prawa, które potrafi utrzymywać tak potężne moce w idealnym porządku...

Nagle Ruach bada moją duszę i aż z trudem przychodzi mi to znieść. *Co ja zrobiłem?* Czy moje marzenia doprowadziły mnie do odrzucenia prawa, które zawsze kochałem? Jak mogłem być tak ślepy, abym myślał, że dobro może wypływać z przestępowania prawdy? Starodawny patrzy na mnie krótko, a Jego oczy wypełnione są jakąś dziwną tęsknotą. Potem mówi:

– Ale zieleń ma jeszcze drugi składnik: kolor złoty, a on także coś przedstawia... Dawno temu, gdy wszechświat miał swój początek, wiedziałem, że dzień dzisiejszy nadejdzie. Wiedziałem też, że niektórzy z was popełnią błąd, ale kochałem was nawet wtedy, zanim zostaliście stworzeni i nie mogłem znieść tej myśli, abym miał was kiedykolwiek utracić. Z tego powodu uczyniłem coś, co nazwałem miłosierdziem.

Miłosierdzie. Dziwny termin. Nigdy wcześniej nie słyszeliśmy o nim, musi więc nam wyjaśnić jego znaczenie. Mówi, że jest to droga powrotu. Ktoś, kto błądzi, może – jeśli tego chce – znaleźć odnowę. W tym momencie Ruach ponownie bada moją duszę i to z taką intensywnością, że niemal padam na kolana. Zieleń. Prawo i miłosierdzie. Sprawiedliwość i przebaczenie. Zawrócenie z samej krawędzi... Tak więc jeszcze nie posunąłem się za daleko?

Odczuwam pragnienie, aby wyjść do przodu i poprosić o ten dar, który On nazywa miłosierdziem, o to lazurowe promieniowanie prawa i przebaczenia, które z kolei pozwoli mi na powrót. Przez długie chwile Ruach wydaje się pociągać mnie mocą, która jest niemal siłą fizyczną, jakby chciał – jeśli tylko mógłby – *poprowadzić* mnie do tronu. Ale tylko ja sam mogę podjąć taką decyzję.

Przez jedną chwilę naprężają się moje mięśnie i niemal już się ruszam – ale wtedy pojawia się myśl: jeśli teraz zawrócę, co stanie się z moją wysoką pozycją? Nawet, jeśli przyjąłby mnie z powrotem, niemal na pewno utraciłbym swoją pozycję przy tronie i prawdopodobnie musiałbym dołączyć do uskrzydłonych posłańców, którzy udają się na wyprawy po odległych terenach imperium. Nie sądzę, abym mógł znieść coś takiego. A co z moim problemem z Narodzonym? Pytanie pozostaje nadal: czy jest On rzeczywiście jednym z Trzech, czy też, jak zacząłem przypuszczać, stworzeniem, które znalazło sobie drogę do tronu? Czy kiedykolwiek potrafiłbym go wtedy zaakceptować jako Króla?

W tym momencie, jakby czytając moje myśli, Starodawny wzywa Go do tronu i stwierdza, że On także jest Bogiem – w pełni Bogiem, częścią Starodawnego, który istnieje od wieczności. Jego słowa powoli przebiegają nabierając szerokiego zasięgu poprzez ogniste kryształy: „*Niechaj całe zgromadzenie aniołów Go wielbi*”.

I staje się coś, co nie miało jeszcze precedensu. Bez wezwania, bez dyrygenta, całe Zgromadzenie wybucha śpiewem: „*A Temu, który siedzi na tronie świa-*

łłości". Słowa wypełniają to wielkie miejsce i odbijają się echem o ściany Miasta. Ponad nami w antyfonicznym śpiewie odzywają się latający aniołowie: „Święty, Święty, Święty”, zaś moja dusza topi się we mnie. Dlaczego Go zakwestionowałem? Dlaczego zacząłem się zabawiać prawdą? To oczywiste, że On wie o wszystkim; dlaczego więc daje mi kolejną szansę?

Po raz trzeci słyszę to ciche, ale jakże mocne wezwanie, które niemal pociąga mnie do tronu. Prawie że już poszedłem. Powstrzymuje mnie tylko jedno pytanie: *Co oni wszyscy pomyslą?*

Dowodziłem nimi przez niemal sto eonów. Całe miliardy istot przychodziły i odchodziły na moje polecenie. Jak mogę im powiedzieć teraz, że się myliłem? A w końcu, czy nie należy być lojalnym przede wszystkim wobec siebie samego? Dlaczego mam komukolwiek poddawać swoje marzenia?

Chwile mijają powoli i odczuwam, jak Ruach mnie opuszcza. Teraz nie mam już więcej pragnienia wyznania czegokolwiek. Następnie odczuwam coś odmiennego od tego, co odczuwałem dotąd – nagi strach. Chciałem poznać tajemnicę kosmosu i wyniosłem swoje marzenia na najwyższą gwiazdę, a teraz odczuwam, jakbym wyruszył w dziwną podróż, z której nie ma już powrotu.

Jestem sam.

Eon 97, wiek 4472

Sam. To słowo w każdej chwili życia staje się dla mnie przekleństwem. Dzień po dniu całe hordy moich naśladowców dezercerują i powracają do Zgromadzenia. Ja sam już więcej nie udaję się do tronu; chodzę bez celu po zewnętrznej stronie Kamieni Ognistych wypatrując znanych twarzy; u wielu jednak widzę żal i odsuwanie się ode mnie.

Co mam robić? Posunąłem się za daleko. Nawet tajemnica kosmosu stała mi się obojętna. Przez jakiś czas myślałem, że będę mógł objąć całe równanie kosmosu, ale gdy sięgnąłem już po dziesiątą moc z czterdziestu, wszystko nagle znikło. Docierałem do nieskończoności i mój umysł po prostu nie może posunąć się już dalej.

Za daleko – posunąłem się za daleko.

Eon 97, wiek 4472.1

Ale czy naprawdę? Właśnie przyszła mi do głowy ekscytująca myśl. Nikt nigdy nie stawiał Mu czoła siłą. A jeśli zorganizowałbym armię, zaskoczył Go i przejął tron? Być może taki akt odwagi pomoże mi przejść z dziesiątej do czterdziestej mocy, do nieskończoności i poza nią! Jedno jest pewne: muszę uczynić coś szybko, bowiem moje siły z każdym dniem słabną. I nagle wpadł mi do głowy pomysł, jak zatrzymać dezercję: powiem im, że i oni posunęli się za daleko, i że ich jedyną szansą przetrwania jest walka!

Eon 97, wiek 4472.2

Mój plan działa! Nigdy nie zapomnę przerażenia na twarzach, jakie zobaczyłem u pierwszej grupy, gdy przedstawiłem im moje rozumowanie:

Prawo jest absolutne.

Przestąpiliśmy prawo.

Dlatego zostaniemy przez nie bezwzględnie osądzeni. Miłosierdzie, to jedynie iluzja. Ta zieleń, którą widzieliśmy, to też iluzja. Nie ma odwrotu. Rozwiązanie dla nas jest bardzo proste: albo będziemy walczyć, albo zostaniemy zniszczeni. Walka albo poddanie się. Życie albo śmierć.

Ogarnięci strachem zgromadzili się pod moją komendą całymi miliardami. Gdy ich policzyłem, było to około jednej trzeciej całej siły kosmosu – mam więc teraz armię.

Jasne, że to co teraz przed nami, to wojna.

Rozdział 2

Wojna wśród gwiazd

Eon 97, wiek 4476.9

Nadszedł czas. Zgromadziłem siły. Jestem gotowy.

Przez ponad cztery wieki przygotowywaliśmy się na tę chwilę, a teraz moja armia leży, jak olbrzymi świetlny pierścień, w trzech segmentach, które otaczają Kamienie Ogniste. Jest nas miliardy – jedna trzecia całej kosmicznej mocy, a widok tego niezwykłego zgromadzenia napędza mnie determinacją. Możemy być rebeliantami, ale nadal jesteśmy aniołami i jesteśmy potężni.

Podzieliłem moje siły na trzy oddziały. Sam dowodzę Pierwszym Korpusem; po prawej stronie, mniej więcej w jednej trzeciej kręgu. Drugim Korpusem dowodzi mój przyjaciel, Marcolith, podczas gdy po lewej stronie, w dużej odległości znajduje się Trzeci Korpus dowodzony przez Zedronna, byłego oficera czwartego Echelonu.

Zorganizowałem wszystko w taki sposób, aby każdy z trzech elementów armii odpowiadał sektorowi zagrożenia od tronu. Pierwszy Korpus pod moim dowództwem zajmie się Narodzonym. Nikt tego nie będzie umiał zrobić tak dobrze jak ja, bowiem zacząłem Go nienawidzić z wielką pasją i przez minione cztery wieki z uwagą Mu się przyglądałem. Tak więc nic, co uczyni, mnie już nie zaskoczy. Za to Marcolith będzie musiał się zmierzyć ze Starodawnym. To ogromne zadanie, ale jak sądzę odpowiada mu, bowiem ma pod sobą jedne z najlepszych oddziałów armii. Jest z nim Marconides, kiedyś dowódca Pierwszego Echelonu. Trudno, aby było lepiej!

To stawia Zedronna daleko, po mojej lewej stronie. Ach, Zedronn! Podczas naszych ćwiczeń pokazał, że jest bardzo agresywnym dowódcą, nieprzewidywalnym w działaniu i niebezpiecznym wtedy, gdy jest sprowokowany. Obawiają się go nawet niektórzy z moich podwładnych, jednak w zadaniu, jakie mu wyznaczyłem, jego gwałtowność może okazać się bardzo użyteczna. Skoro Starodawny i Narodzony będą już zajęci Marcolithem i mną, możemy przypuszczać, że Zedronnowi przypadnie w końcu stawić czoła samemu Ruach. Tym sposobem będzie miał niezwykle trudne zadanie zaatakowania wroga o wielkiej mocy, którego nawet nie może widzieć. Jeśli Ruach uwolni choćby niewielką ilość swojej energii, Zedronn przestanie istnieć.

I chociaż nie szepnąłem o tym nikomu ani jednego słowa, nie będę zdziwiony, jeśli to się stanie. Jestem przygotowany na to, aby złożyć Zedronna jako ofiarę na poczet zwycięstwa, bowiem jeśli przegramy naszą pierwszą walkę o tron, śmierć Zedronna będzie mogła otworzyć mi inną drogę do ataku.

W swojej znanej mowie na temat wolności, Starodawny publicznie wspomniął zasadę tej to wolności, stwierdzając, że raczej gotów jest zaryzykować niebezpieczeństwo buntu, niż wymusić swoją wolę na kimkolwiek. To było mistrzowskie wystąpienie, nieomal przekonało i mnie. Sądzę jednak, że był wtedy za dobry i zapomniał się w tej dobroci. Faktycznie to nawet wydaje mi się, że przygotował sam na siebie pułapkę, bowiem po takim podkreśleniu sprawy wolnej woli, sam raczej będzie cierpiał, aby nas tylko nie skrzywdzić. A jeśliby nas skrzywdził, wtedy pokazałby jedynie, że wolność jest tylko sloganem: wyzwij Go, a On odpowie zniszczeniem!

Mogę sobie wyobrazić zamieszanie, jakie zostanie tym wywołane! Jeśli stanie się coś Zedronnowi, nawet najgorliwsi lojaliści zostaną głęboko zaniepokojeni tym, że pewnego dnia i oni mogą nie spodobać się Wszzechmogącemu i zostaną usunięci. Od tego momentu, w najlepszym układzie, uda Mu się utrzymać posłuszeństwo swych stworzeń, ale będzie ono wymuszone. W ten sposób wpadnie – w tym swoim zabawnym wszechświecie – w pułapkę, której starał się uniknąć. Zaiste, sprawa wolności może go ograniczyć w takim stopniu, że będzie *zmuszony* ze mną negocjować. To zaś może wyjaśniać, dlaczego po czterech wiekach jeszcze niczego nie uczynił z istniejącym teraz naszym buntem. Sądzę, że może On być takim bezradnym Gigantem, którego potrafię obalić tylko siłą argumentu i niczym więcej. Być może wcale nie będziemy musieli walczyć!

Ale jeśli trzeba będzie, to jestem przygotowany na stawienie czoła i ryzyko walki. Walcz więc dobrze, Zedronnie, mój przyjacielu. Jeśli wygrasz, to świetnie; z tobą i twoim niebezpiecznym stanowiskiem poradzę sobie później. Jeśli zginiesz, wtedy podniesiesz mnie do pozycji sukcesu w drugim ataku. Żywy, czy martwy – posuniesz dalej moje cele!

Eon 97, wiek 4477.0

Dość długo już czekałem; czas na zrobienie jakiegoś ruchu.

Wysłałem posłańców, aby zwołali moich głównych współpracowników na ostateczne spotkanie strategiczne. Wkrótce lśniące towarzystwo pojawiło się z obu kierunków kręgu – Marcolith, Marconides, Zedronn, grupa dowódców brygad oraz młodszych pomocników.

Wojownicy – powiedziałem, kosztując smaku funkcji naczelnego wodza – nadeszła oczekiwana chwila. Mam zamiar udać się do tronu i domagać się, aby od tej chwili dostępne było dla nas uczestniczenie w zarządzaniu kosmosem.

Niemal dzikie okrzyki radości przerwały moje słowa, a gdy aplauz ucichł, kontynuowałem:

– Będę nieobecny przez okres nie dłuższy niż dwa mikro-wieki. Jeśli On w tym czasie nie ustąpi, zaatakujemy. Marcolith i Zedronn, będziecie pod moimi rozkazami. Postaramy się skierować wspólny atak na tron, równocześnie

z trzech kierunków. Uderzcie szybko i gwałtownie. Neofici niskiej rangi z wewnętrznych Echelonów powinni rozproszyć się z łatwością. Nasze problemy rozpoczną się, gdy dotrzemy do Echelonu 42 – ale w tym czasie waszym atutem będzie silny rozpęd. Ponad wszystko jednak, utrzymujcie swoje siły razem i nie zatrzymujcie się, dopóki nie dotrzemy do tronu. Zrozumiane?

– Zrozumiane.

– A teraz: czy wasze siły bojowe są gotowe?

Jako pierwszy odpowiedział Marcolith:

– W pełni, Lucyferze. Jeśli negocjatorzy nie odniosą sukcesu, wielu jest gotowych do bijatyki.

– Wyśmienicie! Pójdę więc i zaproponuję układ. Pozwólcie, że teraz przedstawię wam warunki, jakie chcę Mu podać. Domagam się, aby jeden z nas miał prawo zasiąść na tronie jako równy Trzem.

Słowa te dotarły do wielu zaciekawionych oddziałów, które zebrały się obok i znowu doszło do aplauzu, a aplauz ten w końcu przemienił się w nieopisaną wrzawę, która z pewnością musiała dotrzeć do samego Zgromadzenia. Ja jednak, zanim posunąłem się dalej, przez kilka chwil rozkoszowałem się tą chwałą.

– *Będę się domagał, aby to mnie przypadło to stanowisko.*

Oczekiwałem kolejnej owacji, ale zamiast niej spotkały mnie zagniewane słowa ze strony Zedronna:

– Chwileczkę, Lucyferze! Nie jesteś jedynym, który tu ryzykuje swoje bezpieczeństwo! Kto zdecydował, że to ty masz...

– Ja jestem dowódcą sił kosmicznych! Któż więc, jeśli nie ja... – przerwałem mu.

Ale on nie pozostał mi dłużny.

– *Byłeś dowódcą sił kosmicznych, a teraz jesteś zaledwie jednym z nas. Sądzę, że to my razem powinniśmy zdecydować, kto zasiądzie na tronie!*

Nagle całe moje spotkanie eksploduje dziką kłótnią. Jedni wspierają mnie, inni Zedronna, inni tylko wrzeszczą. W desperacji staram się przejąć kontrolę nad moją armią, zanim się rozpadnie. Jak szalony patrzę na całą grupę. Zanim jednak zdołałem cokolwiek uczynić, wszyscy zostaliśmy przerażeni pojawieniem się zupełnie nieoczekiwanego gościa.

– *Lucyferze!* – Głos jest jasny, autorytatywny, zdecydowany. Zupełnie uspokaja wrzawę moich zagniewanych oficerów. Odwracam się, aby zobaczyć, kto wezwał mnie po imieniu i poznaję, że stoję przed Gabrielem!

– Zostałem posłany od tronu – mówi. – Wszechmogący wzywa cię tam, ciebie i wszystkie twoje siły. *Teraz.*

Przymrużam oczy. Czy jest to możliwe? Od kiedy to Gabriel ma uprawnienia do przynoszenia takich poleceń? I zdaję sobie nagle sprawę z tego, co się stało: *Gabriel zajął moje miejsce u tronu!*

– No, Gabrielu – ripostuję, zbierając swoje myśli. – Jak widzę, w końcu wspiąłeś się na samą górę. A teraz udaj się z powrotem i powiedz Wszechmogącemu,

że moje siły pozostaną tam, gdzie są. Jeśli życzy sobie, aby z kimś porozmawiać, może rozmawiać ze mną. To ja jestem naczelnym wodzem armii wyzwolenia.

– Nie, on nie jest wodzem! – odzywa się krzykiem ostry głos. – Jeśli ma odbyć się spotkanie, my także się tam udamy.

To Zedronn wprawia mnie w takie zakłopotanie przed Gabrielem, a teraz chce stanąć dostojnie przed Kamieniami Ognistymi, oczywiście z intencją, aby być tam pierwszym.

Wszystko znajduje się w nieładzie. Niektórzy z jego wojowników zaczynają walczyć z nim samym, inni pozostają z tyłu, każdy patrzy dzikim wzrokiem, a ja, w rosnącej stale rozpacz, przyłączam się do wymieszanej grupy zmierzającej w kierunku światła docierającego do nas z odległego tronu. Jakie fiasko! Myślałem, że Ruach zabije Zedronna. Teraz chciałbym to zrobić sam!

Przed nami wznosi się tron: jakby wieża połyskujących kolorów – niebieskiego i złotego, które iskrzą się energią, zaś na szczycie znajduje się przytłaczająca jasność Starodawnego. Jego oczy błyszczą jak ogień. Jego siły ustawione są w szyku bojowym, a każdy echelon jest pod dowództwem swego przełożonego. W swoich zaś rękach swoich trzymają coś, czego jeszcze dotąd nigdy nie widziałem: błyszczący snop płomiennego światła, jakby w kształcie miecza. A więc aż do tego doszło? Rzeczywiście będzie walczył?

– Lucyferze – odzywa się dziwnie załamany głosem. – Byłeś dla mnie tym najlepszym, koroną mojego stworzenia. Miłowałem cię zanim jeszcze zostałeś stworzony i nadal cię kocham. Mogliśmy mieć tak wspaniałą... – Zatrzymuje się. Cisza staje się niemal bolesna. Każde oko skierowane jest na lśniącą Istotę, która wydaje się być przejęta bólem i która po chwili kontynuuje:

– Nazwałem cię Lucyferem, ponieważ byłeś nosicielem światła. Byłeś strażnikiem prawdy. Ale już nie nosisz światła, a poprzez swoje czyny sam sobie wybrałeś inne imię, jakim od tej chwili będziesz nazwany: *Szatan*, *Zwodziciel*. A teraz – mówi, powstając ze swego tronu i wskazując na odległe mury Miasta, za którymi rozpościera się nieskończona przestrzeń – *rozkazuję ci, abys opuścił to miejsce*.

Nagle odzywają się wśród szerokich rzesz lojalnych echelonów okrzyki wydawanych rozkazów, a Jego wojownicy kierują się w moją stronę. Ich lśniące miecze świetlne skierowane są na bramy Miasta. Czuję siłę, która pcha mnie do tyłu; starając się utrzymać na nogach, na śliskim bruku poszukuję moich sił, ale te rozpierzchły się w nieładzie. Niektórzy przybyli tu za Zedronnem, większość jednak, posłuszna moim rozkazom, pozostała na swoich pozycjach. Zostaliśmy więc teraz beznadziejnie rozbici. Dobra robota, Lucyferze (nigdy nie zaakceptuję tego paskudnego imienia, jakie mi dał), pozostawiłeś swoje siły poza sobą i nie możesz teraz niczego uczynić! W desperacji patrzę, jak zdyscyplinowane brygady lojalistów zaczynają rozbijać moje odległe armie i przeganiać je także w kierunku murów Miasta.

Daleko po mojej prawej stronie widzę Marcolitha; jest otoczony swoimi oddziałami. A co stało się z Zedronnem? Być może, gdy stanie w obliczu wszystkich lojalistów, będzie na tyle zły, aby uczynić ten fatalny błąd. Mam nadzieję! Ale jeśli żaden z nas nie zostanie ranny albo zniszczony (byłby to najgorszy z możliwych układów) – i tak nie zdołam rozniecić sprawy wolności wśród lojalistów, bo przecież tam uczyniono nas bezsilnymi, godnymi pogardy. To będzie całkowita klęska – chyba, że siły Zedronna zostaną zdziesiątkowane, co da mi możliwość zastosowania Planu Numer Dwa. O, *proszę, niechaj zginie!*

Jeśli coś stanie się Zedronnowi, wtedy ucieknę do obronnego miejsca na obrzeżach Miasta i stamtąd będę działał, szerząc zwątpienie i strach wśród lojalistów. Potrzeba mi tylko losu Zedronna, jako argumentu, który wystarczy, by zniszczyć zaufanie wszystkich do Starodawnego! Wtedy po trosze, wiek po wieku, eon po eonie, jeśli tak trzeba będzie, będę działał, aż nie pozostanie Mu już żaden zwolennik. Będę pracował przez całą wieczność. Nigdy się nie poddam!

Eon 97, wiek 4477.08

Nie! To niemożliwe! Znowu nas wyganiają. Moje oddziały z trudem utrzymują się na nogach, a ta ognista broń tworzy pole bitwy, jakiego nie możemy znieść – dlatego lojaliści popychają nas w całym szyku. Ustępujemy krok po kroku, zmuszeni do poddania się na tym miejscu, które nazywamy niebem. Patrząc na znane mi części tego wielkiego Miasta, a one znikają, gdy nieubłagane jesteśmy wypychani przez tajemniczą moc, odsuwającą nas od tronu. Zostajemy pokonani przez naszych kolegów aniołów, uzbrojonych w broń, której nie znamy, a prowadzi ich sam Narodzony! Jeśli wszystko potoczy się tak dalej, zostaniemy całkowicie przegnani z nieba do ciemnego kosmosu! Co stanie się wtedy?

Eon 97, wiek?

Nadal ustępujemy! Nie wiem co robi Marcolith i nie mam czasu, aby wysłać do niego posłańca. Muszę spróbować zgromadzić moje oddziały, aby zobaczyć, czy będziemy mogli się oprzeć w Wielkiej Sali Wejściowej. Być może tam będziemy mogli się rozpiezchnąć i spowodować, że będą musieli nas ścigać w milionie różnych kierunków równocześnie. Wtedy przełamamy impet ich ataku. Gdybyśmy tylko mogli znaleźć miejsce, gdzie ukryjemy się i uciekniemy od tych świetlistych mieczów, aby...

Eon 97, wiek?

To nie działa; jest ich po prostu za wielu. Nasze siły uległy już niemal wyczerpaniu na tym strasznym polu bitwy, a kiedy moje oddziały starają się rozpro-

szyc, wtedy zostają otoczone przez kolejne echelony lojalistów. Jesteśmy w pułapce. Dwóch na jednego: tej nierówności nie da się pokonać.

Nie damy rady utrzymać naszego terenu. Jego siły wydają się być wszędzie – nawet za nami – i wciąż zmuszają nas do ustąpienia. Zdaję sobie sprawę z tego, że On stosuje tu nieskazitelną strategię: ma zamiar pozostawić nas przy życiu – ale na wygnaniu, gdzie nie będziemy mieli żadnego wpływu na nic! Nikt z nas nie został zraniony, a jedynie jesteśmy nieubłaganie wypychani w kierunku murów Miasta. Moje siły skupiają się już na wewnętrznych wałach.

Zawsze zastanawiałem się nad tym, dlaczego to miasto otoczone jest murem. Teraz, być może, mam na to odpowiedź. Zadaniem muru jest chronienie przed czymś. Czy On przewidział, co się stanie? Czy wiedział o tym, że będzie musiał stanąć w obliczu buntu?

Eon 97, wiek?

Nie możemy pozwolić, aby nas tu przyłapano; musimy ruszyć, daję więc rozkaz ucieczki. W tym sektorze miasta istnieją trzy bramy, a moje armie przelewają się przez nie jak potok światła. Przechodząc przez środkową bramę rzucam jeszcze ostatnie spojrzenie na połyskujące wały, na same mury i fundamenty ozdobione klejnotami, które tak często podziwiałem. Udając się na dalekie wyprawy i wracając z nich zwykle zatrzymywałem się na tym miejscu, aby choć przez chwilę podziwiać subtelną kombinację kolorów: ognisty błysk jaspisowych murów, głębokie odcienie błękitu, zieleni, czerwieni, żółci i fioletu fundamentów. Zgłodniałym wzrokiem patrzę na to, starając się wyrycić je w mojej pamięci, mam bowiem straszliwe obawy, że mogę już nigdy nie zobaczyć tego miejsca.

Eon 97, wiek?

A więc, minęło. *Minęło!* Miasto, które tak bardzo umiłowałem, które było mi domem od samego mojego początku, teraz jest jedynie obrazem w mej pamięci. Już nie mogę dostrzec go w oddali, mam za sobą jedynie pustkę kosmosu.

Tak więc po prostu będziemy musieli zniknąć – stać się niewidoczni, wymazani z pamięci! Lojaliści zaś w Zgromadzeniu zapomną nawet, że kiedykolwiek istnieliśmy. *Dziękuję bardzo, nie dopuszczę, aby to się miało stać!* Muszę się upewnić, że nie zapomną o nas nigdy.

A gdy tak pośpiesznie przelatujemy głębiej przestrzeni, w mojej głowie powstaje plan. Jest sposób, aby Go wyzwać, nawet w najdalszym zakątku kosmosu: *Podważę Jego prawo!* Postawię zarzut, że nie jest ono sprawiedliwe i że nie da się go zachować i będę przedstawiał ten argument każdemu żywemu stworzeniu, które będzie mogło mnie zrozumieć. Przed tym atakiem nie uchroni Go żadna odległość, ponieważ cały ten kosmos jest połączony: oderwicie tylko

jedną sekcję od całości, a wtedy wszystko będzie zagrożone! Czy to wówczas może nas zabić? Oczywiście – *w jednej przeogromnej kolizji!* Ale już mi nie zależy. Mnie jednak już na niczym nie zależy. Mogę umrzeć, ale doprowadzę do tego, że On umrze ze mną.

Gdy ten bunt rozprzestrzeni się, posłańcy lojaliści, odwiedzający mój teren w sprawach Królestwa, zainoszą z powrotem wieść, że Lucyfer żyje. Że jego siły żyją. Że jego idee żyją i szerzą się tak, jak wybuch gwiazdy w kosmosie. Nie będę musiał do nich przychodzić. To oni do mnie przyjdą.

Przeżyłem. I znalazłem sposób na kontynuowanie walki.

Rozdział 3

Wygnanie

Eon 97? Wiek?

Nie mam już żadnego poczucia czasu. Wydaje mi się, że nadal jest to 97 eon. Ale tutaj czas jakby został zakłócony poprzez prędkość i przestrzeń, jak i te moce, które wiążą umysł. Tu i tam mogę widzieć pozostałości mojego korpusu, spadające tak, jak i ja, zaś daleko po prawej stronie znajduje się odległa iskierka, która może być Marcolithem. Nie ma jednak żadnego śladu po Zedronnie. Czy zatem zginął? Jak wielka jest moja nadzieja na to!

Jego śmierć jest dla mnie ważna z dwóch powodów. Oczywiście, że dałoby mi to bardzo silny argument przeciwko Starodawnemu, ale teraz jest jeszcze coś, o czym nieustannie myślę: Zedronn jest najbardziej wybuchową istotą w mojej armii i, mówiąc szczerze, boję się go. Jeśli przeżył, to oskarży mnie o złe kierownictwo, o wprowadzenie nas wszystkich w pułapkę śmierci i postara się, aby wszystkich zgromadzić przeciwko mnie, po to, aby sam mógł przejąć kontrolę. Wtedy stałby się niebezpiecznym problemem.

Eon 97? Wiek?

Spadamy coraz szybciej i szybciej, aż w końcu nie potrafię już sam decydować o mojej drodze; są tylko jakieś rozmazane paski, które przecinają niebo, jak błyskawice. Podczas wszystkich moich wędrówek w kosmosie, nawet wtedy, gdy wędrowałem aż do Trzeciego Kręgu, nigdy nie poruszałem się z tak niesamowitą prędkością i to jeszcze stale przyśpieszając! Czy nie ma temu końca? Jeśli tak trwać będzie dalej, wtedy możemy przekroczyć promień kosmosu w czasie mikro-wieku! Dokąd więc nas wysyła? Czy mamy zostać usunięci nie tylko z samego nieba, ale także z całego wszechświata? Czy istnieje jeszcze gdzieś jakieś miejsce? Czy istnieje jeszcze inny kosmos, kosmos potępionych?

Jednego straszliwego faktu jestem pewien: jeśli to przyśpieszenie trwać będzie dalej, wtedy spotkamy się z barierą czasu.

Aldebaran opisał mi kiedyś coś, co miało miejsce przy stworzeniu gwiazdozbioru Archon 24. Ten niezwykły, nowy system, z jego niesamowitą siłą grawitacyjną wywołał chwilowe przyśpieszenie w tamtym kwadrancie, a Aldebaran musiał przez to przejść. Powiedział wtedy, że gdy osiąga się śmiertelną prędkość, można ujrzyć sieć czasu: można ujrzyć sam czas – *ten wymiar faktycznie daje się zobaczyć!* Powiedział też, że jest to poczucie straszliwego majestatu, ogromny

wir, jaki wydaje się rozszerzać z jednego końca wszechświata do drugiego, a jeśli się w to wejdzie, siły stają się nieskończone. I chociaż przeszedł przez to w towarzystwie Starodawnego, stwierdził, że stres przekraczał możliwości wyrażenia go, a myśl o przejściu przez ten tunel samemu, przeraża go. Jak mi to wyjaśnił, można nagle być katapultowanym do innego eonu, innego wieku, innego...

Eon 97, wiek?

O, słodka śmierci – Aldeberan miał rację! I oto jest! Mogę dojrzeć tę siatkę – *naprawdę widzę czas!* Nie jest on jednak linearny, jak zawsze przypuszczałem! Nie ma prostej linii czasu! On nieustannie zakręca, ma kształt stożka, który tworzy jakby pętlę w dalekiej przestrzeni i jeśli tylko uderzę w jego brzeg, jeśli raz zostanę porwany przez ten cyklon czasu, zostanę w nim uwięziony i rzucony, tylko Bóg wie gdzie.

O Boże, O Starodawny, tak mi przykro!

Eon 97, wiek?

Porwało mnie w ten komin! Właśnie otarłem się o brzeg wiru i od razu rzuciło mnie w takie spiralne przyspieszenie, że niemal powaliło mnie z nóg, a teraz widzę, że jestem miotany wstrząsającymi falami, które mnie przerażają ponad wszelkie wyobrażenie. Większość istot, gdzieś na planetach, odczuwa bieg czasu jedynie jako odległą siłę, która prowadzi ich nieugięcie do przodu, ale ja znajduję się w samym środku wiru, poruszając się z taką prędkością, że linie koordynujące siatkę, stają się właściwie jednym niekończącym się arkuszem oślepiającego koloru; rozbryzgane światło, to jakby krzyk przeszłości. Jednak w jakim kierunku zmierzam? Czy posuwam się w czasie do przodu, czy do tyłu? Tego nie potrafię powiedzieć, tak więc odpowiedź muszę sobie sam wydedukować. Cofanie się wstecz – to byłoby logiczne. *Wstecz, jeszcze przed rozpoczęcie mojego buntu. Wstecz, przed mój początek! Wstecz, aby stało się tak, jakby mnie nigdy nie było!*

A Jego kosmos będzie bezpieczny – bezpieczny ode mnie. Być może tak będzie lepiej.

Eon? Wiek?

Moja świadomość powoli powraca, a z nią – możliwość patrzenia. Nawet nie wiem, jaki to eon, nie mówiąc już o wieku. Z gwiazd też nie mogę odczytać czasu, bowiem ich formacje są dla mnie nowe i bardzo odległe, żadnej z nich nie znam. Daleko, w oddali mogę dostrzec kilka galaktyk, które znajdują się po mojej prawej i lewej stronie, jednak przede mną jest tylko pustka...

Tak pusto. *Chyba znajduję się poza zewnętrznym kręgiem.*

W tej kosmicznej dzikości nie ma się czym zająć. Nie ma form życia, nie ma przyjaciół, nie ma też orbity: dobra robota, Lucyferze – ty, istoto od wielkiego planu, która chciałaś rozwiązać równanie kosmosu i przejąć tron! Jakże życzyłbym sobie śmierci w tamtym tunelu!

Ale chwileczkę: gdzieś tam w czerni odczuwam znaną mi obecność, moc tego rodzaju, jaką kiedyś odczuwałem przy tronie i rozpoznaję to: *gdzieś w pobliżu znajduje się Ruach!* I nagle widzę także Narodzonego. On też tutaj jest, jakby czekał na mnie! Czyżby On również przeszedł poprzez barierę czasu? Czy to możliwe, aby On także został porwany, by w swoim pragnieniu przegonienia mnie, sam wpadł w wir? Jeśli tak, w takim razie dlaczego obecny jest też Ruach? Bez wątpienia Duch Wiatr jest tutaj obecny: odczuwam Jego obecność, stale podnosi się poziom energii.

Eon? Wiek?

Przez krótki czas, który – jak przypuszczam – był mikro-wiekami, sam kulilem się tutaj w ciemności, po prostu czekając. Widzę Go w oddali i odczuwam też obecność Ruach, ale jak dotąd nic się nie stało. Od czasu do czasu patrzy w moim kierunku, nie potrafię jednak dostrzec u Niego nawet śladu gniewu, czy chęci rewanżu; jeśli cokolwiek widzę, to smutek. W tym czasie zauważam też, że moc Ruach stale wzrasta i osiąga poziom wyższy, niż kiedykolwiek odczuwałem ją wcześniej przy tronie. Nie wiem, jak będę mógł znieść cokolwiek więcej.

Eon? Wiek?

Nagle Narodzony wyciąga swoje ręce w kierunku pustej przestrzeni i przemawia, a jego głos niesie z sobą falę czystej energii:

– *Niech... się... stanie... światłość.*

Wtedy z Ruach następuje wybuch energii, jakiego nigdy jeszcze dotąd nie widziałem. Jej pole przechodzi także przeze mnie, tak, jakby miało rozbić wszystkie atomy mojego istnienia i zdaje sobie sprawę z tego, co będę mógł zobaczyć. *To jest stwarzanie!*

Natychmiast następuje błysk energii w całym otoczeniu, we wszystkich jej odmianach: widocznej jasności, niewidocznych sił magnetycznych, ognistego potoku jarzącego się światła i mocy, jakie potrafi wytworzyć cała potęga atomu. To wszystko napromieniowuje otoczenie, tworząc cudowne błyski kolorów, tańczących promieni światła: niebieskiego i zielonego, czerwonego i ciemnofioletowego. Najbliższa gwiazda musi znajdować się przynajmniej 5.000 wieków świetlnych stąd, a mimo to jestem cały skąpany w blasku, jakbym był w środku pieca solarnego – tak, jakbym oglądał wewnętrzną pracę słońca!

A teraz, po natychmiastowym wykonaniu swego dzieła, On cofa się do tyłu, patrzy na światło i mówi: „*To jest dobre... bardzo dobre*”.

O, Panie, On jest jednym z Nich, jednym z Trzech! Żaden oszust tego by nie dokonał. Żadna stworzona istota nie potrafiłaby rozszyfrować tajemnicy kosmosu. Ja jestem pierwszym ze wszystkich stworzeń i nie potrafiłem tego uczynić. Bóg wie, że próbowałem. Jak bardzo się starałem! Przeszukałem każdy kąt swojego umysłu w poszukiwaniu brakujących części równania, aż ból przejął moją głowę. Owe kalkulacje poddałem takim siłom, jakich jeszcze żaden anioł nigdy nie doświadczył, a nawet raz lub dwa odczuwałem, że znajduję się już na krawędzi Tajemnicy, a jednak nigdy nie udało mi się spenetrować samego enigmatu. Po prostu jest to niemożliwe.

A *On* tego dokonał i to na moich oczach. Nie, to jasne, że *On* nie osiągnął tronu poprzez jakiś prehistoryczny podstęp. Zdaję sobie sprawę, że *On* jest Bogiem. I zastanawiam się... czy istnieje jeszcze jakaś szansa, chociażby mała, że zabierze mnie z powrotem? Byłem głupcem, wyzywając *Go*. Być może, gdy tylko czas będzie odpowiedni, pójdę do *Niego* i zapytam, czy mogę wrócić.

Eon? Wiek?

Przez trzy dni pracował systematycznie, tworząc jedną orbitę. Zaczyna ona wyglądać na całkiem piękną. Choć daleko jeszcze do końca, już jest śliczna: pokryta wodą i roślinnością, która zmieniła ją jakby w zwój zieleni i niebieskości. Nie słyszałem jednak jeszcze, aby dał temu miejscu jakieś imię.

Są tutaj drzewa takich rodzajów, jakich wcześniej nigdzie nie widziałem – niezwykle wysokie, o ciemno-brunatnej korze i pniach, które muszą mieć średnicę około dwudziestu kroków. Wyrastają ponad całym lasem jak kolumny w świątyni, a w tych leśnych świątyniach trwa cisza. Tutaj stworzono paprocie, nawet piękniejsze niż legendarne groty z paprociami na Aurelionie 5; poniżej zaś znajdują się całe łąny – niezwykle kolorowe, dzięki małym roślinom, jakie zaplanował chyba szczególnie dla tego miejsca. Mają one zarówno liście, jak i pachnące koła kolorów, których celu istnienia nie rozumiem do końca.

W pobliżu płynie rzeka, a wzdłuż jej brzegów *On* tworzy ogród pod baldachimem gigantycznych drzew, ozdobionych koronkami paproci i ożywionych kolorami tych dziwnych małych roślin. W centrum tego ogrodu, tuż poniżej wodospadu, tworzy drzewo zieleni, które wygląda tak, jak mieszkanie: są tam pokoje i sienie, ale ono jest żywe – dom, całkowicie skonstruowany z roślin!

Eon? Wiek? To nie ma sensu; dostosuję się do tutejszego czasu: Dzień 4

Jak dotąd, ta nowa orbita skąpana była w stałym świetle, jakie *On* stworzył w pierwszym dniu. Jeśli jednak ma to być tak, jak w innych światach, które stworzył wcześniej, jej dni zostaną oznaczone cyklami światła i ciemności, a do tego potrzebne jest słońce. Dni planetarne są inne od tych, jakie mieliśmy w Króle-

stwie Światła. Tam nigdy nie było ciemności. Nasze dnie były po prostu cyklami nowych zajęć, których noc nie przerywała. Jeśli zatem ten nowy świat ma być taki, jak wszystkie inne, wkrótce będzie musiał zapalić dla niego słońce.

Dzień 4, gdzieś około środka

No, przynajmniej raz udało mi się odgadnąć trafnie: zrobił dokładnie to, czego się spodziewałem – rozpałił nową gwiazdę w niedalekiej odległości. Jej blask zalewa teraz ten mały świat swoim światłem i energią, a ich poziomy są bardzo odpowiednie. Jej promieniowanie jest przyjemne i niezbyt silne, a jak mi się wydaje, właściwe dla życia roślinnego, szczególnie gdy chodzi o rośliny, które mają kolorowe oblicza. Ich wzorzyste kręgi tajemniczo kierują się ku słońcu, tak, jakby były oczarowane jego widokiem.

Dzień 4, koniec

Dzień się kończy. Jest wieczór, a na zachodnim niebie chyli się słońce w swoim ognistym odbłasku. Nad wielką rzeką gwiazda ta lśni kolorem karmazynu, a następnie zanika w głębokim, żarzącym się błękicie. Kolory odbijają się w samej rzece, zamieniając ją w niebiesko-pomarańczową, ognistą wstęgę.

A teraz, w pogłębiającym się mroku, nowe widowisko pojawia się na niebie – wieczorna lampa, wschodzący księżyc, w pełni koloru złota. Tak więc będzie tylko jeden? Często myślę o Celdonie, z jego siedemnastoma księżycami (jest to oslepiające widowisko nocne), ale tam nie ma wielkiej różnicy pomiędzy nocą, a dniem. Tutaj noc staje się zaczarowaną krainą o delikatnym, metalicznym świetle, a mały księżyc powoli wschodzi, zamieniając powierzchnię wody w rzece w tańczące srebro, zaś wodospady w diamenty.

Diamenty. Kiedyś stąpałem po nich i prowadziłem kosmiczny chór. Jakież byłoby to miejsce dla śpiewu! Jakże życzyłbym sobie, abym mógł poprowadzić śpiew hymnu chociaż jeszcze jeden raz! Jakże pragnąłbym powrócić do Królestwa Światła, stanąć jeszcze raz pod promieniującym światłością tronem i aby rzeczy były takie, jakimi zawsze były. Muszę z Nim porozmawiać. Będę szukał odpowiedniej możliwości.

Dzień 5

Minął poranek i świat jest teraz obmyty dźwiękiem. Z każdego zakamarku lasu odzywają się głosy, a każdy w jego własnym języku. Są to latające stworzenia, udekorowane tak jasno, jak rośliny pod moimi stopami. Przemierzają niebo swoim dźwiękiem i kolorem. Z zacienionych miejsc odzywają się inne stworzenia swym radosnym świergotem, a jedno z nich, ozdobione połyskującym upierze-

niem, zdaje się mieć wielką przyjemność w naśladowaniu niemal każdego dźwięku, jaki słyszy. Jakież to świat! Jeśli nie będę mógł powrócić do tronu, jeśli będę musiał pozostać na wygnaniu, myślę, że będzie mi się podobało życie tutaj.

– *I tak będzie.*

Co? Ktoś do mnie mówił? Odwracam się, aby zobaczyć kto to i przekonać się, że jest to Narodzony! Byłem tak pochłonięty przyglądaniem się temu nowemu stworzeniu, że nie zauważyłem Jego nadejścia, a teraz jestem zdumiony tym, że potrafi odpowiadać na moje własne myśli.

„Tak będzie?” Te słowa jakoś niezgrabnie brzmią w moich uszach. Jestem tak wstrząśnięty, że nie potrafię wymyślić niczego, co miałbym powiedzieć.

– Tak będzie. To będzie twój nowy dom.

Nagle przypominam sobie, że szukałem możliwości, aby z Nim porozmawiać. Nie przygotowałem niczego, co miałbym powiedzieć, ale lepiej będzie, jeśli skorzystam z tej chwili.

– Mistrzu – odzywam się, chociaż słowo to ma dla mnie gorzki smak, lepiej jednak, abym go użył. – Mistrzu, ja... ja chcę powrócić.

– Do Królestwa Światła? Do tronu?

– Tak – z powrotem tam, gdzie należą. Tu jest pięknie, ale to nie jest to, co... Sam wiesz, co mam na myśli – uczyniono mnie, abym...moje miejsce jest....

Nie potrafię nawet poprawnie wypowiedzieć jednego zdania! Słowa wychodzą same i pozostają niedokończone. Dlaczego nie przemyślałem tego, co miałem zamiar powiedzieć? Nie mogąc już dokończyć, pozostawiam moją na wpół wypowiedzianą prośbę taką, jaką była, a długie chwile mijają nabrzmiałe bolesną ciszą. Potem patrzy na mnie wprost i jestem zszokowany tym, co widzę. *W Jego oczach są łzy!* Nie mogę temu uwierzyć! W moich najciemniejszych chwilach od opuszczenia tronu, miałem już takie doświadczenie: smutek jakby gotował się w środku i zdawał się wylewać na zewnątrz poprzez oczy! Ale On? Płaczący? Czyżby Ci Trzej także odczuwali smutek?

– *Jakże chciałbym, aby tak się stało.* – Jego odpowiedź brzmi powoli i smutno, ale wystarczająco zrozumiale. On *chciałby*. Oznacza to, że odpowiedź brzmi: nie. Mogłem odgadnąć, co nastąpi potem i splywa to jak lodowaty strumień na mają duszę.

– Chciałbym, aby było to możliwe. Zanim Ruach musiał cię opuścić, była jeszcze szansa. Ale teraz nie ma już takiej. Nie pozostawiłeś sobie żadnej drogi powrotu. Tak mi przykro. *Jest mi tak straszliwie przykro.*

Przykro. A więc tak to jest: nie mogę powrócić, a Jemu jest „przykro”. No, mi także jest przykro – przykro, że nie wygrałem tej pierwszej bitwy, przykro, że moja stanowczość osłabiła się podczas spektaklu stwarzania, a najbardziej przykro ze wszystkiego, że nazwałem Go „Mistrzem”. *To* już nie powtórzy się więcej. Narasta we mnie taka wściekłość, jakiej nigdy nie odczuwałem, nawet podczas samej walki tam w Mieście. Ale On mówi dalej.

– Tak więc to będzie twój dom – twój, i wszystkich twoich sił. Wkrótce przybędzie tu Marcolith, podobnie jak i Zedronn.

Zedronn! A więc i on uciekł i teraz będę musiał radzić sobie z nim także? Co jeszcze?

– Jutro zakończę stwarzanie. Postawię na tej orbicie lądowe istoty, a potem stworzę człowieka. Będzie to mój koronny akt podczas stwarzania Ziemi.

Ziemi? Czy w takim razie widziałem stworzenie orbity, która przyspieszyła mój bunt? A więc tutaj wyrzucił mnie ten wir kosmiczny – dokładnie na czas, abym był świadkiem stworzenia planety, która zapoczątkowała cały mój zamęt! A jutro zobaczę pojawienie się dwóch istot, które będą mogły odtwarzać życie! Onie miały z wściekłości natychmiast postanawiam, że jeśli kiedykolwiek będzie mi dana taka szansa – jeśli kiedykolwiek znajdą się pod moja kontrolą – zabiję ich.

Onie miały słucham, jak kończy to, co ma do powiedzenia.

– Chcę ci wyjaśnić, co złego stało się w twojej duszy. Staraleś się rozwiązać Tajemnicę Kosmosu. Moje myśli śledziły twój tok rozumowania od momentu, kiedy rozpoczęłeś; i tak śledziłem każdy twój krok, aż do twego szaleństwa w czterdziestej mocy z dziesięciu. Twoje problemy były dwuczęściowe: po pierwsze jesteś stworzoną istotą, a istnieją tajemnice, które może zgłębiać jedynie Bóg, tak więc od samego początku próbowałeś rzeczy niemożliwej. Był jednak jeszcze głębszy błąd i o tym właśnie chciałbym porozmawiać.

Obserwowałeś akt stwarzania przez ostatnie pięć dni. Jeśli patrzyłeś uważnie, powinieneś już zauważyć, że wbudowałem podstawową zasadę we wszystko, co uczyniłem. Nazywa się ona Zasadą Powrotu.

Wszystko w moim stworzeniu zostało tak zaplanowane, że może ono brać tylko tyle, ile potrafi dać z siebie. Wszystko to, co potrzebne jest do życia, otrzymuje z całego systemu kosmicznego; następnie wzbogaca, dzięki swojej kreatywności to, co otrzymało i oddaje systemowi więcej jeszcze, niż wzięło. Popatrz dla przykładu na śpiewającego ptaka, którego właśnie podziwiałeś. On wdycha powietrze, które potrzebne mu jest do przetrwania, ale oddaje to powietrze wzbogacone o pieśń. I więcej jeszcze, ptak zmienia powietrze, jakim oddycha, wypełniając je gazem, jakiego potrzebują do życia rośliny. Ten gaz, w zamian – z wdzięcznością, przyjmuje piękny mały kwiatek, który tak bardzo cię zaintrygował i wprawił w zadumę. Wykorzystując powietrze otrzymane od ptaka, kwiatek wytwarza zapach, kolory i tlen – i tak ten cykl trwa poprzez całą wieczność.

Zasada Powrotu: bierzesz tylko po to, aby znowu dawać, a to, co wykorzystasz sam, wzbogacasz własnym życiem. Mój cały wszechświat, od potężnych systemów kręgów, aż do najmniejszego źdźbła trawy, działa w oparciu o tę zasadę.

I w tym, mój umiłowany Lucyferze, popełniłeś błąd. Chciałeś tronu, ale nie miałeś życia wrodzonego – życia wysłanego poprzez kamienie ogniste, życia, które mogłoby objąć energią cały kosmos. Chciałeś więcej, niż potrafiłeś oddać.

Oto powód, dla którego Tajemnica była dla ciebie czymś tak intrygującym. Ty odwróciłeś równanie. Staraleś się rozwiązać je od tyłu, ale tego nie da się zrobić. Gdy tego próbujesz, wprowadzasz straszliwego intruza, zwanego śmiercią.

A teraz porozmawiajmy krótko o przyszłości. Chociaż jesteś zbuntowany, pozwalamy ci żyć tutaj jakiś czas wraz z twymi siłami, ale nie będziesz tu władcą suwerennym. Te istoty, jakie stworzę jutro, staną się tutaj panami, bezpośrednio odpowiedzialnymi przede mną. Każda tu istniejąca forma życia będzie pod ich panowaniem. Oni zaludnią tę orbitę. Mam taki zamiar, aby wykorzystać ich w celu uzupełnienia braków pozostałych w wyniku pozbycia się ciebie i twoich naśladowców. Pewnego dnia zajmą twoje miejsce.

Muszę jednak wykazać, czy rzeczywiście w pełni będą oni posłuszni prawu kosmosu. Jeśli pozwolę im na zastąpienie ciebie, będą musieli pokazać, że nie popełnią takiego samego błędu, jaki ty uczyniłeś. Dlatego zmuszony jestem do tego, aby ich wypróbować.

Test będzie bardzo prosty. W centrum ogrodu postawiłem wielkie drzewo, które obciążone jest owocami, robiącymi wrażenie atrakcyjnych i pociągających, ale zabronię im je spożywać. Nie będzie żadnego widocznego znaku, że jest w nich jakiś problem. Faktycznie, drzewo to będzie najbardziej nęcące i dlatego jedynym powodem, dla którego będą je wymijali – ma być wiara w to, że mówiłem prawdę. Jeśli kiedykolwiek zdecydują, że chcą zignorować dane przeze mnie ograniczenie, wtedy przestąpią prawo, wtedy popełnią taki sam błąd, jaki popełniłeś ty. Lecz jeśli tak się stanie dam im szansę powrotu. Przyjdę sam, osobiście, oferując im ratunek.

Wiem już ile mnie to będzie kosztować. W swoich myślach pielęgnowałeś marzenie, aby mnie zabić. Jeśli te istoty upadną, będziesz miał taką szansę. Jeśli będzie konieczne, wtedy pokażę Zasadę Powrotu w jej pełni: sam oddam siebie za nich.

Lucyferze, jasny księciu dnia wczorajszego, musimy się teraz rozstać.

Rozdział 4

Miejsce zwane Edenem

Dzień 6, wczesny poranek

Oczekiwałem tego dnia z całą burzą uczuć, dziką mieszaniną ciekawości i złości. Dzisiaj zobaczę moich rywali, tych, którzy rozpalili mój bunt i którzy, jak mi powiedziano, mają najprawdopodobniej zająć moje miejsce! Już ich nienawidzę, chociaż ich jeszcze nie widziałem i moim największym pragnieniem jest wciągnięcie ich do mojego buntu. To przynajmniej wyeliminuje ich, jako moich przeciwników! Jak mógłbym zostać zastąpiony przez istoty, które są także zbuntowane?

Ale jak mogę do tego doprowadzić? On zapewne ostrzeże ich przede mną, a ja nie osmię się otwarcie objawić im siebie. Zastanowię się nad tym, gdy pokręcę się dłużej po ogrodzie i poczekam, niezwykle zaintrygowany tymi nowymi istotami, których możliwości chcę z wielką chęcią ocenić.

Dzień 6, późny poranek

Narodzony poświęcił większość dnia na tworzenie ogromnych ilości różnych form życia na Ziemi, a niektóre z nich są całkiem dziwne. Jakieś stworzenie o długiej szyi właśnie przeszło obok mnie, przybrane w żółty płaszcz w czarne kropki; u jego stóp znajduje się mała kulka futrzana, niewiele cięższa od garści liści! Ale nie zauważyłem jeszcze niczego, co w jakimś stopniu odzwierciedlałoby nowe stworzenia, których boję się najbardziej. „*Na nasze podobieństwo*” – te słowa uderzyły mnie, słowa, które wyszły od tak już dzisiaj odległego w czasie tronu, gdy Ci Trzej planowali stworzenie tych nowych istot (wtedy rozgniewałem się, ponieważ nie konsultowano tego ze mną). No, przynajmniej jedna rzecz jest w miarę pewna: po 97 eonach przebywania w Jego obecności, coś wiem na temat tego, jak wygląda Starodawny. Tak więc, gdy pojawi się ta nowa forma życia, jestem pewien, że będę mógł je rozpoznać.

Dzień 6, wczesne popołudnie

Dzieje się coś dziwnego: Narodzony zaprzestał tworzenia świata żywych zwierząt, przeszedł nad brzeg wielkiej rzeki i tam *gromadzi błoto!* Zaczyna skrupulatnie z niego coś tworzyć – formuje twarz, cofa się i patrzy na nią, potem ponownie się schyla, aby zmienić jakieś maleńkie cechy. Starannie pracuje i w koń-

cu wszystko jest gotowe; widzę teraz całkiem duże stworzenie, niemal mojego wzrostu, a jest na nim każda cecha: twarz, korpus ciała, ramiona, nogi – wszystko jest gotowe, tylko że takie bez życia, jak kamień.

A teraz obejmuje tę rzecz, kierując się twarzą do twarzy, wdycha w jej gliniasty nos powietrze i słyszę, jak delikatnie wypowiada imię: *Adam* – imię, które oznacza czerwoną ziemię! *I postać ta ożywia się!* Słodkie nieba, ta rzecz żyje! Żywe błoto – nie, żywa tkanka; błoto stało się żywe i teraz powstaje!

Przerażony i oszołomiony uciekam z ogrodu. Mój rywal został stworzony z gliny! To już przekracza moją wytrzymałość. Potrzeba mi przestrzeni! Potrzebuję samotności! Muszę pomyśleć.

Dzień 6, wieczór:

Przez całe popołudnie pogrążyłem się w myśleniu i nadal nie potrafię zrozumieć tego, co widziałem. Zbliża się wieczór, powracam więc przygnębiony do Ogrodu. Na zachodzie skrywające się słońce, raz jeszcze zamieniło niebo w płomienną światłość, która tańcząc, unosi się nad powierzchnią rzeki. Jakże czuję się osamotniony! Moja samotność pogłębia się poprzez fakt, że – tak jak powiedział Aldebaran – są dwie nowe istoty: Adamowi dano partnerkę, która jest wybornie piękna i oboje najwyraźniej są w sobie zakochani. Patrzę z pogłębiającego się cienia, jak siadają nad brzegiem rzeki, a przyłącza się do nich Narodzony.

O, Panie! To miejsce jest wspaniałe! Eden – tak je nazwał, a ja nie widziałem jeszcze nigdy niczego takiego jak to. Poprzez baldachim paproci kolorowe niebo połyskuje jak pomarańczowa koronka, wodospad wypełniony jest żarzącymi się kolorami, zaś wschodzący księżyc wkrótce zamieni je wszystkie w diamenty. Dwie stworzone istoty siedzą obok siebie, zagubione w swoim towarzystwie (Adam poświęcił większość wieczoru na wpatrywanie się w cudowną i piękną swoją partnerkę. Mam nawet wątpliwości czy w ogóle zauważył zachód słońca).

Narodzony mówi do nich delikatnie, a ja przybliżyłem się, aby usłyszeć wszystko wyraźniej.

– To bardzo szczególna chwila, zakończenie stwarzania. Pracowałem przez sześć dni, aby stworzyć ten świat dla was, ale teraz zachód słońca wyznacza koniec szóstego dnia. Zakończyłem więc moje dzieło. Pewnego dnia i wy odczujecie podobnie to, co ja czuję teraz, gdy daję wam życie, bo zobaczycie w swoich ramionach odbicie samych siebie. Wtedy lepiej jeszcze zrozumiecie, co oznacza dla mnie ten wieczór. Jest on częścią mnie samego.

Chcę, abyście nigdy nie zapomnieli o tym wspaniałym czasie, o tej chwili, która jest początkiem świata. Właśnie dlatego mam zamiar pozostawić wam część tego na wieki. Każdego tygodnia, gdy zobaczycie, że słońce zachodzi na koniec szóstego dnia, chcę, abyście i wy zaprzestali swojej pracy i po prostu

odpoczęli. Ten zachód słońca zaznaczy rozpoczęcie czegoś niezwykle ważnego dla mnie – początku dnia siódmego, w którym odpocząłem od stwarzania. Ten piękny dzień nazywam Szabatem. Radujcie się nim i aż do kolejnego zachodu słońca wspominajcie o tym, jaki był początek waszego życia, i myślcie o mnie.

Ten mały świat należy teraz do was. Będziecie nim rządzić, od wielkich stworzeń, jakie ukrywają się w morzach, aż do najmniejszego ptaszka, który lata po niebie. Wszystkie stworzenia będą was kochać i ufać wam. Służcie im dobrze, bo zasługują na wiele dobrego od was, dlatego, że i ja dałem wam tak wiele: zdolność myślenia (podobnie jak ja), aby zrozumieć ich potrzeby, aby udzielić im miłości. I nigdy nie zapomnijcie, jaka jest Zasada Powrotu. Korzystajcie ze wszystkiego, co tylko będzie wam potrzebne, niechaj to wypełnia was radością, a potem oddajcie to, wzbogacone o wasze własne życie. Tak długo, jak będziecie postępować w ten sposób, będziecie żyć, a im dłużej będziecie żyli, tym więcej się nauczycie, tym będziecie szczęśliwsi i tym bardziej będziecie zdolni do tego, aby się kochać wzajemnie. Przestrzegajcie tego prostego prawa, a wasze szczęście nie zazna nigdy końca.

A teraz pozostawiam was samych. I pamiętajcie, że was kocham.

Dzień 7

Jest to ich pierwszy pełny dzień życia, dzień, który nazwał Szabatem, dzień odpoczynku. Dokładnie tak, jak im powiedział – spędzają go w ciszy, radując się ogrodem i rozmawiając na Jego temat. Jakie to interesujące! Zanim cokolwiek uczynili, najpierw wypoczywają i myślą o Nim. I będą tak czynić każdego tygodnia, a ja już dostrzegam tu problem: tak długo, jak będą pamiętali o Nim w tym dniu, będzie mi trudno dotrzeć do ich myśli.

Sabat. Jakże mnie to intryguje i stawia przed wyzwaniem. Stanowi on przeszkodę, a ja nie mam pojęcia co z nią mogę zrobić. Mam więc nowy problem, nad którym trzeba będzie się zastanowić.

Dzień 8

To pierwszy dzień nowego tygodnia, a oni rozpoczynają pracę, opiekując się ogrodem, który On stworzył. To miejsce jest tak pełne życia, że winorośle już pozarastały i potrzebują plewienia; owoce ciężko zwisają z drzew; ich dom z żywej zieleni domaga się też uwagi, aby nie zaczął przerastać. Tyle pracy! Najwiśdoczniej Jego zamiarem jest utrzymywanie ich w działaniu.

Zauważyłem jednak, że pozostawił im trochę czasu dla siebie samych. Wykonywanie rutynowej pracy zajmuje ich do południa, po czym mają trochę wspaniałych godzin, które mogą wykorzystywać tak, jak chcą i w tym czasie rekreacji spacerują po tej krainie cudów zwanej Edenem, poznając wszystko co

tylko ujrzą. Jaka jest ich ciekawość! Wszystko ich intryguje i o wszystko, co widzą, pytają.

Ale czy nie stanowi to dla mnie pewnej możliwości? *O wszystko przecież pytają.* Czy uda mi się skłonić ich do tego, aby zaczęli pytać i kwestionować Jego osobę?

Dzień 8, wieczorem

Tak więc właśnie dotarły pozostałe moje siły – całe miliardy, zalewając ten glob jak armia dokonująca inwazji. Wielu z nich cierpi na dezorientację. Ich, dłużej niż mnie trzymano w tunelu, a efekty tego doświadczenia są widoczne. Marcolith wygląda na całkowicie wyczerpanego. Rzuciłem okiem w kierunku Zedronna, otoczonego grupą swoich sprzymierzeńców, ale nie rozmawialiśmy jeszcze.

Zastępy mojego korpusu obozują w dolinie, około pięć mil na południe od Edenu. Oddziały Marcolitha stoją w pobliżu, na wschód od moich, a z tego co słyszę, Zedronn odszedł gdzieś z jedną trzecią armii. Nie wezwałem jeszcze wszystkich na spotkanie, potrzebują przecież czasu, aby dojść do siebie, ale nie będę czekał zbyt długo, bowiem wtedy Zedronn – lub ktoś inny z ambitnych intrygantów – może uznać, iż istnieje szansa na przejście kontroli nad całością. Dlatego będę musiał działać w miarę szybko. Za kilka dni, kiedy wszyscy dojdą do siebie po przejściu tego tunelu czasu, wezwę całą armię na szeroką dolinę znajdującą się zaledwie o kilka mil stąd na zachód. Wtedy wyjaśnię im, co mi wiadomo o tym świecie i podzielę się moim planem, którego celem jest przejście świata jako terytorium armii Lucyfera, a sądzę, że to nam się uda – jeśli uda nam się wciągnąć ludzi do współpracy z nami!

Dzień 11

A więc wygląda na to, że nie działałem wystarczająco szybko. Tak, jak się obawiałem, Zedronn już jest zajęty. Celsion i Margoth udali się w poszukiwaniu jego obozu i znaleźli go ponad łańcuchem gór leżących na wschód od Edenu. Zedronn wydał polecenie, aby jego oddziały nie słuchały nikogo, oprócz niego, i już wysłał swoich wysokich rangą posłańców do Marcolitha, proponując mu alians, którego celem będzie obalenie mnie z pozycji głównego przywódcy.

Miałem nadzieję, że swoje wysiłki skoncentruję na ludziach, ale ci będą musieli poczekać. Moim największym problemem jest teraz Zedronn.

Dzień 27

Dotarły do mnie wieści, że Zedronn ćwiczy swoje zastępy do wojny. Wygląda na to, że będziemy musieli walczyć. Przez dwa tygodnie byłem zajęty ciężką pracą przygotowującą moje siły do bitwy. Przyłączył się do mnie Marcolith,

a nasze połączone armie mają znaczną przewagę liczebną – taki sam stosunek, jak było to w przypadku Narodzonego, który, o ironio, przeważał ilością sił, gdy walczyliśmy z Nim w Królestwie. Dwóch na jednego: Zedronn jest sprytny i niebezpiecznie pobudliwy, ale bardzo poważnie przewyższamy go siłami.

Przedyskutowałem mój plan bitwy z Marcolithem i starszymi dowódcami echeleonów. Rozpoczniemy przed świtem i udamy się na wschód od pozycji Zedronna, gdzie będziemy mogli go zaskoczyć o brzasku i zaatakować z kierunku, z którego razić go będzie w oczy wschodzące słońce. Mam na myśli to, że trzeba będzie dać przykład, jak rozprawiamy się z takimi łotrami. Jeśli tego nie zrobię, wtedy nie będzie końca temu sporowi, a moja wojna z ludzkością odsunie się na długo. Tak więc nie okażę wcale żadnego zmiłowania nad Zedronnem, a gdy skończę z nim, wtedy zapanuje absolutne posłuszeństwo wśród moich sił. Odtąd moim środkiem kontrolnym będzie strach. Nie zostałem okaleczony przez Starodawnego tęsknotą za miłością. Moim zdaniem bezpieczniej jest się bać, niż być kochanym.

Jestem usatysfakcjonowany gotowością mojej armii. Ruszamy na obóz Zedronna za trzy dni.

Dzień 29

W błogiej nieświadomości wojny, która właśnie ma się rozszaleć (choć dla nich niewidoczna), Adam ze swoją żoną zajęci są pracą w ogrodzie. Wczoraj był dzień odpoczynku i większość czasu spędzili śpiewając. Choć mają całkowicie różne od siebie głosy pod względem tonalnym, tworzą one jednak zgodną muzycznie całość. Odkryciem tym byli tak bardzo zaintrygowani, że śpiewali przez większość popołudnia, tworząc sobie pieśni w czasie spaceru – pieśni o Narodzonym, na temat stworzenia, o wspólnym życiu. Spodziewam się, że tego można teraz oczekiwać każdego siódmego dnia. Jakież to dziwne stworzenia!

Ale jest jedna rzecz, której nie potrafią: nie potrafią podróżować w wymiarze czasoprzestrzeni, tak jak my – aniołowie, skutkiem czego jesteśmy dla nich całkowicie niewidoczni, chyba że z jakiegoś powodu zdecydujemy się przekroczyć barierę i wejść w ich widzialną rzeczywistość. Dlatego nie będą widzieli bitwy, jaka wkrótce się rozegra, gdy zaatakuję Zedronna.

Dzień 30, przed świtem

Jeszcze raz dokonujemy przeglądu sił uformowanych w echelony, kompanie i oddziały, tak, jak czyniliśmy to w Królestwie Światła i zaraz po tym wydaję rozkaz, aby uderzyć z wielką siłą i prędkością. W kilku chwilach osiągamy prędkość odpowiednią dla czasoprzestrzeni, a przyspieszając ją jeszcze powodujemy, że owa podróż wokół tego maleńkiego świata staje się bardzo szybka. Faktycznie dopiero co zaczynamy przyspieszać, a tu już musimy zwolnić, bowiem na

jakieś piętnaście mil przed nami znajduje się szeroka, szarozielona w porannym półmroku, dolina wypełniona siłami Zedronna. Wydaje mi się, że jest całkowicie zaskoczony.

Dzień 30, o wschodzie słońca

Mając za plecami słońce, pojawiaamy się nagle od wschodu, a nasz atak jest pełen furii. Ale Zedronn jest twardy – reaguje znacznie szybciej niż się spodziewałem, a jego siły tworzą kąt, kierując się bezpośrednio na nas. Tak więc im bardziej przyspieszamy, tym więcej jest jego sił, którym musimy stawić czoła. Walka staje się tym sposobem bardzo zajadła i nie możemy otoczyć jego skrzydła, ponieważ ustawione w kształcie litery V, daje mu linię bitwy po obu stronach. No, Zedronnie, mój wrogu, ja uczę się szybko! Ustawienie V działa dla ciebie, czy tak? Ale ono zadziała także i dla mnie! Wysyłam Marcolitha na drugą stronę formacji Zedronna z instrukcjami, aby rozwinął swoje siły w taką samą ostrą formację, jaką walczy nasz wróg, i wykorzystując tę nową taktykę, atakujemy równocześnie. Teraz nasz przeciwnik musi zmagać ze swoją własną strategią i do tego równocześnie na dwóch frontach.

Moi wojownicy zostali mocno ranni w zetknięciu się z tym ostrym kątem linii frontu, ale taki jest koszt wojny; mam ich jeszcze wielu i będę ich wysyłał tak długo, aż on się załamie.

Godzinę później otrzymuję dobrą wiadomość w formie przesłania od Marcolitha. Po jego stronie bitwy, kilka mil dalej, linia sił Zedronna zaczęła się wykruszać, a wkrótce także i moim siłom udało się przebić, dając nam pozycję umożliwiającą otoczenie obu części jego armii od tyłu. Szybko wysyłam posłańca po Marcolitha, bowiem chcę mu wydać rozkaz osobiście.

– Nie okazuj im miłosierdzia – mówię. – Żadnego miłosierdzia.

– Bez miłosierdzia? – zapytuje, patrząc nieco zmieszany. Wiem, o czym myśli: te siły będą nam potrzebne w przyszłości i nie stać nas na ich odrzucenie. Mam jednak głębszą potrzebę: chcę, aby to była ostatnia tego rodzaju walka, jaką będę musiał stoczyć, zdecydowane rozgromienie, które zniszczy na zawsze każdą myśl o buncie pośród moich szeregów. Tego jednak nie mogę wyjaśnić Marcolithowi, bowiem chcę, aby nawet i on bał się nieustannie postawienia siebie w jakimkolwiek sprzeciwie w stosunku do mojej woli. Tak więc po prostu powtarzam rozkaz bez jakiegokolwiek wyjaśniania, a mój zdumiony dowódca korpusów przytakuje na zgodę i pędzi z powrotem do swego punktu dowodzenia. Bitwa wybucha ponowną furią; nikt nie traci życia, ale rany są niesamowite. Wszędzie znajdują się ranni, krzyczący z bólu. Gdy wewnętrzne siły ostatecznie padają, stają twarzą w twarz z Zedronnem. Jest to chwila przypiecztowania zwycięstwa.

– No, Zedronnie, ty głupcze – gramię, drąc się wystarczająco głośno, aby być

słyszonym przez tysiące. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, jakie jest niebezpieczeństwo, przed którym wszyscy stoimy? Czy byłeś przy tym, gdy tworzono tę orbitę i czy wiesz, jakie czyha na nas tu niebezpieczeństwo?

Jestem cały rozpalony w wyniku ekscytacji walką i słowa wypływają ze mnie jak rzeka ognia:

– Oczywiście, że nic nie wiesz! Ale *ja* tu byłem. Opuściłem wir czasu przed tobą i widziałem stwarzanie. Znam każdą warstwę planu twórczego, jaki zastosowano dla tej orbity i wiem wszystko o ludziach, którzy ją zamieszkują. Jeśli doprowadzimy ich do buntu, mamy szansę na przetrwanie. Faktycznie, to miałem już plan usidlenia ich, gdy ty głupio zacząłeś wysyłać emisariuszy, by rozpocząć rewoltę. Jak bardzo teraz cofnąłeś nas w działaniu, trudno komukolwiek odgadnąć. Zedronnie, twoja tępa ambicja zraniła każdego, a teraz już czas na to, aby pokazać, co stanie się z tymi, którzy opóźniają mój plan zwycięstwa. Chciałeś walczyć? Bardzo dobrze, stanie się według twego życzenia. Będę walczył z tobą osobiście. Będziesz musiał stawić fizycznie czoła Lucyferowi, Oświeconemu.

Przez długą chwilę stoi sparaliżowany wściekłością i strachem. I tak być powinno! Nigdy przecież nie był nikim więcej, jak tylko dowódcą czwartego eche-lonu. Ja stałem przez 97 eonów czasu przed tronem i coś z jego energii nadal mi pozostało.

Na oczach armii mocuję się z nim w krótkim, okrutnym boju. Walczy z desperacją, nikt jednak w armii nie jest tak silny jak ja, wkrótce więc jest już po wszystkim. Gdy z nim kończę, Zedronn jest sparaliżowany od szyi w dół i trzeba będzie go nosić zawsze tam, gdzie będzie chciał się udać.

Dzień 30, pozostały czas

Cała armia milczy. Po cichu, niektórzy z oddziałów Zedronna, podnoszą go i niosą na tyły armii, gdzie jego siły przyłączają się do moich. Nikt nie stawia mi pytań; wydaję rozkazy, a wszyscy są mi w pełni posłuszni. Zauważam, że nawet Marcolith patrzy na mnie dziwnie, ale szybko wykonuje dokładnie to, co mówię. Czy to jest to, czego obawiał się Starodawny? Owa utrata wolności, jaką teraz zauważam w oczach moich żołnierzy – posłuszeństwo zakwaszone bojaźnią? Odczuwam, że ten lęk szybko może przemienić się w nienawiść. Czy tak się stanie?

No, to nie ma to znaczenia. Tak długo, jak będą się mnie bali – wykonywać będą moją wolę.

Dzień 34

Rozbiłem siły Zedronna i porzuciłem je po całej armii, a jednolite dowództwo znajduje się teraz pięć mil na południe od Edenu. Każdy wydaje się głęboko zdez-

orientowany. Jak sądzę, trzeba będzie długiego czasu, aż ponownie będzie można z nich korzystać. Teraz i tak nie są mi potrzebni, bowiem zamierzam usidlić tych dwoje ludzi osobiście. Z tego powodu postawiłem Marcolitha na stanowisku głównodowodzącego. Po głośnym i publicznym uhonorowaniu, postawiłem go na czele sił, pod moją nieobecność, sam zaś powróciłem do Edenu, gdzie mam zamiar zakończyć poszukiwanie jakiegoś sposobu, który zdoła przyciągnąć do mnie ludzi.

Oczywiście, nie ośmielę się przedstawić im siebie otwarcie, bowiem to wyczułoby ich na grożące im niebezpieczeństwo. Muszę raczej znaleźć jakieś medium, przez które będę mógł przemówić, jakiś kanał, który jest im nie tylko znany, ale któremu ufają. Może to być jedno z niższych stworzeń (jeśli znajdę takie, które będzie chętne do porozumienia). Poprzez eony czasu podróży w kosmosie, porozumiewałem się przecież z wieloma różnymi formami życia i byłbym zdumiony, gdybym nie mógł znaleźć tutaj choćby jednego, które byłoby otwarte na wymianę myśli. Faktycznie kilka dni temu, pewne intrygujące stworzenie przyciągnęło mój wzrok. Chociaż jest płazem, potrafi latać, a jego delikatne jak pajęczyna skrzydła połyskiwały barwnym światłem i to właśnie przyciągnęło moją uwagę. Bez wątpienia ludzie także to zauważą. Wyglądało ono na stworzenie inteligentne, – być może wystarczająco inteligentne, aby przyswoić sobie pewne informacje, – a jeśli tak, będę miał swój kanał, przez który postaram się dotrzeć do ludzi.

Dzień 42, środek popołudnia

Sukces! Latający płaz wylądował dzisiaj na pobliskim drzewie i zauważyłem, że to stworzenie rzeczywiście się porozumiewa przy pomocy drugiej retrosfery świadomości. Chociaż jest ono o stosunkowo niskim poziomie mentalnym, rozumiemy się. Najpierw musieliśmy się porozumiewać bardzo powoli, przy pomocy prostych znaczeniowo określeń, ale to zwierzę jest zdolne do uczenia się i przy końcu czasu, jaki spędziliśmy razem, mogliśmy się rozumieć i to całkiem dobrze. Powiedziałem mu, że jestem delegatem „Rady Kosmosu”, przysłanym tu dla dokonania wyboru kilku istot do wyższego poziomu w kosmicznym porządku i zasugerowałem, że rozważana jest też jego kandydatura. Jak chciwy głupiec, chętnie zgodził się zrobić wszystko o co poproszę. Powiedziałem mu, że powrócę za dwa dni w celu przekazania dalszych instrukcji. (Mała zwłoka pogłębi jego chęci całkowitego podporządkowania się mi.)

Gdyby rzeczy układały się w Mieście równie prosto! Jakie to łatwe, aby poradzić sobie z niższą formą życia!

Dzień 44, wczesny poranek

Z zacienionej kryjówki mogę patrzeć na to stworzenie oczekujące z niecierpliwością na moje przybycie. Przechodzę więc barierę, wchodzę w ziemski

widok i brzmienie, i odzywam się:

– Ci, którzy zostaną podniesieni w swoim statusie, muszą udowodnić poprzez osobiste zasługi, że są znacznie sprytniejsi, niż wyższa od nich forma życia. Czy zauważyłeś te dwie wyprostowane istoty, panujące nad tym światem, które troszczą się o ogród?

– Tak, panie – odpowiada.

– To bardzo wysoki rodzaj istot. Jeśli będziesz mógł udowodnić, że radzisz sobie z nimi, powodując, że spróbują czegoś, czego nie chcieli próbować dotąd – wtedy wykażesz, że jesteś godny. Okażesz się od nich lepszy i zostaniesz upoważniony do tego, by stać się ich panem.

Na krótko zaprzestaję mówić, pozwalając na to, by zasmakował tej pokusy, a potem zaczynam kontynuować:

– Obserwowałem cię z wielkim podziwem. Osobiście jestem przekonany, że jesteś godny wyższego statusu i jestem przygotowany, aby dopomóc ci w przejściu tej próby. Będę mówił poprzez ciebie. Będę rozmawiał z panami tej ziemi, wykorzystując ciebie jako narzędzie dla wypowiedzenia moich słów, ale to ty, tak naprawdę, z tego skorzystasz. Czy jesteś tym zainteresowany?

Zainteresowany? To niższe stworzenie teraz *należy* już do mnie! Wyjaśniam więc mój plan.

– Jest drzewo – mówię – w centrum ogrodu, mające piękne owoce, których jednak ludzie nigdy nie dotknęli. Czy to zauważyłeś?

– Oczywiście. Lądowałem tam kilkakrotnie. To drzewo wygląda na szlachetne.

– Jest takie rzeczywiście, ale ludzie się go boją. Jest to uprzedzenie, jakie muszą przezwyciężyć, w przeciwnym bowiem wypadku ich przyszły rozwój stanie się bardzo ograniczony. Każda istota, która chce się rozwijać, musi stać się taką jak ja, nie może się bać odkrywania czegokolwiek, kwestionowania czegokolwiek, próbowania czegokolwiek. Czy to rozumiesz?

– O, tak. Twoje słowa już rozbudziły we mnie nowe poczucie wolności.

– Tak więc powinni zrobić to samo i oni. Jestem przecież z Gwiezdnego Królestwa, zdolny do zaferowania ukrytej prawdy każdemu, kto będzie wystarczająco mądry, aby słuchać. Ty słuchałeś i sam widzisz, jak poszerzyły się twoje horyzonty. Musimy się tym podzielić z ludźmi. A jeśli uda ci się dokonać tego i odniesiesz sukces, pozostawię cię panem tej rzeczywistości.

Słowa wychodzą z moich ust bez wysiłku, tworząc całkiem piękną fikcję, którą wymyślam na miejscu, a którą chętnie przyjmuje znajdujący się przede mną tępak. W istocie tylko raz miałem poczucie winy: gdy, będąc jeszcze w Mieście, zacząłem być nieposłuszny prawu prawdy. Ale teraz plany i pomysły wypływają ze mnie bez ograniczeń.

Miejsce naszego spotkania jest całkiem bezpieczne, z dala od ogrodu. Uzgadniamy więc, że każdego dnia spotkamy się na tym miejscu, aby przećwiczyć nasz

plan.

Dzień 268

Codziennie mój sprzymierzeniec (którego imię, jak twierdzi, brzmi *wąż*) przybywa na nasze miejsce spotkań. Na początku obawiałem się, że będzie zbyt tępy do pojęcia czegokolwiek i że szkolenie zajmie – być może – dwa lub trzy lata ziemskie, ale okazał się całkiem znośny i skorzystał z moich rad z niesłychaną zręcznością. Tępak? Wcale nie! Jak na zwierzę – jest całkiem mądry i sądzę, że jeszcze jeden lub dwa miesiące ćwiczenia, a będziemy mogli udać się z obławą na człowieka.

Rok 1, dzień 338

Z uwagą przyglądałem się pozycjom ciał niebieskich przyległych do ziemi i skalkulowałem, że czas orbitalny dla tego świata wynosi nieco ponad 365 dni. Gdy mija ten czas, wtedy kończy się rok. Oczywiście, że pierwsza rocznica stworzenia wyzwoli u ludzi cały potok wspomnień, co spowoduje, że moje zadanie stanie się znacznie trudniejsze. Z tego więc powodu jestem zdecydowany, aby ruszyć do działania zanim upłynie rok. Jak sądzę, zarówno wąż jak i ja, jesteśmy gotowi. Przećwiczyliśmy argumenty, cała mowa jest przygotowana. Teraz potrafimy już działać sprawnie, jak jeden zespół. Czas na to, by usidlić moich ludzkich przeciwników.

Rozdział 5

Zwycięstwo nad wrogiem brzegiem

Dzień 342, poranek

Jest szósty dzień tygodnia, nastał więc czas na atak. Nie mogę czekać do jutra, bo ludzie będą święcić Szabat i będą tym zbyt zajęci, aby mnie wysłuchać. Nie nadaje się też do tego początkowa część tygodnia, ponieważ wydaje mi się, że Szabat ma na nich tak silny wpływ, że przenosi się jego atmosfera na następujące po nim dni. Nie, dzisiaj jest najlepszy czas. Muszę działać i to teraz.

Zauważyłem, że szóstego dnia chodzą po ogrodzie, zbierając żywność na dzień odpoczynienia. Czasami droga, którą idą, prowadzi ich w okolice Drzewa Tajemnicy i widziałem też, jak patrzyli na nie z mieszanym uczuciem lęku i ciekawości. Ale jak dotąd jeszcze nigdy nie zapuścili się w jego sąsiedztwo i tu, właśnie dlatego, pojawia się mój przyjaciel – wąż. Lśniący jasnymi kolorami, jest jednym z najpiękniejszych zwierząt z całego stworzenia. Dzisiaj ułożył się ponętnie na gałęziach tego drzewa, gdzie z łatwością może przyciągać oczy. Być może ludzie będą na tyle zaciekawieni, aby się przybliżyć. Jeśli tak się stanie, oznacza to że mój plan zacznie działać!

Dzień 342, popołudnie

Zbyt dobrze się układa, aby mogło to być prawdą! Kobieta (której na imię jest – jak się dowiedziałem – Ewa) jest sama! Po raz pierwszy tych dwoje nie widzę razem i ledwie potrafię temu uwierzyć, że idzie mi tak świetnie. Jeśli uda mi się ją zwabić na to miejsce samą, wtedy będę miał tylko jeden umysł do pokonania, a nie dwa!

A ona wędrując tu i tam znanymi już sobie ścieżkami ogrodu, zbiera całe naręcze owoców i już śpiewa w oczekiwaniu nastania dnia odpoczynienia. Jest to jedna z piosenek, jaką skomponowali, pieśń o Narodzonym. Taka, że (muszę to przyznać) czuję się cały chory, gdy jej słucham. Ale, być może, słyszałem ją już po raz ostatni. *Być może, Ewo, jutro o tej porze – ty i twój mąż – nie będziecie mieli już o czym śpiewać!*

– Wężu! – zawołałem.

– Tak, mistrzu.

– Czy ją widzisz? Tę, która zbiera owoce o dwie ścieżki stąd?

– Tak, mistrzu, widzę ją.

– W takim razie masz przed sobą pierwszy test: Czy potrafisz zwabić ją aż tutaj?

Od razu rusza do działania. Z trzepotem lśniących tęczowych skrzydeł unosi się w powietrze łagodnym łukiem, przelatując nad nią. Ona zaś wpatruje się w niego osłupiała z podziwu, patrząc jak zawraca i ląduje. Pełne zachwyty i zaciekawienia spojrzenie maluje się na jej pięknej twarzy i teraz przybliżyła się doń coraz bardziej, aby lepiej mu się przyjrzeć.

Tuż poza barierą czasoprzestrzeni, zupełnie niewidzialny dla ciekawej młodej kobiety, stoję obok mojego przyjaciela, węża. Teraz jest ta chwila! Nasze umysły łączą się i mówię, wykorzystując to stworzenie jako mechanizm do wydawania dźwięków. Dla niej jednak, to wąż przemawia.

– Ewo.

– Co? Ty mówisz?

– Oczywiście. Nie zawsze tak było. Był czas, kiedy potrafiłem tylko latać ponad twoją głową, aby obserwować twoje piękno, ale nie umiałem nic mówić.

– Ale teraz mówisz doskonale! Jak to zrobiłeś...?

Za moją namową wąż przybiera dumną postawę, unosi wysoko swoją głowę, a jego oczy połyskują mądrością.

– Osiągnąłem te rzeczy, ponieważ odważyłem się pytać „dlaczego”.

– Dlaczego?

– Tak, *dlaczego*. Na przykład pytałem o to, dlaczego nie mogę rozmawiać z moją ludzką panią, aby jej powiedzieć o jej pięknie i o tajemnicy mojego własnego istnienia. Odważyłem się postawić pytanie dlaczego rzeczy są takie, jakie są.

– Wiemy dlaczego wszystko jest takie – Bóg nam powiedział.

– To prawda, ale czy powiedział wam *wszystko*?

– Wszystko?

– Tak, wszystko. Na przykład o tym drzewie. Nigdy nie próbowałaś tego owocu, a ja przekonałem się, że jest pyszny. Co ważniejsze, to właśnie owoc z tego drzewa otworzył mój głos, że mogę do ciebie mówić, a także mój umysł, abym mógł z tobą rozmawiać.

– Ale ja tego nie rozumiem. Bóg powiedział nam, że w tym drzewie jest śmierć.

– Naprawdę tak powiedział? A może Go nie zrozumiałaś i sama doszłaś do takiego wniosku? Pomyśl tylko: jeśli to drzewo wiązałoby się z śmiercią, to ja byłbym już martwy, czy nie sądzisz? A przecież żyję – i co więcej, sam uniosłem się na wyższy poziom istnienia. Piękna Ewo, jesteś ofiarą niezrozumienia. Słyszałaś coś, ale nie zinterpretowałaś tego właściwie. Musisz się odważyć wzrastać, na nowo zinterpretować Boże słowa, opierając je na twoich odkryciach nowych faktów. Odważ się pytać nawet o sprawy, o których myślałaś, że są prawdą. Odważ się pytać *dlaczego*. A kiedy tak uczynisz, przed tobą otworzy się pano-

rama, jaką oglądają tylko bogowie. Twój umysł zrówna się wtedy z ich umysłem, ujrzysz wówczas całą tajemnicę kosmosu.

Jej myśli znajdują się w swoistym zamęcie. Albo nie, lepszym określeniem będzie – w agonii. Po raz pierwszy w swoim życiu zmuszona jest dokonać wyboru pomiędzy własnym przekonaniem, a zmysłami wzroku i dźwięku. Jej przekonanie mówi jej o tym, że dotykanie owoców tego drzewa jest zakazane przez samego Boga, ale jej zmysły mówią, że to, co On jej powiedział, może nie być prawdą – bowiem wąż najwidoczniej żyje i to po przekroczeniu prawa! W jej myślach szaleje teraz wojna pomiędzy tym, czemu wierzy, a tym, co widzi. Nie, wężu, teraz przez chwilę niczego nie mów. Niech pozмага się z tym enigmatem zanim przemówisz ponownie.

Niemal potrafię wyczuwać, jakie są jej myśli: *Czy mam wierzyć temu, co sły-
szałam, jak mówił Narodzony? A może mam wierzyć własnym oczom i uszom,
które podają mi jasne, sprawdzalne dane o świecie w jakim żyję?* Nigdy jeszcze
dotąd jej zmysły nie stały w sprzeczności z tym, co powiedział Narodzony, a te-
raz musi stać przed najwyraźniej fizycznym dowodem, jaki sugeruje, że nie miał
racji. Jej ból jest tak intensywny, że niemal sam go odczuwam.

W porządku, czas znowu się odezwać.

– Ewo, jesteś zmieszana. Ale jest bardzo prosty sposób na rozwiązanie two-
jego zakłopotania: eksperyment naukowy. Wszyscy wiemy, że fizyczne prawa
nauki są absolutem. One nie kłamią. Możesz się przekonać, co jest prawdą po-
przez zwykłe doświadczenie: *po prostu spróbuj owocu!* Gdy to zrobisz, obiecuj-
ję, że całe twoje zagubienie zniknie. Horyzont twego umysłu będzie nieogranic-
zony. Będziesz mogła patrzeć w nieskończoność.

Widzę jej spojrzenie, zastanowienie i ruch ręki. *O, jak wspaniale, dotyka
owocu!* Teraz będzie mogła pojmować nie tylko poprzez swoje zmysły wzroku
i słuchu, ale także poprzez dotyk. Wyzwanie pochłonęło jej całą istotę, angażując
w pełni jej zmysły. *Teraz raczej słuchać będzie swoich uczuć, a nie prawa!* Te-
raz jest chwila, aby wyrzucić nacisk tak, by podjęła decyzję.

– Samo dotknięcie nic nie da, Ewo – chociaż posunęłaś się już daleko. Musisz
uczynić go częścią samej siebie. Jeśli chcesz wiedzy, owoc musi dostać się do
twojego wnętrza.

I staje się to niemal zanim jeszcze skończyłem mówić. Posuwa się szybko,
z zamkniętymi oczami, jakby z obawy, że moment wahania może spowodować,
iż zmieni swoją decyzję; a w chwili, kiedy gryzie owoc, staje się jakby jedną z nas
– jedną z niewidocznej armii, czekającej w czasoprzestrzeni zaledwie pięć mil
na południe od Edenu.

– Tak – wyjaśnia – teraz, jak sądzę, rozumiem. Daj mi jeszcze szybko więcej
owoców – muszę odnaleźć Adama!

I w taki sposób ludzie stają się naszymi sługami. Mieliby zająć nasze miejsce?
Mowy nie ma! Teraz także przyłączyli się do buntu! A ja teraz mam już ten
świat! *To jest moje terytorium.* Mam za sobą początek walki o zwycięstwo!

Dzień 342, wieczór

Jest zachód słońca szóstego dnia i z samej ciekawości udaję się, aby popatrzeć na moje dwa ludzkie przedmioty. Nigdzie jednak nie mogę ich znaleźć. W drodze do Edenu zauważyłem coś, czego jeszcze nigdy dotąd nie widziałem: tu i tam liście opadają z gałęzi i trzepocząc spadają na ziemię, a ich ciemnozielony kolor zamienia się w jasnożółty.

A więc zaczęło się! To jest już śmierć, czająca się w cieniach tego ogrodu. Rośliny już poczuły jej chłodną obecność. Czy dotknie ona następnie samych ludzi? A jeśli tak, to kiedy?

Przeszukuję ogród, ale nie mogę nikogo znaleźć, żadnego znaku życia ludzkiego. Czy śmierć i ich już dotknęła? Jeśli tak, to znaczy, że posuwa się szybko. A co z moimi siłami znajdującymi się na południe od ogrodu? Ciekawi mnie, czy oni widzieli cokolwiek z tego, co tu się stało?

Niedaleko stąd, zaraz za zakrętem, dzieje się coś dziwnego: wąż, który latał ponad moją głową, wędrując za mną, pełza obecnie po ziemi, a jego mieniące się skrzydła stały się bezużyteczne. Nagle słyszę głos. To Narodzony woła ze smutkiem Adama!

– *Adamie, gdzie jesteś?*

Teraz odzywa się pełen zakłopotania głos Adama i w tym momencie pojawiają się dwie istoty ludzkie, brudne i odziane – jeśli ktoś da temu wiarę – w liście! Niewiele się różnią od zwierząt, nad którymi mieli panować.

– Wstydzilem się... bo jestem nagi i nie chciałem, abyś mnie takim oglądał.

– Nagi? Przecież dałem ci odzienie ze światłości. Jak stałeś się nagi? Czy uczyniłeś to, o czym mówiłem, abyś nigdy nie czynił i czy jadłeś owoc z Drzewa Tajemnicy?

– No... – Następuje teraz straszliwa cisza, a potem słowa po prostu lecą same.

– Musisz zrozumieć, że to nie był mój pomysł. Dałem mi tę kobietę, aby żyła tu ze mną i wszystko się zaczęło, kiedy przyszła z całym naręczem...

Patrzę z niemalą fascynacją, rozpalony triumfem nad tymi tępymi stworzeniami. Już zaczęli oskarżać się wzajemnie, podobnie jak zrobili to moi wojownicy, gdy tylko się zbuntowali! Narodzony zwraca się więc teraz do kobiety.

– Ewo, co ty zrobiłaś?

– Ja? To był pomysł węża. Gdyby nie on, nawet nie przyszłoby mi to do głowy.

Czekam, spodziewając się grzmiącego ogłoszenia wyroku nad losem tej nieszczęsnej pary, lecz jestem zdumiony widząc, jak zamiast tego, Narodzony kieruje swoją uwagę na mojego sprzymierzeńca – węża – który wydaje się jakby był całkiem przygwożdżony do ziemi.

– Ponieważ pozwoliłeś się użyć w taki sposób, muszę skazać cię na życie zawsze i wszędzie znieawidzone. Nigdy już nie będziesz latał po otwartym niebie. Będziesz czołgał się po ziemi, gdyż utracisz swoje skrzydła i tak spędzisz pozostałą część swego życia, zohydzony dla wszystkich.

I na tym kończy się marzenie węża o panowaniu. Przez moment z pogardą traktuję jego głupotę, ale moja rozkosz mija szybko, bowiem, gdy Narodzony mówi dalej, zdaje sobie sprawę, że nie mówi już więcej do węża. *On mówi do mnie!*

– Nieprzyjaźń położę pomiędzy tobą, a ludzkością. Uda ci się ich zranić, ale będzie to tylko na jakiś czas. Pewnego dnia zostaniesz pokonany. Zostaniesz zmiądzony przez człowieka.

Natychmiast uciekam z Edenu, a mój umysł, aż kipi z wściekłości. To dziwne zdanie, które najwidoczniej skierowane zostało do mnie, nie stanowiło przyznania się do przegranej; *to było ogłoszenie ich zwycięstwa!*

Starty przez człowieka. Jak to możliwe? Przecież wygrałem teraz panowanie nad ludźmi. Spowodowałem, że zignorowali Zasadę Powrotu, że zaczęli szukać możliwości zdobycia więcej niż potrafią dać, a zmieniając u nich to zrozumienie, doprowadziłem ich pod swoją kontrolę. W jaki więc sposób którykolwiek człowiek może mnie zmiądzyc?

Nie ma takiej możliwości – *chyba, że...*

...chyba, że to On sam przyjdzie na świat, jako jeden z nich! Czy to miał na myśli, gdy powiedział, że przyjdzie, aby ich uratować? Czy Narodzony wejdzie w jakiś sposób w życie ludzkie, stanie się częścią rodzaju ludzkiego i stoczy bój ze mną?...Nagle dostrzegam pojawiające się niebezpieczeństwo, o jakim nigdy wcześniej jeszcze nie myślałem. Jeśli On przyłączyłby się do człowieka, a potem stał się zwycięzcą w walce ze mną, to cała ludzkość mogłaby wymknąć się spod mojej kontroli. Moje rządy na ziemi zakończyłyby się katastrofą!

Planowałem spędzić tę noc na radosnej celebracji, ale nie potrafię. „*Pewnego dnia zostaniesz zmiądzony przez człowieka*” – te słowa odbijają się echem w moich myślach, zabierając mi całą radość zwycięstwa. Jeśli to, co mówi jest prawdą, w takim razie wojna dopiero się rozpoczęła. Teraz tylko muszę zacząć wypatrywać przybycia Narodzonego w ludzkiej formie. Przeraża mnie to znacznie bardziej, niż cokolwiek innego i z czym się kiedykolwiek spotkałem.

Udaję się na wschód, z dala od Ogrodu i siadam w osamotnieniu. Nastął Szabat, dzień, w którym zawsze zaprzestawali wszystkiego, aby oddawać Mu cześć. No, przynajmniej mam jedno pocieszenie: tym razem nie będzie żadnego śpiewu!

Ale chwileczkę! Gdzieś tam z oddali słyszę go właśnie: *oni nadal próbują jeszcze śpiewać!* Ma on smutne brzmienie, jak muzyka wydobywana poprzez łyż i wiele czasu upływa, zanim przestają nucić, jakby nie potrafili czynić tego dalej. Zbliżam się nieco, aby zobaczyć, co faktycznie się dzieje i znajduję ich w pobliżu bramy Edenu. Zostali usunięci z ogrodu i odziani w skóry, jakie zdjęto ze zwierząt; teraz trzymają się w objęciach, przejęci straszliwym smutkiem, ale nadal próbują śpiewać, zachowując dzień odpoczynku, który im dał. A w oddali, przy wejściu do ogrodu, widzę dwóch potężnych gości (Gabriela i jego głównego współpracownika) strzegących wejścia do rajy przy pomocy tych samych ogni-

stych mieczy, jakimi usunięto nas z nieba. Raz, gdy tych dwoje śpiewało, Gabriel próbował przyłączyć się do nich, ale i on zaczął płakać.

Tak więc nawet najpotężniejsi z aniołów zostali zaangażowani na tym jednym, małym świecie. Wszechmogący naprawdę ma zamiar o niego walczyć! Od teraz będę musiał poświęcić każdą chwilę, patrząc na nadejście Narodzonego.

Nachodzi mnie straszliwa depresja, bowiem jeśli odniesie sukces w tym ratunku człowieka, wtedy my wszyscy zostaniemy skazani...

Rozdział 6

Wojna rozszerza się

Rok 2, dzień 21

Ludzie często angażują się w rytuał, który mnie zadziwia i niepokoi, bowiem wydaje mi się, że objawia on sposób w jaki Narodzony może zamierzać zakończyć moje rządy. Gdy łamią Jego prawo – co zdarza im się często dzięki mojemu działaniu na ich podświadomość – sięgają po ceremonię pojednania. Tak jak ich poinstruował, łapią małe zwierzę (najczęściej baranka), wyznają swoje popełnione błędy, a następnie zabijają go. To szalone i brutalne, ale jest to lekcja, którą od razu rozpoznałem: wydaje mi się, jakby przekładali swoją winę na kogoś innego! Bunt prowadzi do śmierci, ale oni nie umierają – przynajmniej jeszcze nie. Zamiast nich, umiera inna istota!

Czy więc ktoś umrze na ich miejscu? Najwidoczniej tak, bowiem symbolika jest tu całkiem jasna. Być może to jest powodem, dla którego teraz jeszcze żyją, mimo że łamią prawo kosmosu.

Z ceremonią jednak łączy się jeszcze coś, co najbardziej mnie martwi. Martwe stworzenie układane jest na stosie kamieni, a potem ogień, który nagle pojawia się z nieba, pochłania i pali je całkowicie. Nigdy sami nie zapalają ognia; nie muszą, bowiem zawsze pojawia się w nadnaturalny sposób. Nie sądzę, aby – jak dotąd – sami pojęli głębokie znaczenie tego symbolu, ale ja to zrozumiałem. Gdy coś zostaje zniszczone ogniem, nic po tym nie pozostaje – nic oprócz popiołów, które szybko zostaną zmiecione przez wiatr. Dobrze odczuwam, co to oznacza: pewnego dnia Narodzony zamierza skończyć z rebelią, niszcząc ją ogniem. I zniknie ona, podobnie jak popioły. A potem Wszechmogący ponownie planuje rozpoczęcie wszystkiego, zaludniając całą Rzeczywistość ludźmi, którzy przyjęli ratunek.

I to jest to, co utrzymuje przy życiu Adama i jego niepokieszoną żonę. *Spo dziewają się, że zostaną uratowani.*

Ale chwileczkę! Ten ratunek, o jakim marzą, leży gdzieś tam, w odległej przyszłości, a ludzie nie potrafią jej dojrzeć – co oznacza, że ich nadzieja opiera się na niczym więcej, jak tylko na zwyczajnej, nagiej wierze. Muszą *wierzyć*, że to się stanie. A co będzie, jeśli uda mi się doprowadzić do tego, że ich wiara zostanie zachwiana? Czy wtedy do ratunku *nie* dojdzie? Jeśli tak, to udało mi się właśnie odkryć sposób, na zrujnowanie całego planu, jaki ma Narodzony: *wszystko, co muszą uczynić, to zniszczyć ich wiarę w to, że On może im pomóc!*

Narodzony, Ty mój prześwietny adwersarzu, wydaje mi się, że właśnie nakłamałem się na tajemnicę twojej przegranej!

Rok 2, dzień 289

Przez wiele miesięcy próbowałem doprowadzić ich do zwątpienia, ale jak dotąd, nic nie działa. W Edenie z powodzeniem udało mi się podważyć system wiary Ewy, ale ta sama metoda po raz drugi nie przynosi pożądanego skutku. W każdą wigilię Szabatu powracają do bram Edenu, gdzie z bojaźnią wyznają swoje błędy. Czasami przez całe godziny mówią o tym, jak chcą wyjść spod mego panowania, a potem śpiewają. Ich pieśni zmieniły się: w Edenie śpiewali o życiu i radości, a teraz śpiewają o ratunku i szczęściu, jakie znajdą w przyszłości.

Nadal wierzą! Jak mi się uda przełamać tę ich barierę wiary?

Rok 3, dzień 201

Coś dzieje się z Ewą. Przybywa jej – tak jest faktycznie od szeregu miesięcy – a ona i Adam wydają się znowu szczęśliwi. Po raz pierwszy od czasu pobytu w Edenie – często się śmieją, a swój wolny czas poświęcają na układanie planów na przyszłość.

Tak naprawdę, to niewiele mają wolnego czasu. Od chwili wyjścia z Edenu muszą pracować bardzo ciężko, aby zdobyć potrzebny im pokarm, a moi wojownicy byli bardzo zajęci wymyślaniem dla nich różnych przykrych niespodzianek. Przeprowadziliśmy eksperymenty na genetyce roślin i odkryliśmy, że można doprowadzić do znacznych ich zniekształceń. Stworzyliśmy więc całą gamę roślin, które nie wydają żadnego owocu, a jednak dziko rozrastają się w ich ogrodzie. Zedronn przyszedł z odmianą swoich własnych roślin, pokrytych paskudnymi kolcami, co powoduje, że ogrodnictwo staje się pracą bolesną – a w wyniku tego, ludzie muszą zwykle pracować od samego świtu, aż do zmierzchu, tylko po to, aby zaspokoić swoją potrzebę jedzenia. Marne to życie, ale zauważam, że jego wyczerpujący program stanowi także i dla mnie pewien nieoczekiwany problem, bowiem, gdy są zajęci, niewiele przywiązują uwagi do moich sugestii.

Uwaga dla mnie samego: jutro wyznaczyć Marconidesowi i szwadronowi wojowników zadanie stworzenia dla ludzi większej ilości wolnego czasu. Póki tego nie uczynimy, trudno będzie znaleźć dostęp do ich umysłów.

Rok 3, dzień 225

Dzisiaj stało się! Pojawiła się pierwsza reprodukcja człowieka – maleńkie stworzenie, tak małe, że można się zastanawiać, jak coś takiego może przetrwać. Dla Ewy było to ciężkie doświadczenie, bowiem przez wiele godzin bardzo cierpiała, ale to nowe stworzenie jest już tutaj i bardzo płacze. Nazwali go Kain, co oczywiście oznacza „Dobytek”. Przypuszczam, że teraz odczuwają, że coś zaczęli posiadać, ale tak naprawdę, to ja przyznaję się do własności tego dziecka. Ono

urodziło się na *moim* świecie z rodziców, którzy mnie się zapredali i dlatego może się stać moim, potrzebnym mi sprzymierzeńcem. Jak dotąd, nie udało mi się skłonić jego rodziców do poddania się ze swoją wiarą w Narodzonego, ale ten chłopiec może okazać się inny. On nie ma żadnych wspomnień z Edenu ani tego, jak wygląda życie bez jakichkolwiek pokus i – być może – stanie się łatwiejszym dla mnie łupem! To dziecko będzie obiektem mojej szczególnej uwagi.

Jego jednak narodziny oznaczają zarazem, że rozmnażanie się ludzi znalazło swój początek. Czas teraz na to, aby zorganizować moją armię, która weźmie na muszkę specyficzny cel – człowieka. Przynajmniej jeden oddział musi śledzić każdą osobę, która pojawi się na tym świecie, a ci, którzy okażą się bardzo wpływowi, będą mieli jeszcze więcej kontrolujących ich wojowników. Teraz zobaczymy: czy to Narodzony, czy Lucyfer odniesie większy sukces w zdobywaniu sobie sprzymierzeńców wśród ludzi!

Rok 7, dzień 44

Chłopiec jest bardzo bystry, rozwija się szybko i jest niesamowicie ciekawy wszystkiego. Jest tak dociekliwy, jak byli jego rodzice w pierwszym tygodniu w Edenie. Poznaje wszystko, stawia niekończący się potok pytań i niczego nie zapomina. Przyglądałem mu się z pewnej odległości. Nie próbuję jednak niczego robić tak długo, póki sam nie upewnię się, że go rozumiem. W tym samym czasie staram się podokuczać tym starszym całym atakiem ogniowym codziennych irytacji. Niekiedy tych dwoje jest tak rozdrażnionych sobą, że kłócą się w obecności chłopca. Wyśmienicie! Dokładnie zależy mi na takim wychowaniu go!

Nadal poznaję i badam Kaina, chociaż oburza mnie fakt, że sam się tym zajmuję. Lucyferze, jakże bardzo upadłeś! Kiedyś dowodziłeś siłami kosmosu, a teraz dostałeś bzika na punkcie jednego małego człowieka, który jest jedynie ułamkiem twojej wielkości i inteligencji!

Rok 7, dzień 282

Do Kaina przyłącza się kolejny przybysz – jeszcze jeden chłopak, którego rodzice nazwali Abel. Jego imię oznacza *tchnienie*.

Rzeczywiście tchnienie! Czy zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo delikatne jest życie i jak szybko potrafi ustać? Swoje nadzieje wiążą z pojawiającymi się dziećmi, myśląc o tym, że są bezpieczne! Tak, słowo Abel może oznaczać tchnienie, ale ma też inne znaczenie, z którego być może jego rodzice jeszcze nie zdają sobie sprawy. Może także oznaczać *parę wodną*.

Para wodna: teraz tu jest, za chwilę już jej nie ma. Jakże to odpowiednie! Adam i Ewa często widzieli już śmierć w królestwie zwierząt. Pewnego dnia ujrzą ją także we własnym gatunku. Tchnienie? To raczej coś takiego jak para!

Rok 11, dzień 54

Jak dotąd, mogę się cieszyć kilkoma ludźmi, ale jako matematyk jestem w pełni świadomy mocy, która kryje się w tym wykładniku. Gdy liczby zaczynają się mnożyć geometrycznie, istnieje pewne przyśpieszenie. Dwa razy dwa – może stanowić tylko cztery, jednak cztery razy cztery daje szesnaście, zaś szesnaście razy szesnaście – aż dwieście pięćdziesiąt sześć. Kolejny krok – dwieście pięćdziesiąt sześć do kwadratu – prowadzi mnie już do liczby pięciocyfrowej, zaś jej zwielokrotnienie daje mi liczbę przekraczającą 39 miliardów! A to wszystko jedynie w pięciu krokach!

Już teraz potrafię dostrzec, co stanie się z ludzkością. Wcześniej, niż możemy to sobie wyobrazić, ta orbita będzie przepelniona ludźmi. Muszę powołać szwadron do prowadzenia katalogu nowych przybyszów. Jak tylko uda się zauważyć ciążę, zostanie to odnotowane i natychmiast zostanie jakiś wojownik przydzielony do towarzyszenia takiej oczekującej na dziecko matce. Zadecydowałem, że żaden człowiek nie może zaistnieć, będąc niezauważonym.

Rok 16, dzień 361

Kain nie interesuje się w ogóle zwierzętami. Wydaje się, że nimi pogardza, a kiedy Adam nie patrzy, często traktuje je w brutalny sposób. Przypomina mi trochę Zedronna.

A gdy już piszę o Zedronnie, to dosyć dziwnie zmienił się, co faktycznie teraz może się stać użyteczne. Niemożność poruszania się spowodowała, że zasklepił się w sobie i prowadzi życie całkowicie zamknięte we własnym świecie myśli, w którym pociesza się, marząc o wymyślonym dziele rewanzu i krańcowego okrucieństwa. Nigdy nie odzywa się do mnie, ale słowo o jego działaniu przecieka i jest mi znane poprzez przyjaciół, z którymi rozmawia, zaś niektóre z jego pomysłów są naprawdę intrygujące. Na przykład obecnie poznaje wiedzę o pogodzie i rozważa, jak można by wymyślić sposób na wytworzenie niebezpiecznych wiatrów.

Zedronnie, ty diaboliczny marzycielu, możesz mi się jeszcze okazać bardzo pomocny!

Rok 45, dzień 133

Gdzie się podział czas? Jest już 45 rok licząc od stworzenia, a ja nadal wędruję po tej orbicie. Oprócz tych dwóch synów, Adam i jego żona mają także córki i z nich Kain wybrał sobie młodą żonę. Tak, Kain stał się mężczyzną i prawdę mówiąc, intryguje mnie. Jest całkiem religijny, ale w takim powierzchownym sensie. Często angażuje się w ceremonię pojednania, gdzie ze skruczą wyznaje swoje błędy (złe

traktowanie zwierząt i swojego brata – to jego najczęstsze uchybienia). Ma jednak pełen dumy sposób bycia, który potrafi pojawić się w jednej chwili, a jego życie jest nieustanną walką pomiędzy dobrymi intencjami, a złym zachowaniem. Wcześniej czy później jedno z tych zachowań doprowadzi go do ruiny.

A teraz niemal cały swój czas spędza w ogrodach, które rozpościerają się na zachód od namiotu Adama, w kierunku jeziora. Pracuje bardzo ciężko, a jego produkty są piękne – znacznie lepsze od tych, które hoduje jego ojciec i z tego faktu jest on bardzo dumny...

Duma. To jest jego słaba strona. Przyglądam się Kainowi. To tylko sprawa czasu.

Rok 125, dzień 355

Dzisiaj po raz pierwszy od czasów Edenu zwołałem na ogólne spotkanie moich wojowników, którzy zgromadzili się na szerokiej równinie, rozpościerającej się na wiele mil we wszystkich kierunkach. Jest to niesamowity widok – echelon za echelonem potężnych, świetlnych istot, zgromadzonych tutaj według obowiązującego porządku. Przez chwilę poczułem pełnię zadowolenia i chwały. Wszystkie oczy skierowane są na mnie, a armia trwa w oczekiwaniu pełnym podniecenia, bowiem już rozeszły się wśród nich wieści, że mam zamiar przekazać pewne istotne wiadomości. I rzeczywiście tak jest! Zamierzam ogłosić nasze największe osiągnięcie od czasu pokonania człowieka.

– Wojownicy – rozpoczynam – to nie z byle powodu wezwałem was tutaj. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo: *niemal doprowadziliśmy do pierwszej śmierci człowieka!*

Da się słyszeć odgłos zdumienia. Już od samego Edenu zastanawiali się, jak będzie wyglądała śmierć, gdy dotknie ludzi i teraz mają się o tym przekonać. Pochłonięci fascynacją słuchają jednej z najbardziej pamiętnych historii, jaką kiedykolwiek opowiedziałem.

Dwa dni temu Kain był wściekły na Adama z powodu pewnych drobnych rzeczy z którymi się nie zgadzał. Wpadł w wielką złość i przeklinał go. Po jakiejś godzinie opanował go smutek i zdecydował, że musi szukać pojednania, a ja w tej właśnie chwili poczułem, że wybiła moja godzina.

– Kainie – powiedziałem wchodząc w jego myśli poprzez kanał dumy, który mimo jego smutku nadal był otwarty – tym razem to naprawdę narozrabiałeś. Przekląłeś swojego ojca. Co masz zamiar ofiarować, aby okazać z tego powodu należny mu szacunek? Baranek nie wystarczy; jak dotąd ofiarowałeś więcej baranków niż twoi rodzice razem i nadal grzeszysz! Nie, będziesz musiał ofiarować coś lepszego. Idź do ogrodu i znajdź jakieś najlepsze ze swoich produktów. Przyńieś je na ołtarz ofiarniczy. Okaż swoją pokutę poprzez ofiarowanie czegoś, co sam uczyniłeś!

Moim zamiarem było doprowadzenie go do przekonania, że może odnaleźć przebaczenie poprzez jakieś własne czyny i mój argument okazał się skuteczny. Pospieszył do ogrodu, gdzie zerwał najlepsze ze swoich produktów, jakie tylko potrafił znaleźć i, muszę przyznać, że jego ofiara była piękna. Kain ma faktycznie bardzo artystyczną duszę, toteż na kamieniach ołtarza poukładał wszystko z prawdziwym smakiem. Potem prosił o przebaczenie.

Tyle eonów, ile żyć będę jeszcze, to nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy ogień nie zstąpił z nieba! Przez moment zdawał się być znowu dzieckiem, zszokowanym, ponieważ czegoś mu odmówiono, ale potem stał się niepohamowanie wściekły, a wydarzenia przybrały obrót, jakiego nie przewidziałem. Właśnie w tej chwili opodał przechodził Abel, przepelniony pobożnymi radami, danymi przez Narodzonego i myślał, jak należy przestrzegać Jego instrukcji. Nastroj zaś Kaina upodobnił się do burzy na słońcu. Nigdy nie widziałem go tak złego. Wziął jeden z zimnych kamieni, z jakich zbudowany był ołtarz pojednania i uderzył nim Abła prosto w czaszkę i wtedy młodszy brat padł martwy.

Martwy! Nigdy wcześniej nie widziałem śmierci, oprócz tej w świecie zwierząt. Krew wsiąkała w mokrą ziemię, a młody człowiek leżał bez ruchu. Kain zaś wyglądał na krańcowo przerażonego. Popędził prosto do swego namiotu, zebrał kilka posiadanych rzeczy, rozkazał swojej oszołomionej żonie, aby poszła za nim i zniknęła w pustkowiu na wschód od Edenu.

Adam z żoną znaleźli ciało, a ich rozpacz była nie do opisania. Płakali jak jeszcze nigdy dotąd, a potem pochowali je w ziemi, wykorzystując kamień z ołtarza Kaina, jako pomnik oznaczający to miejsce. Powiedzieli też sobie, że stracili nie tylko jednego syna, ale dwóch.

Tak, moi ludzie, moi poddani, zobaczyliście wielkiego wroga, zwanego śmiercią. Zaczęło się i będzie tego więcej – *znacznie* więcej. Zanim zakończy się ta wojna, świat będzie mokry od krwi. A jeśli o mnie chodzi, to ma on o dwie osoby mniej, o które nie muszę się już martwić. Oczywiście jest, że Narodzony nie pojawi się tutaj jako Kain, a Abła już nie ma. Lucyferze, dobrze ci idzie!

To właśnie przekazałem moim zdumionym i zaskoczonym legionom. Odczuwam, gdy kończę moje wystąpienie, że mój prestiż jeszcze bardziej się podniósł. Jednym z pierwszych znaków tej zmiany jest sposób, w jaki odnoszą się teraz do mnie. Nie jestem już więcej dla nich Lucyferem. Teraz zaczęli nazywać mnie Mistrzem.

Rok 149

Zedronn znowu to uczynił! Jednym z moich największych problemów stał się fakt, że ludzie nie mają czasu na przyjemny wypoczynek. Pracując nieustannie dla zdobycia zapasów żywności, są tak bardzo zajęci przetrwaniem, że często ignorują moje pokusy. To samo słyszałem od wielu z moich podległych dowód-

ców. Ale Zedronn pojawił się z rozwiązaniem tego problemu i gdyby nie był potencjalnie tak niebezpieczny i gdyby to leżało w moich zdolnościach, nagrodziłbym go za jego geniusz, przywracając mu możliwość korzystania z nóg!

Pomysł Zedronna jest naprawdę bardzo prosty. Ma jednak bardzo głębokie implikacje. Nazywa to *niewolnictwem*. Niektórzy z ludzi, przy pomocy siły, przymuszają innych do wykonywania dla nich większości pracy. Dla jednych będzie to oznaczało wielogodzinny i bolesny znój, podczas gdy ich panowie cieszyć się będą luksusem wypoczynku – czegoś, co da im wiele czasu na słuchanie mnie! Co więcej, wykorzystanie siły przyniesie okrucieństwo. Ci, znajdujący się u steru kontroli, nigdy nie będą usatysfakcjonowani: będą starali się wykorzystywać swoje podmioty w tak niemilosierny sposób, że wielu ludzi umierać będzie w wyniku przemocy, a to zaś w efekcie ulży naszej pracy, bo każda osoba, jaka przeminie, stanowić będzie o jedną możliwość mniej, przez którą może objawić się Narodzony!

Zedronnie, jesteś dobry w tym, co robisz.

Rok 202

Minęło pół wieku i niewolnictwo głęboko zakorzeniło się w życiu ludzi. I tak, jak przewidział Zedronn, ci, którzy mają mnóstwo wolnego czasu, stali się niezwykle podatni na nasz sposób myślenia. Tak więc jego plan okazał się wielkim sukcesem. Wywołał jednak zarazem boczny efekt, którego nie przewidziałem. Czasami niewolnicy buntują się, a aby nad tym zapanować, ich panowie zaczęli wynajdować nową śmiertelną broń. Kiedyś, dawno temu, trzeba było pełnej energii, jakiej musiał użyć jeden człowiek, aby zabić drugiego, ale teraz, przy zastosowaniu tych nowych pomysłów, jeden człowiek potrafi zabić sześciu innych za jednym razem.

Dokąd to wszystko zaprowadzi? Z każdym rokiem wzrasta ich umiejętność w wykorzystywaniu broni. Można to już dziś przewidzieć, że kiedyś, w odległej przyszłości, staną wobec takiego zasobu siły, jaka ukryta jest w sercu atomu. Czy *w końcu okaże się, że sami rozpalili ogień piekielny?*

Po raz pierwszy czuję posmak lęku przed tymi stworzeniami. Są znacznie sprytniejsi, niż wcześniej mi się wydawało i posiadają skłonność do samowyniszczenia, która martwi nawet mnie. Ten świat jest jedynym terytorium nad którym panuję i coś we mnie mi mówi, że mogą być aż tak głupi, aby go zniszczyć.

Rok 821

Całe wieki minęły od mojego ostatniego wpisu do pamiętnika. Jest ku temu jednak całkiem dobry powód. Tak jak się spodziewałem, ludzkość rozmnaża się w postępie arytmetycznym. Liczba ludzi powiększa się codziennie i jesteśmy

zajęci każdej chwili, gdy ich obserwujemy – narodziny, śmierci, małżeństwa, wypadki, morderstwa... pewnego razu myślałem, że moja armia w zupełności wystarczy, aby zająć się nimi wszystkimi, ale teraz wydaje się to trudne. Trzeba aż dwóch pełnych echelonów, aby zajęły się tylko katalogowaniem zmian, jakie się pojawiają i odnotowywaniem każdej ciąży.

Niektóre kobiety zaskakują nas bliźniętami! Nigdy nie zapomnę, jak wydarzyło się to po raz pierwszy i naszej nerwowej szarpaniny w celu znalezienia jakiegoś wolnego neofity, który zostanie przydzielony do drugiego dziecka! Bo przypuścimy, że to drugie dziecko, to będzie Narodzony? Nigdy już więcej nie popełnimy takiego błędu i zawsze będziemy mieli przygotowanych dwóch wojowników, którzy wyczekiwać będą na pojawienie się niemowlaka. Gdy potwierdzony zostanie pojedynczy poród, drugi wojownik zostaje wysłany natychmiast do Centralnego Dowództwa w oczekiwaniu na zadanie przy kolejnym dziecku – które w tym zatłoczonym świecie, pojawia się zazwyczaj w kilka minut później. Jakież jest to szalony program działania!

Nie do wiary, ale pierwsza para ludzka nadal jeszcze żyje! Wydaje mi się, że z czasem ludzkość może osłabnąć i zacznie umierać szybciej, ale obecnie żyjące pokolenia są bardzo bliskie stworzenia i posiadają niesamowitą żywotność, która utrzymuje się przez całe wieki. Jednak czas zaznaczył się bardzo mocno na ich ciałach. Ewa, kiedyś piękna i młoda kobieta, teraz porusza się zgarbiona, tak, jakby kości nie potrafiły już więcej utrzymać jej wyprostowanej postawy. Adam nadal udaje się w każdą wigilię Szabatu na miejsce nabożeństwa, jednak ma bardzo słaby głos i z trudnością słyszy, a ostatnio przejęty rozpaczą coraz więcej płacze. Jest to bardzo patetyczny obraz; wkrótce zobaczę jego koniec, bowiem przypomina mi, ile minęło już czasu i jak zepsuty stał się ten świat.

I nadal żadnego śladu po Narodzonym! Zaczynam sobie zadawać pytanie, kiedy przyjdzie?

Rok 931

Od mojego ostatniego wpisu do pamiętnika wydarzyło się wiele. W ubiegłym roku zmarł Adam, a to wielce ułatwiło moją pracę, bowiem tak długo, jak on znajdował się na ziemi ze swoimi historiami o stworzeniu, niektórzy z przechodniów przybywali, aby go słuchać. Ale teraz ucichł jego głos, a ja uczynię wszystko, co tylko potrafię, aby zobaczyć, że wkrótce jego opowieści o stworzeniu staną się nieistotnym folklorem. Wtedy będę mógł rozpocząć sugerowanie innych teorii o tym, jaki początek miał ten świat. Szabat przemijając będzie wtedy jako dzień bez jakiegokolwiek znaczenia, a ludzie nawet zapomną o tym, że Narodzony w ogóle istnieje.

W tym czasie odnieśliśmy także spektakularny sukces w przeciąganiu ludzi na naszą stronę. Większość z nich odrzuca całkowicie ideę, że są rządzani jakimś

prawem, które domaga się najlepszego postępowania w każdej chwili dnia, a to daje nam wielką przewagę nad naszym bezpośrednim Adwersarzem w kosmosie. On oferuje im ratunek – gdzieś w odległej przyszłości, a ja oferuję im zapłatę i to od razu. Oprócz tego wcale nie muszą być dobrymi, aby tę zapłatę otrzymać! Nic więc dziwnego, że większość z nich woli mnie. I tak po upływie prawie całego tysiąclecia zdobyłem sobie przychyłność niemal każdego człowieka na ziemi.

Czy to Ty mówiłeś, że Twoje rządy opierają się na wolnej woli, Starodawny? W takim razie zauważ to: niemal każdy na tej planecie przyłączył się do mnie – *i to z własnej, nieprzymuszonej woli!*

Oczywiście, jest kilka wyjątków. Moim najgorszym wrogiem był człowiek o imieniu Enoch, prorok, do którego docierały pewne poselstwa z samego Królestwa Światła. On mnie nigdy nie słuchał. Często poświęcałem szereg dni, układając taką linię rozumowania, która wprowadziłaby w jego myślenie trochę zamętu, ale on nigdy nawet nie uszanował moich sugestii jakkolwiek uwagą, czym doprowadzał mnie do szaleństwa. Przez niemal trzy stulecia ten człowiek opierał się moim najlepszym wysiłkom, przez cały czas kładąc posłuszeństwo i lojalność każdemu, kto tylko go chciał słuchać. Cofnął moje dzieło o całe dziesięciolecie i zabiłbym go, gdybym mógł, ale zawsze był otoczony przez przynajmniej cztery szwadrony Dowództwa Straży, które wydawały tyle energii, że nie mogłem przybliżyć się do niego na tyle blisko, aby go zranić fizycznie. (Raz próbowałem się przebić i leżałem sparaliżowany przez trzy ziemskie tygodnie w strasznym bólu.) Tak więc, strzeżony przez wojowników Królestwa, Enoch podróżował paplając różnymi sposobami o sprawiedliwości, a ja musiałem tego słuchać – dziesięciolecie za dziesięcioleciem, wiek za wiekiem!

Wykorzystałem wszelkie sposoby i środki, jakie tylko potrafiłem wynaleźć. Skoro jednak sam nie mogłem przedostać się w pobliże Enocha, wykorzystywałem więc wielu ludzi, których *mogłem* wysłać do niego – ludzi, którzy nie mieli w ogóle żadnej ochrony ze strony Dowództwa Straży. Zakorzeniłem wówczas w ich umysłach jedną z najlepszych broni, kpinę. Wyśmiewali się więc z Enocha i drwili sobie z jego kazań (jeden z nich potrafił niemal perfekcyjnie imitować tego staruszka i jego zachowanie, co zawsze wywoływało burzę śmiechu). Ale nawet i to nie działało. Gdy ludzie zagłuszali go śmiechem, udawał się z powrotem do swojej jaskini, jakieś 15 mil w górach i po prostu się modlił. Prosił o błogosławieństwo dla tych, którzy drwili z niego! To wtedy właśnie przybył Gabriel, jaśniejący blaskiem tronu, przynosząc zapewnienie, że patrzy na niego cały kosmos i to były chwile, w których drżałem. Gdyby tylko ludzie zdali sobie sprawę z tego, jak cienka jest zasłona, która oddziela ich od nadnaturalnego świata i jak potężne są moce dostępne ludzkim sprzymierzeńcom Królestwa, znalazłbym się w strasliwym niebezpieczeństwie. Na moje szczęście niewiele słuchało tego człowieka.

Ale to nie jest koniec historii. Pewnego dnia Gabriel przybył do Enocha. Tak się zdarzyło, że byłem w pobliżu i widziałem to wszystko. Nigdy nie zapomnę Jego słów:

– Enochu, chodź do domu. Ojciec cię wzywa.

I w tym momencie otworzył się jakby kanał transportowy w przestrzeni kosmosu, prowadzący wprost do tronu i człowiek ten został zabrany – zabrany z tej ziemi tam, do Królestwa Światła! Uciekł mi! Człowiek uciekł z tej ziemi, uszedł śmierci, poszedł drogą prowadzącą z powrotem do Królestwa Światła!

Jego odejście przeraziło mnie, pokazało bowiem, że obiecany ratunek nie jest żadnym mirażem. *To już się stało!* Zwołałem nadzwyczajne spotkanie głównego dowództwa.

– Wojownicy – powiedziałem – kilka wieków temu zaliczyliśmy wielki triumf przy śmierci Abla, ale teraz odnieśliśmy znamiennej porażkę. Człowiek – Enoch, wydaje się, że uszedł śmierci. Został zabrany do Królestwa żywcem. Widziałem to na własne oczy.

Przez chwilę panowała oszłamiająca cisza, po której Andrade przedstawił problem, jakiego – miałem nadzieję – nikt nigdy nie przedstawi.

– Mistrzu – powiedział powoli, jakby ważąc każde słowo. – Święci potrafią widzieć przyszłość. Potrafią podróżować w czasie i widzieć wydarzenia, które jeszcze nie miały miejsca. Wiem o tym, bo zaraz po stworzeniu Archonu 24, wędrowałem szybko poprzez czas razem ze Starodawnym. Byłem tam jedynie przez mikro-wiek, ale będąc tam, przysięgam, mogłem widzieć wydarzenia, jakie jeszcze nie mały miejsca. A później – około pięciu wieków, jak sobie przypominam – wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak to widziałem. To było tak, jakbym popatrzył w przyszłość przez otwarte okno.

Drżałem, kiedy to mówił i próbowałem mu przerwać.

– Andrade, to bardzo fascynujące odczucie, ale...

Ale nie dało się go od tego odwieźć. Tak bardzo przejął się swoim tematem, że posuwał się do przodu, jakby wcale nie słyszał, że mu przerywałem.

– Rzecz w tym, Mistrzu, że jak dotąd, żadnemu człowiekowi nie udało się uniknąć grobu. Nam zaś dawało to nadzieję, że, być może, ratunek nie będzie miał miejsca – że, być może, wygramy, a plan Narodzonego zawiedzie. Ale skoro Skupienie zabrało Enocha, udowodnili tym, że ratunek jest możliwy, a to oznaczać może tylko jedną rzecz: już teraz nas widzą gdzieś i kiedyś w przyszłości, jak przegrywamy wojnę!

Usiadłem, nagle czując się całkiem schorowany. Dlaczego musiał to powiedzieć – *i to przed całym głównym dowództwem?* Pozbierałem swoje myśli, aby naprawić poniesione szkody.

– Andrade, zdecydowanie przesadzasz. To, co jest pewne, to to, że nie wygrali jeszcze wojny. Faktycznie idzie za mną cała ludzkość, a jeśli uda mi się wyeliminować kilku dysydentów, będę miał mocny argument przeciwko Staro-

dawnemu. Jego prawo do przyjścia tutaj, do posyłania takich istot jak Gabriel, polega na znajdowaniu ludzi, którzy chcą zostać uratowani. Ale jeśli nie będzie nikogo, kto pragnąłby Jego pomocy, wtedy jego argument upada. W oparciu o jego własną zasadę wolnej woli, będzie musiał pozostawić nas w spokoju. Wtedy wygramy!

Andrade wycofał się z twarzą całkiem zakłopotaną, starał się bowiem odeprzeć moją argumentację swoją własną logiką, a ja szybko zakończyłem spotkanie.

– Wojownicy, to bardzo ważne, abyśmy szybko umieli skonsolidować nasze wysiłki, zmierzające do utrzymania tej planety. Gdy osiągniemy pełne panowanie nad każdym człowiekiem, wtedy, czy będzie tu Enoch, czy też nie, wygramy. Pracujcie więc z zapałem. Niechaj nie minie ani jedna chwila bez ataku na jakiś ludzki umysł. Prowadźcie podległe wam oddziały do zwycięstwa i pamiętajcie, że umysł Lucyfera jest z wami.

Oddalili się, a ja pozostałem z moimi wirującymi myślami. Jeden człowiek! Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek domyślił się, ile napisał mi kłopotu? Na szczęście, jest on przedstawicielem jedynie nieskończonej małej mniejszości. Ja dowodzę lojalnymi mi istotami, które stanowią niemal całą ludzką rasę, jeśli więc obecne przewidywania będą trafne, każdy na ziemi wkrótce stanie się moim sprzymierzeńcem. Zbliżam się do pełnego zwycięstwa. Zajęło mi to tysiąc lat, ale jak wierzę, ten świat wkrótce będzie mój!

Rozdział 7

Nieoczekiwana burza

Rok 1535, Nowy Rok

Na północ od Synearu, w kraju górzystym, pofalowanym wzniesieniami i dolinami, żyje człowiek, którego nienawidzę. Jest niezwykle stary, ale bardzo silny, jakby uodporniony na zwyczajne słabości ludzi w starszym wieku; ma też trzech synów, równie silnych. Na imię mu Noe, a nienawidzę go, ponieważ nie daje mi zwyciężyć.

Przez niemal tysiąc lat pracowałem dzień i noc, pracowałem nawet wtedy, gdy ludzie spali, a teraz zwycięstwo jest tak bliskie, że niemal w zasięgu ręki. Wygrywałem bitwę za bitwą w celu zdobycia posłuszeństwa ludzkości i obecnie Starodawny ma już tylko kilku swoich naśladowców, a jeśli uda mi się zabrać Mu i tych, wojna zakończy się. Tylko że jak dotąd, nie potrafię przewyciężyć tych kilku pozostałych, z których jeden ma na imię Noe, a jego sama obecność przypomina mi, że on – i garstka pozostałych – są zaprzeczeniem mojego zwycięstwa. Zniszczyłbym go w jednej chwili, ale wciąż otoczony jest Strażnikami, a ja nie chcę już więcej tego bólu, jaki potrafią zadać.

Ostatnio jednak Noe zachowuje się jakoś dziwnie. Włóczy się u podnóża gór, poszukując drewna, które jego synowie ścinają i zaciągają na płaski teren, znajdujący się ponad doliną. I jak wiele tego gromadzą! Nie widziałem takiej ilości drewna od czasu, gdy Saragonn Wielki budował swój ogromny pałac nad rzeką, dwieście lat temu.

Saragonn! To był człowiek z którym mogłem współpracować! Jego umysł był dla mnie tak otwarty, że mogliśmy porozumiewać się bezpośrednio i wprowadziłem go w niektóre z głębokich enigmatów odwróconego równania, tajemnicy Lucyfera. Dałem mu także moc. Cały rejon był posłuszny nawet najdrobniejszej jego zachciance i za jego przewodnictwem zaczął mi oddawać cześć, zaś cała Równina Saragońska wypełniła się pomnikami Lucyfera. Jakże mu się podobało to, co mogłem dla niego uczynić! Faktycznie modlił się do mnie i zarządził, aby wszyscy w Saragonnii czynili podobnie. Był moim wspaiałym sprzymierzeńcem, aż do dnia, w którym nagle zmarł na oczach tysięcy swoich naśladowców.

To dopiero było – wielki Saragonn martwy i to na oczach wszystkich! Musiałem szybko działać, aby utrzymać jego kult, a dokonałem tego poprzez zasugerowanie idei jego głównemu kapłanowi: powiedz wszystkim, że Saragonn nie umarł, ale że żyje teraz w świecie duchów.

Ludzie żyją w nieustannym strachu przed śmiercią, wymyślili więc różnego rodzaju teorie, by zaprzeczyć tej ponurej rzeczywistości. Niektórzy wierzą, że gdy człowiek umiera, powraca później w innej formie życia. Inni upierają się, że śmierć jest tylko podróżą do świata duchów, w którym ich przyjaciele, którzy odeszli nadal żyją. Wypełniają więc groby wszelkiego rodzaju skarbami, aby owe duchy mogły z nich korzystać. (Żyjemy w świecie duchów i na przestrzeni tych 1500 lat nigdy nie zauważyliśmy, aby pojawił się tutaj jakiś umarły człowiek.) Ale to, z czego teraz korzystam, było właśnie taką ludzką słabostką. Po przekonaniu kapłana kultu Saragonna, że jego pan nadal żyje, tylko w innej rzeczywistości, zasugerowałem, że Saragonn był bardzo zły na to, że musiał pozostawić życie na ziemi i że w najlepszy sposób w jaki mogą go uspokoić, to złożenie mu wielkiej ofiary, gdyż inaczej on zesła na nich karę, niszcząc ich zbiory.

Wszystko to wymyśliłem spontanicznie, ale jego naśladowcy – grupa głupców, jakich jeszcze nigdy nie widziałem – uwierzyli każdemu słowu. Kapłan dopytywał się, jakiej ofiary sobie życzę. Czego *jeszcze*? Ich własnych dzieci! Każde dziecko, które zginie, to dla mnie o jedno zmartwienie mniej, zmartwienie, czy nie jest to przypadkiem Narodzony. Zaczęli więc składać w ofierze swoje dzieci tysiącami, aż powietrze w dolinie tak przepelnione było smrodem palonych ciał, że w końcu przekazałem przez kapłana poselstwo, że już tego wystarczy, że Saragonn został już usatysfakcjonowany.

Z tego wszystkiego nauczyłem się czegoś: gdy człowiek otworzy się przede mną tak, jak miało to miejsce, nie ma już wcale sił, aby ode mnie się wyrwać. Panuję nad nim całkowicie, a on staje się jakby przedłużeniem mnie samego i czyni wszystko, czego sobie tylko życzę. Takie poświęcenie nagradzam obficie. Gdy ludzie stają się szczególnie dla mnie użyteczni, czynię wtedy wszystko, by dać im bogactwo i moc – a gdy ich użyteczność przemija, wtedy zabawiam się trochę taką małą grą, którą nazywam *Co się stało?* Zabieram im wszystkie dobrodziejstwa, którymi ich wcześniej obsypałem i patrzę, jak się wiją, gdy wszystko się wali: ich plany zostają odkryte, ich bogactwo znika, a często popadają w niełaskę i – o ironio – w swoich ostatnich chwilach, zazwyczaj oskarżają za wszystko Wszechmogącego. Rzadko pomyślą, że mogliby mnie oskarżać!

Ale powróćmy do Noego. Próbowałem go nęcić takimi rzeczami, na jakie łąsi są ludzie, ale on pogardził nimi, odrzucając szansę zbicia fortuny w nieuczciwym biznesie. A teraz ścina drzewa, ja zaś nie potrafiłem się jeszcze dowiedzieć dlaczego. Nie może tego robić dla bogactwa, bowiem wydaje się, że wcale go to nie interesuje. Musi więc być jakiś inny powód. Polecilem całemu szwadronowi szpiegów, aby śledzili każdy jego ruch.

Rok: 1545, pierwszy kwartał

A więc Zantor zdobył odpowiedź dotyczącą Noego. Ten stary człowiek zdaje się budować ogromną łódź – monstrualny statek, wystarczająco wielki, aby

pomieścić tysiące istot, a patrząc od strony żeber, które zostały złączone ze stępką, wygląda na to, że będzie miał wysokość trzech poziomów.

Łódź! Na równinie znajdującej się wysoko nad brzegiem rzeki! Są tylko dwie możliwości: *albo Noe całkowicie zwariował, albo też otrzymał jakieś wiadomości z Królestwa Światła.*

Ta druga możliwość mnie przeraża. Statek Noego nigdy nie będzie mógł pływać, chyba że woda dosięgnie poziomu, jaki nigdy dotąd w historii nie był znany, jeśli jednak wszystko to wykonuje na polecenie, jakie otrzymał z Królestwa, w takim razie stanie się coś strasznego. *Jeżeli woda sięgnie tak wysoko, nic na Ziemi nie będzie bezpieczne!*

Martwię mnie te wieści, ale nie piszę słowa o moich przypuszczeniach, nawet moim współpracownikom. Niech lepiej wszyscy myślą, że ten stary człowiek postradał zmysły, a gdy będą tak przekonani, niech udadzą się do ludzi, by siać wśród nich tę ideę. Boję się, że Noe będzie próbował przekazywać jakieś poselstwo z Królestwa Światła, muszę go więc zdyskredytować, zanim ludzie potraktują go poważnie.

Rok 1545, w połowie

Macronides przyszedł do mnie dzisiaj z wypisanym przerażeniem na swojej twarzy. Zauważyłem ten problem w momencie, gdy tylko pojawił się w polu widzenia i natychmiast rozpuściłem wszystkich moich współpracowników, aby przypadkiem czegoś nie podsłuchali. On także wydaje się przeczuwać, że w przypadku Noego kryje się coś więcej niż jedynie utrata zmysłów, a nic nie wskazuje na to, że uda mu się to wyperswadować.

– Mistrzu, co się dzieje?

Próbowałem zachować swego rodzaju nonszalancję, ale jemu trudno było się na to zdobyć.

– Popatrz, Mistrzu. To wszystko wskazuje na coś więcej niż jedynie na utratę zmysłów. Jak sądzę, sam o tym wiesz. W takim razie i ja muszę wiedzieć wszystko to, co ty.

– W porządku, Marconidesie. Ale proszę, zachowaj to dla siebie. Myślę, że Narodzony realizuje pewien plan, i moim zdaniem łączy się on z wodą, i...

– Oczywiście, że łączy się on z wodą. Nawet moi zastępcy zaczynają się nad tym zastanawiać. Nie da się inaczej interpretować faktów: Noe buduje statek ratunkowy, a statek ten jest wystarczająco duży, aby pomieścić wielu ludzi. Ten stary człowiek modlił się przez szereg dni, zanim rozpoczął ścinać drzewa. Następnie przybył cały batalion Strażników i odepchnął nas stamtąd, nie mogliśmy więc zobaczyć, co stało się później. Gdy byliśmy z dala od niego, jak sądzę Noe otrzymał poselstwo z Królestwa Światła i myślę, że to jest powodem, dla którego buduje statek. Jeśli jest to prawdą, to – według mnie – znajdujemy się w sytuacji największego niebezpieczeństwa od czasu rozpoczęcia wojny.

– Zgadzam się z tobą, Marconidesie, zgadzam się. Ale zanim się poddasz ekscytacji, pamiętaj o podstawowych faktach: Starodawny nie może nas zniszczyć. Jeśli tego dokona, to cała koncepcja wolności...

– Lucyferze, ten argument był dobry w niebie. Ale minęło już ponad tysiąc ziemskich lat i pomyśl co stało się na tej planecie. Są tu już miliony ludzi martwych, całe doliny pokryte są mogiłami. Nawet twoi wojownicy boją się ciebie po całej tej sprawie z Zedronnem. Czy nie sądzisz, że goście z Królestwa sprawozdają o tym wszystkim, gdy wracają stąd? Krok po kroku lojaliści zaczynają dostrzegać, że bunt owocuje rzeczywiście straszliwym nieszczęściem, a jeśli ma to rzeczywiście miejsce, nikt nie będzie kwestionował, gdy Starodawny zechce nas zgładzić. Równocześnie ma On na pewno zamiar uratować tych ludzi, którzy idą za nim. A teraz zestaw ten rachunek i popatrz, ile to jest dwa dodać dwa. Być może łódź, którą buduje Noe jest ich pojazdem ratunkowym. Być może wszyscy tam w górze zdecydowali, że On ma prawo nas zniszczyć. I być może ma zamiar użyć do tego wody – zniszczy nas i wszystkich naszych ludzkich sprzymierzeńców, pozostawiając przy życiu tylko tych ludzi, którzy są Mu lojalni.

– Przestań, Marconidesie! – rozkazałem. – Zaprzestań tych swoich domniemań! Podniecasz się tym tylko, mówisz zbyt głośno. Wydaje mi się, że już cię usłyszano. Ucisz się teraz i zajmijmy się faktami. Co powoduje, że myślisz, iż znajdujemy się w takim niebezpieczeństwie?

Odpowiedź potwierdziła moje najgłębsze obawy.

– To, że ten stary człowiek przemawia do każdego, kto tylko chce go słuchać i mówi, że za 120 lat ta ziemia zostanie przykryta wodą. Teraz więc, Lucyferze, zapytam raz jeszcze: co ty o tym wiesz?

Oczywiście wiedziałem, że to, co było poselstwem Noego, mogło oznaczać nasz koniec.

– Myślę, Marconidesie, że będzie potop. Myślałem już o tym od szeregu miesięcy. I ja się tego obawiam. A teraz, najbardziej boję się skutków, jakie wycisnie on na naszym morale. Ale myślę też, że przeżyjemy to. Myślę tak, ponieważ według tego, co jest nam wiadomo, Narodzony nie pojawił się jeszcze jako człowiek. A skoro to jeszcze się nie wydarzyło, wojna nie może się na tym zakończyć. Z tego też powodu jest rzeczą konieczną, abyśmy podwoili nasze wyczekiwania na Jego nadejście. Jeśli miałby się pojawić jeszcze przed potopem, wtedy muszę się z tobą zgodzić, że może On planować zgładzenie nas w tym właśnie potopie. Dlatego staje się dla nas koniecznością fakt, aby nie przeoczyć ani jednych narodzin. Ogranicz naszym wojownikom czas odpoczynku do połowy. Postaw trzech z nich przy każdej z oczekujących na poród matek już od pierwszych objawów ciąży. Nie dopuść, aby jakiegokolwiek dziecko urodziło się niezauważone. Przekaż taki rozkaz każdemu. I powiedz Marcolithowi, aby się u mnie pojawił. Musimy przemyśleć wszystko i zaplanować. Poza tym, koniecznie znajdź kogoś, komu Zedronn nadal ufa i przekaz jemu te słowa. Potrzeba mi również jego głowy do tych przemyśleń.

Kilka dni później

Sam muszę się przyjrzeć temu, co się dzieje, dlatego gdy tylko jest to możliwe, pozostawiam moją siedzibę i osobiście udaję się w góry. Po całym miejscu budowy porozrzucane są drewniane bale, platformy z piłami, kołki, czopy i deski. Jest tam też cały tłum robotników, których Noe najął najwidoczniej za wszystkie swoje oszczędności. Faktycznie cała konstrukcja dopiero co zaczęła powstawać: wszystkie żebra zostały przymocowane do stępki, umocowano także niektóre z dolnych podestów, ale od tego miejsca w górę, wygląda to jak jakiś szkielet ogromnego drewnianego potwora.

Tak, muszę przyznać, że wygląda to jak jakiś statek ratowniczy, znajdujący się jednak bardzo wysoko nad poziomem rzeki. Przez cały tysiąc lat rzeka ta nigdy nie wystąpiła z brzegów i nie zalała doliny znajdującej się poniżej miejsca budowy. Żaden proces naturalny nie mógłby unieść poziomu wody wystarczająco wysoko, by ten statek zaczął pływać. Jeśli Narodzony planuje potop, w takim razie będzie musiał...

O, *nie!* Przypominam sobie coś, co miało miejsce drugiego dnia stworzenia. Gdy On uczynił atmosferę, przypominam sobie, że zgromadził wielkie ilości wody. Część jej powędrowała w kierunku nieba w postaci pary, podczas gdy druga część, wielki ocean, został schowany pod powierzchnią Ziemi. W tych dwóch niewidzialnych spichlerzach znajduje się więcej wody niż potrzeba byłoby do tego, aby statek Noego zaczął pływać. *Jeśli rzeczywiście przełamie te bariery i uwolni wszystką wodę, cały ten świat stanie się jednym kipiącym, wzburzonym oceanem!* Możemy zostać zmyci, dokładnie tak, jak obawia się tego Marconides.

Jest tylko jedna nadzieja. Jeśli jeszcze przed potopem uda mi się zdobyć wszystkich lojalistów spośród ludzi, nie będzie miał żadnego prawa, aby tutaj przyjść. Będzie to wtedy mój świat, a według Jego zasady o wolnej woli, musi wtedy pozostawić nas samych. Dlatego skieruję teraz wszystkie moje siły przeciwko Noemu.

Rok 1656

Moi posłańcy przybywają i odchodzą, przynosząc dobre i złe wieści. Dobrą wieścią jest to, że wszyscy, oprócz rodziny Noego uważają, że jest on głupcem. Niektórzy z najętych przez niego robotników, otwarcie żartują sobie na jego temat. Stał się przedmiotem rozrywki tego świata. Całe miliony przybywają nawet z tak daleka, jak dolina Synear, by gapić się na jego, dopiero co wykończoną, arkę i śmiać się hałaśliwie, gdy zaprzestaje on swojej pracy po to, aby przemawiać. Mam w tamtym terenie człowieka, który jest bardzo dobry w naśladownictwie. Wspina się na jakiś stos drewnianych bali i udaje, że przemawia,

doskonale naśladowując Noego (nawet w drzeniu jego starczego głosu), a jego występy wywołują całą burzę śmiechu.

Nie wszystkie jednak wieści są dobre. Choć staramy się jak tylko potrafimy, nie udaje nam się wykorzeńić u Noego kultu. Z początkiem tego roku zmarł stary Metuszelach. On także ostrzegał przed potopem, a zawsze udawało mu się zgromadzić słuchaczy, ponieważ był synem Enocha, człowieka, który został zabrany do Boga. Miałem nadzieję, że jego śmierć wyznaczy koniec dla naśladowców Noego i niemal tak się stało, ale w tym właśnie sęk, że *niemal tak się stało*. Niemal, a nie całkowicie. Nadal jest tych ośmiu wierzących, czyli członków najbliższej rodziny Noego.

I w tym leży cały mój problem. Tak długo, jak chociaż jeden człowiek wierzy w Starodawnego, nie mogę uznać się zwycięzcą. Tych osiem osób zawzięcie stojących przeciwko całemu światu, zaprzecza mojej wygranej i temu, co niemal już zdobyłem. Atakujemy ich w każdy możliwy sposób, ale nic nie wydaje się przełamywać ich obrony.

Staraliśmy się zasiać pomiędzy nimi niezgodę, ale każdego poranka spędzają godzinę na łączności z Narodzonym, otoczeni są więc swego rodzaju tarczą, przez którą nie możemy się przedostać. Próbowaliśmy jeszcze innych sposobów. Sam próbowałem zabić Noego za pomocą masywnej drewnianej belki, jaka znajdowała się tuż nad nim, ale jakiś przeklęty, zwinny anioł-lojalista pośpieszył się i skierował ją inaczej, tak, by upadła nie szkodząc nikomu – a następnie czterech Strażników sparaliżowało mnie przy pomocy fali energii, która spowodowała, że utykałem przez kolejne tygodnie.

Nawet Zedronn, jak się wydaje, utracił jakiegokolwiek pomysłu. Był najwyraźniej rozbawiony, gdy Strażnicy spowodowali, że zacząłem utykać i nie zaferował żadnej pomocnej sugestii. Zacząłem zastanawiać się, czy on nie tęskni za śmiercią i czy nie ma nadziei, że potop ją przyniesie.

Dwa miesiące i cztery dni później

Dziś rano wydarzyło się coś bardzo dziwnego: statek Noego, z jego wznoszącym się wysoko kadłubem, cały klejący od uszczelniającej go smoły, jest już gotowy, a o pierwszym świetle brzasku ogromne ilości ptaków zaczynają gromadzić się na niebie, dokładnie nad nim. Krążąc jeszcze w półmroku poranku, zrobiły tyle zamieszania, że wkrótce cała dolina została przebudzona, a potem, jakby na rozkaz, uformowały kolumnę i wleciały do statku. Wydawało się, że obecne tam są wszystkie gatunki ptaków Ziemi. Wiele z nich rozpoznałem, a nawet takie, które nie żyją w tych stronach.

Tak, wynikiem tego było istne piekło. Pomimo wczesnej pory każdy w dolinie obudził się, a potem gapił się w zdumieniu na to widowisko, wymieniając z innymi swoje zaniepokojone spojrzenia. Krzyknąłem z rozkazem:

– Barthon! – wrzasnąłem, a mój głos zapiszczał alarmująco. – Zwołaj zgromadzenie ogólne. Chcę, aby wszyscy moi żołnierze znaleźli się tutaj. I to zaraz!

Armia w pędzie starała się ustawić w szyku, a wszystkie oczy wpatrzone były w to dziwaczne zdarzenie, jakie miało miejsce na niebie.

– Śpieszcie się – rozkazałem. – Przemieszajcie się między ludźmi. Odciągnijcie ich uwagę od tego, co się dzieje tak, jak tylko to potrafiacie. Jeśli pozwolimy im myśleć o tym, co tutaj widzą, wtedy zaczną się tłoczyć, aby dostać się do arki. Wówczas stracimy ich tysiące. A więc *idźcie!*

Moim wojownikom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Przez 120 lat staraliśmy się uczynić wszystko, co było w naszej mocy, aby ośmieszyć Noego, a teraz nasze wysiłki niemal zostały zrujnowane przez ptaki, które najwyraźniej rozpoznały w łodzi miejsce swego ratunku przed nadchodzącą katastrofą. Moje drużyny pędziły jak oszalałe, mieszając się z tłumem i starając się odciągnąć uwagę każdego od tego miejsca, ale w tym momencie pojawił się nowy problem. Gdzieś w głębi doliny ukazała się nagle cała procesja zwierząt lądowych, zwierząt drapieżnych, poruszających się powoli, jednak w doskonałym porządku, w kierunku arki, zupełnie, jak gdyby i one także wiedziały o zbliżającym się nieszczęściu.

– Wielkie nieba! – właściwie do nikogo wrzasnął Marconides. – Najpierw ptaki, a teraz zwierzęta. Jeszcze trochę, a ludzie także zrozumieją to wszystko.

Był istotny powód do rozwagi. Pociągnięci przepowiednią Noego, że wkrótce nadejdzie potop, ludzie tłumnie zgromadzili się tutaj z ciekawości, a teraz patrzyli wielkimi oczami jak zwierzęta wspinały się po rampie prowadzącej do środka arki i znikwały w jej wnętrzu. Był to niezbity dowód na prawdziwość przepowiedni Noego i przez moment obawiałem się, że stracimy kontrolę nad tłumem. Noe posłał swoją żonę i dzieci do środka, a następnie zatrzymał się w drzwiach jakby szukając słów, które miałby jeszcze powiedzieć. W oczach miał łzy. Był bez pieniędzy, ubrany w brudną odzież roboczą. Mówił jednak z serca, kierując proste zaproszenie do wejścia do arki, póki jeszcze czas. Było to najbardziej niebezpieczne, poruszające uczucia kazanie, jakie człowiek w ogóle potrafi wygłosić. Aż wzdrynąłem się, będąc tym do głębi poruszony.

Ale nie trzeba było. Pośród wszystkich osób przyglądających się całej scenie, znajdowali się moi najlepsi ludzcy sprzymierzeńcy, zatwardziali dzięki całym dekadom sceptycyzmu, a moi wojownicy szybko wykorzystali ich jako kanały dostępu do tłumu. Nagle jeden z nich, z dużym brzuchem, człowiek o szkaradnym poczuciu humoru, wygramolił się na stos niewykorzystanych bali drewna.

– Tak, przyjaciele – zaintonował, doskonale naśladowując mimikę nieszczęsnego Noego – wchodźcie do środka. Wchodźcie, dopóki macie jeszcze szansę. Jutro może być za późno. Dlaczego się wahać, gdy możecie znaleźć zbawienie?

W tym miejscu udało mu się nawet wydobyć z siebie kilka łez, a szmer śmiechu zaczął się rozchodzić po całym tłumie.

– Co? – krzyczał, udając, że głośno płacze. – Kpicie sobie? O przyjaciele, nie zatwardzajcie swoich serc!

Śmiech rozszedł się szybko, bowiem podenerwowani ludzie starali się nabrać odwagi po tak jasnej manifestacji nadnaturalnej mocy. Była to ochrypla, wymuszona wesołość, wypełniona dźwiękami straszliwego niepokoju, ale osiągnąłem to, co było mi potrzebne. Nikt się nie ruszył. Tłum patrzył w bezruchu, gdy Noe błagał ich, by przyłączyli się do niego i weszli do łodzi. Przez moment stał tam, jakby przeszyty ironią takiego samobójstwa, następnie pokiwał ze smutkiem głową i powlókł się do środka.

Broń drwin okazała się skuteczna. Jak mi potem doniesiono, była duża ilość ludzi, którzy byli głęboko poruszeni ostatnim apelem Noego. W pewnej chwili wielu z nich niemal ruszyło do przodu, aby przyłączyć się do starego człowieka. Jednak nikt nie odważył się ruszyć, a to ze strachu, że zostanie wykpiony. Dziwne to, ale prawdziwe: często ludzie gotowi są raczej umrzeć niż pozwolić, aby się z nich śmiano!

Tak więc nikt nie poszedł za starym człowiekiem, a kiedy on sam wszedł do arki, moim naśladowcom zgotowano ostatni pokaz rzeczy nadnaturalnych. Ku memu zdumieniu, nagle bariera przestrzeni i czasu usunęła się, a Ramitan, potężny anioł lojalista, pojawił się nieoczekiwanie wśród przerażonego tłumu! Po raz pierwszy w swoim życiu zobaczyli światłość anioła, cofnęli się więc w przerażeniu, a on sam zatrzymał się tam przez kilka chwil, promieniejąc światłością i mocą. Przyglądał się tłumowi, a jego oczy powoli przesuwwały się po całej masie ludzi zgromadzonych na wzgórzu Noego. Następnie z wyrazem oburzonego zdumienia skierował się do drzwi znajdujących się z boku arki.

Drzwi te stanowiły bardzo masywną strukturę. Były szerokie na tyle, by przeszły przez nie dwa duże słonie obok siebie, musiały więc ważyć niemal tyle samo. Przez szereg tygodni zastanawiałem się nad tym, jak Noe poradzi sobie z ich zamknięciem, wyglądały bowiem na zbyt ciężkie, aby móc je ruszyć. A teraz pojawiła się odpowiedź na to pytanie i to na oczach moich przerażonych ludzkich naśladowców, Ramitan zatrasnął je z rozmachem tak, jakby zrobione były z korka, a następnie zniknął za barierą czasu i przestrzeni, która zamknęła się za nim.

Oniemiały ze strachu tłum, składający się z setek tysięcy ludzi gapił się w milczeniu w pustą przestrzeń na niebie, gdzie przed chwilą odszedł anioł. Stawiali swoim umęczonym myślom pytania, na które nie potrafili sobie odpowiedzieć: *Jeśli Noe nie był przy zdrowych zmysłach, w takim razie dlaczego wszystkie zwierzęta przyszły? Kim była ta tajemnicza postać, która pojawiła się z nikąd i zamknęła drzwi, które były zbyt ciężkie, aby ktokolwiek na Ziemi potrafił je zamknąć? Czy istnieje taka możliwość, aby Noe miał rację?*

Tak, dla tych, którzy nadal znajdowali się poza arką, były to bezpłodne rozważania. Sam wiem po doświadczeniu z mojej nieudanej próby powrotu do

Królestwa, że jest taki moment, po którym Starodawny po prostu nie czeka już na ciebie dłużej. Dla tego pokolenia ludzi nastał właśnie taki moment. Ich ostatnią szansą był końcowy apel Noego. Drzwi, które Ramitan zamknął, nie otworzą się ponownie. Tak więc, do widzenia, moi głupi przyjaciele; przynajmniej z waszym odejściem moi zmęczeni żołnierze będą mieli trochę odpoczynku.

Tylko osiem osób do obserwacji! Jakże przyjemna i łatwa będzie to praca!

Oczywiście, jeśli przeżyjemy to, co stanie się ukrótce.

Osiem dni później

Od czasu zamknięcia drzwi minęło osiem dni i nic się nie stało – żadnej wody ani żadnego znaku czegokolwiek nadzwyczajnego. Ta zwłoka dała mi szansę, aby przejąć kontrolę nad tłumem zebrany wokół arki. Moi wojownicy pobudzili ludzi do dzikiej celebracji, wściekłej orgii pijaństwa i szyderstwa, jaka trwała nocą i za dnia.

Moje jednak odczucia są całkowicie inne. Jestem głęboko zaniepokojony. Ponieważ nic się jeszcze nie stało, moi ludzcy naśladowcy zaczęli myśleć, że w ogóle nic się nie stanie, ale ja nie mam takiego przekonania. Dobrze wiem, co się dzieje: Narodzony sprawdza ludzi, którzy znajdują się w środku łodzi, aby przekonać się, czy ich wiara przetrwa takie niewyjaśnione oczekiwanie i czy się nie zachwieją. Kluczem ich kontaktów z Nim jest wiara, a oni się nie poddali. Zadowolony z ich zaufania, użyje ich, by zacząć wszystko raz jeszcze od nowa i zaludnić ponownie ziemię taką linią genetyczną, która bardziej wierzyć będzie w Królestwo, a mniej wierzyć będzie mnie. To otworzy mu ludzki kanał, przez który będzie mógł przyjść na ten świat. Jestem w niebezpieczeństwie i wiem o tym.

Nagle jednak rozumiem, że mam najlepszą możliwość, jaką kiedykolwiek mógłbym zdobyć, aby zablokować Jego przyjście. Tych osiem osób w arce, to jedyna Jego droga do ludzkości, a oto są oni wszyscy razem, jednocześnie, wewnątrz tego, wyschniętego jak hubka, pudła ze 120-letniego drewna, posmarowanego łatwopalną masą!

Wydaję szybko rozkaz: „Marcolith i Marconides, wezwijcie natychmiast zgromadzenie. Przeprowadźcie też Zedronna. Jest mi potrzebny”.

Moja armia gromadzi się, a ja w pośpiechu podaję im instrukcje.

– Nie mam czasu na wyjaśnianie wszystkiego, ale mogę wam powiedzieć, że możemy się znaleźć w wielkim niebezpieczeństwie. Jak sądzę będzie potop. Uważajcie nie tylko na wodę spadającą z góry, ale też na wodę, która wybuchnie z samej ziemi. Gdy to się stanie, musicie unieść się w powietrze. Nie uciekajcie na wysokie tereny, bo byłoby to niepotrzebnym wysiłkiem. Nie będziecie mieli wytchnienia, aż się to skończy. Jeśli chcecie przetrwać, musicie utrzymywać się w walce. Jednak zanim to nastanie, mamy szansę, aby wygrać wojnę, i to tutaj, na tym

wzgórzu. Pomyślcie o tym: każdy, kto jest poza arką, należy do nas. Jedynymi ludźmi, których ma Narodzony na tej całej planecie, to tych osiem osób wewnątrz łodzi. Jeśli uda nam się ich zgłodzić, On nie będzie miał nikogo. Ta planeta będzie nasza. Dlatego teraz przemieszajcie się z tłumem. Podburzcie ich, aby zniszczyli arkę. Drzewo jest stare i posmarowane smołą. Jedna iskra, a cała łódź stanie w płomieniach. Jeśli tak się stanie, wygraliśmy. Czy mnie rozumiecie? Idźcie więc!

Moi żołnierze natychmiast dostrzegli zarówno niebezpieczeństwo, jak i możliwość zwycięstwa. Popędzili więc szaleńczo do tłumy. Już w kilka chwil nastrój ludu zmienia się z kpin w złość. Czterech z moich najzdolniejszych poruczników skupia się wokół jednego z naszych najbardziej oddanych ludzkich sprzymierzeńców i bardzo szybko sugeruje on, że wszyscy mają już dosyć tego somousprawiedliwiającego przemawiania Noego i że czas już na to, aby zakończyć to trajkotanie poprzez spalenie go żywcem. Natychmiast ktoś inny wysuwa się z zapalonym kadzidłem i zamachuje się, aby rzucić nim w kierunku łatwopalnego kadłuba.

Ale w tym momencie niebo wydaje się jakby eksplodować.

Dzieje się to z jakąś niszczącą mocą, wstrząsem światła i hałasu, które zdają się rozrywać całą atmosferę na strzępy. Większość tłumy była zbyt pijana, aby zauważyć, jak pociemniały chmury, lecz teraz ta najczarniejsza część nieba połyskuje światłem i rozrywa uszy rykiem. Nagle zaczyna padać deszcz – nie kroplami, ale jak z cebra. Z góry, która jest nad nami, płyną strumienie, z których następnie tworzą się wodospady. A potem otwiera się sama ziemia.

W odległej dolinie wytryska nagle z ziemi ogromny gejzer, unosząc głąz wielkości słonia na setki metrów w górę. Potem wytryskają następne i następne, aż cała dolina zostaje zalana wodą, posiekana tymi jakby fontannami, które w poszukiwaniu ujścia z podziemia, gdzie woda była dotąd gromadzona pod ogromnym ciśnieniem, wypełniają cały krajobraz. Unoszący się poziom wody pędzi ze złością wzdłuż kanału rzeki, a jej powierzchnia pokrywa się walczącą z żywiołem masą ludzi, którzy zostali zmyci i pędzeni są teraz wraz z nurtem w dół rzeki. Uderzają wściekle o wodę, wspinają się jeden na drugiego, aby pozostać na powierzchni, paskudnie jęcząc wołając o pomoc, a z tego całego hałasu docierają do mnie modlitwy do Saragonna, jakie wielokrotnie powtarzają z krzykiem, rzucając słowa na wiatr. Nie żyje on już przecież ponad 300 lat, a ci idioci nadal w niego wierzą!

W pobliżu arki ludzie reagują inaczej. Woda nie dotarła jeszcze do nich, gramolą się więc jeden na drugiego, aby dostać się do drzwi, uderzając w nie tak mocno, aż ich pięści zaczynają krwawić. Równocześnie deklarują, jak bardzo im jest przykro. Miejsce przy drzwiach stało się dziwnym konfesjonalem. Ludzie, którzy trzydzieści minut wcześniej, bez jakiegokolwiek bojaźni kpili sobie ze wszystkiego, teraz otwarcie wyznają krępujące osobiste grzechy i błagają Wszechmocnego, aby dał im jeszcze jedną szansę. Inni modlą się do Noego, mówiąc, że jest im przykro, że się śmiali i błagając go, aby otworzył drzwi. (Gdyby nawet chciał, nie potrafiłby tego zrobić; jest silnym starym człowiekiem, ale nie jest Ramitanem.)

Naraz zamieszanie powiększa się jeszcze bardziej. Nadchodzą bowiem zwierzęta z doliny, uchodząc przed rosnącym poziomem wody w poszukiwaniu wyżej położonych terenów. Hałas jest nie do opisania: ryczące kaskady wody, syczące gejzery, bębniący stukot kopyt, grzmoty na niebie, a ponad tym wszystkim krzyk ludzi. Krzyczą tak, jak nigdy jeszcze dotąd – tak wiele głosów, że staje się to jednym wielkim, rozdzierającym ucho wrzaskiem. Niektórzy ludzie zarzucają liny i przywiązują się do grzbietów silnych zwierząt, wiedząc, że one dotrą do wysokich wzniesień znacznie szybciej niż ludzkie nogi.

A muszą tam dotrzeć. Dolina poniżej jest już teraz wzburzoną morzem, szybko wznoszącą się w górę. Jeszcze tylko kilka minut, a woda osiągnie i zaleje tę równinę, a wtedy arka Noego uniesie się na niej! *W porządku, moi żołnierze, to jest to: unieście się w górę i wykorzystajcie swoje siły z uwagą; nie mam pojęcia, jak długo będziecie musieli tam pozostać.*

Unoszą się więc w górę wyjącego nieba, a przez zasłonę deszczu widzę jak czterech najbardziej lojalnych współpracowników Zedrona zabiera go z zalanej powierzchni ziemi. Nadal ma grupę oddziałów, które chciałyby, aby to on dowodził. Zadbają więc o to, aby przeżył cały sztorm.

23 dzień potopu

Minęło już ponad dwa tygodnie, a woda nadal wylewa się z nieba! Nie widać tego końca, a powietrze jest nieustannie rozdzierane błyskawicami, które ucinają poszarpane żyły ognia, jakie przeryniają obrzeża czarnych chmur. Po raz pierwszy, od chwili pamiętnego tunelu czasu, obawiam się o własne przetrwanie. Wiatr jest straszliwy, a ogromny sztorm z wściekłością porusza światem, sprawiając wrażenie, jakby wszystko chciało powrócić do czasu sprzed stworzenia. Nie ma śladu po rzeczach należących wcześniej do tej ziemi – żadnego łądu; nic, tylko wszędzie wzburzona woda. I nadal pada!

A z dala i z bliska można dostrzec jedynie rumowisko po zniszczonym świecie, w jakim żyli ludzie – resztki drewna z ich domów, mebli, koła powozów, ciała. Wszystko to balansuje na wodzie w ogromnej ilości. Ciała ludzkie nadal przyłączone do tych rzeczy, które zdawały im się dobre do zagwarantowania, że utrzymają się na wodzie. Jednak potem, po trosze, ich uchwyt musiał stawać się słabszy podczas szalejącej burzy i znikali z pola widzenia, tonąc.

Moje królestwo rozplywa się. *Czy i ja razem z nim zginę?*

Dzień 40

Nareszcie przestało padać. Dzisiaj rano, poprzez maleńką szczelinę w chmurach, mogłem zobaczyć, po raz pierwszy od ponad miesiąca, słońce. Ustał też wiatr, i chociaż ocean pode mną nadal pulsuje przeogromnymi falami, wszystko powoli zaczyna się uspokajać.

Przez moment pocieszałem się próżną nadzieją, że arka Noego nie przetrwała tej burzy. Faktycznie jednak wiedziałem lepiej: strzegli ją najpotężniejsi aniołowie z Królestwa Światła. Raz jedna z narowistych fal, jakby potwór z cyklu tych, które rozkołysały cały ocean, spadała prosto na statek. Wspięła się tak wysoko, że znalazła się znacznie ponad olbrzymim okrętem, ale Ramitan rzucił się pod tę falę tak, że ściana wody rozbiła się na nim i rozplynęła się. Ramitan wzbudza we mnie grozę. Dobrze go pamiętam: jest głównym dowódcą Drugiego Echelonu – i kiedyś znajdował się pod moim dowództwem!

Tak więc to, co najgorsze, już minęło. Nie obawiam się teraz o moje życie. Jednak mocno zostaliśmy pobici przez tę burzę, a straty na morale mojej armii okazały się olbrzymie. Teraz jedynie możemy czekać, by zobaczyć, co stanie się potem.

Tydzień 18

Minęło już osiemnaście tygodni – męczących, straszliwych tygodni, które zredukowały nas do zwykłych, wytrwałych przeżytków. Cały glob stał się przegigantycznym, bezbrzeżnym morzem i nie mamy miejsca, aby spocząć nawet przez chwilę.

Jak bardzo pragnę już lądu!

Niepewny czas; około 5 miesięcy

Jestem tak osłabiony, że nie potrafię już nawet dokładnie wyliczać czasu, ale dzień dzisiejszy wyznacza punkt odrotu. Popołudniu zauważyłem jakiś ślad lądu – szczyt góry ledwie widoczny nad horyzontem, pierwszy, jaki dostrzegłem od miesięcy. Tak więc woda cofa się! Zaczął wiać wiatr. Myślę, że Wszechmogący zaczyna wysuszać tę ziemię i gromadzić z powrotem wodę wziętą z góry, na jej poprzednie miejsce.

Czas? Około 6 miesięcy

Nadal wyłaniają się wierzchołki gór, wznosząc się nad cofającym się oceanem, zaś woda pędząca po ich zboczach, zmywa glebę z wyższych szczytów, pozostawiając widoczny nagi, granitowy szkielet samej ziemi. Zaczynają się pojawiać całe łańcuchy gór, a wiele z nich zostało obnażonych do samego kamienia. Przykrywająca je kiedyś ziemia, spłynęła w dół poprzez kaniony i spoczywa na wielkich zboczach u samego ujścia wąwozu. Wzdłuż tych nachyleń pojawiają się głazy. Wiele z nich jest tak dużych jak domy. Opadają one i toczą się po stokach jak liście w podmuchu wiatru.

Jakaż scena spustoszenia!

Czas? Około 10 miesięcy

Minęły już miesiące od rozpoczęcia potopu i w końcu ziemia stała się sucha, ukazując, co stało się z tą planetą. Niewiele można rozpoznać. Tam, gdzie kiedyś znajdowały się góry średniej wielkości, pokryte glebą i roślinnością, teraz sterczą ogromne szczyty z gołego granitu, sięgające tak wysoko, że mam wątpliwości, aby jakiś człowiek potrafił długo wytrzymać na ich wierzchołkach. Wydaje się jasne, że została złamana skorupa ziemi; masywne łańcuchy górskie zostały wypchnięte w kierunku nieba, podczas gdy głębokie otchłanie najwidoczniej otworzyły się w dnie morskim, aby zgromadzić wodę, która przykrywała ziemię.

Jak strasznie wygląda ten świat! Teraz glob w większości pokrywa woda – chyba tylko jego czwarta część nie jest zalana! Wzgórza, które kiedyś obfitowały w lasy i zieleń, teraz są mieszaniną masy połamanych pni, ostrych jak zęby psa i pozbawionych życia. Pędząc w dół, aby dotrzeć do kanionów na dnie oceanów, ustępujące wody potopu zgarnęły z sobą wiele najlepszej gleby. Tak więc najżyźniejsze tereny uprawne na ziemi znajdują się obecnie pod morzem, co oznacza, że ludzkość będzie miała wielkie wyzwanie, aby zdobywając żywność, utrzymać się przy życiu.

Będą i inne wyzwania. Jeśli – a wydaje się to oczywiste – skorupa ziemi uległa zniszczeniu, w takim razie jej powierzchnia będzie prawdopodobnie niestabilna, skłonna do nagłych, gwałtownych trzęsień. Przecież pęknięta skorupa pod powierzchnią przemieszcza się i porusza. Nikt nigdy nie będzie wiedział, kiedy nastąpi wstrząs ziemi, niszczący wszystko, co zbudowali ludzie na danym terenie. Czy kiedykolwiek doprowadzi ich to do szaleństwa z powodu troski o życie?

Miesiąc 11, tydzień 2, dzień 4

A więc ponownie pozbierałem się z odliczaniem czasu. Minionej nocy miałem możliwość ustalić pozycje gwiazd. To samo zrobił Marconides i nasze kalkulecje były zgodne – znamy więc teraz dokładnie miesiąc i dzień. A co ważniejsze, to samo robi Noe, który już mówi swojej rodzinie, aby przygotowała się na Szabat, mający nastąpić za trzy dni! Miłosierdzia! *To* także przetrwało! Miałem nadzieję, że w zamęcie tego sztormu Noe może zatracić poczucie czasu. On jednak każdego dnia robił sobie znak na ścianach kadłubu, aby nie stracić Szabatu, w wyniku czego ludzie utrzymali wraz z sobą dzień kultu, gdy tylko wyszli z korabia. Mam obrzydliwy nastrój i przez chwilę staram się rozerwać myśli poprzez chęć zaatakowania Noego fizycznie. Jednak wystarczy mi tylko jedno spojrzenie na Straże, którymi jest on otoczony i decyduję, że lepiej dla mnie będzie, gdy po prostu pozostanę w moim posępnym nastroju.

Faktycznie, w tym całym zamieszaniu podczas sztormu, zgubiliśmy Noego z pola widzenia, ale Celstus podjął się poszukiwań. Dojrzał, jak zwierzęta wę-

drują wzdłuż wąskiego górskiego wąwozu, następnie poszedł ich śladem z powrotem w górę – i, co oczywiste, tam stała arka, oparta wysoko na zboczu góry, na północ od rzeki Eufkrat. Grupa Noego rozbiła obóz niedaleko od kadłuba statku i już zajęła się rozbieraniem go, używając jego części do wybudowania surowych chat. Pomieszczenia stajenne dla zwierząt zostały wyjęte na zewnątrz, aby tworzyć zagrodę dla bydła domowego. Zaczęli także wytwarzać narzędzia potrzebne do uprawy roli. Jak zawzięcie pracują ci ludzie po to, aby przetrwać! Nie jest to łatwe, ale będą odbudowywać wszystko, a wkrótce znowu rozpoczną zaludniać ziemię. Potem nasza praca zacznie się na serio.

Tak więc wojna rozpoczyna się po raz drugi. Ludzkość będzie się rozwijać z tą straszliwą mocą, z jaką musieliśmy się zmagać już od Edenu, a my ponownie będziemy musieli monitorować wszystkie narodziny, ponieważ każdy nowy człowiek może się okazać naszym kosmicznym Wrogiem. Przez prawie rok musieliśmy walczyć o przetrwanie i wszyscy jesteśmy wyczerpani. Przetrwaliliśmy nie osiągając zwycięstwa, a jedynie po to, aby zobaczyć jak niemal literalnie nasz sukces został zmyty. Teraz musimy wszystko rozpocząć od nowa – tym razem jednak na zrujnowanym świecie, na miejscu, które dziś jest tak samo brzydkie, jak kiedyś było piękne.

Rozdział 8

Jeden świat, jeden Mistrz

Miejsce: równina rzeki Eufrat

Surowe góry, wielki i dziki ocean – potop pozostawił swoje skutki wszędzie. Nawet klimat się zmienił. Kiedyś cała planeta przepelniona była roślinnością, ale teraz, na niektórych miejscach niemal nieustannie pada deszcz, podczas gdy pozostałe mają bardzo niewiele wilgoci. Rozległe pustynie rozciągają się jak lądowe oceany, na których fale piasku poruszają się bezcelowo, a życie tam ograniczone zostało do zaledwie kilku odpornych gadów i dziwnych, ciernistych roślin. Inne miejsca pokryte są lodem, który rzeźbi krajobraz w przedziwne, nowe formy. Również cykl pór roku prowadzi od zmarzniętego ubóstwa do trudnego do zniesienia letniego upału.

Przez długi czas najbliższa rodzina Noego pozostawała na górze, ponieważ bardziej odpowiadało im surowe życie w wysoko położonym kraju, niż na poniżej leżącej pustyni. Ale gdy urodziły się dzieci, a potem wnuki, ich podejście do tego zaczęło się zmieniać. Z każdym nowym pokoleniem lekcje płynące z potopu zdawały się blednąć, zaś ludzie zaczęli uchodzić w dół, w kierunku kraju równinnego, gdzie rzeka Eufrat wędruje w stronę bezkresnego horyzontu. Tam nie musieli już odczuwać ataku białego zimowego chłodu. Natomiast lato było bardzo gorące, wkrótce więc wybudowali sobie takie domy, które chłodzone były powietrzem pompowanym przez spoconych sług, którzy pracowali na zewnątrz w upale. (Tak, ludzie szybko ponownie nauczyli się idei Zedronna o niewolnictwie: zaledwie w kilka pokoleń silni wojownicy zniewolili sobie słabych.)

Teraz pokolenie Noego już wymarło, jego siedziba na górze opustoszała, a ludzie chętniej wybierają możliwość wspólnego życia w miastach, które sobie pobudowali nad rzeką Eufrat. Gromadzą się razem w takie skupiska, jak Erech, Akkad i Calneh, a ja w tych miastach odniosłem wielki sukces, szczególnie wśród ludzi młodych. To oni właśnie są bystrzy i ciekawi, mają jednak fatalną słabość: chętnie próbują wszystkiego, co wydaje się być zabawne i często nie rozważają nawet długofalowych konsekwencji tego, co czynią. W wyniku tego często podejmują próby, które stawiają ich całe przyszłe życie w stanie ryzyka – a jest to właśnie taka możliwość, jakiej szukamy.

Pewnego dnia, około trzy lata temu, Ronkar, jeden z dowódców wojowników, przyszedł do mnie całkiem podekscytowany odkryciem, jakiego dokonał u podnóża gór na północy.

– Mistrzu – powiedział ze zwyczajowym ukłonem – znalazłem coś u podnóża gór, co może się stać przydatne. Rozumiem, że to tylko moje domniemanie,

ale jeśli mam rację, być może znaleźliśmy narzędzie, które zamieni ludzi w dobrowolnych niewolników.

Przed wojną, Ronkar był specjalnym posłańcem, którego często wzywano na miejsca stworzenia. Wielokrotnie był świadkiem stwarzania, zarówno Archelionu, Paralese, jak też formacji Meldar 6. Poza tym jest on niezwykle utalentowanym uczonym. Kiedykolwiek mówi na temat materii lub chemii, wszyscy słuchamy. Zaintrygowała mnie więc teraz jego propozycja.

– U podnóża gór rośnie kwiat, który wydaje się, że przeszedł pewne mutacje od czasu potopu. Poniżej kwiatostanu znajduje się coś w rodzaju cebulki. Kiedy się to otworzy, owa cebulka wydziela substancję, która, jak myślę, będzie miała wpływ na mózg ludzki.

– W jaki sposób?

– Jak sądzę, wytworzy to intensywną euforię, przypominającą tę, jaką odczuwał Adam w Edenie; taką, jaką odczuwaliśmy jeszcze zanim...

Dyskretnie zatrzymał się w tym miejscu, bez wątpienia dlatego, aby nie wprowadzać mnie w zakłopotanie. Wszyscy pamiętamy to odczucie dobra, jakie mieliśmy u tronu, tę pozbawioną kłopotów radość wypływającą ze świadomości, że nic nie ułoży się źle. Od czasu do czasu słyszę, jak moi żołnierze rozmawiają o tym tęsknym tonem i zawsze milkną, gdy tylko zauważą, że znajdują się w pobliżu i mogą usłyszeć. Ludzie także mają takie intensywne pragnienie tej radości, tak jakby głęboko w swoich genach zakorzenioną mieli tęsknotę za Edenem.

Nauczyl się, i to na długo przed potopem, że zepsuta ilość soku gronowego potrafi dać im kilka godzin rozkoszy i już wtedy pozwolili sobie na pijaństwo. Ale nowy pomysł Ronkara obiecywał taki poziom kontroli z naszej strony, jakiego nigdy wcześniej nie udało się nam osiągnąć.

– Jak sądzę, w efekcie działanie tej substancji wielokrotnie wyprzedzi alkohol – kontynuował. – Chemia wydaje się udowadniać, że będzie to tak intensywne, iż stanie się poza kontrolą. Jeśli ktoś tego spróbuje, będziemy mieli nad nim władzę.

Ponaglając go, aby posuwał się dalej w swoim pomysle, wyznaczyłem cały legion pracowników, którzy mieli asystować w tym projekcie, a jego teoria okazała się słuszna. Wprowadzona do ciała ludzkiego, substancja ta wytwarza krótkie, wspaniałe sny o raj, tak jakby sam kwiat posiadał w sobie wspomnienia dawno utraconego Edenu. Ale gdy te skutki jej działania przeminą, pozostaje straszliwie puste pragnienie. Marzenia znikają, a ciało domaga się tej substancji, aż człowiek nie pragnie już niczego więcej, jak tylko zdobycia jej znowu.

Ludzie szybko wymyślili wszelkiego rodzaju sposoby produkowania tej trucizny, a wkrótce podnóża gór pełne były młodych ludzi z Akkadu i Calneh, którzy zbierali te kwiaty, ładowali je na osły i zawozili do miast. A tam bawili się, aż do upadłego. Ci, którzy wśród nich byli bystrzejsi, widząc, jaki efekt

wywołuje ten narkotyk, dyskretnie starali się go nie używać. Przykładali się jednak do sprzedawania go tym mniej rozumnym, wkrótce więc ci, zapowiadający się przedsiębiorcy, mieli worki ze złotem. Jednak ich radość była krótka: pewna grupa wojowników odkryła, że poprzez kontrolowanie terenu podnóża gór, mogą mieć władzę nad tymi, którzy chcieli zbierać kwiaty, poprzez zdobycie na własność tego terenu i domaganie się potem jeszcze wyższych cen za substancję, której i tak nikt nie potrafił się oprzeć. W taki sposób pojawiła się nowa grupa niewolników – niewolników z własnej woli, którzy gotowi byli zrobić wszystko dla zdobycia małej ilości tego uzależniającego narkotyku.

Tak więc odniosłem niezwykle sukces w neutralizowaniu nowego pokolenia w Synear. Są młodzi i bystrzy, ale nie myślą o przyszłości. Ich rodzice, którzy także popełnili wiele głupich błędów młodości, mogliby dopomóc swoim dzieciom ostrzegając ich. Ale w tych miastach rodzice są zajęci, niewiele poświęcają czasu swoim dzieciom, zaś w konsekwencji tego młodzi ludzie próbują biec przez życie wraz z grupami swoich rówieśników. Wkrótce nie słuchają już nikogo oprócz ludzi w swoim wieku; jest to tak, jakby powstawał mur pomiędzy pokoleniami ludzi, gdzie nikt nie chce uczyć się od drugiego, a ja z sukcesem mogę kolejny raz wykorzystywać te same metody, znowu i znowu. Gdy zaś chodzi o powściągliwość, ludzie zdają się być niezdolni do uczenia się czegokolwiek od siebie.

Jacyż to głupcy! Jeśli komukolwiek z moich żołnierzy nie udaje się osiągnąć swojej misji, wszyscy analizujemy, co poszło źle, abyśmy uniknęli powtórzenia błędu, ale ludziom zazwyczaj nie udaje się skorzystać i wyciągnąć wniosków z błędów kogoś drugiego. Jak bardzo ułatwiają mi pracę! Rozkoszuję się ich głupotą, ale także pogardzam nimi za to.

Tak, muszę próbować utrzymać ich na tym miejscu, tłoczących się razem w ich miastach. Tutaj stają się łatwym łupem.

Pięć lat później

Dzisiaj przyszedł do mnie Marcolith z pomysłem, który jest prawdziwie genialny.

– Mistrzu – powiedział, szybko rozglądając się w koło, czy nie jest podsłuchiwany. – Wiele czasu upłynęło już od potopu i odbudowaliśmy wiele z twojego imperium. Myślę, że nastał czas, aby spróbować znowu stworzyć jeden świat, – planetę podporządkowaną całkowicie tobie. Niemal udało nam się to osiągnąć w czasach Noego. Tym razem, jak sądzę, może się to spełnić. Mam plan.

Słuchałem go z niepodzielną uwagą.

– Generale Marcolith – odpowiedziałem – proszę kontynuować.

– Dotyczy to wieży. Doprowadzimy do tego, że zbudują wielką wieżę.

– *Wieżę?*

– Proszę, posłuchaj mnie. Nie mam na myśli lichej wieży, wysokiej na kilka głów. Mam na myśli wieżę, która wznosić się będzie do chmur – największą rzecz, jaką ludzie kiedykolwiek wybudowali.

– Ale po co? Co w końcu taka wieża...

– Mistrzu – przerwał mi – wysłuchaj mnie. Wiem, że pomysł brzmi dziwnie, ale pozwala nam osiągnąć wszystko, czego potrzebujemy. Po pierwsze, szukaj jakiegoś sposobu, by zatrzymać wszystkich na tym miejscu, w miastach, gdzie będziesz miał do nich łatwy dostęp. A to ci w tym pomoże. Projekt takiego rozmiaru zajmie całe lata. Podczas, gdy będą pracować nad jego realizacją, wszyscy będą tutaj, a im większa będzie wieża, tym bardziej będą z nią związani, dzięki swojej dumie.

Przytaknąłem, a on ciągnął dalej.

– Ale plan niesie w sobie jeszcze głębszą strategię. Jeśli zaplanujemy ją odpowiednio, ta wieża spowoduje, że sprzeciwią się Starodawnemu.

Teraz dopiero udało mu się ściągnąć całe moje zainteresowanie. – Jak?

– Czy pamiętasz jak, zaraz po potopie, obiecał, że ziemia już nigdy więcej nie zostanie zalana wodą? Tak więc planuję przekonać tych ludzi, że On może złamać swoją obietnicę i zesłać kolejny potop. Jeśli nie będą Mu wierzyć, pomyślą, że muszą znaleźć jakiś sposób, aby się ochronić i do tego potrzebna jest nam wieża! Czy nie widzisz tego, Mistrzu? Wieża jest wyrazem niewiary – w skali nigdy dotąd nieznanej w historii ludzkości!

– Marcolith! – wykrzyknąłem, przyznając zarazem, że założenia tego jego planu teraz stały się dla mnie zrozumiałe. – Całym kluczem do zbawienia ludzi jest wiara. Jeśli wyrażą swoją niewiarę w tak wielkiej skali i tak Go odrzucają, wtedy rzeczywiście mogą wygrać tę wojnę! W porządku, mój zaufany generale. Masz moją zgodę. Weź tak wiele legionów wojowników, ilu ci tylko potrzeba i spróbuj, aby ten twój plan zadziałał.

Odszedł, pociągając za sobą towarzystwo uległych pomocników, podczas gdy w moim umyśle zaczął się formować intrygujący obraz – kolosalnych rozmiarów wieża, wznosząca się ponad poziom chmur, pomnik, który stać będzie tak długo, jak długo istnieć będzie czas. Będzie dominował na horyzoncie pustyni, łapiąc pierwsze promienie światła o wschodzie słońca i płonąca czerwien zachodu. Ta góra cegieł, zbudowana z powodu zwątpienia, symbolizować będzie moje zwycięstwo.

Jeden lud. Jeden świat. Jeden mistrz.

Czas: 4 miesiące później

Wspaniała wiadomość! Odpoczywałem przez jakiś czas, poznając nie zaludnione tereny górskie, odległe stąd na północ i na zachód, a kiedy powróciłem, spotkał mnie Marcolith.

– Rozpoczęli, Mistrzu! – zawołał. – Pójdź ze mną od razu!

Poszedłem za nim nad brzeg Eufratu i zauważyłem tam duże odcinki dna rzeki oddzielone dla wydobycia gliny. W pobliżu rosły całe góry suszonej na słońcu cegły, ustawione stosami w równych rzędach, które ciągnęły się na więcej niż milę, podczas gdy w pewnej odległości robotnicy pracownicy poziomowali podstawę dla fundamentów samej wieży.

– Za trzy tygodnie rozpoczną budowę – Marcolith promieniał. – I nigdy nie uwierzysz, co udało nam się zrobić. Nie tylko udało nam się przekonać tych głupców, że potrafią wybudować wieżę wystarczająco wysoką, aby przeżyć kolejny potop, ale udało nam się wystrychnąć ich na dudka, doprowadzając do przekonania, że jeśli wieża będzie wystarczająco wysoka, wtedy będą mogli wybudować klatkę schodową prosto do nieba.

– Mówisz poważnie?

– Całkowicie. Ci idioci myślą, że potrafią wybudować drabinę prowadzącą do samego Królestwa!

Być może było to wynikiem zmęczenia podróżą, ale uwaga Marcolitha uderzyła mnie jako historycznie śmieszna. To wrażenie podwoilem jeszcze przez tak ochryply śmiech, że tłumy ciekawych wojowników zaczęły się przyglądać, bowiem większość z nich nigdy nie widziało mnie rozbawionego czymkolwiek. Pamiętam, jak zobaczyłem poszerzający się krąg twarzy gapiących się na mnie z niedowierzaniem, a potem moja histeria stała się zaraźliwa. Jeden za drugim z oglądających mnie, zaczynali się śmiać – chociaż nie potrafiłem powiedzieć, czy śmiali się z uwag Marcolitha, czy z widoku swego głównego dowódcy w tak beznadziejnym stanie.

W tym momencie, najwidoczniej zaalarmowany hałasem, Andrade pośpieszył ku nam. On także nie widział mnie nigdy rozbawionego i po prostu martwił się.

– Mistrzu! Jesteś na ziemi! Co spowodowało taki nastrój u ciebie...

– Andrade, czy widzisz tych idiotów tam, poza barierą, tych produkujących cegły? Czy wiesz, co oni myślą, że się im uda zrobić?

Błogosławiony błyskotliwym umysłem, ale niewielkim poczuciem humoru, odpowiedział bez jakiegokolwiek podniecenia:

– Oczywiście. Myślą, że pójdą prosto do nieba.

Na to wszyscy wybuchnęliśmy ponownie wrzaskliwą burzą historycznego śmiechu. Andrade wyglądał na zdziwionego, potrząsnął głową i wyszedł.

100 lat później

Cały wiek temu, gdy Marcolith zasugerował wieżę, nigdy nie pomyślałem, że projekt posunie się tak daleko! Zawsze było mi trudno uszanować istoty, którymi tak łatwo potrafię manipulować, ale być może powinienem przyznać tym ludziom trochę więcej uznania, ponieważ przynajmniej jako budowniczowie

wywołują naprawdę wrażenie. Wieża obecnie swoją wysokością sięga już ponad 300 łokci. Z brzegu rzeki pobrano takie ilości gliny, że miejsce wykopu poszerzyło się w swego rodzaju jezioro, a oni nadal jeszcze pracują! Ubiegłej zimy, pewnego dnia, nisko wisząca chmura nadciągnęła blisko robotników pracujących na najwyższym poziomie, a miasto wtedy triumfowało – zatrzymali prace na trzy dni, ogłosili święto, upiekli kilkaset zwierząt i – oczywiście – upili się w sztok. Wojownicy z terenów podnóża gór sprzedali wielkie ładunki kwiatów marzeń. Teraz używają ich także starsi ludzie (zamiast być przykładem dla młodych, zaczęli ich naśladować). Po takim świętowaniu upłynęło szereg dni, zanim byli w stanie znów powrócić do swych zajęć.

Jednak praca posuwa się dalej i powoduje, że wszyscy mieszkają tutaj, co znacznie ułatwia mi ich kontrolowanie. W tym czasie stanęli przed nowym problemem. Wieża jest tak wysoka, że robotnicy na jej szczycie nie mogą być dobrze słyszani przez tych na ziemi, tak więc gdy potrzebne są zapasy materiałów, informacje muszą być przekazywane w dół i w górę przez krzykaczy, którzy umieszczeni są na różnych poziomach tylko dla tych celów. Dostarczenie ładunku cegieł na szczyt może zająć szereg godzin, tak więc komunikacja stała się najbardziej żywotną częścią całego projektu. (Wyślij w górę zły materiał, a praca zostanie zatrzymana na cały dzień.)

32 dni później

Dzieje się coś bardzo dziwnego. Odczuwam obecność energii, jakiej nie odczuwałem już od wielu wieków. *Ruach!* To Jego energię czuję! On tu jest!

Ale co On tutaj robi? Dlaczego wywołuje u nas niepokój? Nie jestem zdegenerowany, ale gromadzę myśli, bowiem odczuwam nadejście kłopotów. Szybko wydaję rozkaz moim siłom: „Wracajcie. Jest tu Ruach. Możecie znaleźć się w niebezpieczeństwie!”

Większość z nich nie potrzebuje mojego ostrzeżenia, bowiem już także odczuli Jego energię, wzięli więc nogi za pas. Ludzie, niewrażliwi na Jego obecność, nadal pracują jak muły, wciągając w górę cegły, spuszczać w dół puste wiadra, nosząc wodę pitną dla robotników. Ale nagle coś złego się stało. Dwóch komunikatorów wyznaczonych do przekazywania informacji z odległych rejonów pracy, zaczęło zagniewanie na siebie krzyczeć. Są tak wysoko na wieży, że nie rozumiem ich słów, ale prawie poszaleli z wściekłości, wrzeszcząc całymi swymi płucami. Wygląda na to, jakby się nie rozumieli!

Ale to jest niemożliwe: zostali wybrani ze względu na swoją zdolność mówienia. Dlaczego więc awanturują się?

Niemal natychmiast Sentron, anioł-posłaniec, dociera do mnie.

– Oświecony Mistrzu – mówi rozpoczynając rytualny pokłon, jakiego oczekuje się od pracowników niskiej rangi. Zwykle sprawia mi to przyjemność, ale teraz

nie mam nastroju do takich ceremonii. Coś dzieje się niedobrego na mojej wieży i chcę od razu znać wszystkie fakty.

– Wystarczy, Sentronie – rozkazuję. – Co masz do powiedzenia?

– Mistrzu, nie potrafia już więcej ze sobą rozmawiać.

– Nie potrafia rozmawiać?

– Być może powinienem był powiedzieć, że nie potrafia się porozumieć.

Mówia, ale nie wydają tych samych dźwięków, a każdy myśli, że mówi zrozumiale, tak więc każdy jest zły, gdy drugi go nie rozumie.

Wystarczy. Mijam Sentrona nawet bez znaku podziękowania i pędzę w górę na miejsce problemu. Rzeczywiście, ludzie porozumiewają się w różnych językach i ani jeden z nich nie jest mi znany. Wykorzystując wsteczną percepcję, której często używałem do porozumiewania się z innymi formami życia, gdy znajdowałem się jeszcze w kosmosie, potrafię trochę zrozumieć z tego, co każdy z nich mówi, ale nie wszystko. Nawet i ja będę musiał się nauczyć tych nowych dialektów!

Jaka sprytna taktyka! Starodawny zareagował na nasz plan poprzez zaprogramowanie nowych paradygmatów językowych wśród moich naśladowców! Natychmiast widzę, co stanie się potem. Wieża nie pójdzie już w górę ani o jedną cegłę. To już przesądzone. Ale co gorsze, teraz ludzie utworzą grupy mówiące podobnym językiem, a każda z tych grup uda się na poszukiwanie jakiegoś miejsca dla siebie, w którym będą mogli żyć sami. Znalazł sposób na to, aby ich porzrzucać po ziemi!

Koniec dnia

Dokładnie tak jak się spodziewałem, zeszli z wieży, (jak całe szeregi mrówek), nadal klóćąc się pomiędzy sobą. Powoli jednak zrezygnowali z budowy ze względu na fakt, że zniewagi, jakimi miotali na siebie, nie miały sensu, bo nawet nie potrafili ich zrozumieć.

Gdy ludzie o podobnych językach zaczęli się odnajdywać, zaczyna mieć miejsce wielce ekscytująca paplanina, podenerwowana gestykulacja, układanie planów, a następnie oszalałego pędu w celu odnalezienia rodziny i przyjaciół.

Przy końcu dnia już rozpoczęła się wędrówka – najpierw małych grup ludzi, z wozami wysoko załadowanymi różnymi rzeczami, które oni tak bardzo lubią. Wyruszyli w kierunku pustyni w poszukiwaniu innej rzeki, innego terenu rolniczego, innego życia.

Kulminacja dnia występuje wtedy, gdy wszyscy opuścili już miejsce budowy. Ogromna ciemna chmura, nieodpowiednia dla tej pory roku, zmierza w kierunku wieży, a następnie wyrzuca z siebie straszliwą błyskawicę. Wtedy cała górna galeria wieży eksploduje, sypiąc cegłami jak deszczem po całym terenie. W niesamowitym podmuchu wiele z nich wpada do rzeki i znika. To tak, jak-

by Wszechmogący wysyłał niewypowiedziane poselstwo: wieża powraca na miejsce, z którego została wzięta.

Świat, który starałem się zjednoczyć, rozpierchnął się i stoję wobec najtrudniejszego wyzwania, jakie kiedykolwiek miałem podczas pobytu na tej planecie: teraz muszę podzielić moje siły, aby śledzić każdego człowieka, gdy ja równocześnie będę starał się nauczyć mnóstwa nowych języków. Aby było jeszcze gorzej, będę musiał wymyślić sposób, w jaki będę utrzymywał łączność z moimi porzrzuconymi siłami. Mało kiedy byłem aż tak zniechęcony.

Ale nie mam zamiaru odstąpić od mojego marzenia. Nie wiem jak, ale pewnego dnia zjednoczę ten glob. Jeden świat – nieomal już mi się to udało! No, ale pewnego dnia na pewno się uda.

Znowu się zjedną i będzie jeden świat. Jeden rząd. Jeden mistrz.

Rozdział 9

Dolina ognia

Rok: 2050

Przez ponad 2000 męczących lat walka stała się wściekła, a wszystko co mogę powiedzieć, to to, że liczby są po mojej stronie. Większość ludzi woli mnie, tak jak było wcześniej, ale jest zawsze kilkoro...

Ach, tych kilkoro! Zawsze kilka osób i oni stanowią problem: stają po stronie surowego kodu moralnego Narodzonego i są na moje podszepty tak odporni, że czasami odrzucają nawet najbardziej wyszukane pokusy! Przypominam sobie człowieka o imieniu Hiob. Jakim był on wyzwaniem! Uważnie organizowałem wszystko tak, aby powabne młode kobiety znalazły się na jego drodze, a on co robił? Odwracał głowę i nawet na nie nie patrzył! Jaką nadzieję mógłbym mieć w takim człowieku?

Ale dostałem szansę, aby sobie z nim wyrównać rachunki. Za życia Hioba zdobyłem wierność faktycznie całego świata. Powstrzymał się tylko on i kilku jeszcze innych. Zdecydowałem wówczas, że nadszedł czas na hazard: poproszę o audiencję u Starodawnego, udam się do tronu i będę się domagał, aby ten świat został mi dany na zasadzie większości głosów. Niemal wszyscy mieszkańcy tej planety wolą mój styl życia, dlaczego więc nie dać tej większości możliwości decydowania o sobie? Myślałem, że jest to całkiem sprytna odpowiedź na problem stawiany przez kilku oponentów, którzy zaprzeczają mojemu zwycięstwu.

Tak więc poprzez posłańca z Królestwa wysłałem moje żądanie spotkania i wkrótce otrzymałem odpowiedź, że mogę przybyć. Otwarto kanał, przez który mogłem powrócić i znowu znaleźć się w miejscu moich początków istnienia. Zapomniałem już jak jest tam jasno! Po tak wielu wiekach na ziemi nie byłem przygotowany na oślepiający poziom światła, musiałem więc mrużyć oczy i zasłaniać się przed blaskiem tronu.

Nigdy nie zapomnę wymiany zdań, jaka miała miejsce z Wszechmogącym.

– Skąd przychodzisz? – zapytał, jakby domagając się moich uwierzytelnień.

– Z Ziemi; przeszedłem ją wzdłuż i wszerz i uważam, że mam do niej prawo własności.

– Prawo własności? Chyba się mylisz. Czy wzięłeś pod uwagę fakt, że wciąż mam tam swoich naśladowców wśród ludzi, człowieka imieniem Hiob, który czyni tylko moją wolę?

Oczekiwałem takiej wypowiedzi, miałem więc przygotowaną odpowiedź.

– Oczywiście, że czyni to, czego sobie życzysz. Chronisz go przecież poprzez swoich Strażników. Nie mogę się do niego nawet przybliżyć. Ale zabierz tylko

swoich żołnierzy, dopuść mnie do niego, a stanie się taki jak wszyscy pozostali. Faktycznie, to zakładam się, że potrafię doprowadzić do tego, że będzie Ci w oczy złorzeczył.

Było to sprytnie wyzwanie, zaplanowane, aby wywołać powątpiewanie w umysłach lojalistów. W końcu, jak można powiedzieć, że otrzymałem równe możliwości, jeśli On chronił w nadnaturalny sposób tych jedynych ludzi, którzy byli Mu lojalni?

– W porządku – odpowiedział. – Usunę ochronę i możesz zbliżyć się do niego. Pozwalam ci jednak dotknąć jedynie tego, co posiada. Tylko jego nie dotykaj.

– Zgoda.

Oczekując, że uda mi się zachwiać wiarę Hioba, pośpieszyłem w kierunku Ziemi. Zdecydowałem, że powołam do służby specjalny szwadron moich najniebezpieczniejszych żołnierzy. Niektórzy z moich aniołów są szczególnie zjadliwi. Podczas wojny w Królestwie Światła coś stało się z ich mózgami. Nastąpiła u nich tak niebezpieczna demencja, że nawet my sami musimy obserwować ich z uwagą. Gdy jednak chodzi o niszczenie rzeczy, nie mają sobie równych. Zdecydowałem wypuścić tę grupę na Hioba. Odpowiedzieli z diabelską naiwnością. Większość ludzi nie rozumie, jak jesteśmy potężni – w jakim stopniu, jeśli tylko dana jest nam możliwość, potrafimy spowodować gwałtowne wydarzenia zarówno w rzeczywistości ludzkiej, jak i w świecie przyrody. Tego dnia moi wojujący aniołowie mieli pokazać właśnie to, co potrafimy, gdy tylko nie mamy związanych rąk.

Najpierw wykorzystali ludzkich sprzymierzeńców. Gawiedź jeźdźców sabejskich pojawiła się od strony pustyni. Zabili oni większość sług Hioba, a następnie uprowadzili wszystkie jego woły i osły, zabierając wielką część jego materialnego bogactwa. Potem moi wojownicy skierowali się do świata przyrody, rozniecając ogromną burzę z błyskawicami nad jego stadami owiec – fantastyczny spektakl, który pozostawił ziemię zaśmieconą tłącymi się ciałami ludzi i zwierząt. (Podobnie, jak poprzednim razem pozwolili jednemu śludze uciec, aby Hiob otrzymał wiadomość tak szybko, jak to tylko możliwe.)

Trzecia część ataku moich wojowników wykorzystala chaldejskich bandytów, którzy utworzyli trzy grupy najeźdźcze, ukradli całe jego stada wielbłądów i wzięli pod miecz wszystkich, co do jednego z jego hodowców tych zwierząt. W ten sposób zniszczyli Hioba całkowicie finansowo.

Potem zapytali mnie, czy jest jeszcze coś, co mogliby zrobić. Czy coś jeszcze? Chwileczkę! Wszzechmogący wyraźnie zabronił mi tknąć Hioba, ale nie powiedział ani słowa o jego dzieciach!

– Oczywiście, że jest jeszcze coś, co możecie zrobić – zdecydowałem. – Udajcie się i odszukajcie jego dzieci. Nie sądzę, abyście zauważyli, by ktokolwiek z Gwardii Strażników chronił je; nie przy ich sposobie życia. Jeśli możecie, pozabijajcie je wszystkie.

Po raz pierwszy od wielu wieków zauważyłem ślad uśmiechu na twarzy Barshoka, anioła, który zazwyczaj jest sam i ciągle rozmyśla. Mądrze jest do niego nie podchodzić, jeśli jako pierwszy nie odezwie się do ciebie.

Tak więc udali się, aby dokonać swego niszycielskiego dzieła i wykonali je z perfekcyjną dokładnością. Znaleźli dzieci Hioba przy dobrym samopoczuciu, zgromadzone w domu najstarszego z nich, jedzących, pijących i bawiących się hałaśliwie. Tak, jak się spodziewałem, nie było żadnych Strażników, którzy chronili to miejsce. Barshok wpadł na pomysł, aby wywołać tornado. Nadeszło z piskiem ze strony pustyni, przechodząc tą lub tamtą drogą, wsysając piasek i kamienie i wyrwijąc rośliny z korzeniami, a następnie skierowało się na dom. Całe miejsce eksplodowało, rozrzucając belki i pokrycie dachu we wszystkich kierunkach, a następnie mury zwały się do środka, miażdżąc potomków Hioba, jak robaki. Być może Barshok sprawił im niezamierzoną przysługę: przynajmniej tym razem nie będzie im dokuczała zgaga.

Tak więc w czasie jednego dnia wyrównałem rachunki z Hiobem. Stałem tuż obok niego, aby móc osobiście postawić go wobec pokus, kiedy dotrą do niego złe wieści. Pozostali przy życiu słudzy przybywali jeden za drugim, w podartych szatach, z zakurzonymi głowami, zawodząc ze smutkiem podczas zwiastowania złych nowin. Po przybyciu pierwszych dwóch, Hiob potrafił już przewidzieć, że przybędzie ich jeszcze wielu. Czekał więc oniemiały u wejścia do miejsca swego mieszkania, zgarbiony jak człowiek, który oczekuje zadanych razów. Kiedy wreszcie wszyscy już przybyli ze swymi opowieściami o ruinie, teraz ja zająłem Hioba swoją obecnością, a nic nas nie dzieliło; żadnych Strażników, żadnej ściany ochronnej, nic, tylko nas dwoje, jeden na jednego, człowiek przeciwko aniołowi. Jego jedyną obroną przede mną była teraz jego własna integralność i sama wiara, a nie sądziłem, aby to mogło wystarczyć.

Ale wystarczyło! Nigdy nie zapomnę jego słów: „Pan daje, i Pan zabiera; niech będzie błogosławione imię Pańskie”. (Cieszę się, że przynajmniej pomyślał, że jego nieszczęścia pochodzą od Boga, a nie ode mnie.)

No tak, zostałem pokonany, ale nie byłem przygotowany na to, aby się poddać w tej sprawie. Raz jeszcze udałem się do Królestwa, bowiem musiałem sprawozdać, jakie były rezultaty, a przygotowałem sobie jeszcze jeden argument.

– Oczywiście, że nadal w ciebie wierzy – powiedziałem. – Przecież nie pozwoliłeś mi go dotknąć. Człowiek chętnie podda się ze wszystkim, aby tylko uratować własne życie. Pozwól mi tylko dotknąć jego osoby, a zacnie cię przeklinać.

Patrzący aniołowie-lojaliści wydawali się być szczerze zdumieni – tylko tyle mogłem zauważyć, musiałem bowiem przedostać się z przymrużonymi oczami do jaskrawie błyszczącego piekła Zgromadzenia. Jak mi się wydaje, była to mieszanina emocji – przerażenia z powodu tego, co zrobiłem, i jednocześnie ciekawości, czy Hioba uda się złamać. Wszechmogący nie miał wyboru i odpowiedział raczej ze smutkiem.

– Dobrze, możesz go dotknąć. Ale nie wolno ci zabrać mu życia.

Zgodziłem się, obiecując sobie gdzieś w głębi, że zanim zakończę moje dzieło, Hiob będzie się *modlił* o śmierć.

Tym razem sam przejąłem dowodzenie, obrzucając jego ciało od głowy, aż po stopy wrzodami, które wydzielały cuchnącą ropę i wywoływały u niego ból nie do zniesienia. Następnie wpadłem na pomysł: dlaczego by nie zafundować Hiobowi jeszcze większego nieszczęścia, na które składałyby się bardzo zniechęcające uwagi ze strony jego znajomych? Dwa szwadrony moich najlepszych skautów znalazły więc trzech jego przyjaciół, którzy także przyznawali się do wiary we Wszechmogącego, lecz byli najeżeni wręcz niespotykaną dumą i tym kanałem mieliśmy dostęp do ich umysłów. Wysłaliśmy ich do Hioba, przez cały czas wypełniając ich uległe umysły ideą, że musi on być wielkim grzesznikiem, gdyż w innym przypadku Bóg nigdy nie pozwoliłby mu na takie cierpienie. W czasie, gdy dotarli do jego zrujnowanego domu, byli już całkiem zadowoleni z siebie – i przepelnieni zniechęcającymi radami.

O tak, była jeszcze jedna rzecz, co do której musiałem się upewnić: nic nie może się stać żonie Hioba. Oszałała z powodu utraty bogactwa i dzieci, zaczęła żałośnie zawodzić i wymuszała na Hiobie, aby uczynił dokładnie to, co obiecałem Starodawnemu, że na pewno się stanie. Kręcąc się wokół niego dniem i nocą, stale namawiała go do tego, by „przeklął Boga i umarł”.

A mimo tego wszystkiego, Hiob nie poddał się.

Często zastanawiałem się, czy odczuwał on, jak wielkiej wagi sprawy wszechświata zależały tylko od jego osamotnionej wiary? Gdyby był uczynił to, do czego namawiała go żona, wtedy powróciłbym do Królestwa, ogłaszając swoje zwycięstwo i zakończyłbym wojnę, mając własny świat. Ale niestety, moja gra nie powiodła się. Hiob wytrwał w tym, co tylko najgorszego potrafiliśmy na niego zesłać i nie miałem już powodu, aby powrócić do tronu.

I to wszystko przez tego jednego człowieka! Nadal go nienawidzę. Nienawidzę samego wspomnienia o nim.

Niestety, jak sądzę pojawia się kolejna taka osoba, a na imię jej Abram. Człowiek bogaty, zagorzały naśladowca Starodawnego, który mieszkał w portowym mieście Ur. Kilka lat temu nagle pozostawił swoje interesy i powędrował w daleką drogę do ziemi zwanej Chanaan. I widzę, jak wyłania się prawdziwy problem. Chanaan leży na skrzyżowaniu dróg tego świata. Każda trasa większych karawan przechodzi tamtędy. Od zachodu graniczy ta ziemia z morzem. Jak sądzę, mój kosmiczny Wróg zamierza, aby Abram ustanowił tu dobrosąsiedzkie kontakty, aby każdy, kto podróżować będzie przez Chanaan, mógł się zetknąć z Jego ideami. Wędrujące karawany zabiorą wszędzie Jego koncepcje.

Jestem zaniepokojony tym wyzwaniem, zwołuję więc nagle spotkanie Naczelnego Dowództwa.

– Wojownicy, zostaliśmy postawieni wobec nowej taktyki. Nasz wróg postawił jednego ze swych ludzkich sprzymierzeńców w najbardziej strategicznym miejscu na ziemi. Czy ktoś z was ma jakieś sugestie?

– To proste – rzucił Barshok. – Zabij go.

– Czy myślisz, że o tym nie pomyślałem? – zripostowałem. – Ale czy popatrzyłeś w jaki sposób jest on chroniony przez Strażników? Tylko się przybliż, aby go zranić, a prawdopodobnie pozostaniesz kaleką na resztę życia. No więc, ma ktoś z was jakąś sugestię?

Nastąpiła długa cisza, po której głos zabrał Meldibon. Należy do typu uczonych, którzy stale coś studiują, istot głęboko myślących; mówi powoli, ważąc każde ze słów.

– Nie potrafię rozwiązać twojego problemu taktycznego, Mistrzu, nie jestem bowiem taktykiem, ale mogę podać ci coś innego do przemyślenia. Przez dwadzieścia wieków wędrowaliśmy wszędzie przyglądając się, kiedy i gdzie pojawi się w postaci ludzkiej Narodzony. Nie potrafię jeszcze powiedzieć kiedy. W tej sprawie nie posiadamy wystarczającej ilości danych. Ale jak sądzę, teraz wiemy już *gdzie*.

Dwadzieścia cztery pary oczu wpatrzone są teraz w niego. Przyciągnął w pełni naszą uwagę.

– Pomyśl o tym, Mistrzu – kontynuował. – Gdy przyjdzie, na pewno będzie chciał, aby świat wiedział o tym. A teraz postawił najworniejszych swoich ludzkich sprzymierzeńców na najważniejszym miejscu tej planety. Myślę, że pojawienie się Boga-dziecka zdarzy się właśnie tutaj, w Chanaanie. I, jak sądzę, właśnie znaleźliśmy tę rodzinę, w której się pojawi. Myślę, że będzie to linia genetyczna Abrama.

Bez dalszych słów usiadł. Całe zgromadzenie uciszyło się. Przez długie chwile siedzieliśmy tak, gapiąc się w spokojnego naukowca, który właśnie odsłonił największą ze wszystkich tajemnic, przyjście Narodzonego. *Abram: jeden z jego potomków stanie się kosmicznym Gościem, któremu przyjdzie mi stawić czoło w osobistej walce.*

– No – odezwałem się w końcu – to oznacza, że nasza praca została już wykonana. Barshoku, szukaj każdej możliwości, aby fizycznie ugodzić Abrama. Nie sądzę, żeby stało się coś takiego, ale gdyby popełnił jakiś błąd i odsunął się od ochrony Wszchemogącego, będziesz miał krótką chwilę do działania. Czekaj na taką możliwość. Meldibonie, prowadź dalej swoje badania. Ciekaw jestem, czy da się określić, ile mamy jeszcze czasu. Chcę wiedzieć, kiedy, twoim zdaniem, pojawi się Bóg-dziecko. A my, Marcolith'ie, musimy razem usiąść do pracy. Poślij jeden legion swoich najlepszych wojowników, aby się trzymali Abrama tak blisko, jak to tylko możliwe. Obserwuj jego każde posunięcie. Od teraz stanie się on centrum całej naszej strategii. Jeśli to będzie możliwe, musimy znaleźć sposób, aby tak go ograniczyć, by nie mógł czynić tego, co jest zamiarem Starodawnego. A więc wszyscy macie już zadania. Powodzenia!

Gdy tak wychodzili, zdałem sobie sprawę, że nadszedł czas, abym pojednał się z Zedronnem. Na wrogów we własnych szeregach nie mogę sobie pozwolić. Potrzebny mi będzie każdy.

Rok: 2083

Obserwowaliśmy Abrama przez wiele lat i, mówiąc szczerze, zacząłem już zastanawiać się, czy nie przesadziliśmy z tym nadaniem mu aż tak wielkiego znaczenia. Wcale nie wysiłał się, aby zdobyć ten teren, decydując się raczej na życie w namiotach, tak jak obcy nomadowie, z obozem rozłożonym na cichym zboczu góry, niedaleko doliny Sodomy. Marzy o tym, aby mieć syna, ale jego żona Sarah, wydaje się być niezdolną do tego, aby urodzić dziecko, a człowiek ten powoli starzeje się. Zastanawiam się, czy Meldibon się nie mylił. Jak może urodzić się Bóg-dziecko z linii Abrama, podczas gdy jego żona jest bezdzietna?

Tak więc czekam i zastanawiam się, a w tym czasie moi pracownicy zajęci są ciężką pracą w poniższej dolinie. Ciesząca się błogosławieństwem ciepłych zim i bogatego handlu przechodzących tędy karawan, Dolina Sodomy stała się miejscem łatwym do życia i skłaniającym do przyjemności. Ludzie są tu bogaci i znużeni. Zauważyłem więc, że podatni są bardzo na każdą formę niszczącej pokusy. Dlatego uczyniłem ich niewolnikami swojej własnej lubieżności seksualnej.

Niewiele rzeczy doprowadza mnie do takiej wściekłości, jak zdolność ludzkiej reprodukcji. Jeśli sięgnąć wstecz, to właśnie to postawiło mnie po raz pierwszy na drodze buntu. Te istoty niższego rzędu zostały obdarowane mocą, której nawet ja nie posiadam. I sądzę, że to właśnie dlatego mam taką przyjemność, gdy sprzeciwiają się tej mocy, a w Sodomie pokusa łatwego seksu doszła do granic, jakich nawet sam nie oczekiwałem. Ludzie nie myślą tam o niczym innym. Faktycznie doszli w tym do takiej obsesji, że jest im już obojętne, kogo atakują – cudze żony, małe dzieci, czy nawet siebie wzajem. Prowadzący karawany nauczyli się już, że gdy wjeżdżają do Sodomy, muszą to czynić albo licznymi grupami, albo też wynająć w celu ochrony najemnych żołnierzy, bowiem każdy obcy człowiek, który nie jest otoczony dobrze uzbrojonymi strażnikami, może spodziewać się tam molestowania seksualnego. Nawet wojowniczy Chanaanici zamieszkujący drugą stronę góry, omijają to miejsce i ostrzegają swoje dzieci przed udawaniem się tam.

Zaledwie niewiele mil stąd znajduje się miasto Gomora, gdzie odniosłem podobny sukces. Tak więc szybko opanowuję tę dolinę do takiego stopnia, że żaden naśladowca Narodzonego nie będzie tu bezpieczny. (Bratanek Abrama, na imię mu Lot, wybrał sobie Sodomę za dom, ale mam już plany, jak sobie z nim poradzić, a wtedy cała dolina będzie moja.)

Rok 2102

Minęło szereg lat od mojego ostatniego wpisu do tego pamiętnika. Ale nic specjalnie ważnego się nie wydarzyło. Abram prowadzi swoje ciche życie w górach, a ja stoję blisko, obserwując każde nowe zdarzenie.

Mówiąc szczerze, to nie potrafię nawet tego określić, co się dzieje. Abram ma już niemal 100 lat, Sarah ma 90 i nie ma żadnego sposobu, aby mogli mieć oni dziecko. Przed potopem ludzie starzeli się bardzo wolno, a dzieci rodziły im się przez całe wieki, ale teraz już tak nie jest. Długość ich życia zmniejszyła się do krótkiego odcinka w stosunku do tego, co było przedtem, a całe wieki minęły od czasu, gdy dziewięćdziesięcioletnia kobieta rodziła dzieci. Co więc zrobić z teorią Meldibona na temat Abrama i Boga-dzecka? Teraz już nie wydaje się to możliwe. Gdy tak przyglądam się ziemi, to nie widzę nikogo innego, komu Wszechmogący mógłby powierzyć tak ważną misję i to właśnie mnie niepokoi. Jestem trochę zagubiony w tym wszystkim, ale trzymam się blisko Abrama, aby zobaczyć, co się stanie.

Jak się wydaje, teraz nic szczególnego się nie dzieje. Jest popołudnie, z odległego morza dociera przyjemny powiew, a ja z przyjemnością spędzam chwilę relaksu. Lecz nagle mój moment zadumy zostaje przerwany. Drogą nadchodzą trzech mężczyzn. Dla każdego człowieka wyglądają oni na trzech zwykłych wędrowców, lecz ja natychmiast widzę kim są poprzez zewnętrzną powłokę. To nie są ludzie: są to goście z Królestwa. Energia przenika ich zewnętrzne człowieczeństwo, jakie przybrali i lśni na całej górze. Chwileczkę! Jeden z nich – *jeden z nich, to On!*

Tak, wcale się nie mylę: to jest Narodzony, przebrany za człowieka! Dlaczego? Czy przeszedł, aby ze mną walczyć? Czy *nastał właśnie ten czas*? Mam przy sobie niewielką grupę straży, wzywam ich więc natychmiast, ale nie mogą sobie poradzić z mocą, jaka właśnie idzie ścieżką w górę, w kierunku namiotu Abrama. Wielkie nieba, co mam robić?

Przez moment myślę o ucieczce. Na zachodnim oceanie jest ziemia, która nadal jest jeszcze pusta. Żadna dusza na tej planecie jeszcze jej nie odkryła. Na jej odległym, zachodnim brzegu znajduje się rejon wysokich, surowych gór, pocięty potwornie głębokimi kanionami, miejscami dobrymi do ukrycia. Przez moment zastanawiam się nad różnymi możliwościami. Potrafiłbym tak przyspieszyć, aby przejść barierę czasu i znaleźć się tam w przeciągu jednej ziemskiej godziny, ale wtedy moje siły dowiedziałyby się, że uciekłem i nawet Zedronn mógłby mnie usunąć. A oprócz tego, wiem o tym dobrze, że przed Królestwem nie ma ukrycia.

Nie, pozostanę i zbliżę się, aby zobaczyć, co stanie się potem.

Ten człowiek, Abram, słysząc ich kroki, wstaje, schylając się nisko, jakby ci surowo wyglądający obcy przybysze byli królewskiego pochodzenia. Powraca do namiotu, wypowiada kilka słów, których nie potrafię usłyszeć, lecz wkrótce jego żona w pośpiechu podąża do spiżarni i zaczyna przygotowywać chleb. Myśli, że są to zwykli strudzeni wędrowcy i ma zamiar ich nakarmić! Nadal przybliżam się, gdy odzywa się jeden z przybyszów.

– Za rok twoja żona, Sarah, urodzi syna.

Te słowa mrożą niemal wszystkie moje kości. *To mówi sam Narodzony!* Syna! Dziecko – cud! Przez całe swoje życie małżeńskie Abram i Sarah marzyli o tym, ale niestety, bez skutku. *To może być sposób, w jaki Narodzony przyjdzie na ziemię!*

Usłyszałem wszystko, co potrafię wytrzymać. Uciekam w samą dolinę Sodomy i patrzę się tępo na wschód, w kierunku pustyni, za którą rozpościera się gorąca dolina łatwego życia i jeszcze łatwiejszego grzechu. Ta ziemia jest moją własnością. Za wyjątkiem Lota, ludzie, którzy tam mieszkają, także są moi. Egipt jest mój, Babilon jest mój. Przy pomocy Marconidasa, który właśnie tam działa, moją będzie też Niniwa. Ale Abram *nie* jest mój. A teraz obiecano mu syna!

Całymi godzinami martwię się, niepokoję, szukając jakiś planów, ale mój umysł jest pusty. Zedronnie, potrzebuję ciebie! Co ty byś zrobił? Jakie podjąłbyś decyzje? Musi coś być...

Siedzę tu już całą noc i gapię się w całe chmury gwiazd, które posuwają po niebie. Myślę o tym, jak kiedyś wędrowałem pomiędzy nimi i zastanawiam się, co przyniesie przyszłość. Powoli nadchodzi świt nad wschodnią pustynią i na horyzoncie pojawia się światło – ale jest to mroczne światło, dziwnie obleczone mgiełką, a gdy słońce pojawia się na niebie, widzę, jaki jest tego powód. Nad Sodomą i Gomorą znajdują się niesamowite słupy dymu, filary, które unoszą w porannym powietrzu jakieś trzydzieści tysięcy kubików, których szczyt ukształtował się w formę dwóch kubków; jakby grzybów, gotujących się w ogniu.

Rzeczywistość przenika mnie jak eksplozja słoneczna: Sodomy już nie ma! Nie ma moich miast! Tym jednak razem nie użyto wody, to był ogień!

Plan egipski

Rok: 2457

Rozkładając się na bogatym terenie delty rzeki, Egipt pławi się bogactwem zrodzonym w sercu Afryki, ciepłym nurtem Nilu. To tutaj cywilizacja ludzka wspięła się wysoko jak nigdy dotąd, a imponujące pomniki wznoszą się, obwieszając chwałą faraonów. I tutaj, w potężnym imperium, udało mi się osiągnąć jeden z najznamienitszych moich sukcesów w wojnie: mam tu wszystkich potomków Abrahama, a pracują jako niewolnicy!

Krótko przed śmiercią Abram zmienił swoje imię. Wszechmogący poddał go testowi wiary, jaki wydawał się zbyt trudny, aby człowiek mógł go przetrwać, ale cud to prawdziwy, że ten stary człowiek przeszedł go z sukcesem! Niewielu ludzi osiągnęło kiedykolwiek taką wyżynę zaufania, ale Abramowi się udało. Od tego czasu Królestwo nazwało go *Abraham*. Oznacza to „Ojciec Narodów” i potwierdza moje przecucie, że jeden z jego potomków urodzi Mesjasza.

Otoczyliśmy więc jego potomstwo najpotężniejszą armią, jaką kiedykolwiek wystawiliśmy i spoza bariery przestrzeni dokuczaliśmy im w każdy możliwy sposób. Gdy urodził mu się syn, Izaak, wielokrotnie starałem się go zabić, ale zostałem odparty przez Straże, a w wyniku tego chodzę teraz lekko utykając. Wiedziałem, że będzie to niebezpieczne, ale byłem zdesperowany, widząc wartości u Izaaka, jakie Narodzony na pewno będzie chciał posiadać w swojej ludzkiej formie.

Gdy Izaakowi urodzili się synowie, przebałem ich uważnie i wkrótce jednego z nich wykluczyłem. Na imię było mu Ezaw i nie miał on żadnego zainteresowania religią. Chciał jedynie polować i zabijać. Tym sposobem pozostał Jakub, drugi syn Izaaka – maminsynek, o gładkiej skórze i wysokim, piszczącym głose, zawsze przebywającego w kuchni. Poprzez proces eliminacji uznałem, że to on musi być przodkiem Mesjasza. Tak więc doprowadziłem do kłótni pomiędzy braćmi o to, kto odziedziczy majątek Izaaka, w wyniku czego Jakub, obawiając się morderstwa, uciekł na daleką pustynię, co w moim odczuciu całkiem bezpiecznie usunęło go na bok.

Niestety, to jednak nie zadziało. Pewnego dnia powrócił do Kanaanu; obaj bracia się pojednali, a potomstwo Jakuba liczy teraz kilka milionów ludzi.

To mogło stać się prawdziwym nieszczęściem, jednak Barshok przyszedł mi z pomocą. Spowodował ogromną suszę w Kanaanie, tak więc potomkowie Abrahama nie mieli wyboru, jak tylko udać się na południe, gdzie w egipskich spichlerzach

pełno było pożywienia. I tu ich złapaliśmy! Przez większość z 400 lat miesili błoto w egipskich cegielniach, dopomagając w budowie świątyń dla pogańskiej dynastii.

Ale chociaż bardzo wydaje się to dziwne, nadal się ich obawiam. Gdzieś tam bowiem wśród tych milionów znajduje się materiał genetyczny, z którego pewnego dnia powstanie mój kosmiczny Wróg, a ja muszę znaleźć sposób na przeciwstawienie się temu. Jest tylko jedno pytanie: *jak?*

Trzy tygodnie później

Wczoraj, Ronak, młodszy członek dowództwa, przyszedł do mnie z tak obiecującym planem, że podniosłem go z miejsca w randze o dwa stopnie wyżej.

– Mistrzu, możemy więzić tutaj tych Żydów, ale tak naprawdę nie rozwiązaliśmy problemu. Są ich miliony i jeśli będą nadal się tak rozwijać, ogon może zacząć poruszać psem. Może dojść do takiego buntu niewolników, który rozłoży całkowicie imperium.

– Nie myśl, że mnie to nie martwi – odpowiedziałem. – Czy masz jakieś rozwiązanie?

– Tak mi się wydaje. Spowodujmy u faraona wielką panikę, napełnijmy jego myśli widmem niewolników, którzy przejmują panowanie w jego królestwie. Mogę tego dokonać przy pomocy tylko jednego złego snu. Obudzi się śmiertelnie przerażony.

– A potem?

– Potem podsuniemy mu pomysł: niech wyda rozkaz, aby wszyscy hebrajscy mali chłopcy zostali zabici. To powstrzyma ich rozwój.

– Zgoda, Ronak – odpowiedziałem. – I to może dopomóc w osiągnięciu jeszcze jednej rzeczy: jeśli całe pokolenie chłopców wyginie, powstanie luka w linii genetycznej. *Jeśli odniesiemy sukces zabijając jednego z Jego przodków, wtedy Mesjasz nie będzie mógł się narodzić!*

Wysłałem Ronaka wraz z pewnymi specjalistami od snów do pałacu i następnego ranka faraon obudził się z krzykiem. Posłał po swoich doradców (którzy przybyli nieogoleni i na wpół odziani) i rozkazał im od razu przygotować dekret królewski, który jeszcze tego samego dnia zanesiono do Goshen – ziemi, gdzie mieszkali Hebrajczycy. Gdy herold przechodził ulicami, pozostawiał za sobą przerażający płacz matek, które niedawno urodziły chłopców. *Wszyscy dopiero co urodzeni chłopcy mają być wrzuceni do Nilu!*

10 miesięcy później

Wydaje mi się, że plan Ronaka działa! Egipcjanie patrolują ziemię Goshen, gdzie mieszkają Hebrajczycy. Wszystkie cięższe zostają zauważone i wszystkie narodziny kontrolowane, a gdy tylko urodzą się chłopcy, zostają natychmiast zabierani. Z genealogii Izraela zniknie całe pokolenie mężczyzn!

Rok: 2458

Tego popołudnia posłaniec przybiegł do mojej siedziby, ignorując wartowników i nie zważając na cały protokół. Nawet nie pokłonił się ani nie pamiętał, aby nazwać mnie Mistrzem. Właśnie udzielałem mu nagany, gdy wreszcie zaczął przekazywać swoje informacje.

– Lucyferze – wrzeszczał – Lucyferze, jeden nam uciekł! Nie wiem, jak udało nam się go przeoczyć, ale tak się stało. Dziecko, chłopiec hebrajski, on...

– Czy chcesz mi powiedzieć, że hebrajski chłopiec uniknął egzekucji egipskiej? – przerwałem, trzęsąc się z wściekłości.

– Tak, Mistrzu – odpowiedział, poprawiając się trochę w zachowaniu. – Co gorsze. Teraz znajduje się bezpieczny w pałacu.

– *Gdzie?*

– W pałacu. Ma go księżniczka i upiera się przy tym, aby go adoptować. Aby powiedzieć to jeszcze mocniej, on ma teraz ochronę dworu egipskiego.

Wybuchnąłem jak wulkan.

– Jak – wrzeszczałem – jak, w imię słodkiej śmierci, mogło się to wydarzyć! Jak mogło niemowlę, wrzeszczące, hałaśliwe niemowlę, zostać nie zauważone przez wszystkich wartowników i nasze wędrujące strażę? Jakim cudem dostało się w ręce Egipcjan?

– Nikt z nas tego nie wie; to jakaś tajemnica. Najwidoczniej Egipcjanie nie zarejestrowali tej ciąży, a my także jej nie zauważyliśmy. Dziecko się urodziło i tego także nikt nie zauważył, zaś potem matka uknuła plan, aby go utrzymać przy życiu. Jaki to spryt! Znasz prawo – chłopcy hebrajscy muszą zostać wrzuceni do Nilu. Ona wypełniła literę tego prawa, ale w sposób, który jej pozwolił na uratowanie dziecka. Włożyła je do pływającego koszyka, a ten puściła po Nilu! Nikt więc nie może powiedzieć, że przestąpiła prawo, a pewnego dnia księżniczka znalazła koszyk w rzece, gdzie udała się, aby dokonać rytualnej kąpieli. Jedno spojrzenie na dziecko i zakochała się. Co gorsze, wygląda na to, że księżniczka ma zamiar pozwolić matce dziecka na to, aby opiekowała się nim jako mamka. Tak więc wyrastać będzie w domu żydowskim i zdobędzie żydowskie wychowanie.

– Tak! – ryknąłem. – I to pod pełną ochroną samego pałacu! Ognie piekielne!...

– Ale w porządku – kontynuowałem, uspokajając się nieco. – Przyjąłem twoje sprawozdanie. Każ swemu przełożonemu oficerowi zgłosić się do mnie natychmiast wraz ze swymi zastępcami oraz grupą śledczą. Musimy poruszyć głowami. Marconidesie, zwołaj nadzwyczajne posiedzenie Wysokiej Rady.

Wiedziałem, nawet wtedy, gdy zgromadziła się rada, że nie był to tylko błąd. Byliśmy zbyt ostrożni, tak samo jak i Egipcjanie. To wymknęło się naszej uwadze, ponieważ w jakiś nadnaturalny sposób nie pozwolono zauważyć tych narodzin ani nam, ani Egipcjanom. Z tym musiał mieć coś wspólnego Narodzony.

Cała sprawa jest utkana według Jego planów, a oznacza to, że to dziecko musi mieć ogromne znaczenie. Zostało przeznaczone do czegoś znamiennego. Musimy być przy nim w każdej chwili.

Pięć tygodni później

Dziecku dano na imię Moshe. Teraz znajduje się w domu swoich prawdziwych rodziców, tam, w ziemi Goshen, zaś dwa razy w tygodniu, pod wielką strażą, zabierane jest w odwiedziny do pałacu. Dowiedziałem się, że jego matka – Żydówka, będzie mogła go zatrzymać tylko w jego dziecięcych latach, a potem zostanie zabrany do pałacu, by zdobyć książęce wychowanie.

Ale, pomyślcie tylko, to może być błogosławieństwem w przebraniu! Jakikolwiek plan ma dla niego Wszzechmogący, wszystko spełni na niczym, jeśli to dziecko wyprze się swego żydowskiego pochodzenia i zdecyduje na egipski styl życia. Zresztą, dlaczego nie miałby tego zrobić? Kto, posiadający możliwość wyboru, zidentyfikowałby się z rasą niewolników, gdy może wieść życie w pałacu? Ta sprawa może być łatwiejsza, niż mi się to wcześniej wydawało!

Wszystko jednak zależy od decyzji samego Moshe. Wysłałem cały echelon wojowników, aby go otoczył, ale zaraz usłyszałem zgiełk walki, gdy Gwardia odparła ich z powrotem na miejsce, z którego nie mogą dziecka wyrządzić żadnej krzywdy.

Rok: 2470

Moshe ma teraz dwanaście lat i dzisiaj był w ziemi Goshen po raz ostatni. Wsiadł do rydwanu, jaki został po niego posłany i został poprowadzony do pałacu. Tam właśnie rozpocznie surowe studia: naukę walki, dowodzenia wojskiem, rządzenia, poznawać będzie ogólną wiedzę i oczywiście religię egipską. To ostatnie zajmie go bardzo, bowiem Egipcjanie wymyślili sobie tak wiele bogów, że nawet ja mam trudności z zapamiętaniem ich wszystkich. Mam nadzieję, że dzięki burzliwej atmosferze w pałacu zdoła zapomnieć wszystko, czego nauczyła go matka na temat Starodawnego: i stworzenia, i potopu, i Szabatu. A w zamian za to zacznie oddawać cześć żabom i gwiazdom, jak i wszystkim innym nonsensom, w które wierzą ci pałacowi idioci, a my będziemy mogli przestać się martwić tym chłopcem, który został wyratowany z rzeki.

Rok: 2498

Minęły dziesiątki lat, a Żydzi nadal są niewolnikami króla egipskiego. W tym czasie, Moshe, teraz czterdziestolatek, jest wschodzącą gwiazdą na dworze egipskim. Często zastanawiałem się, czy Starodawny na początku nie miał dla nie-

go planu wyprowadzenia jego ludu z niewoli. Po co innego miałby strzec tak bardzo jego narodzin, zezwalając mu na przeżycie, gdy wszyscy inni ginęli? Jeśli tak, to plan się nie powiódł. Moshe wydaje się być w pełni Egipcjaninem i, jak sądzę, będzie wyśmienitym generałem. Opanował sztukę wojenną tak dobrze, że jest niezwykle szybki i niewielu jest takich, którzy chcieliby się z nim zmierzyć, nawet w rozgrywkach sportowych. Ma ręce zabójcy.

Pięć miesięcy później

Dzisiaj stało się coś, co może zmienić wszystko. Rano Moshe udał się w swoim rydwanie (sam, jak często to czyni, jest bowiem bardzo zręcznym jeźdźcem) i popędził w kierunku dołów ceglanych – jak gdyby coś pociągało go do ludu, w którym się narodził. Oznaki tego dawał już wcześniej, spierając się z kapłanami Isis i zmuszając ich do zastanowienia się nad religią Hebrajczyków. Miałem jednak nadzieję, że jest to rzecz, która mu przejdzie.

Niestety, nie miałem racji. Pod lnianą szatą i okryciem głowy, pod nieskazitelnymi zachowaniami dworskimi i wojskową zbroją – on nadal jest Żydem. Na pewnym oddalonym stanowisku pracy dostrzegł nadzorcę egipskiego, który bił jakiegoś Hebrajczyka – zbyt chorego, by mógł pracować. Twarz Moshe zajaśniała, jego oczy ciskały ogniem i nagle stał się artystą wojskowym: parą pięści i stóp, które szybko zamieniły Egipcjanina w krwawą miazgę. Pochował martwego nadzorcę w piasku, zaś chorego Żyda posłał do jego chaty, by odpoczął, sam zaś pojechał nad rzekę, zmył krew ze swoich rąk i stóp i powrócił do pałacu.

To zmusza mnie do przemyślenia wszystkiego! On może być tym, który wyzwoli niewolników, a ja muszę działać szybko.

– Oficer dyżurny! – krzyknąłem. – Proszę wysłać brygadę wojowników do chaty, w której mieszka chory Żyd. Sprawcie, jak tylko to będzie możliwe, aby mówił on o tym wypadku, żeby wieść ta rozniosła się bardzo szybko. Upewnijcie się potem, czy ta informacja dotarła do pałacu. A jak tylko wieści dotrą do króla, wypełnijcie jego umysł lękiem, że Moshe prowadzi swój lud do buntu. A teraz śpieszcie się!

Moje siły śpieszyły się tak, jak strzały wypuszczone z łuku wojownika. Moshe, myślę, że mam cię w pułapce! Taka nadnaturalna ochrona przy twoich narodzinach, wszystkie lata ciężkiej nauki, a ty zepsułeś wszystko jednym czynem pod wpływem impulsu!

Jakże egocentryczni są ludzie! Niemal zawsze polegają na sobie i nigdy nie zdają sobie sprawy, że właśnie tutaj, tuż za barierą czasu i przestrzeni, Starodawny utrzymuje całe armie, aby im dopomóc. Zazwyczaj jednak nie interweniuje, jeśli Go o to nie poproszą. W tym właśnie jest moja korzyść – *ja nie czekam, aż mnie poproszą!* Gdziekolwiek widzę ludzi działających impulsywnie, natychmiast wyruszam, w wyniku czego zazwyczaj doprowadzają do takiego zamieszania

nia w różnych sprawach – swoich własnych, swoich rodzin, a nawet Wszechmogącego! Rujnują Jego plany, tak jak właśnie uczynił to teraz Moshe.

Tak, był to fatalny jego błąd. Za dzień lub dwa, gdy wieść o tym dotrze do faraona, Moshe zostanie ubiczowany na śmierć na dziedzińcu pałacu, podczas gdy wszyscy dworzanie będą musieli patrzeć na to. Stanie się przykładem tego, co może się stać z ludźmi, którzy podlegają do rewolucji.

Dwa dni później:

To nie mogło się stać, a jednak: Moshe uciekł!

To wszystko jest moją winą! Powinienem był pomyśleć o jego militarnym wykształceniu i zdać sobie sprawę z tego, że posiada on doskonale umiejętności, które wykorzystał w ucieczce i wymówkach. Dowiedział się o tym, że są przecieki o jego czynie i w jednej godzinie zebrał podstawowe rzeczy potrzebne do przetrwania, ukrył je pod peleryną powozu i po cichu opuścił pałac – mijając tym samym cały regiment uzbrojonych strażników, którym jeszcze nie powiedziano, aby go zatrzymać. Specjalnie udał się do stajni, skąd pobrał rydwan i dwa wyśmienite wyścigowe konie, a potem, jakby w celu ćwiczenia przed nadchodzącymi wyścigami, udał się na południe, w kierunku królewskich terenów wyścigowych.

Będąc już tam, zrobił dwa okrążenia trasy wyścigów, głośno wychwalając swe rumaki, a potem beztrzesko poprowadził je w kierunku potoku, jakby chciał je napoić. Wtedy widziano go po raz ostatni, a teraz na dworze wytworzyło się istne piekło. Wysłannicy szukają go wszędzie. Faraon dostał niemal apopleksji ze strachu, że Moshe – uznany geniusz militarny – powróci, aby zorganizować niewolników do rebelii. Otoczono więc ziemię Goshen kontyngentem ciężko uzbrojonej armii. Całe królestwo opanowało niezwykle poruszenie, a faraon zaoferował 10.000 szekli temu, kto znajdzie uciekiniera, martwego lub żywego. Na pustyni pełno jest więc łowców.

Jednak Moshe był znacznie bystrzejszy od nich wszystkich. Zeskoczył ze swego rydwanu na twardą ziemię niedaleko potoku, a następnie przywiązał dzwonki Isis do ogonów obu koni. Jeden odgłos dzwonek, a konie spłoszyły się, wściekle pędząc przez pustynię i pozostawiając ślad, jakim chętnie powędrowali wszyscy tropiciele, którzy go poszukiwali. Po jednym dniu trop doprowadził ich z powrotem do stajni królewskich. (Faraon, bezsilny z wściekłości, rozkazał żywcem obedrzeć konie ze skóry, tak, jak gdyby w jakimś stopniu były one odpowiedzialne za przygotowanie ucieczki.)

Tak więc Moshe odszedł bezpiecznie, udając się do odległych gór zamieszkałych przez Midianitów, a tam nawet gdyby chcieli go szukać wszyscy żyjący Egipcjanie, to i tak nie byłiby w stanie go znaleźć. Nie mogę znieść myśli o tym, że udało mu się uciec, jednak pocieszam się tym, że wszystko mogło się ułożyć

znacznie gorzej. Przecież Moshe nigdy nie będzie mógł powrócić do Egiptu, a jedynym zajęciem, jakie może znaleźć w górach u Midianitów, to wypasanie kozłów. Dlatego więcej już nie będę musiał się nim przejmować.

Rok: 2537

Były to dla nas lata pełne pracy: wściekle wojny przy powstaniu nowych miast-państw w rolniczych częściach pustyni, a potem współzawodnictwo, kto kogo zniewoli. W bitwach tych zginęło wielu młodych ludzi, a mimo tego ludność rozwija się tak szybko, że stoimy niemal przed jeszcze cięższym zadaniem, niż było to przed potopem, pędzimy więc z miejsca na miejsce, starając się utrzymać większość po naszej stronie.

Wzrastająca liczba ludności zmusiła nas do zmiany naszej strategii. Jest ich teraz tak wielu, że nie stać mnie na to, aby śledzić ich każdy krok. Pozostajemy więc przy każdym do momentu, aż swoim życiem pokaże nam, że jest po naszej stronie, a wtedy, mając przekonanie, że Wszechmogący nie będzie go już mógł wykorzystać, pozostawiamy go w spokoju. To pomaga nam w koncentrowaniu wszystkich wysiłków i skierowaniu całej uwagi na tych, którzy nadal pozostają lojalni względem Skupienia.

To znowu przywołuje temat Moshe. Pewnego dnia dokonywałem rutynowego przeglądu echelonu i wezwałem Marconidesa, którego oddziały zostały przypisane do Moshe.

– Co słyhać u naszego starego wroga? – zapytałem. – Co teraz robi?

Marconides skierował na mnie puste spojrzenie. – Mistrzu, tak naprawdę trudno mi powiedzieć. Od wielu lat nie zwracaliśmy sobie nim głowy.

Aż trudno było mi uwierzyć własnym uszom. Mamy człowieka, który w nadnaturalny sposób chroniony był przez Królestwo, który był jednym z najlepiej wyszkolonych wojowników na ziemi, a my nie pilnowaliśmy go? *Czy to właśnie starał się powiedzieć Marconides?*

– Tak, Mistrzu – odpowiedział. – Gdy musiał uciekać, pilnowaliśmy go przez jakiś czas. Ale wszystko, czym on się teraz zajmuje, to wypasanie kozłów, my zaś byliśmy tak zajęci...

– *Wszystko co robi, to wypasa kozły!* – wrzeszczałem. – A skąd to wiesz? Nie doglądałeś go już od lat! A więc, w porządku, sam się tym zajmę. Marcolith, nie będzie mnie przez pewien czas, przejmujesz więc dowództwo pod moją nieobecność. A teraz zbierz mi szwadron, który pójdzie ze mną. Udaję się do Midianitów.

Midianici:

Jakie pustkowie! Nic dziwnego, że tylko niewielu z ludzi tu przybywa: mało tu wody, a góry są tak ostre jak zęby wilka. Znalazłem obozowisko Moshe: po-

rozzucane chaty u wejścia do wąwozu, gdzie rzadko sączy się jakaś woda ze zbiorników znajdujących się w górach. Niedaleko tego miejsca znalazłem samego Moshe.

Trudno dziś poznać tego człowieka! Słońce i wiatr wysuszyły jego twarz (ile ma teraz lat? Chyba jakieś 80, jak mi się wydaje). Siedzi spokojnie, patrząc, jak jego kozły wędrują po zboczach góry w poszukiwaniu niewielkich ilości jedzenia. Często trwa tak z zamkniętymi oczami i schyloną głową, jego usta poruszają się, ale nie wychodzi z nich żaden dźwięk. Jakież to koniec księcia Egiptu!

Rozglądam się po całym terenie i wyznaczam wojowników, aby policzyli jego dzieci i zbadali jego majątek. Gdy tego dokonają, odejdę. Marconides miał rację: nie ma tu niczego, co mogłoby...

Och! Poczulem nagle uderzenie energii, a potem kolejne, tak jakby niebezpiecznie silne pole mocy tworzyło się gdzieś w pobliżu mnie. Patrząc na Moshe, wnioskuję, że ten stary człowiek jeszcze nie odczuł niczego, ale ja czuję, że rośnie to z każdą chwilą. Staje się to tak namacalne, że mam wrażenie, iż wkrótce wybuchnie, a kiedy tak się stanie, to...

Jest! Niedaleko stąd krzew stoi w płomieniach i fakt ten wrywa Moshe z jego zadumy. Jest stary, ale silny. Lata spędzone w przyrodzie utrzymały jego sprężystość, przeskakuje małą wyrwę, aby zbliżyć się do ognia (który, co dziwne, wcale nie spala krzewu). Gdy tak czyni, odzywa się głosem.

– *Moshe, pokłoń się ze czcią. To Ja Jestem, Święty.*

Tak, to jest *On*. Narodzony przybył tutaj, aby skontaktować się ze starszym się Żydem. Rozpoznaję Jego głos! Zaczynam też odczuwać, co się dzieje. Jeśli Narodzony przybył na tę zapomnianą pustynię, aby porozmawiać ze starym człowiekiem, w takim razie, choć wydaje się to niesamowite, nadal ma dla niego do wykonania jakąś pracę. Nagle wszystko staje się dla mnie jasne: jako młody człowiek, Moshe zawiódł, ponieważ myślał, że uda mu się samemu wyzwolić Hebrajczyków. Gdyby spróbował, oznaczałoby to dla nich nieszczęście, bowiem ani dziesięciu takich jak Moshe, ani nawet tysiąc, nie mogłoby się równać z armią królewską faraona, jaką ten wystawiłby na polu bitwy. Jediną nadzieją na wyzwolenie Izraela było absolutne poleganie na mocy Starodawnego. To właśnie jest lekcja, której w końcu się nauczył Moshe. Mając lat 80 nie będzie już więcej głupio myślał, że potrafi zmierzyć się z kimkolwiek i będzie całkowicie polegał na mocy Królestwa. *A to może spowodować upadek faraona!*

Słucham i jest dokładnie tak, jak się tego obawiałem. Narodzony wyjawia plan wyzwolenia Hebrajczyków, plan całkowicie wypełniony obietnicami i cudami, nadnaturalnym sukcesem. Potomkowie Abrahama, których udało mi się uwięzić przez cztery wieki, mają wyjść na wolność – z powrotem do Chanaanu, gdzie będą mogli powiedzieć światu o Królestwie Światła, o stworzeniu, o nadejściu Boga-dziecka, o ratunku, który nadejdzie z kosmosu. Wszystko czego obawiałem się od tak dawna ma się teraz wydarzyć!

A w tym czasie moi egipscy sprzymierzeńcy mogą oczekiwać przeżycia szoku. Zaslona pomiędzy wydarzeniami ludzkimi a mocą kosmiczną staje się coraz cieńsza. Egipt otrzyma przedsmak tego, co to jest wojna. Stanie się to tutaj, w czwartym wymiarze, gdzie czają się moce większe od naszej wyobraźni, a broń składa się z niewidocznych pól energii, przekraczających możliwość poznania jej przez człowieka. Zanim się to zakończy, mam odczucie, że wielka cywilizacja znad Nilu zostanie całkowicie rozbita.

Uciekajcie!

Rok: 2538

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy faraona, gdy Moshe wszedł dumnie do pałacu, jako człowiek niezapowiadany i nie zaproszony, i domagał się wolności dla Hebrajczyków. Król jest człowiekiem bardzo pobudliwym, bardzo pysznym i upartym, a Moshe nie był ubrany odpowiednio do takiej wizyty. Poza tym był brudny po straszliwej wędrówce po pustyni; czuć było od niego smród, zanim się go ujrzało. Oprócz tego był z nim jego brat – żydowski niewolnik od wyrabiania gliny – zabrudzony błotem i słomą!

Król nie odezwał się zbyt przywódczym głosem; jego głos brzmiał raczej nosowo i bardzo wysoko. Wtargnięcie tych dwóch mężczyzn nie wpłynęło na niego dobrze.

– Kim jesteście? Kto was wpuścił i czego chcecie?! – wrzasnął głosem podniesionym aż do wysokiego falsetu. Moshe, ignorując to pytanie, odpowiedział:

– Bóg Izraela domaga się: wypuść mój naród.

– Bóg Izraela! *Bóg Izraela!* Kim jest ten Bóg Izraela, który każe mi wypuścić Jego lud? – W tym momencie jego głos osiągnął wysokość, jakiej nigdy jeszcze nie słyszałem, ton podobny do piskliwego dyszkantu rozwrzeszczanej mewy. – Wypuścić ich?! Powiem wam, co zrobię. Zwiększę jeszcze ich ucisk. Jak dotąd, mieli tylko pomagać przy produkcji cegieł. Teraz sami będą musieli szukać sobie składników i wytwarzać taką samą ilość cegieł, jak do tej pory. Wracajcie i powiedzcie im, co udało wam się osiągnąć. Wynoście się stąd i cieszcie z tego, że jeszcze żyjecie!

Miałem nadzieję, że taka odpowiedź wyzwoli u Moshe choć trochę starego wojownika, ale tak się nie stało. Naprawdę wydaje się być całkowicie uległy Starodawnemu, a to mnie martwi. Gdy ludzie poddają się Mu w takim stopniu – a niektórzy tak czynią – otwiera się wtedy kanał, poprzez który Królestwo wysyła nieporównywalną z niczym moc. Odczuwam, że wkrótce Egipcjanie doświadczą przerażającego spotkania ze światem nadnaturalnym.

Jest jednak coś, co *mogę* uczynić. Jeśli sami Żydzi utracą wiarę, jeśli zwrócą się przeciwko Moshe, wtedy Wszechmogący spotka się z opozycją tych, którym stara się dopomóc. Tak więc decyzja faraona podwajająca ilość ich pracy, może okazać się dokładnie tym, czego potrzebuję.

Wzywam moich dwóch najbliższych asystentów.

– Marconidesie i Celsionie, zgromadźcie możliwie najlepsze siły i udajcie się z nimi do starszych Hebrajczyków. Jak tylko wyjdzie słowo o powiększeniu ich zadań względem faraona, podburzcie ich, aby oskarżyli o to Moshe. Doprowadźcie ich do zgorzknienia. Utrzymywanie ich w niewoli jest naszą najlepszą taktyką!

Moi dwaj dowódcy kłaniają się i w pośpiechu wyruszają, aby wykonać swoje zadanie, a odnoszą w tym zdumiewający sukces. Gdy pojawia się Moshe, spotyka się z wściekłym tłumem, który wypełnia wieczorne powietrze okrzykami oburzenia. Celsion, który zawsze był dobry w manipulowaniu umysłami ludzi, najwidoczniej przeszedł sam siebie, bowiem rozwścieczony tłum oskarża Moshe o wiele rzeczy, a wśród nich także o ten dziwny plan wyprowadzenia ich na pustynię i zniewolenie ich przez niego. Czekam na to, aż stare egipskie szkolenie jakie przeszedł Moshe wybuchnie płomieniami, i że jego stara natura polegania tylko na sobie, wyjdzie na wierzch. Człowiek ten jest już co prawda stary, ale nadal jeszcze silny, a słowa, jakich używają Żydzi wystarczają, aby pojawiła się u niego myśl o morderstwie.

Ale on stoi pokornie! Sam pędzę, by stanąć u jego boku i starać się wpłynąć na jego myśli. „Moshe! Czy masz zamiar to znosić? Pomyśl o swojej żonie i dzieciach, które zostały tam, w krainie Midianitów, o swoim spokojnym życiu na pustyni. Czy pozostawiłeś to wszystko dla tego tutaj? Pozostaw ich w takim stanie, a będziesz miał anarchię! Idź więc i naucz ich lekcji – nadal pamiętasz technikę sztuki walki!”

Ale co robić, kiedy on nadal stoi, z łagodnością przyjmując oskarżenia? Nie potrafię do niego dotrzeć! Jest tak samo odporny na moje oddziaływania, jak był kiedyś Enoch. Przy nim jestem bezradny.

Tego samego miesiąca

A więc zaczęło się. Faraon nie chce wypuścić niewolników żydowskich i pojawia się problem. Wczoraj cały Nil stał się trujący. O świcie, kiedy nosiciele wody przyszedli nad rzekę ze swymi glinianymi konwiami, zauważyli, że woda jest zatruta i nie nadająca się do picia, a na jej powierzchni pływało wiele ciał śniętych ryb. Obawiając się bicia, z którym się spotkają, jeśli nie powrócą ze świeżą wodą, popędzili jak szaleni do studni i cystern, ale i tam woda została skażona – ani kropli do picia w całym Egipcie. Nawet nie było wody w glinianych zbiornikach, które znajdowały się w kuchniach. Panika rozszerzyła się szybko, a całe kontyngenty wojskowe kopią teraz doły wzdłuż Nilu, w poszukiwaniu wody, gdziekolwiek to tylko możliwe.

Wzywam Marcolitha. – Zgromadź mi szybko legion wojowników i udaj się do pałacu. Wypełnij umysł króla uporem. Jeśli Żydzi uciekną – jeśli raz wyjdą na pustynię – stracimy nad nimi kontrolę. Wojna może się skończyć. *Ruszajcie!*

Kilka dni później

Nieszczęścia spadają nadal, ale król dalej trwa w uporze. Moshe wraz z braćmi powrócili do pałacu i przestrzegli króla przed drugą plagą. Ten jednak spojrział na nich wyzywająco, na co Moshe podniósł swoją ciernistą laskę, którą na-

dal nosi od chwili, gdy stał się pasterzem, a wszędzie pojawiły się żaby – w domach, w skrzyniach z jedzeniem i w naczyniach, również na samym dworze faraona. Nie dało się nigdzie poruszać, nie stąpając po nich. A potem, wszystkie tak nagle zdechły, że pozostawiły wszędzie stopy swych cuchnących ciał...

Wkrótce kolejne nieszczęścia spadły na Egipt – wszy, które stały się utrapieniem ludzi i zwierząt, plaga much, które pokryły całą ziemię, choroba bydła, która kosztowała Egipt utratę ich słynnych stad wielbłądów. Zwierzęta padały wszędzie, oprócz tych, które były własnością Hebrajczyków. Te przeżyły epidemię bez żadnego przypadku zachorowania!

Faraon i ja stopniowo zostajemy wepchnięci do kąta, gdzie wszystkie nasze decyzje są na równi szkodliwe. Jeśli plagi trwać będą nadal, osłabią naród do tego stopnia, że nie będzie umiał przeżyć poważnego wyzwania ze strony silnego rywala – i jak się obawiam, jest to straszliwy skutek plag, bowiem wiele z moich długofalowych planów polegało na wykorzystaniu tego silnego imperium. Jeśli jednak faraon przebudzi się i zauważy, jakie nieszczęście sprowadza na swój kraj, może zezwolić Hebrajczykom na odejście z Egiptu, ale to byłoby chyba dla nas jeszcze gorsze, bowiem gdy raz uciekną na pustynię, mogą ujść mojej kontroli już na zawsze.

Wzywam nadzwyczajną radę w celu przedyskutowania naszych wniosków, ale spotkanie jest bardzo zniechęcające. Gdy pytam o rady, nikt nie ma żadnej. Wszechmogący utkał sprytną pułapkę, z której nie ma wyjścia: starając się utrzymać Hebrajczyków, ryzykujemy utraceniem Egiptu, jeśli znów uratujemy Egipt, Hebrajczycy odejdą wolni. Dwa nieszczęścia, dwie nie do przyjęcia alternatywy. Co się stanie?

W końcu zgodziliśmy się. Egipt jest dla nas ważny, ale nie aż tak, jak Hebrajczycy. Jeśli wyjdą, wtedy staną się bardziej niebezpieczni niż cokolwiek, z czym dotąd spotkaliśmy się. Z niechęcią więc decydujemy, że to Egipt musi przemiąć. Tak więc, faraonie, mój przyjacielu, opieraj się nadal. Opieraj się do samego końca. Nigdy się nie poddaj. Jeśli trzeba będzie, walczyć do ostatniego człowieka, a jeśli i ty przeminiesz, będziemy musieli dostosować się do tego państwa, które pojawi się po tobie.

Trzeci tydzień

Krań zacieśnia się i ostateczne nieszczęście przybliżyło. Kilka dni temu straszliwa plaga wrzodów wszędzie zaatakowała ludzi. Potem przyszedł grad, który zniszczył zbiory lnu i jęczmienia. Niebo stało się ciemne. Wszędzie pojawiały się błyskawice; była to najgorsza burza, jaką przeżył naród egipski, a grad spadał w takiej ilości, jakby z niego było całe niebo. Po raz pierwszy widzę znaki pojawiającego się buntu na dworze faraona. Zezłoszczeni doradcy otoczyli tron, tępo podpowiadając Jego Jaśnieoświeconemu Władcy, że doprowadza Egipt do

ruiny. W końcu król z niechęcią proponuje Moshe negocjacje, które jednak dalekie są od całkowitego uwolnienia Hebrajczyków. Spodziewam się więc, że plag spadnie jeszcze więcej.

W ziemi Goshen, domu Hebrajczyków

Coś bardzo dziwnego dzieje się w każdym domu żydowskim. Przerwali swoją pracę i poświęcili cały dzień na przygotowanie baranków na jakiś specjalny posiłek. Gdy zabili wszystkie baranki, wtedy głowa każdego domostwa zrobiła małą szczotkę z chwastów, którą zanurza teraz we krwi baranka i maże nią futryny drzwi.

Jest to wyraźnie jakiś symbol, ale co on oznacza? Posyłam szybko po Meldibona, od długiego czasu gapiącego się na szczupłego, łysiejącego Żyda, który skrupulatnie rozmazuje krew baranka po futrynie i nadprożu drzwi swojego domu.

– Mogę się mylić, Mistrzu – odzywa się w końcu. – Symbolika jest tu bardzo głęboka, ale powiem, jakie są moje przypuszczenia. Drzwi są symbolem decyzji: gdy się przez nie przechodzi, to zdecydowałeś, że opuścisz jedno miejsce i udasz się na drugie. Myślę, że ta ceremonia oznacza, że wkrótce opuszczą oni Egipt. Możemy oczekiwać, że ich wybawienie nastąpi już wkrótce.

– Też miałem takie myśli – odparłem ponuro. – Nie sądzę, że Egipt może wytrzymać więcej kłopotów. Ale po co ta krew?

– A, krew... – odpowiada tonem, który dowodzi zarówno ciekawości, jak i zmieszania. – To także jest symbol, znak śmierci. I to właśnie mnie intryguje. Spójrz na tamtego Żyda, tuż za barierą: rozmazuje krew na swoich odrzwiach, tak jakby oczekiwał, że go *ochroni*, tak, jakby jego dom miał być bezpieczny dzięki czyjejś śmierci.

– W takim razie czyjej?

– Mistrzu, możesz mnie pytać. Wydaje mi się, że wielu Egipcjan umrze, gdy Hebrajczycy odejdą. Być może to właśnie to oznacza, ale jakoś mi się wydaje, że czegoś jeszcze nie wiem. I to mi nie daje spokoju, nie mogę się tego domyślić.

Ale ja mogę. Gdy mój doradca zamilknął, przypomniałem sobie coś, o czym on nie wie. Dawno temu, przy stworzeniu – przypominam sobie – jak Narodzony powiedział, że mogę Go jeszcze zobaczyć umarłego – że jeśli ludzie upadną, On odda siebie za nich. Tak więc, gdy zestawiam Jego wypowiedź z tym, co robią teraz Żydzi, wszystko staje się jasne. Chroni ich krew. Krew symbolizuje śmierć. A skoro to On ich ochrania, to On też jest tym, który umrze.

Przychodzi na ten świat, aby umrzeć!

Teraz to widzę. Krwawe futryny symbolizują Jego. Ucieczka Hebrajczyków jest czymś więcej niż ucieczką z niewoli pewnego narodu. Jest symbolem cze-

goś większego – ucieczki całego świata ode mnie! Jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy, ale ten posiłek będzie symbolizował Jego śmierć dla nich. *Muszę jakoś spowodować, aby świat tego nie rozpoznał!*

Późnym popołudniem:

Moshe wraz ze swym bratem, Aaronem, skierowali do króla ostatnie wezwanie i dali mu ultimatum: jeśli nie wypuści natychmiast Hebrajczyków, w Egipcie zapanuje śmierć. Nie uchroni się przed nią żaden dom: od największych do najmniejszych w kraju – umrze – pierwородny w każdej rodzinie. Po raz pierwszy widzę jak Moshe się złości. Opuści pałac z wściekłością, ale nie na siebie i na swój lud, lecz ze względu na niepotrzebną stratę życia, jaka wkrótce spadnie na Egipcjan. Złości się z powodu niepotrzebnej śmierci swoich wrogów!

Przyznaję, że nie potrafię zrozumieć takiego myślenia. Kiedyś, dawno temu, jeszcze w Królestwie, potrafiłbym, ale nie teraz. I to właśnie oddziela mnie od tego starzejącego się Żyda. Staje się coraz bardziej podobny do istot w Królestwie, a teraz ma rozpocząć prowadzenie swego narodu w największą podróż wszechczasów. Według mnie, tej nocy Żydzi wyjdą. Wszechmogący poprowadzi ich z powrotem do ziemi, jaką dał Abrahamowi i tam urodzi się Mesjasz.

Rozdział 12

Wojna pustynna

Kwiecień, 2538

Północ

W całej ziemi egipskiej można usłyszeć przerażający krzyk, płacz rozpaczony, jaki rozlega się wszędzie – z każdego domu, z namiotów pasterzy w okolicach bagien, z zatłoczonych domów w mieście, z samego pałacu. Pokrywa on kraj, jak hymn udręki, tak jakby cały naród został zorganizowany w jeden wielki chór przeznaczenia. Jest już północ i ostateczne nieszczęście spadło na Egipt.

Śmierć dotknęła każdą rodzinę. Przeszła przez cały naród, jak ochładzająca mgła, zaglądając do każdego mieszkania, poszukując kogoś w każdym domostwie i znajdując swe znamiona. W każdej rodzinie pierworodny jest już martwy: od surowej chaty robotnika, aż po pachnące korytarze królewskich rezydencji, a ludzie, których religia z taką śmiałością wypowiada się o śmierci, zauważają, że gdy ona przychodzi, są w swoim smutku tak samo nieukojeni, jak wszyscy inni. Mój stary sprzymierzeniec, król, jest tak przerażony, że z trudem potrafi się poruszać. Siedzi na swoim zimnym tronie i patrzy w pustkę, bowiem już zaczęto balsamować ciało jego syna. Przecież zaledwie kilka minut temu wyrokował na Moshe i ochryple powiedział:

– Idźcie. Zostawcie mój lud. Weźcie swoje zwierzęta, swoją własność i idźcie. I – tu jego głos zadrzał, ledwie dając się słyszeć – i błogosławcie mi, proszę.

Wszyscy są rozbudzeni. Przeżażeni Egipcjanie wpychają cenne dary, złoto, brąz i klejnoty do rąk Hebrajczyków i błagają ich, by śpieszyli się, aby śmierć więcej nie szerzyła się, a Hebrajczycy nie czekają nawet na wschód słońca. Tworzą kolumnę, która kieruje się na wschód, ku wolności i ruszają do marszu. Jest ich kilka milionów, a drogę znajdują wzdłuż znanych sobie ścieżek, mijając wyrobisko gliny i doły, w których wyrabiali cegły, mijają stodoły ze słomą, pola ceglane i magazyny – od czterystu lat znane im widoki, dźwięki i zapachy. Ich odejście oświeca pełnia paschalnego księżyca.

I śpiewają! Pod wpływem chwili, ktoś tworzy słowa pieśni, szybko więc podawana jest melodia z jednej grupy do drugiej, dokuczliwy refren, który powraca do uszu zdumionych Egipcjan: „Bóg jest siłą naszą, pomocą naszą w dniu niedoli...” Gdy tak śpiewają, potężna armia Strażników otacza ich, niewidocznych dla oka ludzkiego, ale widocznych dla nas, gdyż ich pole mocy trzyma nas z dala. Nie możemy przybliżyć się do odchodzących Hebrajczyków. Oni uciekają!

Uciekają! Przez cztery wieki trzymałem ich tutaj, aż wmówiłem sobie, że zostali skazani na Egipt już na zawsze. Robiłem wszystko, co tylko mogłem

wymyślić, aby utrzymać ich tu w niewoli, całym swoim wysiłkiem niemal całkowicie zmarnowałem Egipt, jeden z moich największych ludzkich zasobów, a mimo wszystko Żydzi odchodzą stąd wolni!

Enoch, Noe, Job, Abraham. A teraz ci. Tak często bywałem bliski całkowitego zwycięstwa, a jednak za każdym razem wymyka mi się ono, jak przedmiot, który na krótko dotknąłem swoimi palcami, ale którego nie potrafiłem zatrzymać na dłużej. A teraz kilka milionów ludzi zmierza w kierunku otwartej przestrzeni pustyni, a każdy z nich może stać się kanałem, przez który pojawi się Mesjasz, dziecko! Co mam teraz robić? Przyszuję, że nie wiem.

Następnego dnia

Przez szereg godzin patrzymy, jak kolumna Hebrajczyków porusza się z Goshen w kierunku wolności na wschodniej pustyni, a moje siły podążają za nimi przygnębione, dławiąc się gorzkim smakiem porażki. Dalibyśmy wszystko, aby nie widzieć tej procesji zwycięstwa, ale musimy. Ci ludzie są teraz dla nas śmiertelnym niebezpieczeństwem i nie pozwolimy na to, by stracić ich z oczu, wędrujemy więc z nimi. Wstrętne zadanie stojące teraz przed nami trudniejsze jest z powodu tego, że musimy przyglądać się im z pewnej odległości, bowiem jesteśmy odsuwani przez najpotężniejszą armię Strażników, jaką kiedykolwiek widziałem. Cała pustynia została napromieniowana ich energią, tak więc nawet my, gdy podchodzimy blisko, odczuwamy pewien ból, który znosimy tylko ze względów na konieczność militarną. Jest to jedna z najciemniejszych chwil, jakie przeżyliśmy w tej wojnie.

I tak wędrujemy, godzina po godzinie. Gdy tak idziemy, zauważyłem nagle coś ciekawego: oni nie idą – jak przypuszczałem – drogą prowadzącą wprost do Kanaanu, ale kierują się od niej na południowy wschód, prosto na Morze Czerwone! Jeśli dalej tak pójdą, dojdą do samego rogu, z którego nie będą mogli uciec!

Natychmiast wzywam swoich doradców.

– Marconidesie, wezwij oficerów! Wezwij służbę generalską. Dzieje się coś dziwnego. Hebrajczycy maszerują prosto w pułapkę!

– Jak sobie życzysz, Mistrzu. – Skłonił się i w pośpiechu wybiegł. Słyszę, jak wydaje rozkazy: „Baratran, graj sygnał wzywający oficerów. Rimneth, przyprowadzić swoich posłańców. Gwardia Lucyfera, stawić się na odprawę”.

Odczuwając pilność wezwania, każdy pojawia się w biegu, a ja nie tracę czasu na formalności.

– Nie wiem dlaczego, ale, jak sądzę, Moshe popełnił wielki błąd. Zwróćcie uwagę na ich kierunek marszu. Znacie ten teren. Jeśli tak dalej pójdą, czy widzicie, gdzie dojdą?

Jeden z młodszych oficerów palnął w odpowiedzi:

– Słodka śmierci, Mistrzu! Oni idą prosto do ślepego końca, którym będzie Morze Czerwone!

– Dokładnie. Dlaczego Moshe to robi, nie potrafię powiedzieć. Być może zgubił się. Albo może kieruje się do swego domu u Midianitów. A może jest to jedyna droga, jaka jest mu znana. W każdym przypadku daje nam to pewne możliwości. Z morzem przed sobą staną się łatwym celem dla armii Egipcjan.

– Marcolith'ie, pozostaniesz tu ze mną. Marconidesie, musisz natychmiast udać się z powrotem do pałacu. Upewnij się, że Egipcjanie wysłali szpiegów za Hebrajczykami, aby faraon dowiedział się o pułapce, w jaką sami się ładują. A potem pracuj nad faraonem. Jeśli to będzie konieczne, przyślij po mnie, a osobiście się nim zajmę. Jego syn nie żyje, tego nie da się już zmienić. Ale jego syn będzie potrzebował zbudowanego grobu, zaś faraon myśląc, że ma na to jeszcze wiele lat, nie uczynił tego. Do wykonania takiego projektu będą mu potrzebni niewolnicy, a właśnie utracił swoją największą grupę robotników. Wypełnij jego zraniony i zgorzkniały umysł tą myślą. Nie daj mu spokoju. Poddaj mu myśli, jak wielki popełnił błąd, wypuszczając tych ludzi. A gdy powrócą szpiedzy, przynosząc informacje o miejscu, gdzie znajdują się Hebrajczycy, wtedy faraon zauważy możliwość złapania ich. *Śpieszcie się!*

Dwa dni później, późnym popołudniem

Zadziałało! Po pierwsze, Hebrajczycy wędrowali dalej wprost w kierunku morza, jakby prowadzeni przez ślepego. Za godzinę dotrą do brzegu, a ich pozycja będzie dla mnie doskonała, zostaną bowiem zablokowani pomiędzy dwoma pasmami gór, z morzem na wprost przed sobą i armią faraona z tyłu! *Moshe, ty ciemniaku, sam mi ich dajesz z powrotem!*

Dokładnie według planu, armia egipska pojawia się, a kłęby kurzu na zachodnim horyzoncie zdradzają obecność niesamowitych militariów. Faraon uzupełnił swoje stajnie, kupując od sąsiadujących z nim wodzów konie, potrzebne po stracie własnych podczas plag, a teraz zbliża się z ponad 600 rydwanami wojennymi. Nie ma takiej siły na ziemi, która mogłaby oprzeć się atakowi egipskich rydwanów i za kilka godzin ta straszliwa maszyna ustawi się tak, by połączyć wszystkich Hebrajczyków. Wtedy zobaczymy, co zrobi Moshe. Co to będzie, mój przeciwniku? Czy wybierzesz śmierć w morzu, czy też powrót do niewoli? No, tobie i tak wszystko jedno. Bez wątpienia faraon przygotował ci los, który sprawi, że przez setki lat na myśl o tym zastygnie krew w żyłach ludzi.

Cha! Tylko trzy dni i zwycięstwo jest moje!

Zachód słońca

Tylna straż Hebrajczyków właśnie dojrzała w pewnej odległości armię Egipcjan – ścianę rydwanów z brązu, połyskujących w zachodzącym słońcu – a wynikiem tego jest istne piekło. Wszyscy są przekonani, że ich sytuacja jest bez-

nadziejna. Na północy i na południu wyrastają imponujące góry pustynne, które uniemożliwiają ucieczkę. Na wschodzie rozpościera się Morze Czerwone. A za nimi, bardzo zły faraon znajduje się na czele kolumny wojska. Wkrótce moi wrogowie ponownie znajdą się w niewoli – albo zginą!

Od razu zrywa się krzyk, który niemal konkuruje z tym, jaki dał się słyszeć w Egipcie trzy noce temu. Kobiety gromadzą swoje dzieci i jęczą żałośnie, podczas gdy rozszluszczony tłum mężczyzn śpieszy do czoła kolumny, aby stanąć przed Moshe. Nie często widziałem ludzi tak złych. Wrzeszczą na niego, oskarżając go o niekompetencję i głupotę. Inni twierdzą, że prowadzi ich z powrotem do kraju Midianitów, aby samemu poddać ich sobie w niewolę. *Wyśmienicie!* Jeszcze tylko trochę więcej tego, a ich brak wiary zacznie oddzielać ich od Wszzechmogącego. Wtedy Strażnicy będą musieli się wycofać, a ja będę miał bezpośredni dostęp do ich myśli!

Brzask

W obozie Hebrajczyków powstał gorszy harmider, niż kiedykolwiek przedtem. Moshe określane są ohydnyimi słowami, a teraz przyłączają się jeszcze kobiety, wrzeszcząc ze strachu o swoje dzieci. Wielu z nich chce poddać się natychmiast i powrócić do niewoli. Tak jak się tego spodziewałem, ta wrzawa zmusiła niektórych ze Strażników do wycofania się, bowiem Wszzechmogący nigdy nie narzuca swojej ochrony wbrew woli ludzi, a gdy Jego siły wycofują się, natychmiast ruszamy do przodu. Zaczynają pojawiać się wyrwy, przez które możemy się przedostać, zaś kanały takie tworzą sobie sami ludzie: kanały złości i wściekłości, poprzez które chętnie przedostajemy się do ich otwartych umysłów. Cała nasza siła kieruje się przeciwko człowiekowi o imieniu Moshe, który znieść musi teraz nie tylko przybliżające się niebezpieczeństwo ze strony Egipcjan, ale furię swego własnego ludu.

Zaden człowiek nie jest w stanie znieść więcej. Wkrótce musi ugiąć się pod presją, a wtedy ludzie ci staną się znowu niewolnikami.

Nastanie nocy

Spodziewałem się, że Moshe załamie się pod wpływem stresu, ale tak się nie dzieje! Wcale się nie broni – a ja na to właśnie miałem nadzieję. Zamiast tego, kieruje ich uwagę na moc Starodawnego.

– Nie bójcie się, bądźcie spokojni, a ujrzycie zbawienie Pana. Egipcjan, których widzieliście dzisiaj, nie zobaczycie już nigdy więcej. Pan będzie walczył za was.

Po tym zdaniu, Straże ponownie gromadzą się pomiędzy nami a Hebrajczykami i gwałtownie zostajemy odrzuceni o kilka mil w kierunku pustyni. Mimo ich braku wiary, zostają ponownie otoczeni przez potężne moce z Królestwa

Światła. *Wszechmocny ma zamiar ich chronić, opierając się na wierze jednego człowieka!*

Na nocnym niebie pojawia się błysk światła, a nad ich obozem zaczyna jaśnieć obłok w kształcie słupa, oświetlając całe zgromadzenie Hebrajczyków. Oświetla on drogę na wschód, wyznaczając połyskującą ścieżkę na wodzie, ale równocześnie na zachodzie, od strony Egipcjan, rozsiewa jedynie ciemność – tak gęstą, że Egipcjanie decydują się rozbić obóz i czekać na dzień. O świetle, mówią do siebie, zwycięstwo będzie słodkie i łatwe.

Zbliżyliśmy się na tyle blisko, na ile pozwalała nam pole mocy emanujące od Strażników, aby zobaczyć, co dzieje się po oświetlonej stronie obłoku i widzimy Moshe, jak stoi nad brzegiem morza, a jego stara laska wyciągnięta jest w kierunku wody. Widziałem już wiele dziwnych rzeczy w tym wszechświecie, ale nic z nich nie przygotowało mnie na to, co następuje teraz. *Nagle, przed naszymi zdumionymi oczami, morze zaczyna się rozstępować. Jego wody piętrzą się po obu stronach głębokiego rowu, który wyraźnie sięga dna morskiego!*

Aż trudno mi uwierzyć własnym zmysłom, zwracam się więc do Andrada, aby się upewnić, ale i on jest osłupiały, gapiąc się na to widowisko. *Faktycznie to się dzieje – droga prowadzi po dnie morskim!* Po obu stronach wznoszą się ściany wody, oświetlone połyskiem ognistego obłoku, który także oświetla pokrytą pianą powierzchnię po obu brzegach. Hebrajczycy otrzymali drogę ucieczki poprzez samo morze!

Powinienem się tego spodziewać! To nie Moshe wpakował się w pułapkę, ale ja! Pochlebiałem sobie, że mam do czynienia tylko z ludźmi, którzy mogą popełnić błąd na pustyni lub się zagubić, a powinienem więcej wiedzieć. Ten ruch został zaplanowany w samym Królestwie!

– Za późno – wrzasnałem. – Marconides, Barshok, ktokolwiek! Chodźcie tutaj!

– Wszyscy są w obozie Egipcjan, Mistrzu – odpowiada posłaniec. – Opracowują strategię, jak pokonać Hebrajczyków o świetle.

– Niestety, to pułapka – odpowiadam – i trzeba ich o tym od razu powiadomić. Pospiesz się do nich, odnajdź ich w obozie egipskim i powiedz im, że Lucyfer mówi: Żadną miarą nie może faraon podążać za Hebrajczykami. Jeśli tak uczyni, zginie. Przekonaj go, aby pozostał tam, gdzie jest. Czy mnie rozumiesz? W takim razie idź i im to powiedz. I śpiesz się!

Patrzy na mnie zdziwiony, przytakuje jednak, kłania się i pędzi na zachód. Ja w tym czasie patrzę dalej na spektakl.

Hebrajczycy zaczynają maszerować. Niekończąca się kolumna ludzi, która idzie pomiędzy dwoma ścianami wody, oświetlona światłem z ognistego obłoku. Przez całą noc idą i stąpają po dnie morskim.

Natomiast Egipcjanie, zmęczeni swoim marszem, śpią, ale w końcu budzi ich hałas. Gdzieś z ciemności dociera głos dzwonek owiec i skrzywienie upręży; w trakcie nocy potrafią już odróżnić stały odgłos kroków maszerujących milio-

nów ludzi, zrywają się więc ze swego krótkiego wypoczynku na odgłos trąbki wartownika. Po całym obozie rozlega się wołanie: „Hebrajczycy wyruszyli. Wstawać! Podążamy za nimi!”

Nadal jednak jest tak ciemno, że nie potrafią dostrzec ludzi, których ścigają, rozkaz pada jednak, aby udali się w kierunku morza. Wśród stuku zbroi i turkotu rydwanów, wydających polecenia dowódców i rzeniu rumaków, udaje im się uformować linię marszu, która przeciska się poprzez noc w kierunku uciekającej zdobyczy.

Teraz naprawdę zaczynam się martwić. Najwidoczniej moje poselstwo nie dotarło do faraona. Być może, czego obawiałem się, posłaniec pogubił się w tym wszystkim. Być może nie mógł odnaleźć Marconidesa. Albo być może, skamieniały w wyniku śmierci syna, król słucha już tylko głosu swojej wściekłości. Cokolwiek jest tego przyczyną, zbliża się nieszczęście. W tej walce zgubiłem już większość Egipcjan i nie mogę pozwolić sobie jeszcze na utratę całej armii egipskiej. Mogą mi być jeszcze potrzebni. A jeśli są aż tak głupi, aby pójść za Hebrajczykami do tego wąwozu w morzu, już mogę sobie wyobrazić co się stanie. Osobiście pędzę do króla.

– *Faraonie, głupcze, zatrzymaj się!* Zginiesz tam, ty i wszystkie twoje siły – i to za nic! I dasz Starodawnemu szansę odniesienia zwycięstwa, o którym pamiętać się będzie tak długo, jak długo świat będzie istniał. *Mówię ci, zatrzymaj się!*

Ale król znajduje się nawet poza moją kontrolą. Jego umysł przejęty smutkiem po utracie zarówno syna, jak i niewolników, teraz zamknął się na wszystko, nawet na moje najlepsze argumenty. W ciemności i zamieszaniu pędzą do przodu, nie zdając sobie sprawy, że weszli już na dno morskie, że są otoczeni z obu stron ogromnymi ścianami wody. Po omacku zmierzają do przodu, spowolnieni przez mgłę i ciemność, zaś koła ich rydwanów zaczynają grzążyć w sypkim piasku, zatrzymując ich niemal i zmuszając do bolesnego „czołgania się” do przodu.

– *Zatrzymaj się, faraonie. Sięgnij ręką w dół i poczuj piasek, który zasypuje twoje koła – jest wilgotny! Wilgotny! Jesteś już na dnie morza!*

Ale jest za późno. Na odległym brzegu ostatni Hebrajczycy wspinają się na wysokie wybrzeże. Nagle tajemniczy obłok zmienia się w słup ognia na oczach zdumionych Egipcjan, a oślepiające, nadnaturalne światło odsłania zdumionej armii ściany wody spiętrzone po ich obu stronach. W tej chwili daliby wszystko, co posiadają, aby znaleźć się z powrotem w Egipcie, mogliby nawet sami produkować cegły. Odwracają się w straszliwym zamęcie, desperacko starając się powrócić.

A na odległym brzegu, Moshe, wyciąga swoją laskę i spiętrzone wody opadają z rykiem, który musi być słyszany także i w Egipcie. Faraon wraz ze swymi legionami, pozłaczanymi rydwanami i lśniącymi zbrojami, konie i jeźdźcy zostają pochłonięci przez burzę wody. Zaś na odległym brzegu morza Hebrajczycy zaczynają ponownie śpiewać hymn uwielbienia dla Starodawnego.

Dzień 4

Zaczyna świtać nad sceną całkowitego zniszczenia. Tak daleko, jak tylko sięga wzrok, pozostałości po armii egipskiej albo unoszą się na powierzchni wody, albo też leżą porozrzucane na brzegu. Kawałki drewna po rozwalonych rydwaniach podskakują na powierzchni wody, podczas gdy na plaży pełno jest ludzkich ciał – to wszystko, co pozostało z dynastii. Jest to najgorsze z nieszczęść, jakie przyszło mi ścierpieć. Wkrótce wieści o tym rozejdą się po okolicy. Mieszkańcy pustyni, których mogłem wykorzystać do blokowania Hebrajczyków, teraz zmiękną ze strachu, a ja pozostanę bez ludzkich sprzymierzeńców.

Moje siły zatapiają się w ogłupiałym wypoczynku, nieme z oszołomienia w wyniku ogromu naszej porażki. Moja najlepsza taktyka zawiodła – taktyka, która miała mi dać pewne zwycięstwo. Jestem zniszczony.

Ale jakby poprzez mgiełkę tego zniechęcającego poranka, w moich myślach zaczyna się kształtować podstawowa zasada wojny: nie mogę atakować tych ludzi z zewnątrz. Jeśli tego spróbuję, będę cierpiał jeszcze bardziej z powodu takich upokarzających porażek, jak ta. Nie, jeśli mam ich pokonać, nasz atak będzie musiał być od *środka*. Moja jedyna nadzieja na odniesienie sukcesu w walce z Izraelem leży w doprowadzeniu tego ludu do odrzucenia Starodawnego, zignorowania Jego prawa i tym sposobem odejścia spod Jego ochrony.

Zwołuje radę strategiczną. Na zaśmieconym brzegu Morza Czerwonego planujemy nasz kolejny ruch.

Poselstwo z kosmosu

Maj, 2538

Hebrajczycy powędrowali do jednego z najbardziej pustynnych krajów na Ziemi, a obecnie rozbili swój obóz u podnóża pustynnej góry. Ich namioty zostały rozbite w równych rzędach i ciągną się niemal przez milę, zaś ponad ich obozem wznosi się góra o nazwie Synaj, stale obecna ze swymi ozdobami w postaci ostrych turni i wąwozów.

Naszą uwagę przyciąga właśnie ta góra, bowiem ma się tu coś wydarzyć i to wkrótce. Sam szczyt przysłonięty jest grubym obłokiem dymu i możemy odczuwać obecność Boga. Kilka dni temu Moshe wyszedł na Synaj i zniknął w tajemnicy jego dymiącego szczytu, a gdy wrócił, rozpoczął wydawać rozkazy.

– Oczyszćcie obóz. Upiierzcie swoje szaty i wyczyśćcie namioty. Ale ponad wszystko oczyszćcie swoje myśli. Wszchemogący chce, abyście się stali narodem świętym, królami i kapłanami dla tego świata. Na tym miejscu za trzy dni, On sam powie wam o waszym przeznaczeniu. *Przygotujcie się na trzeci dzień.*

Tak więc miałem rację! Starodawny rzeczywistość planuje wykorzystanie Hebrajczków jako swojego kanału do porozumienia się ze światem, i to w Chanaanie, gdzie krzyżują się wszystkie drogi handlowe, cały świat się spotka. Jest jednak ryzyko w planie Wszchemogącego: aby wykonać powierzoną misję, Hebrajczycy muszą być „narodem świętym”, a w tym leży właśnie moja szansa. Świętość? Prawda, że kilku osobom się to udało. Udało się to Enochowi, udało się Noemu i Hiobowi, podobnie też Abrahamowi. Było również kilku innych, takich jak Józef, którego nie potrafiłem przewyciężyć, nawet wówczas, gdy jego bracia sprzedali go do niewoli. Ale większość ludzi upada i to żałośnie. A Wszchemogący zaprasza teraz cały naród do uczynienia czegoś, co udało się tylko garstce w całej historii świata!

Nagle pojawia się plan w moich myślach: sprawdźmy na ile świętymi są ci ludzie, gdy są spragnieni!

– Bashok, przyjdź tu, proszę.

– Tak, Mistrzu.

– Potrzeba mi twoich umiejętności manipulacyjnych. Zbierz regiment wojowników, zróbcie wywiad, poszukajcie źródeł wody tam, gdzie Hebrajczycy prawdopodobnie zatrzymają się obozem i jeśli uda się wam, zablokujcie je. Chcę, aby znaleźli tylko suchy piasek, by mogli poznać ten zjełczały smak pragnienia. Wtedy zobaczymy, na ile świętym jest ten naród.

Uśmiecha się z zadowoleniem i odpowiada: – Tak, Mistrzu, od razu.

Dzień trzeci, przed południem

Cały Izrael jest gotowy. Ścieżki pomiędzy ich namiotami zostały pozamiatane, same namioty stoją w idealnie prostych rzędach, zaś ludzie ubrani w świeże szaty wykonane z egipskiego lnu, stoją u wejścia do swoich namiotów. Wszyscy kierują swój wzrok na dymiącą górę.

Dzień rozpoczyna się od pokazu ogni z nieba. Grzmi i pojawiają się błyskawice, zaś ciężka chmura przykryła szczyt, a całe miejsce trzęsie się, jakby miało się rozpaść. Ludzie są przerażeni. Nigdy dotąd nie znaleźli się tak blisko samej boskiej energii, stoją więc drżąc, a góra faluje w dymie jak piec. Potem słychać było dźwięk trąbki – jest to trąbka Królestwa Kosmosu, która ogłasza obecność samego Króla.

Teraz czekamy na kolejne wydarzenie w tym dramacie. Nagle odzywa się potężny głos z Synaju.

– *Ja jestem Panem, twoim Bogiem, który Cię wywiódł z niewoli.*

Słowa toczą się poprzez pustynię, jakby miały napełnić całą ziemię. Bardzo wolno zaczyna ogłaszać dziesięć zasad życia.

– Nie będziesz miał innych bogów oprócz mnie.

– Czcij jedynie mnie, a nie czcij czegokolwiek, co jest twoim własnym dziełem.

– Nie nadużywaj mojego imienia.

– Pamiętaj o Szabacie, aby go święcić...

Szabat, siódmy dzień w tygodniu stworzenia! Już samo to słowo przyprawia mnie o drgawki. Tak długo, jak tylko ludzie przestrzegają tego cotygodniowego święta odpoczynku, tak długo przypominać im się będzie stworzenie – i Stworzyciel!

Wzywam posłańca. – Udaj się do Babilonu i powiedz o tym Zedronnowi. To może przeszkodzić wszystkiemu, czym się tam zajmuje.

Od szeregu lat Zedronn pozostawał w Babilonie, pracując z pogańskimi kapłanami w Utu. Jego celem jest wymazanie z pamięci ludzkiej historii stworzenia, ale aby to osiągnąć, musi najpierw coś zrobić z Szabatem, a tu właśnie pojawiają się Babilończycy, którzy czczą słońce. Zedronn zamierza ustanowić nowy ogólnoswiatowy dzień kultu, cotygodniowe święto religijne ku czci słońca. Jako że zastępuje on Szabat, ludzie nie będą już więcej myśleli o stworzeniu i tym samym pojawi się sposób na przekonanie każdego, że Starodawny nawet nie istnieje – że nie ma w ogóle żadnego Stworzyciela.

Tak więc wiele zależy od jego babilońskiej strategii oraz od cotygodniowych przemówień kapłanów słońca. Nie tracę więc czasu i staram się natychmiast ostrzec Zedronna o tym, co właśnie wydarzyło się na Synaju. Jeśli Hebrajczycy zdadzą sobie sprawę ze znaczenia przykazania, które właśnie usłyszeli, może to cofnąć o całe wieki nasze plany. Mój posłaniec udaje się do Babilonu właśnie wtedy, gdy głos z góry odzywa się dalej.

– Czcij ojca swego i matkę swoją.

- Nie zabijaj.
- Nie popełniaj cudzołóstwa.
- Nie kradnij.
- Nie kłam.
- Nie pożądam niczego, co nie jest twoje.

Słowa odbijają się echem, zaś ludzie zdumieni ognistą obecnością Boga, łączą swoje głosy w obietnicę: „*Wszystko co powiedział Pan, uczynimy*”.

Grzmoty na Synaju cichną. Na pustyni nastaje cisza, Hebrajczycy w ciszy powracają do swoich namiotów, podczas gdy Moshe raz jeszcze wspina się na górę, by spędzić czas ze Świętym Bogiem. Posuwając się ku górze wzdłuż kręcącego się parowu, wspina się na sam szczyt, który wznosi się na 1400 łokci ponad poziom pustyni, a potem, gdy dochodzi do samego szczytu, starzec znika w jaśniejącym świetle.

Czterdzieści dni później

Przez niemal sześć tygodni Moshe przebywał na górze i odczuwam, że mamy chwilę możliwości. Ludzie najwyraźniej stają się coraz bardziej poruszeni. Przeszli poprzez niezwykle wyzwania: dramat Exodusu, atak armii egipskiej, a teraz to – słyszeli głos samego Boga z góry, która ziała ogniem i dymem. Po tych wszystkich ekscytacjach nastąpiła pustka, która trwa już sześć tygodni i która okazała się dla nich zbyt trudna, i jak sądzę, stali się niespokojni, zastraszeni, gotowi uczynić jakiś wielki błąd. Czas więc na podsuniecie im inicjatywy.

Wzywam mój sztab wykonawczy i podaję propozycję.

– Wojownicy, jak sądzę mamy chwilę możliwości. Jeśli ruszymy szybko, myślę, że możemy przejąć kontrolę nad tymi ludźmi.

Po raz pierwszy spotykam się z otwartym sceptycyzmem, a pochodzi on od Barshoka (który – powinienem to dodać – z sukcesem zamknął każde źródło wody pomiędzy tym miejscem, a Kadesh-Barnea). Barshok jest dziwną postacią. Doznał on głębokiego urazu podczas wojny w Królestwie, często zachowuje się ponuro i gwałtownie, a to spotkanie z Narodzonym na Synaju wypaliło nowe dziury w jego mózgu. Mówi tak, jak niewielu odważyłoby się do mnie odezwać.

– Możliwość – ripostuje. – Ci ludzie właśnie spotkali się z samym Bogiem, a ty mówisz, że mamy możliwość? Przypomnij sobie, Lucyferze, ostatnią wielką możliwość, jaką wydawało ci się, że widziałeś: tam, nad Morzem Czerwonym. Straciliśmy całą armię egipską.

Wiedząc o tym, że wielu prawdopodobnie odczuwa to samo co on, ignoruję jego niegrzeczność i skupiam się na jego argumentach. Po błędzie taktycznym nad Morzem Czerwonym, zdaję sobie sprawę, że moja pozycja ucierpiała i chociaż nikt niczego nie powiedział, ich wyraz twarzy objawia, że zaufanie do mnie spadło znacznie. Wydawało mi się nawet, że widziałem błysk ambicji, jaka po-

nownie zajaśniała na twarzy Zedronna, zdecydowałem więc, że już nigdy więcej nie zaryzykuję większego nieszczęścia, bo nie sądzę, by wówczas moje rządy mogły przetrwać kolejne potknięcia. Ale widzę teraz coś, czego inni nie widzą. Myślę, że Hebrajczycy są już gotowi do upadku i jeśli uda mi się z tego skorzystać, odbuduję zaufanie do mnie. To ryzyko, ale teraz warto jest takiego kroku – i na przekór wszystkiemu – wzywam Barshoka, aby przypomniawszy dokładnie to, co wydarzyło się na Synaju.

– Barshok, przeoczyłeś pewną subtelność, ale ważną rzecz: nie słuchałeś z uwagą ludzi. Gdy góra eksplodowała dymem i płomieniami, ludzie byli przejęci strachem i w całym tym dramacie przeżycia, kiedy powiedziano im, aby posłuszni byli Jego prawu, co oni powiedzieli?

Moje przewidywania były słuszne: nie ma pojęcia o tym, co ludzie powiedzieli, a jego niezręczne milczenie przywraca mi siłę argumentu. Nikt inny także nie wie, czekają więc, wyraźnie zaciekawieni, na odpowiedź. A ja kontynuuję:

– Powiedzieli, i tu cytuję: „Wszystko, co powiedział Pan, uczynimy”.

Spojrzenie zrozumienia pojawia się na twarzy Marcolitha. Zaczyna dostrzegać możliwości działania.

– Mistrzu, czy możesz to powtórzyć? Co powiedzieli?

Powtarzam więc:

– „Wszystko, co powiedział Pan, uczynimy”.

– My, Mistrzu? Czy powiedzieli „my”?

– Tak powiedzieli. Obiecali, że to *oni* zachowają prawo Starodawnego.

– Ach – kontynuuje Marcolith. – Teraz widzę. *My* tego dokonamy. Dali obietnicę, której nie potrafią dotrzymać. Nikt nigdy jeszcze nie odniósł takiego zwycięstwa, gdy polegał na sobie samym. To była pułapka, w jaką wpadł Moshe, gdy sam próbował wyzwolić Hebrajczyków. Myślał, że to *on* potrafi i dopóki nie nauczył się lepiej tego rozumieć, był przegrany.

– Dokładnie tak – odpowiadam. – Hebrajczycy przyrzekli, że będą posłuszni Panu, ale ich słowa wskazują na to, że spodziewają się uczynić to sami. Skoro polegają na sobie samych w zwycięstwie nad czymś tak potężnym, jak samolubstwo, muszą upaść. Nawet Moshe nie potrafił sobie z tym poradzić.

– Tak – dodaje Andrade. – I potrzebował aż 40 lat, aby się nauczyć, znacznie więcej, niż mają teraz ci ludzie.

Nawet Barshok wydaje się być pod wrażeniem. Jestem gotowy do wygłoszenia głównej części mojej mowy.

– Idźcie do nich. Poszukajcie zaniepokojonych ludzi i wypełnijcie ich myślami, że Moshe prawdopodobnie zmarł na górze, że niewiele mają tu pożywienia i wody, że faktycznie zamienili jedną niewolę na drugą. Tutaj są niewolnikami gorąca, piasku i głodu. W Egipcie przynajmniej mieli mnóstwo jedzenia.

Moje siły rozproszyły się i wkrótce obóz Izraela przepełniony jest gwarem podekscytowanych głosów. Plan działa!

Dwa dni później

Powiedziałem, że działa? To jest wyjący sukces. Ruszyli na biednego, starego Aarona, który pod nieobecność brata – Moshe, przejął dowództwo. Ten stary człowiek nie mógł sobie jednak poradzić z ich żądaniami. Niektórzy z nich chcieli zapomnieć o Moshe i udać się do Chanaanu sami. (Idźcie, spróbujcie, wy idioci! Dzięki Barshokowi nie znajdziecie ani kropli wody po drodze!) Inni chcieli powrócić do Egiptu. To, w czym wszyscy potrafili się zgodzić, to to, że chcieli jakiegoś boga, który byłby inny od niewidzialnego Jahwe, ukrywającego się w dymie Synaju. Końcowym wynikiem tego całego zgiełku było to, że Aaron zgodził się ułać im złotego cielca, podobnego do bożków z metalu, jakich widzieli w Egipcie. Teraz wszyscy zamierzają czcić tę rzecz.

„Oddajcie cześć tylko mnie i nie czcicie niczego, co sami učiniliście sobie”. Popatrzmy, to było przykazanie numer dwa, czyż nie tak? Jedno z dziesięciu, które obiecali, że sami zachowają? Tylko czterdzieści dni, a już zdołali zapomnieć o tym, co powiedział do nich głos z Synaju. Zamiast tego, pamiętają coś, czego nauczyli się od Egipcjan: zaczęli się upijać, rozbierać ze swojej odzieży i tańczyć na wpuł nadzy wokół swojego metalowego posągu, przez cały czas udając, że jest to nabożeństwo!

Już dostrzegam, jak Strażnicy wycofują się z przygnębieniem wypisanym na swych twarzach, gdy zostają odsunięci poprzez nieposłuszeństwo tych samych ludzi, których mieli chronić. Jednak nie odchodzą daleko; znajdują się w niewielkiej odległości od nas i ostrzegają nas, abyśmy nie zbliżali się do Hebrajczyków, bo mimo ich upadku, Starodawny nadal ich chroni. To sprawia, że jesteśmy osaczeni, ale aż unosimy się z radości. On może sobie ich chronić, ale i tak się wycofuje, a do mnie należy zwycięstwo.

Kilka dni później

Dzisiaj Moshe zszedł z góry, a na jego twarzy malowała się złość. Jozue, naczelny generał, szedł za nim, niosąc kilka połamanych kawałków kamienia, na których można dostrzec fragmenty jakiegoś napisu. Za nimi szedł Simtor i mówił, że gdy schodzili z góry, Moshe usłyszał hałaśliwe celebracje w obozie Hebrajczyków. Rozpoznając w nich pogańskie rytuały, był tak wściekły, że rozbił jakieś kamienne tablice, które niósł w ręku. No, i tu jest ta ekscytująca część: na tych tablicach napisanych było dziesięć praw, jakich Hebrajczycy mieli przestrzegać, a napisał je osobiście sam Bóg!

Porozmawiajmy o zwycięstwie! Nie było to nic innego, jak bezpośredni, osobisty triumf nad Narodzonym. Pojawił się w pełnym majestacie królewskim na Synaju, przekazał swoje prawa, a później osobiście napisał je na kamieniu. A ja przecież zaledwie w czterdzieści dni zwiódłem Jego wybranych posłańców,

prorowadząc ich do wielkiego buntu! Nawet Barshok jest pod wrażeniem. Dzisiaj rano zszedł z swojej drogi, aby spotkać się ze mną, nazwał mnie Mistrzem i skłonił się nisko, a Zedronn przysłał swoje osobiste gratulacje. Ryzyko się opłaciło!

Faktycznie, opłaciło się nie tylko w jednej sprawie, bowiem w tym zwycięstwie istnieją głębsze jeszcze korzyści, niż jedynie odbudowanie mojego osobistego statusu wśród własnych wojowników. Po pierwsze, wziąłem sobie próbkę Hebrajskich sprzymierzeńców Narodzonego i przekonałem się, że mają swoje słabe punkty. Co ważniejsze jeszcze, przekonałem się, że gdy On próbuje walczyć na moim terytorium, to można Go pokonać!

Tydzień później

Spędziliśmy miłe dni rozkoszując się zwycięstwem. Czas ten nie był tak przyjemny dla Hebrajczyków, którzy zabawiali się wokół złotego cielca. Moshe wparował do obozu, przejął dowodzenie, oddzielił tych, którzy bawili się i rozpoczął porachunki. Wykorzystując wiedzę, jaką zdobył jeszcze w Egipcie, rozbił złotego cielca w proch i spalił go, dokonując procedury, w której złoto staje się ciekłe i przybiera kolor czerwony. Potem wyspał to wszystko do ich wody pitnej i kazał, aby cały Izrael pił tę krwawą miksturę. To tak, jakby sami pili swoją śmierć i teraz każdy stara się wymknąć z tego miejsca ze wstydem.

Patrzyliśmy na to wszystko z nie ukrytym zadowoleniem. Aniołowie z Królestwa mijają nas, udając się w różne strony ze swymi poleceniami i wyglądają całkowicie porażeni. Dwa dni temu pojawił się sam Gabriel (najwidoczniej znajduje się tam, na górze, wraz z Narodzonym), a ja skorzystałem z chwili, aby odkuć się nieco.

– Gabrielu! – krzyknąłem. – Czy zszedłeś, aby zobaczyć kolejny występ świętego narodu?

Miał smutną twarz i nie odezwał się słowem, wrzasnąłem więc jeszcze po namyśle, gdy skierował się na Synaj.

– Powiedz Narodzonemu, że jeśli to ci ludzie mają zająć nasze miejsca w Skupieniu, to może już się mi sam poddać! O, i jeszcze jedno, Gabrielu, powiedział im, aby pamiętali o Szabacie. Następnym razem musimy pamiętać, żeby siódmego dnia urządzić sobie zabawę. Przyjdź sam i przyprowadź swoich przyjaciół i...

Pozostawiłem to zdanie nieskończone. Gabriel już zniknął we mgle pokrywającej górę.

Dobra robota! Może nie udało mi się ich zatrzymać w Egipcie, ale udało mi się zrobić coś równie dobrego – zatrzymałem Egipt w nich. A teraz, Starodawny, kolejny krok należy do ciebie.

Rozdział 14

Namiot tajemnicy

Synaj, sześć miesięcy później

Nic, tylko piasek, cierpki wiatr i ten lejący się z nieba żar. Dzień po dniu to samo, aż dni stawały się miesiącami. A przecież lato dopiero nadchodziło – lato na Półwyspie Synajskim! Gdzie nie spojrzeć, wrocie pustkowia, urozmaicone jedynie rozedrganym od upalnego powietrza horyzontem. Nic, tylko to. A jednak, czasem, gdy było szczególnie gorąco, tam, nad horyzontem majaczył inny obraz, jakby zew z dalekiej, cudownej krainy, Chanaanu, gdzie winorośl rośnie tak bujnie, że trzeba dwóch mężczyzn, by podnieść jedną kiść soczystych winogron.

O ironio, Hebrajczycy mogliby już tam być teraz. Gdy pierwszy raz przybyliśmy pod Synaj, myślałem, że będą tu krótko i nadal przypuszczam, że taki był plan Wszechmogącego. Warunki były doskonałe, tak jakby plan został przygotowany z dokładnością do najmniejszego szczegółu. Wyszli z Egiptu wiosną, co dawało im wystarczająco dużo czasu, by doszli do Chanaanu przed zniwami i tym sposobem mieliby zapewnione zapasy żywności. Ale stracili swoją szansę podczas swojego wybryku z metalowym cielcem, bowiem gdyby szybko weszli do Ziemi Obiecanej po swoim zatopieniu się w pogańskim bałwochwalstwie, powstałoby pytanie, który to bóg dał im zwycięstwo.

Tak więc pozostają tutaj, miesiąc po miesiącu, jakby nie mieli gdzie się udać, a w tym czasie Moshe zajmuje ich pewnym projektem, który mnie zadziwia. Na pustym miejscu, w środku swojego obozu stawiają wielką budowlę, podobną do namiotu, otoczoną wysokim murem, wykonanym z tkanego materiału. Wewnątrz tego muru, który tworzy swego rodzaju dziedziniec, znajduje się ten namiot – intrygująca budowla o dwóch pomieszczeniach, z których jedno nawet nie ma wejścia z zewnątrz. Wystawiono też piec hutniczy, a ludzie przynieśli hutnikom duże ilości złota i brązu. Coś w tym projekcie wywołało w nich taką niesamolubną postawę, jaką rzadko widywałem wśród ludzi. To dla nas niedobrze, bo gdy oddają coś bezinteresownie, wtedy wykazują mniejsze zainteresowanie naszymi pokusami. Wydaje się, jakby ten dziwny namiot zawierał pewną tajemnicę, która potrafi przemienić ich życie.

W pobliżu pieca stoją jakieś metalowe przedmioty – duża struktura, podobna do skrzyni, pokryta brązem, świecznik złoty o siedmiu ramionach, jakaś taca – i chociaż się staram, nie mogę wydedukować, co one oznaczają. *Co tu się dzieje?* Decyduję, że zawezwę mojego głównego doradcę.

Meldibon jest moim najbardziej zaufanym teoretykiem. Kiedyś, jeszcze w Królestwie, był oficerem bardzo wysokiej rangi. Jest cichy i rozważny, całkowicie niepodobny do zdziżałych i trudnych do przewidzenia w reakcjach wojowników, takich jak Barshok. Zdecydowałem więc postawić mu pytanie.

– Meldibonie, widziałeś namiot, jaki budują. Co on tobie sugeruje?

Nie odpowiada od razu, ale przechyla głowę do tyłu, wpatrując się chwilowo w gwiazdy. Potem odzywa się.

– Myślę Mistrzu, że budują model Świątyni Światła, świątyni, która znajduje się w Królestwie.

– Niemożliwe! – ripostuję. – Ta konstrukcja ma dwa oddzielne pomieszczenia. A wiesz tak samo jak ja, że Świątynia ma tylko jedno.

– Tak, wiem – odpowiada głosem spokojnym i opanowanym, tak jakby przebrał to wszystko już setki razy i gotów jest teraz wyjaśnić to wszystko małemu brzdącowi. – Wiem o tym. Ale nadal uważam, że jest to wzór Świątyni.

Nie mogąc pohamować małego zaciekawienia w moim głosie, pytam:

– A w jaki sposób ten namiot o dwóch pomieszczeniach może reprezentować Świątynię o jednym pomieszczeniu, która istnieje w Królestwie? Wyjaśnij to.

– Ponieważ, jak sądzę, coś zmieniło się w Królestwie. Wydaje mi się, że nawet Świątynia Światła zmieniła się i teraz ma ona także dwa pomieszczenia.

Jestem zaintrygowany. Dlaczego coś miałoby się zmienić w Królestwie? Ale jakby czytając moje myśli, Meldibon kontynuuje.

– Dlaczego tam coś zmienili? Ponieważ zostali zmuszeni, by dostosować się do ciebie, Lucyferze, do wyzwania, przed jakim ich postawiłeś. Postawiłeś Starodawnego przed tak niezgłębionym enigmatem, że sięga to nieskończoności. A to wyjaśnia istnienie drugiego pomieszczenia. Pozwól, że to wyjaśnię. Jest oczywiste, że Starodawny zamierza uratować wszystkich ludzi, którzy chcą tego i zabrać ich do Królestwa – słodka śmierci, Mistrzu, jeden z nich już tam jest, człowiek o imieniu Enoch. Ale ratując ich, Wszchemogący stoi przed straszliwym problemem. Ludzie, których stara się zbawić, częstokroć łamią Jego dzieścię praw. Kłamią, kradną, zabijają i zabierają sobie wzajem żony. A w chwilach stresu wzywają Jego imienia, aby przeklinać się nawzajem.

I oto jest wyzwanie przed jakim zmusiłeś Go, aby stanął: żeby zbawić tych ludzi, musi im pozwolić na to, aby mogli kierować swe myśli przed Jego oblicze. Bez tej rzeczy, jaką oni nazywają modlitwą, w której otwierają swoje myśli przed Królestwem, są zupełnie martwi. Przekonaliśmy się o tym tutaj, pod Synajem. I w tym leży Jego problem. Gdy się modlą, wtedy poprzez wiarę udają się przed sam tron. Jest to tak, jakby w rzeczywistości *tam* byli. Nie może On pozwolić, aby przed Jego obliczem znalazła się taka niedoskonałość, musi więc coś uczynić, by darować im popełnione błędy. Dlatego, jak sądzę, drugie pomieszczenie w świątyni stanowi Jego odpowiedź. Dodane od chwili zbuntowania się człowieka, stanowi miejsce, do którego ludzie mogą się udać poprzez modlitwę. Zaś zaraz obok tego, w miejscu najświęt-

szym, znajduje się Jego tron. Znalazł więc sposób, aby pozwolić im, by byli tak blisko Niego, jak tylko jest to możliwe, dlatego sędzę, że namiot, który budują, ma im to unaocznic. On także będzie miał swoje dwa pomieszczenia. Jedno będzie otwarte dla ludzi, zaś drugie, poza ciężką zasłoną, będzie miejscem obecności Wszechmogącego. *On ma zamiar fizycznie mieszkać pośród swego ludu, ukryty za tą zasłoną.*

– Meldibonie! – odzywam się. – Myślę, że masz rację! A jeśli tak, wyjaśnia mi to jeszcze jedną rzecz, dlaczego to wszystko jest przenośne. Ten namiot powędruje z nimi wszędzie. Będzie to w bardzo literalnym znaczeniu Beth El, Domem Bożym. *Narodzony będzie mieszkał wśród tych Hebrajczyków.*

– Tak też myślę, Mistrzu. Starodawny ma nadzieję, że ten cały naród stanie się podobny do Enocha i uczyni wszystko, co tylko możliwe, aby tak się stało. Osobiście dał im swoje prawo. Teraz dał im ten namiot, pomagając im w uzmysłowieniu sobie tego, co dzieje się w Królestwie, gdy się modlą. A poza tym wszystkim, ma zamiar fizycznie z nimi mieszkać. Mistrzu, to jest wspaniały plan. Można tylko go zrealizować.

O, słodkie miłosierdzie, faktycznie można. *To może zadziałać.* Uczynił wszystko, czego ludziom tym potrzeba, aby przezwyciężyli moje pokusy – nawet przyszedł, aby zamieszkać z nimi w replice swojej świątyni. Czy jeszcze czegoś mogą potrzebować?

Meldibon odczuwa, że czas na to, aby odszedł. Posłaniec, który od dawna już czeka, aż zakończymy, wchodzi, aby coś powiedzieć, ale pozbywam się go spojrzeniem, które przepędza go, bowiem w głowie odczuwam wielki zamęt. Ta budowla, ta przeklęta budowla, tak prosta, a zarazem tak wspaniała, stanowi diagram całego planu Jego bitwy. Przypuszczam, że w tym wszystkim znajduje się też obraz, w jaki sposób On oczekuje zakończenia tej wojny. Muszę zapoznać się z każdym szczegółem tej rzeczy. Muszę rozszyfrować każdą tajemnicę, jaka się w tym mieści.

Trzy tygodnie później

Docierają dalsze informacje. Jurab, którego zadaniem było obserwowanie Moshe, podsłuchał, jak ten mówił do swego brata Aarona, że namiot jest rzeczywiście modelem świątyni, jaka znajduje się w Królestwie. Tak więc Meldibon miał rację! Ale i my uczymy się coraz więcej o rytuałach, które są tam wypełniane. Ci, którzy pragną przebaczenia im minionych grzechów, przybywają do namiotu, a niewinne zwierzę zostaje zabite – naoczne przypomnienie, że popełnianie zła niszczy niewinnych. A później kapłan bierze krew tego zwierzęcia i kropi nią *wewnątrz przybytku.*

Dlaczego? Meldibon zastanawiał się i nad tym.

– Mistrzu, ten rytuał właśnie objawił tajemnicę, jakiej nigdy nie rozumiałem. Gdy ludzie przestępują prawo, czynem tym uruchamiają cały szereg okoliczno-

ści, nad którymi tracą panowanie, nawet jeśli później się upamiętają. Na przykład, powiedzmy, że jeden z nich zabija kogoś drugiego w wyniku pasji, ale później pokutuje z tego. Wydaje się oczywiste, że zostaje mu to wybaczone, jednak skutki morderstwa, mimo, że zostało ono odpuszczone, pozostają tak długo, jak długo istnieć będzie ten świat. Osoba zamordowana nie będzie już, oczywiście, rodzicem, a to powoduje, że tysiące, a nawet miliony ludzi nie urodzi się wcale. Tym sposobem morderstwo obejmuje więcej, niż jedną tylko ofiarę. Potencjalnie są to *miliony* ofiar, a z każdym wiekiem ilość ta będzie rosła. I tu jest problem, nad którym się zastanawiam. Nawet jeśli grzech jest przebaczony, to nadal sieje on zniszczenie, a prawo mówi, że trzeba będzie zdać sprawę z każdej niesprawiedliwości. Wszechmogący nie może udawać, że grzechy, które przebaczył, nie istnieją już więcej, bowiem żyją one nadal poprzez swoje konsekwencje. Co więc z nimi uczyni?

Mówiąc szczerze, jak dotąd nigdy nie potrafiłem tego sobie uzmysłowić, ale nareszcie to widzę, bo ilustracja znajduje się w tej świątyni namiotowej, jaką teraz budują. Gdy dana osoba przyjmuje przebaczenie, to po co kapłan ma krocić krwią wewnątrz przybytku? Mistrzu, to wskazuje, że brzemień grzechu zostało przeniesione na Beth El, Dom Boży. *Sam Wszechmogący niesie na nich to brzemień!*

Rozważam nad tym wyjaśnieniem przez wiele minut. W końcu decyduję, że w istocie Meldibon rozwiązał zagadkę, w jaki sposób ludzie, którzy często zawodzą Wszechmogącego, mogą, mimo wszystko, zostać uratowani: *On sam gotów jest ponieść ich winę.* Ale to pozostawia mrożące krew w żyłach pytanie. On nie może pozostawić tego tak na zawsze. Wcześniej, czy później będzie musiał oczyścić swój wszechświat z grzechu i już doszedłem do wniosku, że uczyni to przy pomocy ognia. Ludzie, którzy nie przyjęli przebaczenia, poniosą swoją winę do piekła. Ale co z odpowiedzialnością za ból spowodowany złem, jakie zostało przebaczone? Kto *ją* poniesie do piekła?

Odpowiedź przychodzi na miejsce, gdy mój doradca kontynuuje.

– Mistrzu, czy pamiętasz w jaki sposób Enoch, gdy był jeszcze na tej ziemi, przemawiał o czymś, co nazywał „sądem”?

Oczywiście, że pamiętam. Chodziłem za Enochem i pamiętam, jak przepowiedział, że gdzieś w odległej przyszłości, będzie miał miejsce sąd, podczas którego dokonany zostanie przegląd życia każdego człowieka.

– Tak więc porównując przepowiednię Enocha z symboliką namiotu, wydaje mi się, że widzimy, w jaki sposób Starodawny zamierza zakończyć wojnę. Gdzieś w przyszłości będzie interweniował i doprowadzi historię ludzkości do kresu. Spodziewa się, że wygra z tobą wojnę. W tym czasie, kiedy będzie mógł podliczyć skutki każdego zła, przeprowadzi sąd nad każdym życiem i ustali odpowiedzialność za zniszczenie, jakie spowodowane było wszystkimi złymi czynami. Ludzie, którzy nie przyjęli przebaczenia, poniosą sami odpowiedzial-

ność za własne upadki. Ale wina za zniszczenie spowodowane przez grzechy, jakie zostały przebaczone, będzie musiała zostać złożona na kogoś innego.

Przerywa na moment, jakby nie chciał posunąć się dalej, a ja zacząłem drżeć – poddany reakcji, nad którą nie udało mi się zapanować. Widzę bowiem wyraźnie, gdzie to wszystko prowadzi. Mija minuta zakłopotania i znowu odzywam się. Głos mam ochrypliwy, ledwie słyszalny.

– Kto, Meldibonie? Kto poniesie tę winę?

Jego odpowiedź wywołuje u mnie dreszcze, bowiem potwierdza moje najgorsze przeczucia.

– Nie widzę, Mistrzu, innego rozwiązania – odpowiada. – Myślę, że my.

Synaj, jedenasty miesiąc

Gdyby Hebrajczycy odeszli spod Synaju szybko, wtedy wykorzystaliby dogodną chwilę. Podążaliby dalej w momencie, gdy wydarzenia znad Morza Czerwonego były jeszcze świeże. Ale ta zwłoka dała mi wielką korzyść. Niektóre z bardziej wojowniczych plemion zaczynają odbudowywać swoją odwagę, a kilku wojowników pustynnych zdecydowało się na zaatakowanie Hebrajczyków, zachęcając tym innych, aby uczynili to samo.

W tym czasie chcę też spróbować innej taktyki. Pomiędzy tym miejscem, a Chanaanem mieszkają plemiona pustynne, których bogowie reprezentują ludzką płodność, a których ceremonie religijne często przemieniają się w orgie, jakie dla mężczyzn hebrajskich mogą okazać się zbyt trudne do niezauważenia. Zamierzam wykorzystać tych swoich sprzymierzeńców do subtelного ataku. Udając przyjaźń, poprowadzą Izrael do upadku, do czegoś, co oddzieli ich od Wszechmogącego. A wtedy, gdy ich rozpusta zmusi chroniące ich Straże do odejścia, pošlę przeciwko nim wojownicze plemiona, aby dokonały militarnej zagłady.

Koniec roku

Meldibon przyniósł właśnie więcej jeszcze informacji na temat namiotu zgromadzenia, a to, czego się nauczyłem, przepelnia mnie strachem.

– Mistrzu, właśnie odkryłem, że Hebrajczycy raz w roku będą mieli specjalną ceremonię, zwaną Dniem Pojednania. W ten dzień ich najwyższy kapłan będzie robił coś, co nigdy nie wydawało mi się możliwe: faktycznie wejdzie do drugiego pomieszczenia, miejsca, gdzie mieszka Wszechmogący! Wtedy symbolicznie będzie wynosił ze świątyni wszystkie grzechy, składając je na głowę żywego kozła.

W tym momencie nasza rozmowa została przerwana ochryplym śmiechem. Nie zdawałem sobie sprawy, że kilku młodszych posłańców stało w zasięgu słuchu, a wzmianka o ceremonii z hebrajskim kozłem wywołała u nich histeryczną wesołość.

– Kozioł – parsknął jeden z nich. – Czy słyszałeś, co powiedział Mel...

Jestem wściekły, znacznie bardziej niż było to w minionych wiekach, bowiem już rozpoznałem symbolikę i ona mnie przeraża.

– Milczeć, osły! – rozkazuję. – Nie ma w tym niczego śmiesznego. Wszechmogący stara się przekazać coś bardzo złożonego istotom o ograniczonej inteligencji, a ten kozioł jest tylko symbolem.

– Symbolem czego, Mistrzu? – zapytał jeden z nich, bardziej opanowany.

Długo zwlekam z odpowiedzią, zdając sobie bowiem sprawę z tego, kogo kozioł reprezentuje. Potwierdza to jedynie moją obawę, że Wszechmogący zamierza mnie uczynić odpowiedzialnym za zniszczenie spowodowane wszystkimi grzechami, które zostały wybaczone. W końcu odzywam się.

– Ten kozioł, moi mili przyjaciele, wskazuje na mnie.

Szybko rzucam spojrzenie w kierunku Meldibona, a on przytakuje głową tylko raz. Ten krótki ruch głowy przemawia znacznie straszniej, niż gdyby zaczął krzyczeć.

Moi młodzi posłańcy pobledli. Jeden z nich, nieświadomie kładzie swoją rękę na szyi jakby chroniąc ją, bo jest to miejsce, które unieruchomiłem u Zedrona. Ich oczy wypełniają się paniką i błaganiem proszącym o zezwolenie na odejście. Przez chwilę pozwalam na to, by podpiekli się na węglach strachu, a potem, bardzo szybko odzywam się.

– W porządku, możecie odejść. – Pędzą przed siebie i znikają. Gdy są już poza zasięgiem wzroku, Meldibon gestem wskazuje, abym się przybliżył i kontynuuję, mówiąc bardzo cicho.

– Nie powiedziałem ci jeszcze, Mistrzu, o czymś, a cieszę się, że jesteśmy sami, bo mogę powiedzieć o tym prywatnie. Ja także uważam, że kozioł reprezentuje ciebie. Ale jest jeszcze coś gorszego. Po symbolicznym włożeniu na kozła wszystkich grzechów Izraela, zostanie on wyprowadzony na pustynię, na teren niezamieszkały, całkowite pustkowie i tam ma pozostać. – Zatrzymuje się, jakby oczekując, że zadam mu pytanie. Zauważam to, bowiem opuszcza wzrok, nie chcąc, abym popatrzył mu w oczy. Stawiam więc je:

– Pozostać? – pytam. – Na pustyni? Dlaczego?

– Myślę, Mistrzu – odpowiada delikatnie – że to objawia, w jaki sposób zakończy się ta wojna. Wyludniona, opustoszona pustynia obrazuje to, co stanie się na tej ziemi. Obawiam się, że cała orbita zostanie wyludniona, a my pozostaniemy tutaj, zupełnie sami.

Patrzę na niego, ale nie potrafi unieść swoich oczu, aby spotkać się z moim spojrzeniem.

– A... co potem? – pytam.

– Nie wiem, Mistrzu. Nie mam wystarczających informacji. Poza ten moment nie potrafię patrzeć. Przykro mi.

Nie uniósł wzroku ani na chwilę. Potem po cichu wyszedł. Ale ja potrafię dokończyć historię, tę część, której nie powiedział Meldibon. On może tego nie

rozumie, ale ja rozumiem. Przypominam sobie ten pierwszy raz, gdy zrozumiałem, w jaki sposób Narodzony ma zamiar zakończyć moje panowanie. Było to przy bramie Edenu, gdzie synowie Adama udali się, by złożyć swoje ofiary. Gdy zabite zwierzę zostało złożone na kamieniach ołtarza, zstąpił ogień z nieba i pochłonął je, a ja zdałem sobie sprawę z tego, co to oznacza. Wszchemogący zamierza pewnego dnia zniszczyć moje królestwo ogniem – a sąd ostateczny określili to, ile cierpień będę w stanie znieść w tych płomieniach.

To jest koniec, o jakim nie wiesz, mój przyjacielu, Meldibonie.

Rok 2539

A więc namiot zgromadzenia został ukończony, a Hebrajczycy dzisiaj dokonali jego poświęcenia. Byli przy tym wszyscy kapłani, ubrani w nieskazitelne lniane szaty. Najwyższy kapłan miał założony na swej łsniacej, jasnoniebieskiej szacie napierśnik z klejnotami – takimi samymi klejnotami, które tworzą fundament Miasta, tam w Królestwie Światła. Poblyskiwały w świetle słońca i przez chwilę przywołałem tak odległe wspomnienia Kamieni Ognistych. Potem Ruach wypełnił namiot, zaś Narodzony wszedł do jego drugiego pomieszczenia z ognistym odbłaskiem, który przenika barierę czasoprzestrzeni i staje się częściowo widoczny nawet przez przejętych grozą ludzi. Tak, jak oczekiwaliśmy, ma zamiar mieszkać tutaj, pośród Hebrajczyków, w tej świątyni.

Kilka dni temu włożyli do wewnętrznego pomieszczenia skrzynię obitą złotem. Włożyli do niej dwie tablice kamienne, na których Bóg ponownie wypisał swoje Prawo, po tym, gdy Moshe rozbił poprzednie podczas odstępstwa Izraela. Następnie przykryli skrzynię wiekiem ze szczerego złota, na którym znajdowali się złoci aniołowie.

Złoto – ten szczególny kolor miłosierdzia! Nie mam żadnych trudności ze zrozumieniem znaczenia tej skrzyni. Jest to maleńka replika tronu, zaś złoci aniołowie przedstawiają tych, którzy osobiście towarzyszą we wszystkim Wszchemogącemu. Kiedyś to zajęcie należało do mnie!

Dzień skończył się, a wraz z nim skończyły się ceremonie poświęcające. Patrzę raz jeszcze na świątynię znajdującą się na pustyni. Niebo płonie głębokim niebieskim kolorem, rozjaśnione ostatnim blaskiem zachodzącego słońca. Na ołtarzu żarzące się węgle pochłaniają baranka, a dym unosi się wysoko, jakby symbolizując modlitwę, zaś ludzie trwają w ciszy, zgubieni w panoramie, jakiej nigdy wcześniej nie oglądali.

Powoli odwracam się i widzę pustynną otchłań, gdzie mogę kiedyś pozostać sam i tak oto powoli ostatnie elementy układanki zaczynają wpasowywać się na swoje miejsca: obietnica ratunku dana ludziom przez Narodzonego jeszcze w Edenie. Jego wypowiedź skierowana do mnie, że pewnego dnia On może umrzeć. Nawet hymn, który śpiewaliśmy kiedyś u tronu o Nim, który „odda-

je się” dla świata. To wszystko teraz zaczyna mi się układać w myślach. Rozstawiony namiot, to Jego sposób na zilustrowanie ludziom, co w przyszłości ma zamiar uczynić.

Po raz pierwszy zaczynam rozumieć dokładnie to, w jaki sposób Narodzony uratuje ludzi. Nieraz zastanawiałem się: jak odkupi ludzi, którzy tak wyraźnie przestąpili Jego prawo, którzy przez to prawo zostali potępieni, którzy winni są śmierci? Jak może przekreślić swoje własne prawo? I gdy studiuję ten pustynny przybytek, zdaję sobie sprawę, że nie zignorował prawa. Ono domaga się sprawiedliwości i On podda się tej sprawiedliwości. Sam podda się karze śmierci.

To On jest tym barankiem spalonym w ogniu.

Niebezpieczeństwo w Ziemi Obiecanej

Rok: 2577

Poniżej nierównej zachodniej ściany gór, nad Doliną Jordanu leży miasto Jerycho. Pod każdym względem jest to imponująca forteca, ale tak naprawdę, to jest ono jak zgniła dynia – z zewnątrz kamienne mury i fortyfikacje, zaś w środku miazga. Żołnierze kulą się ze strachu w swojej fortecy, stale powtarzając legendę o Hebrajczykach, a jest wiele do opowiadania.

Niedawno temu Izrael rozpoczął wędrówkę w kierunku Chanaanu, a ja postawiłem im na drodze najędzniejszych sprzymierzeńców, jakich tylko miałem na ziemi. Jednym z nich był król Bashanu, gigant wśród ludzi, tak potężny, że jego łoże miało dziewięć łokci długości i musiało być wykonane specjalnie z żelaza. Ponad dwa razy wyższy od przeciętnego człowieka, dowodził armią, w skład której wchodziłi tylko giganci. Jego państwo obejmowało sześćdziesiąt ufortyfikowanych miast, z murami wykonanymi z dużych czarnych kamieni pustyńnych, które robiły wrażenie odpornych na wszelkie moce tej ziemi.

W tym kotle terroru Izrael podążał do przodu, maszerując prosto w kierunku śmiertelnej pułapki, ale w tamtych chwilach, poza barierą czasoprzestrzeni, która oddziela świat ludzki od świata w jakim ja żyję, ogromna armia z Królestwa pojawiła się przy Hebrajczykach. Aniołowie-wojownicy wsunęli się na pozycje pomiędzy Hebrajczykami a ich wrogami, jak obłok ognia. Ich pole energii przebiło się poprzez barierę z taką mocą, której nawet giganci nie potrafili wytrzymać, a osłupieni obrońcy zaczęli cofać się w porażce. Król-gigant zmarł tego samego dnia, tak jak i całe jego imperium z sześćdziesięcioma miastami o czarnych murach, a teraz słowo *Hebrajczyk* znowu wzbudza poczucie strachu we wszystkich obozach wojskowych.

W Jerycho także wywołuje ono strach i to właśnie mnie martwi. Jeśli Jerycho upadnie, upadnie także mała pozycja wojskowa w Ai, a wtedy ta horda pójdzie dalej, do samego Chanaanu, dokładnie tam, gdzie Narodzony chce ich doprowadzić!

Moi wojownicy są sfrustrowani do granicy wściekłości. Ostatniego wieczoru powrócił Barshok z taką złością, jakiej jeszcze u niego nigdy nie widziałem.

– Oni są beużyteczni, Lucyferze! – ryknął, przerywając spotkanie rady i przeciągnął po wszystkich rozpaczliwym spojrzeniem. Wysłałeś nas do pracy z beużytecznymi sprzymierzeńcami. Równie dobrze możemy doprowadzić ar-

mie niemowlaków. Nie będziesz miał od nich żadnej pomocy; siadają tylko razem i jęczą. Ale ja, Lucyferze, mam pewien pomysł. Pozwól, że uderzę ich wrzodami. Przynajmniej będą mieli na co ponarzekać, a gdy zagubią się – a na pewno tak się stanie w tych warunkach, – będziesz miał wymówkę, że nie nadawali się do tego, by walczyć. Być może to nieco zmniejszy panikę w Ai.

Ja także byłem wtedy zły, zły z powodu jego braku respektu i wściekły za jego publiczne wyjawienie naszej słabości, co mogło jedynie zrujnować nasze morale. Znosiłem tę gorącą głowę przez całe tysiąclecia, zmęczyła mnie jego niegrzeczność, tak więc szereg wieków tłumionej urazy znalazło ujście w mojej odpowiedzi.

– Po pierwsze, Barshok, masz zwracać się do mnie z tytułem *Mistrzu*. Nie pierwszy to raz okazujesz swój brak szacunku, zostaniesz więc ukarany. A jeśli chodzi o uderzenie ich wrzodami, to czy pomyślałeś choć trochę, że przesądni Chanaanici pomyślą, że to uczynił Wszechmogący? Twoja sugestia spowoduje, że w Ai będzie wszystko o wiele trudniejsze. Na pierwszy widok krosty cała armia spanikuje, myśląc, że rozpoczęły się wrzody. A teraz wynoś się stąd i nie pojawiaj się w mojej obecności dotąd, aż nie zostaniesz poproszony przez moich współpracowników. Wartownicy, zabierzcie go i postawcie w pobliżu dowództwa Straży Królestwa. Upewnijcie się, że będzie to bolesne.

Wyciągnięto go na zewnątrz, gdy krzyczał. Być może przesadziłem z reakcją, ale trochę energii Strażników zrobi temu prostakowi dobrze.

Późnym latem

Dzisiaj Jozue udał się na pustynię, aby porozmawiać z Wszechmogącym. Szedłem za nim tak blisko, na ile pozwoliły mi Straże. Nagle pojawiła się przed nim majestatyczna postać, wyglądająca jak wojownik z wyciągniętym mieczem.

– Czy należysz do nas, czy do naszych nieprzyjaciół? – zapytał Jozue.

– *Jestem wodzem wojska niebiańskiego. Skłoń się ze czcią, bo to miejsce jest święte.*

Był to taki sam rozkaz, jaki wydany został raz Moshe, tam na pustyni, gdy Narodzony pojawił się w płomieniach płonącego krzewu. Cofnąłem się do tyłu tak bardzo, jak to tylko możliwe, jednak aby wszystko słyszeć, a przejęty podziwem Jozue (w tym czasie leżący twarzą do ziemi) usłyszał, że Jerycho będzie należeć do niego.

– *Dalem ci Jerycho wraz z jego królem i wszystkimi uzbrojonymi obrońcami.*

W tym momencie czterech Strażników zmusiło mnie do odejścia, nie mogłem więc już usłyszeć niczego więcej, ale wydawało się jasne, że Jozue odbierał instrukcje dotyczące tego, jak ma zdobyć miasto. Powróciłem do mego dowództwa, a moi doradcy musieli dostrzec moją desperację, bowiem z ciekawością zapytali, co się stało.

– Jerycho przepadło – powiedziałem. – Już przegraliśmy walkę. Nie wiem, jak to się stanie, ponieważ Strażnicy odsunęli mnie, ale usłyszałem, jak Narodzony powiedział Jozuemu, że zwycięstwo już jest zapewnione.

Jest coś niezwykłego, gdy chodzi o Święte istoty Boga. Mogą się cofać w czasie i przenosić w przyszłość, gdzie potrafią widzieć rzeczy, które jeszcze się nie stały. Czasami przekazują opis przyszłych wydarzeń osobom, które nazywają prorokami. Kiedykolwiek się to dzieje, wtedy słucham z uwagą, bo takie przepowiednie zawsze się sprawdziły. W istocie, takie wydarzenie w jakimś sensie już miało miejsce – gdzieś jutrzejszego dnia, który Święci potrafili przewidzieć. A teraz mogłem usłyszeć, jak sam Narodzony obiecał zwycięstwo Jozuemu w czasie przeszłym, tak, jakby poza kurtyną przyszłości, bitwa o Jerycho miała już miejsce, a Hebrajczycy już zwyciężyli. Byliśmy beznadziejnymi więźniami czasu, urodzeni w czymś, czego nie potrafiliśmy zmienić, zastanawiając się nad tym, jak to wszystko mogło powstać.

A jakby tego nie wystarczyło, kilka chwil później Thorson, jeden z dowódców moich straży, przybiegł i powiedział, że Barshok wyrwał się i uciekł.

– Nie wiem, jak to się stało, Mistrzu – powiedział w zadyszce. – Był mocno związany, ale Straże Królestwa zmieniły się nocą, podniósł się poziom energii, a on wrzeszczał z bólu. Wielu strażników próbowało go zatrzymać, ale był mocniejszy od nich wszystkich. Odepchnął ich jak snopki siana i uciekł. Mistrzu, on jest szalony.

– On był szalony przez całe wieki, Thorsonie. Był szalony już wtedy, gdy tu przybył. Znajdź go teraz.

– Ale Mistrzu, rzecz w tym, że ma on kilku bardzo silnych przyjaciół wśród wojowników. Wszyscy razem mogą być niebezpieczni, wiesz o tym. Pomyślałem, że będzie dobrze o tym wspomnieć.

– Zauważyłem. Teraz go odnajdźcie.

Jestem zajęty problemem Jerycho, ale sprawa Barshoka przejęła mnie. Rzeczywiście, powinienem był załatwić jego sprawę bardziej dyskretnie. Z Hebrajczycami, którzy znajdują się w marszu, nie mogę sobie pozwolić na bunt wśród moich sił. *Lucyferze, zacznasz działać tak jak ludzie, pokazując dziką i niepohamowaną naturę, zamiast zimnego obiektywizmu, jaki powinien cechować dowódcę armii.* Wzywam szybko kolejnego strażnika, który oczekuje tylko na rozkazy.

– Udaj się do straży poszukujących Barshoka. Gdy go znajdziecie, powiedz mu...

Trudno mi zmusić się do wydobywania słów. Próbuje więc znowu.

– Powiedz mu...

To zaczyna być kłopotliwe. To, co mam zamiar powiedzieć, brzmi jak ludzkie skamlanie, jak błaganie o przebaczenie za błędy. Czy aż do tego doszło?

Tak, doszło do tego. Muszę to powiedzieć. – Powiedz mu, że jest mi przykro.

Wartownik patrzy na mnie, jakbym postradał zmysły i przez moment odczuwam, że tracę znowu panowanie nad sobą, ale nie ośmielam się już powtórzyć błędu.

- Powiedz mu, że jest mi przykro, i że wszystko naprawię.
- Tak, Mistrzu. – Odchodzi, spojrzawszy raz jeszcze, nadal ze zdziwieniem na twarzy.

Miejsce: pustynia, na południe od Ai

Wkrótce mieliśmy się dowiedzieć o losie Jerycho. Przez tydzień, dzień po dniu, Hebrajczycy obchodzili miasto w tajemniczej, milczącej procesji. Maszerującym towarzyszyła arka otoczona aureolą nadnaturalnego światła, zaś obrońcy miasta byli niemal sparaliżowani ze strachu. Słyszeli już o tej złotej skrzyni i jej tajemniczym świetle, i o tym, w jaki sposób potrafiła pokonać nawet straszliwych gigantów z Bashanu, a teraz była ona tutaj, przenoszona obok murów miasta, jakby dokonując pomiarów tego miejsca. Hebrajczycy stali już poza zasięgiem strzał, gdy przerażeni obrońcy wystrzelili swoje cenne zapasy na pustynię, jaka ich dzieliła od oblężycieli i trwało to tak przez sześć dni. Król był tak zestresowany, że jego rany na żołądku rozpoczęły krwawić i zwymiotował całą misę krwi na oczach całego dworu. Pamiętam, że patrząc na przerażonych żołnierzy znajdujących się na murach, pomyślałem: „Wszyscy jesteście już martwi”.

A potem nastął dzień siódmy.

Nigdy nie zapomnę tego dnia. Poranek był jasny, a o samym brzasku Jozue ustawił armię. Kolejny raz obeszli miasto, jednak tym razem uczynili to aż siedem razy. Siedem – ta boska liczba wskazująca na doskonałą całość! Nie zapomniałem jeszcze jej znaczenia.

– Patrz uważnie! – wrzasnąłem do Marcolitha. – Trzymaj zastępy w gotowości. Zaraz się stanie!

Krótką, straszliwą ciszę przerywał jedynie wiatr pustynny i wrzaskliwe ujadanie samotnego psa; wtedy odezwały się trąby. W tym momencie Hebrajczycy zdawali się sięgać w przyszłość, dotykając zwycięstwa, które jak wierzyli, czekało na nich. Wydali więc potężny okrzyk triumfu.

Ta demonstracja wiary najwyraźniej udostępniła im moc Wszchemogącego. Nastąpił straszliwy wstrząs; ziemia zaczęła się trząść jak ocean podczas sztormu, a mury Jerycha zaczęły się rozpadać, aż obrońcy miasta padli wraz z całą kaskadą gruzu. Z nastaniem nocy Jerycho było zdobyte, a zapasy, które mieszkańcy zebrali tak pracowicie na czas oblężenia, dostały się w ręce zwycięskich Hebrajczyków.

Dla mnie było to straszliwe nieszczęście, bowiem otworzyło im bramę do Chanaanu. Jednak nawet w tych ciemnych chwilach było i jasne miejsce. Po zdobyciu Jerycha byli tak pewni siebie, że myśleli, iż nie ma już niczego, czego by nie mogli dokonać. Pewnego dnia więc Marcolith popędził do mnie podeksytowany, co malowało się na jego szerokiej twarzy.

– Mistrzu, jak informują nasi zwiadowcy, mały oddział armii hebrajskiej wyruszył w kierunku Ai.

Trudno było mi dostrzec w tym cokolwiek radosnego. Ta mała forteca stanowiła mój jedyny, ostatni bastion w tej części doliny rzeki Jordan.

– Z czego tak się cieszysz? Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby utracić jeszcze Ai.

– Mistrzu, ale to wygląda inaczej. Oni teraz na sobie tak polegają, że wydaje im się, iż potrafią dokonać wszystkiego. Wysłali tylko 3000 ludzi i nawet nie skonsultowali tego z Wszzechmogącym. Wydaje im się, że poradzą sobie z Ai o własnych siłach!

– O własnych siłach? – Szybko dostrzegłem w tym możliwość dla nas. Ai nie było wielkim miastem, ale jego wojownicy byli doświadczeni, a Hebrajczycy zbyt beztrudnie wyszli spod swojej nadnaturalnej ochrony, krótko mówiąc, wszystko, co potrzeba, abyśmy mogli odnieść miłe, małe zwycięstwo.

– Marcolith, pędem udaj się na front. Ustaw naszych wojowników. O, czy jakieś wieści na temat Barshoka?

Jego wzrok opadł. Sposób, w jaki potraktowałem Barshoka był moim kolosalnym potknięciem, tak więc nawet najbardziej lojalni współpracownicy wymiłowali ten temat.

– Tak, Mistrzu, tak mi się wydaje. Sądzę, że znalazł go zwykły patrol w okolicach Niniwy.

– Doskonale, Marcolith'ie. Niechaj go przyślą do mnie. Chcę, aby mi towarzyszył w tej misji, jako mój współpracownik.

Marcolith popatrzył na mnie w tak samo zdziwiony sposób, jak uczynił to wcześniej wartownik. Moje zastępy nie przywykły do tego, abym za cokolwiek przeproszał.

Tak więc wszystko przebiegło wspaniale (oprócz zachowania Barshoka, który towarzyszył mi, tak jak prosiłem, ale niewiele mówił; pojawiło się u niego nowe przyzwyczajenie wykrzywania głowy bez widocznego powodu, kiedykolwiek więc pojawia się anioł z Królestwa, podskakuje jakby doznawał szoku). Ale w tej wyprawie Barshok nie miał się czego obawiać. Tak, jak tego się spodziewałem, Hebrajczycy pozostawili swoją ochronę z Królestwa, gdy tylko buńczucznie i zadufani w sobie wyruszyli do ataku Ai. Obrońcy miasta czekali na nich, zapaleni dzikim strachem. Walczyli jak szaleńcy, spuszczając na wrogów taki deszcz kamieni i strzał, że atakujący wkrótce uciekali w panice.

– Szybko, Barshok, ustaw swoich wojowników i wymorduj ich! – powiedziałem, mając nadzieję, że wykrzeszę choć trochę zaufania w tym biednym strępie. Popatrzył na mnie bez przekonania, mamrocząc: „*Moich wojowników?*”, na co przytaknąłem. Dopiero wtedy powróciło coś ze starego Barshoka. Wchodząc do miasta z batalionem moich najlepszych zastępów, ponaglił obrońców Ai, aby ruszyli do ataku. Otworzyła się więc brama do miasta, wypuszczając kolumnę machających mieczami żołnierzy, którzy pędzili, radośnie pokrzykując i wrzeszcząc za uciekającymi Hebrajczykami.

Jednak, nawet w najlepszym przypadku, było to słabe zwycięstwo. Zabitych zostało tylko ponad trzydziestu Hebrajczyków, podczas gdy można było zabić ich większość. Barshok po prostu stracił swoją iskrę, a moje starania, aby go zrehabilitować okazały się za małe. Dlatego w naszej siedzibie całkiem skromnie uczciliśmy to zwycięstwo. Wszyscy wiedzieli, że mogło być znacznie lepiej.

Jednak to było niewielkim pocieszeniem dla Jozuego, który rozdarł swoje szaty w żalu, padł na twarz i płakał. Choć było to tak niewiele, znaczyło jednak dużo dla wroga. Jozue miał rację domyślając się, że wieści o tej klęsce rozniosą się, ponownie podnosząc odwagę wśród tych plemion, z którymi później będzie musiał się spotkać w bitwie.

A więc, moi hebrajscy przeciwnicy, jak myślę, właśnie wręczyliście mi klucz, dzięki któremu mogę was zatrzymać! Tak długo, jak tylko będziecie pamiętali o Starodawnym, nie jestem w stanie pokonać was w wojnie, ale w chwili, w której odejdziecie spod Jego ochrony, stajecie się przedmiotem zabawy nawet dla trzeciej klasy forpoczty na pustyni! Pozwólcie więc, że przygotuję dla was wspianą pułapkę. Tuż przed wami, w ziemi, do której macie wejść, mieszkają Chanaanici, którzy czczą boginię płodności. Gdy wasi młodzieńcy raz zobaczą rytuały związane z boginią Aszterot, założę się, że staną w kolejce, aby tylko przyłączyć się do tłumów przy słupach Aszery, gdzie w pięknych rytualnych sadach słuchać będą muzyki, oglądać tańce, a potem upojeni winem i słodkimi pokusami, odkryją przyjemności Chanaanu.

A potem, moi mili wrogowie, będziecie dojrzali do zerwania!

Rok: 3414

Mijały wieki, a mój plan działał wyśmienicie. Od czasu do czasu pojawia się jakiś wścibski człowiek, który porywa Izraela do pracy nad reformami, jednak dla większości ludzi moje pokusy okazują się nie do odparcia. W konsekwencji, Izrael często gubi swoją nadnaturalną ochronę i wtedy otwierają się drzwi na inwazję z zewnątrz. Właśnie ostatnio pojawiła się taka okazja.

Szereg wieków temu doprowadziłem Hebrajczyków do dzikiej pogańskiej orgii, która uczyniła ich podatnymi na nasze wpływy, posłałem wtedy Barshoka (tak, na tyle wyzdrowiał, że znowu jest w jakimś stopniu przydatny) nad wybrzeże. Mam tam sprzymierzeńców, bardzo wojowniczy lud, o nazwie Filityni. Są oni śmiertelnymi wrogami Izraelitów, a pojawili się od strony morza jak plaga szarańczy, zajmując teren aż do doliny Terebintu. W ich armii znajdował się gigant o imieniu Goliat, który nosił włócznię tak wielką, jak drąg tkacki, a codziennie wychodził na przednią linię, przeklinając Hebrajczyków, wzywając, aby któryś wyszedł i z nim walczył. Jednak nikt nie przyjął zaproszenia.

Jednego dnia przyszedł do obozu pewien młody człowiek. Był za młody, by być w armii; faktycznie przyniósł jedzenie dla swoich starszych braci, którzy byli

żołnierzami w regimencie w Betlejem, a gigant wybrał sobie tę chwilę, aby ponowić swoje zniewagi. Jego zachrypnięty głos wypełnił dolinę słowami profanacji, gdy przeklinał Boga Hebrajczyków i wszyscy skulili się ze strachu.

Wszyscy, oprócz tego młodego gościa, który gapił się na potwora z oburzeniem ze szczytu wzgórza po drugiej stronie rzeki. Ku zdumieniu wszystkich, młodzieniec nagle poszedł szybkim krokiem w kierunku bluźniercy. Zbyt smarłaty i szczupły, by przywdziać zbroję mężczyzny, chłopiec wbiegł do potoku, a miał przy sobie tylko pasterską procę.

Ale cóż to była za broń! Będąc pasterzem, skracał sobie długie godziny spędzane beczynnie przy stadzie zwierząt, ćwicząc strzelanie z tej właśnie procy, aż w końcu doszedł do takiej wprawy, że był w stanie trafić w krzaczek ostu z odległości stu kroków. Gdy więc olbrzym zbliżał się do niego, kipiąc z wściekłości, że przyszło mu walczyć z tak młodym i niedoświadczonym przeciwnikiem, młodzieniec spokojnie wybrał sobie pięć najbardziej obłych kamieni, a potem umieściwszy jeden z nich w skórzanej kieszeni procy, z impetem wprawił procę w ruch obrotowy. W powietrzu ukazał się złowróżbny, mglisty krąg – to martwe rzemienie i ładownica ożyły mocą pomsty.

To, co stało się później, nadal mnie przeraża, wciąż i wciąż pojawiając się w moich myślach. Wściekły gigant popełnił straszny błąd. Jakby chcąc lepiej się przyjrzeć temu dziwnemu, rozpędzonemu dziecku, z pełnią buty zdjął osłonę twarzy ze swego hełmu – w głupim akcie próżności, i odsłonił całkowicie swoje czoło.

– Nie! – krzyknąłem, mimowolnie unosząc rękę do twarzy jakby ją osłaniając.
– Niech go ktoś osłoni! Przecież dosięgnie go!

Ale było za późno. Natychmiast, nie tracąc okazji, młody człowiek sięgnął po swój kamienny pocisk i przez kolejnych kilka chwil czas jakby się zatrzymał, tak, jakby cały dramat odbywał się na zwolnionych obrotach. Łokieć po łokciu kamień posuwał się do przodu, gorący od energii na swej śmiertelnej trajektorii, jaka prowadziła prosto do odsłoniętego miejsca tuż powyżej nosa giganta. Następnie z bolesnym odgłosem uderzył dokładnie tam, w co był wycelowany, wciskając się tak głęboko, że niemal zniknął.

Olbrzymi Filistyn zeszywniał, upuścił swój wielki miecz, a następnie wydając ohydne, bulgoczące dźwięki, zatoczył się w kierunku chwastów. Uderzył w ziemię tak, jak upadający dąb; i tak, jak upadł, pozostał już. Nagle pole bitwy wybuchło hałasem – wielkim krzykiem zwycięstwa ze strony Izraela oraz wrzaskiem przerażenia ze strony Filistynów, którzy pozostawiając swoją broń, uciekali w kierunku morza, ścigani przez armię izraelską.

– Nie rozumiem tego! – zauważył jeden z moich posłańców, gdy patrzyliśmy na to wszystko z naszej strony bariery czasoprzestrzeni. – Miał tylko kilka sekund na zabicie go, a jednak poświęcił czas na zebranie pięciu kamieni. Ta zwłoka mogła go kosztować życie. Dlaczego zbierał pięć, podczas gdy jeden całkowicie wystarczył?

– Jest powód – odpowiedziałem. – Mówiło się, że zmarły gigant miał czterech braci, a wszyscy byli potężni i waleczni. Przypuszczam, że ten młody człowiek spodziewał się, że będzie walczył z nimi wszystkimi.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął posłaniec, zdumiony odwagą tego człowieka. – Ten młodzieniec stanie się dla nas kłopotem.

I miał rację. Na imię temu chłopcu było Dawid. Potem został królem Izraela. Zjednoczył królestwo, zbudował potężną fortecę na szczycie wzgórz Judei i poprowadził Hebrajczyków poprzez serię zwycięstw, jakie zapewniły im pokój i dobrobyt. Przez pewien czas myślałem, że przyprowadzi naród z powrotem do Starodawnego, bo przeprowadził część pozostałych reform, których zawsze baliśmy się. Było wiele nocy, podczas których ludzie spali, a my spędzaliśmy je na naradach, troszcząc się o to, co stanie się, gdyby tak naprawdę pozwolili Wszchemogącemu, aby ich prowadził. To byłoby dla nas nieszczęściem; mogłoby się stać końcem wojny. Jednak nigdy do tego nie doszło. W istocie, udało nam się doprowadzić szlachetnego Dawida do straszliwego upadku moralnego, a sposób w jaki to się stało był ślepym przypadkiem.

Pewnego wieczoru Ronar przeprowadzał patrol na terenach pałacowych Dawida, poszukując możliwości do zasiania u kogoś niepokoju. Dom króla posiadał wysoko położony dach, który dawał widok na większą część Jerozolimy. Przylegały do niego domy niektórych wyższych urzędników, którym między innymi był oficer wojskowy o imieniu Uriasz. Człowiek ten nie jest nawet Hebrajczykiem; to Hetyta, konwertyta z pogaństwa, który dowodził jedną z trzydziestu dywizji armii. Dawid nigdy nie miał bardziej lojalnego żołnierza. W tym czasie o którym mowa, Uriasza nie było w domu, bowiem wraz ze swymi zastępami oblegał fortecę Ammonitów, Rabbę, w górnym biegu rzeki Jabbok.

O półmroku Ronar zauważył, że żona Uriasza – Batszeba, jedna z najpiękniejszych kobiet w Jerozolimie, znajdowała się na dziedzińcu swego domu, rozebrana, kąpiąc się w fontannie na samym środku tego dziedzińca. Wszystko to można było obserwować z dachu pałacu królewskiego. Niewiele nad tym myślał (na aniołach niewielkie wrażenie wywołuje widok nagich kobiet), dopóki Dawid, beczynn timer spacerując pod koniec dnia, nie znalazł się na dachu. Aktywny umysł Ronara natychmiast dostrzegł możliwość działania. Mówiąc szczerze, później mi przyznał, że nie spodziewał się cokolwiek osiągnąć w tym kierunku z Dawidem – takim wzorcem prawości. Ale, jak to powiedział Ronar, dlaczego by nie spróbować? Żadnego ryzyka, nawet jeśli nie będzie pożądanego skutku. Odnalazł drogę do myśli Dawida, skierował spojrzenie króla na dziedziniec Uriasza i zasugerował myśl o wieczornej przyjemności po kryjomu.

– W tym momencie – powiedział mi później Ronar – Dawid znajdował się jedynie o trzy kroki ode mnie. Gdybym był człowiekiem i znajdował się po jego stronie bariery czasoprzestrzeni, sądzę, że pobiłby mnie, kierując się do drzwi. Wezwał swego najbardziej dyskretnego sługę i wysłał go, aby zaprosił Batszebę na

cichy obiad w pałacu. Łoże królewskie zaścielono pachnącymi prześcieradłami, a z piwnicy przyniesiono duży bukłak rzadkiego wina fenickiego. Król był uczesany, wypielegnowany, pachnący kosmetykami i pięknie ubrany – doskonały modniś, przyglądający się sobie wielokrotnie w lustrze z brązu, jak dorastający młodzieniec podczas swego pierwszego polowania. I tak nadeszła ta kobieta; zakłopotana i głęboko zażenowana. Jej małżeństwo stało się już legendą, jaką opowiadano sobie w Jerozolimie. Wiesz o tym, Mistrzu. Uriasz był jej całkowicie poświęcony, a ludzie dobrze wiedzieli, że jeśli może istnieć coś takiego, jak doskonałe małżeństwo, to był nim właśnie ich związek. Ale teraz była tutaj, nagle skonfrontowana z amatorami samego króla. Przez jakiś czas bronila się przed nim, ale wino w końcu zrobiło swoje i wziął ją sobie – wziął żonę swego generała! Mistrzu, jeśli ktoś z naszej strony byłby tak nielojalny względem przykaza...

Przerwałem mu tak łagodnie, jak było to tylko możliwe, wiem bowiem, że myślał o tym, co zrobiłem z Zedronnem i Barshokiem.

– Tak, Ronarze, wiem. Gdy ludzie decydują się na odejście od dziesięciu praw, szczególnie ludzie, którzy byli bardzo pobożni, potrafią zaskoczyć nawet nas.

Taki był upadek króla Dawida. Niedługo potem, Batszeba przesłała dyskretnie do pałacu informację, że owa noc pozostawiła skutki: była ciężarną z królem.

Rzadko widywaliśmy ludzi tak spanikowanych, jak wówczas był Dawid. Myśląc o zakryciu swojej nierozwagi, król posłał po Uriasza, wyjaśniając, że chce, aby spędził kilka dni w domu. Chciał oderwać go od walki i oczywiście miał nadzieję, że człowiek ten uda się do domu, do swojej żony, w naturalny sposób będzie z nią współżył. Tym sposobem Uriasz pomyśli, że dziecko jest jego. Ale Uriasz był takim żołnierzem, że odrzucił możliwość luksusowego spędzenia w domu choćby jednej nocy – „Nie teraz, gdy moi ludzie znajdują się w niebezpieczeństwie!” – stwierdził i spał w pałacowych pomieszczeniach dla służby!

Często czerpaliśmy radość z obserwowania ludzi cierpiących katusze, gdy poprzez własne błędy doprowadzili się do poważnych problemów. Dawid wtedy też dostarczył nam hojnie rozrywki. Większość dnia spędził, gryząc się i rozmyślając o tym, co ma uczynić z owym prostolinijnym generałem. W końcu wpadł na inny pomysł. Zaprosił Uriasza do pałacu na obiad, upił go winem i ponownie ponaglał, aby się udał do domu. Generał zamroczony chorobliwą dobrocią króla, zwłókł się w dół po schodach. Był tak pijany, że nie mógł iść bez asysty, ale nie na tyle, by zapomnieć o swoim ślubowaniu celibatu zachowywanym w czasie wojny. Dawid więc pozostał z nierozwiązanym problemem, który urastał z każdym dniem do większych rozmiarów.

Jego sposób na wyjście z potrzasku osiągnął głębinę ludzkiej nieprawości. Wysłał zapieczętowaną wiadomość do Joaba, głównego dowódcy, rozkazując mu, by ten wysłał Uriasza na samą linię frontu, gdzie istnieje największe prawdopodobieństwo śmierci. Joab postąpił zgodnie z rozkazem. Uriasz zginął w działaniach wojennych, powalony gradem strzał podczas szturm, który do-

proceedził go pod samą bramę basztową Rabby – szturmu, który nie miał żadnego militarnego sensu, a który został zaplanowany ze względu na morderstwo tylko tej jednej osoby.

Wieść o postępku Dawida oczywiście wydostała się na zewnątrz pałacu; sami o to zadbaliliśmy, a jego królestwo nigdy już nie pozostało takie samo. Nadal prowadził rutynowe działania administracyjne na dworze, ale od tego momentu niewielkie miał podstawy do dalszego wprowadzania reform. Bliski był tego, by prowadzić Hebrajczyków dokładnie tam, gdzie chciał tego Wszechmogący i we wczesnym okresie swego królowania sprawiał nam bardzo trudne chwile, ale na końcu to my wygraliśmy. Dla niego (i dla Królestwa) ta noc spędzona z Batszebą, stała się bardzo kosztowną przygodą.

Tron królewski po nim objął syn, Salomon, i to on, mówiąc szczerze, martwił nas najbardziej, bo także, niemal że osiągnął dawno wymarzony cel Narodzonego – zwycięstwo.

Niemal. Ale nie całkowicie.

Salomon był typem pokornym. Był młodym człowiekiem, który nie został okaleczony częstym bagażem wysokiego mniemania o sobie. Na początku jego panowania Wszechmogący objawił mu się pewnej nocy we śnie, pytając jaki szczególny dar pragnąłby otrzymać. Młodzieniec (miał wtedy około 20 lat) odpowiedział, że wie, iż nie posiada umiejętności rządzenia Izraelem i poprosił o mądrość!

Było to tak, jakby otworzyły się zawory potopu. Niebo nie tylko obdarzyło go mądrością, ale także bogactwem, sukcesami wojskowymi i sławą na całym świecie. Wybudował wielką świątynię dla Starodawnego, pierwszą trwałą budowlę, jaka została poświęcona temu celowi, a gdy to już zostało dokonane, zstąpił do niej Wszechmogący z taką ilością światła i mocy, jakich nie widziałem od czasów Synaju. Pod rządami Salomona Izrael stał się cudem świata. Królowie i książęta przybywali ze wszystkich stron, aby słuchać jego przemówień. Jego przypowieści stały się sławne na cały świat. Z Afryki przybyła królowa Saby, kobieta bajecznie bogata, przywożąc drogie dary i tysiące pytań skierowanych do Salomona. A gdy patrzyła na codzienne czynności wykonywane na dworze Salomona, przyznała, że rzeczywistość była jeszcze wspanialsza niż podawała legenda.

W tych latach przyszło nam żyć w stałym stresie, ponieważ zdawaliśmy sobie sprawę, że to wszystko było dokładnie tym, czego zawsze oczekiwał od Hebrajczyków Wszechmogący – zdrowie, świętość i szczęście, które są położone na skrzyżowaniu dróg tego świata i zauważalne przez każdego.

Plan Narodzonego zaczął się materializować, a my czuliśmy się bezsilni, aby temu zapobiec. Jeszcze kilka dekad czegoś takiego, a świat dowie się o Starodawnym, o Szabacie, o stworzeniu, o historii odkupienia, jaką podawała symbolika służby świątynnej. Widzieliśmy już teraz swą porażkę i nawet Zedronn

zdawał się być bezradny w wymyśleniu jakiejś przeciw-strategii. Były to jedne z najciemniejszych dla nas godzin konfliktu.

Ale pewnego dnia Marconides przybył do mnie z pomysłem.

– Mistrzu, studiowaliśmy genetykę ludzką i ludzkie zachowania. Stwierdziłiśmy, iż istnieje wyraźne ogniwo pomiędzy tymi dwoma zagadnieniami. Dzieci często robią to, co robili ich rodzice. Zauważyliśmy, że skutki ciągną się uparcie nawet aż do trzeciego, czy czwartego pokolenia.

Całkowicie mnie tym zainteresował, chociaż przez moment nie zdawałem sobie sprawy do czego zmierza.

– No więc, Meldibon i ja zastanawialiśmy się nad tym, czy to nie stanie się drogą do umysłu Salomona. Przednie płyty jego mózgu są niesamowite, nie podobne do czegokolwiek, co widzieliśmy wcześniej. Dlatego nasze zwykłe podejścia nie przyniosły rezultatów. Ale jeśli udałoby się nam ominąć jego niezwykły osąd, moglibyśmy go pokonać. Widzisz, Mistrzu, do umysłu istnieją jeszcze inne drzwi. To emocja. Często możemy kusić ludzi poprzez ich uczucia, gdy rozsądek, w innym przypadku, zablokowałby nasze pomysły. I to właśnie proponujemy w wypadku Salomona.

Słuchałem z uwagą, bowiem Marconides opisywał tę samą technikę, jaką wykorzystałem, aby dostać się do umysłu Ewy. Jego plan wydawał się więc całkiem obiecujący: ominiemy bezpośredni atak na umysł Salomona (po raz pierwszy w historii ludzkości spotkaliśmy się z intelektem niemal równym naszemu). Zamiast tego, wypróbujemy jego genetyczne skłonności, poszukując słabego punktu w emocjach i to wykorzystamy!

Znaleźliśmy taki punkt – dokładnie taki, jaki pozostawił mu ojciec, Dawid!

Salomon był synem zrodzonym z nieprawego małżeństwa Dawida i Batszeby, i jak zastanawiał się Marconides, dlaczego by nie spróbować, czy Salomon nie okaże się także podatny na pokusy moralne?

– Gdy już tego spróbujemy – powiedział, dodając jeszcze jedną warstwę do opracowanego przez siebie tematu – dlaczego nie mielibyśmy go wykorzystać do wprowadzenia pogaństwa w samym Izraelu?

W tym momencie każdy w radzie poczuł się zaintrygowany, z wielką uwagą więc słuchaliśmy dalszych wyjaśnień.

– Wokół Izraela znajduje się wiele plemion pogańskich. Często prowokowaliśmy tych ludzi do atakowania Hebrajczyków, ale rezultaty tego były różne. Dlaczego by nie zmienić naszej taktyki i użyć ich jako przyjaciół? Wpłynęmy na ich wodzów, aby zaproponowali Salomonowi swoje córki. Jeśli plan ten zdoła go zwieść, wtedy nie tylko pogwałci zakaz cudzołóstwa dany przez Wszechmogącego, ale także sprowadzi pogan do własnego domu – i to nie byle jakich, lecz bardzo powabnych.

Był to taki plan, jakie lubię. W jakimkolwiek kierunku nie pójdzie, zadziała. Jeśli Salomon przyjmie kobiety, wszystko będzie tak, jak powiedział Marconi-

des. Jeśli nie przyjmie, wtedy będzie miał wokół siebie zastęp ubliżających mu królów, którzy czując się urażeni odrzuceniem ich córek, mogą bardzo łatwo utworzyć konfederację i zaatakować go. Wyśmienite!

Wykonanie planu nie stanowiło żadnego problemu. Wielu z otaczających Izrael pogańskich wodzów, miało piękne córki, a my posłaliśmy wszędzie wojowników z propozycją, by kupili sobie łaski Salomona, oferując mu swoje najwspanialsze nimfy jako panny młode. Dostrzegając łatwą drogę na dwór Salomona, chętnie przyjęli naszą sugestię. Wkrótce więc do Jerozolimy zaczęły przybywać śliczne młode kobiety, a wraz z nimi całe transporty załadowane posagami złota i kości słoniowej.

Czy jednak król złapie się na przynętę? Był czas na najbardziej ryzykowną część planu: osobiście postaram się odnaleźć dojdzie do jego umysłu.

Kuszając Salomona, byłem bardzo podenerwowany, bowiem najmniejszy błąd mógł z łatwością rozbudzić jego potężny intelekt, ale gdy przybyły kobiety, wyperfumowane, eleganckie i o nieznanym mu czarze, dostrzegłem możliwość, jakiej szukałem. Od tamtej chwili Salomon nie wykorzystywał już więcej swoich przednich płatów mózgu. Teraz dominującą siłą jego umysłu stało się pragnienie, a ja wcale nie musiałem już stawiać czoła chłodowi jego logiki. Zamiast tego, mogłem odwoływać się do jego emocji, rozgrzanych przez zwykłą lubieżność. *Wyśmienicie!* Były to warunki, jakie mogłem wykorzystać, nawet przy Salomonowym umyśle, zająłem się więc dawaniem mu powodu ku temu, by czynił to, czego i tak chciał.

Bardzo delikatnie (bowiem wciąż czułem się bardzo onieśmielony) zasugerowałem, że pomimo jego wielkiego sukcesu, przy jego państwie przyczało się wiele niebezpieczeństw. Wszyscy wiedzieli o jego bajecznym bogactwie. Nawet i teraz istnieją wojownicy pustynni, którzy zastanawiają się każdego wieczoru przy swoich ogniskach, czy udałoby się zabrać złoto Salomonowi. Wystarczy mieć dostatecznie wielu tak myślących ludzi, a stanie się coś, co nie będzie do uniknięcia: zmówią się, tworząc sprzymierzone grupy po to tylko, aby ograbić Izrael. Ale co, *gdyby tak...*

... gdyby tak Salomon poślubił ich córki? Gdyby córka takiego wodza należała do dworu Salomona, będzie on znacznie mniej narażony na krwawy napad na swój pałac. I tak, godząc się na te propozycje małżeństwa, faktycznie Salomon umocni swoje królestwo!

Był to argument zrodzony z ludzkich zwyczajów. Tego rodzaju rzeczy często dokonywali królowie, którzy pragnęli kupić sobie nieco bezpieczeństwa, a Salomon dobrze znał ten zwyczaj. To wszystko miało jednak pewien słaby punkt, który, miałem taką nadzieję, Salomon przeoczy: czyniąc tak, da nam dowód, że już więcej nie polega na ochronie Wszechmogącego. Raczej polegać będzie na ludzkich umiejętnościach, które zniweczyły prawo Wszechmogącego, jakie ograniczało mężczyznę tylko do jednej żony!

Ryzyko było więc wysokie: jeśli Salomon to przemyśli, odrzuci nasz pomysł, i to od razu. Moglibyśmy odnieść sukces tylko wtedy, gdyby jego rozsądek został zdominowany przez namiętności.

I tak też się stało! Pokusa nadeszła wraz z paradą pięknych twarzy i wyperfumowanych szat, a niezwykły intelekt Salomona nie był tam obecny. Gdy obcy wodzowie przysłali swoje najpiękniejsze córki do Jerozolimy, Salomon przyjął je, poślubiając jedną za drugą, aż – licząc „żony” i konkubiny – miał jakieś tysiąc kobiet w swoim pałacu. Trzeba było wybudować olbrzymie domy, aby je pomieścić, a ponieważ dla Salomona nie stanowiły one wiele więcej niż zabawki, niewiele myślał o nauczaniu ich o Wszechmogącym. Tym sposobem wniosły one z sobą wszystkie praktyki plemienne, a przez nie wprowadziliśmy na dwór królewski Izraela niektóre z najbardziej wyszukanych form pogaństwa.

Nasz sukces przeszedł nasze najdziksze marzenia. Jego ojciec, Dawid, upadł moralnie z jedną kobietą, a Salomon wykorzystał tę cechę dalej, pomnażając ją o tysiąc razy! I w tym właśnie momencie jego rządy zaczęły się rozpadać. Jego znana na świecie mądrość zaczęła zanikać. Stał się samolubny, nakładał na ludzi wysokie podatki, zgubił ich zaufanie. Kiedyś, za dni jego chwały, drżeliśmy przed tym gigantem w Izraelu, który posiadał umysł, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie widzieliśmy u ludzi. Jego mądrość stała się legendą, zaś jego bogactwo i siła nie miały sobie równych. Izrael niemal osiągnął już stan, jaki chciał dla niego Wszechmogący, ale sam Salomon zniszczył tę możliwość podczas tysiąca nocnych namiętności, gorących spoconym pragnieniem i ślepą rozpustą, a lata naszego terroru – lata, w których obawialiśmy się wczesnej przegranej w wojnie – minęły, dając miejsce kolejnemu zwycięstwu sił Lucyfera. Złamaliśmy giganta.

Rozbiliśmy muszlę i pogaństwo zostało zaakceptowane w Izraelu. Tak, jak postępował król, tak postępowali ludzie, dlatego wkrótce ich wzgórze zostały usiane świętymi sadami, gdzie podobnie do ich pogańskich sąsiadów, Hebrajczycy postawili słupy płodności i uprawiali orgie, jako część ich kultu. Pobite i upokorzone Straże Królestwa wycofały się z wielką niechęcią, a Izrael poddał się jeszcze głębiej pod naszą kontrolę. Od czasu do czasu pojawiał się król, który próbował coś naprawić, ale szybko przygotowaliśmy strategię kontrataku na tych niewielu, którzy tak postępowali. Tam, gdzie było to konieczne, ustąpiliśmy nieco, pozwalając im myśleć, że rzeczywiście zreformowali naród, ale dbaliśmy już o to, aby reformacja nigdy nie była całkowita, i aby wkrótce Izrael powrócił do swego upadku.

Aż w końcu doprowadziliśmy ich do nieszczęścia.

Wiedzieliśmy o tym, że musi istnieć jakaś granica, poza którą Wszechmogący się nie posunie, kiedy w końcu będzie musiał ostatecznie pozostawić swój lud dla ich buntowniczego wyboru i przez całe wieki zastanawialiśmy się, kiedy to nastąpi. W końcu stało się to właśnie niedawno, niemal na początku trzydzie-

stego piątego wieku, gdy do władzy doszedł potężny król Babilonu. Nazywał się Nebukadnezar II.

Nebukadnezar jest bystrym człowiekiem, taktykiem i budowniczym, jaki nie ma sobie równych; odbudował on starożytne królestwo babilońskie, a obecnie szybko powiększa swoje imperium. Kilka lat temu śmiało zaatakował Egipt, dodając tym sposobem ogromne połacie ziemi do swego królestwa, a następnie zdecydowany, by przejąć bajeczne bogactwo złota i skarbów ludzkich w Jerozolimie, skierował się na północ do miasta.

Hebrajczycy walczyli jak wcielone diabły, powstrzymując na jakiś czas jego armię, ale nikt z ludzi na tej ziemi nie jest w stanie dorównać militarnemu geniuszowi Nebukadnezara. Ostatecznie więc padła Jerozolima z hukiem, który wstrząsnął światem. Rozzłoszczony ich oporem król Babilonu zrównał ich dumną stolicę z ziemią, porozrzucił mury miejskie po okolicznych wzgórzach jak stos kamieni, a nawet zniszczył wspaniałą świątynię, którą zbudował Salomon. Co więcej, najlepszych Hebrajczyków wziął z sobą do Babilonu, jako sługi do pomocy w budowaniu jego imperium.

Trzeba było tysiąca lat brutalnie ciężkiej pracy, codziennych bitew i okazjonalnych ustępstw, ale nareszcie zadałem im oszałamiającą klęskę! Kolejny raz Hebrajczycy stali się niewolnikami, a tym razem sami założyli sobie kajdany! Straciłem ich w czasie Exodusu, ale teraz są znowu moi, wykonując służebną pracę dla pogańskiego króla – sprzymierzeńcy Wszchemogącego, noszący cegły i wodę dla monarchy, który nawet nie wie, że Wszchemogący istnieje!

Raz jeszcze zatryumfowały siły Lucyfera!

Babilon

Miejsce: Babilon

Spotkanie, które zaczęliśmy określać mianem Rady Babilońskiej, było jednym z najbardziej burzliwych spotkań, jakie kiedykolwiek odbyłem z moją załogą. Miało ono miejsce w czasie wielkiego naszego zwycięstwa: Jerozolima leżała w gruzach, naród żydowski przestał istnieć, jego najbystrzejsi i najlepsi ludzie zostali zabrani w niewolę do Babilonu, zaś ich kraj znajduje się teraz pod kontrolą różnych pozostałych przy życiu ludzi, którzy często walczyli ze sobą i nie są zdolni do odbudowania czegokolwiek. Był to ogromny nasz sukces i moi współpracownicy chcieli urządzić wielką uroczystość. Wielu z nich upierało się, abym na bazie naszego zwycięstwa domagał się zezwolenia na wejście do Królestwa, gdzie miałbym negocjować w sprawie zakończenia wojny.

– Jest to najlepsza chwila, jaką możemy mieć – zasugerował jeden z nich. – Próbowaliśmy zwyciężyć niemal każdego roku ze wszystkich 3500 lat, nigdy jednak nie udało nam się kompletnie wyeliminować Jego naśladowców. W tym czasie Hebrajczycy zawiedli Starodawnego. On także musi być już zmęczony wojną. Spróbuj zakończyć sprawę. Niech sobie zabierze do Królestwa swoich lojalistów, jeśli tylko się zgodzi, by nas pozostawić samych.

Był to pomysł, który chętnie bym zaakceptował, gdyby tylko było to możliwe. Ja także jestem już zmęczony wojną; w końcu zdaję sobie sprawę, że nigdy nie uda mi się poszerzyć buntu przeciwko Niemu poza tę planetę i jeśli mógłbym wyjść z tego konfliktu tak łatwo, byłbym pierwszym, który by to uczynił. Jednak nieugiętą prawdą jest to, że On nigdy na to się nie zgodzi. Dla Niego, cały wszechświat musi być doskonały, kierowany przy pomocy jednego wspólnego prawa i nawet mała zbuntowana planeta stanowi zagrożenie dla Jego całego systemu. Jak jednak mogę to wytłumaczyć moim wojownikom i to w momencie takiego zwycięstwa?

– Tego już próbowałem – odpowiedziałem zmęczonym głosem – gdy wszystko wyglądało znacznie lepiej niż teraz. Było to wtedy, gdy na ziemi Starodawny miał tylko Joba. Ale odrzucił tę propozycję.

– Spróbuj zatem znowu! – odpowiedzieli, a poziom ich głosu i emocji wzrastał i mogłem zauważyć, że moje siły bliskie są buntu. Buntu, który jedynie był powstrzymywany, co bardzo dziwne, tym spektakularnym sukcesem.

– Czy nie widzicie tego? – błagałem. – On nie chciał poddać tego świata wtedy, gdy miał na nim jedynie małą garstkę wiernych sobie ludzi, a przecież teraz jest ich znacznie więcej. Mimo tak fatalnego upadku Hebrajczyków, zdumiewa-

jąca jest ilość tych, którzy idą za Starodawnym. Niektórzy z nich, sprowadzeni do roli niewolników służących na dworze Nebukadnezara, mimo wszystko lgną mocno do wiary, tak, że nasze zwycięstwo, żeby nie wiem jak wielkie się wydało, okazuje się przedwczesną radością. Upokorzeni swoim nieszczęściem, mogą odbudować swą wiarę, a jeśli tak się stanie, Wszchemogący może wykorzystać ich obecność w tym kraju, aby rozszerzyć swoje nauki w tej części świata.

– Ależ nie wiercie temu! – wybuchnął Zedronn, a w jego oczach pojawił się znowu dawny blask. – Jak sądzę, mamy teraz największą szansę, jaką mieliśmy przez ostatnie wieki, aby...

Przerwałem mu w obawie przed tym, czego może dokonać w tym rozpalonym środowisku.

– *Największa szansa! Największa szansa!* – zripostowałem, starając się utrzymać głos w ryzach i nie dopuścić do krzyku. – Zedronnie. Nie ty byłeś w Królestwie, lecz ja i wiem, jaka jest tam atmosfera. Tak długo, póki On będzie miał tu swoich naśladowców wśród ludzi, nigdy nie zrezygnuje z tej planety. A ma takich! Na przykład teraz ma pewnego młodego Żyda o imieniu Daniel, który służy na dworze Nebukadnezara. Pozostaje fanatycznie wierny Starodawnemu. Słodkie nieba, on nawet nie je soczystej wieprzowiny, która podawana jest w jadalni królewskiej ani nie pije królewskiego wina, rzeczy, dla których przeciętni Babilończycy oddaliby wiele, aby dostąpić takiego szacunku. Zamiast tego, żywi się tylko warzywami, jest posłuszny boskiemu prawu, modli się trzy razy dziennie i jest mu to obojętne, kto zauważy te praktyki. Znasz go, Melzonie, próbowałeś go kusić, ale było to jakby mówienie do kamienia. Równocześnie jego służba u króla jest tak dobra, że nawet ten zaczął to zauważać: jest tu dopiero krótki czas, a już posługuje się płynnie językiem starosyryjskim i opanował na pamięć niemal cały kodeks prawny Babilonu. Przy istnieniu takich ludzi jak on, a zdaję sobie sprawę z tego, że są jeszcze inni, jemu podobni, czy myślicie, że Starodawny ma zamiar zakończyć wojnę?

To ich uciszyło, ale tylko na chwilę. Wkrótce zabrał głos Telkus, zastępca dowódcy, a jego głos drżał pod wpływem emocji.

– Mistrzu, nikt nie może nas nazwać tchórzami. Wprowadziłeś nas w niekończący się konflikt, a my daliśmy z siebie to, co najlepsze. Teraz przynieśliśmy ci oszałamiające zwycięstwo, a to, co przynajmniej możesz zrobić, to...

Właśnie w tym momencie przerwano nam i nie mogło to być w lepszym dla mnie momencie. Wpadł posłaniec, który był tak podekscytowany, że tracił wręcz oddech, a wieści, z jakimi przyszedł, natychmiast uciszyły poruszony tłum. Nebukadnezar II, nasz wielki sprzymierzeniec ludzki, naczelny dowódca armii babilońskiej miał sen, a według informacji posłańca, sen pełen był symboli – *symboli tego typu, jakich używa często Starodawny, gdy komunikuje się bezpośrednio z ludźmi!*

– Nie wiem tego jeszcze na pewno, Mistrzu – wysapał – ale wydaje mi się, że król otrzymał właśnie poselstwo ze Królestwa.

– Że niby co? – wypaplałem, próbując pozbierać wszystkie myśli i zapanować nad nimi. – Nebukadnezar? To przecież pogański władca. Dlaczego więc wydaje ci się, że to Królestwo stara się z *nim* nawiązać łączność?

– Ponieważ, Mistrzu, jedyny doradca królewski, który był w stanie zinterpretować sen, jest Hebrajczykiem. Właśnie teraz znajduje się w pałacu, wyjaśniając królowi symbolikę snu.

Gwar na naszym zebraniu rady nagle zamarł – zapanowała grobowa cisza. Nasza „radość” była również grobowa!

– Powiedz nam więcej – odezwałem się w końcu. – Co dokładnie powiedział Hebrajczyk królowi? Muszę wiedzieć o wszystkim.

– To było coś na temat przyszłości, Mistrzu. Gdy słuchałem, jak Hebrajczyk mówił, sen był jakby przeglądem całej przyszłości tego świata.

Spojrzałem na nagle spoważniałe twarze moich dowódców korpusów, których zaciekawione oczy wpatrywały się we mnie w celu odnalezienia odpowiedzi na wyzwanie, przed jakim jeszcze nigdy nie staliśmy.

Od czasu do czasu Starodawny przemawia do umysłów ludzkich, przenosząc ich w przyszłość, by ukazać wydarzenia, jakie nie miały jeszcze miejsca, a te przepowiednie zawsze się sprawdzały. Przywykliśmy do słuchania takich rzeczy od hebrajskich proroków, ale jeśli mój posłaniec miał rację, tym razem Wszechmogący wybrał sobie jednego z naszych sprzymierzeńców na swego przekaźnika! Zatem koniec z naciskaniem na Niego, by zakończył wojnę!

– No, dobrze – odpowiedziałem, starając się ukryć podenerwowanie w moim głosie. – Powiedz nam o przepowiedni. Jak daleko sięga ona w przyszłość?

– Do samego końca wojny, Mistrzu. Przepowiada, w jaki sposób wojna się zakończy. Gdy odchodziłem, Hebrajczyk mówił, że pewnego dnia wszystkie królestwa ludzkie zostaną zniszczone mocą, która nadejdzie z kosmosu.

Z wielką trudnością mogąc unieść głos ponad ochrypy szept, postawiłem jeszcze jedno pytanie.

– Posłańcze, a Hebrajczyk? Czy potrafiłeś go rozpoznać?

– Tak, Mistrzu. To był ten młody człowiek, którego nazywamy Danielem.

Spojrzałem szybko wokół na popielate twarze moich wojowników i odezwałem się: A teraz, żołnierze, czy nadal myślicie, że wojna niemal się już zakończyła?

Zapanowała śmiertelna cisza. Zedronn odezwał się cicho do swoich pomocników, aby go wynieśli, podczas gdy Marconides i Andrade wpatrywali się we mnie głupio, z szeroko otwartymi ustami z oszołomienia. Telkus sięgnął podświadomie do szyi, w geście, który od czasu do czasu widzę u niego, jako wyraz zatroskania i dowód, że nikt nie zapomniał sprawy Zedronna, zaś Barshok wpadł w nieskoordynowane drgawki. Wydałem rozkaz:

– Zaczekajcie wszyscy. Osobiście udam się do pałacu i zobaczę, czego mogę się dowiedzieć.

W pałacu

Pałac Nebukadnezara II jest jedną z najbardziej imponujących budowli, jakie kiedykolwiek wyszły z rąk ludzkich. Tuż nad brzegami rzeki Eufrat wznosi się wysoko nad płaską równiną Chaldei, pracowicie skonstruowana przez ludzi góra z cegieł. Mówi się, że król zbudował te sztuczne wzgórza dla swojej żony, która tęskniła za górami swego kraju – Persji. Z tego też powodu wypełniono pałac ogrodami, lasami, strumieniami wód i wodospadami (na które wodę pompowali niewolnicy dniami i nocami). Na szczycie tej dziwnej, acz fascynującej budowli znajdują się pomieszczenia królewskie, z widokiem górującym nad Babilonem – fortecą o potężnych murach i wielkich bramach z brązu – i tutaj właśnie, gdy przybyłem, Daniel kończył swoją mowę przed królem.

– Wasza wysokość, proszę pozwolić, że podsumuję. W swoim śnie widziałeś olbrzymi posąg mężczyzny. Został on wykonany z różnych warstw metali – głowa ze złota, piersi i ramiona ze srebra, brzuch z brązu, nogi z żelaza.

– A stopy! – wtrącił podekscytowany monarcha. – Jakże były one dziwne: mieszanina żelaza i błota! Danielu, powiedz mi raz jeszcze, co to wszystko oznacza. Jest to tak niesamowite, że trudno mi jest to pojąć. O, służba! – w tym momencie skinął z rozkazem do sługi, który stał w pobliżu tronu. – Udaj się szybko do mojej osobistej świątyni. Zabierz święte kadzidło. Chcę je wypalić w hołdzie temu Hebrajczykowi, który ma społeczność z bogami. Śpiesz się!

Człowiek skłonił się nisko i popędził wykonać zlecenie, gdy Daniel kontynuował.

– Przypomnijmy to raz jeszcze, Wasza Wysokość. Posąg wykonany z różnych metali symbolizuje państwa, które istnieć będą od tej chwili, aż do końca świata. Głowa ze złota przedstawia królestwo o wielkim bogactwie i pięknie. Reprezentuje ona Babilon, twoje wielkie państwo. Jednak po Babilonie powstanie inne państwo, zobrazowane przez piersi i ramiona ze srebra. Potem, posąg ma brzuch wykonany z brązu – metalu, który przypomina trochę złoto, nie posiada jednak jego wartości. To przedstawia trzecie królestwo, które pojawi się w przyszłości. W końcu dwie nogi wykonane zostały z żelaza. Ten metal, chociaż brzydki, jest jednak bardzo silny. Wyobraża to niezwykłą siłę militarną. Wasza Wysokość wie o tym, że miecz wykonany z żelaza, potrafi rozciąć broń wykonaną z brązu na części. Tak więc ta część posągu symbolizuje potężne państwo w dalekiej przyszłości, które rządzić będzie światem przy pomocy ogromnej siły militarnej. I tak, jak nogi posągu są dwie, państwo to pewnego dnia podzieli się na dwie części.

– Tak, Danielu, tak, widzę to. A stopy? – Król był tym całkowicie pochłonięty.

– Potężny królu, tak, jak to zauważyłeś, stopy były mieszaniną gliny i żelaza.

– Tak, a mieszanina ta wyglądała na coś bardzo słabego.

– W istocie, Panie. Wielkie państwo z żelaza upadnie, rozpadając się na wiele różnych narodów, przedstawionych przez dziesięć palców u stóp posągu. Marząc o powrocie do dni światowego imperium, narody te starać się będą

o utworzenie ogólnoświatowej unii, ale tak, jak żelazo z gliną nie mogą się połączyć, ich starania w kierunku utworzenia światowego rządu zakończą się klęską. Wszystko to prowadzi mnie do końca twego snu. Widziałeś olbrzymi kamień, oderwany od zbocza góry jakąś niewidzialną mocą, który uderzył w stopy posągu, powodując rozbicie całej jego struktury. Nic nie pozostało. Cały posąg zamienił się w pył i został rozwiany przez wiatr. A teraz popatrzmy, co to oznacza. Twój sen pochodzi od potężnego Króla w kosmosie, Tego, który rządzi całym Wszechświatem, także tym małym światem, na którym żyjemy. I pewnego dnia, w odległej przyszłości, gdy ludzkość dojdzie do ostatecznego kryzysu, On będzie interweniował. To On jest ową tajemniczą skałą, która wywróci wszystkie rządy ludzkie. On rządzić będzie niebem i ziemią.

– *Kiedy*, Danielu? Czy możesz mi powiedzieć, kiedy to wszystko się stanie?

– Nie, Wasza Wysokość. Poznanie tego nie jest dane ludziom. Ale jak możesz zauważyć, wiele jeszcze musi się wydarzyć, bo sen twój jest wizją odległej przyszłości. A gdy przyjdzie koniec, każdy człowiek, czy to niewolnik, czy król, będzie musiał zdać rachunek przed potężnym Władcą niebios. Popełniłbym błąd, Wasza Wysokość, gdybym nie zwrócił uwagi, że ty także będziesz musiał stanąć przed Jego sądem. Rządz mądrze i łagodnie, wielki królu. Twoje uczynki staną jeszcze przed tobą.

– Tak..., *tak, widzę to...*

Głos Nebukadnezara zadrżał, jego oczy zaszkliły się, a on sam zamyślił się tak, jakby chciał wejrzeć w głębię swojej duszy. *O, słodka śmierci, ja go tracę!* Widziałem to już wcześniej, gdy ludzie spojrzeli przez moment poza barierę i poczuli jak rzeczywiście wygląda życie tutaj, w Czwartym Wymiarze. Jeśli nie zadziałam szybko, to stracę jednego z najbardziej cenionych przeze mnie ludzi. Ten król, który rządzi tą całą częścią ziemi może się stać sługą Starodawnego!

W pośpiechu powracam do rady. Wszyscy czekają, z tak ponurymi twarzami, jakich jeszcze nie widziałem nigdy dotąd. Nawet nie powstali, gdy wszedłem, jedynie popatrzyli na mnie w przygnębiającej ciszy. Jednak szybko będą musieli sobie z tym poradzić, mamy bowiem pracę do wykonania.

– Wojownicy – ogłaszam, nie tracąc ani trochę czasu na słodkie słowa – jest tak źle, jak myśleliśmy. Król otrzymał sen, który rzeczywiście przepowiada przyszłość tego świata, a na tyle, ile mogę dostrzec, wojna będzie bardzo długa. Są jeszcze przynajmniej trzy wielkie państwa, jakie panować będą po obecnym, a potem nastanie czas zamieszania, w którym wiele królestw istnieć będzie równocześnie, starając się utworzyć rządy globalne. Sądząc po tym, co usłyszałem, możemy mieć wojnę przez jeszcze kilka tysięcy lat.

– A koniec? – pyta Marconides, zaś jego oczy wpatrują się prosto w moje, jak oczy małego dziecka. – Czy widziałeś, jak zakończy się ta wojna?

– Nie – kłamię. – Posłaniec mylił się. Sen nie sięgał tak daleko, jedynie do czasu rozbicia świata na drobne państwa.

Nic na to nie powiedział, tylko spuścił oczy. Nie uwierzył mi.

– Tak więc – kontynuuję, próbując wybić ich z tego dezorientującego paraliżu, jaki ich przejął – mamy wiele do zrobienia, a ja mam plan. Pozwólcie, że wam go przedstawię.

Na te słowa ich twarze pojaśniały, a ja zaczynam wyjaśniać plan, jaki pojawił mi się w głowie, gdy wracałem z pałacu.

– Naszym wielkim zadaniem jest utrzymanie Nebukadnezara po naszej stronie. Teraz znajduje się jeszcze pod wpływem nadnaturalnego doświadczenia, ale sądzę, że potrafimy to stępić, wykorzystując słabość natury ludzkiej.

Nastrój wyraźnie się poprawia, ja zaś kontynuuję.

– W swoim śnie król widział posąg człowieka wykonany z różnych metali. Głowa wykonana była ze złota i przedstawiała jego bogate królestwo, Babilon. Piersi zrobione były ze srebra i wskazywały na inne imperium, które nastanie po nim. Następnie brzuch był z brązu, nogi z żelaza, zaś stopy po części z żelaza, a po części z gliny. Wszystkie metale symbolizują królestwa, jakie następować będą po sobie... A teraz pozwólcie, że przejdę do mojego planu. W tej chwili umysł króla przejęty jest ważnością tego, co widział, ale dajcie mu kilka dni, a o czym będzie myślał?

Andrade dostrzega to jako pierwszy.

– O sobie, Mistrzu. Ludzie nigdy nie myślą o czymkolwiek innym, jak tylko o sobie i to bardzo często.

– Dokładnie tak jest! Wojownicy, postawcie się więc na jego miejscu. Gdybyście byli Nebukadnezarem, którego całe życie upłynęło na budowaniu tego imperium, jak czulibyście się, gdyby wam powiedziano, że pewnego dnia ono zniknie?

– Odrzuciłbym taką myśl – odpowiada Barshok, a gdy patrzę w jego kierunku, widzę, że drgawki ustały. Faktycznie, wydaje się, że wrócił w pełni do siebie – ufny, agresywny, tak jak grzech. Podoba mi się to, co widzę, decyduję więc, że pozwolę temu szelmowskiemu wojownikowi, by był sobą.

– Proszę, powiedz dalej.

– Tak, jak powiedziałem – odpowiada w sposób nietaktowny, jak zresztą zawsze. – Gdybym był królem, wtedy spędziłbym resztę mojego życia na zdobyciu pewności, że moje królestwo trwać będzie na wieki. Zbuntowałbym się przeciwko temu snu. Próbowałbym przepisać po swojemu tę historię, zanim by się wydarzyła i zmienić plan Starodawnego. A to – ciągnął dalej, a jego twarz wykrzywiła się w paskudnym grymasie, – to postawiłoby mnie w stanie wojny z Królestwem, ponieważ starałbym się zmienić coś, co Wszzechmogący już zaplanował!

– Tak! – odpowiadam. Taki mam dokładnie plan! Zróbcie to, a nasz sprzymierzeniec, król, będzie znów po naszej stronie. W porządku, Barshok, jesteś odpowiedzialny za ten projekt. Masz czterdzieści osiem ziemskich godzin na dopracowanie szczegółów. Jeśli znajdziesz sposób, aby przyćmić ten sen dumą i ambicją, podniosę cię do rangi członka Najwyższego Dowództwa.

– Nie potrzeba mi czterdziestu ośmiu godzin – odpowiada gburowato. – Już mam plan. Przyszedł mi do głowy, gdy ty mówiłeś. Czy powiedziałeś, że głowa posągu była ze złota? I ona reprezentuje Babilon? W takim razie mamy naszą odpowiedź!

Popatrz tylko, król posiada wielkie ilości złota – nawet tylko to, co zabrał z samej Jerozolimy jest trudne do zliczenia. Zasugeruję mu, że powinien zrobić własną wersję snu i zbudować ogromny posąg, podobny do tego, jaki widział we śnie, *ale cały ze złota*. Nie ze srebra, brązu, czy żelaza, a już na pewno nie z gliny. Ten posąg ma być ze złota od głowy, aż do stóp. Babilon na wieki. Nic nigdy nie zastąpi jego złotego królestwa.

– Wyśmienicie! – powiedziałem. – Twój plan uderza w to wszystko, co Kochają ludzie: dumę, upartą determinację, a nawet ich pragnienie, by panować jeszcze po śmierci. A posąg ten przyciągnie uwagę świata, bowiem takiej ilości złota nigdy jeszcze nie widziano na jednym miejscu. Taki poziom próżności powinien przeciągnąć Nebukadnezara z powrotem na naszą stronę i oderwać go od Wszchemogącego... Barshok, jesteś od teraz członkiem Naczelnego Dowództwa. Gratulacje!

Dwa miesiące później

Plan Barshoka przebiega wyśmienicie. Zabrał do pałacu dwa legiony wojowników i zaczął poszukiwać u króla znaków, które wskazywać by mogły, że skutki tamtego snu zaczynają przemijać. Przez jakiś czas król wydawał się zagubiony we wspomnieniach tamtego cudu, jakby ponownie przeżywając intrygujący obraz świata, który leży ciągle przed jego oczami. Jednak w końcu skutki snu zaczęły się pomniejszać, a króla zaczęły zajmować sprawy państwowe – sprawy militarne, przygotowywanie różnych planów oraz intrygi dworskie. Ambicja odnowiła się w swej sile, gdy docierały do niego raporty dowódców polowych o różnych zwycięstwach, zaś duma powróciła, gdy inżynierowie przynieśli mu pokazać projekt nowej części pałacu. W końcu Barshok odczuł, że czas jest odpowiedni, zaczął więc poszukiwać otwartego kanału dotarcia do umysłu Nebukadnezara.

Znalazł go pewnego dnia w najbardziej nieoczekiwanym miejscu. Spodziewał się, że uda mu się wykorzystać kanał, który nazywamy dumą, ale droga do umysłu króla prowadziła poprzez wściekłość. Pewien nieszczęśliwy podwładny spartaczył zadanie, jakie mu powierzono i to doprowadziło Nebukadnezara do furii, do przeklinania tego człowieka i rozkazania, by go wychłostano, a to całkowicie wystarczyło Barshokowi. Zostały otwarte drzwi, przez które mógł dostać się do umysłu króla, a gdy już tam był, rozpoczął podsuwać mu swoją propozycję wystawienia złotego posągu.

Nasze sugestie nie zawsze wywołują natychmiastowe skutki, tak też stało się i tym razem. Przez długi czas król nie wspomniął niczego o tym pomysle, aż

pewnego wieczoru, przy winie, nagle zdradził całą myśl niemal w identyczny sposób, jak ten, który zasugerował mu Barshok.

– Szambelanie – powiedział do swego pałacowego asystenta – chcę, abyś na jutro wezwał naszych artystów. Mam pewien projekt, który chcę, aby został wykonany tak szybko, jak tylko to możliwe.

– Tak, boski – odpowiedział lokaj. – A co mam im powiedzieć, czego dotyczy projekt?

– Posągu – odpowiedział król. – Złotego posągu, na podobieństwo człowieka. Artyści, jeśli tylko zechcą, potrafią wyrzeźbić go na moje podobieństwo.

Siły Barshoka przyglądające się temu z poza bariery czasu buchnęły histerycznym śmiechem. Jeden z nich drwił sobie: „Jeśli tylko zechcą? Ty pompatyczny ośle! Oczywiście, że wyrzeźbią ciebie – przecież nie chcą, abyś kazał zburzyć ich domy i abyś wziął do niewoli ich rodziny, gdzie musieliby pompować wodę do sztucznych wodospadów”.

Nebukadnezar ciągnął dalej, całkowicie nieświadomy tłumy niewidzialnych obserwatorów, którzy przyglądali się wydarzeniom z wymiaru, jaki nie był dostępny ludziom i którzy często wybuchają szyderczym śmiechem, patrząc na wszelkie ludzkie poczynania.

– Chcę, aby był to największy posąg, jaki kiedykolwiek postawiono na ziemi. Chcę, aby wykonano go w całości ze złota. Wezwij nadzorcę skarbców!

– Oczywiście, Panie – odpowiedział szambelan i wkrótce grubiotki, łysiejący mężczyzna, niskiego wzrostu, ubrany we wspaniałe szaty, wszedł spokojnym krokiem, kłaniając się uniznienie, jak określili to przyglądający się temu, wielce rozbawieni nasi wojownicy. Miał na sobie złoty łańcuch świadczący o pełnieniu wysokiego urzędu, z którego zwisały insygnia królewskiego skarbcza.

– Tak, boskie światło wschodu, czy wzywałeś mnie? – zapytał przybysz.

– Rzeczywiście, wzywałem cię. Skarbniku, ile mamy złota?

Zaskoczony człowiek zbladł przez chwilę, bo też i miał ku temu powody. Ulegając naszym pokusom, zwędził taki ładunek złotych monet ze skarbcza, jaki mógł przenieść osioł, i zakopał je pod podłogą swego domu – jako zabezpieczenie swojego losu, gdyby wypadł z łask króla i utracił swój urząd. Gdyby to ktoś odkrył, on oczywiście, mógłby to przyplacić bardzo powolną i bolesną śmiercią.

– Ile? – zająknął się, a Nebukadnezar, zanim odezwał się, spojrział na niego przez moment badawczo.

– Tak, skarbniku, ile mamy złota? Widzisz, mam zamiar wystawić przed ludźmi wielki, złoty posąg. Będzie on symbolizował bogactwo i trwałość Babilonu.

Z widoczną ulgą, skarbnik odpowiedział.

– O, boski, teraz rozumiem. Tak, mamy go pod dostatkiem, abyś mógł wystawić jakikolwiek posąg, jaki tylko sobie życzysz. Jak...

– O pierwszym brzasku – przerwał mu z niecierpliwością Nebukadnezar – masz mi podać dokładną ilość naszych zasobów złota, wraz z tym wszystkim, co otrzy-

maliśmy ostatnio w ostatnim transporcie, który nadszedł z zachodu. Masz zliczyć każdą monetę. I wtedy podasz mi dokładnie, jak wysoki może być posąg.

Człowiek pokłonił się bardzo nisko, wyszedł od króla i pośpieszył do domu. Tej nocy miał do wykonania dwa zadania: przeliczyć bajeczne zasoby złota w Babilonie, a także wykopać skradzioną zdobycz, którą miał nadzieję niezauważenie przetransportować z powrotem do pałacu. Siły Barshoka rozkoszowały się w tej sytuacji.

Osiem miesięcy później

Minęły miesiące pełne zajęć. Złoty posąg jest już niemal ukończony, a jest naprawdę wielki: wznosi się niemal na sześćdziesiąt łokci ponad równinę Dura, a ma sześć stóp szerokości. To wznosząca się góra złota, jaką można dostrzec już na wiele mil od strony pustyni. Odbija on o wschodzie słońce w połyskującym splendorze i lśni w ostatnich promieniach zachodu, jak płomienny słup. Nigdy jeszcze nikt z nas, ani ludzie, ani aniołowie, nie widzieliśmy na ziemi czegokolwiek, co można by z tym porównać. Pomysł Barshoka okazał się bardzo dobry, więc kiedy to wszystko się zakończy, mam zamiar urządzić ceremonię oficjalnego jego awansu.

Dziewiąty miesiąc

Dzisiaj w Babilonie ma miejsce wielkie święto. Od szeregu tygodni emisariusze z całego świata przybywali tu, aby zobaczyć ten twór Nebukadnezara, który na dzisiaj zaplanował wielką ceremonię poświęcającą. Zabito setki wołów i są one przyrządzane na ogniu na wieczorny bankiet. Dla króla wystawiono piękny pawilon tuż u stóp posągu, zaś ogromna armia niewolników pracowała całymi dniami, zamiatając przy pomocy liści palmowych pustynię po to, aby można rozłożyć dywany, na których ludzie będą mogli uklęknąć, bowiem decyzją Nebukadnezara cała uroczystość ma mieć charakter religijny. Domaga się on, by każdy obecny ugiął się w hołdzie przed tą wieżą złota! Ten akt przyniesie coś, o czym nie marzył nawet dumny król: konsoliduje świat, a *mnie* czyni prawdziwym władcą tej planety. Jeden świat. Jeden pan. I teraz, *jedna religia*.

Pomysł był Barshoka, a jest on bardzo sprytny: zamieniając ten akt próżności w nabożeństwo religijne, król naprawdę postawił siebie w stan wojny ze Starodawnym.

Również nieświadomie stworzył też wspaniałą pułapkę dla hebrajskich lojalistów, którzy służą na jego dworze. Trzej z najbliższych przyjaciół Daniela, których na jego prośbę, król podniósł do wysokich godności, otrzymało rozkaz obecności na równinie, a ceremonia tego dnia postawi ich przed straszliwym wyborem. Król oczywiście będzie spodziewał się, że uklękną podobnie jak wszy-

scy inni, a właśnie w tym leży ich dylemat: jeśli to uczynią, wtedy przestąpią prawo Wszechmogącego, zakazujące oddawania czci posągom. Jeśli jednak odrzucą zaproszenie i nie pokłonią się, wtedy uczynią głupca z króla w oczach całego patrzącego nań świata. Mamy ich więc teraz! Albo będą musieli wyrzec się swej wiary, albo oddać swoje życie. W żadnym przypadku nie będziemy przegrani. W żadnym przypadku nie możemy przegrać.

Późnym przedpołudniem

Zebrały się tłumy: satrapowie z całego imperium, dygnitarze obcych państw, wodzowie plemion nomadów z południa, wysocy dostojnicy dworscy, motłoch, który przyszedł z czystej ciekawości – wszyscy tu są, jak szeroka paleta kolorów, która rozprzestrzeniła się po całej pustyni otaczającej złotego potwora Nebukadnezara. Słodka śmierci, jakież to wysokie – *niemal dwadzieścia razy wyższe od wzrostu przeciętnego człowieka!* Poniżej zebrała się orkiestra, a przed samym posągiem znalazł się pawilon królewski, gdzie kilka minut temu przybył król, w odgłosie fanfar i dźwięku bębnów – wjazd królewski, który zrobił największe wrażenie, jakie każdy z nas mógł widzieć na przestrzeni tych 35 wieków istnienia Ziemi. Teraz Nebukadnezar siedzi na tronie obłożonym skórami pantery, a jest bardzo podniecony, rozmawiając z ożywieniem ze wszystkimi, jak człowiek, który ma przeżyć swój dzień chwały i chce wykorzystać go w pełni.

Niedaleko stąd znajduje się piec hutniczy, gdzie posąg został odlany. Bucha tam nadal dym z ognia, który był potrzebny jeszcze w ostatniej minucie.

W południe

Chaldejscy astronomowie – a nie ma lepszych od nich na ziemi – z uwagą mierzyli wznoszenie się słońca, bowiem ceremonia miała się rozpocząć dokładnie w samo południe. Mają oni określić, kiedy słońce znajdzie się w zenicie. W tym czasie tłumowi przekazano instrukcje: gdy odezwie się muzyka, wtedy każdy obecny powinien skłonić się ze czcią przed posągiem – ze czcią przed złotem, czcią wobec mocy ludzkiej, która stworzyła takie чудо, czcią dla Jego Wysokości Króla Nebukadnezara II, a w końcu ze czcią wobec wiecznego królestwa Babilonu, które niechaj istnieje na wieki!

Instrukcje powtarzane są jak echo po całej pustyni, a czynią to funkcjonariusze dworscy, z których każdy odpowiedzialny jest za pewną sekcję tłumy. Żaden z nich nie chce przeoczyć czegokolwiek w powierzonym mu pod kontrolę sektorze. W tym czasie Barshok informuje, że zauważono trzech Hebrajczyków, stających po jednej ze stron pawilonu króla.

Ale tu właśnie pojawia się problem. Tam, gdzie stoją, nie są widziani przez króla i gdy nie pokłonią się, mogą zostać niezauważeni. Konsultujemy się szybko,

a potem Barshok wysłał oddział wojowników, by upewnili się, że obok Hebrajczyków znajdują się zazdrośni wrogowie, gotowi do doniesienia o jakimkolwiek nieposłuszeństwie. Całe „stado” jasno ubranych funkcjonariuszy wkrótce przenosi się na pozycję tuż za Hebrajczykami, gdzie można obserwować każdy z ich ruchów. Widać też, jak intryganci szepczą i potakują głowami, gdy gotowi są obserwować swoją zdobycz. Jak łatwą jest nasza praca, gdy mamy tak wielu chętnych pomocników!

I w końcu zaczyna się. Z odległego rusztowania, gdzie astronomowie obliczali wielokrotnie moment nadejścia południa, lśniący gong z brązu zabrzmiał swoim nieharmonijnym dźwiękiem i orkiestra zaczęła grać. Poprzez pustynię, niemal tak daleko, jak człowiek potrafi to dostrzec, ludzie padają na swe kolana, kłaniając się z ostentacyjną czcią bogom, których większość z nich czci: bogactwu, akceptacji, presji tłumu, przetrwaniu. Jakie motywy kierują tymi idiotami? Gdy się nad tym zastanowić, są to motywy dziecka, i nic więcej. Ukryte pod wspaniałymi szatami i pretensjonalnymi przejawami dostojeństwa, znajdują się potrzeby i lęki dziecka: żywność, schronienie, bezpieczeństwo, pochwała. Dla tych rzeczy są gotowi oddać swoją najcenniejszą własność: wolność. Jest to wielka grupa głupców.

Ale nagle mój posłaniec woła: „*Spójrz, Mistrzu!*” Ponad kolorowym morzem leżących płaszczy i kosztownych szat, trzech samotnych Hebrajczyków stoi wyprostowanych, ich twarze przepełnione są mieszaniną podniecenia i uporczywej wytrwałości. Stoją sami, dalecy od konformizmu i chętni do spojrzenia z góry na ten świat.

Tak więc dokonali wyboru: spowodują zakłopotanie króla, a potem umrą! Tak więc się ich pozbędziemy. A znając Nebukadnezara, możemy się spodziewać, że dni Daniela są także już policzone. Król nigdy już więcej mu nie zaufa, skoro jego trzech najbliższych przyjaciół upokorzyło tron przed przedstawicielami całego świata.

Teraz dopiero wybuchło prawdziwe podniecenie. Powstaje czterech, czy pięciu najbardziej zazdrosnych rywali tych trzech, którzy pędem przechodzą poprzez rzędy leżących ludzi, a następnie wielokrotnie kłaniając się, podchodzą do królewskiego pawilonu ze swoją relacją na temat nieposłuszeństwa.

Trudno powiedzieć, czy król jest zły, czy oszołomiony. Obie reakcje pojawiają się na jego twarzy. Po chwili posyła dworzanina, który pędzi w kierunku Hebrajczyków.

– To niesłychane – odzywa się do adiutanta. – To są niektórzy z moich najbardziej zaufanych sług cywilnych. Służyli mi lojalnie podczas buntu w Karke-mish. Być może po prostu nie zrozumieli.

W tym momencie Hebrajczycy podchodzą do pawilonu, a król wzywa ich, by stanęli u jego boku.

– Mężowie, nie potrafiłbym uwierzyć, abyście uczynili to celowo. Mielście pokłonić się, gdy zabrmi muzyka. Miało to wskazywać, że wspieracie królestwo, a ja przecież wiem, że tak jest. Teraz więc powróćcie i uczynicie to, czego się od was oczekuje, a my zapomnimy o tym, że...

Ze spokojem, który doprowadziła do tego, że król przerywa swoją wypowiedź, jeden z nich przemawia.

– Wasza Wysokość. Nie pomyślelibyśmy nigdy o zranieniu ciebie, o czym, Panie, sam wiesz. Ale, królu, prosisz o coś, czego uczynić nie możemy, o przestąpienie prawa naszego...

– *Kim* ja jestem?! – Głos króla podnosi się, szyja, ozdobiona napęczniałymi żyłami, które ostrzegają alarmująco, zaczerwieniła mu się. Nebukadnezar jest zły, dzika wściekłość gotuje się w nim, gdzieś w głębi jego złożonej duszy. Jego dzień, który miał być pokazem dla całego przyglądającego się świata, zostanie zepsuty publicznym buntem, i to przez niewolników, których wyniósł na najwyższe pozycje w Babilonie!

– *Dosyc!* – wrzasnął wystarczająco głośno, by być słyszany przez setki ludzi, którzy niezdarnie skręcają swoje leżące głowy, starając się złapać, choć ukradkiem, obraz zaistniałej awantury. – *Dosyc, powiedziałem.* Hutnicy, dorzucicie do ognia i rozgrzejecie wasze piece tak, abym zobaczył ogień wychodzący przez komin! Ktokolwiek przeciwstawi się memu majestatowi zostanie spalony żywcem!

Podeszła grupa żołnierzy – dużych mężczyzn, bardzo umięśnionych, należących do Gwardii Królewskiej – i związali tych trzech, a potem pociągnęli ich w kierunku zięjącej ogniem czeluści pieca hutniczego, teraz buchającego gradem iskier i płomieni.

– *Wrzucie ich! Wrzucie ich do środka!* – krzyczał król. Jego pięści zacisnęły się, twarz zaczerwieniła od wściekłości i zakłopotania, bo czuł się zdegradowanym monarchą, który wyszedł na głupca wobec tych trzech niewolników.

W tym czasie żołnierze, cofając się z powodu straszliwego gorąca, posunęli się jednak do przodu, niosąc Hebrajczyków na tyle blisko, by wrzucić ich do ogniowego piekła. Zupełnie przypadkowo umięśnieni gwardziści upadli przy drzwiach pieca, a gorąco zabiło ich od razu.

Tak, to jest to. Pozbyliśmy się tych kłopotliwych Hebrajczyków, a wkrótce też i Daniel prawdopodobnie...

Ale zaraz! Król nagle prostuje się i stoi przy swoim tronie, wpatrując się w sam otwór pieca, a z jego twarzy odpływa gwałtownie krew, tak, że staje się ona zupełnie biała.

– Szambelanie! – wrzeszczy, a ten pędem podchodzi do króla. – Czy nie trzech mężczyzn wrzuciliśmy do ognia?!

– Tak, panie.

– Ale teraz jest tam jeszcze czwarty, a wszyscy spacerują w koło, wśród płomieni, a czwarty podobny jest do Syna Bożego!

Król niemal dostał apopleksji. Rozrzucając skóry pantery, jakimi był obłożony jego tron, pędzi w kierunku pieca, próbując osłaniać swoją twarz rękami. – Przyjaciele, wierni przyjaciele! – wydziera się chrapliwie, przekrzykując trzask płomieni. – Wyjdźcie, proszę, wyjdźcie do mnie!

I w tak prosty sposób trzej mężczyźni wychodzą z ognia, bez skazy, nie wynosząc ze sobą nawet zapachu dymu. Przez całą pustynię przechodzi odgłos zdumienia, zaś zdziwieni dworzanie pośpieszają do przodu, aby przyjrzeć się ludziom, którzy rzeczywiście przeszli przez ogień. A król, jak kukła, pada do ich stóp.

– Boże, przebac mi! – woła, powtarzając to wielokrotnie. – Jak mogłem być takim głupcem?! Bóg pokazał mi przyszłość, a ja próbowałem ją zmienić! Żaden człowiek nie może zmienić Jego planów. Dlaczego byłem tak głupi i próbowałem tego dokonać?

Następnie, powracając do swej królewskiej roli, kieruje się do głównego budowniczego, który nadzorował budowę posągu.

– Nadzorco! – rozkazuje. – Zburz to. Nigdy więcej nie chcę już widzieć tej ohydnej rzeczy. Oprócz tego mam rozkaz dla moich poddanych. To, co widzieliście dzisiaj, to dzieło Boga, najwyższego Władcy wszechświata. Nigdy już więcej nie sprzeciwię Mu się, podobnie jak też nikt z moich poddanych. Nikt nie potrafi dokonać takiego cudu, jak Król Niebios.

Powoli tłum rozchodzi się, zbierając swoje wyszukane szaty, zaś upieczone woły pozostają zapomniane na węglach. Robotnicy, którzy ukoronowali złoty posąg ostatnimi ozdobami zaledwie dwa dni temu, teraz ponownie stawiają rusztowanie i rozbierają swoje dzieło, podczas gdy dobrze uzbrojeni żołnierze strzegą miejsca, aby upewnić się, że żadna część złota nie zniknie. W tym czasie upokorzony król powraca do swego pałacu, za nim zaś cały legion dworzan, jedni w powozach, inni pieszo, wszyscy jednak w oszałamiającej ciszy.

Odwracam się, by przejrzeć moje siły, ale są one równie poruszone, jak ludzie. Nikt niczego nie mówi. Katastrofa przekracza zdolność opisania jej, przekracza moc słowa. Nie tylko zostaliśmy pokonani, a Nebukadnezar jest teraz sprzymierzeńcem Starodawnego. Jest jeszcze problem w tym, że Nebukadnezar kontroluje wielką część tego świata!

Powracamy do siebie pobici i upokorzeni, po raz pierwszy w tej wojnie nie mamy żadnego planu. W końcu, jeden z niższych rangą zastępców odzywa się sam do siebie.

– Byłoby lepiej, gdyby Hebrajczycy nigdy nie dostali się do niewoli. Teraz stali się jeszcze bardziej niebezpieczni, niż kiedykolwiek byli wcześniej.

Ma rację. Trudno mi to przyznać, ale zostałem przewyższony taktyką walki. Narodzony pobił mnie i nie mam pojęcia jak zareagować.

Mija mnie Barshok, ma opuszczoną głowę, którą potrząsa energicznie. Z trudem odpieram chęć powiedzenia mu, że to wszystko było jego pomysłem. W końcu, ja też zrobiłem raz coś podobnego, nad Morzem Czerwonym.

Co teraz mam zrobić?

Tajemniczy sen

Rok: 3450

Minęło wiele lat, lat pełnych zajęć, w czasie których byłem zbyt zajęty, aby pisać pamiętnik. Po rozgromieniu nas przy złotym posągu, przez jakiś czas moje siły wydawały się być w rozkładzie. Byliśmy pokonani i zdemoralizowani, zmuszeni do obserwowania, jak Wszzechmogący demonstrował swoją moc przed gośćmi z całego świata, a nam zabrakło sił do porządnej walki. Wtedy też Nebukadnezar stał się naśladowcą Starodawnego; na ziemi więc największe wpływy miało królestwo, które było nam przeciwnie. Były to lata zniechęcenia.

Lecz Nebukadnezar w końcu zmarł (a były chwile, kiedy zastanawialiśmy się, czy on w ogóle umrze), a królestwo obecnie znajduje się w rękach o wiele mniej kłopotliwego władcy, młodego człowieka o imieniu Belsazar, otoczonego przez mrowie rozpustnych, wielce rozpitych młodych ludzi, chętnych do zabawiania się na ucztach babilońskich i nie pamiętających o rosnącym niebezpieczeństwie ze strony Persów na pustyniach wschodu. Noce spędzają na ogłupiających zabawach, dni na spaniu, a Daniel, nasz stary Nemezisz, uosobienie kary, zostaje odsunięty na wczesną emeryturę przez króla, który niewiele jest zainteresowany jego prostolinijnymi radami.

– Wahadelko huśta się, czyż nie tak, Mistrzu? – zauważa pewnego dnia radośnie Marcolith. – Jeszcze trochę, a Babilon znowu będzie nasz.

Przez długą chwilę zwlekam z odpowiedzią, nie chcę bowiem rozbudzać owego straszliwego zniechęcenia, jakie spadło na nas za rządów Nebukadnezara, ale nie mogę też dopuścić, by jeden z dowódców moich korpusów popadł w fałszywy optymizm. My, którzy kierujemy armią, musimy być realistami, tak więc na tyle delikatnie, na ile potrafię, staram się sprowadzić Marcolitha z powrotem na ziemię.

– Tak, mój przyjacielu, myślę, że tak. Belsazar jest tego rodzaju opojem, na którym możemy polegać, wiedząc, że wypełnia on naszą wolę. Tak więc sądzę, że jest to dobra nowina. Jest jednak i druga strona tego. Chodź, przejdźmy się – chcę być nieco dalej, gdzie nikt nas nie usłyszy, gdzie będziemy sami.

Udajemy się na kilka mil w głąb pustyni, bezpiecznie i daleko od zgiełku otaczającego Babilon, gdzie aniołowie Królestwa przybywają i odchodzą, a moje siły zmagają się o przejęcie terytorium. Wciąż tam mają miejsce stałe potyczki pomiędzy dwiema stronami. Patrząc na brązowe bramy miasta lśniącego boleśnie jasno, nawet z dużej odległości, bo są wypolerowane przez setki niewolników,

których zadaniem jest utrzymywanie wejścia do miasta w polysku. Patrzę i kontynuuję moją wypowiedź.

– Zanim doszło do najazdu na Jerozolimę, prorok Jeremiasz przepowiedział, że Izrael będzie znajdował się w niewoli jedynie przez 70 lat. Po tym okresie, powiedział, że odejdą znowu wolni. Policzył tylko lata. Minęło pół wieku od czasów buntu Sedekiasza, po którym Nebukadnezar zniszczył Jerozolimę. Wkrótce skończy się siedemdziesiąt lat. Dla Wszchemogącego jest to już czas, aby dokonać jakiegoś ruchu.

Mój towarzysz obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem, a ja ciągnąłem dalej.

– Zauważyłem coś, Marcolith'ie. Kiedykolwiek przychodzi czas, aby Jego lud wypełnił prorocstwo, Starodawny rozpoczyna zabawiać się wydarzeniami wśród ludzi. Stało się tak w Egipcie. Dzieje się tak znowu. Właśnie wczoraj Barzann powrócił ze zwiadowczej wędrówki po Persji i poinformował, że Persowie sprzymierzyli się z innym wojowniczym narodem, Medami. W przeciwieństwie do beztroskich Babilończyków, Medo-Perskie siły są śmiertelnie poważne. Codziennie ćwiczą się w walce, a ich dowodzący generał, Cyrus, jest niesamowicie kompetentny. Sądzę, że jest wystarczająco dobry w tym co robi, by zdobyć to miasto, aby zniszczyć państwo babilońskie.

Marcolith, choć wyśmienity dowódca wojskowy, ale nie taktyk polityczny, nadal jeszcze nie kojarzy.

– Tak, ale w czym problem, Mistrzu? Potrafimy się zaadoptować. Pokazaliśmy to już po upadku Egiptu. Jeśli utracimy Babilon, po prostu doprowadzimy do infiltracji kierownictwa Persów i każemy im wykonywać nasze dzieło.

– Ależ Marcolith'ie, mój przyjacielu – odpowiadam, mówiąc delikatnie i ważę wszystkie słowa, dla upewnienia się, że moja wewnętrzna frustracja nie stanie się oczywista. – Życzyłbym sobie, aby to było takie proste. Ale tak nie jest. Czy nie widzisz, że Wszchemogący przygotowuje strategię dla Swego Ludu, aby ten powrócił do Jerozolimy? Belsazar nigdy by im na to nie pozwolił. Zbyt mocno uzależnił się od swoich sług, a Babilończycy, którzy powrócili po śmierci Nebukadnezara do bałwochwalczego pogaństwa, nie widzą żadnego sensu w religii Hebrajczyków. Ale Persowie – to już inna historia. Ich religia dopuszcza istnienie jedyne go, niewidzialnego Boga. Ci będą bardziej przyjaźni Izraelowi. Czy nie potrafisz tego dostrzec? Tutaj manewru dokonuje Wszchemogący: przygotowuje scenę do uwolnienia Swego ludu, a aby tego dokonać, pozwoli Persom na pokonanie Babilonu.

Przez długą chwilę Marcolith milczy. Najpierw gapi się na wschodni horyzont, za którym leżą góry Persji, gdzie wędrowni wojownicy cierpliwie ćwiczą się w sztuce wojennej, a potem patrzy z powrotem na imponujące mury Babilonu, tak grube, że na ich szczycie mogą mijać się pędzące rydwany, mury ze strzeżonymi bramami, jakich żadna wojenna machina na ziemi nie jest w stanie zniszczyć. W końcu, niemal proszącym głosem odpowiada:

– Mistrzu, w tym mieście zgromadzono wystarczająco wiele zapasów, by mogło ono przetrwać przez całe lata. Mury są nie do naruszenia. Słodkie nieba, przecież oni mają nawet otwarte areale rolne w obrębie murów, gdzie mogą uprawiać zboże, a rzeka Eufrat płynie poprzez miasto, nigdy więc nie zabraknie im wody. Ja po prostu nie widzę możliwości, aby...

– Marcolith'ie, a czy przyszło ci kiedyś do głowy, że Eufrat można skierować inaczej? Na terenach leżących powyżej Babilonu są miejsca, gdzie można będzie ją skierować innym, nowym korytem, pozostawiając miasto wysuszone jak statek, który pozostał na brzegu podczas długiego odpływu. Mury Babilonu wznoszą się nad rzeką. Gdyby Eufrat wyschnął, wtedy koryto rzeki znajdujące się pod murami, stanie się otworem dla armii najeźdźczej.

Na jego twarzy pojawia się zdziwienie.

– Mistrzu, masz rację! Tak się może stać!

– Tak – odpowiadam. – A Cyrus jest właśnie tym człowiekiem, który to zamysła. Moi zwiadowcy poinformowali mnie, że ma on już specjalne oddziały swojej armii, które ćwiczą się w konstrukcjach zapór i skierowania koryta rzeki wzdłuż górnego biegu rzeki Tygrys. Jak myślisz, dlaczego on to robi?

Mistrzu! – Marcolith wypowiada to jedno słowo, jednoznacznie wskazując, że zrozumiał teraz całą sytuację.

Sądzę, że jest jeszcze inny powód, dla którego Babilon zostanie wkrótce pokonany przez Persję, ale tego nie odkrywam przed Marcolithem. Faktycznie, jest on znany tylko mnie i Meldibonowi, mojemu starszemu teoretykowi, a jego zaprzysiągłem, aby utrzymał to w tajemnicy, bowiem jeśli ta informacja przeciekłaby na zewnątrz, moja cała armia uległaby demoralizacji. Wiem o tym z pewnego snu.

Jednej nocy osobiście doglądałem Daniela, decydując, że frywolny Belsazar nie jest aż tak ważny, aby zajmować mój czas. Podczas mego dyżuru Daniel mocno rzucał się przez sen, najwidoczniej pod wpływem jakiejś niepokojącej mary. Miotał się i obracał, od czasu do czasu pokrzykując, a gdy w końcu, na długo przed świtem, rozbudził się i był cały spocony. Wstał i przy świetle swojej lampy oliwnej zaczął zapisywać to, co widział. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zapisał, był upadek Babilonu. Rzeczywiście, zostanie on pokonany przez sprzymierzeńców ze wschodu – wojowniczych Medów i Persów!

Ale sen nie zatrzymał się w tym miejscu. Persja, z kolei, zostanie pokonana przez błyskotliwego greckiego generała z zachodu, który zaatakuje ją w straszliwym tempie, i to Grecja stanie się kolejnym, dominującym państwem. Babilon. Persja. Grecja. Nagle dotarło do mnie, że sen Daniela był dziwnie podobny do tego, jaki otrzymał dawno temu Nebukadnezar. Rzeczywiście, oba sny były paralelne, z tym jednak, że Daniel dodaje teraz nazwy i pewne szczegóły. Nebukadnezar widział posąg człowieka, zbudowany z różnych metali, a ja od razu przypomniałem je sobie. Królestwo ze złota: Babilon. Królestwo srebra: to

będzie Persja. Królestwo numer trzy, jako królestwo brązu: to musi być Grecja. Ale co z czwartym, mocnym jak żelazo, z tym, które ma ogromną siłę militarną, jaka w ostateczności dzieli się na dwie części, które symbolizowały nogi z żelaza? Kto to będzie?

Z zainteresowaniem śledzę sprawozdanie Daniela, by zdobyć informację, ale to królestwo nie ma imienia. Najwidoczniej jest ono jeszcze zbyt odległe w czasie, aby je już znać. Chociaż kilka innych rzeczy jest jasnych. Daniel napisał, że będzie ono srogie i mocne i najwidoczniej będzie stało po mojej stronie, bowiem zapisał, że zaatakuje ono „lud święty” i będzie walczyć z „Księciem książąt” – co jest oczywistym odnośnikiem do Narodzonego. Najwidoczniej jakieś wielkie imperium w przyszłości przyłączy się do mnie. Ale kto to będzie? I kiedy to się stanie? Jak na razie, nie potrafię tego powiedzieć.

Ale sen zawierał także przepowiednię tak straszną, że nie odważyłbym się podzielić nią z Marcolithem. *Jak sądzę, przepowiada on datę, kiedy Wszechmogący rozpocznie sąd ostateczny!*

Wcześniej już wspomniałem, że Daniel czuł się tak zakłopotany snem, że rozbudził się, ociekając potem. Faktycznie było jeszcze gorzej – on stał na krawędzi choroby fizycznej, tak silnej, że przez kolejnych kilka dni leżał w omdleniu. Jednak, gdy tylko zapisał treść snu, wysłał posłańca, by przyprowadził jego najbliższych przyjaciół hebrajskich, a ci zgadując, że wezwanie o tak wczesnej porze musi być spowodowane czymś nagłym, pośpieszyli się bardzo. Ledwie zaczynało świtać, gdy mała grupka zgromadziła się u Daniela.

– Miałem... miałem sen tej nocy – rozpoczął. – Większa jego część, to przegląd nadchodzących królestw. Tym nie chcę was teraz kłopotać. Ale było coś...

– *Danielu!* – zawołał Ananiasz, bowiem prorok zachwiał się na swoim tapicerowanym krześle, jakby miał zemdleć. Jednak opanował się i siłą swojej woli zwalczył zawroty głowy.

– Nie..., nic..., ze mną będzie wszystko w porządku. Jest coś, co muszę wam powiedzieć. Słuchajcie uważnie. Podczas snu podano mi dziwne, tajemnicze poselstwo. Niebo tego nie wyjaśniło. Po prostu powiedziano, że należy ono do odległej przyszłości. A poselstwo jakie mi przekazano brzmi dokładnie tak:

„Aż do dwóch tysięcy trzystu dni; wtedy świątynia zostanie oczyszczona”.

– To wszystko? – odpowiedział Azariasz. – Nic więcej?

– Nic więcej. Co z tego rozumiecie?

Nikt z nich nie miał żadnego pojęcia. Całymi dniami zastanawiali się nad proctwem, podczas których badali Torę i przetrząsali wszystko w swoich głowach, poszukując jakiegoś klucza do rozwiązania tajemnicy, ale nigdzie niczego nie znaleźli. W końcu Daniel rozpuścił ich, nie osiągnąwszy niczego.

Natychmiast wezwałem jednego z zastępców, który najprawdopodobniej będzie umiał rozwiązać zagadkę.

– Meldibonie, pewnej nocy Królestwo przekazało Danielowi poselstwo, a musi być ono ważne, bowiem rozchorował się fizycznie, gdy nie mógł go rozszyfrować. Jest to coś najdziwniejszego, o czym kiedykolwiek słyszałem: „Aż do dwóch tysięcy trzystu dni; wtedy świątynia zostanie oczyszczona”.

– To wszystko? – zapytał, a ja musiałem się zaśmiać, bo jego reakcja była niemal identyczna jak reakcja Azariasza, a poza tym było to komiczne, że tak potężny anioł reaguje w identyczny sposób jak zwykły człowiek.

– Tak, mój przyjacielu, to wszystko. I nawet ja tego nie rozumiem. Potrzebuję twojej pomocy.

– W porządku – odpowiedział, a jego poważna twarz zadarła się ku niebu, co zawsze czyni, gdy duma nad jakąś akademicką tajemnicą. – Daj mi dzień lub dwa. Muszę pozostać sam i pomyśleć nad tym.

W rzeczywistości zajęło mu to około tygodnia, po którym powrócił ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy.

– Mistrzu, pozwól, że najpierw podzielę się z tobą moim wnioskiem, a potem wyjaśnię, jak do tego doszedłem. I zawczasu cię ostrzegam, nie będziesz zadowolony z tego, co usłyszysz. *Jak sądzę, poselstwo przekazane Danielowi przepowiada okres 2300 lat, po którym rozpocznie się sąd ostateczny.*

Sąd! Zastanawiałem się nad tym wydarzeniem już od czasu, gdy Enoch o nim przemawiał i jestem przekonany, że pojawi się tuż przed czasem, gdy Królestwo przypuści na nas ostateczny atak. Jeśli Meldibon miał rację, w takim razie muszę dowiedzieć się ile jeszcze zostało nam czasu do końca wojny.

– Kontynuuj, proszę – odpowiedziałem głosem zadziwiająco suchym.

– Tak więc poselstwo przepowiada okres czasu, 2300 dni. Ale Danielowi powiedziano, że sen dotyczy odległej przyszłości. Zrozumiałem więc, że nie może to po prostu oznaczać 2300 literalnych dni, bo dałoby to jedynie sześć lat. Wtedy zacząłem myśleć: od czasu do czasu w minionych prorocत्वach Wszechmogący używał pojęcia „dzień” w odniesieniu do ludzkiego roku. Ta myśl przekonała mnie, że to, o czym tutaj mówimy, dotyczy okresu 2300 lat.

– Zaczekaj no! – przerwałem mu. – Mówisz, że gdy On podaje *dni*, to ma na myśli *lata*? Po co miałby coś takiego robić?

– To także zajęło mi trochę czasu, aby do tego dojść, ale jest ku temu powód. Popatrz, Mistrzu, ludzie różnią się, gdy chodzi o sposób mierzenia długości roku. Niektóre kultury tej ery wyliczają długość roku na tylko 360 dni, ale skoro jest to krótszy czas od tego, jaki potrzebuje ziemia na okrążenie słońca, miesiące stopniowo wyślizgują się i rozmiągają z porami roku, domagając się co jakiś czas dłuższego roku, aby wszystko na nowo uporządkować. Inne kultury próbują uniknąć tego, używając dłuższego roku, od którego zaczynają liczyć. Teraz pomyśl, jakie problemy mogą się pojawić, gdy za 2300 lat, licząc od teraz, ludzie całkowicie innej ery będą starali się zrozumieć to prorocत्व. Jeśli zostałyby to wyrażone w latach, nie mieliby jasnego pojęcia, jaki to czas został przepowiedziany. Aby unik-

nać zamieszania, Królestwo wyraziło tę przepowiednię w formie *dni*, zatem w pojęciu, jakie pozostaje takie samo w każdym miejscu i w każdym czasie.

Trudno było spierać się z logiką Meldibona.

– Zgoda – odpowiedziałem – tak więc patrzymy na okres 2300 lat, po upływie którego coś się wydarzy. Ale co każe ci przypuszczać, że jest to sąd?

– To, w jaki sposób sformułowano tę przepowiednię, Mistrzu. Co stanie się po 2300 latach? Świątynia zostaje „oczyszczona”. Sprawdziłem to wyrażenie we wszystkich moich danych i jedynym miejscem, w jakim się ono pojawia jest Dzień Pojednania i Hebrajczyków. Znasz to wydarzenie, Mistrzu. Raz do roku Najwyższy Kapłan wchodzi na miejsca Najświętszego i symbolicznie dokonuje „oczyszczenia” świątyni z grzechu. Zbadałem więc to zagadnienie i zgadnij, co znalazłem? Ceremonia Dnia Pojednania jest symbolem dnia sądu, w którym Wszchemogący planuje oczyścić swoje królestwo z grzechu!

Przytaknąłem. Meldibon ma sposób na to, by prowadzić konwersację niezwykle przejrzyste, gdy jest gruntownie przekonany o swojej racji, a dzisiaj dobrze wiedział co mówi. Kontynuował więc dalej.

– Przemyslałem to na wszelkie możliwe sposoby i istnieje tylko jeden sposób, aby to wyjaśnić: ten sen przepowiada sąd ostateczny. Będzie on miał miejsce tuż przed końcem wojny. Oto dlaczego Daniel nie mógł tego zrozumieć. To nie należy do tej ery. Jednak sen pozostawia nas z pytaniem, na które nie mamy odpowiedzi. Nie podaje, kiedy *rozpoczyna się* okres 2300 lat. Nadal brakuje nam klucza do rozwiązania tej układanki.

Siedziałem w milczeniu przez szereg długich minut. Wiedziałem bowiem, że istnieje głębsze zastosowanie sprawozdania Meldibona i to jest powód, dla którego nie ośmielam się podać tego snu do publicznej wiadomości. Doszedłem już do wniosku, że prawdopodobnie przegram tę wojnę. *A jeśli tak ma się stać, w takim razie moje rządy na tej ziemi skończą się wkrótce po zakończeniu okresu 2300 lat!*

Rok: 3461

Klamka zapadła – Babilon, jako państwo, już nie istnieje.

Stało się to dwie noce temu. Belsazar zdecydował wystawić największą ucztę, ogromny bankiet dla tysiąca swoich podwładnych. Zjadali pieczone woły, bazyliki i ostrygi przywiezione z zatoki, a wino lało się jak woda. Potem przybyły tancerki, obnażając się dla przyjemności panów, a Belsazar wrzeszcząc po pijanemu zachłystnąwszy się przyjemnością chwili, postanowił porwać wszystkich wspaniałym gestem.

– Służba! – wrzasnął. – Weźcie kilka osób i udajcie się do skarbcza. Znajdziecie tam złote naczynia, które mój dziadek przywiózł z Hebrajskiej świątyni w Jerozolimie. Przynieście je do mnie. Będę pił z nich wino.

– Hebrajskie naczynia, Wasza Wysokość? – zapytał sługa, a nerwowe zawieszenie głosu, podkreśliło jeszcze bladość jego twarzy. Nebukadnezar często mówił o mocy Boga Hebrajczyków, sam zresztą stał się Jego wyznawcą, dlatego zawsze trzymał Hebrajskie naczynia pod ostrą strażą, z uwagą usunięte od publicznego widoku. Były one niegdyś używane do świętych czynności podczas nabożeństw ku czci Starodawnego i Nebukadnezar bał się je sprofanować.

Ale pijany wnuk, który teraz leżał rozwalony na skórkach pantery rozłożonych na tronie, miał inne poglądy. Dziadek mógł drzeć w swoim przesądnym strachu przed Bogiem Hebrajczyków, ale dzisiaj Babilon zobaczy, jak naprawdę wielką moc ma człowiek.

– Słyszałeś, co powiedziałem, sługo? Być może chłosta otworzy twoje durne uszy. Rozkazuję, aby przyniesiono hebrajskie naczynia. A teraz *wykonać polecenie!*

Nieszczęśliwy sługa popędził w kierunku drzwi, wpadając wprost na kelnera, niosącego na tacy srebrne kubki z winem, który upuścił je w tym momencie na kamienną posadzkę.

– No i tak, zostanie wychłostany ten niezdarny prostak – wymamrotał Belsazar, wymachując tłustą nogą jagnięcia, jakby ona była biczem, a następnie nagle wywrzeszczał kolejny rozkaz.

– Sługo! Kielich Shartaka jest pusty. Napełnij go! – nie zauważył nawet, że pan Shartak był nieprzytomny, a znajdował się w pozycji siedzącej tylko dlatego, że głowa oparła mu się z tyłu na łonie jakiejś kobiety, która siedziała za nim.

Zajęło to kilka minut, aż drżący ze strachu sługa odnalazł złote naczynia w skarbcu i w pośpiechu czyszcząc je rękawem swojej szaty, przyniósł je do sali bankietowej, gdzie Belsazar głośno rozkazał, aby wypełniono je winem. Wzniesiono toast dla Bela, bożka – patrona Babilonu, a potem następny. W końcu młody król próbował stanąć na nogach, podczas swojej zawadiackiej tyrady przeciwko Bogu Izraela, gdy nagle upadł z powrotem na tron, biały z przerażenia, a kolana zaczęły mu drzeć w niekontrolowanym odruchu. Wysoko, na gipsowej ścianie sali balowej pojawiła się olbrzymia ręka, blada jak śmierć, nie należąca do żadnego widocznego organizmu i rysowała ogniste litery na ścianie – cztery słowa w języku, którego nikt nie rozumiał.

Jednak moje siły potrafiły to przeczytać. *Były one dla nas jasne, bo były napisane językiem Królestwa!*

W całej sali zabrzmiał wrzask króla jak rozpaczliwy pisk przerażonego dziecka, tak ostry i bolesny, że nawet Shartak się obudził, chrapliwie domagając się informacji o tym, co się stało. Siedząca obok osoba nic nie mówiąc wskazała na płomieniste litery, nadal skwierczące na pałacowej ścianie.

– Co to oznacza?! – wrzeszczał Belsazar. – Niech ktokolwiek powie, co to oznacza? Muszę wiedzieć. Talent złota dla każdego, kto to przeczyta, złoty łańcuch, wysokie honory. Barzionie, przeczytaj mi to, a ja uczynię cię trzecim władcą w królestwie. *Ktokolwiek potrafi! Pomocy!*

Na co dzień babilońskim wróżbitom nie brakuje słów; potrafią wziąć przeciętny sen i wymyślić dla niego jakieś znaczenie. Żyje się im dobrze, bo są hojnie opłacani za ich przepowiednie, które nauczyli się formułować w tak niejasny sposób, że potrafią przypisywać sobie późniejsze wypełnienie snu, jakiegokolwiek by ono nie było. Ale tej nocy milczeli. Żaden człowiek nie potrafi czytać języka Królestwa, a coś tak imponującego, jak ogniste litery, spowodowało, że bali się nawet podejmować jakiegokolwiek próby.

W tym momencie weszła królowa matka, starając się rozpaczliwie o to, by wyglądać spokojnie. Była to kobieta w starszym wieku, jakby pozostałość po wspańniętych dniach imperium, gdy jeszcze Nebukadnezar prowadził swój dwór z królewskim dostojem. Tej pijackiej nocy była ona jedną z kilku osób w sali, które pozostały trzeźwe. Podeszła do oszołomionego króla, skłoniła się grzecznie, jakby był on jeszcze wciąż godny przestrzegania królewskiej etykiety i przemówiła:

– Królu, żyj na wieki. Myślę, że jest człowiek w królestwie, który będzie mógł ci dopomóc. Jest to Hebrajczyk o imieniu Daniel, który służył twemu dziadkowi, Nebukadnezarowi. On potrafi interpretować takie rzeczy. Wezwij go, a będziesz miał odpowiedź na twoje pytania.

– W takim razie uczynmy tak – odpowiedział ciągle przerażony młodzieniec, zmuszając swój nabrzmiały język do wypowiedzenia obietnic bogactwa i czci, jeśli tylko Hebrajczyk będzie umiał dopomóc.

– Czci, ani mi nie potrzeba, ani jej nie chcę – powiedział Daniel po przybyciu, a jego słowa odbiły się echem po wyciszzonej sali bankietowej. – Twoje dary niech pozostaną u ciebie. Mam jednak coś dla ciebie: wyjaśnienie tego pisma. Słuchaj więc: To, co widzisz na ścianie, jest poselstwem z kosmosu, od wielkiego Króla, który rządzi niebem i ziemią – Króla, którego imię dzisiaj zelżyłeś, i z którego świętych naczyń ośmieliłeś się pić ty i twoi przyjaciele. Teraz posłuchaj uważnie, bo takie jest znaczenie poselstwa:

Po pierwsze, Wszchemogący osądził twoje panowanie i nie jest z niego zadowolony. Twoje królestwo dobiegło końca.

Po drugie, zostałeś zważony na niebiańskiej wadze, która odmierza dobro i zło, a twój postępek tej nocy wykazał twoją całkowitą ruinę.

W końcu, twoje królestwo zostało dane Medom i Persom. Znajdują się już u bram. To jest koniec.

W niecałe pół godziny później do sali wpadł posłaniec z bladą twarzą, mijając strażę, które stały u drzwi.

– Wasza Wysokość! – zawołał. – Rzeka jest sucha. Trudno nam w to uwierzyć, ale tak jest: Eufrat przestał płynąć! A Persowie weszli poprzez kanał pod murami. Przebijają się przez nasze fortyfikacje. Włazą wszędzie jak gąsienice. Nie wiem, jak długo będziemy umieli...

Nigdy nie skończył swego zdania. Do sali wkroczyła postać jakiegoś dowódcy w ozdobnym hełmie generała armii perskiej, dwustu wybranych strażników,

ubranych w zbroje z brązowych łusek. To był Cyrus – generał armii perskiej. Cyrus!

Sięgając pamięcią wstecz, do trzydziestego trzeciego wieku, Hebrajski prorok o imieniu Izajasz, przepowiedział, że to się stanie. Dokładnie opisał on „otwarte podwoje”, które strzegły w Babilonie wejście rzeki, powiedział, w jak beztrioski sposób zostaną one otwarte i niemal w dwa wieki, zanim człowiek ten się urodził – przepowiedział, że to ktoś o imieniu Cyrus zdobędzie miasto. A teraz Cyrus znajdował się tutaj, w środku pałacu.

– Talent złota! – zagrział autorytatywnie swoim głosem w sali. – Talent złota dla pierwszej osoby, która wskaże mi Belsazara!

Szybko odezwał się głos jakiejś kobiety.

– Tutaj, Wasza Wysokość, tutaj – wskazała na załamaną postać króla. – To jest ten, którego szukasz, ten, który siedzi na ławie pokrytej skórą pantery. – Była to ta kobieta, na której oparł swoją pijaną głowę Shartak.

Bez słowa, Cyrus wskazał na kurczącego się ze strachu postać Belsazara, a szczególnie umięśnieni, poważni jak kamień Medowie, ruszyli, znajdując sobie drogę do pokonanego króla, między leżącymi, dobrze odżywionymi panami babilońskimi. Kilka chwil później, królewska krew popłynęła po kamiennych schodach w kierunku podłogi sali balowej.

I tak, jak przepowiedzieli prorocy, imperium babilońskie zakończyło się.

Kilka tygodni później

Aż trudno mi w to uwierzyć! Daniel nie tylko przeżył inwazję Medów, ale zrobiono z niego wysokiego urzędnika w ich królestwie!

Według wszelkich znaków powinien był zginąć podczas tamtej nocnej inwazji. W ostatnich chwilach bowiem, zanim zdobyto pałac, Zedronn – zdając sobie sprawę, że wszyscy z dworu królewskiego w Babilonie zostaną zabici przez Medów – wpłynął na umysł Belsazara i ponaglał go, aby przystroił Daniela w szatę z królewskiej purpury i w złoty łańcuch, który to ubiór wskazywał na dostojność w Babilonie. Tym sposobem, sądził Zedronn, że gdy nastąpi rzeź, Daniel zostanie wzięty za członka domu królewskiego i zginie wraz z innymi.

Ale, czy nie jest to oczywiste, że Wszzechmogący go ustrzegł! Daniel opuścił salę bankietową na kilka chwil przed nadejściem Cyrusa i gdy znajdował się już poza wzrokiem innych, z odrazą wyrzucił dary Belsazara. Tym sposobem ubrany był raczej skromnie, gdy wzdłuż korytarza posuwał się do przodu regiment perskich gwardzistów. Widząc, że spotkana osoba jest jedynie niższym pracownikiem, zapytali go tylko o drogę i poszli dalej, pozostawiając go wolno, by mógł zniknąć w swoim mieszkaniu.

Nowym królem Babilonu został Dariusz, władca Medów, a jest to przebiegły człowiek. Zdaje sobie sprawę z tego, że jedną rzeczą jest zdobyć miasto, a inną

nim rządzić. Zaczął więc przyjmować do swojej administracji tych urzędników poprzedniej władzy, którzy, jak myślał, będą mu lojalni. Daniela wezwał osobiście.

– Kim jesteś, panie? – zapytał, a jego głęboki głos brzmiał bardzo badawczo.

– Hebrajczykiem, panie – odpowiedział Daniel. – Jednym z niewolników przyprowadzonych tu przez Nebukadnezara.

– A, króla Nebukadnezara – odpowiedział Dariusz. – To był człowiek. Podziwiałem go jeszcze za młodu. Gdyby to on był na tronie, nigdy nie zdobyłbym tego miasta.

– Zdobyłeś je, Wasza Wysokość, ponieważ przyszedł na to czas. Było ono zgniłe od środka, próżne moralnie, a ty zostałeś wyznaczony, aby to naprawić.

– Wyznaczony? Wyznaczony, mówisz? Przez kogo?

– Przez Boga niebios, który sądzi całą ziemię.

– A, tak, słyszałem o twoim Hebrajskim Bogu. Powiedz no! – powiedział z wyrazem zaciekawienia w oczach. – Czy jesteś jednym z tych Hebrajczyków, o których podawana jest legenda o ognistym piecu?

– Nie, Wasza Wysokość, nie było mnie tam. Ci, którzy weszli do ognia, to moi przyjaciele i nie jest to legenda. To miało miejsce naprawdę.

– Tak... tak, tak też mi mówiono. Danielu, co sądzisz o powstawaniu i upadaniu królestw, o naszej obecności na tym tronie?

– Myślę, Wasza Wysokość, że jesteś tutaj, ponieważ Bóg niebios życzy sobie, abyś tu był. Stąd służenie tobie będzie czynieniem Jego woli.

– Tak myślałem. Bardzo dobrze. Będę potrzebował wielu lojalnych urzędników, aby rządzić tym państwem. Mam plan, aby wyznaczyć 120 książąt, którzy rządząliby moimi prowincjami, zaś nad nimi mam zamiar wyznaczyć trzech prezydentów, ludzi, jacy będą osobiście stali przede mną. Chciałbym, abyś został ich przełożonym, głównym prezydentem całego państwa.

I tak się stało, że Hebrajczyk, którego tak nienawidziliśmy, człowiek, którego wielokrotnie staraliśmy się usunąć w czasach babilońskich, pojawił się znowu na powierzchni, jako główny prezydent imperium perskiego!

W Babilonie

Minęło wiele lat. Próbowaliśmy zabić Daniela, ale Gwardia nieba nie pozwoliła nam się do niego zbliżyć, a gdy nasi ludzcy pomocnicy starali się go aresztować, partaczyli robotę i sami kończyli śmiercią. Jest to smutna historia.

Gdy nie mogliśmy przybliżyć się do Daniela na tyle, by go zranić (nie dało się spenetrować jego ochrony), zdecydowaliśmy się działać poprzez ludzi. Było wielu zazdrosnych książąt, którzy z całą pasją nienawidzili go, a Andrade wpadł na pomysł wpłynięcia na ich myśli. Miał plan, który, jak się nam wydawało, nie był do pokonania. Udając wielką lojalność, mieli udać się do króla Dariusza i zasugerować, że jego tron będzie jeszcze bardziej szanowany, jeśli wydany zosta-

nie dekret zakazujący modlitwy do kogokolwiek innego, prócz króla, przez okres jednego miesiąca. Oślepiiony próżnością, zazwyczaj sprytny Dariusz, teraz nie zauważył, że dał się wciągnąć w pułapkę, bowiem prawo perskie miało szczególną cechę – zabraniało wycofania przepisu, gdy raz został on wydany. Nawet król podlegał temu dziwacznemu zwyczajowi, tak więc jeśli Dariusz postawił odcisk swego sygnetu na pieczęci dokumentu, sam nie mógł potem dokonać w nim zmiany.

Nowe prawo zostało przygotowane, aby usidlić Daniela, który otwarcie modlił się przy oknie trzy razy dziennie, a był to fakt, o którym Dariusz chwilowo zapomniał. Połechtany tym, co wydawało się gestem dobrej wiary, król połknął przynętę, autoryzował nowe prawo, a następnie zajął się poważniejszymi sprawami, bez wątpienia zapomniawszy o całym zdarzeniu. Jednak zaledwie po godzinie, ta sama grupa zazdrosnych książąt, przerwała mu obiad.

– Wasza Boska Wysokość – powiedzieli, kłaniając się głupkowato – przypomina sobie podpisanie nowego prawa, które zabrania modlitwy do kogokolwiek innego, jak tylko do Waszej Wysokości? Tak się stało, że właśnie przechodziliśmy pod oknami Daniela, Hebrajczyka i...

– Tak?! – zagrzmiął król, a jego podejrzenia nagle zaczęły rosnać, zaś czarne jak węgiel oczy przenikały krąg inkwizytorów. – Macie zarzuty przeciwko Danielowi?

– No, Jaśnie Oświecony, tego człowieka zauważono, jak otwarcie modli się do swojego hebrajskiego Boga, co sprzeciwia się twemu nowemu prawu, a Wasza boska łaska przypomni sobie, że zapłatą za to jest śmierć.

Dariusz powoli opuścił swój zdobny w klejnoty kielich i gestem swojej dłoni przywołał głównego lokaja.

– Ci ludzie przeszkadzili mi w moim posiłku. Zapisz każdego z nich po imieniu; nie chcę, aby kogokolwiek z nich zabrakło na liście, którą sporządzisz i umieścisz w moich osobistych dokumentach. Wezwij także moich doradców prawnych. Tak, zdaję sobie sprawę, że jedzą teraz obiad; wezwij ich mimo wszystko – *teraz*.

Przez pozostałą część dnia Dariusz nie zajmował się swymi dworskimi zajęciami, a starał się odwrócić prawo, które tak naiwnie zapieczętował owego poranka. Lecz blisko zachodu słońca, jego prawnicy z zakłopotaniem pokiwali głowami.

– To się nie uda, Wasza Wysokość. Nie ma w naszym prawie takiego mechanizmu, który pozwalałby na cofnięcie raz wydanego edyktu. Tym związany jest nawet sam tron. Zignorowanie go, oznaczałoby w efekcie zawieszenie całego prawa królestwa. A to mogłoby spowodować chaos.

Król potrząsnął głową na znak rezygnacji.

– Tego się obawiałem. W porządku. Wyślijcie kapitana gwardii do mieszkania Daniela. Macie go nie wiązać. I nie dotykać go, dopóki ja nie nadejdę. Chcę tam być.

Powrócił do swoich pomieszczeń, w przygnębieniu zdjął koronę, zdarł z siebie purpurową szatę, odsłaniając tym samym proste odzienie, jakie miał pod spodem, wdział na siebie płową szatę pogrzebową, a potem poszedł wraz z Daniielem na miejsce egzekucji – starego szybu kopalnianego, tuż poza murami miasta, który wypełniono lwami specjalnie głodzonymi. Gdy wrzucano tam więźniów, wtedy lwy zjadały ich szybko.

Zegnaj, umiłowany przyjacielu – powiedział żałośnie król. – Niechaj cię Bóg strzeże.

Całą noc spędził Dariusz w swoim pałacu na żalobie, rezygnując z jedzenia i picia (jeden raz, pewien nadgorliwy sługa, który starał się zbyt gwałtownie nalegać, aby król coś zjadł, mało nie został siłą wyrzucony przez strapionego króla), zaś o brzasku zarzucił na siebie prostą szatę, wziął ze sobą szwadron gwardzistów i pospieszył do bramy miasta, która nadal jeszcze była zaryglowana na noc. Poruszał się tak szybko, że wyprzedzał ciężko uzbrojonych gwardzistów o wiele kroków.

– Otwórzcie bramę! – rozkazał, gdy tylko dotarł do niej, jednak z powodu swojej bezpretensjonalnej szaty oraz nieuczesanych włosów został wzięty przez strażników bramy za zwykłego człowieka.

– Nie otwieramy bramy, aż wszędzie słońce – odparł kapitan, dodając jeszcze kilka słów na temat tego, że za ściągnięcie go tu intruz zostanie wychłostany. W tym jednak momencie zasapani gwardziści podeszli do króla, a ich królewskie barwy strojów objawiły, że są z samego pałacu. Przerażony kapitan upadł na kolana. W tej chwili doszedł do niego Dariusz, wyciągnął do niego rękę, chwycił przestraszonego człowieka za ramię i postawił go na nogi.

– Wszyscy popełniamy błędy, kapitanie – powiedział łagodnie. – Jestem wdzięczny, że z taką uwagą strzeżesz bramy. Ale następnym razem pamiętaj, że dla mnie wszyscy poddani mają wartość. Chłosta jest dla upartych osłów, a nie dla ludzi, którzy zostali stworzeni na obraz Boży.

Słodką śmierci, teraz zaczyna mówić już tak, jak Hebrajczyk! Ten człowiek, Daniel, nawrócił dwóch władców z rządu – a był tylko u nich na służbie! Czuję, jak potop zimnego strachu mnie oblewa, zdaję sobie bowiem sprawę, że gdyby cały naród Hebrajczyków uczynił to, co uczynił Daniel, znaczna część świata została by nawrócona!

Przy jaskini lwów król szorstko rozkazał, aby odwalono kamień zasłaniający wejście i zawołał ze smutkiem w kierunku pustej czeluści: „Danielu! Czy żyjesz jeszcze?”

Ale z szybu kopalni dobiegł znany głos:

– Tak, Wasza Wysokość. Bóg zamknął paszczę lwom, czuję się więc dobrze.

Jakiż był to dla mnie dzień upadku! Tak, jak owi trzej Hebrajczycy spacerowali żywo w ogniu pięćdziesiąt lat temu, tak Daniel wyszedł bez uszczerbku z jamy, w której były zgłodniałe lwy. Wieść o tym wydarzeniu rozeszła się po

Babilonie, jak pożar po suchej trawie. Ludzie tysiącami przychodzili, aby gapić się na człowieka, którego Bóg potrafił panować nawet nad dzikimi bestiami, zaś Dariusz, korzystając z przykładu wcześniejszych doświadczeń Nebukadnezara, wydał dekret, który wysłał do całego Imperium Perskiego, stwierdzający, że Bóg Daniela jest największym Bogiem.

I jeszcze jedno: nasi agenci, zazdrośni biurokraci, którzy zaproponowali Dariuszowi prawo o modlitwie, zostali szybko złapani, związani, przeprowadzeni po ulicach miasta, a potem wrzuceni do tej samej jamy, gdzie Daniel spędził całą noc. Z tym jednak, że lwy były tak niesamowicie głodne owego poranka, iż nikt z nich nie przeżył nawet tyle, by dotrzeć do dna jaskini.

Miejsce: Mieszkanie Daniela

Podjąłem się osobiście odpowiedzialności za dogładanie Daniela. Jestem przekonany, że jeśli cokolwiek ważnego będzie się działo, on będzie miał w tym udział. Zdecydowałem więc, że będę z nim dniem i nocą, przyglądając się każdemu znakowi biegu wydarzeń.

Aby dostać się do jego pomieszczeń, trzeba było użyć trochę argumentów. Barraston, dowódca Gwardii Królestwa, roztoczył pole mocy wokół miejsca, do którego nie miałem już dostępu.

– Barraston – domagałem się. – Usuń tę tarczę, abym mógł wejść. Mam prawo tu być.

– Na jakiej podstawie?

– Jestem głównym dowódcą sił Lucyfera. Znajdujemy się w stanie wojny z Królestwem, a Daniel jest centralnym elementem w tym konflikcie. Jest to bardzo nie fair, aby odmówić mi dostępu, bo jeśli Starodawny zwycięży w takich warunkach, da tylko dowód na to, że jest tyranem. Usuń tę tarczę.

W końcu musiał ustąpić, otworzyli więc przestrzeń w ich tarczy mocy, na jakieś dwadzieścia łokci od Daniela i tam pozwolono mi stać. (Gdy chciałem się ruszyć na jeden lub dwa łokcie bliżej, pojawiał się ból nie do opisania.)

Cała uwaga Daniela w tych dniach koncentrowała się na powrocie Izraela do ojczyzny. Przez szereg miesięcy zagłębiał się w proroctwo Jeremiasza, w którym znajduje się obietnica, że Izrael zostanie wypuszczony wolno po siedemdziesięciu latach niewoli. Ten czas szybko się przybliżył i gdziekolwiek nie spojrzeć, wszędzie widać znaki wskazujące na to, że Królestwo przygotowuje zdarzenia, które umożliwią im powrót. Świadczy o tym nawet zmiana imperium, w którym na tronie znajduje się bardzo przyjazny król. A przecież, co dziwne, Hebrajczycy niewiele są zainteresowani wyjściem. To tak, jakby spodziewali się, że w Babilonie pozostaną już na wieki!

Częściowo dzieje się to według naszego planu. Powoli uczymy się trudnej lekcji, że często lepiej jest zaprzyjaźnić się z ludzkimi sprzymierzeńcami

Wszecmogącego, niż ich atakować. Gdy ich ranimy, tracą swoją dumę i zaczynają polegać tylko na Królestwie; ale gdy dajemy im powodzenie, zazwyczaj zapominają o Królestwie bardzo szybko, niewiele troszcząc się o Starodawnego, np. gdy tylko stoją dobrze finansowo. Tak więc tu, w Babilonie, zdecydowaliśmy się, by pozwolić im żyć w pokoju i dobrobycie. Wielu z nich wzbogaciło się, stając się pierwszymi wśród kupców Babilonu i Persji. Są całkiem zadowoleni, tarzając się w luksusie swoich domów nad rzeką Eufrat. Wielu więc z nich wcale nie myśli o powrocie do Jerozolimy. Tym sposobem proroctwo Jeremiasza może pozostać niezauważone!

I to właśnie martwi Daniela. Ten patriarcha Izraela jest już bardzo stary, a ostatnio jego myśli koncentrują się coraz bardziej na Jerozolimie, położonej jakieś 200 mil na zachód, która pozostawała ciągle pusta i zniszczona. O niczym innym nie mówi i często poświęca całe godziny na modlitwę, prosząc Królestwo o interwencję, aby Izrael mógł udać się z powrotem do domu.

Faktycznie, to samo robi i dzisiaj. Zdjął z siebie haftowaną złotem szatę z angory, którą zazwyczaj ma na sobie jako premier, a założył prostą, workową szatę tego typu, jaką zakładają ludzie, gdy przechodzą okres żałoby. Minęła już większość dnia, a on niczego nie je i nie pije, oprócz wody. Przez otwarte okno widać (Daniel wybrał sobie mieszkanie z oknami na zachód, w kierunku Jerozolimy) jego schyloną w modlitwie postać, która drżącym, starczym głosem kieruje do Boga jeden z najgorliwszych apeli, jakie kiedykolwiek słyszałem, by człowiek zanosił przed tron wszechświata. *błaga o przebaczenie dla całego narodu Izraelskiego!*

I nagle, jak tylko kończy swoją modlitwę, pokój wypełnia się oślepiającym światłem. Cofam się, mrużąc oczy z powodu tego piekielnego blasku, a gdy moje oczy oswajają się z tym, zauważam, że jest tu obecny gość – nie kto inny, a sam Gabriel, najwyższy rangą anioł w niebie, który właśnie przybył od tronu.

– Danielu – mówi – jesteś bardzo mile widziany w oczach Królestwa. Gdy tylko zacząłeś się modlić, Starodawny polecił mi, abym do ciebie przybył; pędziłem więc tutaj z wielką prędkością. Przynoszę szczególny dar: wyjaśnię ci tajemnicę, która niepokoi cię już tak długo, czyli niewyjaśnioną część snu.

I teraz Gabriel dostarcza brakującej informacji, na którą wszyscy czekaliśmy: *określa wydarzenie, które naznaczy początek okresu 2300 lat proroczych!*

Już od lat miałem nadzieję, że pewnego dnia Królestwo uzupełni brakującą część snu Daniela, zawiera ona bowiem tajemnicę, jak długo jeszcze trwać będzie ta wojna. To jest informacja, której muszę wysłuchać. Warta jest nawet przebicia się przez pole mocy ustawione przez Strażników Królestwa. Wychoďte więc poza moją strefę bezpieczeństwa i czolgam się w strefę kręgu energii, jaka otacza Daniela. Ból jest nie do opisania, ale posuwam się dalej, nawet w kierunku agonii. Znajduję się jedynie na pięć kroków od Hebrajskiego proroka, gdy Gabriel rozpoczyna wyjaśnienie. Proroctwo rozpoczyna się, jak mówi, wraz

z dekretem królewskim wydanym przez Persów. Wkrótce pozwolą Hebrajczykom na odbudowanie Jerozolimy i zorganizowanie tam własnych rządów, a gdy król Persji wyda rozkaz, okres 2300 lat rozpocznie się.

Jakie to sprytne! Nie ma na ziemi niczego, co byłoby tak dobrze udokumentowane, jak dekret królewski. Wszechmogący zdecydował, aby czas tego proctwa rozpoczął się wydarzeniem tak bardzo publicznym, że nie da się tego pomylić. Dzięki temu będzie nam łatwo to zidentyfikować. Widzę jednak w tym także i podstęp: jeśli będziemy mogli sami to zidentyfikować, oznacza to, że ludzie, którzy będą studiowali pisma Daniela, uczynią to także, a jeśli kiedyś zrozumieją, że to prorocstwo wyznacza rozpoczęcie się sądu, wtedy może pojawić się takie ożywienie religijne, które zakończy wojnę!

Staram się przyswoić te informacje, gdy nagle zdaje sobie sprawę, że Gabriel jeszcze nie skończył. Faktycznie to, co mówi teraz, jest tak zaskakujące, że aż trudno mi uwierzyć, że to słyszę. Prorocstwo o 2300 latach, jak wyjaśnia, składa się z szeregu segmentów, a każdy z nich przepowiada pewne wydarzenie o niezwykłej ważności. *I tak, pierwszy segment przepowiada rok, kiedy Narodzony rozpocznie swoje dzieło na ziemi jako Mesjasz!*

Lekceważąc oszołamiające skutki pola energetycznego Strażników, posuwam się jeszcze bliżej Daniela i jego kosmicznego gościa. Przyjście Mesjasza? Czy to także zostanie objawione? Przez całe tysiąclecia poszukiwaliśmy takiej informacji, przetrząsnęliśmy każde wydarzenie w poszukiwaniu jakiegoś znaku, a teraz mam dowiedzieć się odpowiedzi?

Ignoruję przeszywający ból w mojej głowie, stały, nieodwracalny paraliż nóg, jaki posuwa się coraz wyżej. Muszę to usłyszeć, nawet jeśli pozostanę już do końca kaleką. Zmagając się z falami energii, które pulsują w całym moim ciele, koncentruję się na słowach Gabriela, gdy rozpoczyna mówić: „Przeto wiedz i zrozum: Odkąd objawiło się słowo o ponownej odbudowie Jerozolimy, aż do Pomazańca-Księcia jest siedem tygodni i sześćdziesiąt dwa tygodnie”.

Mój mózg niemal uwiądnął z bólu, ale nie pozwolę sobie na odpoczynek, dopóki nie zinterpretuję poselstwa. *Pomyśl Lucyferze!* Zmusz swój umysł do skoncentrowania się na tym, co objawił Gabriel! Mamy razem sześćdziesiąt dziewięć tygodni. A to z kolei równa się 483 dniom. Pamiętaj jednak o tym, co powiedział Meldibon: każdy dzień w tej przepowiedni symbolizuje ludzki rok. *Tak więc Mesjasz rozpocznie swoje dzieło dokładnie w 483 lata po wydaniu dekretu przez Persów!*

Wycofuję się z bolesnego pola mocy i kuśtykając kieruję się do mojego centrum dowodzenia, na wpół kaleki, poważnie zastanawiając się, czy kiedykolwiek będę jeszcze chodził normalnie. Muszę przyznać, że moje rany sięgają bardzo głęboko. Stanowczo za długo byłem wystawiony na wpływ gwałtownej energii. Jednak informacja, jaką przywożę warta jest takiej ceny! Teraz tylko musimy śledzić wydanie dekretu, a będziemy wiedzieć, kiedy rozpocząć odliczanie czasu

do Jego pojawienia się. *Mesjasz* – straszliwe przyjście Boga w ludzkiej postaci. Zastanawialiśmy się nad tym wydarzeniem już od Edenu, a teraz możemy go oczekiwać i to co do roku!

Gdy ten czas się przybliży, uczynimy wszystko, co tyko w naszej mocy, aby do tego nie dopuścić. *Jestem ciekaw*: ten wielki, nienazwany naród, jaki pojawia się we śnie Daniela, państwo o żelaznych nogach i potężnych machinach wojennych, które atakuje „lud święty” i prowadzi wojnę z „Księciem książąt” – czy ten mój sprzymierzeniec będzie wtedy aktywny? Jeśli tak, to jeszcze nie wszystko stracone. Z takim partnerem po stronie ludzi mogę nadal mieć szansę na zwycięstwo!

Zwołuję Walne Zgromadzenie. Jest to jeden z kilku przypadków tu na ziemi, gdy wzywałem do siebie całą armię. Czas na to, by im powiedzieć o tym, co wiem. Muszę nawet objawić im to, czego dowiedziałem się o sądzie, bo jeśli tego nie uczynię, ktoś może dowiedzieć się o śnie Daniela, a wtedy wieści rozejdą się jak sensacje. Nie, zdecydowanie lepiej będzie, jeśli ja kontrolować będę przekazanie tej wstrząsającej informacji.

– Wojownicy – rozpoczynam – mam zamiar powiedzieć wam o przyszłości naszej sprawy. To, co chcę wam objawić, może określić ostateczny wynik tej wojny. Słuchajcie z uwagą, bowiem chodzi tu o wasze życie...

Gwiazda nad Izraelem

Rok: 3996

Na ziemi perskiej właśnie zapada zmrok. Na szczycie wzgórza stoi grupka astronomów wpatrzonych w zachodnie niebo. Ostatnia poświata kobaltowego błękitu niknie w otchłani czarnego niczym węgiel, poprzekłuwanego gdzieniegdzie szpileczkami światła, nieba. Mężczyźni żywo dyskutują, prześcigając się w cytowaniu nazw, jakie przypisali poszczególnym kropkom rozświetlającym sklepienie. Słucham tego, ale ze znużeniem. Dla mnie te jaśniejące punkciki, to coś więcej niż tylko nazwy i towarzyszące im teorie naukowe. Są to całe systemy galaktyczne, niektóre z nich oddalone od siebie o miliony lat świetlnych i był taki czas, gdy podróżowałem wśród nich. Tęsknię za kosmosem, pragnąc zobaczyć choć jeszcze jeden raz kamienie, którymi wybrukowano miejsce zgromadzeń w Królestwie, płonące światłem wychodzącym od tronu. Zamiast tam, jestem na tej paskudnej, wymiecionej wiatrem pustyni, a to dlatego, że dziś rano przybył do mnie posłaniec z ciekawym sprawozdaniem.

– Mistrzu, sądzę, że powinieneś się udać do Persji. Jest tam grupa astronomów, którzy odnaleźli pisma Daniela. Przeczytali to proroctwo o 2300 latach i są przekonani, że już czas na przyjście Boga-dziecka. Oprócz tego jest jeszcze coś. Ostatniej nocy znaleźli punkt, który ich zdaniem jest nową gwiazdą na zachodnim niebie. Są tym wszyscy bardzo pochłonięci. Uważają, że może ona zwiastować Jego narodzenie. Naprawdę, sądzę, że powinieneś się tam udać.

To, co powiedział mi Melthizor, nie było dla mnie wielką niespodzianką. Wydarzenie, na które czekaliśmy – dekret perski, który wyznaczył początek proroctwu Daniela – miało miejsce w roku 3544. Według Gabriela, Mesjasz ma rozpocząć swoją służbę 483 lata później, co oznaczało, że moglibyśmy się Go spodziewać w roku 4027. Skoro jednak nie mogliśmy rozpocząć swego dzieła aż do wieku dojrzałości, rok Jego narodzin prawdopodobnie mogliśmy przypadać na 25 lub 30 lat wcześniej, gdzieś blisko rozpoczęcia czterdziestego pierwszego wieku. Na pięć lat przed tą datą postawiłem moje siły do pełnej gotowości działania.

Tak więc zgromadzeni astronomowie na owym wietrznym perskim wzgórzu mogą mieć rację. Nadejście Boga-dziecka może być bardzo bliskie i nic się nie stanie, jeśli posłucham, co mają do powiedzenia.

Jeden z nich, wysoki, z srebrzystym zarostem na swojej twarzy, właśnie mówi.

– Mardanie, przeliczałem wielokrotnie czas i nigdy wynik się nie różnił. Musimy być bliscy czasu Jego pojawienia się.

– Zgadzam się, Thorbanie. Porównajmy tylko teraz prorocstwo Daniela z tym, co widzimy na niebie; to na pewno jest nowa gwiazda. Żaden z obserwatorów, nawet tych starożytnych, nigdy nie wspominał o tym punkcie świetlnym. I zwróć uwagę, że punkt ten nie wędruje po niebie, tak, jak inne gwiazdy, a pozostaje na tym samym miejscu, jak stałe światło na zachodzie.

Trzecia osoba w tej grupie odzywa się także.

– Wiecie, wszystko to przypomina mi jeszcze inne starożytne pismo. Tuż po Exodusie był wróżbiarz, nazywał się Bileam, i powiedział coś na temat gwiazdy.

– Tak, masz rację! – odpowiada Thorban. – Nawet przypominam sobie słowa: „Wезде gwiazda z Jakuba, powstanie berło z Izraela”. Jest to przepowiednia wielkiego Króla Izraela!

– Wyciągnijmy więc jakieś wnioski. Nowa gwiazda, prorocstwo Daniela, a nawet słowa wróżbity Bileama. To wszystko pasuje do siebie. Nowy król ma się urodzić.

– Zgadzam się. I za nic w świecie, nie chcę przegapić tego wydarzenia. Powędrujmy na zachód, aby zobaczyć nowego Monarchę i zanieśmy mu dary ze wschodu. Nie jesteśmy Hebrajczykami, ale być może będzie on królem dla nas wszystkich.

Tak więc perscy astronomowie wyruszyli w kierunku Jerozolimy, a ja ich wyprzedziłem, pędząc na zachód, z powrotem do mojego centrum dowodzenia.

W drodze

Wracam właśnie do Jerozolimy, gdy w oddali, na zachodzie, widzę pięć mknących na wschód smug światła. Wszystkie lecą po równoległych torach oddalone od siebie o około pięćdziesiąt mil. Poruszają się z tak zawrotną prędkością, że wyglądają niczym błyskawice pędzące ku ziemi. Po wzorze światła poznaję, że jest to garstka moich żołnierzy, podróżujących w szyku zwiadowczym. Jeden z nich dostrzega mnie i cała piątka w mgnieniu oka skupia się w jednym miejscu, by w ciągu następnych paru sekund przybyć wspólnie na moją pozycję. Rozpoznaję lidera grupy zwiadowczej – jest nim wojownik, który ze względu na pielęgnowanie dosyć szczególnych nawyków podczas mówienia, nazywany jest „zgadnij, kto to”.

– Mistrzu, musisz natychmiast się tam udać. Posłał nas Marconides, abyśmy cię szukali. Dziecko się urodziło.

– Bóg-dziecko?

– Tak, i to w bardzo szczególnych okolicznościach. Korzystając z przepowiedni proroka Micheasza zawęziliśmy teren naszych poszukiwań do rejonu Betlejem. Ale znaleźliśmy Go, i nigdy nie odgadniesz gdzie. Mistrzu, On urodził się w stajence!

– W istocie – wtrącił inny – to nawet nie była stajenka, a bardziej jaskinia, gdzie mieszkańcy trzymają swoje owce i kozły.

– Litości, jakież to dziwactwo – mruknąłem niedowierzając.

– Jeszcze inne dziwne rzeczy miały miejsce – kontynuował dowódca grupy. – Poprzedniej nocy w kosmosie nastąpiło niezwykle wyładowanie energii. Wdzieliśmy, jak nadchodziło to aż z Oriona. Wkrótce całe niebo wypełniło się aniołami, jak jedna gigantyczna płonąca masa, co spowodowało, że poczułem się tak, jakbym był znowu przy Kamieniach Ognistych w Królestwie. Wydawało się, jakby całe Królestwo pojawiło się tutaj i nigdy nie odgadniesz, co stało się później: rzeczywiście przeszli barierę, wszyscy, Mistrzu. Całkowicie widoczni dla ludzi! Całe miejsce zajaśniało jak powierzchnia słońca. No, oczywiście nie muszę tego mówić, że ludzie oniemieli ze strachu. Ta ogromna chmura aniołów zatrzymała się tak ponad wzgórzami Betlejem i zgadnij, co robili? Śpiewali hymn. *Mistrzu, śpiewali hymn!* Nie słyszałem tego od czasu – no...

– Co zrobili ludzie? – zapytałem, niezręcznie próbując zmienić temat.

– A co myślisz? Próbowali uciekać, ale byli tak wystraszeni, że nogi odmówiły im posłuszeństwa. Powinieneś to zobaczyć: całe zbocze wzgórza wypełnione pasterzami, którzy beznadziejnie wpadają jeden na drugiego. Ale potem sam Gabriel przybył, aby ich uspokoić i nigdy nie zapomnę jego słów: „Przybyliśmy z pokojem, w misji wielkiej radości. Narodził się Mesjasz, nadzieja Izraela i całego świata. Proszę, idźcie i zobaczcie Go. Jest w pobliskiej stajence”. Poszli więc pasterze, cudownie poruszeni i drżący z ciekawości i podziwu, my zaś podążaliśmy za nimi. I rzeczywiście, było tam Niemowlę, które urodziło się Hebrajskiej pannie o imieniu Maria.

– Ale skąd wiecie – odpowiedziałem, poszukując słów – skąd możecie mieć pewność, że jest to prawda...

– Ponieważ – dowódca grupy wszedł mi w słowo – jaskinia była strzeżona przez najpotężniejszych Strażników, jakich kiedykolwiek widziałeś i tylko chęć przybliżenia się na tyle, by zobaczyć dziecko, kosztowało dwóch z naszych wojowników utratę nóg. Podeszli zbyt blisko i teraz są tak sparaliżowani jak Zed – no, Mistrzu, nie potrafią chodzić.

– Dobrze już – kiwnąłem w zakłopotaniu. – Dobrze. Zakładamy więc, że to dziecko, jest tym właściwym. Teraz musimy zaatakować. Musimy spróbować Go zabić. Tych kilka pierwszych dni życia będzie dla Niego najbardziej niebezpiecznym okresem, musimy więc szybko uderzyć.

– *Zabić Go?* – wykrztusił jeden z nich. – Proszę, Mistrzu, nie zrozum, że nie mam do ciebie szacunku, ale lepiej udaj się tam i zobacz, jakie pole mocy Strażnicy rozwinęły wokół dziecka. Ma ono większą energię niż wiele małych słońc. Sam prawdopodobnie nie podejdziesz wystarczająco blisko do...

– Rozumiem to – przerywam. – Ale pomyślcie o czymś innym. Możemy nie mieć możliwości podejścia do Niego blisko, ale ludzie na pewno mogą, bo po-

wiedzieliście, że odwiedzili Go goście. Może się okazać, że Królestwo chce, aby ludzie mogli być blisko Niego. Dlatego Strażnicy nie rozszerzają pola mocy poza barierę czasoprzestrzeni. Tak więc, koledzy, to pozostawia nam otwartą drogę, poprzez którą będziemy działać. Jeśli nie możemy przybliżyć się na tyle, by Go zabić, mogą to zrobić ludzie; już mam na myśli człowieka do tego zadania: króla Heroda.

Herod to człowiek bestia, występny i żądny krwi, który wstąpił na tron poprzez przygotowaną intrygę i który już ma szereg morderstw na swoim koncie – jest to taki człowiek, jakiego nam teraz potrzeba. Ale jak mogę go zaangażować? Zastanawiam się nad tym od wielu dni (już prawie trzy tygodnie), a przede mną nie otwarła się żadna droga. Aż pewnego dnia odpowiedź na moje problemy przyturkotała do Jerozolimy w formie karawany wielbłądów. Przybyli astronomowie z Persji!

Są to bystrzy mężczyźni, ale tutaj, w Jerozolimie, są oni naiwni jak dzieci. Wjechali do miasta spodziewając się, że zastaną miasto wspaniale przystrojone dla uczczenia narodzin nowego Króla i popełnili błąd, udając się do pałacu Heroda, gdzie w efekcie poinformowali go, że narodził się następcą tronu.

Natychmiast myśli Heroda wypełniły się burzą zazdrosnych podejrzeń. Jeśli cokolwiek może doprowadzić go do szaleństwa, to perspektywa spotkania swego rywala. Zabił przecież nawet własną żonę i synów, aby utrzymać koronę i teraz, gdy ci elegancko ubrani obcokrajowcy mówią mu, że urodził się król, od razu się czerwieni. Już widzę nadejście nieszczęścia: gotów jest zareagować niewłaściwie nawet przed nimi, tym sposobem niszcząc wszystko, mam bowiem zamiar wykorzystać tych naiwnych gości, aby zaprowadzili go do dziecka, a jeśli straci panowanie nad sobą, niczego się nie dowie. Pędzę więc do tronu i przejmuję osobiście kierownictwo nad tą sytuacją. Na szczęście jego umysł jest dla mnie tak otwarty jak sito, mogę więc mówić do niego wprost.

– Uspokój się, Herodzie! Nie daj im poznać po sobie, że jesteś niezadowolony. Oni są twoimi przewodnikami do dziecka! Potraktuj ich właściwie, a ci szczerzy głupcy mogą poprowadzić cię prosto do twojego rywala. A wtedy, dla własnej przyjemności, będziesz mógł Go zabić.

Człowiek uspokaja się od razu, jego łokcie bieleją od nacisku na ramiona tronu, ale głos staje się delikatny i słodki.

– Szacowni goście, proszę, szukajcie Go, a gdy znajdziecie to błogosławione Dziecię, dajcie mi, proszę, znać, gdzie Ono jest. Ja także pragnę zanieść Mu dary.

Z tyłu mogłem usłyszeć, jak Barshok wybuchł ochryplym śmiechem. Wydaje się, że goście dali wiarę temu pobożnemu kłamstwu i odeszli, obiecując przysłać wiadomość, jak tylko znajdą dziecko. Tak więc pułapka została przygotowana!

Kilka dni później

Jest cichy poranek. Jestem zajęty sprawami rutynowymi w mojej kwaterze, gdzie mogę trochę odpocząć po stresie ostatnich kilku tygodni, gdy nagle wpada posłaniec.

– Mistrzu! – krzyczy. Oni bezpiecznie uciekli! Udało im się uciec! Próbowaliśmy ich zatrzymać, ale nie dało się niczego zrobić. Strażnicy Królestwa byli...

Ta chaotyczna informacja irytuje mnie bardzo, odkrzykuję więc do niego:

– Mów sensownie, gdy się do mnie odzywasz, posłańcu! Wyjdź stąd, policz do dziesięciu i nie wracaj tak długo, aż twoja wypowiedź nabierze sensu!

– Nie mam czasu, by liczyć do dziesięciu – odpowiada. – Posłuchaj mnie, Mistrzu: dziecko, Bóg-dziecko, uciekło! Herodowi nie uda się Go tknąć!

Teraz przyszła mąja kolej na zająknięcie się.

– Kto? Mówisz, że Bóg-dziecko?

– Tak! To właśnie próbuję ci powiedzieć! Bóg-dziecko uciekło i to tuż przed zastępami Heroda. Mędracy dowiedzieli się o tym, że Herod nie jest dobrym człowiekiem, nie powiadomili go więc wcale o tym, że znaleźli dziecko. Król więc stał się podejrzliwy, domyślił się, że coś się nie powiodło i zdecydował sam rozwiązać problem, zabijając każdego maleńkiego chłopca w Betlejem w wieku poniżej dwóch lat. Jego żołnierze już pracują, a Betlejem stało się miejscem krwawym. Jednak wczesnym rankiem anioł z Królestwa przybył i ostrzegł Józefa, męża Marii. Otoczyliśmy to miejsce trzema liniami wojowników piechoty tak blisko, jak tylko pozwolili nam na to Strażnicy Królestwa i staraliśmy się utrzymać naszą pozycję, ale ten jeden anioł rozpędził nas wszystkich jak liście na jesiennym wietrze.

– To musiał być Ramitan – odpowiadam. – Pamiętam go. Jest niesamowicie silny. A co stało się potem?

– Józef zebrał rodzinę, osiodłał osiołka i wyruszyli, na długo przed świtem, w kierunku Egiptu. Od wielu godzin znajdują się już w drodze. Dawno już odjechali.

– Nie do wiary! – powiedziałem. – Przygotowaliśmy doskonałą pułapkę, a teraz coś takiego. Dobrze, zwołamy dziś rano spotkanie dowództwa i zastanowimy się, co robić dalej.

Późnym porankiem

Przygotowując się na spotkanie, chciałem uporządkować swoje myśli, starając się dostrzec, gdzie są nasze atuty, a gdzie słabości. Jest jasne, że moje siły nie będą mogły nawet tknąć Dziecka, bowiem jesteśmy trzymanym z dala przez Straże, ale jest też rzeczą jasną, że Królestwo nie może wytworzyć bariery, która będzie trzymała ludzi z dala od Niego, bowiem celem tej wizyty jest to, by się

z nimi przemieszał i zdobył ich przyjaźń. Musi żyć wśród nich, a to sprawia, że jest podatny na ich działania. Może nie udało nam się tym razem, ale będzie jeszcze wiele możliwości, podczas których ja będę miał wielką korzyść: mam potężnego ludzkiego sprzymierzeńca, poprzez którego mogę działać!

Wtedy, za dni snu Daniela, zastanawiałem się nad tym, jakie będzie to czwarte królestwo – imperium żelaznych nóg i wielkiej waleczności militarnej, owa ludzka moc, która zaatakuje Księcia książąt. Teraz ona już jest. Nazywa się Rzym.

Jest to potężne imperium o wielkim bogactwie, z drogami, które tworzą jakby siatkę na terenie planety. Rzym ma wiele osiągnięć, a jego legiony mogą stawić czoła każdej armii na tej ziemi. Jednak pod powierzchnią tego ogromnego państwa ukrywa się straszliwe okrucieństwo, czego najlepszym przykładem jest to, w jaki sposób cesarstwo karze swoich więźniów. Ofiara zostaje przybita przy pomocy ręcznie ukutych gwoździ, które przebijają jej ręce i stopy, do rusztowania o kształcie krzyża i tak jest pozostawiona, w oczekiwaniu śmierci, co trwać może nawet wiele dni. Wkrótce zaczyna walczyć o powietrze, ponieważ jej rozciągnięte ramiona powodują powiększenie się klatki piersiowej, nie dając możliwości wypuszczenia z płuc powietrza. Wydech powoduje zatem straszliwe tortury, ponieważ ofiara musi podciągnąć się na przebitych gwoździami rękach. Śmierć więc najczęściej następuje w wyniku uduszenia się cuchnącym powietrzem, którego ofiara nie jest w stanie wyksztusić z siebie. Zanim jednak to nastąpi, ofiara przechodzi potworne męczarnie. Padlinożerne ptaki nauczyły się już tego, że ukrzyżowani ludzie są bezradni, nie jest więc rzeczą niezwykłą, że widzimy je siadające na krzyżu i wydziobujące oczy ofierze. Ból wówczas jest nie do opisania, więc krzyk osób ukrzyżowanych często można słyszeć już na pół mili dalej. Ta śmierć jest tak straszna, a ludzkość jeszcze nie widziała czegoś podobnego.

Ależ tak! Rzymianie są bardzo szybcy w wykonywaniu egzekucji na tych, których obawiają się, jako politycznych wrogów. Co by było, jeśli mógłbym ich przekonać, że Mesjasz ma aspiracje, by zostać królem, że ma skłonności do walki z imperium? To niemal pewne, że zostanie ukrzyżowany! Jeśli uda Mu się przeżyć dzieciństwo, muszę pamiętać o tej taktyce.

Południe

Rada zebrała się, rozpoczynam więc spotkanie.

– Wojownicy, wiele mamy do przedyskutowania tego poranku, więc rozluźnijcie się. Zapewne już słyszeliście, że Dziecko uciekło. Chcę, abyście wiedzieli, że nikogo o to nie oskarżam. Zrobiliście to, co najlepsze. Jest już oczywiste, że tutaj, po naszej stronie bariery czasoprzestrzeni, Królestwo będzie używało mocy, aby Go uchronić. Nie będziemy w stanie zaatakować Go wprost. Jednak

nadal mamy wyśmienitą szansę zniszczenia Go, bowiem Królestwo pozwala ludziom na kontakt z Nim i poprzez ten kanał powinniśmy działać. Tym razem nam się nie udało, ale będziemy mieli jeszcze wiele innych szans. Jedna z nich zakończy się sukcesem.

Popatrzmy teraz na dzień dzisiejszy. Zedronn, potrzebuję ciebie, Barshoka i Andrade, abyście udali się do Egiptu. Wygląda na to, że tam właśnie ucieka Narodzony i Jego rodzina, postarajcie się więc być tam pierwsi. Zabierzcie z sobą tyle oddziałów, ile według was będzie potrzebnych. Nigdy nie zapomnijcie, że Egipt był kiedyś wiernym nam sprzymierzeńcem. Niemal udało nam się zwieść tam Abrahama. Trzymaliśmy tam Hebrajczyków przez cztery wieki. Udajcie się więc tam i nie szcędźcie żadnego wysiłku. Jeśli można, spróbujcie przyłapać tam Dziecko. Jeżeli się wam uda, zabijcie Je.

Marcolith i Marconides, chcę abyście udali się do Rzymu. Dowiedzcie się wszystkiego na temat obecnej sytuacji politycznej. Zabierzcie z sobą najlepszych badaczy. Muszę wiedzieć o każdym szczególe z dworu w Rzymie, to, co lubi cesarz, czego się obawia i jak myśli. Wejdźcie więc w jego myśli, a jestem pewien, że uda wam się znaleźć wiele otwartych kanałów. Wasza praca jest ważna, bowiem jeśli nie uda nam się w Egipcie, wtedy naszą najlepszą szansą jest przekonanie Rzymian o tym, że ten żydowski Mesjasz jest dla nich politycznym zagrożeniem.

Meldibonie, jesteś moim najlepszym teoretykiem, mam więc dla ciebie bardzo szczególne zadanie. Chcę zaatakować kierownictwo Hebrajczyków. Ono także jest świadome wielu obietnic o Mesjaszu. Są oni wprawnymi badaczami Pism i muszą sobie zdawać sprawę, że czas Jego przyjścia się przybliżył. Ważne jest to, abyś przygotował jakiś plan, który spowoduje, że Go odrzucą. Twoje zadanie będzie niezwykle trudne. Są to wyśmienici uczeni. Sam nawet nie wiem, co ci doradzić, gdzie powinieneś rozpocząć, ale wiem, że na pewno coś znajdziesz.

A teraz, czy wszyscy rozumieją swoje zadania? Muszę wam jasno powiedzieć, że to jest bardzo ważne. Prawdopodobnie kolejnych pięć lat określi to, jaki będzie koniec tej wojny. Idźcie zatem, koledzy. Życzę wam sukcesu i pamiętajcie, że myśli Lucyfera będą z wami wszystkimi wszędzie.

8 lat później

Minęło szereg lat i moje plany wojenne stają się coraz bardziej jasne. Józef, wraz z rodziną, powrócił z Egiptu i obecnie mieszka na północy, w mieście galilejskim – Nazaret. Trudno, aby rzeczy układały się lepiej, bowiem Nazaret jest niemal legendarnym miastem przestępców.

Mieliśmy nadzieję, że uda nam się wpuścić ich w zasadzkę w Egipcie, ale nic z tego nie wyszło. Zedronn i Barhok zrobili to, co było w ich mocy. Nie ma

nikogo lepszego, gdy idzie o zastosowanie jakichś gwałtownych planów, jednak społeczeństwo Egiptu jest zbyt słabe, aby było użyteczne. Mijały dni, a my po prostu nie mogliśmy znaleźć tam ludzi, którzy byliby odpowiedni do tego, by stawić czoła komuś z Królestwa. Tak więc rodzina przetrwała, żyjąc z tego, co uzyskali poprzez sprzedaż darów otrzymanych od Persów. (Tak, wydaje się, że Królestwo przewidziało nawet tę potrzebę, wpływając na odwiedzających ich astronomów, aby pozostawili im wystarczająco wiele darów, by dostarczyły im potrzebnych dochodów na czas ich wygnania!)

Gdy nadeszło słowo o śmierci Heroda Wielkiego, powrócili do Izraela. W tym czasie tron znajdował się w rękach jednego z jego synów, człowieka, który zdaje się odziedziczył po ojcu wszystkie wady, ale niewiele z jego zdolności. Józef obawiał się go bardzo, udał się więc daleko na północ i osiedlił w Nazarecie.

To zadowala mnie bardzo, bowiem tutaj, w tym środowisku, które kieruje się tylko przestępczością, młody Człowiek (który nosi imię Jezus) stanie się przedmiotem niezwykłych pokus. Jest to możliwość, której nie zamierzam przegapić. Nie potrafię myśleć o niczym, co podobałoby mi się bardziej, jak to, by sprowadzić go do grzechu. Wystarczy tylko jeden. Jak mistrzowski byłby to sukces! Narodzony przychodzi tu, aby uratować ludzi, a Lucyfer zmienia go w buntownika!

Już nad tym pracuję i trzymam go w ciągłej presji, z nadzieją, że minie Mu ta wytrwałość. Okoliczności jego narodzin nie są tajemnicą; każdy słyszał o podniecających plotkach, że Józef nie był Jego prawdziwym ojcem. Gdy więc spaceruje po Nazarecie, załatwiając polecenia Józefa i przynosząc towar do warsztatu ciesielskiego, widzi uśmiechy i słyszy od czasu do czasu szemrane uwagi na temat swego pochodzenia. Wtedy rumienią Mu się policzki; jest bowiem wrażliwym młodzieńcem, odczuwającym ból okrucieństwa, jednak nikt nigdy nie usłyszał Go, by odpowiedział ostro. Rzeczywiście, robi wrażenie, jakby realizował swoje powołanie, przyjaźniąc się z tymi, którzy Go zranili.

Na przykład dwa tygodnie temu Marthus obserwował, gdy jeden z lokalnych chłopców – syn rybaka, lubiący znęcać się nad słabszymi – otwarcie szydził z Jego pochodzenia, a potem brutalnie popchnął go na ziemię. Jezus, gdy upadł, zauważył, że sandały brutalna były stare, bardzo marne i za małe, bo chłopiec po prostu z nich wyrósł. Zdarzyło się, że po wielu dodatkowych godzinach pracy w warsztacie, Józef zaoszczędził trochę pieniędzy i kupił Jezusowi nowe sandały na urodziny; sandały były jednak wciąż za duże na Jezusa. Józef wyjaśnił, że było to wszystko, na co mógł sobie pozwolić, więc gdy dawał je chłopcu, zaznaczył z pewnym zakłopotaniem: „Wybacz mi, synu, ale będziesz musiał poczekać kilka miesięcy, aż twój prezent urodzinowy będzie dobry do korzystania. Te sandały mieli w sprzedaży, a ja nie miałem wystarczającej ilości pieniędzy, aby kupić takie, które były w twoim rozmiarze”.

Tak więc, gdy tamten brutal popchnął Jezusa na ziemię, Jezus zauważył małą chatkę, w której mieszkał chłopiec i tego samego wieczoru powrócił tam i po-

zostawił swoje nowe sandały pod drzwiami. Brutalny chłopiec nigdy nie wiedział, skąd się one wzięły. Ale Jezus stale robi takie rzeczy i to powoduje, że wściekamy się bardzo. Im bardziej go prowokujemy do grzechu, tym bardziej odzwierciedla on atmosferę i zasady Królestwa.

Nasi najlepsi pomocnicy czasami są w Jego własnej rodzinie. Józef ma synów z pierwszego małżeństwa i niektórzy z nich obrażają Marię za to, że zajęła miejsce ich zmarłej matki. Są oni zadziorną grupą ludzi, którzy rozkoszują się młodzieńczymi awanturami. Pewnego razu, gdy najstarszy brat w szczególny sposób dokuczał jednemu z młodszych chłopców, Jezus nie mógł tego znieść.

– Przestań, proszę – powiedział. – Cze nie widzisz, że ranisz jego uczucia?

Jedyną odpowiedzią jaką otrzymał, było uderzenie w twarz mokrym ręcznikiem, a potem starszy chłopiec robił wrażenie szczególnie zadowolonego z tego, że mógł Mu podokuczać.

Gdy sytuacja staje się zbyt uciążliwa, Jezus zwykle wychodzi z małego domu, w którym mieszka Jego rodzina i udaje się na otaczające wzgórza. Często robi to bardzo wcześnie rano, zanim Józef zacznie oczekiwać Jego pomocy w warsztacie ciesielskim. Wygląda na to, że w przyrodzie znajduje swoje ukojenie i nawet zwierzęta zauważają Jego miłość do nich. Pewnego razu, podczas swej wędrówki znalazł małego osieroconego zajączka, którego matka wpadła w sidła myśliwego. Zamiast uciekać od Niego, małe stworzenie podeszło, pociągając swoją złamaną nóżką. Zabrał zwierzątko do domu, usztywnił jego nóżkę prętem i kawałkami materiału, jakie oderwał ze swojej szaty, i leczył je, aby doprowadzić do zdrowia. Jezus bardzo kochał to zwierzątko i często je odwiedzał podczas swoich przerw w pracy w warsztacie. Pewnego dnia Jego starszy brat, zły na coś, co powiedział, otworzył klatkę i wyrzucił małe stworzenie na sąsiednie podwórko, gdzie pies szybko z nim się rozprawił.

Po raz pierwszy Marthus ujrzał w Jego oczach ogień. To nie był wyraz wybuchu złości, jaki jest nam znany, ale dziwnego autorytetu, rzeczy nie do wyjaśnienia u kogoś tak młodego jak On.

– Zniszczyłeś, bracie, życie bez żadnego powodu, tylko dla zabawy – powiedział powoli, a Jego słowa niosły z sobą jakąś tajemniczą moc, która zmuszała do uwagi. – Co takiego jest w śmierci, że masz w niej przyjemność? Czy to nie śmierć zabrała ci twoją matkę? Opowiem ci więc historię o tym małym zajączku, któremu zabrałeś życie. Jego matka także zginęła. Zajączek był osierocony i kaleki, gdy podszedł do mnie, oczekując pomocy. Dałem mu kolejną szansę na życie, które ty zabrałeś. Mój bracie, jest w tym pewna przypowieść. TY jesteś takim małym zajączkiem. Także utraciłeś matkę i jesteś czymś okaleczony. W twoim sercu jest ból. I tak, jak w przypadku tego zwierzątka, które kochałem, tobie także życzę takiej drugiej szansy. Mam nadzieję, że ty nie zostaniesz jej pozbawiony jak ten zajączek.

Starszy brat usiadł na krześle. Jego ręce uniosły się nieco w bezradnym geście kogoś, kto nie potrafi przywrócić czegoś, co sam zaprzepaścił; jego usta próbowały sformułować słowa, których nigdy nie wypowiedział. Tego samego wieczoru wziął małego melona, którego schował sobie na kolację i wręczył go Jezusowi, który też był głodny. Warsztat ciesielski, bowiem, właśnie wtedy zmagął się z trudnościami finansowymi, brakowało więc nawet pieniędzy na jedzenie.

– Masz, Jezusie, chcę, abys to przyjął.

Z uśmiechem ulgi młody Jezus przekroił owoc na połowę i podzielił się tą – bardzo niewielką, jak na dwóch młodych mężczyzn, kolacją. Tamtego jednak wieczoru nie było niczego innego do jedzenia. Od tego czasu stali się bliskimi przyjaciółmi.

5 lat później

Próbujemy, ale jak dotąd nie udało nam się spowodować, by Jezus uczynił coś złego. Jak dotąd, w historii tego świata nie znany jest przypadek, aby człowiek doszedł tak daleko bez jakiegokolwiek cienia samolubstwa i brzydkich utarczek, jednak On wydaje się być głuchy na nasze pokusy. Nie rozumiem tego. Jaką tajemnicę ma w sobie ten młody Jezus?

Dwa dni temu Arikon, starszy teoretyk w grupie współpracowników Meldibona, pojawił się ze swoim rutynowym raportem. Zapytałem go więc przy tej okazji, co o tym wszystkim myśli. Było to pytanie, którego postawienia wkrótce żałowałem.

– Arikonie, nie potrafię zrozumieć tej Jego absolutnej pogody ducha, nawet wtedy, gdy nekamy go pokusami, jakie nigdy wcześniej nie zawiodły. Co z tego rozumiesz?

– Zabawne, że o to pytasz, Mistrzu, bowiem i ja jestem tym zdumiony. Postanowiłem więc trochę to zbadać i, jak sądzę, mam odpowiedź. Znalazłem to w pismach Dawida. W jednym z Psalmów używa on języka, który sugeruje, że pozwolono mu wcześniej usłyszeć to, co Narodzony powie, jako ostatnią rzecz do Starodawnego, tuż przed pozostawieniem tronu i przyjściem tutaj, aby narodzić się jako człowiek.

– Jeśli sobie dobrze przypominam, – kontynuuje Arikon – jest tam napisane coś takiego: „Czas na mnie, abym poszedł. Proroctwa przepowiedziały tę chwilę. Idę, aby pełnić wolę twoją”. Pomyśl proszę nad tym językiem: „Czas na mnie, abym poszedł”. Dokąd poszedł? Na ziemię! A czy zauważyłeś odnośnik do czasu? *Jakiego* czasu? To oczywiście, czasu, kiedy ma nadejść Mesjasz, czasu, jaki przepowiedziany został w proroctwie Daniela! I zwróć uwagę, jak się to kończy: „Idę, aby pełnić wolę twoją”. Pomyśl nad tym, Mistrzu. Ktokolwiek to mówi, poddaje swoją wolę komuś innemu.

A teraz połącz to wszystko razem, a sądzę, że otrzymasz odkrycie tajemnicy Jego sukcesu nad nami. Tuż przed swoim przyjściem tutaj, Narodzony poddał swoją wolę Starodawnemu. Tak więc teraz, gdy żyje tutaj jako człowiek, wypełnia tylko wolę Wszzechmogącego. I oto dlatego On nie grzeszy. Gdy Go prowokujemy i kusimy, nie tylko nie mamy dostępu do Niego, w istocie walczymy z samym Królestwem!

Powoli zacząłem pojmować wnioski jego analizy. Poddana wola. *Tak, Arikon miał rację!* Wcale nie walczę z młodym i szczupłym Galilejczykiem o dużych, ciemnych oczach i dalekim spojrzeniu, które często wydaje się poszukiwać nieskończoności. Gdy Go kuszę, faktycznie walczę z potężnym niebiesko-złotym tronem o niesamowitym blasku, z którego wypływa ognista rzeka! *Walczę z samym Starodawnym!*

Minęły długie minuty bez słowa. Zastanawiałem się nad analizą Arikona, a on usiadł w ciszy, najwidoczniej świadomy mojej potrzeby przemyślenia tego. *Gdy angażuję do walki tego młodego człowieka, równocześnie angażuję do niej tron wszechświata.* Takiej wojny nie potrafię wygrać. Próbowałem walczyć z tronem, gdy byłem jeszcze tam, w górze, i nic to nie dało. Przegrałem tamtą bitwę. I wygląda na to, że znowu ją przegram!

Jednak nagle znalazłem coś, co wydaje się stanowić jakąś możliwość, jakby dziurę w całym!

– Aha! – krzyknąłem, strasząc tym spokojnego Arikona, który w końcu uległ lekkiej drzemce, w oczekiwaniu na mnie. – Wydaje mi się, że znalazłem słaby punkt w twojej teorii, a ty powinienes się z tego cieszyć, przyjacielu, bo może to oznaczać dla nas obu przetrwanie. Mówisz, że On zwycięża, ponieważ poddał swoją wolę jeszcze tam, w Królestwie. Być może masz rację. Jednak nie ma to zastosowania do przeciętnego człowieka. Ci idioci nie mają szansy poddania swojej woli przed narodzeniem się. Po prostu rodzą się i bardzo szybko zaczynają grzeszyć! *On* może oprzeć się naszym pokusom, ale nikt z nich tego nie potrafi!

Arikon popatrzył na mnie spojrzeniem sowy, jakby zastanawiał się nad moimi zdolnościami umysłowymi.

– *Nikt* z nich, Mistrzu? Czy zapomniałeś o Enochu? Uciekł od naszego wpływu tak bardzo, że zabrano go do Królestwa. Podobnie też Eliasza. A co z innymi, co z naszymi walkami, które przegraliśmy u takich ludzi, jak Józef i Daniel, i Moshe, i Abraham? Mistrzu, każdy człowiek też to potrafi.

– Jak? – Jego odpowiedź zmroziła mnie strachem.

– Ponieważ, Mistrzu, Wszzechmogący chętnie przebacza im przeszłość. To czyni możliwym, aby wszystko zaczęli od nowa, jakby rozpoczynali życie po raz pierwszy! A gdy rozpoczynają znowu, mogą poddać swoją wolę tak, jak uczynił to Narodzony. Mistrzu, cała sprawa polega na tym, że są wtedy traktowani, jakby się na nowo narodzili!

Narodzili na nowo. W tych trzech straszliwych słowach Arikon wypowiedział strategię mojej porażki. Każdy może mnie pokonać, jeśli rozpocnie od nowa i podda swoją wolę Starodawnemu. Usiadłem bez słowa, a mój doradca dyskretnie wyszedł, kłaniając się z szacunkiem, na co odpowiedziałem skinieniem głowy. Teraz znałem już rozmiary mojego problemu: jeśli nie pokonam Mesjasza zanim będzie miał szansę przemawiania o tej informacji, jaką właśnie podał mi Arikon, wojna zostanie przegrana i stanę wobec ognia piekielnego.

Szybko wezwałem Marconidesa.

– Przekazuję ci kontrolę operacyjną nad całą armią – powiedziałem, ignorując całkowicie jego szeroko rozwarte oczy z ogromnego zdziwienia. – Będiesz dowodził. Podejmuj wszystkie decyzje taktyczne. Mam do ciebie zaufanie, masz więc pełny autorytet. Ja muszę poświęcić całą uwagę wojnie, jaką stoczę z Mesjaszem. Staniemy osobiście do walki, a będzie to walka toczona na poziomie naszych umysłów. Od jej wyniku zależy teraz wszystko i muszę rozpocząć do niej się przygotowywać. Potrzeba mi będzie wielu lat odosobnienia. Radź sobie ze wszystkim. Nie przeszkadzaj mi z żadnego powodu. Wezwij mnie tylko, gdy opuści On warsztat ciesielski i rozpocznie swoją służbę. Czy rozumiesz?

Pokiwał głową, milcząc, patrzył, jak odchodzę w kierunku surowej pustyni, na wschód od Doliny Jordanu, a następnie szybko przystąpił do działania.

– Marcolith! – usłyszałem go jeszcze. – Zwołaj ogólne zgromadzenie.

Rozdział 19

Gość z kosmosu

Rok: koniec 4027

Od szeregu lat przebywałem sam na pustyni, przygotowując się na to, aż będę musiał stawić Mu czoła w osobistej walce. Będzie to walka, w jakiej jeszcze nigdy nie uczestniczyłem, bitwa na myśli. Jeden na jednego. Zwycięzę lub przegram. Będę żył albo umrę.

Tylko Marconides wie o tym, gdzie jestem – środek ostrożności, który podjąłem, by uniknąć frywolnego przeszkadzania mi, gdy planuję największą bitwę mojego życia – aż pewnego dnia widzę go, jak zbliża się od zachodu. Jest sam.

– Mistrzu, stało się. Zaraz po ukończeniu swoich trzydziestych urodzin, Jezus pożegnał się z rodziną i opuścił Nazaret. Udał się nad dolinę Jordanu, gdzie pewien wędrowny nauczyciel o imieniu Jan Chrzciciel poruszał niemal wszystkich mówieniem o reformie. Wielkie tłumy przychodziły, aby go słuchać i jest oczywiste, że i oni wiedzą o prorocत्वie Daniela, bowiem nawet w powietrzu nad Izraelem odczuwa się jakieś oczekiwanie. Chodzi o Mesjasza i wydaje się, że każdy o tym wie.

W wyniku tego całe tysiące ludzi zeszło w dół, nad Jordan, aby słuchać Jana, który przemawia, i wielu z nich zostało ochrzczonych w rzece. To pewnego rodzaju ceremonia, coś, jakby pozostawienie za sobą przeszłości i rozpoczęcie nowej przyszłości.

Skrzywiłem się na ostatnie zdanie Marconidesa. *Nowa przyszłość*: jest to dokładnie to, przed czym ostrzegał mnie Arikon! A ceremonia, jaką wykorzystują, martwi mnie także. Zanurzani są w rzece, jakby wskazując na to, że ich wola zostaje poddana czemuś większemu. Zanurzając się pod wodę symbolizują swe poddanie – *poddanie swojej woli!*

Wybucham potokiem przekleństw, które odbijają się o ściany pustynnego wąwozu, a Marconides stoi w niezręcznej sytuacji, zakłopotany, widząc jak jego główny dowódca wyrzuca z siebie słowa w napadzie złości. W końcu uspokajam się.

– Możesz powiedzieć jedno – zaznaczam, próbując jakoś się pozbierać. – Królestwo nie traci ani chwili. Nawet zanim Mesjasz pojawi się na scenie, już pompują ludzi fantazją całkowitego odkupienia. Wystarczy, aby się pochorować.

– To prawda, Mistrzu, ale musisz wiedzieć, że Mesjasz *jest* już na scenie, i to w pełni. Właśnie dwa dni temu pojawił się nad rzeką i poprosił o ochrzzczenie go wraz z innymi. Jan był wstrząśnięty taką prośbą, ale On upierał się przy tym i obaj weszli do wody Jordanu. Dlaczego to uczynił, Mistrzu?

– Och, nie wiem – odpowiadam odczuwając wzbierającą się we mnie irytację. – Być może jest to taki sprytny chwyt, aby ludzie zaczęli myśleć, że jest jednym z nich.

– No, cokolwiek by to nie było, na pewno wywołało to reakcję Królestwa. Stałem tam, a gdy Narodzony wyszedł z wody, spoczął na Nim promień jasnej energii, a grzmiący głos odezwał się: „To jest Syn mój umiłowany”, a potem energia przekształciła się w widoczny kształt gołębia. Tłum był zdumiony, a wieści o tym zdarzeniu już dotarły do Jerozolimy. Wiele ludzi zaczyna spekulować, czy to aby nie przybył Mesjasz. Mistrzu, lepiej, abys był gotowy. Jak sądzę, wkrótce będziesz musiał z Nim walczyć.

– Bardzo dobrze, Marconidesie. Pozostanę tu jeszcze przez chwilę. Potrzeba mi każdej możliwej chwili, aby dokończyć moich przygotowań. Doradź mi, w którym momencie, twoim zdaniem, powinienem pójść.

– Nie sądzę, abys musiał iść – odpowiada. – Myślę, że to On idzie do ciebie. Ostatnio widziano Go, jak zmierzał w kierunku tej pustyni.

Marconides odchodzi. W pamięci staram się dodać lata. Dekret o odbudowie Jerozolimy został wydany w roku 3544. Gabriel przepowiedział, że Mesjasz rozpocznie swoje dzieło 483 lata później. Jest zatem dokładnie o czasie!

Cztery dni później

Najpierw widzę Go jako oddaloną postać, zmęczoną wędrownką i słabą, wdrapującą się na skały i wąwozy tej pustyni. Wygląda bardzo mały, jak na Stworzyciela, który potrafi powoływać do istnienia całe światy. Jest pod każdym względem zwykłym człowiekiem, dosyć wysokim, wyglądającym dość przyjemnie, ale na pewno kimś, kogo można by nazwać uderzająco przystojnym. Można by się z Nim minąć na ulicy i nigdy nie poświęcić Mu nawet sekundy. Ale z tego co słyszę, wielu ludzi jednak Go słucha.

Nie objawiam Mu się od razu. Zamiast tego decyduję się pozostać na moim miejscu, po drugiej stronie bariery czasoprzestrzeni, gdzie – jak mam nadzieję – w swojej ludzkiej postaci nie będzie mógł mnie zauważyć. Potrzeba mi czasu, aby Mu się przyjrzeć, aby ułożyć całą strategię, by odpowiadała Jego obecnym warunkom. Będzie to walka inna od wszystkich. Będę musiał zaatakować Jego umysł, a jestem boleśnie świadomy tego, że w poprzednim swym bycie On zaplanował wszystko: od złożoności ludzkiego ciała, do zbalansowanych równań orbit galaktycznych. Jak mogę mieć nadzieję na pokonanie takiego umysłu, nawet jeśli jest On teraz w postaci człowieka? *A przecież muszę!*

Gdy Go obserwuję, pojawia się nagły przyptyw światła i zauważam, że stoję na wprost potężnej postaci Ramitana.

– Szatanie – grzmi do mnie, używając paskudnego imienia, którego nienawidzę, imienia, jakim teraz zwraca się do mnie Królestwo. – Mamy polecenia, aby

się wycofać, by dać ci pełny dostęp do Narodzonego. Pozwalamy ci rozpocząć z Nim wojnę, ale jedynie na poziomie myśli. Możesz do niego mówić wszystko, co sobie życzysz, ale słuchaj mnie dobrze: jeden ruch z twojej strony, by zranić Go fizycznie, a ja osobiście zamienię cię w parę. Czy rozumiesz rolę, w jaką możesz się zaangażować?

– Ramitanie, ty kulo wiatru! – odwrzasnałem. Przecież wystarczy tylko, by On podniósł swoją prawą rękę w moim kierunku, a fizycznie zostanie odrzucony na czterdzieści, czy pięćdziesiąt mil w kierunku pustyni, której wcześniej jeszcze nie poznałem. Oniemiały, na wpół utykający z wrażenia, wracam z powrotem do miejsca, gdzie się zatrzymuję, około stu kroków od człowieka o imieniu Jezus. Ramitan, na którego On czekał, pozostaje tam jeszcze przez kilka ziemskich minut, a jego wnikliwy wzrok przeszywa mnie, jakby szukając pierwszego znaku agresji fizycznej. W końcu odchodzi i przyłącza się do lśniącej linii Strażników, na około milę w kierunku zachodnim.

Czas: miesiąc później

Aż trudno mi w to uwierzyć. Licząc czas na dojście tutaj, Jezus musi znajdować się na pustyni przez prawie 40 dni bez jedzenia! Odczuwam, co chce przez to osiągnąć: mój sukces nad ludźmi rozpoczął się od jednego owocu, a On zaczyna swoją walkę ze mną dokładnie w tym punkcie, w którym oni upadli – nie chce wziąć do ust żadnego jedzenia, aż udowodni, że można przetrwać nawet apetyt.

Skutki jednak takiego niedostatku zaczynają być widoczne. Mój przeciwnik bardzo osłabł, a ja odczuwam, że nastał odpowiedni czas na mój atak. Jasnym błyskiem światła przechodzę przez barierę czasoprzestrzeni, powodując, że nagle jestem widoczny dla człowieka, a gdy to czynię, jestem uderzony geniuszem twórczym: będę udawał, że jestem aniołem z Królestwa! Przy Jego osłabieniu nie będę mógł rozpoznać różnicy i tym sposobem mogę zdobyć Jego zaufanie.

– Ach, tutaj jesteś, Panie! – odzywam się, udając zdziwienie. – Zostałem posłany z Królestwa, aby Cię znaleźć. Szukaliśmy Cię wszędzie! Całe Królestwo martwiło się. Ale – i tutaj staram się okazać pewną dezorientację i niepewność – ale być może tak naprawdę, to nie Ty. Posłano mnie, abym odnalazł Narodzonego, naszego Pana i Króla, ale nie mam pewności czy Cię rozpoznaję. Czy ty jesteś rzeczywiście Nim?

– Proszę, wybac mi – ciągnę dalej – ale trochę się zagubiłem. Nie wyglądasz tak, jak Cię pamiętamy. Nie śmiałybym popełnić błędu, bo musiałbym za to odpowiedzieć. Jeśli rzeczywiście ty jesteś Bogiem, proszę, dopomóż mi i okaż swoją moc Twórczą. Oto – mówię to sięgając po dwa lub trzy kamienie o kształcie palestyńskiego chleba – użyj swojej mocy, aby zamienić je w chleb. To pomoże nam obu. Muszę Cię zidentyfikować, a ty przecież potrzebujesz pokarmu.

Jego oczy opadają z wyczerpania i głodu, ale widzę, jak mobilizuje ostatnie zapasy sił.

– Szatanie – odpowiada, wskazując na to, że mój fortel się nie udał – napisa-
no w Pismach: „Nie samym chlebem człowiek żyć będzie”.

Wzdragam się w zdumieniu. Spodziewałem się, że odpowie posługując się bardzo rozsądnym argumentem, że Jego myśli przeciwstawiają się moim, że Jego umysł stanie do walki z moim, w tego typu dyskusji, w jakiej zatryumfowałem nad Ewą. Całą swoją strategię uknułem na przypuszczeniu, że odpowie mi, posługując się swoją własną logiką, którą wtedy ja postaram się zaatakować subtelnymi argumentami, jakie siał będą zwątpienie w Jego założenia. Byłoby to bardzo klasyczne: tezy, antytezy. Wojna umysłów.

Ale to? Zamiast bawić się w moją grę, w której każdy otwiera się na pytania i debatę, On odpowiada absolutnym stwierdzeniem, które nie dopuszcza do jakiegokolwiek dyskusji, zdaniem wprost z Pisma! Jak mogę sobie z tym poradzić?

Od dawna tryumfuję nad ludzkim umysłem poprzez sugestię, że wiara w jakiegokolwiek absolutne prawdy jest oznaką niewiedzy. W końcu, jak jakaś ustalona zasada może mieć zastosowanie na każdym miejscu i w każdych okolicznościach? Wszystko jest względne, argumentuję, nawet prawo Dziesięciu Przykazań. Oczywiście, Przykazania mówią, aby nie kraść. Ale co to jest kradzież? Jeśli jakaś matka, starając się nakarmić swoje głodne dziecko, weźmie owoc ze straganu jakiegoś kupca, czy będzie to złe?

Ludzie lubią bawić się w taki sposób, a im bardziej się tak zabawiają, tym bardziej są zagubieni, przyozdobieni labiryntem pytań, na które nie potrafią znaleźć odpowiedzi. Aż w końcu zdumieni i zagubieni, gotowi są przyjąć mój ostateczny argument, że nie ma moralnych, absolutnych praw, że nawet Przykazania, jakby pięknie nie brzmiały, muszą zostać dostosowane do czasu i okoliczności. I w taki sposób, jak przekonuję, żaden człowiek nie potrafi zachować zakonu, a Wszchemogący powinien zaprzestać narzucania ludziom Jego nierealnego standardu postępowania. Koniec dyskusji. Sprawa zamknięta. Większość ludzi nie potrafi się oprzeć sile takiej logiki.

Spodziewałem się, że przyłapię Mesjasza w takiej słownej pułapce, ale nawet osłabiony głodem, zręcznie odparł moją strategię. Odrzuca nawet możliwość podyskutowania ze mną. Zamiast tego, odwołuje się do Pisma Świętego – jako do absolutu!

Co mam zrobić? Mój umysł pędzi teraz w tym wielkim zamęcie, ale nagle mam odpowiedź. Muszę podjąć Jego sposób argumentacji! Zacytował Pismo Święte? W takim razie ja też tak uczynię! Szybko powstaje cały plan.

Znajdujemy się na pustyni, na wschód od Jordanu, jednak, jeśli przekroczymy barierę czasoprzestrzeni i będziemy poruszali się w czwartym wymiarze, Jerozolima znajduje się tylko na moment stąd. Biorę więc mojego wychudzonego wroga (zauważam, że głódówka spowodowała, że stał się bardzo szczupły

i zaskakująco lekki) i prowadzę Go poprzez barierę na szybką wędrówkę nad pustynią. Stajemy na najwyższej wieżyczce Świątyni i tutaj, na wysokości powodującej zawroty głowy, z której rozciąga się szeroki widok ruchliwego, tętniącego życiem miasta, próbuję, na Jego sposób, wyzwaniem pochodzącym wprost z Pisma.

– Bardzo dobrze Jezusie, wiesz kim jestem i zacytowałeś mi Pismo. Mam jednak do Ciebie pytanie z tego samego źródła. Jest także zapisane: „Albowiem Aniołom swoim przykazał o tobie, aby cię strzegli na wszystkich drogach twoich. Na rękach nosić cię będą, byś nie obraził o kamień nogi twojej”. Jeśli tak jest napisane w Pismach, w takim razie musi to być również prawdą, jak tekst, który zacytowałeś, aby znaleźć wymówkę i nie przerwać Twojej głupiej głodówki. W takim razie teraz odpowiadam Ci wyzwaniem: jeśli należy wszystkiego tak sztywno przestrzegać, w takim razie czyn tak w każdym przypadku. Właśnie zacytowałem Ci tekst, który obiecuje, że jeśli rzucisz się w dół, aniołowie ustrzegą Cię przed jakimkolwiek zranieniem. Więc *rzuc się*. Udowodnij swoją wiarę i daj Wszchemogącemu szansę objawienia swojej wielkiej mocy w takim spektakularnym ratunku. Jeśli naprawdę wierzysz Pismu, idź za własnym argumentem jego logicznego wniosku: *skacz!*

Jestem poruszony genialnością tej chwili. Chociaż nie byłem przygotowany na taktykę, jaką On sam obrał, dostosowałem się wyśmienicie. Zapewne wygram tę walkę!

– No? Na co czekasz? A może posługujesz się Pismem tylko wtedy, gdy Ci ono odpowiada? Ruszaj, skacz!

Ale On odpowiada posługując się innym tekstem:

– Napisane jest również: Nie będziesz kusił Pana, Boga swego.

Co? I to wszystko? Żadnego argumentu, żadnego wyjaśnienia, co ten tekst ma oznaczać? Nie pozwala mi na to, abym wciągnął Go w osobistą dyskusję, w której mógłbym sięgnąć po taką słabość ludzką, jaką jest pycha. Zamiast tego, stawia pomiędzy nami barierę w postaci Pisma. A kto może dyskutować ze zwojem?

Słodka śmierci, On znowu okazał się lepszy. Próbowałem podstępny, ale nie zadziałało. Próbowałem cytować Pismo, a On odpowiedział mi także z Pisma. Pomyśl, Lucyferze, pomyśl. Czy nie ma już niczego, czego mógłbyś spróbować?

Coś przychodzi mi do głowy. Może jest On Bogiem, ale ma także ludzkie ciało, a ludzie niemal zawsze padają przed pokusami bogactwa i mocy. Bardzo dobrze, spróbuję tego.

Jeszcze raz zabieram Go, ale tym razem na górę dowodzenia i teraz wzywam moje wszelkie moce, jako księżę aniołów. Kiedyś byłem głównym dowódcą wszystkich sił w niebie i nadal posiadam nadnaturalną moc, jestem więc w stanie, jeśli odpowiada to moim celom, utworzyć przed umysłem ludzkim takie sceny, jakby we śnie. Wydają się tak prawdziwe, że większość ludzi nie potrafi

zauważyć, że są tylko iluzją utworzoną przez moce spoza bariery. Teraz spróbuję tego z Nim. Pokazuję mu więc przed oczami jedną za drugą wielką cywilizację świata. Pałace, sztukę, bogactwo, cześć wiwatujących tłumów – wszystko to maluję przed Nim, każdy dar, jaki może dać świat. Widziałem, jak ludzie gotowi byli zabijać się dla zdobycia kawałka ziemi, czy małego worka złota. Widziałem, jak całe imperia powstawały i upadały, a tysiące żołnierzy walczyło na śmierć w celu zdobycia nagród, które były małe w porównaniu z tym, co teraz Mu pokazuję. I wtedy słodkim głosem stawiam Mu moją ofertę.

– Mesjaszu, jestem gotów, aby przekazać Ci ten świat. Wszystko, co teraz widziałeś, jestem gotowy Ci oddać. Aby to wszystko zdobyć, walczyłem przez czterdzieści wieków, ale poddam to Tobie. Proszę tylko o jedną łaskę: proszę, pociesz mnie w mojej porażce tym jednym aktem szacunku dla godnego przeciwnika. Uklęknij przede mną, tylko ten jeden raz.

Przez moment ten odległy, stary smutek wydaje się napływać do Jego oczu, ten sam, jaki widziałem dawno temu, gdy mi powiedział, że nie mogę już powrócić do Królestwa. A potem znowu odpowiada mi tylko słowami Pisma:

– Napisano: Panu Bogu swemu pokłon oddawać i tylko Jemu służyć będziesz.

Jego oczy utkwione są we mnie. Jego postać wyprostowuje się, jakby nabierał powietrza majestatu, jakiego nie może zablokować nawet głódówka. *To tak, jakby miał właśnie wydać rozkaz. Odczuwam, że to nadchodzi i już zdaję sobie sprawę, że nie będę mógł się temu oprzeć.*

– Szatanie, rozkazuję ci, abyś poszedł precz!

Cofam się, będąc bezradny wobec takiego autorytetu i zauważam, że jestem krańcowo wyczerpany. Przywołałem każdy znany mi i wykorzystywany argument. Nie ma już niczego. Jestem skończony.

I teraz widzę, że nie jestem sam. Jestem otoczony przez wszystkie moje siły, jakby widzami podczas rzymskich igrzysk. Wydaje się, jakby każdy z nich był tu obecny – całe miliardy otaczają całkowicie hemisferę; przybyli, aby zobaczyć w walce swojego Mistrza i gapią się teraz w przerażającej fascynacji, jak przegrywam wojnę. Wijąc się z upokorzenia, uchodzę ze sceny własnej porażki.

Marconides, któremu przekazałem główne dowództwo, przybliży się ostrożnie. Kłania się, chociaż w jego ukłonie jest już nieco rezerwy, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem; napięcie pojawiające się u podwładnego, który podchodzi do generała tuż po przegranej bitwie.

– Mistrzu – pyta z niepewnością – czy chcesz przejąć dowództwo?

Cicho zaprzeczam głową. Jeszcze nie, jeszcze nie teraz, bowiem zostałem okaleczony i, tak jak ranne zwierzę, muszę sobie poszukać jakiegoś miejsca w odosobnieniu, aby zlizać swoje rany. Otaczający mnie tłum moich wojowników rozchodzi się, udając się na swoje stanowiska służby. Panuje cisza. Nikt nie mówi ani jednego słowa.

Wiosna

Obawiając się spojrzeć w twarz moim generałom, odczekałem szereg tygodni, aż powróciłem do mojego centrum dowodzenia. Gdy w końcu się to stało, nic nie mówią na temat mojej walki z Mesjaszem, a ich milczenie jest znacznie gorsze, niż gdyby się wyśmiewali. Wolałbym, aby wywołali ten temat, abyśmy mogli o nim porozmawiać, ale nie czynią tego, a ja nie śmiem zaczynać sam, bo wyglądałoby na to, że szukam poparcia. Jest to smutny dzień.

W końcu zdecydowałem, że najlepszą rzeczą będzie przejście dowodzenia, jakby się nic nie wydarzyło.

– No dobrze, wojownicy, musimy podjąć jakieś plany. Kto może mi powiedzieć coś o dalszych losach Mesjasza?

– Ja mogę – odzywa się Andrade, tajemniczo wymijając tytuł pełen szacunku: „Mistrzu”. – Udał się do Galilei i jest już znany. Wiele przemawiał w terenie i wywarł wrażenie na chodzących za Nim młodych mężczyznach, których nazywa uczniami. Oni towarzyszą Mu wszędzie. Jak myślę, będą oni podstawą Jego organizacji. Uczynił zdumiewające cuda, a gdziekolwiek się udaje, uzdrowia chorych. Faktycznie wieści o Nim dotarły nawet do Syrii, zaś na drogach tłoczą się ludzie, którzy chcą Go zobaczyć, przynosząc swoich chorych i kalekich, aby ich uzdrowił. Cała sprawa wymyka się nam z ręki. Obawiam się, że wykorzystuje twoją nieobecność. Tak naprawdę, to powinieneś być tutaj.

Och! I te słowa nagany padają z ust Andrade! Moje wnętrzości gotują się w zakłopotaniu i złości.

– Ale nie było mnie – odpowiadam i decyduję spontanicznie dać wszystkim do zrozumienia, że nadal jestem wodzem. – Andrade, jesteś zwolniony z dowodzenia twoim korpusem. Shorson, przejmij dowodzenie i przygotuj się do podróży. Za mniej więcej godzinę wyruszamy do Galilei.

Tydzień później

Sytuacja w Galilei jest we wszystkim znacznie gorsza niż ją opisano. Cały teren wygląda jak mrowisko. Ludzie chorzy przybywają tysiącami z nadzieją na uzdrowienie, a tych, którzy są zbyt chorzy, aby chodzić, przyjaciele lub krewni przynoszą na noszach. Mesjasz wydaje się mieć czas dla każdego, chociaż często musi pracować długo, aż do nocy, zaś cała okolica aż byczy podekscytowanymi rozmowami na temat tego cudownego Nauczyciela, który wywodzi się ze zwykłych ludzi i troszczy się o ich potrzeby. Jego sukces już powoduje pewne zazdrosne reakcje w Jerozolimie, gdzie ludzie na wysokich stanowiskach patrzą na Niego jak na zagrożenie. Na północy, w tym rejonie kraju, wkrótce stanie się tak popularny, że z łatwością może zorganizować bunt chłopów. Nie mam pojęcia, co będzie Jego kolejnym ruchem.

A w tym czasie, codziennie coraz więcej osób dezerteruje u mnie, przechodząc na Jego stronę. Muszę znaleźć jakiś sposób na odwrócenie tej sytuacji.

Rok: 4028

Chodzę za Nim uparcie, a Jego popularność wciąż rośnie. Był w Jerozolimie, przechodził przez Samarię, powrócił znowu do Galilei – jest wszędzie, wędrując pieszo jak zwykły człowiek, ku wielkiemu upodobaniu ludzi pracujących, którzy żadnym sposobem nie mogą pozwolić sobie na drogie wygody, które posiada elita rządząca. A skoro nie ma domu, wraz ze swą małą grupką zatrzymuje się u każdego, kto im zaoferuje miejsce na noc, a czas ma dla każdego, nawet dla małych dzieci.

I przemawia – ale jak przemawia! Większość ludzi miała już dość słuchania dyskusji prowadzonych przez uczonych w Piśmie na tematy teologiczne. Pełno tych ludzi w kraju. Udają się na południe, do uniwersytetu w Aleksandrii, kształcą się tam, powracają w swoich akademickich szatach, a potem chodzą po mieście, zatrzymując się często na rogach ulic, by dyskutować o rzeczach, o których przeciętny człowiek ani nie wie, ani się nimi nie zajmuje. Rozglądają się tylko czy ich zauważono i czy są podziwiani. Od dawna byli to moi najbardziej cenieni sprzymierzeńcy, bowiem uczynili religię tak suchą, jak kurz, wyjałowionym śmietniskiem śmiesznych terminów, które nie mają nic wspólnego z życiem. Każdy człowiek przeszedł jakieś religijne doświadczenia, starając się być pobożnym, ale nienawidząc każdej takiej chwili, a ci próżni, spierający się dostojnicy kościoła nieświadomie udowodnili, że są moimi najlepszymi pomocnikami, bowiem zamieniali religię w okrutny żart.

I wtedy właśnie nadszedł Ten fascynujący, nowy rabbi, zwyczajny Galilejczyk, który zmiótł na bok wszelkie pretensje i powiedział im, że są na tym świecie dla wyższego celu, aby spędzać czas z Bogiem, by stać się błogosławieństwem dla swoich bliźnich. Spowodował sztorm wśród zszokowanych uczonych i teologów, a zwyczajnym ludziom odpowiadało to bardzo.

Ma On jednak tendencję do ryzykowania i, być może, będę mógł wykorzystać to dla siebie. W swoim rodzinnym mieście, Nazarecie, pewnego Szabatu, poproszono Go, aby czytał Pisma w synagodze. Wszystko przebiegało dobrze; ludzie słuchali z przyjemnością, zauważając, jak to wspaniale, że mówca wyrósł z tutejszego chłopca, gdy On nagle ogłosił się Mesjaszem. Miejsce nabożeństwa zamieniło się rychło we wściekły rozgardiasz. Wśród szaleńczych okrzyków, kilku tęgich młodych ludzi podeszło do miejsca, na którym stał przemawiając, porwało Go i pociągnęło prosto w kierunku urwiska na obrzeżu miasta, z jasnym zamiarem, aby Go tam zrzucić. Wrzasnąłem natychmiast za moimi wojownikami, bowiem wszystko wydarzyło się tak nagle, że sytuacja nas zaskoczyła; ruszyli więc do dzieła, poszukując kanałów, poprzez które podjadą tłum do morderstwa.

Byliśmy zaledwie kilka kroków od sukcesu, gdy nagły wybuch energii uderzył w nas: była to interwencja Strażników, oddzielających nas od ludzkich współpracowników. Następnie uderzyli ludzi wystarczającą energią, by ci oszołomieni, włączyli się zdezorientowani, a Jezus spokojnie wyszedł spośród nich. Dla tłumu było to zwyczajne zniknięcie, ale z naszej strony bariery czasoprzestrzeni mogliśmy dostrzec, co w rzeczywistości miało miejsce: to aniołowie utworzyli lśniący korytarz pomiędzy Nim a motłochem i On przeszedł tym korytarzem bez szwanku i całkowicie niewidoczny dla zamroczonych ludzi.

Tak więc prawdopodobnie Strażnicy będą interweniowali, nawet przeciwko ludziom, aby Go chronić! Dlatego teraz zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek będę w stanie Go zatrzymać.

Miejsce: Galilea

Życie mija Mu na dziwnej mieszaninie zwycięstw i porażek – nieszczęście w Nazarecie, popularność w Kafarnaum. Wściekli kapłani, którzy z natarczywością stawiają Mu wrogie pytania. Podziwiałe Go tłumy, które wędrują za Nim tysiącami. Ostatnio ludzie próbowali nawet sami wziąć w ręce całą sprawę i niemal nie ukoronowali Go na króla!

Miało to miejsce w Galilei. Przemawiał przez trzy dni do zgromadzonych tysięcy ludzi, którzy pozostawili pracę i szli za Nim, aby słuchać Jego przemówień. Trzeciego dnia niemal wszystkim skończyło się pożywienie, a Jezus powiedział swoim uczniom, aby dali coś do jedzenia zgłodniałym tłumom.

– Czy mówisz poważnie? – odpowiedział jeden z nich. – Spójrz na tą ciżbę. Jest tu przynajmniej pięć tysięcy samych mężczyzn, a oprócz nich jeszcze więcej kobiet i dzieci, a ty chcesz, abyśmy ich nakarmili?

Judasz, który trzymał skromne zasoby pieniężne grupy, szybko poinformował, że w swoim woreczku nie ma wystarczająco dużo pieniędzy, by za to nakarmić nawet małą część obecnych, ale Jezusa to nie przekonywało.

– No, dobrze – odpowiedział – przejdźcie pośród tłumu i popatrzcie, czy komuś jeszcze coś nie zostało.

Judasz wzruszył ramionami, rzucając pytające spojrzenie w kierunku Mateusza, a uczniowie zaczęli zabiegać o jedzenie, błakając się pośród mrowia ludzi. W końcu Andrzej znalazł niewielki posiłek u małego chłopca, składający się z kilku krajków chleba i dwóch małych rybek.

– Wystarczy – odpowiedział Jezus. – Przynieście to, proszę, do mnie. A potem, po modlitwie o błogosławieństwo, zaczął sięgać do koszyka chłopca i wyjmować z niego chleb i ryby. Jednak im więcej pożywienia wyjmował, tym więcej go było! Nie było temu końca: zgromadzono całe stosy chleba i ryb, a wszystko pochodziło z koszyka chłopca i wkrótce zaimprovizowani słudzy roznosili całe narecza jedzenia dla oczekujących ludzi.

Stworzenie – nie ma innego słowa, jakim można by to określić. Był to akt czystej mocy stwórczej, której nawet większość moich wojowników jeszcze nie widziała. Przyglądali się więc temu z oniemiałym zdumieniem, wymieniając spojrzenia, najwyraźniej obciążone pytaniem: jak z sukcesem można prowadzić wojnę z taką Istotą, jak On?

Trwało to przez całe godziny. Uczniowie wędrowali tam i z powrotem, od jednej grupy do drugiej, mając wypełnione ręce jedzeniem. Popołudnie więc minęło na czystym cudzie i mieszaninie prozaicznych uwag: „Czy wystarczyło wam?” – „Czy jest jeszcze ktoś głodny?” – „Nie, tylko pięć chlebków i dwie ryby” – „Nie, nie wiemy skąd On to wszystko bierze” – „Tak, oczywiście, że jest to cud”.

Ale gdy dzień kończył się, bieg rozmów stopniowo ulegał zmianie. Wszyscy zaczęli zdawać sobie sprawę, że owego popołudnia stało się coś więcej, niż jedynie nakarmienie zwykłym posiłkiem. Jeśli On potrafił nakarmić kilka tysięcy ludzi jednym, małym posiłkiem chłopca, to może dokonać wszystkiego innego, a w tym również przegonić znieawidzonych Rzymian z Izraela. Nagle zabrzmiał więc okrzyk:

– Ukoronujmy Go! On jest Mesjaszem, Królem Izraela!

Odwieczne marzenie o niezwykłym Izraelu, prowadzonym do zwycięstwa przez samego Boga, wydawało się w zasięgu ręki, a ludzie zaczęli szaleć z entuzjazmu. Wkrótce cały tłum zaczął skandować, domagając się, by wstąpił na tron – a to, że Rzymianie uznają to za bunt, nie miało znaczenia. On zatroszczy się o rozbitych Rzymian – zdmuchnie ich jak chmurę pary wodnej swoim sprawiedliwym gniewem.

– *Mesjasz! Mesjasz!* – wołali, gorący z entuzjazmem, a nam się wydawało, że wszystko zostało stracone.

Ale wtedy stała się dziwna rzecz: zwołał wokół siebie uczniów i cicho im powiedział, aby wsiedli do łodzi. *Natychmiast*. Nie, On z nimi nie szedł; przyłączy się do nich później. Nie, teraz nie mógł im tego wytłumaczyć. *Nie*, nie będzie już więcej pytań czy wahania – mają to zrobić. I po tych słowach zniknął, pozostawiając rozprawiający tłum w zdziwieniu i zamieszaniu, bowiem ich bohater odszedł, a hałaśliwy entuzjazm minął tak nagle.

Była to noc, podczas której uczynił jeden z najbardziej niezwykłych cudów. Gdy już powiedział im, aby odeszli, poszliśmy za uczniami do łodzi. Odplynęli od brzegu i zaczęli wiosłować w kierunku głębokiej wody, jednak nadejście silnego wiatru spowodowało, że posuwali się bardzo powoli. Po wielogodzinnym wiosłowaniu i posunięciu się do przodu jedynie o jakieś dwie lub trzy mile rzymskie, ujrzeli postać – widmo, która szła po powierzchni wody! Przejęci strachem zaczęli krzyczeć z przerażenia (przypuszczali bowiem, że ujrzeli ducha), ale od strony wody usłyszeli znany im głos: to był Jezus, który zdecydował się dojść do nich w tak niesamowity sposób; wielkimi krokami przybliżał się do łodzi.

W tym momencie jeden z uczniów o imieniu Piotr popełnił błąd, którego niemal nie przypłacił śmiercią. W swym porywczym charakterze, zapytał niewiele myśląc, czy może wyjść z łodzi i także iść po wodzie. Jezus ochoczo powiedział mu, aby przyszedł do Niego i przez kilka niesamowitych chwil człowiek ten faktycznie kroczył po falującej powierzchni wody Jeziora Galilejskiego. Najwyraźniej dumny ze swojego osiągnięcia na moment oderwał swoje oczy od Jezusa, aby rzucić pewne spojrzenie na swoich towarzyszy w łodzi i natychmiast zaczął tonąć, zniknąwszy im z oczu. Z trudem wypłynął na powierzchnię, co wyglądało bardzo patetycznie. Ociekał wodą, był bardzo zziębnięty i rozpaczliwie wołał o pomoc. Gdy Jezus sięgnął po niego i mocno pociągnął go do łodzi, usiadł tam milcząc i drżąc cały. Z zakłopotania wpatrzył się bezwiednie w jakieś pyłki na dnie łodzi.

Następnego dnia zapytałem o to Meldibona.

– Nie ma w tym wielkiego znaczenia – odpowiada. – Ten człowiek chciał się popisać przed innymi i Mesjasz udzielił mu lekcji. Skoro mnie pytasz, to powiem, że Piotr musi się nauczyć jeszcze wielu lekcji, a my będziemy mogli wykorzystać w dużym stopniu jego impulsywność i dumę, zanim skończymy z nim.

– Ale jest ważniejsza sprawa – ciągnął – jaką musimy rozstrzygnąć: gdy Jezus miał wczoraj szansę, dlaczego nie zaakceptował oferty ludzi, aby zostać królem?

Stoję tylko o krok od Meldibona. Gdy chodzi o sprawy Królestwa, jest on wyśmienitym myślicielem, ale gdy chodzi o politykę ziemską, niewiele się na tym zna. Ponieważ w tym ja się wyspecjalizowałem, podaję pewną sugestię.

– Po pierwsze, to ściągnęłoby tu Rzymian jak lawinę. Otrzymuję stałe raporty z Rzymu. Dwór cesarski jest poirytowany intrygami. Tyberiusz to szaleniec; gotów jest zabić każdego, kto choćby popatrzy krzywo na jego tron – słodka śmierci, Meldibonie, jego dwór tak bardzo przepelniony jest podejrzeniami, że obecnie wielu ludzi żyje z tego, iż zajmują się zawodowo donoszeniem. Nazywani są *delatores*, a cesarz płaci im za donoszenie na innych. Jeśli Jezus teraz podrażni Rzymian, będzie to stało w kolizji z wszystkim tym, co ma zamiar zrobić. Ale jak sądzę, istnieje jeszcze głębszy powód odrzucenia przez Niego tronu. Pewnego dnia w prywatnej rozmowie z uczniami słyszałem, jak powiedział: „Pamiętajcie, nasze królestwo nie jest z tego świata. Jesteście obywatelami nieba i jesteśmy tu tylko przez małą chwilę, aby wykonać dzieło nieba. Nigdy o tym nie zapomnijcie”.

Zamilknąłem na chwilę, by nadal kontynuować.

– A teraz pomyśl o tym, co taka filozofia życia uczyni z Jego naśladowcami. Jeśli będą myśleli o sobie, jako obywatelach nieba, wtedy ten świat nie będzie dla nich już atrakcją. Pieniądze, moc, wspaniałe domy nad brzegiem morza – nic z tego nie będzie się więcej liczyło, a nasze najsilniejsze pokusy znikną jednej nocy. Jakby ci się podobało, gdybyś miał napotkać takich wrogów, w szczególności, jeśli będą zorganizowani?

Na twarzy Meldibona pojawia się grymas, jaki świadczy o tym, że stara się zastanowić nad problemem, nad którym wcześniej się nie zastanawiał. Ciągnę więc dalej, stawiając pytanie:

– Tak więc jak możemy Go zatrzymać?

– Sądzę, Mistrzu – odpowiada powoli – że mamy tylko jedną nadzieję. Niewielka to nadzieja, ale możliwe, że jest to wszystko, co mamy. Wszystkie Jego zwycięstwa dokonane dotąd, mogą jeszcze wciąż się rozlecieć, jeśli...

Jego głos zanika, podczas gdy oczy ma utkwione w jakiś odległy punkt, gdzieś głęboko w jego wyobraźni.

– Jeśli co? – pytam, dając poznać po sobie, że chcę, aby kontynuował (i zarazem niecierpliwie się, bo choć nie mam odwagi tego pokazać, nie chcę, aby cokolwiek przeszkodziło temu wyśmienicie utalentowanemu umysłowi).

Nadal nic nie mówi. Odczuwam, że nawet mnie nie usłyszał. Ciągłe jest wpatrzony w dal, a jego oczy teraz przerzucają się z miejsca na miejsce, jakby badał jakiś krajobraz w swoich myślach. Jestem zmuszony, by czekać.

– ... jeśli – nagle odzywa się po cichu – uda się tego człowieka, Jezusa, usidlić jakąś pokusą.

Impulsywnie odrzucam ten pomysł jako śmieszny i taki, którego próbowaliśmy wielokrotnie i to bez sukcesu, ale on upiera się.

– Nie, wysłuchaj mnie. Próbowaleś wszystkiego innego, wraz z osobistą walką z Nim, i Lucyferze, twoje próby tam, na pustyni były wysokiej klasy. Nikt nie potrafiłby tego dokonać lepiej. Niewielu w armii zdaje sobie z tego sprawę, ale gdy walczyłeś z Nim na pustyni, nie opuściłeś żadnej możliwości. To było wyśmienite. Problem był w tym, że stanąłeś tam przeciw... no...

No, ruszaj dalej i powiedz to, Meldibonie, pomyślałem sobie: stanąłem tam przeciwko komuś lepszemu.

Nie kończy jednak swego zdania. Zamiast tego powraca do swojego pierwszego punktu.

– Próbowaleś nacisku politycznego, zniechęcenia, odstępstwa Jego własnych uczniów. To wszelkiego rodzaju pokusy, które zazwyczaj załamują ludzi. Oprócz tej jednej.

Teraz ma już całą moją uwagę.

– Jednego – pytam? – Przeoczyłem coś?

– Tak, a to rzadko zawodzi, gdy chodzi o mężczyzn. – Meldibon jest profesjonalistą, myślicielem, który nigdy nie pozwala sobie na humor niskich lotów, ale tym razem na jego twarzy pojawia się mały uśmieszek samozadowolenia, który zamienia się w złośliwe spojrzenie. – Nie próbowaleś jeszcze kuszenia Go rozpustą.

Jestem oszołomiony. Oczywiście, że tego nie próbowaleś, Meldibonie, a to z prostego powodu, że założyłem, iż to nie zadziała. *Ale zaczekaj chwilę, mój sprytny przyjacielu, być może znalazłeś to miejsce, gdzie On ulegnie.* Odzywam się zatem:

– Zatem do dzieła.

– Jest kobieta, która mieszka w Betanii. Znasz to miejsce, tuż za szczytem wzgórza dominującego nad Jerozolimą. Jest zaskakująco piękna, a jej prezencja intryguje niemal każdego mężczyznę, z jakim się spotyka. Być może ceni się bardzo wysoko, ale ma jedną fatalną cechę: nie potrafi odmówić mężczyznom. W wyniku tego całe jej życie stało się nieprzerwaną serią fatalnych kontaktów z mężczyznami, którzy podziwiali jej piękno, a potem się jej pozbywali. Niektórzy z nich, to wysocy urzędnicy, tacy, jak Szymon Faryzeusz, który mieszka w pobliżu w tym samym miasteczku.

– Tak, znam go – odpowiadam. – Czy to nie jest ten, którego Jezus uzdrowił z trądu?

– Tak, to ten – odpowiada Meldibon. – I zawsze zastanawiałem się nad tym, dlaczego zawrócił sobie głowę uzdrowieniem go, bowiem jest Mesjaszem, a więc na pewno wie, co ten człowiek uczynił z tą kobietą.

– Ale nie odchodźmy za daleko od tematu – odpowiadam, mając pragnienie, aby już wysłuchać planu Meldibona. Aby zadowolić twoją ciekawość, dam ci to, co, jak sądzę, stanowi odpowiedź. Pewnego razu, jeszcze w czasie tygodnia stworzenia, zanim pojawiliście się tutaj wszyscy, widziałem, jak On płakał nad naszym losem. Chociaż brzmi to bardzo dziwnie, jak sądzę, On nas nadal kocha. A skoro potrafi nas kochać, bez wątplenia potrafi kochać także takiego gburę, jakim jest Szymon. Myślę, że zrobił to po prostu ze swej dobroci, nic innego.

Przez moment Meldibon jest pod wrażeniem, jak po uderzeniu piorunem, a jego potężny umysł dokonuje analizy nieznanego, jak dotąd, sobie smakołyku, który umieszcza teraz w swojej złożonej sieci danych, a następnie wciąga się ponownie w temat naszej rozmowy.

– No, jedno jest całkowicie pewne, gdy chodzi o Marię: jest tak piękna, że trudno o tym zapomnieć i niewielu jest mężczyzn, którzy potrafiliby ją zignorować. A taki jest mój plan: ona teraz dochodzi do siebie po ostatnim rozbitym związku i jest bardzo tym oszołomiona. Jest w depresji. Dlaczego by nasz najlepszy taktyk nie miał jej zasugerować, że może znaleźć pomoc u tego nauczyciela z Galilei?

– A co to nam da? – odpowiadam.

– Zauważyłem coś, gdy chodzi o mężczyzn wśród kapłanów. Kiedy mają do czynienia z kobietą, która jest dostępna i potrzebuje pomocy, wtedy kusi ich to. To tak, jakby takie okoliczności uruchamiały ich męskie umiłowanie dominacji, i zadziwiająco, jak często ci pobożni mężczyźni kończą na czynieniu bardzo niepobożnych rzeczy.

– Meldibonie – odzywam się – jesteś geniuszem! Nigdy nie brałem pod uwagę wykorzystania takiej pokusy, ponieważ byłem pewien, że nie powiedzie się. Ale to jest coś innego; to zostaje przemyczone pod przykryciem potrzeby pomocy przez tę kobietę. *To może zadziałać!*

Wzywam jednego z moich głównych asystentów, najlepszego taktyka w całej armii. Odzywam się więc do niego:

– Simlonie, mam zamiar poprosić cię o wykonanie niezwykle trudnego zadania. Słuchaj uważnie, bo wszystko trzeba zrobić doskonale. W Betanii jest kobieta o imieniu Maria. Czy znasz ją?

– Tak, podobnie jak ją zna połowa mężczyzn w Jerozolimie – odpowiada.

– Właśnie o nią chodzi. A oto twoje zadanie: wejdź do jej umysłu; w tej chwili jest w depresji i przez to bardzo otwarta na wpływy. Powinieneś więc odnaleźć niemal gotowe kanały dostępu. Przekonaj ją, aby udała się na spotkanie z Jezusem.

– I to wszystko?

– Tak, to wszystko. I nie minimalizuj trudności twojego zadania. Od jego wyniku wiele będzie zależało. Gdy ją przekonasz, aby udała się do Mesjasza, towarzyszyć jej z pięcioma legionami naszych najlepszych wojowników. Chcę zbombardować Jezusa pokusą.

W tym momencie na twarzy Silmona maluje się także szydery uśmiech. Zrozumiał, o co chodzi.

Sześć tygodni później

Wiele się wydarzyło. Zaraz po narodzinach Boga-dziecka wyznaczyłem Meldibonowi najtrudniejsze zadanie w całej wojnie. Miał dręczyć przywódców religijnych, wśród których znajdowali się najznamienitsi teolodzy na świecie, i starać się wprowadzić wśród nich taki zamęt, by nie potrafili rozpoznać Mesjasza. Mówiąc szczerze, bardzo martwiłem się o to zadanie, bo wiem nie byłem pewien, czy uda się to zrealizować nawet Meldibonowi. Ale otrzymaliśmy miłą niespodziankę: sami przywódcy wręczyli nam łatwe zwycięstwo i zrobili to bardzo zwyczajnym kanałem – stali się zazdrośni i źli! Każdy kolejny cud, każda nowa wieść o sukcesie Mesjasza, pogłębiały jedynie ich urazę, a teraz stali się niemal szaleni z zazdrości. Jest to dokładnie to, czego nam potrzeba. Gdy ludzie pozwolą sobie na pielęgnowanie nienawiści, wchodzą w jakieś dziwne, nowe realia, w których spotykają emocje, jakich, być może, nigdy dotąd nawet nie odczuwali. Wkrótce nawet „dobrzy” ludzie zaczynają się zabawiać ideami, które mogą ich zaszokować, zanim utracą kontrolę nad swoimi emocjami. Jednym z przykładów jest morderstwo.

Tak więc siły Meldibona odniosły wielki sukces, a faktycznie stały się jednostką w mojej armii, która stale odnosi wielkie sukcesy, i ostatnio spędziłem z nimi większość czasu. Właśnie znajdowałem się pewnego poranka na konferencji z dowódcami ich brygady, gdy przeszkodził mi pewien posłaniec.

– Mistrzu, powrócił Simlon. Czy będziesz się chciał z nim zobaczyć?

Czy będę chciał? Pędzę od razu, by spotkać się z nim osobiście.

– Mistrzu, zrobiłem wszystko, o co prosiłeś. Wszedłem do umysłu kobiety o imieniu Maria i ponaglałem ją, aby poszukała tego nauczyciela. Byłem przy niej, gdy to czyniła. Było ze mną pięć legionów. Wykorzystaliśmy każdy wariant pokus, jaki jest nam znany.

– I co?

– I po raz pierwszy w swoim życiu odnalazła człowieka, który kochał ją taką, jaką była; za nic więcej. Rozmawiali całymi godzinami, a ona powiedziała Mu o wszystkich swoich złych doświadczeniach życiowych, płakała z powodu minionych błędów, a On pozwolił jej mówić tyle, ile tylko potrafiła i chciała. Potem powiedział jej, że to jest powodem Jego przyjscia na Ziemię, aby ludzie mogli rozpocząć wszystko od nowa, pozostawiając za sobą przeszłość, jakby nigdy nic nie zdarzyło się złego. Mistrzu, myślałem, że nigdy tego nie wypowiem, nie myślałem nawet, że coś takiego jest możliwe. On przywrócił jej panieństwo. W jej myślach. To znaczy stało się tak, jakby znowu była młodą dziewczyną, wolną od tych dręczących zdarzeń, które powodowały, że powracała stale do tych samych błędów. – Odsapnął chwilę i mówił dalej. – To wygląda tak, jakby stała się całkowicie nową osobą. Chodziłem za nią przez szereg dni, aby przekonać się, czy skutki tamtego spotkania przeminą, ale ona jedynie w tym się umacnia. Pewnego razu na targowisku, jakiś trochę pijany kupiec otarł się o nią i wymamrotał coś, że jego żona już od tygodnia wyjechała do Cezarei. Spojrzała na niego w taki sposób, jaki mógł go zamrozić całkowicie. Mistrzu, chodzi mi o to, że ona stała się inna, całkowicie nowa, jakby przeszłość nigdy nie miała miejsca.

Przytakuję, dziękując Silmonowi za wykonanie tak ciężkiej pracy i żalamuję się, zdając sobie sprawę z tego, jakie implikacje przynosi ta porażka. Maria wysunęła się całkowicie spod naszej kontroli, a więc znów klasyczny przypadek. Ludzie często wpadają w takie pułapki. Dla niektórych jest to umiłowanie wina, czy też ekstrakt maku, który przemycają ze wschodu różni kupcy. Dla innych jest to umiłowanie hazardu. Maria była zniewolona manipulacją i rozpustą. Gdy ludzie raz uwikłają się w coś takiego, trudno im się z tego wydostać, a ja wykorzystywałem ten mechanizm już od początków wojny. Ale ona się uwolniła i jej doświadczenie może stać się wzorem dla każdego człowieka, który zatracił kontrolę nad życiem.

Jestem wściekły. Ta kobieta poprzez własny przykład mogłaby ukraść mi miliony ludzi, których w innym przypadku miałbym po swojej stronie. *Ale co, jeśli...*

... co, jeśli uda mi się zniszczyć jej wiarę? Co, jeśli po takim publicznym nawróceniu uda mi się doprowadzić ją znowu do upadku? Wtedy całkowicie zneutralizuję jej doświadczenie!

Plan powstaje szybko w mojej głowie. Nie ośmielę się kusić jej rozpustą; na-dejście jej mogłaby dostrzec i rozpoznać niebezpieczeństwo. Nie, to musi być sprytniejsze. A co, gdybym tak doprowadził ją do jakiegoś rozczarowania Jezusem? Tak, *to* może się udać!

Wzywam żołnierzy, którzy pełnią swoją rutynową służbę w Betanii. Są to niskiej rangi żołnierze, którzy dotąd nigdy nie byli w bezpośrednim kontakcie ze mną, są więc oczywiście pod wielkim wrażeniem, że znaleźli się w centrum dowodzenia.

– Spokojnie, wojownicy – mówię. – Potrzebna mi jest mała pomoc z waszej strony. Co wiecie o domostwie Marii?

– Ach, o niej – odpowiada jeden z nich, a na jego twarzy także maluje się mały uśmiech szyderstwa. – No, mieszka wraz z siostrą Martą, jest też i brat o imieniu Łazarz.

– Czy coś niezwykłego dzieje się tam teraz?

– No, oczywiście, że każdy mówi teraz o nowej Marii. To wywołuje wielkie podniecenie.

– Czy coś jeszcze?

– Nie, nic specjalnego. Łazarz jest chory i to wszystko.

Chwileczkę! Łazarz jest chory? To może być moja możliwość! Zwalniam tych dwóch żołnierzy z osiemnastego echelonu, którzy jak jolopy rozglądają się po mojej siedzibie, a następnie wzywam Barshoka.

– Przyjacielu – mówię – jesteś dobrym żołnierzem, a ja mam zadanie, które, jak sądzę, spodoba ci się. Na wzgórzu, w Betanii, mieszka kobieta o imieniu Maria. (O tak, on też zaczyna z tym szyderczym uśmiechem.) Ma brata, któremu na imię jest Łazarz. Jest chory. Udaj się tam szybko, aby wyprzedzić Strażników. Znajdź tego człowieka i zabij go.

– Zabić go?

– Tak, zabij go.

Wybiega, tak szczęśliwy, jak nie widziałem go od wieków, a ja zadumałem się nad planem. Maria nie będzie już więcej podatna na sprośne propozycje Szymona, ale będzie wrażliwa z powodu śmierci swego brata! Już jestem w stanie przewidywać jej sposób myślenia: *No, proszę, staram się być dobra, jestem zwolenniczką Mesjasza, a popatrzcie, co się dzieje!*

Cztery dni później

– Mistrzu! – wrzeszczy posłaniec. – Przybądź szybko! Coś strasznego dzieje się w Betanii. Jest tam Marcolith i nie wie, co ma robić. Potrzebuje ciebie.

Nie mając najmniejszego pojęcia, jaki problem czeka mnie tam na wzgórzu, pozostawiam swoją siedzibę w pobliżu Świątyni i pędzę na szczyt Góry Oliwnej – niskiego wzgórza, leżącego na wschód od Jerozolimy, z którego rozpościera się widok na miasto. Na szczycie wzniesienia znajduje się mała wioska o nazwie Betania, obsiana wygodnymi domami i ogrodami, z których jeden, to dom Marii. Gdy zbliżam się, mogę już zobaczyć niezwykle zamieszanie po obu stronach bariery: moje siły zmagają się z aniołami Królestwa, podczas gdy po stronie ludz-

kiej podeksycytowane tłumy pędzą w kierunku wzgórka poza miasteczkiem. Jest to miejsce, gdzie grzebią ludzi; ludzie bogaci wyciosowali sobie grobowce w skałach, tworząc tym sposobem małe pomieszczenia, gdzie składano ciała umarłych. Teraz to miejsce jest wielkim zgielkiem podniecenia.

– Co tu się dzieje? – zapytuje Marcolitha.

– Mistrzu, nie uwierzysz, ale jak sądzę, Jezus zamierza wzbudzić do życia zmarłego.

– Kogo?

– Takiego faceta o imieniu Łazarz; mówią, że jest to brat Marii.

Nagle przechodzi mnie zimny strach, ale nie pozwalam na to, aby Marcolith to dostrzegł. Opowiedz mi o tym – rozkazuję – ale szybko, bardzo szybko.

– Ten człowiek chorował, a cztery dni temu nagle poczuł się gorzej i umarł, po prostu tak nagle.

Tak, myślę sobie, to znaczy, że zadziałał tu Barshok. – I co dalej?

– Tak więc jego siostry wyszły niemal z siebie. Wysłały wiadomość o chorobie brata, do Jezusa, który był na tyle blisko, aby przyjść tu wcześniej, ale ociągał się, pozostając tam, gdzie był, i tak, jak powiedziałem, cztery dni temu Łazarz umarł. Ale dzisiaj Jezus pojawił się w mieście, a teraz znajduje się u grobu, mówiąc coś do Marii na temat zmartwychwstania.

– Och, ognie piekielne! – wzdycham i pędzę do grobu. Jest tam bardzo gwarno.

– Zupełnie nie rozumiem – powiedziała jakaś kobieta. – Jezus otwierał oczy niewidomych. Dlaczego nie mógł zapobiec śmierci tego człowieka?

Łazarz był znanym człowiekiem i większość mieszkańców miasteczka znajduje się tutaj, głośno oplakując jego śmierć, a i sam Jezus wydaje się pogrążony w smutku, bo z oczu płyną Mu łzy. Jest to najdziwniejsza scena, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem.

Jezus chwilowo opanowuje się, przecierając oczy fałdą swojej zakurzonej szaty, pozostawiając tym samym na twarzy małe smugi.

– W porządku – odzywa się głosem pełnym autorytetu, który mnie przeraża. – Czas, by zobaczyć naszego przyjaciela. Otwórzcie grób. Odwalcie ten kamień.

Na te słowa, Marta zdaje się wpadać w histerię.

– To już cztery dni! – odzywa się. – Panie, teraz musi już cuchnąć.

– Czy nie powiedziałem ci, że ujrzysz chwałę Pana? *Otwórzcie grób!*

Dwaj mężczyźni trzymający w rękach drewniane drągi, odsuwają kamień stojący u wejścia do grobu, a gdy już szerokie wejście do grobu zostało szeroko odsłonięte, Jezus bierze głęboki oddech i mówi głosem, który niesie się po wzgórzu:

– *Łazarzu, wyjdź!*

Całe wzgórze wyciszyło się jak o północy. Jedynym dźwiękiem pozostaje delikatny wietrzyk, który dmucha na szczycie, tłum zaś czeka urzeczony cudem i ciekawością. I to jest to, najwyższy moment, zdarzenie, które określi mój los,

bowiem jeśli On potrafi przywrócić do życia człowieka, który zmarł cztery dni temu, w takim razie On sam mógłby także powstać z grobu!

Wtedy nawet mój plan zabicia Go okaże się bezsensowny!

Mijają chwile, chwile bez końca – i nie sądzę, aby ktokolwiek na tej górze oddychał. A następnie z wnętrza grobu dochodzi głos. Ktoś tam żyje, próbując usilnie wyjść, a my wkrótce widzimy, jaki jest tego powód. Pojawia się Łazarz, zabandażowany, jak na pogrzeb, owinięty od głowy do stóp paskami materiału. Gdy tak posuwa się w kierunku światła dziennego, zaczynają go odwijać, pomagając w poruszaniu się.

A więc stało się! Byliśmy świadkami zmartwychwstania!

Wiść o wydarzeniu przebiega szybko Betanię, a osoby biegnące z nowiną, docierają w dół wzgórza do Jerozolimy. W kilka minut informacja dociera do wewnętrznych pomieszczeń Świątyni, gdzie dostojni kapłani i dumni nauczycieli w Piśmie, zaangażowani są w typowo akademickie dyskusje nad tym, czy umarły może kiedykolwiek powstać do życia. Jedni uważają to za pewną możliwość, podczas gdy inni, miejscy Saduceusze śmieją się z tego, jak z prymitywnego zabobonu, niegodnego w całym nowym wieku oświecenia. I wtedy właśnie posłaniec przerywa ich zadumę.

– Czcigodni starsi – mówi. – Musicie wiedzieć, że człowiek o imieniu Łazarz z Betanii, który zmarł cztery dni temu, właśnie został powołany do życia przez nauczyciela zwanego Jezusem.

– Przyjdźcie, przyjdźcie mężowie, zgromadźcie swoich studentów – odpowiadają Saduceusze. – Czy będziecie wierzyć każdej plotce, jaka napływa od tych marzycieli w Betanii?

– To nie jest plotka, wielki nauczycielu. Sam widziałem.

Nad pokojem jakby zawisła ciemność: ciężkie przygnębienie, które człowiek może poczuć nawet fizycznie.

– Wiesz oczywiście, co to oznacza – wreszcie ktoś mówi, a głos załamuje mu się od stresu. – Ten człowiek czyni wiele cudów. Ludzie pójdą za Nim. Ukoronują Go na króla, a to ściągnie tu Rzymian. Przystaniemy istnieć jako naród.

Odzywa się głos dowódcy, niski i brzmiący. To Kajfasz, Najwyższy Kapłan.

– Bracia, w takich przypadkach lepiej jest, gdy jeden człowiek umrze, niż mielibyśmy ryzykować utratą całego narodu. Nie mamy wyboru. Musimy znaleźć sposób na położenie kresu temu niebezpieczeństwu.

Każdy rusza do działania. Udają się, aby znaleźć tego kłopotliwego Galilejczyka z jego surową grupą naśladowców. Ale ich przeszukiwanie wzgórz w Betanii kończy się fiaskiem. Jezus odczuwał już nadchodzące niebezpieczeństwo, udał się więc wraz ze swymi uczniami na pustynię, do miasta zwanego Efraim.

Rozdział 20

Sąd o północy

Czas: Święto Paschy

Jeszcze tydzień do święta Paschy, a Jerozolima już pełna jest szumu od przygotowań. Na terenie kraju można też dostrzec pierwsze dowody wiosny: tęczę pączkujących dzikich kwiatów i wzgórze pokryte świeżą zielenią. Ze wzgórz tych schodzą całe tłumy, które zawsze zmierzają do Jerozolimy o tej porze roku. Nadchodzi czas wielkiego święta, pamiątki wyzwolenia Izraela, nic więc dziwnego, że przybywają na to święto Żydzi z całego świata.

Jednak w najskrytszych pomieszczeniach Świątyni panuje smutny nastrój. Po eleganckich salach tego tajemniczego i prywatnego dominium poruszają się świadomie małe grupki dobrze ubranych mężczyzn, porozumiewając się wyciszonymi głosami i panując nad każdym gestem. Przechodzą przez drzwi mocno strzeżone przez policję świątynną, zaś potok posłańców nieustannie przepływa tam i z powrotem, dostarczając informacji i śpiesząc się do wykonania swoich zadań. Są to najpotężniejsi ludzie w Izraelu i właśnie układają plan, jak złapać Jezusa.

Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, przyprowadzą Go na krótką rozprawę przed Sanhedrynem, gdzie zostanie oskarżony o wielkie przestępstwa i niemal natychmiast skazany. Nie mogą dokonać egzekucji zgodnej z prawem, to oczywiste; pod rzymskim prawem wolno to zrobić tylko Rzymianom, jednak uzyskanie zgody nie powinno stanowić większej przeszkody. Cesarski namiestnik, Poncjusz Piłat, jest miękkim oportunistą, którego już wielokrotnie udało się Żydom pokonać w różnych sprzeczkach politycznych i który nie może pozwolić sobie na ryzyko powstania, jakie przyciągnęłoby uwagę cesarza Tyberiusza. Jeśli przywódcy żydowski uzyskają wyrok „winny”, Piłat powinien zatwierdzić ukrzyżowanie bez specjalnych sprzeciwów.

Jednak spiskowcy dostrzegają problem. Jezus jest obecnie niesamowicie popularny, a wzbudzenie z martwych Łazarza jeszcze przyspieszyło powstanie niemal dzikiego poruszenia i ekscytacji. Ujęcie Go w świetle dziennym byłoby straszliwie niebezpieczne, bowiem każdy ruch w kierunku aresztowania Go, mógłby wywołać bunt. Dlatego będą musieli działać nocą, szybko, i zakończyć wszystko jeszcze zanim ludzie mieliby szansę zareagować. Uważają, że gdy już będzie martwy, lud może popłakać sobie przez jakiś czas, ale ponieważ już niczego nie będzie można zrobić – cała sprawa prawdopodobnie ucichnie.

To wszystko pozostawia jednak Jego wrogów z problemem. Aby Go złapać nocą, będą musieli wiedzieć, gdzie się znajduje. Ponieważ nie ma żadnego domu,

zatrzymuje się tam, gdzie może znaleźć jakieś zakwaterowanie. Oznacza to, że nie znajduje się w tym samym miejscu nawet przez dwie noce z rzędu. To, czego chcą Jego wrogowie, to jakiejś pomocy ze strony bliskich Mu osób, pochodzących z Jego najbliższego otoczenia, którzy mogliby donieść im o Jego miejscu pobytu, tuż przed samym aresztowaniem Go.

Wydaje się, że jest to bardzo trudne, ale, jak sądzę, mógłbym wskazać, kto z Jego uczniów będzie tym człowiekiem – Judasz Iskariota. Jest to utalentowany człowiek, w dużym stopniu podziwiany przez grupę, ale niemal zawsze ma kanały dumy i ambicji otwarte w swoim umyśle, a z jakichś powodów były one ostatnio coraz bardziej dla nas dostępne. Nadal zastanawiam się, czy uda nam się go przekonać, aby wydał Jezusa, bowiem żywi on szczere uczucie dla Mesjasza, mam jednak nadzieję, że w odpowiednich warunkach będzie nam uległy.

Czas: Tydzień paschalny

Mimo knozań przeciwko Niemu, których jest całkowicie świadomy, Mesjasz skierował się znowu do Jerozolimy, zupełnie jakby szedł na zaplanowane rendezvous z niebezpieczeństwem. Dzisiaj pojawił się ze swoją grupą w Betanii, zatrzymując się w drodze z Jerycha do Jerozolimy, a Szymon, którego uzdrowił z trądu, zdecydował się wydać wielką ucztę ku Jego czci. Trwa posiłek, a Jezus znajduje się u szczytu stołu, siedząc pomiędzy Szymonem a Łazarzem, człowiekiem, którego niedawno wzbudził z martwych. Jedzą według palestyńskiego zwyczaju, w pozycji półleżącej, na sofach otaczających stół, a w tym zgiełku i rozgardiaszu przyjęcia, zauważam, że znajduje się tam nie zaproszony gość – no, tak naprawdę, to nie gość; nie przyłącza się do posiłku przy stole, a raczej przesuwa się wokół pokoju, aż do miejsca, gdzie znajduje się Jezus, którego nogi wystają poza stół. Niesamowite! Jeszcze nikt jej nie zauważył!

Ale niewiele później widzą już ją, bowiem uderzeniem jakby kamienia o kamień, otwiera flakonik alabastrowy z aromatem nardowym – perfumami owianymi niemal legendą ze względu na ich woń i wysoką cenę. Zapach szybko wypełnia pomieszczenie, powstrzymując od jedzenia, a zaciekawieni goście unoszą swoje głowy. Kobieta, zakłopotana ponad miarę, nadal wylewa olejek, który ma wartość zarobków z trzech lat. Wylewa wszystko na Jego stopy!

– Jezu – szepcze – tak wiele uczyniłeś dla mnie, więc i ja chciałam coś uczynić... – Jej głos zanika, przechodząc w łkanie, jeszcze bardziej kłopotliwe, a jej łzy pozostawiają małe ślady na oleistych perfumach, rozlanych na Jego stopach. I wtedy, z drugiej strony pokoju, dociera ochryply szept, doskonale wykalkulowany, odpowiedni do nastroju tamtej chwili. To Judasz!

– Jaka strata! Taka ilość olejku nardowego kosztowała tyle, ile starczyłoby na wykarmienie biednej rodziny przez całe lata. A ona jeszcze wylała to wszystko na podłogę!

Być może chodziło o to, aby ta uwaga dotarła do wszystkich, a może nie. Dociera jednak na pewno do jej uszu, więc kuli się jak wystraszone zwierzę. Ale teraz odzywa się Jezus.

– Pozostawcie ją w spokoju! Ubogich zawsze mieć będziecie. Ja zaś nie będę już z wami długo. Ona ofiarowała mi ostatni podarunek.

Widzę, jak Judasz wzdraga się, urażony naganą. *W porządku, Lucyferze, teraz jest odpowiedni czas!* Natychmiast wchodzę w jego myśli poprzez kanał zazdrośnej chciwości i zaczynam do niego mówić.

– Judaszu! Popatrz, co tu się dzieje. To przecież jest straszliwa strata, a On mimo wszystko to toleruje! Pomimo wszystkich swoich cudów, nie ma nawet pojęcia, jak we właściwy sposób zarządzać pieniędzmi – a gdyby tak znalazł się na tronie, popełni takie same gafy. Prawdopodobnie związałeś się z nieudacznikiem. Dlaczego nie miałbyś ratować tego, co jeszcze się da? Udaj się i zaofejruj pomoc tym z przywódców, którzy chcą Go ująć. Staniesz się później ich faworytem i, prawdopodobnie, będziesz także nieco bogatszy!

Judasz nagle wstaje od stołu i znika w mroku nocy. Nie muszę wcale iść za nim, bo wiem dobrze, dokąd zmierza: opuszcza Betanię, wchodzi na drogę pomiędzy Jerozolimą a Jerychem, skręca w prawo, idzie drogą w dół, tak, jak wije się ona wzdłuż zbocza Góry Oliwnej, przecina potok Cedron i udaje się przez wschodnią bramę do Świątyni. Będąc już tam, wystarczy, że wspomni swoje imię, a Policja Świątynna, która strzeże drzwi do pomieszczeń prywatnych Kajfasza, przyjmie go z całą gotowością.

Mój plan zaczyna być coraz bardziej spójny.

Czas: Noc święta Paschy

Jest wieczór poprzedzający Paschę, a w dużej sali na piętrze, w jednym z domów w Jerozolimie, Jezus wraz z dwunastoma uczniami zebrał się, aby spożyć wieczerzę paschalną. Jest i Judasz, chociaż teraz panuje już całkowicie nad jego myślami.

Mój plan zbliża się do swej pełnej realizacji, staram się więc przebywać z Jezusem niemal nieustannie, ale przewidując, że przez mniej więcej kolejną godzinę, Jezus będzie zajęty rutynowymi czynnościami wieczerzy paschalnej, wymykam się stamtąd na moment. Niektóre sprawy z ostatniej chwili są tak ważne, że wymagają mojej osobistej uwagi. Nie mogę powierzyć ich swoim podwładnym, dlatego więc, gdy ta mała grupka gromadzi się przy stole paschalnym, pozostawiam ich, udając się szbko w podróż wokół miasta.

W Świątyni, w pomieszczeniach prywatnych, nadal jasno palą się lampy. Chociaż jest to wigilia święta Paschy, ludzie tu najwidoczniej pracowali do późna, co oznacza, że mają jakieś plany do zrealizowania. Jest to dobrym znakiem. Następnie przechodzę obok domu Kajfasza, Najwyższego Kapłana, gdzie widzę

służbę kręcącą się po wielkiej sali przyjęć, nawet wtedy, gdy rodzina świętuje Paschę w mniejszym, bocznym pomieszczeniu. Słudzy wyczyścili podłogę i porzrzucali na niej w kręgu, mocno wypchane poduszki. Jest to sposób, w jaki przygotowuje się salę na spotkanie Sanhedrynu w sprawach sądowych. Na poduszkach zasiadają sędziowie, w otoczeniu niższych urzędników i pisarzy.

Wyśmienicie! Najwidoczniej Kajfasz planuje sąd nad Jezusem tej nocy i zamierza prowadzić proces raczej tutaj, a nie w Sali Ciosanych Kamieni w Świątyni. Dobrze myśli. Tutaj jest bezpieczniej, a miejsce o mniejszym publicznym znaczeniu uchroni ich od ryzyka obecności wścibskich gości.

Szybko przenoszę się do pałacu rzymskiego gubernatora. Piłat jest nerwowo, świadomy, że dni świąt narodowych są źródłem żydowskich niepokojów, rozmawia więc z dowódcą garnizonu, którego prosi, aby trzymał wszystkie oddziały w gotowości działania przez cały czas weekendu. Jego szef wojskowy, z góry do dołu zakuty w zbroję, informuje go o planach pacyfikacji Jerozolimy, od domu do domu, gdyby zaistniało niebezpieczeństwo jakiejś rewolty.

– Dobra robota, Lucjuszu – odpowiada Piłat. – Te dni świąteczne powodują moje straszliwe podenerwowanie i zawsze się cieszę, gdy mamy je już za sobą.

– Nie ma się o co martwić, Wasza Ekscelencjo. Moi ludzie są gotowi. Wszystkie oddziały są w gotowości bojowej. Broń została zaostrzona. Osobiście przeprowadziłem inspekcję we wszystkich manipulach, setkach i kohortach. Jesteśmy przygotowani do walki. Proszę spać spokojnie. Tej nocy nikt Ekscelencji nie przeszkodzi.

Przyjemnie popatrzeć na wojska rzymskie. Ci legioniści, to doświadczeni w walkach weterani; niektórzy z nich służyli już w Germanii w walkach z tamtejszymi dzikimi plemionami, a tutaj, w Izraelu, stałe napięcia powodują, że nie potrafią czuć się beztrosko. Gdy przyjdzie czas na rolę Rzymu w naszym planie, wykonają dobrze swoje zadanie. Rezydencję Piłata pozostawiam więc spokojnie.

Ze zwykłej próżnej ciekawości mijam garnizon armii rzymskiej w drodze powrotnej do sali na piętrze. Magazyn jest otwarty, zatrzymuję się więc na moment i patrzę, jak dwóch legionistów przy świetle pochodni układa krzyże do egzekucji. Szereg z nich wyjęto już na zewnątrz i położono na ziemi; pozioma poprzeczka każdego krzyża zostaje przymocowana do pionowej belki, a robotnicy zajęci są przybijaniem drewnianej podstawki, do której przybija się stopy ofiary.

– Dlaczego tyle zamieszania o tej porze nocy? -jeden z nich odzywa się jakby do siebie, przeklinając, gdy młotek rozmija się z główką gwoźdźcia i uderza go w palec. – Czemu, na Jowisza, nie można z tym zaczekać do rana?

– O, to ten stary o czarnych oczach boi się, że Żydzi poderwą się do powstania w ten weekend i chce abyśmy byli na to przygotowani. Nic tak, jak jedno czy dwa ukrzyżowania, nie przywróci ich do rzeczywistości. Oprócz tego, wydaje mi się, że tak, czy owak, ukrzyżowanie będzie musiało się odbyć – przynajmniej

pewnego faceta o imieniu Barabasz, jeszcze jednego z ich fałszywych Mesjaszów.

Pozostawiam tych narzekających robotników przy ich marnej pracy i zauważam, że są już gotowe trzy lub cztery krzyże. Dobrze. Sprawdziłem więc i to. A potrzebny nam będzie przecież tylko jeden.

W porządku, czas na to, aby udać się wprost do sali na piętrze.

Sala jest duża, na strychu jednego z domów w Jerozolimie, na tyle przestrzen-
na, że może pomieścić i sto osób, więc ta mała grupka znajduje się w jej jednym
końcu, gdzie zgromadzili się przy stole paschalnym. Coś jednak jest nie tak.
Powietrze stało się tak gęste, że można by je ciąć nożem. Gapią się na siebie
i nikt się nawet nie porusza.

– Celsorze, co tu się właściwie dzieje?

Na twarzy mojego oficera dyżurnego pojawia się uśmiešek zadowolenia.

– Spowodowaliśmy, że wszyscy zaplątali się we wzajemnych urazach i podej-
rzeniach. Kilka dni temu dwóch z nich – ci dwaj bracia, którzy tam siedzą –
wpadli na pomysł, że Jezus zostanie ukoronowany na króla. Stało się to zaraz po
tym wydarzeniu, gdy tłumy urządziły mu tamten triumfalny przejazd z Beta-
nii do Jerozolimy. Tak więc, starając się wyprzedzić pozostałych uczniów, udali
się do Niego i poprosili o dwa najwyższe urzędy w Jego królestwie. Ktoś ich
jednak podsłuchał, jak zwrócili się z tą prośbą do Mesjasza i teraz każdy jest tym
mocno poruszony. Robiliśmy wszystko, co tylko możliwe, aby jeszcze rozjątrzyć
ich emocje, a skutki znajdują się przed twoimi oczami.

– Dlaczego więc każdy siedzi teraz tak, jak posąg?

– Popatrz tylko na ich stopy, Mistrzu. Są brudne. Chodzili przez cały dzień
w swoich sandałach, a etykieta wymaga tego, aby przed jedzeniem umyli sobie
stopy. Zazwyczaj czyni to sługa, ale zgadnij, co się stało. Nie stać ich na sługę.
Tak więc teraz siedzą, gapiąc się na siebie i nikt się nie kwapi, aby wykonać tę
brudną robotę.

– Tak – odpowiadam – a do tego On ma wkrótce umrzeć. Czy On rzeczywi-
ście myśli, że może użyć takich nieudaczników jak ci?

– Kto to wie? – Celsor wzrusza ramionami. – Jednak jeśli On nie może ich
wykorzystać, na pewno my będziemy mogli.

Chichoczę z powodu jego bystrości, ale śmiech zamiera mi gdzieś w gardle.
Jezus powstaje, udaje się do pojemnika z wodą i nabiera jej nieco do miski.
Potem bierze ręcznik z wieszaka, przewiązuje go na swych biodrach i zaczyna
myć ich brudne stopy!

Muszę przyznać, że nawet ja nie byłem na to przygotowany. Słyszałem, jak
słowem powoływał do istnienia ten świat i chociaż jestem zaangażowany w wal-
kę z Nim na śmierć i życie, nadal podziwiam Jego moc – moc, o jakiej kiedyś
sam marzyłem, by ją posiąść. Nigdy nie spodziewałbym się, aby Stworzyciel
mógł się tak upokorzyć.

Podobnie też, i widać to wyraźnie, nie spodziewali się tego uczniowie. Każ-

dy ruch Jego rąk po ich stopach wydaje się stanowić dla nich torturę i wyrzuty sumienia, a jeden z nich – Piotr, ten wielki galilejski pływak – wydaje się być szczególnie poruszony. Nie mogą się powstrzymać od śmiechu.

Kończy umywanie ich stóp, opróżnia miskę i wieszka ręcznik, a następnie odzywa się do nich, jakby byli najszlachetniejszą grupą ludzi na świecie.

– Gorąco pragnąłem spożyć tę wieczerzę paschalną z wami – mówi – ponieważ jest to ostatnia wieczerza, jaką spożyjemy razem na Ziemi. Wkrótce was pozostawię. Ale to, co boli mnie najbardziej, to to, że jeden z was mnie wyda.

Nastaje kamienna cisza, po której odzywa się wiele głosów, tworząc niezłą wrzawę. To każdy z uczniów domaga się żałośnie informacji, czy to on będzie zdrajcą. Jednak wśród tego zamętu pytań, jeden tylko człowiek pozostaje tajemniczo smutny. To Judasz.

W jakiś sposób cała grupa odczuwa, że on nie przyłączył się do tych rozpaczliwych poszukiwań prawdy, ich zaciekawione oczy zaczynają więc przeszywać go z niewypowiedzianą ciekawością: *no, Judaszu, czy nie jest to dla ciebie ważne, aby też o to zapytać?* Nieprzekonywająco stawia więc pytanie:

– Czy to ja? – i otrzymuje na nie smutną i cichą odpowiedź:

– Sam powiadasz. Co masz zatem czynić, czyń szybko.

Judasz wysuwa się z sali i znika w ciemności nocy, gdzie świadomie udaje się w kierunku dobrze strzeżonego, narożnego wejścia do Świątyni. Pełniący służbę wartownik rozpoznaje go od razu i służalczo otwiera drzwi. Poczucie on jeszcze smak tego, że go rozpoznał, co teraz tak bardzo podkreśla.

Północ

Jestem przy Mesjaszu w każdej chwili. Nie śmiem Go opuścić. Jeśli nasze plany przebiegną dobrze, wydarzenia powinny potoczyć się bardzo szybko.

Ceremonię wieczerzy paschalnej zakończyli około dwie godziny temu i wyszli z sali na piętrze. Przesuwając się po ciemnych ulicach Jerozolimy, udali się w kierunku wschodniej bramy, przeszli przez potok Cedron i odnaleźli dróżkę do ogrodu, który Jezus zawsze lubił. Jest to niewielki sad drzew oliwnych, zwany Getsemane, miejsce, gdzie znajdowała się też prasa oliwna. Tam błagał uczniów, aby modlili się o Niego, a sam odszedł kilka kroków dalej, zgięty tak, jakby dźwigał ciężar całego świata. Właśnie w tym momencie podszedł do mnie Thormak, potężny anioł z Królestwa Światła.

– No więc, szatanie, masz swoje życzenie. Zostaliśmy wezwani z powrotem do Królestwa i nie możemy Go więcej chronić. Jest twój. Nie wolno nam interweniować. Chciałbym, aby było inaczej. *Jakże bardzo chciałbym, aby było inaczej.*

Zmierzył mnie z góry do dołu, tak, jakby to on miał ze mną toczyć osobiście walkę, a potem z wielkim wysiłkiem zmusił się do odejścia, a jego potężna postać pochyliła się bardzo, w doskonałym obrazie smutku i rezygnacji. *Thormak,*

pomyślałem sobie, *nie musisz się martwić o to, że ja Go zabiję. Chcę, aby to się stało z rąk istot Jego rodzaju. Chcę, aby zrobili to ludzie. Chcę, aby został zbezczeszczoney przez te same stworzenia, które ma nadzieję zbawić.*

Już więcej nie powstrzymywany przez moc strzegących Go Strażników, chętnie podchodzę do Niego, a gdy się zbliżam, widzę, że w rozpaczy chwytając rękami. Coś na Niego spada, jakby przygniatał go kamień prasy oliwnej, znajdującej się o kilka kroków stąd, który wyciska olej z owoców w czasie zbiorów. Widać, że jest już niemal całkowicie rozbity.

– *Nie!* – woła. – *Nie dam rady!* – Ale zaledwie chwilę później dodaje: – Wszakże nie moja, ale Twoja wola niech się stanie.

Jego modlitwa łączy się jedynie z krótkimi westchnieniami, jakby uchodziło z Niego życie, podobnie jak z wygasającej świecy w świeczniku, a gdy odwraca się, aby zobaczyć, czy modlą się także jego uczniowie, zauważa, że wszyscy śpią, pochrapując beztrzesko na przywitanie pierwszych chwil dnia, w którym On umrze. Unosimy się nad Nim, zasłaniając tę małą grupkę swoją obecnością. Nigdy nie pozwolono nam znajdować się tak blisko, przejmuje więc ich nasza moc. Przez to, że się nie modlą, utracili także znacznie z ochrony Strażników, a siły Thormaka stoją bezradnie, gdy najbliżsi przyjaciele Mesjasza pozwalają, żeby On przechodził przez taką mękę sam.

Teraz mam swoją szansę, aby poprowadzić wojnę bez oporów nad Jego umysłem.

– Jezusie, *po co?* Po co to wszystko znosić? Popatrz na nich. To są ci najlepsi, jakich masz, a nawet i oni nie wiedzą, przed czym stoisz. Nie warto, nie na tej małej Ziemi. Ani nawet w jednym procencie nie masz uwagi tych ludzi, których starasz się zbawić. *Podдай się!* Wycofaj się teraz, póki jeszcze można – ponieważ gdy raz przyjmiesz na siebie ich winę, nigdy już nie powrócisz do Królestwa. Starodawny nie będzie mógł Cię przyjąć, w każdym razie nie splamionego ich grzechami. A tak, umrzesz tutaj, z nami wszystkimi. *Nie bądź głupcem!* *Wycofaj się!*

Wpatruje się we mnie, jak człowiek, który patrzy w twarz czemuś straszliwemu, i nagle zdaje sobie sprawę, że nie jestem po Jego stronie bariery czasoprzestrzeni. Znajduję się w czwartym wymiarze, a jednak potrafił mnie dostrzec! Oznacza to, że On wciąż ma moc boską, nawet teraz. Nowa myśl więc przychodzi mi do głowy.

– Masz moc, skorzystaj z niej! Uwolnij się, zabierz swoich uczniów i odejdz. Pozostaw resztę tutaj!

Woła głośno, jakby w bólu fizycznym i ponownie błaga, aby minęła Go ta gehenna.

– Ojczy! – woła – Jeśli można, proszę, spraw, abym nie musiał przez to przechodzić. Ale...

Niemal w bezdechu oczekuję kolejnej Jego wypowiedzi, aż docierają do mnie

te fatalne słowa poddania, słyszane tylko przez moje siły, bowiem Jego przyjaciele nadal śpią, będąc nieświadomymi tego, co się tam dzieje.

– ... ale jeśli się nie da, jeśli trzeba tego, abym zbawił ludzkość, *niechaj się stanie Twoja wola*.

Zataczając, unosi się, i kieruje do najbliższych sobie uczniów.

– Proszę! – błaga ich. – Módlcie się ze mną!

Piotr wpatruje się w ślaniającego się Jezusa, którego twarz oświetla pełny księżyc tej paschalnej nocy.

– Oczywiście, naturalnie – mamrocze, i przez chwilę lub dwie wydaje się, że nawet próbuje. Jednak my zwalamy się na niego całymi tysiącami, wielką armią, która zamierza zakończyć jego na w pół świadomy apel do Królestwa, szybko więc głowa mu opada na piersi, zamykają się oczy i ponownie zapada w sen, pozostawiając Jezusa samego w tej nocnej walce.

Ale to wkrótce się zmienia. Po zachodniej stronie, przy portalu wschodniej bramy, nagle zauważyć można światełka pochodni i gwar mamrotających głosów. Tłum, prowadzony przez kogoś, kto dobrze zna tę drogę, kieruje się świadomie do Getsemane; przechodzą przez potok Cedron, wchodzą do ogrodu, kierują się w lewo, gdzie krzyżują się ścieżki, podchodzą do nieruchomych kształtów ciał Jego śpiących uczniów, którzy teraz budzą się z powodu powstałego zamieszania.

– Tutaj jest, brać Go! – krzyczy oficer. – Tak, to ten, którego całuje Judasz.

I rzeczywiście, mój ludzki zwolennik podchodzi do Jezusa i całuje Go kilkakrotnie, jakby to było spotkanie dwóch przyjaciół, którzy dawno się nie widzieli. Natychmiast po tym wysuwa się do przodu policja świątynna, mając w rękach ciężkie zwoje lin i niemal już dochodzą do Jezusa, gdy nagle, jakby z mojej strony bariery, przechodzi oślepiający błysk energii, który powoduje, że i mnie zabrakło oddechu. Zszokowani oficerowie cofają się, skamieniali mocą, której nie widzą, padając natychmiast na plecy i nie potrafią się ruszyć.

To Thormak. Nie mógł tej nocy uratować Mesjasza, ale, jakby piorunem, utworzył pomiędzy Jezusem a tłumem przestrzeń – jeden, ostatni, desperacki gest ochronny. Potem wycofuje się, a tłum ponownie się gromadzi.

– Kogo chcecie? – zapytuje Jezus, a Jego głos jasno brzmi w nocnym powietrzu. Zauważam, że wszelkie ślady duchowej walki pozostawił za sobą. Jest opanowany i stanowczy. Podjął decyzję: *pójdzie z tym wszystkim do przodu, w samą paszczę piekła*.

– Jezusa z Nazaretu – odszczeknęli. – Czy to Ty?

– Tak. A jeśli to o mnie wam chodzi, pozwólcie tamtym odejść.

Jednak okazuje się, że nie jest to wcale takie proste. Piotr, ten pełen impetu, surowy rybak, ma przy sobie krótki miecz rybacki, którego kiedyś używał dla czyszczenia swoich złowionych ryb i odcinania trzciny z liny kotwicy. Gdy więc tłum zbliża się do Jezusa, sięga po swoją broń, unosi ją ponad głową sługi

Najwyższego Kapłana i opuszcza ją w dół, z mocnym zamachem drwała, planując bez wątpienia, rozdzielić na części tego człowieka. Jednak przypadkowo jego cios nie jest dokładny; rozmija się z głową człowieka, odcinając od głowy jego ucho.

– Piotrze! – rozkazuje Jezus. – Odłóż tę broń. Przeprowadził mnie tu Ojciec, który jest w Niebie. Niechaj się stanie to, co ma się stać.

Teraz Jezus podchodzi, podnosi ucho i w swoim ostatnim cudzie uzdrowienia, przywraca je człowiekowi.

Oto w jakim stopniu kierujemy tym tłumem, że nawet to na nich nie robi wrażenia. Udają się do przodu, krępiąc z tyłu ręce Jezusa i wiążąc go, podczas gdy uczniowie przygnębieni, zagubieni i smutni zawrócili i gdzieś poznikali w ciemnościach. Złapano jednego młodzieńca, nastolatka, który włókł się za uczniami tego wieczoru. Ubrany jednak tylko w lniane prześcieradło, zręcznie wykręcił się z niego i nago uciekł, ukrywając się pod płaszczem nocy.

Miejsce: dom Kajfasza

W wielkim, ładnym domu Kajfasza gromadzi się Sanhedryn, zajmując miejsca na poduchach, które otaczają cały pokój schludnym kręgiem. Cel zorganizowania w taki sposób sali sądowej jest bardzo prosty: wszyscy świadkowie będą stali w środku, otoczeni przez sędziów, tak więc każdy sędzia, od najmłodszego do najstarszego, będzie miał równie dobrą widoczność.

Żydowski system prawny sięga jeszcze czasów Synaju i prawdopodobnie na ziemi nigdy nie znajdzie sobie równego. Najwyśmienitsze umysły w Izraelu wypracowywały ten system przez niemal piętnaście wieków, jest więc rzeczą niemal niemożliwą, aby skazać niewinnego człowieka. W przypadkach kary śmierci, a o taką teraz chodzi, przynajmniej dwóch naocznych świadków – wprowadzanych przed sąd pojedynczo – musi złożyć identyczne zeznania o całym przestępstwie, a znajdują się oni w bezlitosnym krzyżu pytań sędziów, bowiem sam sąd ma zadanie, by funkcjonować jako rada obrończa oskarżonego!

Jeśli świadectwo wszystkich świadków nie jest zgodne we wszystkich detalach, wtedy zadaniem Najwyższego Kapłana, który kieruje sądem, jest wypuszczenie wolno oskarżonego. A jeśli, po wysłuchaniu dowodów, cały Sanhedryn szybko zgadza się co do winy, wtedy zadaniem Najwyższego Kapłana również jest *uniewinnienie* więźnia – na podstawie tego, że tak szybka i jednogłośnie decyzja ma posmak decyzji wynikającej z nacisku psychozy tłumu!

To właśnie przeciwko temu systemowi występuje wielu naszych ludzkich sprzymierzeńców, a mnie to martwi. Kajfasz jest bardzo dystyngowanym człowiekiem, jednak nigdy nie był i nie będzie wyśmienitym prawnikiem, dlatego mam nadzieję, że uda mu się przezwyciężyć przeszkody, jakie znajdują się w tym systemie.

Jedno jest pewne: jeśli spróbują, a nie uda im się, prawdopodobnie kolejnej szansy już nie będzie. Lud dowie się o tym, a jeśli Jezus nie zostanie szybko skazany i wyrok nie zostanie wykonany, lud może wywołać rewolucję.

Jest jeszcze inny problem, ale na ten będziemy musieli przymknąć oko: tego typu rozprawy nie powinny odbywać się nocą. Ponieważ tradycja żydowska uważa, że taki proces jest swego rodzaju aktem religijnym, zgodnie więc z prawem musi się odbywać w czasie pomiędzy ofiarą poranną a wieczorną, co automatycznie wskazuje, że za dnia. Nie ma jednak żadnego sposobu, w jaki Kajfasz może sprostac temu przepisowi; jeśli proces miałby odbyć się za dnia, przy obecności ludzi, mógłby się przykro odbić na oskarżycielach.

Tak więc sąd gromadzi się jako państwowa parada bogatych szat i przytłaczającego dostojęstwa. Szybko przeliczam sędziów i zauważam, że dwóch z nich, Nikodem i Józef z Arymatii, jest nieobecnych. Nie wezwano ich na proces. Obaj bowiem znani są ze skłonności do nauk Mesjasza, więc ich dzisiejsza obecność stałaby na drodze powziętym zamiarom.

Wchodzi Kajfasz, zajmuje swoje miejsce w samym środku kręgu, a od niego załamuje się linia sędziów: w prawo i w lewo. Przed nim zajmują miejsce trzech dostojni skrybowie. Będą spisywali głosy. Pisarz po lewej stronie Najwyższego Kapłana będzie przeliczał głosy oskarżające, a pisarz po prawej stronie będzie przeliczał głosy za uniewinnieniem. Ten, który znajduje się w środku, będzie zliczał je razem i upewni się, czy pozostali dwaj przeliczyli poprawnie. Kajfasz zabiera głos.

– Wprowadzić więźnia i wezwać pierwszego świadka.

W trakcie procesu

Świadkowie, jeden za drugim wchodzi do środka sądu i wydają świadectwo. Tak, ten człowiek jest niebezpieczny; naucza rzeczy wywrotowych i podburza tłumy. Słyszano, jak bluźnił, twierdząc, że może wybaczać grzechy, nie zgadza się też z pewnymi tradycjami rabinistycznymi związanymi z Szabatem. Och, i mówił też coś o zburzeniu Świątyni.

Ale coś w tym jest nie tak: *ani jeden ze świadków nie jest zgodny w swych zeznaniach z pozostałymi!* Żaden z nich! Jedni mówią tak, drudzy mówią inaczej. Kajfaszu, ty idioto! Zanim nie znajdziesz dwóch zgodnych świadków, twoje własne prawo zmusi cię do uwolnienia Go! Rzeczywiście, z powodu wszystkich rozbieżności, jakie już usłyszałeś, zgodnie z prawem już powinieneś Go uwolnić! Czy nie mogłeś wcześniej przygotować tych ludzi?

Gotuję się wręcz ze złości. Jest to końcówka mojej walki z Narodzonym, a ci nieudolni ludzie w tym wszystkim bałaganą. Nagle, nawet i Kajfasz zaczyna to odczuwać, że prawdopodobnie przegra proces wszechczasów, sięga więc do swoich podstępnych zasobów w celu znalezienia jakiegoś intrygi: próbuje osobiście przesłuchać Jezusa!

Aż skrzywiłem się z bólu. Mesjasz już zrobił z prawników głupców, i to znacznie lepiej niż Kajfasz. Próbowali Go przechrzyć argumentami, nad którymi myśleli od wielu dni, a On odparł to wszystko tak zręcznie, że w końcu musieli się poddać, w obawie przed jakimkolwiek wyśmianiem publicznym. Z narastającą frustracją słucham, jak Najwyższy Kapłan niezręcznie stara się załatwić więźnia. W odpowiedzi otrzymuje ostre słowa, których się obawiałem:

– Otwarcie nauczałem w waszych synagogach i świątyni. Wszystko, co mówiłem zostało spisane. Przygotowaliście wielu świadków. Dlaczego mnie nie zapytacie? Dlaczego nie zapytacie świadków?

No, Kajfaszu, to jest wszystko, czego ci potrzeba – wezwij z powrotem tych twoich beznadziejnych świadków! Przez moment z przerażeniem patrzę, czy tego nie zrobi! Ale w tym momencie uwaga wszystkich zostaje przerwana głośnym *kłaśnięciem*. Jeden z urzędników, który stał obok Jezusa, był tak zrozpaczony zakłopotaniem Kajfasza, że uderzył Jezusa w policzek.

Od tego momentu wszystko zostało jakby wywrócone do góry nogami. Najwyższy Kapłan patrzy wokoło błagalnym wzrokiem, jego zamroczone oczy bez słów domagają się pomocy, jednak cała grupa starszych sędziów wydaje się być sparaliżowana w dezorientacji. W tylnich rzędach sędziów, całkiem młody człowiek – pewnego dnia kandydat na członka Sanhedrynu – patrzy się na wszystkich i w typowy dla młodych ludzi sposób śmieje się z ironii tego wszystkiego, jakby potwierdzając moje niskie zdanie na temat zdolności Kajfasza. W końcu, w przypływie desperacji, Najwyższy Kapłan wzywa imienia Wszechmogącego.

– Zaklinam cię na Boga żywego, abys nam powiedział, czy Ty jesteś Mesjaszem, Synem Boga?

Ponieważ użyte zostało imię Ojca, Jezus odpowiada.

– Jam Jest – odpowiada używając słów, które składają się na hebrajskie imię Boga, a potem dodaje myśl, której Kajfasz nie oczekiwał i która wypełnia mnie przerażeniem:

– Pewnego dnia ujrzysz mnie siedzącego na prawicy mocy Bożej i przychodzącego na Ziemię wśród obłoków aniołów.

Zaczerwieniony na twarzy, zalany potem, Kajfasz podnosi się ze swojej poduchy, a na jego twarzy maluje się cała emocja. Ręce obciążają bogaty strój, który nosi w związku z jego wysokim urzędem. Da się słyszeć odgłos rwanych szat, a on sam głośno krzyczy.

– Słyszeliście wszyscy to bluźnierstwo! Jaki jest wyrok?

Da się słyszeć grzmiący chór wykrzykujący słowo „winny” – szybki, jednogłosny werdykt, który w hebrajskiej jurysdykcji, wymaga *uniewinnienia* więźnia!

Właśnie zaczyna świtać. Wiążą Go więc, aby doprowadzić przed Poncjusza Piłata.

Dzień krzyża

Miejsce: Pałac

Poncjusz Piłat, który mimo wszystko lękał się nadejścia świąt paschalnych, zostaje rozbudzony piskliwymi głosami, które zakłóciły brzask dnia. Setnik niechętnie udaje się do drzwi jego sypialni i dyskretnie puka.

– Ekscelencjo – mówi głosem, w którym słyszeć ból – obawiam się, że zaistniał kłopot. Hebrajczycy mają człowieka, którego egzekucji domagają się jeszcze dzisiaj. To coś, co ma wspólnego z ich specyficznymi przekonaniem. Zebrał się już duży tłum, a ludzi ciągle jeszcze przybywa. Co chciałbyś, abym im powiedział?

Kipiąc ze złości, wciąż wyglądający młodo gubernator, uwalnia się ze swoich lnianych prześcieradeł i siada; jego ciemne włosy poplątały się podczas bezsennej nocy, zaś czarne oczy zamykają się.

– Chciałbym im powiedzieć, aby się wynieśli – odpowiada – ale musimy wysłuchać ich gadaniny. Powiedz im, że będę gotowy za godzinę i każ służącej podgrzewać wodę do kąpieli.

– Woda jest już gotowa, Ekscelencjo. Widzieliśmy ich, jak szli i pozwolili sobie...

– Bardzo dobrze.

Tłum jest już wielki i bardzo hałaśliwy, a gdy tak czeka, całą swoją frustrację wyładowuje na Więźniu, który odebrał już całkiem niezłe lanie. Jednak nic się nie odzywa, przyjmując karę, a jego myśli cofają się do tamtych dni, w Nazarecie, gdzie znosił uderzenia i uderzenia od młodych chuliganów. Czy i to też było częścią planu – młodość, podczas której nauczył się znosić urągania bez słowa narzekania, aby przygotować się na ten dzień?

Zaistniało niemałe poruszenie. Na ułożonej kupie kamieni brukowych, na zewnątrz pałacu, ustawiono krzesło sędziowskie, a kilka chwil później wychodzi Piłat i zajmuje miejsce na tym kurulnym, wykładanym kością słoniową, krzesło.

Piłat w najmniejszym stopniu nie jest szczęśliwy, a jego zachowanie jest bardzo szorstkie.

– No więc, o co chodzi? O co oskarżacie tego człowieka? – W tej chwili zachowuje się pod każdym względem jak sędzia rzymski, podchodząc do sprawy jak do biznesu; domaga się jedynie dowodów, ale zobaczymy, jak poradzi sobie teraz wobec swoich odwiecznych wrogów, którzy nigdy nie ustąpili ani na trochę, aby go pokonać.

– Gdyby nie wszczynał niepokojów, nie przyprowadzilibyśmy go tutaj! – odpowiadają burzliwie.

– W takim razie weźcie Go sobie i karzcie według waszego prawa. Nie zwracajcie mi Nim głowy.

Na chwilę powstało zamieszanie, szybka konsultacja oskarżycieli między sobą, a następnie odpowiadają.

– Nie możemy. Jest to sprawa kary śmierci. On zasługuje na śmierć, a prawo rzymskie nie pozwala nam na dokonywanie jakiegokolwiek egzekucji.

– *Kary śmierci?* Chcecie, abym podpisał wyrok śmierci na Niego – *ot, tak sobie?* – Odwraca się z niesmakiem i kieruje się do sali sądowej, pozostawiając tłum za sobą.

– Setniku, przyprowadź tego człowieka do mnie. Tutaj Go przesłucham.

Jednym z jego zajęć jako gubernatora, jest funkcjonowanie w roli sędziego, i Piłat prowadził już wiele cywilnych spraw, ale gdy przyprowadzono do niego Jezusa, jego oczy otwierają się szeroko. Widział już całą gamę przestępców – morderców, złodziei recydywistów, nawet jednego czy dwóch fałszywych mesjaszów, bowiem takich było już wielu. Oczekiwał więc, że ujrzy posepną twarz człowieka, który wie, że stracił wszystko, i który przygotowany jest, aby pójść na śmierć, plując w twarz całemu piekłu. Ale ten? Nic z dotychczasowego doświadczenia nie przygotowało Piłata na to, z czym jest teraz skonfrontowany. Jezus został dotkliwie pobity; jedno oko ma podbite, na twarzy znajdują się głębokie bruzdy, a na nosie ma zaschniętą krew. Mimo to emanuje spokojem!

– Mówią mi – odzywa się Piłat, chrząkając i starając się skupić – mówią, że uważasz się za króla żydowskiego. Czy to prawda?

– Sam mówisz, że jestem królem. Moje królestwo nie jest z tego świata.

– Jesteś więc królem?

– Tak, mówiąc po ludzku, można to tak określić. Ale Ziemia nie jest moim królestwem. Przyszedłem na ten świat tylko w jednym celu, aby poprowadzić ludzi do prawdy. I to jest moim królestwem. Jestem Królem królestwa prawdy.

Przez długie chwile Piłat przygląda Mu się – ranom, porwanym szatom, do-wodom pobicia i temu spokojnemu dostojeństwu, które przetrwało to wszystko bez szkody. *Nie, zadumał się sam, ten dziwny, cichy człowiek nie jest zagrożeniem dla Cesarstwa. W Germanii, gdzie raz walczyłem, mieszkają dzicy barbarzyńcy, ludzie okrutni, którzy są w stanie przebić oszczepem konia, oni są niebezpieczeństwem. Ale ta łagodna dusza, która nazywa siebie królem prawdy? Rzymowi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo od takiego człowieka.* Piłat nagle kieruje się do drzwi.

– Cisza! – rozkazuje setnik. – Jego Ekscelencja zasiadł na krześle sędziowskim. Słowa powoli padają na kamienie brukowe.

– *Nie znajduję w Nim żadnej winy!*

Tłum wpada we wściekłość.

– Wszędzie wywoływał problemy, stąd, aż do Galilei!

Ciemne oczy Piłata pojaśniały.

– Galilei? Czy powiedzieliście, że do Galilei? W takim razie, jest to już poza moją jurysdykcją. To jest sprawa dla Heroda. Setniku! Czy Jego Ekscelencja, król Herod jest w swojej rezydencji?

– Tak, Panie, znajduje się teraz w mieście.

– Bardzo dobrze – mówi Piłat, w pośpiechu sporządzając osobistą notatkę. – Zabierz tego człowieka do Heroda i przekaz mu tę wiadomość. – I kierując się do tłumu, mówi – a wy wyjdźcie stąd. Nie chcę was tu więcej widzieć.

W godzinę później

Krótki był czas spokoju Piłata. Wędrówka do Heroda okazała się bezużyteczna. Przebiegły król-marionetka próbował ożywić sobie godziny poranka, domagając się od Jezusa cudu, czegoś, co rozbawiłoby jego dwór, ale dla niego, mordercy Jana Chrzciciela, Mesjasz miał tylko zimne milczenie. W obecności Heroda nie wypowiedział ani słowa, powodując raczej, że zakłopotany król unosił się w niecierpliwości wobec pytań, które stawiał, a które nie znalazły żadnej odpowiedzi. Sfrustrowany Herod decyduje w końcu, aby sam stworzyć sobie zabawę.

– Bardzo dobrze, wasza *wysokość* – mówi sarkastycznie – skoro nie chcesz nas zadowolić rozmową, będziemy musieli znaleźć coś innego. Służba, – odwraca głowę – udajcie się do magazynu i przynieście moją starą szatę purpurową, tę poplamioną winem. Przynieście ją tutaj. Wydaje mi się, że Jego Majestat, Król Żydów, nie jest odpowiednio ubrany, jak należy, w purpurę.

Zdzierają z Niego jego szatę i narzucają na Niego starą szatę królewską, a potem drwiąc sobie, kłaniają się, wykrzykując wszelkiego rodzaju sprośne uwagi, a dołącza się do tego Herod, wywołując burzę śmiechu, gdy klęka w kpiarskim hołdzie przed pobitym Hebrajczykiem. Ale po godzinie ta zabawa ich męczy, tak więc Piłat znów zostaje nawiedzony przez setnika.

– Znowu tu są, Ekscelencjo, chociaż Herod nie znalazł w Nim winy. Wydaje mi się, że to Ekscelencja będzie musiał podjąć decyzje w tym przypadku.

W tym momencie jednak Piłat ma coś bardziej kłopotliwego do rozważenia, niż obecność zeźlonego tłumu. Właśnie nadszedł posłaniec, przynosząc na srebrnej tacy schludnie zrolowany zwój pergaminowy. Został on zabezpieczony znaną Piłatowi pieczęcią woskową, a pachnie perfumami, które dobrze rozpoznaje. Jest to wiadomość od żony.

„Nie miej nic wspólnego z tym niewinnym człowiekiem – błagała w liście. – Właśnie wiele wycierpiałam z powodu strasznego snu. Widziałam, jak samo niebo rozszałało się podczas burzy. Och, Piłacie, czeka cię nieszczęście, jeśli Ten Człowiek zostanie skazany”.

Gdy gromadzi się tłum, Piłat wyraźnie jest poruszony.

– Przeprowadźcie więźnia! – rozkazuje, a gdy Jezus przychodzi, zwraca się do Niego z pytaniem.

– *Powiedz, skąd pochodzisz?*

Wraz z Marcolithem wymieniamy z zakłopotaniem spojrzenia. Piłat prowadzi do rozszyfrowania wszystkiego: tu list od żony, tu znowu fragmenty prorocтва hebrajskiego, które zaabsorbowały go podczas tych wielu lat życia wśród Żydów, a nawet te rzymskie legendy, które podają o przyjściu bogów na niebie – *ten człowiek może być jednym z nich*. Jego pełne troski pytanie zdradza świątającą w jego myślach świadomość niebezpieczeństwa.

Jednak Jezus nie odpowiada – wciąż milczy.

– Czy odmawiasz rozmowy ze mną?! – wydziera się Piłat. – Czy nie wiesz, że mam moc, aby cię ukrzyżować?!

– Nie miałbyś żadnej mocy, gdyby nie została ci dana z nieba, od Władcy, który wyższy jest niż ta ziemia.

Piłat szybko powraca na zewnątrz, jego twarz blednie, a toga przesiąknięta jest potem.

– Żadnej winy w Nim nie znajduję! – wrzeszczy. Głos mu drży i niemal brzmi jak błaganie, a to, co powiedział, całkowicie wystarczy, aby zniszczyć nasze plany. Faktycznie wypowiedź Piłata jest już werdyktem! Ogłosił, że Jezus jest niewinny według prawa rzymskiego. Teraz jego zadaniem jest uwolnienie Więźnia!

– A więc mamy – zwracam się do Marconidesa. – Teraz Piłat Go wypuści. Jesteśmy zgubieni.

– Ależ nie! – odpowiada mój zastępca. – Popatrz na niego. Wydaje mi się, że chce jeszcze coś dodać.

Ale, co niesamowite, ten gładzący Piłat, po ogłoszeniu werdyktu, popełnia błąd, rozpoczynając dyskusję, tak, jakby chciał się jeszcze targować!

– Słuchajcie, jest zwyczaj, który chętnie uszanuję, że na święto Paschy wypuszczam wam jednego więźnia. Jest człowiek, który został skazany na śmierć, Barabas, człowiek dziki i przestępca. Dam wam dzisiaj możliwość wyboru: kogo mam uwolnić? Bandytę, czy Człowieka, którego nazywają Jezusem?

– Barabasa, Barabasa! – krzyczą, a wkrótce okrzyki te zamieniają się w skandowanie. Wyczuwam, że jest to moment, z którego mogę skorzystać.

– Tormak, szybko, zbierz brygadę wojowników i przemieszaj się wśród tych ludzi. Znajdźcie najlepsze z możliwych kanałów i postarajcie się wszczepić im tę myśl, aby chcieli powiedzieć Piłatowi: „Jeśli Go wypuścisz, nie jesteś przyjacielem Cesarza”.

To działa! Krzyk szybko zaczął pojawiać się wszędzie, zaś oczy Piłata kierują się w stronę tłumy w bezradności, niemal błagalnie. Jeśli istnieje jakaś rzecz, o jakiej woli nawet nie myśleć, to ta, że zostanie podejrzany o coś przez Tyberiusza.

– Sługa! – odzywa się zachrypniętym głosem, wyschniętym z powodu zestresowania. – Przynies miśę z wodą.

Tłum, odczuwając swoje zwycięstwo, uspakaja się, wpatrując w dziwną ceremonię, do jakiej teraz przystępuje Piłat. Umywa ręce, jakby chciał usunąć plamę tego paskudnego poranka, a następnie wydaje wyrok śmierci: *Ibis ad crucem* – „niech zostanie ukrzyżowany”.

– Liktorze – odzywa się, wzywając tęgiego legionistę, który ma w ręku bicz.
– Jest twój. Zabierz Go stąd.

Miejsce: zabudowania garnizonu

Według prawa rzymskiego, każde ukrzyżowanie poprzedzone jest biczowaniem skazańca, którego dokonuje się przy pomocy skórzanego bicia o krótkiej rękojeści, jakim okładane są plecy ofiary. Jest to znamienne efektywne: rozcina bowiem ciało, pozostawiając głębokie, mocno krwawiące rany, a niektórzy z bardziej sadystrycznych żołnierzy przymocowują kawałki baranich lub psich kości do skórzanych rzemyków bicia, tak więc takie biczowanie może nawet zniszczyć same mięśnie. Przypisany Jezusowi liktor przystępuje do swego zadania z zadowoleniem. Już od wczesnych godzin porannych jest na służbie, rozbudzony przez swego oficera po pierwszych sygnałach niepokojów wśród Żydów. Widzi więc teraz możliwość wyrównania rachunków ze swymi znieawidzonymi hebrajskimi wrogami. Bicz wgrzyza się mocno i wkrótce plecy Mesjasza pokrywają się otwartymi ranami.

Wymierzono już przepisową ilość uderzeń. Wyrośnięty człowiek cofa się. Jest cały spocony; nawet jego skórzany pas przesiąknięty jest potem. Teraz dwóch pomocników wchodzi na dziedziniec, ciągnąc za sobą krzyż.

Czas: około południa

Tuż poza miastem, niedaleko murów, znajduje się wzniesienie zwane Miejscem Czaszki, rozpadlina skalna, która przy niewielkiej ludzkiej wyobraźni przypomina trochę ludzką czaszkę. Tutaj przeprowadza się wiele egzekucji. Rzymianie wydrążyli w skale otwory, aby w nich osadzać krzyże i nie jest rzeczą niezwykłą, gdy na tym miejscu stoi nawet sześć krzyży z wiszącymi ofiarami, których ciała stały się już brązowe i twarde jak skóra, gdy tak powoli umierają. Teraz cała procesja zmierza w tamtym kierunku.

Przyprowadzono tu jeszcze dwie inne ofiary, zdecydowano bowiem, że w tym samym czasie można będzie załatwić trzy egzekucje. Wkrótce więc odgłos młotków towarzyszy okrzykom bólu. Takie zamieszanie powoduje, że gromadzi wielki tłum.

Jest jedna mała korzyść, jaką mają ukrzyżowani: przynajmniej wiedzą, że nie ma nic gorszego, co społeczeństwo mogłoby uczynić dla nich, nie mają więc

niczego do stracenia, w związku z tym mogą sobie powrzeszczyć co tylko im się podoba – najgorsze przekleństwa, jakie są im znane, ich stosunek do dawnych wrogów, a nawet swoje uwagi co do pochodzenia samego cesarza. I dzisiaj nie ma wyjątku: dwóch łotrów, którzy mają zawisnąć po obu stronach Jezusa, wzdiera się z bólu i wściekłości, przeklinając wszystkich, których widzą. Ich nagie ciała zostały podniesione na krzyżach, teraz osadzanych w otworach i podciągniętych do pozycji pionowej.

Ale na krzyżu Jezusa jest inaczej. Miałem nadzieję, że gdy stanie wobec takiego wstydu i rozpacz, to w końcu się załamie. Wystarczy tylko jeden raz – tylko jedna odpowiedź pełna złości. Ale zamiast tego zdumieni żołnierze słyszą, jak On modli się cicho za nimi. „*Ojcze, wybacz im. To nie jest ich wina. Nie wiedzą bowiem, co czynią*”.

Jakby poruszony tym właśnie, jeden z żołnierzy biegnie, aby sięgnąć po bukłak z winem, który dostają żołnierze. Jest to bardzo marne wino; garnizon stacjonujący w Judei nie otrzymuje najlepszych zapasów, jest to jednak wszystko, co ma. „Ale biedak – szemra coś do siebie – przynajmniej to mogę mu zaferować”. Ale Jezus delikatnie porusza głową, odrzucając coś, co mogłoby uśmierzyć Jego ból. Musi być tego jakiś powód i odczuwam, że może być on znacznie głębszy, niż to wydaje się na zewnątrz.

– Meldibonie – proszę. – Potrzeba mi twojej rady. Zauważyłeś, że nie chciał wina... Dlaczego to uczynił?

– Są dwa powody, Mistrzu. Po pierwsze, musi zachować swój umysł w czystości. Pod wpływem takiej tortury, ludzka część Jego istoty staje się niezwykle podatna na wpływy. Nie chce popełnić żadnego błędu. Ale jest jeszcze coś.

– Tak, też to tak odczuwałem. Ale co jeszcze?

– No, pomyśl, czego On takiego dokonuje. Właśnie odrzucił substancję, którą od wieków wykorzystywaliśmy do zniewalania ludzi. Niektórzy z nich są niezwykle podatni na wino, a inni wykorzystują ekstrakt z maku, od czego niezwykle trudno jest się wyzwolić. Większość z nich nigdy już się od tego nie uwalnia. Ale teraz, na krzyżu, On udowodnił, że nawet w najtrudniejszych do wyobrażenia okolicznościach, jest możliwe, aby takie rzeczy odrzucić. Mistrzu, sądzę, że On dokonał tego dla innych, tych, których my zniewoliliśmy tymi substancjami. Pokazuje im, że da się to zrobić. On może być tam przybity, ale wciąż znajduje się w stanie wojny z tobą. Nadal stara się odnosić zwycięstwa – i to jasne, zwycięstwa do samego końca!

Wkrótce dostrzegam, że Meldibon ma rację, bowiem na moich oczach, którym trudno w to uwierzyć, Jezus zdobywa swego naśladowcę – i to tam, na krzyżu!

Zarówno jeden, jak i drugi łotr, których ukrzyżowano po obu stronach, przeklinali zjadliwie, ale gdy pierwszy z nich patrzył na Jezusa, jak w ciszy znosił całe swoje cierpienie, także zamilkł i zamyślił się. „My zasłużyliśmy sobie na to

wszystko, co odbieramy – dumal – bo dokonywaliśmy rzeczy strasznych. Ale nie On. Niczego nie uczynił, czym zasłużyłby sobie na to”.

A potem, kierując swoją głowę w stronę Jezusa, mówi:

– Panie, gdy będziesz w swoim królestwie, czy możesz o mnie pamiętać?

Każdy to słyszy. Z jakiegoś dziwnego powodu prośba tego człowieka wydaje się rozchodzić po wzgórzu, i nagle każdy tu obecny milknie, nawet żołnierze, którzy kucają w pobliżu, rzucając losy o szatę Jezusa. Przecież ów lotr właśnie poprosił umierającego człowieka o grzeczność, której nie ma możliwości wykonać – *chyba, że On posiada moc wskrzeszania z martwych!*

– W tej właśnie chwili obiecuję ci to – odpowiada Jezus. – Będziesz ze mną w raju.

Odzywa się łoskot grzmotu, a samo słońce wydaje się zanikać. Nad ziemią rozpościera się ciemność niemal tak gęsta jak czarna wełna, tak, jakby słońce, kiedyś przez Niego stworzone, zobaczyło już wszystko, co może znieść. W ciemności da się słyszeć łkanie, żalosne wyznania, głuchy dźwięk uderzenia oszalałych ludzi, którzy biją się teraz ze strachu po w piersi. Straszliwe trzęsienie wstrząsa ziemią i łatwo można usłyszeć brzęk zbroi, gdy żołnierze tracą swoje oparcie.

– Chcę się stąd wydostać! – odzywa się jakiś młody, drżący głos. – Chcę do domu, do mamy. – Rozpoznaję ten głos. Należy do młodego człowieka, który wcześniej gapił się na krzyże, mając w tym wiele rozrywki, spokojnie spożywając swój posiłek i całkiem swobodnie wypowiadał się na temat ciał umierających mężczyzn.

Po naszej stronie bariery, także ma miejsce dręczący strach, bowiem i tutaj znikło całkiem światło! Ciemność w ludzkim świecie przenika do naszego wymiaru i otacza nas także, jakby pobierając z nas miarę na wieczną noc. Gdy ciemność śmierci zbliża się do Jezusa, wydaje się, jakby kierowała się do nas także, dotykając nas swymi zimnymi palcami. Roztargnieni i pożałowania godni gromadzimy się w mroku i słuchamy narzekających ludzi, których nie możemy dostrzec, a zwycięstwo, o które tak ciężko walczyłem zamienia się w popioły. Bo w moich myślach wciąż i wciąż powracają, jakby echem, pewne słowa, których nie potrafię się pozbyć, słowa, które On wypowiedział niedawno temu, u grobu Łazarza:

„Jam jest zmartwychwstanie i żywot; kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”.

Czas: godzina dziewiąta

Przez trzy godziny trzymano nas w tej ciemności, gdzie nie widzieliśmy nic i trwaliśmy w przerażeniu. Nagle On zawołał:

– *Boże mój, dlaczego mnie opuścicie?!*

W takim razie jest sam? Starodawny rzeczywiście się odsunął, pozostawiając Go samotnego w tej walce? Oto możliwość, jakiej nie spodziewałem się!

– Telstor – szepcze do dowódcy grupy, który znajdował się w pobliżu, zanim nastąpiła ciemność. – Jesteś tu nadal?

– Tak, Mistrzu.

– Czy to słyszałeś? Czy rzeczywiście tak powiedział?

– O tym, że o Nim zapomniano? Tak, to właśnie usłyszałem.

– Pomyśl o tym! – odzywam się. – Być może zniechęci się i w końcu upadnie.

Idąc po omacku w kierunku krzyża, kieruję się w stronę miejsca, z którego mówił.

– Jezusie! – mówię. – Poczuj gwoździe w swoich rękach. To jest to, co o Tobie myślą ci ludzie, których przyszedłeś zbawić. To jest wszystko, co otrzymałeś za trzydzieści trzy lata spędzone tutaj. A teraz jeszcze opuścił Cię Starodawny. Masz jednak nadal moc boską. Możesz uciec. Pogódź się z tym! Nie bądź głupcem, ci ludzie nie są tego warci!

Jednak moje słowa wypowiadam na próżno. Wkrótce znowu się odzywa i widzę, że przegrałem, bowiem okazuje się, że i to do samego końca: *modli się do Ojca, którego już więcej może nie zobaczyć!*

– Ojcie – mówi – w ręce Twoje polecam ducha mego.

I wtedy nabiera głębokiego oddechu i wydaje z siebie to, co zdaje się być okrzykiem zwycięstwa. Słowa brzmią triumfująco po całym wzgórze. *Hayah shalom!* Wykonało się! Wojna została wygrana! Zapanuje pokój!

Nagle niebo rozjaśnia się i powraca powoli przemijające słońce popołudnia, aby pokazać Jego bezsilne ciało wiszące bez życia na krzyżu. Jeden z żołnierzy piechoty kieruje swoją włócznią poprzez Jego żebra do serca, czyniąc to, czego uczono legionistów, by zawsze robili przy takich okazjach, i zdumiony zwraca się do setnika.

– Trudno mi w to uwierzyć, ale On już nie żyje!

– Nie ma innego wyjaśnienia – odpowiada oficer. – Ten człowiek był Synem Bożym.

W pobliżu krzyża gromadzi się niepoczieszona grupka zapłakanych przyjaciół, a wśród nich – dwóch dobrze ubranych mężczyzn; mają na sobie bardzo bogate szaty kaszmirowe, a jeden z nich wręcza setnikowi rozkaz podpisany przez Piłata.

– Ty jesteś Józefem? Z Arymatii? Bardzo dobrze. Rozkaz mówi, że tobie mam oddać ciało.

Rzymski oficer odwraca się, jakby chcąc odejść, ale przystaje.

– Panie – mówi, a słowa wypowiada powoli, jakby odczuwał, że wchodzi na jakieś dziwne dla niego, nowe terytorium. – Ja... ja chcę, aby pan wiedział, że On umarł tak, jak umierają ludzie szlachetni. Sprawił, że ten krzyż wyglądał jak tron. Jest mi, no... Jest mi bardzo przykro.

W pobliżu stoi Nikodem, a obok niego wielu sług. Dźwigają lniane, szare prześcieradła i łagodnie opuszczają ciało Jezusa z krzyża. Przyjaciele owijają Go tak, jak potrafią najlepiej, w tych kilku pozostałych minutach, które pozostają do nadchodzącego Szabatu.

– Popatrz na słońce – mówi Nikodem. – Wkrótce zajdzie i rozpoczną się święte godziny. Przynajmniej tyle możemy dla Niego uczynić, by uczcić ten dzień, który On sam tak bardzo ukochał. Józefie, dopomóż mi tutaj przez chwilę. Jeśli ostrożnie obwinimy Go tymi prześcieradłami, pierwszego dnia tygodnia będziemy mogli tu przyjść wcześniej rano i dokończymy mycia Jego ciała. Wtedy będziemy mogli Go godnie pochować.

– Zgadza się – odpowiada Józef i delikatnie rozwija wałek materiału przygotowany dla swego przyjaciela, podczas gdy gorące łzy opadają na materiał.

– Jak długo mieliśmy Go pośród nas? – ktoś zapytuje.

– Tylko niewiele ponad trzy lata – odpowiada ktoś inny – a wydaje się, jakby to była tylko chwila. Jakże beztroscy byliśmy w tych godzinach, które spędził z nami. Wydaje mi się, że myśleliśmy wtedy, że trwać będą przez wieki.

– *Jakże chciałbym, aby można to cofnąć, choćby tylko o jeden dzień.*

Cienie wydłużają się, a na wzgórzu delikatne, zanikające światło dotyka subtelnie wiosennej zieleni. W pobliżu znajduje się ogród, gdzie Józef ma swój grób, wykuty w jednolitej skale. Zaplanował, że po śmierci ma być tutaj złożony. Właśnie do tego miejsca zmierza mała procesja, gdy zachodzące słońce pozłaca górną część Góry Oliwnej. Tu właśnie delikatnie zostało złożone ciało Jezusa.

Rozdział 22

Zmartwychwstanie!

Dzień: pierwszy dzień tygodnia

Jest noc, księżyc znajduje się w pełni, a jego upiorne światło już przeminęło, pozostawiając świat w ciemności w oczekiwaniu na świt. W ogrodzie, tuż u wejścia do grobu, oddział rzymskich piechurów zbija czas, starając się utrzymać ogień w ognisku i tym sposobem nie zasnąć. Dawno już przestali grać w gry, przestali też żartować, a teraz siedzą znużeni, przyglądając się, jak iskry kręcą się w nocnym powiewie. Czekają na nastanie dnia.

Sam grób został zastawiony masywnym kamieniem, jednak przysłano tu żołnierzy, jako dodatkową ochronę, aby się upewnić, że nikt nie wykradnie ciała i nie rozpocznie opowieści o zmartwychwstaniu – wydarzeniu, którego Kajfasz nie zniósłby już wcale. Są znużeni, zgłodniali i bardzo niezadowoleni, bowiem stracili wolny czas weekendu, ze względu na to dziwne zadanie przy grobie. W końcu jeden z nich, w zasadzie do nikogo, odzywa się.

– Nie wierzę temu! Miałem trzy dni wolnego, pięć denarów w kieszeni i możliwość wybrania się nad morze z pewną przyjaciółką – i oto jestem tutaj, na straży martwego ciała. Czego oni się obawiają? Czy on ma zamiar gdzieś się wybrać?

– A kim on w końcu był? – zapytuje ktoś inny.

– Pytaj się. Mówią, że na imię było mu Jezus. Inni mówią, że był on żydowskim Mesjaszem.

– Na pewno, podobnie jak Theudas i Juda Galilejczyk, i wszyscy inni Mesjasze, i do tego zakończył w podobny sposób.

– Taaak, być może – włącza się inny żołnierz. – Ale mam przyjaciela, który nie tak dawno stacjonował na północy, w Kapernaum, gdzie jeden ze sług setnika zachorował. Wszyscy mówili, że Jezus potrafi uzdrawiać chorych, tak więc setnik udał się do Niego po pomoc, a facet, w tak prosty sposób, wyzdrowiał tej samej godziny. Jednej minuty jest chory, trzęsie się jak kukła, a następnej stoi na nogach, pracując, jakby nic nigdy się nie stało. Sami się zastanówcie. Wszystko, co wiem, to to, że jeśli ten człowiek miał nadnaturalną moc, to...

Po chwili odzywa się czwarty legionista, szczupły chłopak, o krótkich, ciemnych włosach, który właśnie kładzie się na swojej tarczy.

– Wiecie, mój dziadek zawsze mi mówił, że pewnego dnia jeden z bogów zstąpi na ziemię i będzie czynił wszelkiego rodzaju cuda, a potem zostanie zabity. Coś, co każe ci zawsze zasta...

To zdanie nigdy nie zostało dokończzone. Na niebie powstała nagle eksplozja światła i energii, która porusza ziemią. To Gabriel; przekracza barierę i wchodzi w świat ludzkich dźwięków i wizji, a przerażeni legionści leżą nieruchomo jak martwi, gapiąc się na tę wznoszącą się gwiazdną postać, nadal jeszcze lśniąca blaskiem i mocą od tronu. Przez moment wojownicy patrzą na siebie – ludzie uzbrojeni w krótkie miecze, których zadaniem jest ustrzec ten grób jako nietykalny – przeciw wojownikowi z Królestwa, żarzącemu się mocą i uzbrojonemu w tajemniczą broń z kosmosu. A potem, jakby nie byli warci kolejnego spojrzenia, odwraca się i odrzuca potężny kamień, który zamyka wejście do grobu.

– Synu Boży! – woła głosem, który przenika poranne powietrze. – Wyjdz, zwywa Cię Twój Ojciec!

Brzask

Gramoląc się, upadając, znowu próbując stanąć na swoich nogach, rzymscy żołnierze pędzą w kierunku miasta, pozostawiając za sobą porozrzucane w nieładzie miecze, lance bojowe, hełmy, części zbroi i osobiste ślady. Na ścieżce, obok porzuconej tarczy, leży też mała, skórzana sakiewka, w której znajduje się pięć denarów.

Mężczyźni uciekają w skrajnym przerażeniu, wrzeszcząc o nowinie do każdego, kogo napotyka. Ich zamiarem jest doniesienie o tym samemu Piłatowi, ale słowo o ich historycznej ucieczce szybko dociera do Kajfasza, który wysłała posłańców, aby ich zatrzymali. „Nie – powiedziano im. – Powinniście po pierwsze udać się do Kajfasza, chodźcie tędy, za nami”. I tak żołnierze o pobludłych twarzach udają się najpierw do zaciekawionej grupy kapłanów i opowiadają o wszystkim, co widzieli.

– Była smuga podobna do błyskawicy, a potem widzieliśmy tę olbrzymią, lśniąca istotę, która odrzuciła kamień, jakby to był mały kamyczek, a następna rzecz, której byliśmy świadomi, to tego, że człowiek z grobu wyszedł na zewnątrz. Widzieliśmy to dobrze. To był ten sam człowiek, którego ukrzyżowano.

Wszyscy obecni zbledli. Kajfasz próbuje coś powiedzieć, ale chociaż poruszają się jego usta, nie wydobywa z siebie żadnego dźwięku.

– Musimy już iść. Musimy sprawozdać o tym Piłatowi.

Na te słowa Kajfasz odzyskuje głos.

– Zaczekajcie, nie pójdzicie! Nie mówcie nikomu o tym, co widzieliście. Mówcie raczej, że zasnęliście, a uczniowie przyszli i ukradli ciało.

– Czy mówisz poważnie? – pyta jeden z nich. Czy zdajesz sobie sprawę, co uczyni z nami Piłat za zaśnięcie na służbie? A oprócz tego, skoro spaliśmy, w takim razie skąd wiemy, że to uczniowie przyszli?

– Nie przejmujcie się Piłatem. My się tym zajmujemy. Tylko tak powiedzcie, a będziecie mieli wystarczająco dużo srebra, by żyć wygodnie do końca życia.

W końcu żołnierze zgodzili się. Być może uda im się zataić historię zmartwychwstania.

Wieczór

No, nie udało się. Słowo się rozeszło i każdy o tym usłyszał. Piłat, stojący na krawędzi szaleństwa, przerażony tym, że Jezus może przyjdzie szukać go, zabarykadował się w swoim pałacu. Jak myślę, kapłani czuli się podobnie, tylko że byli aż tak zbyt zajęci staraniami, aby zagłuszyć historię zmartwychwstania, iż sami byli już na w pół przekonani, że nie miała ona miejsca. Uczniowie jednak wiedzieli lepiej. Tego wieczoru znajdowali się wszyscy w sali na piętrze (w tym samym miejscu, w którym spożyli wieczerzę Paschalną) i nagle On się pojawił pośród nich. Na początku byli przerażeni tak bardzo, że niemal nie postradali rozumu, jednak znany im Jego głos wkrótce ich uspokoił.

– Jestem trochę głodny – powiedział, rozwiewając ich podejrzliwy strach tak bardzo zwyczajną prośbą. – Czy macie tu coś do jedzenia?

Jeden z nich przytaknął i nadal wpatrując się z mieszanymi uczuciami na Gościa, przeszedł przez salę, aby sięgnąć po plaster miodu i pieczoną rybę. Gdy jadł, napięcie znikło i uczniowie w końcu przekonani, że rzeczywiście widzą to wszystko na własne oczy, zgromadzili się wokół Niego, jak tłum młodocianych w obecności bohatera.

– Dana mi jest wszelka moc na niebie i na Ziemi – powiedział. – Wkrótce pozostawię was i powrócę w kosmos, tam, skąd przyszedłem. Ale nie pozostaniecie sami. Poślę wam mojego osobistego przedstawiciela, potężnego Ducha, który był ze mną, gdy świat ten powstał. Proście tylko, a każdy dar z nieba będzie wam dany.

Po krótkiej przerwie, mówił dalej:

– Idę do Ojca was wszystkich – do mojego Ojca, jak i waszego, bo nie jestem tylko waszym Panem, jestem też waszym Bratem. Proszę, przyjrzyjcie Mi się.

Unióśł ręce, a potem swoją lśniącą szatę, aby pokazać stopy. Na nich, na każdej ręce i stopie, znajdowały się widoczne rany po ukrzyżowaniu.

– Zawsze je będę już miał. Widzicie, nie przyszedłem do ludzkości jedynie na kilka krótkich lat; jestem dla was darem na zawsze, darem dla całej ludzkości. W szczególny sposób, którego nigdy w pełni nie zrozumiecie, jestem jednym z was i zawsze takim pozostanę. Gdy odejdę, nie chcę, abyście się smucili, bo wiem zawsze będę z wami poprzez potężnego Ducha Ruach. Będzie wam tak bliski jak kolejna modlitwa. Proście o Niego; On stanie się mocą stojącą przy was w każdej waszej pracy.

Gdy Jezus to mówi, moje zmysły znajdują się w pełnym alercie. *Jeśli poprzez swoją śmierć może On zesać na swój lud pełną moc Ruach, w takim razie nie ma dla nich ograniczeń tego, co mogą wykonać!* Jednak Jezus kontynuuje.

– A macie tak wiele do wykonania! Na całym tym szerokim świecie znajdują się ludzie, a Ja kocham ich wszystkich. Przyszedłem na Ziemię dla każdego, a wy staniecie się kanałami mojej miłości, aby do nich dotrzeć. Udajcie się wszędzie, powiedzcie każdemu, że znowu żyję. Powiedzcie im, że mogę dać im życie. Powiedzcie im, że powrócę. Wkrótce pozostawię was, ale nie na zawsze. Pewnego dnia powrócę. Tuż przed tym świat będzie wyglądał tak, jakby miał się rozpaść. Narody wzburzą się przeciwko sobie, nastanie wojna. Nawet przyroda wydawać się będzie popsuta. I będą mory i kłopoty, wielkie trzęsienia ziemi i straszne znaki. Gdy te rzeczy zaczną się dziać, większość ludzi będzie przerażona. Jednak moi naśladowcy nie muszą się bać. Tak na prawdę, gdy wszystko to zacznie się dziać, czas by patrzeć w górę, bowiem przybliżyło się odkupienie.

Odetchnął i mówił dalej:

– A teraz, pozwólcie, że was obejmę; pozwólcie, że wezmę was w ramiona jeszcze jeden raz. Jakże będzie mi brakowało tych wspólnych chwil! Jakże tęsknię już za tym dniem, kiedy znowu będziemy razem i nie będzie już więcej pożegnań... I pamiętajcie, kocham was.

Dzień 40

Od dnia zmartwychwstania minęło dokładnie czterdzieści dni. Jest poranek, a ta mała grupka zakończyła śniadanie w sali na piętrze. Ta sala stała się ich miejscem spotkań, swego rodzaju siedzibą, gdzie razem spożywają posiłki, gdzie spędzają swój czas prywatny, gdzie śpiewają i modlą się. Jednak tego poranku wychodzą, schodząc po drewnianych schodach po południowej stronie domu, a Jezus prowadzi ich na wschód, ulicami Jerozolimy.

Idziemy za nimi i wydaje mi się, że jest coś znanego na tej drodze.

– Zedronnie! – wołam. – Czy nie szliśmy już kiedyś za nimi tą drogą?

– Pewnie. Tamtej nocy, gdy był proces. Jest to droga, którą szli do Getsemane.

Oczywiście! Tamta noc jest tak strasliwym wspomnieniem, że mój umysł nie jest chętny nawet przypominać sobie jakichś szczegółów. Jest to jak mara nocna, która prześladować mnie będzie do końca moich dni, bowiem to zapieczętowało mój los. Starając się wygrać, przegrałem. Udało mi się doprowadzić Go do grobu, ale nie potrafiłem Go tam zatrzymać. A wielkie wydarzenie zmartwychwstania nie tylko przywróciło Go do życia, ale i potrzęsnęło mocą śmierci. Nie mam żadnych złudzeń: przegrałem wojnę i od tego momentu mogę tylko walczyć, przedłużając jej trwanie. Teraz, jest to tylko kupowanie czasu.

Przecinają potok Cedron kolejny raz i zaczynają wspinać się ku górze, w kierunku Betanii. Na zachodzie rozpościera się panorama Jerozolimy – pod dymem porannych ognisk i szumem odgłosów miejskich, wyraźnie słyszalnych na tym zboczcu wzgórze. Grupa zatrzymuje się na moment, a On rzuca jeszcze jedno spojrzenie na miasto. Wydaje się takie normalne, tak ruchliwe jak zwykle, jak-

by nic się tu nigdy nie wydarzyło. Kapłani nadal składają poranne i wieczorne ofiary, ludzie nadal przychodzą się modlić, kupcy nadal kupują i sprzedają, nowopoślubieni nadal poszukują pokoju do wynajęcia, a całe miejsce rozpoczyna swoje życie.

Tuż pod nami znajduje się grób króla Dawida, a w pobliżu stado kozłów wędruje pobekując i skubiąc trawę obok sarkofagu króla, nie dbając na legendy, które rozpadają się tutaj pod ich nogami. Leży już tutaj przez tysiąc lat. Ach, Lucyferze, jak długo oznacza „długo”?

Za szczytem pojawia się Betania. Jest cicha, a ze swymi porozrzucanymi chatami i domami w ogrodach stanowi znany widok. Idziemy za małą grupką, myśląc, że Jezus planuje, być może, spędzić dzień w domu Łazarza i Marii, ale nagle zatrzymuje się.

– Dotąd tylko możemy pójść razem – mówi, wywołując zdziwione spojrzenia. Z Jego twarzy wydają się wydostawać promienie światła i bardzo powoli, jakby nie chciał, aby ta chwila się skończyła, patrzy na krąg znanych Mu twarzy: Mateusza, poborcy podatków; Piotra, gorliwego i pełnego impetu rybaka, który udowodnił zaledwie kilka tygodni temu, że wciąż wie, jak przysięgać; badawczego Tomasza, który chce najpierw zobaczyć, zanim cemuś uwierzy; Jakuba i Jana z ich ognistymi nastrojami – jest to grupa, z którą rozpocznie swoją ostateczną kampanię o tę planetę. Znamy ich dobrze. Przyglądaliśmy się im bardzo uważnie. Będziemy z nimi walczyli każdą dostępną nam bronią. Bowiem chociaż przegrałem wojnę, nie straciłem jeszcze pragnienia stępienia Jego zwycięstwa.

I nagle widzę ich, jak nadchodzą z korytarzy kosmosu: miliardy, niezliczone miliardy Aniołów z Królestwa Światła, ogromny obłok istot, uformowanych w uporządkowane szeregi. To tak typowe dla nieba, że zdaję sobie sprawę z tego, co się teraz stanie.

– Marconidesie, popatrz!

– Tak, widzę ich także. Przybywają po Niego. Powraca do Królestwa!

W przestrzeni rozlega się hymn: *A Temu, który siedzi na tronie światłości...*

Kieruję wzrok, aby zobaczyć, co On robi. Raz jeszcze patrzy na krąg szczerych twarzy, które tak często zawiodły Go i czyniły to, co my chcieliśmy, ale nie ma dla nich ani słowa nagany. Ostatnia rzecz, jaką słyszą od Niego, to słowa najgłębszego szacunku.

Jego ręce wysuwają się w ich kierunku, jakby poprzez ten gest mógł przedłużyć tę chwilę i być jeszcze bliżej nich, a później, na początku całkiem powoli, zaczyna się unosić, pociągany w kierunku obłoku istot, tuż poza barierą.

Z kosmicznych galerii hymn przechodzi w zwrotki, które zawsze wywoływały moje zdumienie: „...*Temu, który oddaje się za świat...*” W końcu to rozumiem.

Znika z ich pola widzenia, ale otrzymują od Niego jeszcze ostatni dar, ostateczne poselstwo, które płynie ku Ziemi z odległego nieba:

– Jestem z wami zawsze, aż do skończenia świata.

Kontratak

Dzień pięćdziesiąty

Minęło siedem tygodni od ukrzyżowania, a mała grupka wierzących, która spotyka się w sali na piętrze przeciwstawia się naszej kontroli.

Nie tak dawno temu ich ohydne ułomności charakteru doprowadziły mnie do wniosku, że szybko upadną, gdy Jezusa już nie ma. Ale podobnie, jak Maria, zmienili się. Z każdym dniem stawali się sobie bliżsi. Stare rywalizacje, które kiedyś powodowały pełne zazdrości nieporozumienia znikły całkowicie; w ich miejsce pojawiła się chęć wyznawania sobie wzajem błędów i pełnego przyznawania się do pomyłek. Gdy ludzie czynią coś takiego, dzieją się dziwne rzeczy. Poprzez zaprzestawanie własnej obrony i przyznawanie się do błędów, stają się faktycznie sobie bliżsi. W istocie, niektórzy z najbliższych przyjaciół w grupie, to ci, którzy kiedyś buli sobie najdalej.

Stało się jeszcze coś innego. Wydaje się, że już więcej nie są zainteresowani posiadaniem rzeczy materialnych. Niektórzy z nich zaczęli wyprzedawać swoją własność, zaś uzyskane z tego środki włożyli do wspólnej kasy, z której każdy bierze tylko tyle, ile w danej chwili potrzebuje. Poza podstawowymi rzeczami, które w życiu są konieczne, nie wykazują zainteresowania posiadaniem rzeczy.

Nigdy dotąd nie widziałem ludzi, aby postępowali w taki sposób i muszę przyznać, że denerwuje mnie to, bowiem utraciłem tym sposobem moje najużyteczniejsze pokusy. Nie mogę posługiwać się już ich chciwością, bo nie są tym zainteresowani. Nie mogę ich niepokoić troskami finansowymi, bo takich nie mają – wspólny fundusz zapewnia ich, że nikt nie jest w potrzebie. Nie mogę wykonywać zazdrości, bo nikt nie posiada czegokolwiek, czego inny by pożałował. Uwolnieni od wielu spraw, które kłopotczą innych ludzi, ta grupa wierzących uwolniła swój czas tylko dla modlitwy i przemawiania.

To tworzy jeszcze jedną sprawę. Moi wartownicy w Świątyni podają, że wierzący są tam przez cały czas, modląc się i wielbiąc Wszechmogącego. Trudno jest przybliżyć się do Świątyni i nie usłyszeć wypowiedzanego imienia Jezusa i już widać tego efekty. Kręgi nowonawróconych poszerzają się z każdym dniem.

A teraz, w dzień Pięćdziesiątnicy, wszyscy zgromadzili się w sali na piętrze. Jest święto upamiętniające nadanie prawa na Synaju, naśladowcy Mesjasza zgromadzili się więc z tej szczególnej okazji. Z tego też powodu pojawili się goście z całego świata i denerwuję się. Coś, co jest połączeniem tych wydarzeń sugeruje pewne niebezpieczeństwo: nowa jedność wśród wierzących, prawo z Synaju, które od dawna starałem się zatrzeć w pamięci ludzkiej, nawet ta obec-

ność gości, którzy mogą zawieźć do swoich krajów wieści o kulcie Jezusa – cała ta rzecz niepokoi mnie i irytuje.

Ale chwileczkę: wszyscy naśladowcy Mesjasza znajdują się w sali na piętrze. *Wszyscy są na jednym miejscu!* W tym może być jakaś możliwość!

– Barshok, chodź tu do mnie! – Przybiega, a ja kontynuuję. – Barshok, czy pamiętasz dzieci Joba, tych, których pogrzebałeś żywcem?

– Myślisz o domu i tej trąbie powietrznej? – odpowiada, uśmiechając się na stare wspomnienie.

– Tak. Czy myślisz, że mógłbyś to powtórzyć?

– Co – *tutaj?*

– Dokładnie. Popatrz na tę salę na piętrze. Wszyscy tam są – całe mnóstwo. Wszyscy naśladowcy Mesjasza znajdują się na tym jednym miejscu. Szybko, wyczaruj coś niszczącego, zanim Strażnicy Skupienia zdadzą sobie sprawę, co robisz.

Spóźniłem się jednak o minutę. Właśnie, gdy kończyłem mówienie, odczuliśmy znaną nam już moc, nawet jeszcze większą, niż moc wydawana przez Strażników – wszechogarniające, porywające pole energii, które przeszywa nas samych.

– Ruach! – ktoś krzyczy. – Uciekajcie, póki jeszcze zdążycie.

Z bezpiecznej odległości, na samych peryferiach Jerozolimy obserwujemy dom, z którego właśnie uciekliśmy. Energia szerzy się wszędzie; cały budynek wydaje się trząść z mocy. Robi to wrażenie wiatru i ognia i wszystkich podstawowych mocy samego stworzenia, a gdy na to patrzę, przypominam sobie dzień, gdy widziałem, jak powstawał ten świat. Wtedy obecne były podobne fale energii, i teraz odczuwam to samo.

Coś ma się wydarzyć – ale co? Czy mamy być świadkami pewnej formy stworzenia? Nagle przypominam sobie, co powiedział Mesjasz tuż przed swoim odejściem: „a gdy przyjedzie Duch, otrzymacie moc”.

Moc! Ta mała grupa wierzących została objęta mocą Ducha, którego potencjał potrafi budować światy!

– Marcolicie! – wydzieram się. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co tu się dzieje? Tam jest Ruach i ma teraz coś uczynić! Masz na to jakąś radę?

– Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Wszystko co wiem, to jedynie to, że udało nam się stamtąd uciec na czas. Poziom energii jest niesamowity.

Tak, myślę sobie, i zostaje ona wylana na ludzi! W jaki sposób będziemy kiedykolwiek w stanie stawić im czoła?

W przeciągu godziny przybywa do mnie posłaniec.

– Mistrzu, przyjdź szybko do Świątyni! Jeden z nich przemawia, ten, którego nazywają Piotrem, ten, który przeklina, jak piraci.

Ten, który kiedyś przeklinał, myślę sobie, bowiem i Piotr się zmienił. Ścieżki do jego umysłu, którymi niegdyś wchodziłem z taką łatwością, zamknęły się całkowicie. Nie mogę już zbliżyć się do jego procesu myślowego.

Idę za posłańcem ku wielkiemu tłumowi, który zgromadził się przy Świątyni, i widzę, że Piotr rzeczywiście przemawia. Mówi o Jezusie, który kiedyś rządził w kosmosie i który przyszedł tutaj, aby żyć jako człowiek. Wymienia Jego potężne cuda i opisuje, jak został ukrzyżowany. Mówi, jak grób nie mógł Go zatrzymać i jak powstał znowu do życia. A gdy tak opowiada, cały tłum jest poruszony do łez.

– Mistrzu! – odzywa się Simitron. – Czy to widzisz? On wspomina krzyż, a ludzie zaczęli płakać! Reagują na to całymi tysiącami, pytając, co mają uczynić, aby przyłączyć się do wierzących w Mesjasza!

Tak, Simitronie, mój zaniepokojony doradco, widzę to wszystko. Jest to powtórka tego, co stało się nad Jordanem, gdy przemawiał Jan Chrzciel, ale tym razem jest to wzmocnione energią dramatu ukrzyżowania i samą mocą zmartwychwstania. Być może nie będzie sposobu na zatrzymanie tego ruchu. To może porwać ludzi, i to całymi milionami!

Nagle przybiega posłaniec, kłania się Simitronowi i przeprasza za to, że przeszkadza.

– Mistrzu, to samo dzieje się także na innych miejscach. Ale jest to coś niesamowitego. Są tutaj ludzie z całego świata, przyjechali na święto i wielu z nich posługuje się innymi językami, a wierzący z sali na piętrze znajdują się wszędzie i *przemawiają do tych ludzi w ich językach!*

– *Że co?*

– Mówią, posługując się językami zrozumiałymi dla tych ludzi, tak, że wszyscy, z całego świata, ich rozumieją. Chyba nie ma kraju, jaki nie byłby tu reprezentowany, a który wkrótce nie usłyszy o Mesjaszu i zmartwychwstaniu.

Mój umysł pojął od razu całe nieszczęście. Świat przybył do Jerozolimy z okazji tego szczególnego święta, a Królestwo sprytnie wykorzystało możliwość, by z poselstwem dotrzeć do każdego – pokazując, że ci ludzie (którzy nigdy nie posługiwali się żadnym innym językiem oprócz hebrajskiego) z rejonu Galilei potrafią mówić obcymi językami! Teraz goście powrócą do domów, udając się wygodnymi drogami rzymskimi i opowiadając bajkę o człowieku, który powrócił do życia, człowieku, który przewyciężył siłę śmierci, Bogu-człowieku, który powróci na tę Ziemię!

Szybko wzywam dowódców brygady.

– Zbierzcie szczegóły z każdego spotkania. Przydzielcie wojownika każdemu człowiekowi, który jest tam obecny. Idźcie za tymi ludźmi z powrotem do ich krajów. Zanotujcie nawrócenie każdego człowieka na tę wiarę, a następnie wyślijcie wojowników Barshoka i, na tyle, na ile pozwolą wam Strażnicy, starajcie się im uprzykrzyć życie. Sprawcie, żeby władze rzymskie zaczęły się ich bać jak rewolucjonistów, którzy mają zniszczyć cesarstwo. Napełnijcie nimi więzienia. Sprawcie, że stanie się wierzącym będzie tak kosztowne, że nikt nie będzie się chciał się do nich przyłączyć. *Wdepczcie ich w powierzchnię tej ziemi!*

Na moje rozkazy wojownicy popędzili i zaczęli wydawać instrukcje poszczególnym dowództwom.

– Marcolith, ty wróć do Rzymu. Tyberiusz starzeje się. Napełnij go lękami starego człowieka. I wyznacz duży oddział, który otoczy Kaligulę, bowiem wszystko wskazuje, że to on obejmie władzę cesarską po Tyberiuszu. Doprowadź go do szaleństwa podnieceniem i podejrzliwością. Rzym rozkłada się, oznaki tego można dostrzec wszędzie, wkrótce więc ludzie zaczną zauważać rozpad ich życia ekonomicznego i cywilnego. Chcę, aby naśladowcy Mesjasza zostali oskarżeni o wszystko, w czym się im nie wiedzie.

– A teraz, Zedronnie – zwróciłem się w jego stronę – ty i ja przejmujemy dowództwo w Jerozolimie. Musimy wyznaczyć przynajmniej szwadron wojowników do każdego wpływowego przywódcy. Musimy ich przekonać, że dopóki nie zatrzymają tych mówców, Rzym będzie patrzył na Jerozolimę jak na wylęgarnię buntu, i że muszą zareagować z taką siłą, żeby w końcu cały naród przestał istnieć.

– Czy rozumiecie – kontynuowałem dalej – czym musimy się zająć od teraz? W takim razie idźcie i proszę mnie stale o wszystkim informować. Takiego kryzysu jak ten nie widzieliśmy jeszcze od czasu wyjścia z Egiptu.

W Jerozolimie

Pogrążyliśmy się w naszej pracy, a tutaj, w Jerozolimie, wydarzenia biegą szybko. Gdy nastał wieczór, Kajfasz wpadł w prawdziwą wściekłość z powodu wydarzeń w dzień Pięćdziesiątnicy. Jakieś 3000 osób uwierzyło jednego dnia, a tłumy gości zagranicznych zabiorą tę nową wiarę z powrotem do swoich krajów.

– Myślałem, że zatrzymaliśmy ten problem – wypowiada się zezłoszczony faryzeusz podczas pośpiesznie zwołanego spotkania. – A teraz popatrzcie, co się dzieje. Wszyscy mówią o pustym grobie w ogrodzie. Ci fanatycy zdobywają ludzi tysiącami, jeśli więc czegoś nie zrobimy, i to szybko, Rzym pomyśli, że zorganizowaliśmy bunt. W pobliżu Jerozolimy znajdują się dwa legiony armii, a kolejne dwa za górą Scopus i Jerychem. Bracia, ta nowa sekta może nas kosztować istnienie całego narodu.

Uśmiecham się, gdy słyszę, że moje pomysły wyrażane są przez człowieka, który nie ma pojęcia, skąd się one biorą. Jakże często ludzie wypowiadają nasze słowa, nie zdając sobie sprawy z ich źródła pochodzenia! Wszystkiego, czego nam potrzeba, to otwartego na nasze pomysły kanału dostępu do ich umysłów. Może to być zazdrość, wściekłość, wszeteczeństwo, a nawet strach – przez kazał strachu wchodzimy często, bowiem ludzie, którzy się boją, potrafią czynić rzeczy zdumiewające.

– Mnie też się wydawało, że mamy sprawę pod kontrolą – odpowiada Kajfasz, a jego pięści zaciskają się, a do żył na szyi napływa krew. – Myślałem, że jedno ukrzyżowanie wystarczy, aby załatwić wszystko.

– Tak – włącza się inny uczestnik spotkania. – Być może potrzeba nam więcej krzyżowań, znacznie więcej.

Pokój wypełnia się głębokim głosem. To Gamaliel, jeden z najsłynniejszych nauczycieli prawa w Izraelu, a jego głos powoduje nagłe wyciszenie się podenerwowanych uczestników zebrania.

– Muszę wam zdecydowanie przypomnieć, bracia – mówi powoli, wyraźnie, jak człowiek, który panuje nie tylko nad swoimi słowami, ale i słuchaczami – że mamy już do wyjaśnienia jeden pusty grób. Być może – zwalnia, aby podkreślić swoje myśli – być może powinniśmy to wszystko przemyśleć jeszcze raz.

Jest chwila przerażającej ciszy, a następnie Kajfasz zaczyna mówić.

– Czcigodny mędrco, rozumiem twoją troskę. Ale musimy coś *uczynić*.

– Tak – odpowiada Gamaliel. – Mam nawet propozycję: przypatrzmy się temu i zaczekajmy. Bądźmy spokojni. Jeśli są tak źli, jak mówisz, wkrótce sami się potępią. Nielaska, z jaką odnosimy się do naszych wrogów, trwać będzie jakiś dzień. Nielaska, w jaką sami popadną, trwać będzie przez całe ich życie.

Niemal krzyknąłem z rozpaczy. Ten człowiek posiada salomonowy sposób wypowiedzania się, a w sali nie ma drugiej osoby, która byłaby na tyle bystra, aby z nim dyskutować. Tłum rozchodzi się, nic nie osiągnąwszy, a gdy wychodzę także, zauważam, że szczęka mi drży z konsternacji.

Miejsce: brama świątynna

Jest późne popołudnie i zbliża się godzina modlitwy. Idę za dwoma głównymi uczniami, Piotrem i Janem, którzy dużymi krokami udają się do świątyni. U bramy leży człowiek kaleki, którego przynoszą tu codziennie jego przyjaciele, aby prosił o jałmużnę, gdy więc obaj apostołowie zbliżają się, intonuje zdanie, które powtarza już tak od dzieciństwa – urodził się bowiem kalekim.

– Jałmużna, jałmużna, niechaj wielki Król Wszechświata uśmiechnie się na twoją szczodroblivość i odda ci stokrotnie.

Piotr nagle zatrzymuje się i patrzy na tego człowieka.

– Popatrz na nas – rozkazuje, a człowiek ten wyraża oczekiwanie, jakie maluje się w jego oczach i mówi:

– Być może grosz, albo jakiś drobiazg? Ten dzień był jakiś nieudany. Cokolwiek dacie, będzie pomocne.

Ale Piotr szybko i spokojnie oddala te oczekiwania.

– Srebra i złota nie mam – stwierdza, a spojrzenie człowieka powoli opada. – Mam jednak coś innego, czego można pragnąć. Czy chcesz chodzić?

Jego oczy otwierają się szeroko jak talerze, usta poruszają się, jednak nie wydają dźwięku. Piotr kontynuuje:

– To, co mam, to ci daję: w imieniu Jezusa Chrystusa z Nazaretu, *wstań i chodź*.

Piotr schyla się, sięga po prawą rękę człowieka i całą swoją siłą porywa człowieka na nogi. Piotr jest umięśnionym rybakim i kiedy kogoś pociągnie, ten nie ma wyjścia. W jednym momencie kaleka stoi na nogach, nagle zdając sobie sprawę, że Piotr już go nie trzyma. On *stoi sam* – stoi o własnych siłach, po raz pierwszy w życiu!

Człowiek niemal szleje z radości. Podskakuje i bryka jak bawiące się dziecko, głośno wielbiąc Boga i mówiąc wciąż i wciąż do każdego, kto tylko chce słuchać, jak jego nogi zostały uzdrowione przez dwóch ludzi, którzy wypowiedzieli imię Jezusa. Nagle powstaje szum wśród ludzi w okolicach kolumnady Salomona. Ten człowiek od lat był częścią tego miejsca, każdy go zna, więc wieść o jego uzdrowieniu przebiega szybko Jerozolimę. Nagle tłum ludzi otacza Piotra i Jana, a ich głosy unoszą się w szumie zdumienia.

– Kto?

– Ten kaleka, który każdego dnia leżał u wejścia, przy bramie.

– Tak – to jakiś cud.

– Nie, to ci dwaj mężczyźni, o, tam.

– Tak, słyszę, że są to naśladowcy Jezusa.

– Ale *on*? Przecież on był kaleki już wtedy, gdy mój ojciec był młody.

Piotr staje wyżej i jednym gestem uspokaja tłum.

– Dlaczego tak się dziwicie? Czy zapomnieliście, że istnieje Bóg w Izraelu? Posłał tu swego Syna, aby wypełnił misję i zaoferował nam zbawienie, jednak dokonano strasznego błędu i skazano Go na śmierć. To mocą Jego imienia ten człowiek, który urodził się kaleki, został uzdrowiony.

Piotr nabiera w płuca powietrza, a ja aż wzdragam się, bo wiem, co teraz powie: zaapeluje do nich, aby też uwierzyli!

– Aż dotąd, bracia moi, wiem, że nie zdawaliście sobie sprawy z czynów waszych. W jakimś sensie wypełnialiście proroctwo, bowiem On przyszedł tu, aby umrzeć za nas wszystkich. Zawróćcie więc w swoim życiu. Możecie zmasać swoje przeszłe błędy. Od czasu powstania tego świata wszyscy prorocy przepowiadali to wydarzenie. Jesteście synami proroków; czy nie powinniście jako pierwsi przyjąć zbawienia?

Powiedział to po mistrzowsku.

– Zedronn i Marcolith! – drę się. – Udajcie się natychmiast do władz. Niechaj aresztują tych ludzi. Szybko! Nie mamy czasu do stracenia.

Kilka minut później nadchodzi tłum Saduceuszy. Doskonale! Jest to sama elita intelektualistów, którzy nie wierzą w zmartwychwstanie – a Piotr przemawia właśnie o Jezusie, który został wzbudzony z martwych! Wkrótce całe mrowie policji świątynnej zaciąga apostołów do więzienia.

Kolejnego dnia

Pracowaliśmy przez całą noc wśród przywódców, którzy mają spotkać się dzisiaj z apostołami. Wyczarowaliśmy im wizje, jak cały naród nawraca się na tę nową wiarę, o tym, jak tracą swoje wysokie stanowiska, o tym, jak Rzymianie zareagują, dokonując zbrojnej inwazji. Gdy więc rozpoczyna się spotkanie, znajdują się w stanie hysterii.

– Na mocy czyjego autorytetu uzdrowiliście wczoraj tamtego człowieka?! – ktoś wrzasnął. Piotr odpowiada:

– Jeżeli my dziś jesteśmy przesłuchiwani z powodu dobrodziejstwa wyświadczonego człowiekowi choremu, dzięki czemu został on uzdrowiony, to niech wam wszystkim i całemu ludowi izraelskiemu wiadome będzie, że stało się to w imieniu Jezusa z Nazaretu, którego wy ukrzyżowaliście.

W sali momentalnie zapanowała śmiertelna cisza. Nikt nawet nie pomyślał o replice, bowiem Piotr właśnie odparł ich atak zdaniem, które trafia w samo sedno etyki żydowskiej – nie ma niczego szlachetniejszego od dobrego uczynku dla człowieka znajdującego się w beznadziejnej sytuacji. Zaś jego odniesienie się do ukrzyżowania otwiera najświeższe rany faryzeuszy – owego niewyjaśnionego, pustego grobu.

Jeden z nich, znawca prawa, szepcze do swego kolegi.

– Jak możemy sobie z nim poradzić? Jego odpowiedź była wyśmienita. Z tym nie da się dyskutować. Jest to taka odpowiedź, jakie słyszeliśmy od Jezusa owego dnia, gdy staraliśmy się go przyłapać na sprawie płacenia podatków.

– Wiem – mruknął ten drugi. – A powiedziano mi, że ten nie jest w ogóle wykształcony.

– Najwidoczniej to Jezus go tak wyszkolił, a my mamy teraz problem. Jest przecież oczywiste, że właśnie miał miejsce szlachetny czyn. Temu nie możemy zaprzeczyć. Ale nie możemy też pozwolić na to, aby ten człowiek przemawiał w taki sposób. Zagroźmy więc im mocno i miejmy nadzieję, że ich tym onieśmielimy.

Jednak Piotr wydaje się być odporny na strach.

– Sami osądźcie – odpowiada, gdy zakazano mu dalej występować w tym imieniu – czy słuszna to rzecz raczej was słuchać, aniżeli Boga? My bowiem nie możemy nie mówić o tym, co widzieliśmy i słyszeliśmy.

Moi ludzcy sprzymierzeńcy stoją przed strasliwym dylematem. O cudzie wie już cała Jerozolima, zaś apostołowie stali się tak popularni, że uczynienie im czegoś złego, mogłoby wywołać publiczny protest, coś, na co przywódcy nie mogą sobie pozwolić. Jest więc wiele chrząkania i wypowiedzianych do połowy zdań, znawcy prawa grzmią pustymi groźbami nad apostołami, a potem wyrzucają ich (choć każdy z nich odczuwa, że za godzinę będą oni znów przemawiali). Dla dobra całej sprawy lepiej byłoby, gdyby całego spotkania wcale nie zwołano. Moi wojownicy wycofują się bezradni i sfrustrowani.

Musimy znaleźć jakiś sposób, aby powstrzymać tych ludzi. Ale jaki?

Czas: trzy lata po Golgocie

Tak więc dzisiaj w końcu przelaliśmy krew! Myślałem, że to się nigdy nie stanie, a jednak pierwszy naśladowca Jezusa został uśmiercony!

Był pewien szacowny wierzący o imieniu Szczepan, którego od dawna chcieliśmy uśmiercić. Chociaż był Żydem z pochodzenia, mówił płynnie po grecku. Był też wyśmienitym dyskutantem, który – gdy wyzywany – potrafił wyprowadzić w pole nawet swoich najwyśmienitszych przeciwników, często na oczach zadowolonych, gapiących się tłumów. Był on głównym kłopotem, poszukiwaliśmy więc uważnie jakiejś możliwości zakończenia jego życia.

Stało się to całkiem nieoczekiwanie. Pewna grupa gorliwców, która określała siebie nazwą Synagoga Wolności, wezwała Szczepana do dyskusji na temat Mesjasza. Problem w tym, że była to paczka fanatyków, którzy wiele mówili, ale mało przekazywali treści, a którzy wyjątkowo słabo byli przygotowani do poradzenia sobie z kimś takim, jak Szczepan (znał on na pamięć większość Tory i potrafił poprowadzić swoich przeciwników do kłopotliwego końca, zapędzając ich w tak zwany kozi róg). Jednak to, czego brakowało im w głowach, potrafili uzupełnić chytryścią i po przecierpieniu upokarzającej porażki, pośpieszyli do kapłanów, twierdząc, że bluźnił przeciwko Mojżeszowi.

To zadziało.

– Pośpiesz się – powiedział niemal na bezdechu mój posłaniec. – Aresztowano Szczepana, niemal wszyscy zaangażowali się w rozruchy; zwołano też Sanhedryn, aby osądzić go jako przestępcę.

Słowa brzmiały jak muzyka. Przez ponad trzy lata szukałem jakiegoś sposobu, aby przerwać ten impet rozwoju naśladowców Mesjasza, a taki jak ten układ spraw – obiecywał sukces. Jeśli ludzie mogliby dać się przekonać, że Szczepan znieważył wielkiego wyzwoliciela Izraela, szybko będą gotowi zapomnieć o jego cudach i ukamienować go. Pośpieszyłem więc do sali sądowej.

I rzeczywiście, był tam Szczepan, związany i postawiony przed sądem – ale równie niebezpieczny, jak zawsze. Jego twarz wydawała się jaśnieć blaskiem pochodzącym z samego Królestwa, a jego głos brzmiał, jakby wprost z sali Kamieni Ognistych, tonem przejrzystym i przekonującym, każdy więc siedział tam oniemiały, nie będąc w stanie odeprzeć jego toku rozumowania.

– Wszystko w historii Izraela wskazywało na potrzebę przyjścia Mesjasza – powiedział. – Pomyślcie o minionych błędach narodu: o cielcu ze złota pod Synajem, o bożkach płodności w Chanaanie, odstępstwach, które w końcu zaprowadziły Izrael do niewoli babilońskiej – wszystko to udowadniało jego punkt widzenia. Gdy Izrael ufał jedynie prawu, ludzie nie mieli sił, aby odeprzeć pokusy. Potrzebowali czegoś więcej. Potrzebowali Zbawiciela.

Jego słowa niszczyły dom, jak pociski wyrzucane z maszyny oblężniczej, z których każdy docierał dokładnie do celu. Na twarzach ludzi zgromadzonych w sali

malowało się zamyślenie, bowiem jego logika była nie do odparcia. *Tak*, nasi przodkowie upadli pod Synajem, zaledwie w kilka dni po usłyszeniu prawa. *Tak*, Izrael flirtował z pogaństwem, a w wyniku tego znalazł się w niewoli. *Tak*, panujący nad Izraelem kapłani nauczali prawa, a jednak zwycięstwo nie nadeszło, a Izrael nadal odczuwał obcas znienawidzonych Rzymian. Coś *było* nie tak, a w wypełnionej sali było wielu, którzy zaczęli stawiać sobie to fatalne pytanie: czy ten dziwny i elokwentny człowiek może mieć rację? Czy nawet Izraelowi nie potrzeba czegoś więcej niż jedynie znajomości prawa – jakiejś nadnaturalnej mocy, która uczyni, że posłuszeństwo stanie się możliwe? Człowiek przemawiał z mocą prawdziwego geniusza. Coś musi zostać uczynione.

– Radionie – powiedziałem, wzywając mojego dyżurnego oficera – niechaj zaczną działać nasi wojownicy! Wejdźcie pośród ludzi i pomieszajcie im w głowach. Niechaj pomyślą, że argumenty tego człowieka są szkodliwe.

Rzadko widziałem, aby nastroje wśród tłumów zmieniły się tak szybko. W niecałą minutę szept zakłócającej rozmowy przeszył całą salę. Najwyższy Kapłan, na którego twarzy widoczna była złość, nagle powstał ze swego miejsca i głośno rozdarł swoje szaty, aby pokazać, jak bardzo przeraża go to, co uznał za bluźnierstwo, a wkrótce całe zgromadzenie powstało i w szale zaczęło wymachiwać groźnie w kierunku więźnia.

Ale nagle otworzyła się bariera czasoprzestrzeni! W otworze powstał kanał prowadzący wprost do Królestwa, przez który można było ujrzeć sam tron – a tam, osłonięty blaskiem i mocą, stał Jezus, patrząc na całą scenę tak intensywnie, że ledwie potrafiłem to znieść. To przywołało w moich myślach sąd ostateczny.

– Zedronnie, Marcolithie, ktokolwiek! – wyksztusiłem. – Ogłosić alarm. Myślę, że Królestwo ma zamiar zabrać Szczepana w taki sam sposób, jak zabrało Enocha i Eliasza. Wezwijcie tu całą armię. *Szybko!*

Gdyby Królestwo było zdecydowane, aby uratować tego człowieka, my nie mielibyśmy, oczywiście, żadnej szansy, by temu przeszkodzić, ale ja nigdy nie przyznaję się do porażki. W tych walkach wszystko może się wydarzyć. Człowiek, z którym walczymy, może na przykład w ostatniej chwili utracić swoją wiarę i tym sposobem podsunąć nam zwycięstwo (coś takiego zdarzało się wielokrotnie). Moi żołnierze z wielką prędkością dotarli na to miejsce, a przez kilka chwil całe niebo wydawało się jaśnieć od błyszczących linii przybywających tam wojowników. Dwie armie kosmiczne gotowe były do walki – i to wszystko tylko o jednego człowieka!

Byłem przygotowany na tytaniczną walkę, ale wydarzenia przybrały teraz nieoczekiwany bieg. Bariera otwarła się właśnie nad samym Szczepanem, tak więc i on mógł widzieć tron. Przeogromnie zdziwiony, głośno wołał opisując to, co widział.

– *Widzę Go!* – wołał Szczepan. – Widzę otwarte niebo i Jezusa stojącego po prawicy Boga!

Tylko tego potrzeba było tłumowi. Ci ludzie nie widzieli otwartej bariery, którą widział Szczepan i ja; dla nich był to jedynie kolejny przykład nieprzebaczalnego bluźnierstwa, z wrzaskiem więc skoczyli na niego, ciągnąc go poza bramę miasta. I – cud nad cudami – armia niebiańskich wojowników nie interweniowała! Stali, płacząc żałośnie, gdy człowiek ten był bombardowany kamieniami, tak długo, aż jego ciało znikło pod kupą kamieni, a potem ze smutkiem skierowali się z powrotem w kierunku Królestwa. *Z jakiegoś dziwnego powodu otrzymali rozkazy, aby dopuścić do tego, co się stało!*

Dlaczego? To pytanie nadal nie daje mi spokoju.

Ponieważ Meldibon dopomaga wojownikom Trimaka w Rzymie, kieruję się więc do jednego z jego najświetlejszych asystentów.

– Drelkin, co tu się właściwie dzieje? Czy to widziałeś? Straże *pozwoliły*, aby się to stało? Dlaczego?

– Mistrzu, kiedykolwiek Królestwo pozwala na to, by jeden z ich sprzymierzeńców umarł w taki sposób, zawsze istnieje jakiś ważny strategiczny powód. Mogę tylko zgadywać, ale myślę, że to wydarzenie sygnalizuje strategiczną zmianę w wojnie. Jak dotąd, wierzący koncentrowali swoje wysiłki tylko tutaj, w Jerozolimie. Ale teraz, po tej egzekucji, Królestwo może znacznie rozszerzyć swoje działania w kierunku pogan. Lepiej przyjrzyj się temu nowemu niebezpieczeństwu.

Dziękuję mu i pozwalam odejść. Jeszcze za wcześnie na to, by stwierdzić, czy Drelkin ma rację, ale przynajmniej nie ma już Szczepana. Późnym popołudniem przywódcy rady odbywają bardzo ważne spotkanie z Poncjuszem Piłatem. Piłat zgadza się (w zamian za atrakcyjną łapówkę) zignorować zabójstwo, które oczywiście było przestępstwem rzymskiego prawa. Ale, co ważniejsze, zgadza się na rozpoczęcie łapania pozostałych członków sekty i przeprowadzania ich egzekucji. Otwarta więc została droga do atakowania tej grupy i to pod ochroną Cesarstwa Rzymskiego!

To był dobry dzień!

Miejsce: Damaszek

Podczas sądu nad Szczepanem (który miał miejsce rok temu), obecny był pewien młody, bystry człowiek, który wiele dopomógł naszej sprawie. Na imię mu Saul, a jego umysł jest jak pułapka. Jest pełen suchego sarkazmu, a myśli tak szybko, iż niewielu potrafi stawić mu czoła w dyskusji. Po to, aby mógł pomóc w procesie, wybrano go do Sanhedrynu, co było wielkim honorem dla tak młodego człowieka. Powierzono mu też zadanie łapania naśladowców Jezusa.

Samo jego imię wywołuje już przerażenie wśród wierzących. Goni ich od miasta do miasta, zręcznie przewidując ich kolejny ruch, aresztuje ich i często przeprowadza egzekucje. Obecnie znajduje się w misji zmierzającej do wyko-

rzenia wierzących w Damaszku, ponieważ sekta rozprzestrzeniła się nawet aż do tego syryjskiego miasta. Podróż odbywa Saul z błogosławieństwem Rzymian, którzy widzą w tym niekosztowny sposób na zjednanie sobie potężnych wrogów Mesjasza. Jak powiedział to Piłat podczas ostatniej rozmowy z odwiedzającym go trybunem: „W ten sposób każdy wygrywa”.

Podróż była długa, prowadząca przez góry. W końcu jednak podróżnicy zeszli w dół skalistego kanionu, a przed nimi rozpostarł się Damaszek, z jego obficie owocującymi sadami i gospodarstwami, jaśniejącymi w gorącu samego południa. Z myślą o możliwym odpoczynku i cieniu, każdy przyspiesza swoje kroki.

I wtedy stało się. Nagły, palący błysk światła, który niemal mnie oślepił i w którego bolesnym blasku widzę, że coś stało się Saulowi. Upadł na kamienne brukowe i wije się z bólu, trzymając ręce na swoich oczach. Zaś z kosmosu odzywa się głos.

– *Saulu, dlaczego mnie prześladujesz?*

– A kim jesteś, Panie? – pyta przerażony Saul, a z Królestwa przychodzi odpowiedź, która nawet mną wstrząsa.

– *Jestem Jezusem, tym, którego prześladujesz.*

– Co chcesz, aby uczynił? – odpowiada, cały drżąc ze strachu.

– Udać się do miasta. Tam, moi naśladowcy pokierują tobą.

Uzbrojeni towarzysze Saula słyszą głos, ale nie widzą światła z Królestwa. Dla nich bariera nie otwarła się widzialnie, a ja od razu zdaję sobie sprawę, dlaczego. Gdyby każdy z nich został wystawiony na działanie tej silnej energii, cała grupa byłaby teraz ślepa i nie byłoby nikogo, kto mógłby zaprowadzić Saula do Damaszku.

Saulowi, jako pierwszemu udaje się przywrócić zdolność myślenia. Jest czasowo ślepy, ale nadal szybko myśli, wyciągając więc rękę, mówi:

– Zaprowadźcie mnie do miasta. Obserwujcie, czy nie ma tam kogoś, kto na nas czeka. Jeśli niebo porozumiało się ze mną w taki sposób, wierzący w mieście także otrzymali informację. Ktoś będzie czekał. Niech mi ktoś z was poda rękę. *Idziemy!*

Trzy dni później

Zwołuję naradę moich starszych współpracowników.

– Wojownicy, mamy poważny problem. Człowiek o imieniu Saul nawraca się na wyznawcę sekty Jezusa. Jest niezwykle bystry i zna prawo hebrajskie. Jeśli skieruje się przeciwko nam, stanie się prawdziwym kłopotem. Musimy spróbować ująć go w Damaszku. Niechaj każdy nad tym pracuje.

Rzetelnie udajemy się do naszych zadań. Wkrótce całe bandy ludzkie przeszkują ulice, aby go odnaleźć, ale przezorni wierzący w Jezusa, których wykrętne zdolności wyostrzyły się jeszcze podczas ostatnich prześladowań, poradzili sobie

z ustrzeżeniem Saula, na krok przed jego wrogami, którzy pod szatami mają ukryte sztylety. Inni ludzie gromadzą się wokół bramy miejskiej, śledząc każdą osobę przechodzącą tamtędy. Jeśli Saul ma uciec, będzie musiał przejść tędy, a oni tak uważnie śledzą bramę miejską, że nie ma żadnych szans ucieczki.

Jednak w tłumie zacienionych postaci znajdują się także członkowie kultu Jezusa; osłonili dokładnie swoje głowy szatami, a ich oczy także śledzą uważnie cały tłum, wypatrzyli więc tych, którzy tak intensywnie przyglądają się każdemu podróżnikowi. To mówi im, że Saul nie może przejść przez bramę miejską. Z wyuczonym spokojem powoli rozdzielają się, jeden w kierunku straganów kupieckich, drugi przez drzwi gospody, zaś inni świadomie wędrują wokoło, jakby mieli udać się do domu na kolację. Jeden z nich – zwróciliśmy na niego uwagę i poszliśmy za nim – idzie celowo w kierunku schodów prowadzących do pomieszczenia znajdującego się na samych murach.

– To jest to! – mówię do Zartora, bardzo zdolnego młodego wojownika. – Wydaje mi się, że znaleźliśmy Saula!

Pośpieszyliśmy, aby podejść dalej, ale bardzo silny impuls energii odpycha nas; strzegą go Straże, nie będziemy więc mogli przybliżyć się do jego kryjówki. Myśląc o tym, aby ich podejść, staramy się wysłać wiadomość o miejscu pobytu Saula poprzez naszego sprzymierzonego człowieka, ale ten nagle mocno zachorował i wyniesiono go trzęsącego się w nagłej gorączce, do domu.

Tak więc bezradnie patrzymy z pewnej odległości, jak garstka przyjaciół otwiera okno w pomieszczeniu na murach, wywiesza kosz przywiązany do mocnej liny i opuszcza ostrożnie na ziemię naszego byłego sprzymierzeńca. Zanim ktokolwiek z Damaszku zda sobie z tego sprawę, człowiek ten znika w ciemności wieczoru. Saul jest bezpieczny.

Czas: 27 lat po Golgocie

Mijają lata, a wojna szaleje. Nigdy nie pracowaliśmy tak ciężko. Ci chrześcijanie – tak, teraz mają nawet swoją nazwę, przypisaną im przez pewnych Rzymian z północy, w Antiochii – udają się wszędzie, szerząc swoje idee. Chrześcijaństwo więc dotarło już do granic Indii, a przez pewnego wścibskiego człowieka o imieniu Filip, przeszło przez teren Afryki, aż do Etiopii. W tym czasie nasz zdrajca-sprzymierzeniec Saul, który obecnie używa imienia Paweł, aby zaznaczyć zmianę strony, po której teraz stoi, przewędrował przez całą Azję Rzymską, zakładając zbory chrześcijańskie.

Gdy tylko zakłada zбір, rozpoczynamy starania, aby zasiać niezgodę pomiędzy jego wyznawcami, jednak nasza taktyka nie wypaliła, bowiem Paweł posiada talent, którego nie doceniliśmy. Jest świetnym pisarzem i gdy tylko dowiaduje się o wytworzonych przez nas problemach, pisze listy pełne pobożnych rad. W ich wyniku ludzie jeszcze mocniej niż kiedykolwiek dotąd, jednoczą się. A co

gorsze, uważają, że te pisma są natchnione i je zachowują. Często nawet sporządzają ich kopie i posyłają do siebie, objawiając naszą taktykę całej sieci zborów chrześcijańskich. Listy te mogą wywołać przykre dla nas problemy: jeśli pozostaną w obiegu, Paweł, przez nie, będzie żywy nawet po śmierci. I będziemy musieli się z nim stykać wiek po wieku.

Ale pewnego dnia Ronar pojawił się z planem.

– Dlaczego nie mielibyśmy wypuścić w obieg fałszywych listów Pawła? Możemy sprawić, że wyglądać będą na autentycznie, ale wmontujemy w nie pewne subtelne błędy.

Jest to tego rodzaju pomysł, który bardzo lubię. Usiedliśmy więc do pracy nad nim. Znaleźliśmy nawet pewien kanał ludzki, poprzez który będziemy mogli działać; jest nim jeden, na wpełń nawrócony człowiek w Cezarei, którego nominalne chrześcijaństwo zostało okaleczone zazdrością i egoizmem. Przekonaliśmy go więc, że posiada dar prorokowania i że został powołany przez Boga do skorygowania pewnych błędów popełnionych przez Pawła.

Wszystko, jak się wydawało, układało się doskonale. Udało mu się zdobyć kopie szeregu listów Pawła i właśnie zabierał się za wprowadzenie w nich zmian, gdy dokładnie tego dnia, w którym planował rozpocząć swoją pracę, interweniowali Strażnicy.

Być może nie jest to odpowiednie słowo: interweniowali. Faktycznie zareagowali jak grupa niedźwiedzic, które bronią swego potomstwa. Wraz z moimi siłami zostaliśmy wyrzuceni gwałtownie z miasta, a później dowiedzieliśmy się, że człowiek ten został porażony wylewem, jaki unieruchomił mu dokładnie tę rękę, którą miał fałszować listy. Najwidoczniej Królestwo ma zamiar chronić pisma nadzwyczajną mocą.

Często Strażnicy interweniowali także, aby chronić apostołów. Na przykład ostatnio aresztowano Piotra i wrzucono go do więzienia. Nie zważając na poprzednie przypadki, gdy apostołowie w cudowny sposób uciekali z więzienia, Herod rozkazał, aby strzegły go cztery oddziały żołnierzy. Tak więc otoczony przez szesnastu czujnych mężczyzn, został wpuszczony do najgłębszego zakątka więzienia, za trzema masywnymi drzwiami. Tam przykuto go łańcuchami do dwóch żołnierzy, podczas gdy pozostali strażnicy spali przed wewnętrznymi drzwiami jego celi. Nie było żadnego sposobu, aby ucieczka mogła się udać.

Jednak chrześcijanie poszli do znanej sali na piętrze i tam trwali w modlitwie, a modlitwa wznosiła się za Piotra nieustannie dniem i nocą. Dokładnie tej nocy, kiedy miano przyprowadzić go przed oblicze Heroda, do niezwykle wilgotnej celi więziennej przyszedł Ramitan. Jego oślepiająca jasność spowodowała osłupienie strażników, którzy upadli nieświadomi; Ramitan szturchnął Piotra z boku.

– Wstań szybko! – rozkazał potężny anioł, podrywając zapatrzonego apostoła na nogi. A gdy Piotr powstał, łańcuchy zsunęły się z jego rąk. – Ubierz się i załóż sandały! – polecił Ramitan, a mężczyzna z załzawionymi oczami uczynił tak,

najwidoczniej zastanawiając się, czy ma to miejsce w rzeczywistości, czy też tylko śni mu się. Pocierając rany na swoich nadgarstkach, Piotr wpatrywał się w anioła w oszalamiającym oczekiwaniu. Co teraz?

– W porządku, zarzuć swoją szatę na ramiona i idź za mną!

Mijając nic nie widzących strażników, dwie postacie kierowały się prosto wzdłuż wielu korytarzy więziennych. Zamknięte drzwi otwierały się przed nimi na rozkaz Ramitana, aż w końcu podeszli do żelaznej bramy, która wyprowadziła ich na ulicę. Uchylając się, skrzypnęła hałaśliwie, a Piotr poczuł podmuch chłodnego nocnego powietrza, dziwnie świeżego, po cuchnącym stęchlizną rzymskim więzieniu. Pod przykryciem nocy wyślizgnął się z miasta – z dala od zasięgu Heroda.

Brzask przyniósł w więzieniu straszliwe zamieszanie. Piotra nie było, jego łańcuchy były otwarte i puste obok żołnierzy, którzy pod karą śmierci mieli go strzec. Wściekłość Heroda była nie do opisania. Obrabowany ze swojej zdobyczy, rozkazał, by wykonano wyrok śmierci na wszystkich strażnikach więziennych, a następnie pozbawiony możliwości zabicia Piotra, uciekł w zakłopotaniu z Jerozolimy do Cezarei.

Tam, w najdziwniejszy sposób, nastąpił jego koniec. Niektórzy z lokalnych mieszkańców, poszukując funduszków na inwestycje miejskie, zgromadzili się u jego tronu, aby skierować do niego prośbę. Ubrany w lśniąca królewską purpurę, zasiadł na tronie i rozpoczął jedno ze swoich typowych, miernych przemówień, a ludzie wyczuwając jego próżność, zaczęli wyrażać się o nim kwiecistie i z uwielbieniem.

– Czy słyszeliście tę mowę? – powiedzieli. – Czy słyszeliście to? Jaka wyśmienita! No, przecież jest to głos boga, a nie człowieka.

Ten beznadziejny głupiec właśnie zaczynał rozkoszować się tą sztuczną falą ich pochlebstwa, gdy nagle zbladł, runął ze swego tronu, stoczył się ze schodów i padł martwy na pałacową podłogę. Tłum nie znał powodu jego nagłego zgonu, ale my tak: to anioł z Królestwa unosił się nad płaszczącymi się przed Herodem ludźmi, a gdy on przyjął ich chęć oddania mu boskiej czci, anioł poraził go energią. Od razu dostrzegliśmy ironię tego wydarzenia: gdyby był bogiem, powinien przetrwać siłę takiej mocy!

Innym razem, nadnaturalne uwolnienie wydarzyło się Pawłowi i jego współpracownikowi, Syłasowi. Obaj przemawiali w Filipi, mieście położonym na pagórkach Macedonii, które leży nad doliną rzeki Gangites. Na tym miejscu mieliśmy swojego szczególnego sprzymierzeńca, młodą kobietę, która całkowicie otworzyła przed nami swój umysł, tak, że mogliśmy wykorzystywać ją jako nasz kanał oddziaływania na innych. Wyzaczyłem silnego wojownika, Dimitroka, aby przejął nad nią panowanie, a on nauczył ją, jak przewidywać przyszłe wydarzenia.

Dimitrok jest w tym geniuszem. My nie możemy znać przyszłości, bowiem jesteśmy ograniczeni czasem, podobnie jak ludzie, ale Dimitrok uważnie prze-

studiował minione cykle ziemskich wydarzeń i wypracował sobie technikę porównywania ich z obecnymi. Z tych porównań wnioskuje prawdopodobieństwa przyszłych zdarzeń i często robi to całkiem trafnie. Inni członkowie mojej armii wypracowali także podobne techniki i czasami, gdy jest to nam przydatne, przekazujemy takie spostrzeżenia naszym ludzkim współpracownikom, aby wyglądali na proroków. Tak było w przypadku tej młodej kobiety, a jej wróżby sprawiły, że stała się sławna (zaś jej panowie całkiem bogaci).

Ale niestety, jeśli nawet zafundujemy kimś takim, nie zawsze jednak można na nim polegać. Czasami jakaś część ich umysłu ujdzie naszej kontroli i w obecności mocy Bożej wołają o wyzwolenie. To zdarzyło się wielokrotnie podczas pobytu Jezusa na Ziemi, a kobieta w Filippi zaskoczyła nas w ten sam sposób. Gdy w mieście pojawił się Paweł i Syłas, chodziła za nimi, jakby starając się utrzymywać z nimi stały kontakt i wołała piskliwie: „Ci ludzie są sługami Boga Najwyższego i pokażą nam drogę do zbawienia”. Najwidoczniej jej zachowanie zostało przyjęte przez Królestwo jako modlitwa o wyzwolenie i Strażnicy odsunęli nas od niej. W końcu Paweł zwrócił się do kobiety i przemówił rozkazującym głosem.

– Duchu, który władasz tą kobietą, rozkazuję ci w imieniu Jezusa, żebyś z niej wyszedł.

Skręcając się z upokorzenia i przegranej, Dimitrok ustąpił. Przeklinam siebie, że muszę o tym mówić, ale nikt z nas nie może oprzeć się rozkazowi wydanemu w imieniu Jezusa. Gdy zostaje ono wypowiedziane, wydaje się, że uwalnia wszystkie siły Królestwa, a gdy wykorzystywane jest w modlitwie nawet przez najsłabszych ludzi, często trzęsiemy się ze strachu. Gdyby ludzie tylko zdali sobie sprawę, jaki autorytet stoi za tym imieniem, mogliby wyrzucić nam ten świat – byłoby to w zasięgu ich mocy! Jednak my zadziałaliśmy przeciwko temu w sposób, jaki okazuje się całkiem skuteczny: spowodowaliśmy, że większość ludzi wykorzystuje imię Jezusa jedynie w złości, zamieniając je tym sposobem w przekleństwo. Teraz większość z nich wypowiada je tylko wtedy, gdy na przykład uderzą się młotkiem w palec. W taki sposób zneutralizowaliśmy to, co w przeciwnym razie mogłoby się stać dla nas śmiertelnym zagrożeniem.

Tak więc ta niewiasta publicznie została uwolniona spod naszej kontroli. Zauważyłem, że jeśli nie zaczniemy działać szybko, wieść o tym rozejdzie się po mieście i nasza broń podejrzliwości, którą wykorzystywaliśmy tutaj z takim sukcesem, przepadnie.

– Thorionie – powiedziałem, wzywając najbliższego pomocnika, młodszego współpracownika. – Udaj się szybko do panów tej młodej kobiety. Niech wiedzą o tym, że już nigdy więcej nie będzie przekazywała tajemnic przyszłości i napełnij ich wściekłością na to, że utracili źródło dochodu. Potem pošlij ich do władz miejskich. Dochody, jakie przynosiła ta kobieta, będą stratą także dla przywódców miasta, a gdy to sobie uświadomią, będą wystarczająco gotowi do tego, by uwieźć apostołów!

Mój plan zadziałał doskonale. Niemal buchając z oburzenia, panowie tej kobiety porwali Pawła i Sylasa na plac targowy, gdzie, za swymi handlowymi straganami, starszyzna miasta siedziała w pełnym splendorze. Wkrótce aresztowano Pawła i jego przyjaciela, przedtem sprawiając im mocną chłostę, tak typową dla Rzymu i wepchnięto ich do więzienia, gdzie zakuto im nogi.

Właśnie pogratulowałem sobie tak łatwego zwycięstwa, gdy nadszedł posłaniec i sprawozdał, że mężczyźni ci, chociaż zamknięci w więzieniu, śpiewali pieśni ku chwale Królestwa! Tak było aż do północy, a inni więźniowie (wielu z nich także było wychłostanych i wiedziało, że ci dwaj muszą podobnie do niech cierpieć) słuchali tego ze zdumieniem.

– Byli biczowani, a jednak śpiewają! – powiedział jeden z nich.

– Tak – odpowiedział drugi, który nauczył się hebrajskiego jako sługa pewnego kupca, podróżującego także do portu w Joppie. – I to śpiewają pieśni pochwalne na cześć Boga Hebrajczyków.

– Co robią? Mówisz, że śpiewają pieśni pochwalne? Ciekawe, gdzie był ten ich Bóg, gdy żołnierz...

To zdanie pozostało niedokończone. W tej chwili bardzo silne trzęsienie ziemi wstrząsnęło miastem. Przy dźwięku trzeszczących desek i pękających kamiennych murów, mogliśmy usłyszeć dudnienie podskakujących kamieni, które jak kaskada spadały w dół wzgórza, w kierunku rzeki Gangites, powodując pianie podekscytowanych kogutów, szczekanie psów oraz przenikliwy krzyk docierający ze strony pokaleczonych, poszkodowanych ludzi. W więzieniu wszystkie drzwi i okowy, którymi skuto nogi więźniów, otwały się!

Strażnik rozbudził się w przerażeniu. Widząc pootwierane drzwi, przypuszczał, że więźniowie już uciekli, wyciągnął więc szybko swój rzymski miecz, aby odebrać sobie życie, mówiąc do siebie, że lepiej zginąć z własnej ręki, niż zostać zbitym na śmierć przez rzymskiego liktora.

– Zaczekaj! – zawołał Paweł rozkazującym głosem. – Nie czyn tego! Jesteśmy tu wszyscy.

I co dziwne, każdy więzień znajdował się na swoim miejscu, mimo że drzwi do wolności były otwarte!

– Sergiuszu, przynieś pochodnię! – zawołał strażnik i przy tym kopącym się światłem poszedł w kierunku Pawła i Sylasa, gdzie uklęknął u ich stóp.

– Mogliście uciec, a jednak pozostaliście. Dlaczego?

– Poczuliśmy, że gotów jesteś odebrać sobie życie – odpowiedział Paweł – a jesteś bardzo umiłowany przez Istotę tam, w kosmosie, która stworzyła ten świat i pragnie, abyś żył.

– Moi żołnierze biczowali was, a wy jednak śpiewaliście – powiedział ze zdumieniem. – Czy te pieśni chwały, które śpiewaliście przez cały wieczór, były dla tego Boga, o którym opowiadacie?

– Tak.

– W takim razie pragnę, aby moje życie podobne było do waszego. Panowie, co muszę uczynić, aby być zbawionym?

Tym sposobem owa noc stała się dla mnie kolejnym nieszczęściem. Strażnik zabrał tych dwóch mężczyzn do swego domu, opatrzył ich rany, a potem cały jego dom został ochrzczony na wiarę chrześcijańską. Tak więc Paweł i Syłas zostali uwolnieni i powstał kolejny zbór – wszystko jeszcze przed wschodem słońca!

Czas: 29 lat po Golgocie

Lata mijają na gorzkiej walce. Tak, jak się tego obawiałem, chrześcijanie wzmocnieni energią Ruach są tacy, że nie możemy sobie z nimi poradzić. My ich więzimy, a oni śpiewają pieśni, po których jeszcze nawracają nawet strażników więziennych! Rozbijamy statek z nimi na pokładzie, a oni docierają do brzegu i niewiele trzeba czasu, aby nawrócili ludzi z tego narodu, w jakim się znaleźli. Chętni są oddać nawet swoje życie, a każdy męczennik zamienia się w tyśiące nowych wierzących. Jak można odnieść sukces nad takimi ludźmi?

Jednak od czasu do czasu popełniają, jak sądzę, wielki błąd i myślę, że Paweł właśnie coś takiego zrobił. Wbrew radom najbliższych przyjaciół, powrócił do Jerozolimy, miasta wypełnionego gorliwcami, którzy chcieliby go ujrzyć martwym. Nie traciłem więc czasu, aby to wykorzystać. Wczoraj rozpoznano go i aresztowano, jest więc teraz więźniem, skazanym na to, aby sam się bronił przed Sanhedrynem! Myślę, że mój stary wróg będzie wkrótce tylko paskudnym wspomnieniem.

Kolejny dzień: popołudnie

Dzisiaj rano przyprowadzono Pawła przed Sanhedryn, aby odpowiedział na oskarżenia o herezję. Ku memu jednak ogromnemu zdziwieniu, okazał się lepszym prawnikiem niż cały sąd najwyższy! Był członkiem tej rady, zanim przyłączył się do kultu Jezusa, dobrze zna, jak działają tu wewnętrzne mechanizmy, dlatego ten bystrzak szybko rozpoznał, że grupa radnych dzieliła się na dwa wrogie sobie obozy. Jedna frakcja składała się z Faryzeuszów, ludzi o wielkiej ortodoksji, którzy wierzą w takie dogmaty, jak zmartwychwstanie umarłych. Druga grupa obejmowała liberalnych Saduceuszy, którzy odrzucają te doktryny jako bajki dla niewykształconych. Wykorzystując zrećźnie ten spór doktrynalny, Paweł podzielił sąd najwyższy na dwie bezradne grupy.

– Mężowie bracia! – wołał. – Jestem Faryzeuszem, synem Faryzeusza, a powód, dla którego stoję tu oskarżony jest ten, że wierzę w zmartwychwstanie umarłych!

Po tych słowach rada eksplodowała chaotycznym rykiem. Faryzeusze głośno bronili Pawła, zaś Saduceusze domagali się jego głowy, a dostojni pisarze miej-

scy włączyli się w spór po stronie Faryzeuszów z głośnymi ostrzeżeniami, że atakowanie Pawła jest jakby atakowaniem Boga. Wkrótce cała kłótnia przerozdziła się w walkę, podczas której niektórzy z tłumu zaczęli fizycznie bronić Pawła przed drugimi, którzy z kolei chcieli go ukamienować. W końcu interweniował dowódca rzymski, właśnie w tym momencie, gdy niemal nie rozdarli Pawła na kawałki i zabrano go, dla bezpieczeństwa, do zamku. Teraz więc jest strzeżony przez Rzymian, a ja zaczynam się zastanawiać, jak się do niego dostać.

Tydzień później

Właśnie przeglądałem poranne wiadomości, gdy przybiega do mnie posłaniec.

– Mistrzu, dobre nowiny! Ponad czterdziestu zelotów, ludzi, którzy nienawidzą Pawła z całą pasją, przysięgło sobie, że nie będą ani jedli, ani pili, aż będzie on martwy. Są bardzo zawzięci. Albo go zabiją, albo sami padną, podejmując tego próbę. Gdy poprowadzą go z zamku na kolejne przesłuchanie, będzie do niego dostęp.

– Tak... – zadumałem się. – I tych czterdziestu będzie się bardzo spieszyło, aby wykonać swoje zadanie. Po trzech dniach dostaną szału z pragnienia. Po tygodniu będą już tak zgłodniali, że nie będzie dla nich ważne, czy będą żyć, czy umrą, i podejmą się każdej, nawet samobójczej szansy, aby dokonać zamachu na tego człowieka. Myślę, że nasi wojownicy powinni tam być.

Posłaniec kłania się, oczywiście pochwalony za to, że jego wieści mnie zadowolily, a ja długo przyglądałem się kamiennej konstrukcji, za którą teraz uwięziony jest Paweł. *Złapany – jak ptak w klatce*. W tej fortecy nie może biegać ani przemawiać, a jeśli tylko wyjdzie na zewnątrz, od razu będzie zabity. Żadnym sposobem nie mogę tego przegrać.

Ale wtedy przychodzi mi do głowy orzeźwiająca myśl. Już znajdowałem się wcześniej w takich sytuacjach, w których wszystko wyglądało na to, że Wszechmogący nie może wygrać, a ja nie mogę przegrać, a potem przeżyłem przykrą niespodziankę. Powoli zaczynam się martwić: *coś zapewne przebiegnie nie tak, jak trzeba*. Nie wiem gdzie i kiedy, ale już odczuwam, że nadchodzi kłopot.

I stało się to później, tego samego dnia. Inny posłaniec, który właśnie schodził ze swej służby, podchodzi do mnie, a wyraz jego twarzy już mi mówi, że przynosi wieści, których wcale nie chcę usłyszeć.

– Złe wieści, Mistrzu. Siostrzeniec Pawła usłyszał o przygotowanej zasadzce na apostoła, udał się więc z tą informacją wprost do Klaudiusza Lucjusza, dowódcy garnizonu. W tej chwili właśnie Rzymianie przygotowują dwie setki żołnierzy oraz siedemdziesięciu jeźdźców, a także dwustu oszczepników. Mają zamiar wysłać Pawła do Cezarei pod tak silną strażą. Słyszałem, jak jeden z setników mówił, że wyruszą jeszcze przed świtem. Mistrzu, oni znikną stąd jeszcze wtedy, gdy wszyscy będą spać.

Kolejny dzień

Wszystko wydarzyło się tak, jak powiedział posłaniec. Jeszcze w ciemnych godzinach wczesnego poranku, oddziały powędrowały z Pawłem znajdującym się w samym centrum ich formacji, otoczonym ścianą błyszczącej stali i brązu. Zasadzka, jaką na niego przygotowywano, została udaremniona.

Serce mi się kraje. Klęska, i to nawet tam, gdzie była sama pewność wygranej! Gdy brzask powoli przywołuje szarość nieba nad Górą Oliwną, dochodzę do wniosku: tutaj, w Jerozolimie, nie ma dla mnie przyszłości – ani trochę. Tutaj zabiłem Narodzonego, ale powrócił znowu do życia. Tutaj atakowałem Jego naśladowców, ale ten ucisk jedynie powoduje, że dobrze się rozwijają. Nawet rządzący wydają się tutaj bezsilni, aby powstrzymać od rozwoju sektę Jezusa.

Nie, siła leży gdzieś indziej – na północnym zachodzie, za morzem. Muszę przenieść moją siedzibę do Rzymu.

Objawienie

Rok: 95

Chrześcijanie rozpoczęli liczyć czas od narodzin Chrystusa-dziecka, a ponieważ muszę dostosować moją taktykę do ludzkiego umysłu, ważne jest, aby myśleć ludzkimi kategoriami. Tak więc mamy teraz rok 95 – Anno Domini 95, jeśli mam już być precyzyjny i korzystać z terminologii łacińskiej, jaką sobie obecnie upodobali.

Tak wiele się wydarzyło! Najpierw więc odnotuję zmiany, jakie mają miejsce w samym Rzymie. Cesarstwo znajduje się w oczywistym rozkładzie. Od początku czasów widziałem, jak cywilizacje rodziły się i przemijały, a to, najwidoczniej przeszło już swój okres szczytowy. Pieniądze zaczynają tracić swoją wartość, społeczeństwo rozpada się, zaś ludzie stali się takimi buntownikami, że rozkoszują się przemocą – są tu wszystkie znaki zepsucia i chwila, w której jacyś ambitni wrogowie przedrą się przez kruche, rzymskie obrony, jest bardzo bliska. Sam ostatnio zauważam, że coraz częściej zastanawiam się nad przepowiednią Daniela, przekazaną tak dawno temu: cesarstwo rzymskie rozpadnie się, a później zamieni się w całe mrowie walczących ze sobą narodów. Pewnego dnia ludzie będą się starali zjednoczyć świat, ale to – przypominam sobie z poczuciem przerażenia – wydarzy się przed samym końcem.

Koniec. Ta myśl zaczyna krążyć mi po głowie, wygryzając dziury w mojej duszy. Skończy się wtedy moje królestwo, a jeśli Meldibon ma rację, pozostawiony zostanie na tym roztrzaskanym świecie, na którym nie będzie życia, gdzie będę oczekiwał mojego własnego kresu. Co będę robił? Jak będę mógł znieść taki świat, na którym nie będzie niczego, oprócz straszliwych wspomnień? Czasami chciałbym powrzeszczeć, ale niczego dobrego by to nie przyniosło. Jest jednak jedna myśl, która zawsze stanowi dla mnie zachętę: jeśli tylko uda mi się odsunąć ten koniec, jeśli zdołam wtrącić się w plany Wszechmogącego i spowolnić je trochę, zyskam wtedy trochę na czasie. Jeszcze jeden wiek. *Jeszcze jeden dzień!* Tak często słyszałem, jak mówiły to moje ludzkie ofiary: „*gdybym tylko mógł mieć jeszcze jeden dzień życia...*” Teraz zauważam, że zmierzam w kierunku takiej samej rozpacz.

Ale w tym czasie jest do wykonania praca i to prowadzi mnie do kolejnego tematu. Upadek Rzymu, co naprawdę dziwi, okazał się dla mnie użyteczny. Kilka lat temu, cesarz Neron potrzebował wymówki, by przykryć rozkład swego chwiejącego się już cesarstwa, a na scenie pojawili się w tym momencie chrze-

ścian, na których można było rzucić oskarżenie. Tysiące z nich zostało rzuconych na areny, na rozszarpanie przez, na wół wygłodniałe, lwy, podczas gdy „dobrzy” obywatele Rzymu wiwatowali zachrypnięci, domagając się więcej takich widowisk, a tej prośbie cesarz rzadko odmawiał. Neron był pyszałkowatym moim najemnikiem, ale służył mi dobrze, prowadząc horrendalne prześladowania sekty chrześcijańskiej.

Około 15 lat temu cesarz Tytus zakończył budowę Koloseum, potężnej budowli, wystarczająco dużej, by pomieścić 2000 walczących gladiatorów. Mam więc teraz nawet swoją świątynię dla tych makabrycznych ceremonii i wykorzystuję ją często. Spędza się tu już rutynowo chrześcijan, aby umierali, podczas gdy ogląda to tysiące ludzi ze swoich wygodnych miejsc, spożywając baraninę i pijąc rzymskie wino. W związku z tymi prześladowaniami, wprowadziłem sektę chrześcijan głęboko, do labiryntu podziemnych korytarzy znajdujących się pod miastem, gdzie ukrywają się, próbując uniknąć rzezi. Nauczyłem się, jak walczyć ze Starodawnym. Gdzie tylko mogę, atakuję Jego naśladowców i niszczę ich. Gdy nie mam możliwości odebrania im życia, ograniczam ich działalność – w Egipcie, w Babilonie, a teraz pod ulicami Rzymu. Tylko tam będą mogli wygłaszać swoje cenne, niewielkie przemówienia!

Jednak wiem (gdzieś w głębi tkwi to we mnie), że jest to tylko czasowe zwycięstwo. Niewola egipska stanowiła jedynie preludium wielkiego Exodusu. Moje zwycięstwa w Babilonie same uderzyły mnie w twarz, a ci ludzie, gromadzący się głęboko pod ziemią i kamieniami Rzymu, też znajdują jakiś sposób, aby wyjść z tego cało. Jeszcze nie wiem jak, ale to się stanie – zadba już o to samo Królestwo. Tak więc zaczęliśmy pracować nad inną strategią, której celem jest zniszczenie ich od środka.

Około dziesięć lat temu przydzieliłem Meldibonowi legion wojowników dla wykonania bardzo szczególnej misji.

– Twoim zadaniem – powiedziałem – jest tak przestudiować chrześcijaństwo, aż poznasz je lepiej, niż zna je większość wierzących. Poszukaj rzeczy, które można błędnie zrozumieć lub je wyolbrzymić, a potem zasiej zwątpienie wśród nich. Spraw, aby zaczęli się ze sobą kłócić.

Przydzieliłem mu najlepsze oddziały mojej armii i Meldibon udał się do pracy, a wyniki już da się zauważyć. Chrześcijanie, kiedyś jednolici w swojej doktrynie, teraz zaczynają się dzielić ze względu na swe dyskusje właśnie nad doktrynami. Jedni, którzy wyznają swoją wiarę w Chrystusa, uważają, że Jego miłość uwalnia ich od potrzeby przestrzegania Dziesięciu Przykazań. Jedną z takich grup są Nikolaici, którzy sami uważają się za uwolnionych od prawa, i którzy stali się już znani ze swoich swobód seksualnych. Inne frakcje upierają się przy tym, że jest rzeczą konieczną, aby zachowywać zwyczaje i ceremonie rabbinistyczne; ci szybko tracą świadomość faktu, że ludzie, sami z siebie, nie mają

sił do zachowywania prawa. Meldibon usidlił jeszcze innych, których cechuje grecka forma intelektualizmu, jaka stara się zbadać każdą tajemnicę i to ludzkim umysłem. Ta grupa odszczepieńcza szybko zaczęła się przekonywać, że Jezus, pomimo, że był dobry i pełen darów, nie był jednak nikim więcej, jak tylko zwykłym człowiekiem! Nie trzeba mówić, że ta idea rozdzielił chrześcijaństwo z powodu mocnej niezgody. Z łatwością potrafię przepowiedzieć takie sprzeczki, które dojrzeją jeszcze do otwartej wojny pomiędzy współzawodniczącymi ze sobą sektami.

Jednak najsprytniejszy pomysł ze wszystkich, pochodzi nie od Meldibona, ale od Zedronna. Jest to tak obiecujące, że chcę o tym napisać w tym pamiętniku.

Kilka tygodni temu przyszedł do mnie Zedronn, a jego oczy płonęły od entuzjazmu.

– Mistrzu! – powiedział. – Wreszcie zaczyna się to układać! W końcu znalazłem sposób, aby mój plan był doskonały!

Zazwyczaj pamiętam dobrze każdą ważną rzecz; nie mogę sobie pozwolić na zapominanie o pewnych szczegółach z przeszłości, bo też nikt tego nie wie, czy nie okażą się istotne w jakiejś walce w przyszłości. Jednak muszę przyznać, że tym razem Zedronn zabił mi klina.

– Ach, twój plan – odpowiedziałem, mając nadzieję, że poda mi jakieś szczegóły na temat, o którym właśnie mówił, ale on nie dopomógł mi w taki sposób.

Tak – powiedział. – Wydaje mi się, że teraz poskładam to wszystko razem.

Co posklada? – pomyślałem sobie, gdy przerwał, mając nadzieję, że będzie kontynuował, ale on nadal milczał, najwyraźniej spodziewając się, że to ja podejmę teraz rozmowę. Nie potrafiąc, a równocześnie nie chcąc się przyznać, że nie mam pojęcia, o czym on mówi, popatrzyłem na niego wymijająco, jakby czekając na jego kolejną uwagę. Ale nadal trwała tylko kamienna cisza, podsycana przez jego przenikliwe spojrzenie, jakie pojawia się u niego wtedy, gdy w myślach ma coś, co stanowi jakby melodramat.

– No, kontynuuj – ponagliłem go w końcu.

– Mistrzu – powiedział zirytowanym głosem. – Nie sądzę, abyś miał nawet mgliste pojęcie o tym, co mówię.

Przyłapał mnie i to mnie zirytowało. Zedronn zawsze potrafi wydobyć ze mnie to, co najgorsze.

– W porządku, Zedronn – odezwałem się oschle. – *Nie wiem, o czym faktycznie mówisz. I jestem zajęty. Coś dzieje się na wyspie Patmos. Otrzymałem wiele raportów o występującej tam energii, jakby Królestwo miało wkrótce dokonać tam czegoś. Muszę się tam udać, aby samemu to zobaczyć, a ty się chcesz zabawiać w zgadywanke. Jaki jest twój plan? Zmierzaj do sedna i śpiesz się.*

– Projekt dotyczący Szabatu! – odpalił, a głos mu się zmienił w wysoki pisk. – *Mówisz, że tego nie pamiętasz? Jest to pomysł, nad którym zacząłem pracować jeszcze w Babilonie.*

Oczywiście! W Babilonie przyszedł do mnie z planem, aby zatrzeć w pamięci ludzkiej historię o stworzeniu. Aby to osiągnąć, zaproponował zamianę Szabatu, pamiątki stworzenia, jakimś świętem pogańskim, obchodzonym cotygodniowo. Potem, bez pośpiechu, mógłby zaproponować ideę, że nie było wcale żadnego Stworzyciela, i że ten świat powstał jedynie przez zwykły przypadek. Jego idea wyglądała na obiecującą, bowiem odwoływała się do próżności ludzkiego umysłu. Ludzie niczego tak bardzo nie lubią, jak schlebiającą im iluzję, że potrafią zrozumieć najgłębsze tajemnice życia. W końcu, dokładnie takim argumentem posłużyłem się w rozmowie z Ewą!

– Ależ oczywiście – odezwałem się. – Teraz pamiętam. Myślałem jednak, że udało ci się zrealizować ten projekt jeszcze w Babilonie. Przecież ostatecznie przekonałeś filozofów babilońskich, aby poświęcili jeden dzień każdego tygodnia, w którym czcić będą słońce.

– Naturalnie, odniosłem pewien sukces w Babilonie – odpowiedział. – Ale kogo dzisiaj obchodzi Babilon? Jest to tylko mały przypis historyczny. Wszystko dzieje się teraz tutaj – tutaj w Rzymie.

– Popatrz, Mistrzu – kontynuował. – Mamy szansę przeżyć tu całe życie. Jeśli uda nam się sprawić, że świat zapomni o stworzeniu, wtedy przejdę do kolejnej fazy mojego planu. Znajdę przekonującego człowieka i wykorzystam go jako kanał dla pewnej ładnie brzmiącej teorii o tym, jak życie rozwinęło się przez przypadek. Przynajmniej w umyśle ludzkim Bóg będzie martwy.

Gapilem się w niego ze zdumieniem. Ten dziwaczny plan z przeszłości może *nadal* jeszcze wygrać dla mnie tę wojnę. Jeśli uda mi się doprowadzić tę planetę do odrzucenia idei istnienia Boga, w takim razie, jakie będzie miał prawo, aby tu przyjść? Złapie Go Jego własna doktryna o wolnej woli. A nawet, jeśli nie wygram, taki podstęp może na całe wieki odsunąć stąd Wszechmogącego!

Cała idea była już ekscytująca kiedyś, w Babilonie, ale wykorzystanie jej teraz, gdy chrześcijaństwo zaczęło rewolucjonizować świat, było całkowicie genialne. Aby przyjąć pogański dzień kultu, ludzie będą musieli zignorować dzień odpoczynku ustanowiony w prawie Starodawnego – w tym samym prawie, które zabrania cudzołóstwa, kłamstwa i kradzieży. Gdy ludzie zabawią się jedną częścią prawa, wtedy postawią się w sytuacji, w jakiej zignorują także pozostałe jego części.

W planie Zedronna była jeszcze jedna strona: każdy, kto odważy się zmienić prawo napisane przez Wszechmogącego, faktycznie postawi się na poziomie mocy równej Bogu – jako współzawodniczące bóstwo na tej Ziemi!

To było wyśmienite! Ten plan postawi ludzi na pozycji rywali Boga, a nie Jego sprzymierzeńców!

Powierzyłem Zedronnowi dwa legiony wojowników, aby zaczął realizować ten plan, i przyznaję, że byłem cały w nerwach, gdy to czynił. On nadal jest

potencjalnym moim przeciwnikiem i nigdy jeszcze, od czasu jego buntu, nie powierzyłem mu sił wielkości armii. Ale jego pomysł jest tak dobry, że nie mogę sobie pozwolić na to, by go zignorować, dam mu więc szansę i ufam, że nie nadużyje jej.

I tak Zedronn udał się do pracy nad swoim projektem, a ja skierowałem moją uwagę na rzeczy, które niepokoiły mnie na wyspie Patmos.

Patmos, Morze Egejskie

Na Morzu Egejskim, na dzień drogi lub nieco więcej od Efezu, wznosi się skalista skorupa ziemi, zwana wyspą Patmos – miejsce straszne, gdzie ludzie o zapadniętych oczach pracują ciężko całymi dniami w kamieniołomach, a potem spędzają wieczorne godziny, wpatrując się beczynn timer w horyzont, jakby próbując wyczarować wizję dawno straconego domu. Jest to obóz więzienny, do którego cesarstwo przysłała skazańców kryminalnych, a ja na to piekielne miejsce zesłałem apostoła Jana.

Jest to ostatni żyjący apostoł, bo wszystkich pozostałych dawno temu uśmierciłem. Jakuba ścięto kilka dziesięcioleci temu. Wykonano wyroki na Piotrze i Pawle. Filip zmarł w Syrii, a Andrzej został ukrzyżowany w Patras, w Achai. Sprawilem nawet, że cesarz Domicjan rozkazał, aby wrzucono Jana do kotła z gotującym się olejem, ale dzięki kolejnemu z cudów, które czasami komplikują moje plany, człowiek ten wynurzył się nietknięty – to jakby reminiscencja owych trzech Hebrajczyków w piecu hutniczym Nebukadnezara. Przez jakiś czas Jan prowadził zbór w Efezie, gdzie mieszkała Maria, matka Jezusa, ale teraz jest uwięziony na Patmos i pracuje jako niewolnik w kamieniołomie.

Na południu wyspy, w połowie drogi od wzniesienia dowództwa, znajduje się jaskinia skalna, w której Jan zamieszkał. Skoro nie udało mi się go zabić, tak jak pozostałych apostołów, moi wojownicy otoczyli szczególną nienawiścią tego starego człowieka. Przewodzi w tym Barshok, który często wyczarowuje jakiś zimny wiatr z północy, przedmuchujący jaskinię, gdy stary apostoł wypoczywa, drżąc cały w surowych skórkach kozich i modli się, aby burza minęła. Gdy jego modlitwy zostają wysłuchane i nastaje słoneczna pogoda, Barshok natychmiast wyrusza ponownie do pracy, wywołując kolejną burzę. Wyspa stała się więc normalnym polem bitwy pomiędzy moimi siłami, a siłami Królestwa.

Takie bitwy często mają miejsce, gdziekolwiek tylko ludzie starają się wypełnić wolę Wszechmogącego. Zasypujemy ich plagami wypadków, kradzieżami, wrogością, zdradą. Czynimy to, co się tylko da, aby chorowali. I dopóki Strażnicy w szczególnie sposób nas nie odeprą, stoimy tuż przed nimi, przeklinając ich. Nasze słowa nie wydostają się poza barierę, ale przekleństwa tak – w formie jednego niepowodzenia za drugim. Ich jedynym lekarstwem jest modlitwa, ale co zaskakuje, często dają nam przewagę, właśnie zapominając o modlitwie.

Jednak nie jest to prawdą, gdy chodzi o Jana. Osiągnął już niemal taki poziom, że każdy jego czyn w ciągu dnia jest modlitwą. Nawet, gdy wyciosuje kamienie, wydaje się utrzymywać głęboką więź z Królestwem i chociaż jego stare, niebieskie od żył ręce często krwawią od ostrych kamieni, jakie musi nosić, zachowuje się, jakby wcale nie był tego świadomy. Obawiam się, że osiąga taki poziom, jaki kiedyś osiągnął Enoch.

Ostatnio pojawili się u mnie posłańcy ze sprawozdaniami, że odczuwali wzrastający poziom energii na południowym końcu wyspy. Stopniowo, ale systematycznie poziom ten wzrastał od szeregu tygodni, a wczoraj, młodszy posłaniec doniósł, że był on znacznie wyższy, niż miało to miejsce w ostatnich latach.

– Mistrzu, jak to zrozumieć? Czy jest coś szczególnego, czego powinniśmy szukać?

Obawiałem się tego pytania, ponieważ moje siły są obecnie bardzo uszczuplone i nie mogę sobie teraz pozwolić na wymianę wartowników na Patmos, skoro ci, którzy zostali tam wyznaczeni zaczęli się bać. Nie mogłem jednak ukrywać dłużej i swoich obaw. I on musiał się dowiedzieć.

– Myślę, Parshon, że możesz oczekiwać jakiejś wizyty z Królestwa.

Popatrzył na mnie zaniepokojony, jakby był z 94 echelonu i jakby nigdy jeszcze na Ziemi nie doświadczył bezpośredniego spotkania z gościem wysokiej rangi z Królestwa.

– Nie patrz takim zatroskanym wzrokiem – mówiłem dalej. – Gdy to się stanie, uciekaj. Ale nie zapomnij przesłać mi wiadomości. Wtedy osobiście się tam udam.

Starzał się wyglądać na zadowolonego, ale jasne było, że ten biedak był chory ze zmartwienia, jednak w końcu opanował się w podenerwowaniu i zapytał mnie o więcej szczegółów.

– Mistrzu, zrobię tak, jak mówisz, ale – w tym momencie wydawał się poszukiwać odpowiedniego sposobu do wyrażenia tego – ale co się właściwie dzieje? Kogo wtedy powinienem szukać?

Staralem się mu to przedstawić tak łagodnie, jak tylko potrafiłem.

– No, Parshon, poziom energii wzrasta powoli, ale systematycznie, czy tak?

– Tak, Mistrzu.

– Człowiek, którego strzeżesz jest bardzo stary. Fizycznie nie jest on w stanie znieść nagłego przyrostu energii, tak więc Królestwo podnosi poziom energii stopniowo, dając mu tym sposobem czas na zaaklimatyzowanie się.

– Ale dlaczego, Mistrzu?

– Ponieważ, Parshonie, Jan prawdopodobnie będzie miał gościa bardzo wysokiej rangi. Ktoś ważny z Królestwa wybiera się, aby się z nim zobaczyć, a on musi być gotowy na wytrzymanie mocy jego obecności.

Twarz posłańca naprężyła się.

– Mistrzu, poziom energii już jest wyższy niż poziom jakiegokolwiek anioła z Królestwa, z jakim już się spotkałem. Jak myślisz, kto więc może się pojawić?

I oto stało się – zadał pytanie, którego miałem nadzieję, że nie postawi. Ale w porządku, mój dociekliwy przyjacielu.

– Parshon, rozumiesz, że jest to tylko przypuszczenie. Pamiętaj jednak o tym, że Jan jest ostatnim żyjącym prawdziwym apostołem. Stanowi On ostatnie żyjące ogniwo Narodzonego z czasem, w którym był on na ziemi. Myślę... – zatrzymałem się i zastanowiłem, czy mam odwagę to powiedzieć. Ale tak, Lucyferze, mów dalej. – Myślę, że odwiedzi go sam Narodzony.

Byłem przygotowany na to, że taka wiadomość go przerazi, ale nie spodziewałem się, że padnie zemdlony. Widziałem, jak działo się tak z ludźmi, ale nigdy z aniołami. I wtedy zdałem sobie sprawę z tego, czego się obawiam: Narodzony pojawi się na wyspie Patmos, a moje siły zostaną skonfrontowane z Istotą, która zwyciężyła wielką Tajemnicę. Nie oprze Mu się nawet śmierć. Na miejscu Parshona i ja byłbym przerażony.

Ale nie jestem na jego miejscu. Jestem naczelnym dowódcą zbuntowanej armii i nie mogę sobie pozwolić na strach. Gdy ktoś decyduje się na wojnę z Wszechmogącym, ten może spodziewać się niespodzianek i takie wyzwania nie powinny pozostawać tylko dla nieśmiałych młodych wojowników. Nie, nie mogę ryzykować, pozostawiając ten problem w rękach takich aniołów, jak Parshon. Skieruję go do Efezu, zaś na wartę na wyspie wybiorę się sam.

Patmos. Czas: Szabat

Jestem tu już około 11 dni i Parshon miał rację: poziom energii jest niezwykle wysoki. Najwidoczniej coś ma się wydarzyć, ale jak dotąd, na wyspie wszystko przebiega rutynowo. Codzienne życie Jana jest monotonnym rytuałem. Wstaje o świcie, myje swoją twarz w małej ilości wody, którą zgromadził w muszli mięczaka, jaką znalazł na plaży, potem zarzuca swoją poszarpaną szatę na siebie, a następnie modli się, dziękując Wszechmogącemu za czerstwy chleb, który setnik niechętnie mu daje (na jego śniadanie składa się chleb i woda). Następnie, przez sześć dni w tygodniu, udaje się do pracy polegającej na wycinaniu i przenoszeniu kamienia. Niektóre z jego dzieł bez wątpienia zdobić będą budowle wzniesione przez Rzymian ku czci bożków pogańskich. Jakaż to przyjemna ironia!

Jednak w Szabat nie pracuje i szereg razy odbierał chłostę z tego powodu. Setnik, zawstydzony wyrazem twarzy jego żołnierzy, gdy szturcha tak starego człowieka, w końcu chyba ustąpił w jego przypadku. Tak więc zezwolono starremu apostołowi na świętowanie tego dnia. Dzisiaj spaceruje wzdłuż niewielkiej ścieżki nad brzegiem, a jego oczy wpatrują się z tęsknotą w kierunku wschodniego horyzontu, za którym leży Efez, dokąd zabrał matkę Jezusa i gdzie raz prowadził swój niewielki zbór.

– O, Boże – mówi, a głos jego jest ledwie słyszalny, wysuszony pyłem wieku.
– Jest Szabat i oni będą się teraz gromadzić. Jak się dzisiaj mają? Jak się miewa moja trzódka? Czy nadal stoją mocno w wierze? Jakże tęsknię za światem, w którym już nigdy nie będziemy rozdzieleni, gdzie nie będzie więcej morza.

W tym momencie jego modlitwa zostaje przerwana. Szeroko otwiera się bariera i widać błysk światła oraz słychać dźwięki, a on znajduje się nagle obok jednej z istot w Czwartym Wymiarze, otoczony energią, która promieniuje poza zasięgiem zwykłego ludzkiego wzroku. Samo niebo wydaje się jakby rozdarte, odsłaniając kanał, który sięga aż do samego Królestwa i przez moment myślę, że Jan zostanie zabrany z Ziemi. Ale zamiast tego, dzieje się coś innego. Słychać fanfary jakby brzmienie trąby i w pobliżu materializuje się postać, którą natychmiast rozpoznaję, jako Narodzonego!

Ma oślepiającą jasność, a gdy poprzez przymrużone oczy patrzę na ten potok światła i energii, jakie Go otaczają, widzę, że włosy ma białe jak śnieg. Ubrany jest w złotą szarfę. Jego ręce i stopy lśnią jak płynny brąz. Jego oczy płoną jak ogień, a głos jego brzmi jak potężny wodospad.

– Jam jest alfa i omega – mówi do Jana – początek i koniec. Jestem tym, który był umarły i który znowu żyje. Mam moc, aby otworzyć grób.

Zdumiony stary człowiek odwraca się, aby zobaczyć kto mówi, a to stoi jego Przyjaciel z dawnych dni – z doliny rzeki Jordan i z Jerozolimy, z Galilei i Getsemane, z dni, gdy razem wędrowali pieszo, by uzdrawiać i przemawiać, i poszukiwać nawróconych. Łatwo potrafi Go rozpoznać, tę samą twarz, którą pamiętamy z owych dni na Ziemi, jednak tym razem nie ma na głowie korony cierniowej ani poplamionej winem szaty z magazynu Heroda. Żarzy się światłem i mocą i wygląda znacznie bardziej po królewsku, niż nawet wtedy, gdy słowem powołał ten świat do istnienia. Czas, jaki spędził na Ziemi pogłębił tylko Jego majestatyczność. Związałem się w śmiertelnej walce z tą Istotą, która iskrzy się energią w dzień Szabatu na Patmos, ale nie potrafię Go nie podziwiać, i nagle zauważam, że zaczynam zazdrościć staremu apostołowi, który jest tutaj uwieczniony, bowiem Jan nadal może uważać Go za przyjaciela!

Głos odzywa się ponownie, a Jan kłania się w hołdzie.

– Przyszedłem osobiście, aby pokazać ci przyszłość od teraz, aż do końca czasów. Zapisz to. Ci, którzy będą to czytać, będą obficie pobłogosławieni.

To jest to, co pozwolono mi jeszcze widzieć. Nagle przede mną pojawia się Gabriel, a jego ręka unosi się na znak nakazu, abym odszedł.

– Odejdź! – rozkazuje. – To miejsce jest święte.

Niedzielnny poranek

Jan powstał, gdy tylko zaczęło świtać, a gdy tylko potrafił coś dostrzec, położył pewne skrawki pergaminu, które ocalił na plaży. Najwidoczniej zostały one wy-

rzucane poza burtę jakiegoś przepływającego w pobliżu statku, a woda zmyła je na brzeg. Dlatego, że długo znajdowały się w wodzie, zostały wywabione na tyle, że znowu były zdadne do użytku. Jan chętnie zabrał je do swojej jaskini, bowiem pergamin jest luksusem, którego nie daje się więźniom. A teraz, piórem mewy maczanym w odrobinie brudnej wody, stary człowiek zaczyna pisać. Gabriel odszedł; Strażnicy zwolnili swój ścisły kordon ochronny i mam możliwość nachylić się nad jego ramieniem, gdy spod jego pióra płyną słowa: „*Objawienie Jezusa Chrystusa, które dał mu Bóg, aby ukazać sługom swoim to, co ma się stać wkrótce...*”

Patrzę się z niemym oczekiwaniem. To, co otwiera się przede mną na tym odzyskanym pergaminie, to panoramiczny obraz nadchodzących wydarzeń na tym świecie, prawdopodobnie sięgających aż do końca wojny. Szybko dostrzegam, że będę potrzebował pomocy.

– Posłaniec! – wrzeszczę. – Udaj się natychmiast do Rzymu. Użyj swojej najwyższej prędkości. Gdy dotrzesz do miasta, nie przejmuj się potrzebą zwolnienia, aby zmniejszyć odległość w czasie; moje siły dostrzegą cię, gdy będziesz ich mijał. Przeleć Rzym, to oczywiste, ale gdy znajdować się będziesz nad miastem, wystarczy ci czasu, aby przekazać krótką wiadomość. Powiedz tak: „*Lucyfer prosi Meldibona. Wyspa Patmos. Natychmiast*”.

Ledwie wypowiedziałem te słowa, a on już udał się w drogę, widać jedynie smugę błyskawicy, jaka wybucha poprzez ogromne przyśpieszenie, i nagle znikła, a ja natychmiast powracam swoją uwagę do Jana. Pisze pracowicie, a słowa pisane są w stylu starego człowieka o trzęsącej się ręce:

„Jan, do siedmiu zborów, które są w Azji...”

O, słodkie miłosierdzie, już to widzę – to będzie głębokie w treści! Już zaczęła się symbolika: siedem – sama liczba ma swoje znaczenie! Siedem dni stworzenia. Siedem dni w tygodniu. Siedem dni na przygotowanie się do Paschy. Siedem dni na zniszczenie Jerycha. Naaman, pogański generał, którego Elizeusz uzdrowił z trądu, musiał zanurzyć się siedem razy w rzece Jordan – ta lista ciągnie się niemal w nieskończoność. Z enigmatem siódemki spotkałem się już w Królestwie, gdy pracowałem nad rozwiązaniem równania kosmosu, ale okazało się to tajemnicą, jakiej nigdy nie potrafiłem zgłębić, bowiem zawiera widoczne sprzeczności. Jej pierwiastek posiada nieskończony szereg liczb. Podczas moich obliczeń rozpracowałem ją do miliona miejsc po przecinku, a nadal nie było widać jej końca. Ale jej dziwna cyfra o nieskończonych czynnikach oznacza także zakończenie: sześć kół o takiej samej średnicy doskonale zamyka się wokół siódmego, wewnętrznego kręgu, również o takiej samej średnicy. *Nieskończoność, a jednak zamknięta* – paradoks, który stanowi coś, jakby okno do umysłu Boga. I oto ją mamy, na samym początku proroctwa Jana! Meldibon – potrzebny mi jest Meldibon! Gdzie on jest?

– Tutaj, Mistrzu. – Ten zapewniający głos podpowiada mi, że Meldibon już dotarł, w odpowiedzi na wezwanie posłańca. (Dopisek w pamiętniku, 4 dni

później: Właśnie dowiedziałem się, że posłaniec, którego wysłałem do Rzymu minął miasto z taką prędkością, że faktycznie przeleciał jeszcze zachodni ocean i dotarł do lądu, który leży po drugiej stronie świata, jako jeszcze nie odkryty przez cywilizację rzymską.)

Zwracam się do mojego zaufanego doradcy.

– Meldibonie, apostoł, którego tam widzisz, jak siedzi, wczoraj miał długą wizytę Narodzonego, a teraz wszystko to spisuje...

– *Narodzonego?* – wtrąca Meldibon. – Czy Go widziałeś? Jak wygląda?

Jestem nieco poirytowany jego ciekawością. Będzie jeszcze później dosyć czasu na to, aby poopowiadać sobie, gdy rozszyfrujemy to proroctwo, ale muszę go usatysfakcjonować – potrzeba mi przecież jego mądrości.

– O, można Go było poznać – odpowiadam, starając się uczynić to szybko. – Ale oczywiście towarzyszyła Mu wysoka energia, czego można było się spodziewać, wiele światła i promieniowania. Jego ręce i stopy... no, najlepiej, jak potrafię to opisać, były jak gorące jarzenie, jakby ciekły brąz w tyglu. Jego...

Meldibon znowu mi przerywa.

– Blizny? Czy nadal ma blizny po ukrzyżowaniu?

– Przyjacielu – odpowiadam, z trudem starając się panować nad wzrastającym zniecierpliwieniem – był tak jasny jak pięć słońc, a Jego ręce emitowały energię jak piec hutniczy, a ty chcesz, abym ci powiedział, czy widziałem blizny? Może je miał, a może nie. Nie zauważyłem. Mówiąc szczerze, byłem bardzo zajęty staraniem o to, aby w ogóle oddychać. Poziom energii był straszliwy.

– A teraz, jeśli pozwolisz – zmieniłem temat – niemal desperacko potrzeba mi twojej pomocy. Popatrz na to, co ten stary człowiek pisze. Siedem zborów. Co z tego potrafisz zrozumieć?

– No, po pierwsze, liczba siedem ma swoje znaczenie. Oznacza ona pełnię. A tutaj użyta jest w kontekście zborów, tak więc to proroctwo ma za zadanie przepowiedzieć każdą erę dziejów kościoła chrześcijańskiego, aż do jego końca, prawdopodobnie końca wojny.

– Jak dotąd, to dobrze, przyjacielu. Tyle objawił też Narodzony wczoraj, gdy mówił do Jana. Słyszałem pierwszych kilka słów, zanim Gabriel przegonił mnie, a powiedział, że ma zamiar przedstawić mu nadchodzące wydarzenia, aż do samego końca czasów. Ale teraz potrzebna mi jest twoja pomoc, aby odszyfrować tę symbolikę.

Meldibon przez chwilę bada zawijasy pisma Jana, a następnie odzywa się.

– To jest alegoria – przynajmniej, jak dotąd. Mówiąc krótko, pisze on rady do siedmiu zborów w Azji, rozpoczynając od tego, w Efezie. W tych słowach jest jednak głębsze znaczenie. Jak sądzę, te zbory przedstawiają następujące po sobie, przyszłe epoki, jedna po drugiej. Na przykład, popatrz na poselstwo do wiernych w Efezie.

„Znam uczynki twoje i trud, i wytrwałość twoją, i wiem, że nie możesz ścierpieć złych, i że doświadczyłeś tych, którzy podają się za apostołów, a nimi nie są, i stwierdziłeś, że są kłamcami. Masz też wytrwałość i cierpiałeś dla imienia mego, a nie ustaleś. Lecz mam ci za złe, że porzuciłeś pierwszą twoją miłość”.

– Przeanalizuj teraz to poselstwo. Ono mówi o fałszywych apostołach. Opisuje wielką cierpliwość wierzących i ostrzega ich, że już utracili swoją pierwszą miłość.

Pomyśl więc nad tym, Mistrzu. Te wszystkie rzeczy doskonale opisują tę erę historii kościoła chrześcijańskiego. A fałszywi apostołowie? To będą moi naśladowcy, ludzcy sprzymierzeńcy, których umieszczę w samym kościele. A cierpliwość wierzących? No, oczywiście jest, że i to nam pokazali – atakujemy ich od dni Nerona, a oni nadal trwają przy swoim. A wzmianka o utracie pierwszej miłości? Pomyśl i o tym. Przetrwali wiele, ale nie są oni takimi samymi ludźmi, jak było to w dzień Pięćdziesiątnicy. Uderzyliśmy ich mocno i zaczyna się to objawiać. Sądzę, że poselstwo do Efezu ma za zadanie opisać kościół chrześcijański tej ery.

– A teraz popatrz na siódme poselstwo, to ostatnie, skierowane do wierzących w mieście Laodycea. Znasz to miejsce, Mistrzu, jest ono w dolinie rzeki Lycus, miasto niezwykle bogate, zajmujące się handlem, mające duże sklepy ze złotem.

– Tak, oczywiście, Meldibonie. Ale i tam są chrześcijanie. Co oznacza poselstwo do tych ludzi?

– Popatrz tylko, co napisał Jan: „Tak mówi ten, który jest Władcą całego stworzenia: uważasz, że jesteś bogaty i chlubisz się swoimi osiągnięciami, ale tak naprawdę jesteś przegrany i godzien pożałowania. Nie mogę powiedzieć, abyś był wrogi mojej prawdzie, bowiem uważasz, że krocysz za mną, ale nie masz wcale owego ognistego zapachu towarzyszącego prawdziwemu oddaniu. W rzeczywistości ani nie jesteś zimny, ani gorący. Jesteś podobny do letniego napoju, który przyprawia o mdłości. Ale ja nadal cię kocham i dlatego mówię do ciebie tak otwarcie. Pozwól, że otworzę twoje oczy i pomogę ci dostrzec, kim naprawdę jesteś. A potem pozwól, że dam ci złoto prawdziwej miłości i szaty prawdziwej dobroci. Tym z was, którzy zwyciężą, dam miejsce na moim tronie we wszechświecie”. A teraz pomyśl nad tym poselstwem, Mistrzu. W pewnym stopniu może ono opisywać niektórych ludzi, którzy żyją dzisiaj w Laodycei, jednak w większym stopniu opisuje to kościół, którego jeszcze nie ma. Bogaty? Dzisiaj większość chrześcijan jest bardzo biednych. Dumny? Są zbyt zajęci walką o przetrwanie, aby móc być dumni. Letni? Na słodką śmierć, Mistrzu, wobec prześladowania, z jakim się teraz spotykają, albo uparcie trwają przy swojej wierze, albo poddają się z nią całkowicie. Obecnie nie ma miejsca dla ludzi, którzy chcieliby i jednego i drugiego.

– Nie, tu opisuje jakąś przyszłą erę historii kościoła, czas, w jakim będzie wszystko łatwe, czas, w którym bogactwo doprowadzi ich do szału. Czy zauwa-

żyłeś, że to w kontekście tego poselstwa Narodzony wyraźnie zauważył, że zabierze wiernych naśladowców do swego tronu? To wydarzy się, gdy przyjdzie powtórnie po swoich naśladowców, tak więc myślę, że to poselstwo przepowiada okres czasu poprzedzający Jego powrót.

– Ale popatrz na to, jaki nieporządek w kościele został tu opisany – mówi o ludziach, którzy na zewnątrz są religijni, ale kierują się samolubnymi motywami, które w Jego odczuciu przyprawiają o mdłości. Mistrzu, to poselstwo objawia, że tuż przed zakończeniem wojny osiągniemy wielki triumf nad większością sekty chrześcijańskiej – najwidoczniej wywołamy wśród nich tak wielkie zamieszanie, że będą o sobie myśleć, jak o poświęconych chrześcijanach, podczas gdy wcale tak nie będzie!

Myślę przez chwilę nad tym, co powiedział Meldibon. Tak, muszę się zgodzić: gdy siedem poselstw następuje po sobie, stają się coraz bardziej obce, jakby opisywały wydarzenia, jakie jeszcze nie miały miejsca. Każde prowadzi do kolejnego. Te listy rzeczywiście wydają się przepowiadać przyszłość, zaś ostatnie sugeruje dla nas większe zwycięstwo, niedługo przed powrotem Mesjasza.

– I zwróć jeszcze uwagę na ironię tego – odpowiadam. – Nasze zwycięstwo nad chrześcijanami będzie miało miejsce w czasie, gdy wydawać się będzie, że dzieje im się dobrze!

– Ale to wszystko powinno nam coś zasugerować – mówi Meldibon. – Spójrz, nie jestem taktykiem, ale wydaje mi się, że udowadnia to coś, co przypuszczałem od szeregu lat, że atakując ich, idziemy błędną drogą. Doprowadziliśmy do masakry tysięcy chrześcijan, mając nadzieję na ich wytępienie przy pomocy siły, ale to nie zadziałało. To prawda, że możemy wielu zabić, ale każda runda takiego postępowania wydaje się wytwarzać cały potok nowych nawróceń. Czy przebadałeś z uwagą twarze obecnych na tych egzekucjach? Gdzieś w głębi wszyscy wiedzą, że pewnego dnia także staną w obliczu śmierci i że nic nie poradzą temu, że widać wyraźnie spokojną pewność, jaka charakteryzuje chrześcijan. Gdy stoją w obliczu własnego końca, chcą posiadać taką samą nadzieję. Tak więc krew tych męczenników staje się jakby nasieniem. Zabij jednego chrześcijanina, a pojawi się dwunastu następnych. Lucyferze, to nie jest sposób na wygranie tej wojny.

Nie, mój przyjacielu, to nie jest sposób. Muszę to przyznać. Ale co sugerujesz? Gdybyś był generałem w tej armii, co byś uczynił?

Jakby czytając moje myśli, Meldibon kontynuuje.

– Przypomnij sobie, co najlepiej działało w Izraelu. Gdy ich atakowaliśmy, w istocie sami prowadziliśmy ich z powrotem do Starodawnego, a uzyskiwali pomoc, jakiej potrzeba im było, aby nas pokonać. Nasz największy sukces pojawiał się wtedy, gdy pozwalaliśmy im tyć i zdobywać bogactwo. Proponuję, abyśmy spróbowali tego samego z chrześcijanami. Nie tak od razu, jeśli pozwolisz; nadal powinniśmy ich niszczyć na tyle, na ile możemy. Jednak pozwalajmy

spokojnie na to, by ich kult stawał się coraz bardziej popularny. Być może wtedy utracą swoje poczucie oddania tej sprawie.

– Być może masz rację – odpowiadam. – Pomyślę nad tym. Ale na razie lepiej będzie, jeśli zajmujemy się tym biznesem, jaki mamy tu, przed sobą. Popatrz, Jan znowu pisze.

I rzeczywiście tak jest. Teraz jego ręka porusza się szybciej, jakby miał napływ myśli, a my badamy każde słowo. Jest to długie proroctwo i wkrótce pergamiны przepełnione są liniami, które stają się coraz mniejsze, gdyż człowiek ten stara się zaoszczędzić na miejscu, jakie potrzebne jest na dalsze proroctwo.

Obraz przyszłości wyłania się po trochu. Z tego, co pisze, możemy wywnioskować, że cesarstwo rzymskie rzeczywiście upadnie, dzieląc się na wojownicze narody, które walczyć będą o panowanie. Wojny rozwiną się wściekle na wielkości tego, co było kiedyś terytorium cesarstwa, pojawią się wielkie bitwy i chaos na skalę, jaka jeszcze nigdy nie była znana. Najwidoczniej, tak jak zasugerował Meldibon, chrześcijanie stracą nieco ze swej żarliwości, bowiem Jan przepowiada, że Pismo Święte niemal zniknie z życia codziennego, zaś prawdziwi sprzymierzeńcy Narodzonego zostaną sprowadzeni do roli uciekinierów, zmuszonych do ukrywania się, aby tylko móc przetrwać. *Wyśmienicie!* To brzmi lepiej, niż nawet miałem nadzieję!

Jednak nagle Meldibon krzyczy.

– Mistrzu! Jak dotąd wszystko wyglądało dobrze. Ale zwróć uwagę, co teraz pisze. Opisuje okrutny atak na naśladowców Narodzonego, a następnie mówi coś o ziemi, która przyniesie im ratunek.

Z zainteresowaniem spoglądamy przez ramię starego człowieka na to, co właśnie napisał: „Lecz ziemia przyszła niewieście z pomocą i otworzyła swoją gardziel, i wchłonęła strumień, który smok wyrzucił z swojej paszczy”.

– Symbolika jest całkiem jasna – zauważa Meldibon. – W Pismach niewiasta reprezentuje kościół. Woda występuje często w znaczeniu ludzi. A odniesienie do smoka najwyraźniej ma oznaczać ciebie. Co on mówi? To, że wykorzystasz ogromne masy ludzkie, starając się pochłonąć prawdziwych naśladowców Narodzonego – dokładnie to, co robisz teraz! Ale zwróć uwagę, że to sama ziemia przyjdzie im z ratunkiem. Co to może oznaczać?

Przez moment obaj jesteśmy tym zdumieni, ale tym razem sam dostrzegam odpowiedź, zanim to czyni Meldibon.

– Jest tylko jeden sposób, w jaki ziemia może przyjść z ratunkiem ludziom – sugeruję. – To stanie się poprzez dostarczenie im miejsca do ukrycia się. Język Jana sugeruje, że wierzący znajdą jakąś nową, rzadko zaludnioną część świata – pustynię, jeśli tak można to określić, daleką do osiągnięcia przez moich ludzkich sprzymierzeńców.

– *Mistrzu!* – odpowiada Meldibon, a jego oczy szeroko są otwarte z powodu nagłego zrozumienia. – To wyjaśnia ten ogromny ład na zachodzie oceanu, nie

odkryty jeszcze kontynent! Dlatego on się tam znajduje! Starodawny ma zamiar wykorzystać go jako ratunek dla swego ludu!

Oczywiście! Często prowadziliśmy różne spekulacje na temat tego wielkiego kontynentu na zachodzie, który wciąż nie jest odkryty przez świat Rzymian. Jest on bajecznie bogaty w energię, w drewno, w bogactwa naturalne, a więc rozwijający się tam naród może z łatwością stać się najbogatszym i najpotężniejszym w historii ludzkości. Jak dotąd jest on prawie niezauważony, oprócz różnych plemion, którzy robią raczej wrażenie opiekunów, tak jakby Wszechmogący chciał tam kogoś mieć, kto doglądać będzie tej ziemi dla Niego. Ale teraz rola tego wielkiego, ukrytego i bogatego miejsca staje się jasna: jest to miejsce ratunku, na które uciekną naśladowcy Wszechmogącego, to, które Jan opisuje w swoim proroctwie. A Narodzony niewątpliwie będzie chciał wykorzystać naród, który tam się rozwinie, jako sprzymierzeńca w ostatniej fazie wojny!

Już potrafię dostrzec, co się wydarzy. Będzie On miał potężny i bogaty naród, znajdujący się w nowym świecie. Na takim miejscu Jego naśladowcy będą mogli znaleźć wolność, która łączy się z otwartą przestrzenią i którą wręcz trudno jest kontrolować. Odkrycie tego kontynentu jest czymś, co muszę wyprzedzić na tyle, na ile będzie to możliwe.

– Posłaniec! – ryknąłem. – Udaj się natychmiast do Barshoka. Powiedz mu, że jest konieczne, aby nie dopuścić do ludzkich odkryć terenu za Zachodnim Oceanem. Mają nie wypływać na zachód. Niech pomyśli o sposobie, jak ich zatrzymać. Później wyjaśnię, dlaczego.

– Mistrzu, – zauważa posłaniec. – Na tej ziemi nie ma stworzenia, które byłoby tak ciekawe, jak człowiek. Człowiek stara się badać wszystko. W jaki sposób możemy...

– Powiedz Barshokowi, aby nad czymś pomyślał! – grmię w odpowiedzi. – Wypełnijcie ludzi lękiem i uprzedzeniem. Przekonajcie ich, że świat jest płaski i że jeśli popłyną zbyt daleko na zachód, to mogą wypaść poza krawędź. Macie coś z tym zrobić!

Teraz Meldibon przyciąga moją uwagę z powrotem do wydarzeń na Patmos.

– Mistrzu, popatrz! – stwierdza, uważnie patrząc na pióro, którym pisze Jan. – Teraz mamy więcej szczegółów. On opisuje nowy naród, jaki powstanie na tym dziewiczym lądzie, a z symboliki, jaką stosuje, rozumiem, że będzie to miejsce wolności zarówno cywilnej, jak i religijnej. Najwidoczniej szybko urośnie do roli prominenta na świecie, bowiem kolejne zdanie obrazuje go, jak mówi z autorytetem do całej planety. Lucyferze, ten kraj będzie niesamowity. Będzie on miał niewyobrażalną moc. Jest tu nawet opis, jak ogień będzie spadał z nieba! Jak sądzisz, co to może oznaczać?

Odpowiadam Meldibonowi wymijającym wzruszeniem ramion, jednak spodziewam się znacznie więcej, niż dają to poznać po sobie. Wiele wieków temu doszedłem już do wniosku, że ci ciekawscy ludzie mogą pewnego dnia odkryć

moc, jaka zamknięta jest w jądrze atomu. W samym sercu materii obecne są moce, które mogą, jeśli zostaną odkryte, dać im dostęp do niesamowitych ilości energii, jaką całkiem literalnie są w stanie wypełnić niebo ogniem, a teraz ten stary uczeń bazgrający na zregenerowanym pergaminie właśnie objawił, że tuż przed zakończeniem wojny moje obawy mogą się sprawdzić. A to oznacza kłopot – nawet z moimi standardami. Dajcie ludziom tak wielką moc, a prędzej czy później użyją jej przeciwko sobie. Mogą zniszczyć ten świat, a są na tyle szaleni, aby tego dokonać. Mój bunt może zniszczyć się sam. Mogę tym samym utracić ten jedyny skrawek terytorium, który należy do mnie!

Na szczęście, Meldibon zdaje się być nieświadomy głębszego znaczenia tego poselstwa. Nie będę mu zawracał głowy szczegółami. Moc nuklearna, w rękach na wpół rozumnych ludzi, stanowi problem, którego wolałbym nie objawiać teraz nikomu.

Jednak poselstwo Jana nadal biegnie, podając szerokie aluzje do straszliwych zmartwień.

– Mistrzu! – włącza się Meldibon. – Nie potrafię tego zrozumieć: według prorocstwa coś przebiega nie tak. Niedługo po pojawieniu się tego nowego narodu, widzę chaos. Jest tu opis wojen i morów oraz dziwnych plag, które wypełniają tę planetę straszliwymi problemami. Wszystko zdaje się rozpadać, nawet ekonomia, bowiem Jan podaje szczegółowy opis wielkiego krachu ekonomicznego. Lucyferze, z tego, co Jan teraz pisze wygląda, jakby cały świat miał drzeć z tego powodu. W tym miejscu prorocstwa, wydarzenia wśród ludzi jakby zmieniają swój bieg. Zanika wolność. Aż trudno mi jest uwierzyć w to, co widzę: świat staje się jedną całością. *Wylania się coś, co można określić mianem światowego rządu!*

– Co takiego?! – ryknąłem. Pozwoliłem Meldibonowi czytać pojawiającą się dalszą część dokumentu, ponieważ pismo Jana staje się coraz mniejsze i trudno jest dwóm tak dużym aniołom tłoczyć się nad ramieniem jednego człowieka, jednak szybko przesuвам się na jego stronę, odpychając go nieco, aby lepiej widzieć. Tak, są tam słowa, które bezbłędnie wypełnione są implikacjami wskazującymi na swego rodzaju globalne rządy:

„On też sprawia, że wszyscy, mali i wielcy, bogaci i ubodzy, wolni i niewolnicy otrzymują znamię na swojej prawej ręce albo na swoim czole, i że nikt nie może kupować ani sprzedawać, jeżeli nie ma znamienia, to jest imienia zwierzęcia lub liczby jego imienia”.

– Meldibonie! – mówię. – Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? On opisuje tu moje stare marzenie, jeszcze z czasów Babilonu! Cały świat się zjednoczy, tak, jak starałem się to uczynić wtedy. Każdy naród przystanie na pewien ogólnoswiatowy program, na przepisy, które zwiążą całą planetę, a ci, którzy nie poddadzą się temu, nie będą mogli ani kupować, ani sprzedawać! Aby zając się handlem, każdy będzie musiał mieć znak lojalności. To oznacza...

Całkiem przypadkowo Meldibon włącza się, kończąc za mnie to zdanie.

– To oznacza, że twój plan zjednoczenia tego świata odniesie sukces. Twoje marzenia jeszcze z czasów Babilonu wciąż mogą się zrealizować!

Naprawdę, niemal nie wrzasnąłem z radości, bowiem było to moim stałym celem od samego początku czasów. Jeden świat. Jeden naród. Jeśli uda mi się to osiągnąć, jak mógłbym przegrać?

Jestem zbyt podekscytowany, aby się skoncentrować, odchodzę więc na bok, wpatrując się bezmyślnie w odległy brzeg, w kłębiące się chmury, w pierzastą linię rozpryskujących się fal daleko w dole. W moich myślach wciąż odbijają się jakby echem słowa: *Zwycięzę!* Proroctwo może już niczego więcej nie oznaczać. Jeśli uda mi się tylko zjednoczyć świat, to *muszę* zwyciężyć, bowiem zasada Starodawnego, która mówi o wolnej woli powinna usunąć Go z terytorium, gdzie nikt nie będzie sobie życzył Jego obecności.

A więc tak to wszystko się zakończy!

Po kilku minutach euforii, podczas których sam spacerowałem, delektując się smakiem zwycięstwa, powracam do Meldibona, który pozostał przy ramieniu Jana. Spodziewam się, że unosi się od radości. Ale zamiast tego, jest cały blady.

– Jaki masz problem? – pytam. – Czy zwycięstwo nie jest dla ciebie wystarczające?

– Przeczytaj resztę tekstu, Mistrzu – mówi i zaraz odchodzi.

To, co widzę, wlewa chłód w moje wnętrze. Tak, świat się zjednoczy. Tak, będzie nawet tak, jakbym posiadał na krótko panowanie nad całym światem. Będzie jednak mała grupa nonkonformistów, o których proroctwo mówi, jako *ostatkach*. Ci będą, jak mówi Jan, „zachowywali przykazania Boże” i czynić tak będą nawet wtedy, gdy cały świat powie, że nie mają racji. Zostaną pozbawieni prawa kupowania i sprzedawania, pozbawieni rzeczy, które są konieczne dla życia, a mimo tego się nie poddadzą. A gdy zostaną pozbawieni swoich praw i pozostawieni bez jakichkolwiek środków do przeżycia, gdy ludzie wykażą, że wszelka tolerancja już nie istnieje, wtedy nastąpi interwencja kosmicznej sprawiedliwości. Wtedy przejmą kontrolę armie kosmosu i zakończy się historia ludzkości.

A potem następuje część, którą z trudnością potrafię znieść:

„I widziałem anioła zstępującego z nieba, który miał klucz od otchłani i wielki łańcuch w swojej ręce. I pochwyił smoka, węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat. I wrzucił go do otchłani, i zamknął ją, i położył nad nim pieczęć, aby już nie zwodził narodów, aż się dopełni owych tysiąc lat”.

Wielki łańcuch: znaczenie tego jest zbyt jasne. To, co opisuje tu Jan, to łańcuch okoliczności, którego pierwsze ogniwo ukułem sobie jeszcze w Królestwie, w czasie tej fatalnej chwili, gdy zdecydowałem się sięgnąć po tron. Ile takich ogniw wykułem sobie od tamtej chwili! W czasie wielkiego zgromadzenia, gdy, prawie

że już odwróciłem się od buntu, ale jednak nie ustąpiłem. Moment, w którym zdecydowałem się złamać prawo prawdy, po to, aby zdobyć aniołów Królestwa i ściągnąć ich na swoją stronę. Bezlitosne wieki historii ludzkości, gdy starałem się tak utkać wydarzenia, aby doprowadzić do chaosu. Ten łańcuch jest bardzo długi i bardzo silny. W końcu przywiąże mnie do świata, który stał się ruiną.

Meldibona znalazłem na samym brzegu stromej skały, gdy patrzył na rozbi-
jające się fale Morza Egejskiego.

– Myślałem o tym, aby skoczyć – mówi bardzo cicho – aby zakończyć tę nie-
dołę. Ale oczywiście, że tego nie zrobię. Prawdopodobnie i tak nic by to nie
dało, przynajmniej nie aniołowi. Jak szczęśliwi są ci ludzie. Oni mogą skończyć
z sobą, jeśli chcą. My nie możemy.

Przez chwilę panuje cisza, a potem decyduję, aby zwierzyć się memu przy-
jacielowi i powiedzieć mu to najgorsze. Jeśli ktokolwiek z mojej armii potrafi
to znieść, to on na pewno, a teraz potrzeba mi jego rady.

– Meldibonie, mój przyjacielu, czy pamiętasz, jak rozmawialiśmy pod Syna-
jem, gdy Hebrajczycy budowali swój namiot zgromadzenia? Zajmowałeś się
badaniem znaczenia nabożeństwa Dnia Pojednania i doszedłeś do wniosku, że
jeden z kozłów przedstawia mnie.

– Tak, – odpowiada cicho – koziół, którego wyprowadzali na nie zaludnioną
pustynię.

– Przepowiedziałeś wtedy, że ten świat legnie w gruzach, a my zostaniemy tu
pozostawieni, jednak nie wiedziałeś, co stanie się później. A więc, przyjacielu,
ja wiem. Zostaniemy przykuci do tej planety na tysiąc lat, a potem będzie wielki
ogień. Wszzechmogący zamierza postawić kres naszemu panowaniu poprzez
ogień. *Tak* kończy się ta historia.

– Mistrzu, – odpowiada, a jego oczy skierowane są wprost na mnie – wiedzia-
łem to od tamtego dnia. Nie powiedziałem ci o tym, ale wiedziałem to przez
ponad piętnaście wieków. Dzisiaj, przez krótką chwilę, zanim Jan zakończył
pisanie, miałem mglistą nadzieję, że może, mimo wszystko wygramy. Ale teraz
możemy już przyznać: przegraliśmy tę wojnę. Jest to tylko kwestia czasu.
A z proroctwa Daniela wiemy, kiedy rozpocznie się sąd. Pewnej nocy, niedaw-
no, starałem się to sobie wyliczyć, wykorzystując nowy ludzki sposób liczenia
lat. Stanie się to gdzieś w roku 1844. Oznacza to, że pozostało nam jeszcze ja-
kieś siedemnaście wieków.

– Wiem – mówię łagodnie. – Też to wyliczyłem. Jak sądzisz, ilu z naszych
wojowników także dokonało takiego wyliczenia?

– Jeszcze niezbyt wielu – odpowiada. – Są tak zajęci walką, że wielu z nich
w ogóle nie myśli. Jedyna rzeczywistość, jaka dla nich istnieje, to wojna.

– Ale ty i ja... my myśleliśmy – odpowiadam. – Być może myśleliśmy zbyt wiele.
Być może bylibyśmy szczęśliwsi w osiemdziesiątym echelonie, tylko wędrując
sobie i kusząc ludzi, za każdym razem jedną osobę.

– Nie, Mistrzu. Myśleć, oznacza żyć. Jest to jedyna radość, jaka mi pozostała.

– W takim razie to stawia przed nami decyzję. Obaj wiemy, jak to się wszystko zakończy. Obaj wiemy, że nie ma żadnej szansy na zwycięstwo. W takim razie, jak to będzie, przyjacielu? Czy powinniśmy przyznać się do tego, czy też powinniśmy dalej walczyć tak, jakby nadal była jakaś nadzieja?

– Będziemy walczyć dalej. To da nam jakieś zajęcie. Każemy Królestwu zapłacić za każdą piędź ziemi, jaką zdobędzie, a zapłata będzie bardzo wysoka.

– No tak – odpowiadam w końcu. – Na tej wyspie nic już się nie wydarzy. Powróćmy do dowództwa.

Po atłasowym niebie nad Morzem Egejskim udajemy się w drogę na zachód, prosto do Rzymu. Na północy znajduje się wiele chmur, mocna stalowa linia złośliwie patrzących gromów, co zdradza obecność Barshoka. Wkrótce udadzą się na południe, w kierunku Patmos, smagając wyspę silnymi wiatrami, jakie przewiewać będą jaskinię, w której znajduje się Jan i sprawią mu jeszcze jedną noc cierpienia. Stary człowiek spędzi paskudną, bezseną noc w swojej wietrznej i wilgotnej grocie, prawdopodobnie chroniąc te pogieęte pergaminy własnym ciałem. Cały dygocząc, przetrwa te ciemne godziny, umęczony bólem stawów i kości, gdy prosić będzie, aby sztorm ustał, a potem będzie musiał powstać do kolejnego ciężkiego dnia w kamieniołomie.

I gdy tak spoglądam na wyspę, która połyskuje w ostatnim świetle słońca, tuż przed sztormem, dałbym wszystko, aby zamienić się miejscem ze starym apostołem.

Konspiracja Zedronna

Rzym, rok 327

Wplątaliśmy się w najbardziej masywny atak, jaki kiedykolwiek został podjęty podczas wojny, i z tego właśnie powodu wezwałem tu większość moich wojowników, pozostawiając jedynie śladowe dowództwa na innych kontynentach, w celu monitorowania rozwoju wydarzeń. Teraz potrzebny mi jest każdy żołnierz, którego mogę zgromadzić.

Dwa wieki temu Zedronn zaproponował pewien plan, który swymi rozmiarami pomniejsza wszystko, co dotąd uczyniliśmy. Jego celem jest wymazanie z ludzkiego umysłu wszelkiej pamięci o Starodawnym, a plan obejmuje całą serię kroków, które bardzo ściśle wiążą się z sobą. Pierwszym krokiem jest zniszczenie wszystkiego, co przypomina ludziom o Stworzycielu. Gdy już wspomnienie o stworzeniu zniknie z myśli ludzkich, wtedy wprowadzi teorię, że Ziemia pojawiła się przez przypadek, ot tak, po prostu i że samo życie jest także wynikiem kosmicznego przypadku. Będzie argumentował to, że rodzaj ludzki jedynie ewoluował w niewiadomym okresie eonów czasu, z niższych form życia, a jeśli ludzie przyjmą tę ideę, wtedy przejdą do trzeciego kroku: wierząc w to, że są zwieńczeniem procesu ewolucji, zaczną patrzeć na ludzkość, jak na najwyższą formę życia w kosmosie i tym sposobem będą całkowicie polegać na sobie, nie myśląc wcale o jakiejś Nadrzędnej Istocie.

Jest jeszcze czwarta faza planu Zedronna, która wciąż należy do przyszłości oddalonej o szereg wieków. Aby upewnić się, że myśl o Bogu nigdy już nie powróci do myśli ludzkich, chce ustanowić rewolucyjną formę światowego rządu, opartą na ateizmie. Ten rząd obieca rozwiązanie chorób społecznych, takich jak chciwość i ubóstwo, poprzez zniesienie własności prywatnej i przekazanie wszystkiego na własność państwu, czyniąc tym samym każdego człowieka podległym centralnemu autorytetowi we wszystkich jego potrzebach. W takim systemie ci, którzy wierzą Wszechmogącemu będą pozbawieni źródła wsparcia, ateizm stanie się oficjalnym dogmatem na tej planecie, a jeśli ten plan zadziała, cała ziemia wykluczy Boga z życia ludzkiego w jednej wielkiej rewolucji! Jest to wielkie przedsięwzięcie i będzie ono potrzebowało w rzeczywistości całej armii.

Właśnie wtedy, gdy zajęliśmy się planami Zedronna, coś stało się w Rzymie, co zaskoczyło cały świat. Sam cesarz przyjął chrześcijaństwo!

Stało się tak z powodu jednej bitwy. Pewnego dnia, a było to piętnaście lat temu, cesarz Konstantyn znalazł się w straszliwym dylemacie. Rzym znajdował

się w stanie wojny domowej, a jego rywal w walce o tron, potężny wojownik, podszedł ze swoją stutysięczną armią aż pod rzekę Tyber i przeszedł przez tzw. most Milwiański. Mając do swej dyspozycji tylko 20.000 wojowników, Konstantyn znajdował się w katastroficznej sytuacji, stojąc przed bitwą, która prawdopodobnie miała zadecydować o losie cesarstwa.

Wywiadowcy przychodzili do niego z niedobrymi wieściami, a gdy ustawił swoją armię w szyku bojowym, stąpał nerwowo, przeliczając w myślach przewagę wroga. Przeliczył swoje siły, podliczył ilość dezercji, a także ilość wojowników, którzy byli chorzy, wypisał sobie liczby na piasku i podsumował je, a za każdym razem wynik był taki sam – przewaga pięciu na jednego, a zatem potencjalna klęska. Ta bitwa mogłaby zakończyć się źle, pozostawiając całe imperium w rękach despoty, a zakłopotany cesarz dreptał w miejscu, patrząc, czy się od tego nie rozchoruje. Ale właśnie wtedy stało się coś bardzo dziwnego, a dowiedziałem się o tym najpierw od podeksytowanego posłańca.

– Mistrzu, – powiedział – coś dziwnego stało się właśnie nad namiotem Konstantyna. Z pełną ekscytacją mamrocze coś do swojej służby o tym, że miał jakąś wizję – że na niebie pojawiło się coś w rodzaju wielkiego krzyża, z poselstwem o nadchodzącym zwycięstwie. Teraz jest przekonany, że pomimo przewagi wroga, wygra bitwę. Naprawdę, powinienes się tam udać i sam tego posłuchać.

Udałem się więc tam tak szybko, jak tylko potrafiłem, i rzeczywiście, cesarz bełkotał coś z wielkim entuzjazmem.

– Widziałem to! – wyjaśniał. – Krzyż wypełniał niebo do połowy, a obok niego znajdowało się poselstwo: *In hoc signo vinces* – w tym znaku zwyciężaj. Czy wiecie, co to oznacza? Zwycięzimy ze względu na znak krzyża!

Potem rozpoczął wykrzykiwać rozkazy.

– Legaci i trybunowie, pośpieszcie się do swoich kwater. Niechaj każdy legionista ma namalowany symbol chrześcijaństwa na swojej tarczy. Cała armia ma się nawrócić na chrześcijaństwo – jeszcze *dzisiaj!* O, a gdy podejda wasi wojownicy, rozkażcie im wejść do rzeki, a gdy tam już będą, upewnijcie się, że każdy z nich zanurzy głowę pod wodą. Tak wygląda chrzest, nieprawdaż? W takim razie idźcie, i śpieszcie się! Mamy wojnę do wygrania!

Całkowicie zdziwieni żołnierze wkrótce wymazali na swoich tarczach litery greckie *Chi-Rho*, symbol, którego od dawna używali chrześcijanie, a potem przygotowali się do chłodnego zanurzenia w Tybrze, i w końcu cała armia Konstantyna ruszyła, zanurzając się w rzece, (sami dokonują szybkiego chrztu) a potem – być może z większą energią wywołaną chłodem – ruszyła, aby odnieść oszałamiające zwycięstwo, które na zawsze położyło kres ambicjom Marcusa Maxentiusa, rywala, który dopiero co powywracał posągi Konstantyna w Rzymie i ruszył w próżnym marzeniu przejścia tronu. W wyniku tego chrześcijaństwo osiągnęło nareszcie pełną tolerancję. Cesarz się nawrócił!

Patrzyłem na to wszystko z głęboką obawą. Przez całe wieki Rzym był moją odpowiedzią na chrześcijaństwo, a teraz prowadzony był przez cesarza, który wydaje się wpadł na pomysł nawrócenia wszystkich i który wykazywał niezwykły talent polityczny, urzeczywistniając to.

Na terenie cesarstwa mieszkała wielka ilość pogan, a Konstantyn rozpoczął poszukiwania sposobu na nawrócenie ich i na zjednoczenie swego państwa. Jednak pogaństwo i chrześcijaństwo apostołskie różniły się od siebie biegunowo. Chrześcijanie wierzyli w jednego, niewidzialnego Boga, poganie zaś mieli całe panteony bóstw, a każdy bóg sprowadzał się do kawałka jakiejś rzeźby. Chrześcijanie pielęgowali nadzieję na ratunek, jaka znajduje się w prostej wierze, nie polegali też na dziełach ludzkich, ale Wszechmogącego Boga, podczas gdy poganie (a wróćmy tu do wierzy w starożytnym Babilonie) wspólnie upierali się przy tym, by zbawienie zdobyć swymi własnymi uczynkami. Było to rzeczą, która wydawała się niemożliwa, ale ku naszemu zdumieniu, Konstantyn postawił wszystko na jedną kartę, a mechanizm, który w tym celu uruchomił, stanowił polityczną genialność. Udało mu się znaleźć wspólny punkt dla obu grup: dzień kultu.

Od czasów Babilonu poganie oddzielili sobie jeden dzień każdego tygodnia, jako specjalne święto słońca. W ostatnich czasach wielu chrześcijan zaczęło czcić ten sam dzień, ponieważ łączyli go ze zmartwychwstaniem, a Konstantyn dostrzegł w tym coś, co zadowoli każdego i co sprowadzi wielu pogan do kościoła jako nawróconych ludzi. Tak więc w roku 321 wydał edykt ustanawiający oficjalny dzień kultu w całym cesarstwie: „*Niechaj wszyscy sędziowie i mieszczanie oraz ludzie wszelkich zawodów i handlu odpoczywają w czcigodny dzień słońca*”.

Wkrótce nowonawróceni ludzie zaczęli napływać do symbolu krzyża, a chrześcijaństwo stało się uprzywilejowaną religią w cesarstwie.

Rok: 338

Coś zaczęło się dziać z wiarą chrześcijańską. Mówiąc prawdę, rozwija się gwałtownie – ludzie przyłączają się do niej całymi milionami – ale nie posiadają już takiej gorliwości, która powodowała nasze obawy za dni Piotra i Pawła. Era Pięćdziesiątnicy już minęła!

Pewnego dnia smutno podkreśliło to dwóch kleryków spacerujących wzdłuż pewnej drogi. Szedłem za nimi, będąc ciekawy, o czym też tak rozmawiają, gdy mijali kalekiego żebraka, co przypomniało im historię Piotra, który pewnego dnia także mijał takiego kalekę, tuż przed wejściem do świątyni w Jerozolimie. Proszony o jałmużnę, apostoł powiedział: „Srebra i złota nie mam, ale to, co mam, to ci daję: wstań i chodź!”

Dwaj klerycy zadumali się nad znaną historią, a potem, jeden z nich wpatrując się w budującą się w pobliżu piękną budowlę bazyliki zauważył coś, co dotyczyło nowego bogactwa chrześcijaństwa.

– No tak, teraz już nie możemy tego powiedzieć, że srebra, ni złota nie mamy.

– W istocie – odpowiedział jego towarzysz, człowiek szczupły o widocznej pobożności – ale też nie możemy powiedzieć „wstań i chodź”.

Przez jakiś czas niektórzy z wierzących ludzi sprzeciwiali się zmianom, jakie pojawiały się w kościele. Pewnego popołudnia grupa pogan podeszła do diakonów jednego zgromadzenia w Rzymie, prosząc, aby pozwolono im na wniesienie do nabożeństw chrześcijańskich ich ukochanych posągów Marsa i Diany. Nigdy nie zapomnę debaty, jaka potem się odbyła.

– Chcemy wraz z wami uczestniczyć w nabożeństwach – upierali się poganie. – Podobna nam się wasza historia o Bogu-człowieku, który przyszedł na ziemię. To podobne jest do naszych własnych przekonań. Ale nie potrafimy czcić boga, którego nie widzimy. Popatrzcie, przez całe życie kłanialiśmy się podczas nabożeństw w świątyniach tym świętym posągom. Pozwólcie nam je wnieść do waszych miejsc spotkań. W tych wspaniałych posągach Marsa możecie dostrzec takie same szlacheckie cechy, jakie znajdujecie w Jezusie. A Diana – dlaczego nie ma przedstawiać macierzyństwa i życia. Co złego może się stać, jeśli będziemy na nią patrzyli? Niechaj nasze piękne dzieła sztuki pomogą wam myśleć o Bogu, którego czcicie.

Dyskusja ciągnęła się aż do późnego wieczoru. Jedni argumentowali, że sprawa może być załatwiona poprzez proste przeczytanie dziesięciu przykazań – „Nie czyn sobie podobizny rzeźbionej czegokolwiek, (...) nie będziesz się im kłaniał” – ale inni odpowiedzieli, posługując się wspaniałą elokwencją mówiąc o szacunku względem innych i uszanowaniu różnorodności ich kultury. W końcu debata została wygrana przez bystrego, młodego człowieka, Lucjusza Marcusa, kupca z Rzymu, któremu wiodło się dobrze, (a był bardzo zakochany w miłych rzeczach tego życia) człowieka, którego do chrześcijaństwa pociągnął jego idealizm, ale który czasami stawał oporem, wyrażając ten idealizm, gdy coś zagrażało jego komfortowi i wygodzie.

– Popatrzcie wszyscy, prosimy tych ludzi, aby dokonali wielkich ustępstw na naszą stronę – aby zaprzestali oddawania czci Wenus i Jowiszowi, i Minerwie, a także wielu innych zwyczajów, które są częścią ich dziedzictwa. To, co możemy przynajmniej zrobić, to spotkać się z nimi w połowie drogi. Pozwólmy im wnieść ich ulubione posągi. Jeśli są dla nich tak inspirujące, Bóg na pewno będzie szczęśliwy. On cieszy się wszystkim, co stanowi dla nas natchnienie. A jeśli wy nie znajdujecie żadnego natchnienia w tych pięknych przedmiotach, *w takim razie nie patrzcie na nie!*

Cała sala wypełniła się śmiechem wyrażającym zadowolenie i podjęto decyzję, przy znacznej większości potwierdzającej zmianę. Wszyscy ściskali się i hałaśliwie wiwatowali przy szklance wina, a każdy odczuwał, że wypełnia go poczucie radosnej wolności.

– Nie wiem, dlaczego nie uczyniliśmy tego wcześniej – zauważyła pewna elegancka młoda kobieta, ubrana w nadobną szatę i złote bransolety. – Kościół musi

się rozwijać, rozumiecie. Nie da się posuwać do przodu, równocześnie spoglądając do tyłu!

Dawno temu Meldibon przepowiedział, że jeśli chrześcijaństwo kiedykolwiek stanie się popularne, szybko się zmieni. Jeszcze raz mój główny teoretyk miał rację!

Rok: 364

Minęło dwadzieścia sześć lat, a świat się zmienił bardzo. Cesarskie zanurzenie się Konstantyna w sprawy kościoła, rozpoczynając od wydania edyktu na temat oficjalnego dnia kultu, bardzo szybko doprowadziło do fuzji kościoła i państwa. Chrześcijaństwo staje się oficjalną religią cesarstwa, a religijne dogmaty są prawem cywilnym kraju.

Nie ma na ziemi tak absolutnej mocy, jaką stanowi połączenie silnej religii z silnym państwem. Szybko prowadzi to do niemal całkowitego konformizmu, bowiem ci, którzy nie zgadzają się z większością, nie mają gdzie uciec. W rzeczywistości, ci, którzy nie idą na ustępstwa, stają się ludźmi stojącymi poza prawem tego świata.

Stojąc wobec takiego wyzwania, zdecydowana większość ludzi po prostu poddaje się, rezygnując ze swych osobistych przekonań, dlatego, by przetrwać. Jednak zawsze istnieje jakaś uparta mniejszość, która wydaje się rozkoszować groźbami i która chętnie pójdzie na śmierć z powodu jakichś cenionych przekonań, i jest to ta klasa, która od początku tego świata stanowi koszt mojego zwycięstwa. Czasami niemal zmiatałem ich z tej ziemi – w istocie, udało mi się przecież zredukować ich ilość do zaledwie ośmiu osób za dni Noego – ale tak długo, jak długo istnieje choć jedna taka osoba, moje nadzieje są daremne. Przeciwno takim ludziom muszę stanąć, właśnie teraz, gdy plan Zedronna domaga się jedności tego świata; a oni doprowadzają mnie do szaleństwa.

Pewnego dnia przychodzi do mnie Zedronn z bardzo pochmurną miną.

– Mamy problem. Podczas gdy większość ludzi jest szczęśliwa, gdy ich teologią zajmuje się ktoś inny, jest trochę i takich, którzy chcą studiować Pisma sami. Ci zagłębiają się nad ewangelią, studiują listy Pawła i widzą, że to, co się dzieje, nie odpowiada temu, co czytają. W wyniku tego pojawiają się grupy stawiające opór, który jest znacząco nieustępliwy. Mistrzu, niektórzy z nich odkryli nawet prawdę o Szabacie i kwestionują edykt Konstantyna.

– Tak, to jest kłopotliwe, – odpowiadam – ponieważ kryje się za tym coś znacznie większego, niż jedynie dzień kultu. Faktycznie, Zedronnie, twoja strategia wykorzystuje tę sprawę jedynie jako środek do osiągnięcia czegoś głębszego, do przekonania ludzi, aby ponownie napisali Pismo Święte. To jest genialne w twoim planie. Gdy raz przypiszą sobie autorytet do poprawienia tego, co powiedział Wszechmogący, wtedy przepiszą na nowo także całą resztę. W taki

sposób zwyciężyłem Adama i Ewę. Ale w porządku – kontynuuję. – Spróbujmy wyobrazić sobie jakieś rozwiązanie. Mówisz, że problem stanowią ludzie, którzy czytają Pismo, tak więc oczywista jest odpowiedź: musimy usunąć Pismo z obiegu.

– Rzeczywiście, Mistrzu – przytakuje zdecydowanie. – Tak długo, jak ludzie studiować będą sami Pismo, tak długo nie zaznamy spokoju. Co więc proponujesz?

Przez moment zastanawiam się, a potem przedstawiam plan.

– Zniszczenie istniejących kopii Pisma nie będzie łatwe, – odpowiadam – ponieważ ci, którzy wystarczająco troszczą się o to, aby je czytać, strzegą je skrupulatnie. Jednak czas jest naszym sprzymierzeńcem. Z upływem lat, te delikatne pergaminy zużyją się, a jeśli nie zostaną zastąpione nowymi, ludzie powoli stracą dostęp do Pisma, ze względu na ich zniszczenie. Zedronnie, każ swoim wojownikom pracować. Przekonajcie władze, aby wydały prawo zakazujące każdemu kopiowania Biblii, jeśli nie otrzyma takiego polecenia. Wykorzystajcie jakieś wiarogodne wymówki. Powiedzcie, że Pisma są bardzo cenne i że nieautoryzowane kopie mogą posiadać błędy. Jak sądzę, za sto lub dwieście lat nikt, oprócz władz, nie będzie miał dostępu do Biblii.

Zedronn zagłębia się w myśleniu, a następnie przytakuje.

– W porządku, tak zrobię. Ale wydaje mi się, że wciąż nam czegoś brakuje. Przypuśćmy, że nawet w przypadku istnienia najostrzejszych praw, niektórzy z odważnych wierzących potajemnie skopiują Pismo i będą je rozpowszechniać? Nadal będziemy mieli problem, chyba że...

Przez chwilę zastanawia się, jego wąskie oczy przeskakują jakby z jednej ścieżki na drugą, a potem kontynuuje swoją wypowiedź.

– ... chyba, że zrobimy coś takiego, że *nie będą mogli czytać*.

– *Co takiego?* – odpowiadam, cofając się do tyłu usłyszawszy jego dziwaczny pomysł. – Jak jesteś w stanie...

– Nie, Mistrzu – przerywa mi – nie chciałem sugerować, że doprowadzę ich do ślepoty, chociaż jeśli ktokolwiek mógłby to uczynić, to ja na pewno. Jest jednak lepszy sposób. Wywołajmy jakąś katastroficzną klęskę ekonomiczną, polityczną, intelektualną, *cokolwiek*. Doprowadźmy cesarstwo rzymskie do upadku, niech pozostanie jedynie porozbijanym wrakiem, gdzie ludzie muszą pracować od brzasku, aż do zmierzchu, aby tylko przetrwać, a nie będzie czasu na nic takiego, jak czytanie. Doprowadźmy do pojawienia się wieku analfabetyzmu, w którym ludzie nie będą mogli czytać Pisma, nawet, gdy będą je mieli i gdy nie będą mieli innej opcji, jak tylko korzystanie z poleceń władz. Pchnijmy ten świat w wiek ciemności!

Siedzę przez długie minuty, gapiąc się na tego szelmowskiego wojownika, którego umysł, pomimo że stał się obłąkany podczas wojny w Królestwie, jednak potrafi wyczarować rzeczy, o jakich sam nie pomyślałbym. *Zniszczyć całe*

cesarstwo rzymskie? Pozostawić je w ruinach? Rządzić ludźmi przy użyciu takich sił, jak beznadzieja i niewiedza? Plan jest tak zadziwiający, że potrzebuję trochę czasu, aby nad nim pomyśleć, ale już powoli nabiera on kształtów. Tak, to może być wyjście. Jedno jest pewne, nasi nieustraszeni wrogowie znajdują się w prawdziwym piekle. Ignoranci, to także ludzie nietolerancyjni, gotowi w jednej chwili pozbyć się kogoś, kto jest po prostu tylko inny, tak więc taki przypadkowy religijny indywidualista będzie miał zapewne wielkie kłopoty z przeżyciem w świecie, który właśnie opisał Zedronn. I jeszcze jedna rzecz: ten, kto będzie u władzy, będzie ją miał absolutną, nikt bowiem nie będzie posiadał środków, aby się sprzeciwić.

Niewiedza, ubóstwo, uprzedzenie, bezwzględne posłuszeństwo – to wszystkie składniki, aby mieć najbardziej absolutną władzę, jaką kiedykolwiek widziałem. Dlaczego nie?

– W porządku, Zedronnie – odpowiadam. – Zatwierdzam twój plan doprowadzenia ludzi do wieku ciemności. Masz już dwa legiony. Wyznaczę ci do pomocy Marcolitha wraz z całym jego korpusem. Możesz też korzystać z rady Meldibona lub Barristana, a także z Triora i zastępców dowódców. Informuj mnie. Nie chcę, aby cokolwiek się wydarzyło bez mojej wiedzy. Powodzenia!

Na wezwanie pojawiają się jego pomocnicy do przenoszenia go, a gdy właśnie ma odejść, rozkazuje im, aby się zatrzymali.

– Odwróćcie mnie, abym mógł widzieć Lucyfera.

– Mistrzu, – mówi, jakby szukając słów. – Nigdy nie myślałem, że to powiem po tym, co stało się między nami, ale...

Przytakuję i macham do niego w geście wskazującym na to, że wiem, co chce powiedzieć. Bo rozumiem, co chce mi przekazać. Po raz pierwszy od czasu naszego przybycia na Ziemię odczuwam pewność, że moja cała armia stanowi jedność.

Wigilia Nowego Roku, A.D. 406

Dzieje się to z szokującą szybkością, jak grzmot o północy.

– Mistrzu, przyjdź! – woła Marcolith, nurzając się w opadach marznącego deszczu, aby mnie znaleźć. Dokonywał właśnie przeglądu północnej części imperium, gdzie rzymscy żołnierze napotkali na trudne zmagania z dzikimi barbarzyńcami ze wschodu, a z brzmienia jego głosu rozumiem, że koniec się zbliża.

– Jestem tutaj, Marcolith'ie – odpowiadam. – Co się dzieje?

– Hunowie! – wrzeszczy. – Przypuścili brutalny atak na całej linii frontu w samą wigilię Nowego Roku. Obrońcy, a wielu z nich, to najemnicy, zostali zwinięci, jak zwija się zwykły dywan. Mistrzu, na ogień piekielny, oni biegają jak psy. Wygląda na to, że nie będzie temu końca. Myślę, że cesarstwo zbliża się do upadku.

Pędzę z nim na front, a sytuacja jest jeszcze poważniejsza, niż ją opisał. Obrońcy (jeśli ten termin może w ogóle mieć jeszcze zastosowanie) biegną w takim tempie, że wygląda na to, iż nie zatrzymają się nawet w Hiszpanii. Atakujący, świadomie kierują się na południe. Ci ludzie są przerażający: jadą na koniu, a równocześnie prowadzą jeszcze dwa lub trzy inne, a gdy głodnieją, po prostu zatrzymują się, przecinają żyłę na karku konia, piją do sytości, a potem jadą dalej, kciukiem tamując krew z rany zwierzęcia, aż się zablizni. Cały proces nie trwa nawet dwóch minut!

To jest to, początek końca. Plan Zedronna spadnie na Rzym jak żelazny smok.

Żelazo – zabawne, że użyłem tego słowa, bo jest to takie samo słowo, jakiego użył prorok Daniel, gdy opisywał królestwo, jakie nastąpi po Grecji. Nie dał mu żadnego imienia, ponieważ za jego dni nie istniało jeszcze państwo rzymskie, ale jasne jest to, że przepowiedział powstanie Rzymu. A teraz to wielkie imperium o drogach, które objęły cały świat, akweduktach i systemie pocztowym, potężnych legionach i *Pax Romana*, cesarach i senacie, zaczyna znikać w coraz szerszym morzu krwi, a dzieje się to dokładnie tak, jak przepowiedział to Daniel. Tak, jak podało proroctwo, Rzym, rozdzielił się na dwie części, Cesarstwo Wschodnie i Cesarstwo Zachodnie i wkrótce rozpadnie się. Według strategii Zedronna, ta część globu objęta zostanie dziwną ciemnością, gdzie ludzie nie będą myśleli o niczym innym, jak tylko o tym, by przeżyć, a ci, którzy będą mieli władzę, będą rządzić absolutnie.

– Marcolith! – krzyczę ponad zgiełkiem bitwy. – Niczego więcej tu nie zdziałamy! To, co ma się stać i tak się stanie. Wracajmy do kwatery i zaplanujmy strategię dla świata, który nastąpi po Rzymie.

Rozdział 26

Wiatry zmiany

Czas: wschód słońca, 3 sierpnia 1492

Z hiszpańskiego portu Palos wypłynęły trzy małe statki, które śmiało kierują się na zachód, korzystając z wiatru lądowego, który konsekwentnie odpycha je od brzegu w bladym świetle wschodzącego słońca. Unoszą się na wodzie i opadają jak drobne mewy, a są widoczne daleko na tle mas wodnych falującego Oceanu Atlantyckiego. Tuż za barierą czasoprzestrzeni dziesięć moich najlepszych legionów unosi się nad tą małą flotyllą, niczym niewidoczna chmura. Stało się to, co najgorsze: genueński poszukiwacz wyruszył w swoją podróż, która może odkryć przed nim nieznaną świat na zachodzie.

Gdy patrzę na te trzy statki, które odpływają od brzegu, muszę przewyciężyć moją rozpacz. Powoli, jak widać, wydarzenia wysuwają się spod mojej kontroli.

Przez kilka złotych wieków świat wydawał się należeć do mnie. Nasz plan połączenia kościoła z państwem zadziałał nawet lepiej, niż się tego spodziewaliśmy: cała Europa znajdowała się pod surowymi rządami, a dysydenci byli tropieni jak zwierzęta, a mogli przeżyć tylko w najbardziej dzikich i surowych górach. Ale szukaliśmy ich nawet tam, wyciągając ich z grot skalnych przy pomocy ognia, burząc ich domostwa, zabierając im dzieci. Już zdecydowałem, że kiedy nastanie czas przepowiedziany w księdze Objawienia, czas, w którym odniosę sukces w zjednoczeniu świata, ponownie połączę kościół i państwo, wykorzystując tę samą technikę, która okazała się takim sukcesem.

Ale teraz odczuwam w powietrzu ogromną zmianę, zmianę, która ma swe źródło w ludzkiej ciekawości. Ludzie znowu zgłodnieli są wiedzy i doprowadzają do zmartwychwstania twórczych zdolności, które dawno zostały już zapomniane w ciemnych wiekach. Około czterdzieści lat temu pewien człowiek o nazwisku Gutenberg wynalazł maszynę drukarską, która wykorzystuje ruchome czcionki. Drukowanie, które kiedyś zajmowało wiele tygodni, może być wykonane teraz w kilka dni, a to już tworzy dla mnie problem. Jednym z podstawowych elementów mojej strategii było usunięcie Biblii z obiegu, ale – czyż nie było to oczywiste! – jedną z pierwszych rzeczy, jaką wykonał ten wścibski Gutenberg, było wydrukowanie Biblii!

Kiedyś, gdy trzeba było kopiować je ręcznie, z wielką pracowitością, całkiem łatwo można było pilnować każdego skopiowanego egzemplarza Pisma, ale teraz, z tym wynalazkiem Gutenberga, można będzie je wydawać całymi tuzina-

mi, a za mało jest policji, aby pilnować każdego egzemplarza. W wyniku tego ludzie zaczynają czytać sami dla siebie, a ich ciekawość podniecana jest jeszcze faktem, że niewielu z nich w ogóle widziało dotąd Pismo, zaczynają więc kwestionować dogmaty, nad którymi przez całe wieki nie zastanawiano się poważnie.

Zaczynają się pojawiać jeszcze inne problemy. Odkrywcy zaczęli się zapuszczać coraz dalej ze swymi statkami. Wraz z odkryciami rozwija się handel, z handlem przyplływają pieniądze, teraz więc pojawia się nowa klasa kupców – są to bogaci ludzie o niezależnych poglądach, którzy chętnie kwestionują tradycję i którzy są na tyle silni, że potrafią sobie z nią poradzić. W tym samym czasie dzieje się też coś ze światowym systemem monetarnym. Ludzie uczą się, jak inwestować kapitał, aby powiększyć swoje bogactwo i odczuwam, że to zachwieje całą równowagę sił.

Ale to, co martwi teraz najbardziej, to Krzysztof Kolumb. Daleko, na zachód od Europy, znajduje się kontynent o niezwykłej wielkości i bogactwie. Wzdłuż wschodniego wybrzeża zasilany jest w wodę przez niezliczoną ilość rzek. Jest tam także wielka ilość drewna. Na południu znajdują się urodzajne pola, a w sercu tego kontynentu znajdują się wielkie prerie o prawie niekończącej się wielkości, o bardzo bogatej glebie i wielkiej ilości wody – wystarczająco duży teren rolny, aby nakarmić połowę mieszkańców Ziemi. Dla pewności dodam, że są tam też pewne bielące się kośćmi pustynie, ale gdy się je minie, dociera się do kolejnego rejonu wybrzeża, w którym znajduje się tyle złota, że można nim zbudować narodową fortunę. Pewien naród doprowadzi to miejsce do straszliwej potęgi, a z tego, co napisał Jan w księdze Objawienia, Wszzechmogący zamierza wykorzystać go jako sprzymierzeńca, gdy rozpocznie swój końcowy atak w wojnie.

I to jest powód, dla którego martwię się tym odkrywcą, którego statki kołyszają się na wodzie pode mną. Kolumb nie jest głupcem; studiował w słynnej na świecie szkole nawigacji, prowadzonej przez księcia Henryka na wybrzeżu Portugalii i doszedł do wniosku, że świat jest okrągły – że człowiek może faktycznie udać się na wschód, żeglując na zachód. Przekuwając w końcu swoje marzenia w rzeczywistość, znajduje się obecnie w podróży, która, jak sądzi, doprowadzi go do Chin.

Chin nigdy nie zobaczy, ale jeśli uda się przez Atlantycką, znajdzie coś, co dla mnie będzie znacznie bardziej niebezpieczne i jestem zdecydowany, aby go zatrzymać. Marconides i Torston już pracują nad jego żaglowcem, a skutki są widoczne u przesądnej załogi. Niespokojne ich oczy spoglądają wstecz na wybrzeże Hiszpanii, powoli znikające w oddali, a moi wojownicy zarażają ich okropnymi myślami: *Czyż świat nie jest płaski? Ojcowie kościoła mówią, że jest, a oni powinni wiedzieć najlepiej. A jeśli tak, to gdzieś musi znajdować się krawędź; popłyniecie tylko zbyt blisko krawędzi, a wpadniecie w paszczę samego piekła.*

Tu i tam niespokojne spojrzenia wywołują jedynie niebezpieczną rozmowę, podejmowaną zawsze, gdy tylko dowódca pokładowy odchodzi na tyle, aby jej nie słyszał, ale mała flota kołysze się dalej, aż po dziewięciu dniach dobijają do Wysp Kanaryjskich. Dziewięć dni żaglowania i jeszcze nie wpadli na krawędź czegokolwiek, a teraz pojawia się ląd, z owocami i świeżą wodą, a mięso ze świeżo zabitych zwierząt sugeruje, że żeglowanie po otwartym oceanie nie musi być w końcu aż tak złe – przynajmniej tak długo, jak człowiek może wyglądać kolejnego lądu. Odświeżeni, ruszają dalej, żeglując na stałym wietrze ze wschodu.

Przez szereg tygodni kierują się na zachód, a nasze morale zanika z każdą milą, która prześlizguje się pod ich statkami, aż pewnego dnia przyszedł do mnie Karzor, młodszy wojownik, przydzielony do Pinty.

– Mistrzu, czy zauważyłeś coś niezwykłego, gdy chodzi o wiatr, który prowadzi te łodzie?

– Tylko to, że jest on zbyt stały i paskudnie pewny – odpowiadam nieprzystępnie. Wiem, jak daleko jest do nowego świata i obliczam, że ten stały wiatr zaprowadzi tam Kolumba za jakiś miesiąc. – Dlaczego pytasz? – zagadnąłem. – Czy coś zauważyłeś?

– Oczywiście, Mistrzu. Pomyśl tylko: wiatr nie zmienił kierunku już od tygodni. Przez cały czas wieje od wschodu, popychając ich w kierunku zachodnim. To może być dobre na odcinku przybrzeżnym, jednak jeśli załoga zauważy, że wiatr wieje tylko w jednym kierunku...

– Karzor! – przerywam. – Masz rację! Rzeczywiście wydaje się, że wiatr wieje tylko w jedną stronę, ze wschodu na zachód! Te statki nie potrafią płynąć pod wiatr. Mogą zostać już tutaj, bez możliwości powrotu do domu!

– No, tak i nie, Mistrzu – odpowiada Karzor. – Na zlecenie Berrishona wędrowałem tą drogą osobiście wiele razy i na północ od tego miejsca są wiatry, które wieją z zachodu na wschód. Kolumb nie jest nowicjuszem. Jak sądzę, znajdzie wiatr, jaki jest mu potrzebny. Jednak – i tutaj Karzor śmieje się z zadowolenia ze swojej przebiegłości – załoga o tym nie wie! Jeśli uda nam się ich przekonać, że znajdują się w podróży tylko w jedną stronę, jak sądzę, możemy wywołać bunt!

Dlaczego sam o tym nie pomyślałem? Mój żołnierz ma całkowitą rację. Od razu podnoszę jego rangę o dwa stopnie i powierzam mu zadanie szerzenia tej myśli wśród załogi Pinty. Następnie wysyłam wiadomość do Thoriona, który znajduje się na statku Niña, zaś starszemu zastępcy powierzam zadanie podburzania załogi na Santa Marii. Wkrótce skutki stają się widoczne: groźnie wyglądający żeglarz zwilża swój palec, wystawia go na powietrze, a następnie przytakuje ze złością, jakby potwierdzając pewną głęboką, wewnętrzną obawę. Wieść roznosi się wśród załogi: wiatr, ten diabelski wiatr, nigdy się nie zmienia. On nas tu uwięzi. Staną się więźniami morza!

Dwa dni później

Kolumb udowodnił, że jest godnym przeciwnikiem. Poruszając się po swoim okręcie dowodzącym, wyczuł napięcie i domyślił się jego przyczyny, zrećznie więc odwraca myśli swoich ludzi od wiatru na szczęśliwszy temat łądu.

– *Queridos marineros*, – mówi – jeszcze tylko kilka setek mil i przyplniemy do łądu. Od tego momentu żaden statek nie będzie płynął po zachodzie słońca. Będziemy stali zakotwiczeni każdego wieczoru, bardzo blisko jedni drugich i nie będziemy płynąć, aż nastanie świt. Nie chcę znajdować się w drodze po ciemku, znajdując się tak blisko wybrzeża. *Vamos con Dios*.

Jego podstęp działał przez kilka dni, a przejmując odwagę od swego kapitana, ludzie relaksują się. Jednak gdy dni wydłużają się, a wiatr nadal powiewa, podniecenie z powodu tego jednostronnego, diabelskiego wiatru, pojawia się ponownie. Dolatujemy na akcję, mocno podżegając ich strach, a tym razem jest to zbyt wiele dla przebiegłości Kolumba: pojawia się posmak buntu i wybucha on z kwater załogi, obejmuje całą flotę, zmienia zjełczałe powietrze na odór anarchii i to najstraszliwszego kształtu – buntem na najwyższych stanowiskach, gdzie ludzie zaczęli się pojedynkować, zmuszeni do wyboru pomiędzy śmiercią na pokładzie a śmiercią w oceanie. Wygląda na to, że mój przeciwnik z Genui został pokonany!

Ale teraz interweniuje Królestwo. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć. Pierwszym, który mnie ostrzega, to Barshok.

– Mistrzu, coś dziwnego dzieje się w górnej warstwie atmosfery. Zmienia się ciśnienie. Tworzy się wysokie ciśnienie na zachodzie, zaś na wschodzie rozwija się bardzo niskie ciśnienie. Jest to tylko sprawa czasu. Wiatr się zmieni.

– Na jaki kierunek?

– Na zachodni. Spotkamy się teraz z wiatrem zachodnim.

A to – myślę sobie – *odłóży zupełnie myśl, że statki nie mogą powrócić do Hiszpanii*. Wiatr wiejący z zachodu może zawrócić ich do domu i załoga zauważy, że wcale nie znajdują się w żadnej pułapce.

I tak się stało; zachodni wiatr pojawia się dwa dni później, tak, jak przewidział to Barshok, a wkrótce potem zmęczona załoga widzi niezaprzeczalne znaki wyłaniającego się łądu. Leniwie kołysząc się na falach, wśród pływających trzciny, wśród innych jeszcze śladów istnienia łądu, zauważają przed sobą wyraźną linię brzegową. Pojawiają się ptaki lądowe, lecąc wyraźnie w kierunku południowo-zachodnim, a Kolumb decyduje się płynąć za nimi. Jakiś drąg, z powycinanymi znakami, unosi się obok Santa Marii. Wśród kiedyś przerażonej załogi szybko przekazywana jest wiadomość: *zbliżamy się do łądu!*

Wczesnym rankiem 12 października 1492 roku obserwator na dziobie Pinty krzyczy podekscytowany, bowiem w pewnej odległości może już widzieć linię fal dobijających do brzegu i wynurzający się łąd, a na pokładzie słychać od razu silny odgłos kroków, gdy szaleni żeglarze spieszą do burty.

Odkryto nowy świat.

I w ten sposób statki Kolumba zakotwiczyły. Rozminęli się z samym kontynentem, ale na pewno dotrą tam później, a w tym czasie poranek objawia przed nimi oślepiający kawałek białej plaży zaraz za pióropuszem rozbijających się fal i niewielki kopiec wyspy, która leży za tym, pokrytą pachnącymi kwiatami, o ciepłym, wilgotnym powietrzu i obietnicą czegoś mocnego pod stopami po raz pierwszy od dwóch miesięcy. Mając z sobą chorągiew królewską, Kolumb wraz z innymi kapitanami wiosłuje w kierunku brzegu i miejsce to przypisują królestwu Hiszpanii.

Przez dwa tygodnie płynie po oceanie umęczenia i błękitu, upstrzonego dziewiczymi wyspami, którym pracowicie przypisuje hiszpańskie nazwy, a potem od mieszkańców wysp dowiaduje się o wielkim lądzie na południowym zachodzie. Myśląc więc, że musi to być bajeczna wyspa Cipango, kieruje się tam, aby ją zlokalizować. Rozpoczęło się odkrywanie nowego świata, a z tym nadszedł też mój koszmar, którego już dawno się spodziewałem.

Rok: 1517

Przez piętnaście lat chętni Europejczycy poznawali wielki, nowy świat, który leży na zachodzie. Sam Kolumb odbył trzy podróże, jedną z nich z armadą liczącą 17 statków i ponad tysiąc osób załogi, a wkrótce podążyli za nimi Anglicy. Teraz mówi się już o kolonizacji, a ludzie ubrani w ozdobne koronki zaczęli szczerze przebąkiwać o plantacjach i o tartakach, i kopalniach, i o fortunach, które zdobyć można będzie za zachodnim horyzontem. Pieniądze! Odkrycie Kolumba poruszyło jednym dzwonem, którego dźwięk znają wszyscy ludzie.

Jakbym tracił kontrolę nad światem. Porwani poczuciem wolności jaką oferuje otwarta przestrzeń, ludzie zaczęli kwestionować autorytet zarówno kościoła, jak i państwa. W najjaśniejszej i najlepszej woli przelali swoje fundusze na nowo odkrytą ziemię, a ci, którzy najbardziej otwarci byli na przygody, wybierali się tam osobiście, wkrótce więc ten kontynent stanie się monstrum, którego nie będą mogli opanować. Czas na to, aby zebrać radę współpracowników na rozmowę.

– A więc, wojownicy, – odzywam się – wiecie równie dobrze jak i ja, po co się zebraliśmy. Nowy świat stanowi dla nas najpoważniejsze zagrożenie, z jakim spotkaliśmy się w kilku ostatnich stuleciach. Czy ktoś ma jakiś pomysł?

Pewnego dnia: popołudniu

Przez całe eony czasu słuchałem głównie moich starszych doradców, tak, jakby młodszy członkowie mojego dowództwa nie istnieli, a tego poranka przypomniało mi bardzo niegrzecznie, że to było straszliwym błędem. Postawiłem jedno z najważniejszych pytań, jakie wyszło z moich ust kiedykolwiek – co mamy zro-

bić z nowoodkrytym światem – ale od mojej starszej załogi nie otrzymałem żadnej pomocy. Faktycznie, to młodszy oficer z dowództwa Barshoka podał odpowiedź – a z powodu mojej szczerości niemal utracił odwagę mówienia!

Znajdował się w tylnym rzędzie zgromadzenia i gdy poprosiłem o radę, powstał, rozejrzał się nerwowo wokoło, znowu chciał usiąść, a potem ponownie powstał. Rozbawiony jego skrępowaniem, przelałem moje sfrustrowanie na tego biedaka.

– Ty tam, z tyłu. Czy przerwaliśmy ci poranne ćwiczenia?

Oblewając się rumieńcem zakłopotania, usiadł szybko, gdzie został szturchnięty przez kolegę. Widziałem (jednak nie mogłem usłyszeć) oznaki szybkiej, nerwowej dyskusji, a następnie powstał znowu.

– No więc? – domagałem się.

– Mistrzu, to, to znaczy, ja mam pomysł.

Śmiertelna cisza. Przypuszczam, że ten biedak czekał na pozwolenie, by mógł dalej mówić, tak więc szybko mu go udzieliłem, cichym głosem, starając się uczynić coś, aby go uspokoić.

– Mistrzu, wydaje mi się, że znalazłem sposób na takie zdeprawowanie nowego terenu, aby Wszechmogący musiał opóźnić jego wykorzystanie. Będziemy mogli zatrzymać Go na wiek, a może dwa.

Teraz mnie zainteresował.

– Mów dalej – odpowiedziałem – i proszę, podejdź tutaj, aby wszyscy mogli cię lepiej słyszeć.

– *Tam?* – odpowiedział, a nowe drganie głosu doszło do już istniejącego stresu.

– Oczywiście, – odpowiedziałem – nikt z nas tu nie gryzie. Jeśli myślisz, że gryziemy, w takim razie słuchałeś zbyt wielu malkontentów z Królestwa.

Fala śmiechu przeszła przez zgromadzenie, a wojownik niskiej rangi skierował się w moją stronę.

– A teraz – powiedziałem – weź głęboki oddech i rozpoczynaj. Naprawdę, nic ci nie grozi.

Wyraźnie rozluźnił się.

– Niewolnictwo – powiedział, zatrzymując się nagle, jakby to było wszystko, co miał do powiedzenia. Popatrzyłem na niego dziwnie. Co ten bladousty parweniusz ma na myśli?

– Niewolnictwo – powtórzył i ponownie zamilknął.

– Niewolnictwo? – domagałem się wyjaśnienia. – Zrobić z nich niewolników? Drogi panie, oni *już* są niewolnikami. Większość z nich wykonuje naszą wolę. Są zniewoleni rozpustą lub pijaństwem, albo pieniędzmi. Niektórzy z nich są nawet niewolnikami samych siebie. Postaw ich przed lustrem, a od razu się zakochają. Oni *już* są niewolnikami. Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Przeniósł swój ciężar na drugą nogę i zaczął mówić, chociaż w jego głosie nadal dało się słyszeć powracające drżenie.

– Nie, panie, mam na myśli wykorzystanie niewolnictwa, aby zdeprawować nowy świat. Popatrz, Mistrzu, jest to wielkie miejsce. Jest tam więcej ziemi, niż większość Europejczyków w ogóle kiedykolwiek widziała. Nie posiadają możliwości rozwijania tak wielkich posiadłości – nie zrobią tego sami. Wysyłanie tam kolonizatorów byłoby zbyt drogie. A gdy jeszcze dodamy do tego koszt transportowania zdobytych bogactw z powrotem do Europy, większość zysków z prowadzonych gospodarstw czy kopalń zniknie – dopóki, oczywiście, nie znajdą źródła darmowej pracy. I tutaj wchodzi sprawa niewolnictwa. Jeśli zasiejemy wśród nich taką ideę, sądzę, że ją przyjmą.

– A teraz, jaki będzie z tego dla nas pożytek? – kontynuował. – To proste, Mistrzu. Niewolnictwo spowoduje niezadowolenie Wszchemogącego, nie będzie więc mógł wykorzystać nowego świata tak szybko, jakby chciał. Jak myślę, możemy powstrzymać plany Wszchemogącego na jakiś wiek lub dwa.

O tak! Ten jękający się wojownik w końcu odnalazł swój głos, a jego pomysł był cudowny. Obejmował wszystko – potrzebę ekonomiczną taniej siły roboczej, koszt rozwijających się kolonii, motywy, które zakorzenione są w chciwości człowieka.

– Przyjacielu – odpowiedziałem – podnoszę cię do rangi młodszego zastępcy. W nagrodę dostajesz dowództwo nad brygadą, którą sobie możesz sam wybrać. Sfinalizuj swoją propozycję i przedstaw mi ją za siedem dni do ostatecznego przegłądu, a potem dostaniesz za zadanie realizację tego planu. I jeszcze dwa ostatnie pytania: pierwsze, skąd weźmiesz niewolników? Z jakiego kraju czy regionu? A drugie, jak ci jest na imię? Nie przypominam sobie, aby nas formalnie zapoznano.

– Gdy chodzi o pierwsze pytanie, Mistrzu, sugeruję Afrykę. Znajduje się tam wielki naród, z którego możemy czerpać niewolników, a kolor skóry tych ludzi ułatwi rozróżnianie niewolnika od wolnego w Nowym Świecie. A gdy chodzi o moje imię, nazywam się Ramsor. Dziękuję, Mistrzu, za honor, jakim mnie obdarzyłeś.

Kończąc obrady i zastanawiam się, gdzie uchował się ten nieznan wojownik przez ostatnich piętnaście wieków i czy taki jego udział mógł ratować mnie przy innych okazjach, gdy moi starsi doradcy nie mieli żadnych pomysłów. Jaki doskonały plan! Wykorzystuje wszelkie zło, jakie ukrywa się w ludziach. Prowadzą go siły ekonomiczne, które w oczywisty sposób będą obecne w Nowym Świecie, będzie więc rzeczą łatwą, aby sprzedać go chciwym inwestorom. Zawiera on także potencjał prowadzący do niesamowitego podziału politycznego, bo nie każdy z tym się pogodzi. Niektórzy ludzie, prowadzeni poglądami z Królestwa o ludzkim dostojeństwie, będą buntowali się na widok innych ludzi skutych łańcuchami i starać się będą obalić niewolnictwo, zaś ci, którzy czerpią z tego korzyści, będą zacięcie walczyli, aby pozostało nietknięte. Z tak wbitym klinem będziemy nawet w stanie doprowadzić do rozerwania w nowym narodzie, jaki tu powstanie, dzieląc go na dwie części!

Odchodzę ze spotkania z jednym żalem. Podniosłem Ramsora tylko do rangi młodszego doradcy. Powinienem uczynić go starszym, członkiem rady i zwolnić bezwartościowego Harshaka, który nie miał żadnego nowego pomysłu przez ostatnich piętnaście wieków. No, ale zawsze jest jeszcze jutro. Będę miał na oku ich obu i jeśli plan niewolnictwa przebiegnie dobrze, a sądzę, że tak się stanie, Ramsor stanie się jednym z moich głównych doradców, a Harshok nauczy się, jak to jest, gdy się służy jako posłaniec w Osiemnastym Echelonie.

Wieczór

Relaksuję się myślami o pełnym zadowoleniu z osiągnięć tego dnia. Jest już szesnasty wiek, a prorocstwo Daniela przepowiada, że wojna wejdzie w swoją ostatnią fazę za trzy wieki. Ale jeśli pomysł Ramsora zadziała, uda nam się zyskać cenne sto lub dwieście lat i odsuniemy czas końca wojny! Odczuwam pewną ulgę, której nie znałem już od szeregu dziesięcioleci.

Moja zaduma jest jednak krótka. Całkiem niespodziewanie, na wschodnim niebie pojawia się niebieska smuga i rozpoznaję, że jest to przybywający Marconides.

– Mistrzu, myślę, że lepiej będzie, jeśli od razu tam się udasz. W Niemczech, w miejscu o nazwie Wittenberga, zakonnik o nazwisku Marcin Luter właśnie przybił pewien dokument do drzwi kościelnych. Wszyscy go czytają. Nie sądzę, aby ta sprawa miała tak sobie przeminąć.

Rozdział 27

Ameryka

Rok: 1620

Był pochmurny, zimowy dzień z wgrzyżającym się w ciało wiatrem i okazjonalnym opadem deszczu ze śniegiem, a ja czułem się bardzo mizernie. Przeniosłem moje centrum dowodzenia do Londynu, bowiem Brytyjczycy bardzo uaktywnili się w kolonizacji, a ja uważnie śledziłem ich plany dla nowego świata. Właśnie podszedł do mnie dowódca straży.

– Mistrzu, jest tutaj Ramsor i chciałby porozmawiać.

– Oczywiście! – odpowiedziałem. Spotkanie z nim przynajmniej oderwie moje myśli od przykrego stalowo-szarego popołudnia, a on zawsze ma wieści, które są użyteczne. Czterdzieści lat temu uczyniłem go głównym zastępcą w echelonie wyznaczonym do patrolowania nowego świata. Przywitałem go ciepło.

– Mistrzu, mam informacje, które, jak sądzę, zainteresują ciebie – powiedział, po wymienieniu uprzejmości. – Z tego co się dowiedziałem, kolejna grupa kolonistów planuje wyruszyć w kierunku nowego świata – będą to dwa statki, które kierować się będą do kolonii Virginia. Ta wiadomość, sama w sobie, nie jest niczym zaskakującym, bo takie rzeczy miały już dotąd miejsce, ale oto interesująca wieść: są to religijni separatyści, grupa ludzi prostolinijnych zwanych Purytanami. Są to klasycy, studium Biblij nonkonformiści i, jak sądzę, oni mogą być problemem.

– To byłoby, mój przyjacielu – włączyłem się – wielkie niedocenienie. Znam dobrze Purytanów; śledziłem ich bardzo uważnie i powstanie ich kolonii w nowym świecie jest ostatnią rzeczą, jakiej chcemy. Informuj mnie o rozwoju sprawy.

Skłonił się i wyszedł, a my zaczęliśmy ich obserwować dniem i nocą. Była to przedsiębiorcza grupa ludzi, którzy zdołali zdobyć aż 7000 funtów od londyńskich inwestorów i za te pieniądze wynajęli dwa statki: starą przeciekającą łajbę o nazwie *Speedwell* i mały, ale silny statek o nazwie *Mayflower*.

Na początku sierpnia przybiegł do mnie posłaniec.

– Generał Ramsor przesyła swoje pozdrowienia, Mistrzu, i mówi, że powinien udać się na południe, do Southampton. Purytanie mają właśnie odpływać.

Pozostawiłem Marconidesa jako dowodzącego w kwaterze głównej i pośpieszyłem w kierunku portu morskiego.

– Przykro mi, że musiałem wysłać posłańca, a nie udałem się do ciebie osobiście, Mistrzu – mówi Ramsor, gdy przybywam – ale niemal w każdej minucie coś się tutaj dzieje. Nie mogłem tak sobie pozostawić dowodzenia.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam, myśląc, jak miło jest pracować z kimś, kto jest nowy i kompetentny. Nawet Marcolith, mój stary, zaufany towarzysz, nie jest już tym, kim był kiedyś.

– A więc – kontynuuję – opowiadaj. Co tu się takiego dzieje?

– Wiele. Jutro lub pojutrze wypływają, a sytuacja jest taka: *Mayflower*, jak sądzę, poradzi sobie, tak jak wszystkie inne statki w podróży przez północny Atlantyk, ale gdy chodzi o *Speedwell*, to otwarta sprawa. Przy dobrej pogodzie, być może poradzi sobie, ale silniejszy sztorm może posłać tę starą balię na dno. Tak więc pozwoliłem sobie – i, Mistrzu, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu – zanim jeszcze tutaj dotarłeś, wysłać Barshoka przed nimi. Czasami potrzebuje on kilku dni na to, aby zgotować odpowiednią pogodę, która wywoła sztorm.

– *Przeciwko temu?* – odpowiadam. – Życzyłbym sobie, aby pozostała załoga miała taką samą inicjatywę jak ty. Gdzie jest teraz Barshok?

– Nie potrafię określić dokładnie, Mistrzu. Skierował się daleko na północ, do miejsca, o którym mówi, że jest to „aleja sztormów”.

Pozostawiam go chichoczącego i wzywam Zedronna.

– Udać się na te dwa statki – rozkazuję. – Weź z sobą Torshara i jego brygadę i zastanów się, co możesz uczynić ze *Speedwell*. Daj mi znać, co się dzieje.

Po godzinie powraca.

– *Mayflower* jest mocna – sprawozdaje. – Mały statek, długości jakieś 90 stóp. Ale *Speedwell* jest statkiem, który tylko szuka okazji do wypadku. Wojownicy Torshara połuzowali jego spoiny i pierwsza większa fala, z jaką się spotka, przepuści wodę tak szybko, że będą musieli pompować z zacięciem, aby utrzymać się na powierzchni.

– Dobrze – odpowiadam. – Teraz miejmy tylko nadzieję, że stanie się to na środku oceanu.

Miejsce: Southampton

Miałem nadzieję, że problemy *Speedwell* na dobre ujawnią się dopiero na morzu, ale tak się nie stało. Jak tylko oba statki wyruszyły w drogę, *Speedwell* zaczęła przeciekać i wkrótce zawróciła do portu, ciągnąc za sobą *Mayflower*, który ją eskortował. Purytanie byli jednak garstką zdecydowanych ludzi: nieustraszenie połatali stary statek i wypłynęli ponownie, a my znowu zaatakowaliśmy ich, otwierając przegniłe deski i zalewając wodą przeciekający statek tak szybko, że znalazł się natychmiast w niebezpieczeństwie zatonięcia. Kolejny raz oba statki musiały zawrócić i ledwie udało im się dotrzeć do Plymouth.

W tym czasie pojawił się Barshok, niezadowolony i jęczący, domagając się informacji, dlaczego jego letnie sztormy zostały zmarnowane, ale gdy zobaczył

poirytowanych pasażerów (z których niektórzy poddali się w zniechęceniu i zrezygnowali ze swoich planów podróży), jego twarz rozjaśnił złośliwy uśmiech.

– Tak więc zmarnowałem jeden czy dwa sztormy – terkotał z zadowolenia. – Przynajmniej ci przekłęci Purytanie są nadal w porcie, a w tym czasie zatopiłem dwa holenderskie okręty kupieckie i francuski statek korsarski, i wszyscy zginęli. Nieźle, co?

– Nie, Barshok, ty jesteś tak dobry, jak zawsze. A teraz, gdy ci fanatyczni Purytanie znowu wyruszą i popłyną – przygotuj jeszcze swój najlepszy sztorm. Następnym razem, gdy poślesz ich do najbliższego lądu, upewnij się, że będzie to na cztery mile w dół.

– Mistrzu, to będzie przyjemność.

Co do tego nie mam wątpliwości.

Data: 5 września 1620

Wiele osiągnęliśmy. Niektórzy z emigrantów stracili ducha i odwołali swoje plany wyjazdu do Ameryki, a ci, którzy nadal chcą płynąć, spotkają się z nowymi i większymi niebezpieczeństwami. Te dwie zwłoki spowodowane przez *Speedwell*, przesunęły ich datę odplynięcia na wrzesień i w wyniku tego wyruszą wraz z nastaniem sezonu sztormów równonocnych – czymś, co Barshok potrafi wykorzystać bardzo dobrze.

Następnego dnia

Dzisiaj wyruszyli kolejny raz. Mały statek *Mayflower*, kołysząc się przy wybrzeżu Plymouth w plusku fal, zabawnie kieruje się na zachód z ładunkiem 101 kolonistów, którzy już są osłabieni przez te dwa nieudane starty. Posyłam do przodu posłańca, aby poszukał niedobrej pogody.

– Sprawdź, gdzie jest Barshok – rozkazuję. – Powiedz mu, że wreszcie są w drodze. Powiedz mu, że ma dla nich przygotować to, co najgorsze.

Posłaniec powraca godzinę później.

– I co się tam dzieje? – pytam.

– Wiele – odpowiada. – Barshok ma pełną burzę wiatrów przygotowaną nie daleko brzegu Nowej Fundlandii. Chce dać im czas, aby wypłynęły daleko w morze. Potem pośle na nich sztorm od południa, spychając ich z kursu i kierując ku północy – dokładnie w aleję sztormów. Widziałem niektóre z fal, jakie już przygotował: muszą mieć chyba wysokość połowy długości *Mayflower*. Jeśli ci pielgrzymi to przeżyją, będą mieli szczęście.

Szczęście, mruczę coś do siebie. Jeśli przeżyją jedno z tych mistrzowskich dzieł Barshoka, to szczęście nie będzie miało z tym nic wspólnego. Będą po prostu pod ochroną Królestwa.

Pięć tygodni później

Warunki na *Mayflower* są piekielne. Pasażerowie tłoczą się w tym niewielkim statku w małych kajutach, możesz więc poczuć ten statek już na pół mili dalej, gdy się ustawisz pod wiatr. Sztorm narasta, a statek wydaje nieziemskie piski i jęki, gdy jego drewniane elementy stawiają opór straszliwej pogodzie. Czasami znika całkowicie, wraz ze swymi masztami w dolinie pomiędzy wielkimi falami, tylko po to, aby wystrzelić prosto w kierunku nieba, gdy kolejna fala pojeździe pod jego kil, wyrzucając statek w górę, wraz z jego, nękanymi chorobą morską, pasażerami. Potem fala ustępuje, a statek dryfuje w dół, jakby kolejną doliną, każdy zaś patrzy w przerażeniu w górę, na dymiące morze, które syczy na poziomie samego szczytu masztu. Rzeczywiście, jest to jeden z najlepszych sztormów Barshoka i znosi on *Mayflower* daleko z kursu, na wiele mil od drogi do stanu Virginia. W istocie, statek płynie teraz w kierunku opustoszałych terenów nadbrzeżnych, daleko na północ, gdzie mocno wysunięty i wymieciony wiatrami przylądek, tworzy zakole wokół dużej zatoki. Jeśli uda im się przepłynąć ocean, wtedy będą musieli wylądować właśnie tutaj. Do Virginii już na pewno nie dotrą.

11 listopada

Właśnie w samej zatoce, wzdłuż tego długiego, zakrzywionego przylądka, ozdobiony solą statek *Mayflower* przesuwa się delikatnie na kotwicy, jak stary, zmęczony koń. Za przylądkiem ocean jeszcze się wścieka i pieni pozostałościami ostatniego dzieła Barshoka, ale fale te uderzają już teraz na darmo, bowiem Purytanie przeżyli. Było kilka chwil, gdy już myślałem, że jedna z fal Barshoka fizycznie rozwali ten mały statek, obracając jego pokład wprost na kolejną falę. Gdyby to się wydarzyło, statek przewróciłby się, wrzucając jego ludzki ładunek do zimnego Północnego Atlantyku, ale za każdym razem, gdy istniało takie zagrożenie, Królestwo interweniowało. Był tam Ramitan i sam rzucał się pomiędzy statek, a falę, która mogłaby go zatopić, a mały statek wzdrygał się, wypływał na powierzchnię i płynął dalej.

Teraz *Mayflower* stoi zakotwiczony na spokojnych wodach, a grupa zwiadowców, jaką wysłano na brzeg odnalazła świeżą wodę i kilka koszy zboża, które pozostawili tubylcy, zamieszkujący wybrzeże. W tym także mogę dostrzec zaangażowanie Królestwa, bowiem bardziej na południe ziemię tę zamieszkują wrogie plemiona Indian, którzy z łatwością mogliby zmieść tę niewielką grupkę ludzi, białoskórych intruzów. Ale lokalni mieszkańcy właśnie tego miejsca są przyjaźni. *To niemal tak jakby Królestwo wykorzystało sztorm wywołany przez Barshoka do tego, by doprowadzić Mayflower dokładnie na miejsce, gdzie miał dopłynąć.*

Grudzień roku 1620

Nadszedł okres, który ludzie nazywają Bożym Narodzeniem. Wykorzystując małą łódź, osadnicy zbadali wybrzeże, poszukując najlepszego miejsca na zbudowanie domów i wybrali miejsce po drugiej stronie zatoki, w której zakotwiczili. Teraz, przy łoskocie zardzewiałego łańcucha, kotwica *Mayflower* wpada do wody tuż obok plaży, gdzie koloniści wyjdą na brzeg. W pobliżu znajduje się duża skała, dokładnie we właściwym miejscu, by przycumować przy niej małą łódź; tym sposobem pasażerowie mogą wyjść na brzeg bez moczenia nóg w zimnej wodzie morskiej. Tak więc jeden za drugim, podróżnicy wdrapują się na brzeg z tej małej łódki, trzymając kurczowo w ramionach strzępy swoich rzeczy, patrząc na nie z prawdziwym zmęczeniem. Ze 101 osób, które wyjechały z Anglii, dwie zmarły na statku. *Ale kolejne dwie się urodziły, utrzymując taką samą ogólną liczbę.* Wszchemogący uzupełnił ich straty!

Nowe życie zastąpiło stare. Takich symboli nie potrafię przeoczyć. Już obawiam się tego, co tu się wydarzy.

Jesień, 1621

Aż trudno uwierzyć w to, że minął już rok! W Anglii nadal panuje król Jakub I, chociaż ma on chęć kłócenia się z parlamentem. Jest to jakby sianie nasienia, które zagraża wybuchem wojny domowej. A w tym czasie kolonia pielgrzymów przetrwała. Straszne były ich losy: jakaś połowa z nich zmarła ostatniej zimy, jednak przyjazna ludność lokalna pokazała im, jak uprawiać słabą, kamienistą ziemię na wybrzeżu, a teraz nastały żniwa, dające wystarczająco dużo żywności, aby przetrwać kolejną zimę. Właśnie wczoraj zorganizowali wielką ucztę, na którą zaprosili swoich indiańskich przyjaciół, aby uczcić żniwa i podziękować Wszchemogącemu za przeżycie.

Rok: 1715

Wszędzie można dostrzec siły przemiany. Z urodzajnego umysłu ludzi wciąż kielkują nowe pomysły: nowe sposoby rachuby czasu, nawigacji, drukowania książek, a nawet zagładania w kosmos przy pomocy obiektywów ze szkła, które pomagają, by odległe przedmioty można lepiej widzieć. Tu i tam ciekawscy wynalazcy zabawiają się wyszukiwaniem sposobów na wykorzystanie siły pary i jeśli im się to uda, wtedy zrewolucjonizują sposób podróżowania. Świat będzie wyglądał jak wędrujące mrowisko.

Zaciekawiony tym, dokąd to wszystko zmierza, wzywam do siebie Zoreema i Seritrana, dwóch najlepszych moich analityków, by spróbowali wywnioskować, czego można będzie oczekiwać.

– Mistrzu, ich technologia nadal jest bardzo prymitywna – odpowiada Seritran – ale nie będzie to długo trwało. Każde nowe odkrycie powoduje, że przyszłe przełomy przejdą już znacznie łatwiej. Spróbowaliśmy to wszystko sobie powielić i sądzimy, że wiedza ludzka przyspiesza swój rozwój tak, jakby kierowana była przez kogoś.

– Dokąd więc to wszystko prowadzi?

– Porozmawiajmy więc, posługując się językiem praktycznym. Opierając się na ich obecnym tempie rozwoju, prawdopodobnie uda im się wykorzystać siłę pary jeszcze przy końcu tego wieku. To zrewolucjonizuje sposób podróżowania zarówno na ziemi, jak i na morzu. Za sto lat będą pływać po Atlantyku już tylko na statkach parowych, sprowadzając taką podróż do krótkiego czasu.

Przez chwilę moje myśli oddalają się od potoku faktów i kalkulacji podanych mi przez moich pomocników, ponieważ pojawiła się u mnie pewna kłopotliwa myśl. *Jeśli ludzie będą mogli tak łatwo podróżować, Królestwo będzie mogło wszędzie roznieść poselstwo i to bardzo szybko! Czy to stoi za tym nagłym przyspieszeniem wydarzeń? Czy Królestwo przygotowuje w ten sposób swój końcowy atak? Wszystko jest możliwe – mruczę do siebie – bowiem szczyt prorocstwa Daniela znajduje się zaledwie o wiek od teraz.*

Cisza, jaka zapanowała w pokoju, przywołała mnie z powrotem do rzeczywistości: moi analitycy zauważyli w moich oczach puste spojrzenie i przestali mówić.

– Kontynuujcie, proszę – mówię. – Wasze sprawozdanie przybliżyło mi jeszcze inne sprawy.

– Tak, panie. Tak, jak mówiliśmy, ludzkość zmierza do zrewolucjonizowania techniki podróżowania. Gdy raz wykorzystają siłę pary w statkach, wkrótce zastosują ją także na lądzie. Jednak największym odkryciem ze wszystkich nie będzie ani to na lądzie, ani na morzu. Mistrzu, według naszych danych, wkrótce będą w stanie rozwiązać zagadkę latania.

Latanie! Umieścić tylko te stworzenia w powietrzu, a świat skurczy się do małego punkciku. Wtedy niewiele zostanie z tego, czego nie potrafią uczynić!

– Kiedy? – zapytuję.

– Wszystko zależy od tego, jak szybko uda im się rozwinąć źródło mocy. Jeszcze dwa wieki, a może mniej.

– Prawdopodobnie mniej – odpowiadam, myśląc o tempie wydarzeń, o jakim mówi księga Objawienia. – W porządku, czy jest jeszcze coś?

– Tak. Jedno z ich największych osiągnięć, to zbrojenie się. Przez całe wieki ich najstraszniejszą bronią był łuk ręczny. Potem, kilka wieków temu wynaleźli kuszę, znacznie silniejszy przyrząd, który potrafi przeszyć nawet białą zbroję. Niedawno odkryli proch strzelniczy, a skoro rozwija się ich metalurgia, zaczynają odlewać armaty, które potrafią wytrzymać znacznie wyższe ciśnienie. Nadejdzie taki dzień, że będą w stanie wystrzelić tonę metalu na odległość 20 mil.

– Kiedy do tego dojdzie?

– Za dwa wieki. Może trochę później, a może trochę wcześniej. Ale to prowadzi nas do jeszcze jednej sprawy. Mistrzu, będziemy świadkami światowego wyścigu zbrojeń. Pierwsza rzecz, jaką uczynią ludzie ze swoją nową technologią, to znajdą lepsze sposoby na wzajemne zabijanie się. Nasze przewidywania są nadal bardzo niepewne, ale wszystko wskazuje na to, że znajdujemy się na krawędzi najdłuższego pokolenia w historii ludzkości. Może się stać bardzo niebezpiecznie.

– Dla nas, czy dla nich? – pytam, a moje ciało trwa w napięciu.

– Mistrzu, czy możemy spotkać się na osobności? Jest coś, co chcielibyśmy przedyskutować tylko z tobą.

Pozwalam odejść moim współpracownikom, upewniając się, że wszyscy otrzymali jakieś zadania do wykonania, teraz bowiem wzrosło ich zaciekawienie i nie mogą im wierzyć, że pozostaną odpowiednio daleko, aby niczego nie słyszeć. Gdy w końcu pozostaliśmy sami, pozwoliłem moim doradcom kontynuować.

– Mistrzu, ludzka wiedza i umiejętności zaczną wkrótce rozwijać się ponad wszelkie wyobrażenie. Ich umiejętności mogą teraz wydawać się prymitywne, jednak, gdy poziom umiejętności zdecydowanie wzrośnie, ich zdolności staną się przerażające, a to wszystko, jak się wydaje, będzie miało miejsce w czasie zaledwie dwóch wieków. Przed nami jednak pewien kłopot – miejsce, gdzie wszystkie te zdolności zbiegną się. A wydaje się, że stanie się tak zaraz po zakończeniu dwudziestego wieku. Tu jednak jest ta niedobra rzecz. U schyłku tych dwóch wieków pojawi się jeszcze jedno odkrycie. W oparciu o ich obecne, przyśpieszone tempo rozwoju, gdzieś około roku 1900, te stworzenia natkną się na tajemnicę atomu. I, Mistrzu, jeśli nauczą się wykorzystywać energię jądrową, cała orbita znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Cisza, jaka zapanowała, stała się niemal bolesna. Oczekują mojej odpowiedzi, a ja muszę podjąć decyzję: czy mam im powiedzieć, że i ja obawiałem się takiej możliwości od owego dnia na Patmos, gdy zerkałem z poza ramienia Jana i patrzyłem, jak pisał Księgę Objawienia? Trwa to dość długo, gdy ważę możliwości i zastanawiam się, czy powinienem zaryzykować historią, podsycając jeszcze ich obawy, ale w końcu nie mogę już czekać dłużej: muszę im powiedzieć o tym, co wiem.

– Tak – odpowiadam, mówiąc wolno i ważąc każde słowo. – Jak sądzę, macie rację. Martwiłem się tym przez ostatnie dwa wieki. W Księdze Objawienia Jan opisuje ogień na niebie. Jak myślę, będzie to energia jądrowa. Obawiam się, że ludzie potrafią podczas jednej z ich wojennych utarczek uwolnić te moce, które zniszczą wszystko. A teraz, to niezwykle ważne, abyście tę informację zachowali tylko dla siebie. Nie dzielcie się nią z nikim. Gdy jesteście poza moją obecnością, nie pozwalajcie sobie nawet na myślenie o tym. Tymi wieściami moglibyśmy wywołać w armii panikę. Czy mnie rozumiecie?

– Tak, Mistrzu – odpowiadają, ale dziwne zażenowanie na ich twarzach wskazuje na to, że nie wszystko jest w porządku. Patrzą poza mnie, na coś, co dzieje się poza moimi plecami, obracam się więc i widzę tam Zirkana, stojącego w odległości odpowiedniej do tego, by mnie słyszeć, udającego, że jest zajęty jakimś zadaniem. Ten szubrawiec, pobudzony ciekawością, powrócił, aby podслуchiwać!

Wybucham wściekłością. Przeklinam go, aż do momentu, gdy brak mi odpowiednich słów. Gdybym tylko mógł, zabiłbym go, ale jak dotąd, śmierć nie jest darem danym aniołom. Gdyby była, dawno już znalazłbym w niej słodką ulgę.

Dobrze znam Zirkana. Nie ma sensu, aby uzyskiwać od niego obietnicę, że dochowa tajemnicy, bowiem jest on w armii jednym z najskuteczniejszych kłamców, zawsze gotowy i chętny do tego, by powiedzieć cokolwiek, jeśli istnieje taka konieczność. Nie mogę go też zdegradować, bowiem to rozprzestrzeniłoby złe wieści jeszcze szybciej. Nie, będę musiał żyć z tym łajdakiem, utrzymując go pod własnym dowództwem, a nienawidzić go będę każdej chwili, w której znajdować się będzie w pobliżu.

Rok: 1775

Kolonie rozwinęły się jak mrowiska. Niemal wszędzie znajduje się jakieś centrum działania, od Bostonu, niedaleko od miejsca, gdzie jest kolonia *Mayflower*, aż do Charleston, południowej kolonii zwanej Karoliną. Nad wybrzeżem rozwijają się miasta o dziwnej różnorodności nazw, przeniesionych z worka wspomnień starego świata: New York, Baltimore, Williamsburg, Wilmington. Teraz, na tym bogatym kawałku wybrzeża mieszka już trzy miliony ludzi, granicząc na zachodzie z górami, które zsyłają w dół obfitość energii wodnej.

Poddaliśmy się już z nadzieją utrzymania tego kraju. Uczynienie tego, równe jest próbie siedzenia na wulkanie. Wykorzystujemy jednak sposób, który wciąż może doprowadzić to miejsce do ruiny: tak, jak zasugerował Ramsor, skazaliśmy je niewolnictwem.

Nie jest ono obecne wszędzie, bowiem w koloniach północnych nie zezwala się na nie, jednak w koloniach południowych, gdzie uprawy bawełny i tytoniu wymagają wiele taniej siły roboczej, niewolnictwo kwitnie. Nawet teraz wywołuje to napięcia pomiędzy tymi, którzy nienawidzą tej instytucji, a tymi, którzy się na niej bogacą. Jest to mocny rozdział, jaki wyrył się w sercu tego kraju, a skoro służy moim celom, dopilnuję, by podzielił on kraj na dwie części. Nie mogę sobie pozwolić na to, aby ten bogaty kontynent trwał w jedności.

A w tym czasie istnieją też i inne stesy. Anglia, kraj-matka tych odległych kolonii, właśnie prowadziła serię bardzo kosztownych wojen i poszukuje teraz świeżych źródeł dochodów, tak więc cały nawał nowych podatków nałożono na nieszczęśliwych z tego powodu osiedleńców amerykańskich. Rada morska za-

czyna więc gotować się od złości. Na znak protestu przeciwko nowym podatkom, w Bostonie, lekko podchmieleni koloniści zatopili w zatoce herbatę o wartości 10.000 funtów, zaś w odwecie Brytyjczycy utrzymywali swoje wojska w całym mieście. Zaś daleko na zachodzie, lokalni stróże porządku przechowywali w ukryciu broń i proch strzelniczy i ćwiczyli się także w nowych sposobach walki, jakie zaplanowano na wypadek konieczności pokonania przeważających sił nieprzyjaciela. Ćwiczyli się w taktyce, w której mogli uderzać i uciekać, przelewając krew, a następnie znikając w lasach, nie pozostawiając swoim przeciwnikom żadnego celu do atakowania. Jest rzeczą jasną, że mają oni zamiar prowadzić wojnę ze swoimi brytyjskimi panami.

Data: 19 kwietnia 1775

Znajduję się w kwitnącym mieście kolonialnym, New York, gdzie monitoruję wydarzenia, gdy właśnie przybywa Marcolith.

– Mistrzu, przybądź zaraz. Coś dzieje się w Bostonie. Jak sądzę zaczyna się wojna.

Przyśpieszamy i docieramy do Bostonu w kilka chwil, aby przekonać się, że miejsce aż tętni różnymi czynnościami. Niebo jest szare w półmroku poranka, a światła migoczą jeszcze w oknach; wychudzeni koloniści, ubrani w ręcznie tkane ubrania, wypadają przez drzwi i pędzą ulicami. W ich rękach znajdują się długie strzelby, zaś na plecach zwisają im na sznurkach zawieszane rogi z prochem. Pewien jeździec, którego koń swymi kopytami rzuca iskry na brukowych kamieniach ulicy, pędzi w kierunku zachodnim, wzdłuż drogi prowadzącej do spokojnego miasteczka na terenie o nazwie Lexington, a jego ostrzeżenia odbijają się głośnym echem w każdym mijanym przez niego domu. „Żołnierze! – wykrzykuje. – Czerwone płaszcze! Na dziesięć mil stąd, na wschód, prosto tą drogą. Zbierzcie możliwie każdego obywatela”.

Brytyjczycy maszerują ku zachodowi, wkraczając w pierwsze ulice obnażające się przed światłem dnia; ich kolorowe mundury falują na tle świtu niczym szkarłatna wstęga, a jasnokolorowe spodnie zostały pieczołowicie pokryte wybielającą je warstwą glinki. Lufy ich strzelb połyskują niczym sierść szukającego zdobyczy wilka, a dobosze robią wszystko co mogą, by bezwiednie posuwające się do przodu wojsko wmaszerowało z mrówczą precyzją prosto w paszczę śmierci. Zmierzają zabawnie w kierunku głębokiej zasadzki i nie ma wątpliwości, że niektórzy z nich zauważyli częste plamki kolorowych tkanin przemieszczających się wśród drzew po obu stronach drogi. To będzie ich wróg – nieprzyjaciel, który nie chce walczyć według zasad, który pośle w ich kierunku ogień flankowy, a następnie wtopi się w znane miejsce ukrycia w kraju, w którym się urodził. Już widzę nieszczęście, jakie spadnie na Brytyjczyków. Popelniają klasyczny błąd, wykorzystując taktykę, jaką

walczyli w ostatniej swojej wojnie, skierowaną dziś przeciwko wrogowi, który nie będzie walczył według starych zasad.

– Marcolith – wołam. – Rzuć swoje siły do przodu. Postaraj znaleźć się pomiędzy Brytyjczykami i kolonistami. Zawróć ich. Brytyjczycy kierują się wprost na zasadzkę!

– Natychmiast, Mistrzu. – Pędzi na zachód. Teraz mamy tylko jeden cel, nie dopuścić do powstania kraju, który przepowiedział Jan. Jeśli ci ludzie zdobędą niezależność, staną się niebezpiecznie nieprzewidywalni. Nie mamy danych, jak poradzić sobie z ludźmi zamieszkałymi tutaj, bowiem przybyli tu ze wszystkich stron: z Anglii, Niemiec, Włoch, Afryki. Nie potrafimy przewidzieć, co czynią. Jak dotąd, nigdy jeszcze nie było takiego miejsca, jeśli więc otrzymają wolność, która pozwoli im samym określić swoje przeznaczenie, może nam zająć nawet trzy wieki, aby zapanować nad sytuacją. A to, jak z przygnębieniem przypominam sobie, byłoby za długo. Prawdopodobnie nie będę miał tych trzech wieków. Proroctwo Daniela, to o 2300 latach, kończy się w roku 1844 – jedynie za 69 lat! Gdy nastanie ten rok, proroctwo przepowiada, że rozpocznie się sąd, a oznacza to, że te dziwne wydarzenia w Lexington, są czymś więcej niż jedynie ludzkim wydarzeniem. Tu działa Królestwo Światła: nastał czas, aby narodził się naród, jaki przepowiedziany jest w księdze Objawienia i Starodawny robi teraz swój ruch.

O poranku

Ogień walki rozpoczyna się jednym wystrzałem, odgłosem zbyt trywialnym, aby brać go poważnie, jednak krzyk bólu i pojawienie się nagłej luki w linii Brytyjczyków dowodzą, że jest to bardzo prawdziwe. Na niewielkim mostku, który łączy brzegi małej rzeczki dwie strony wymieniają ogień, przelewając krew, a strzelanina staje się głębokim rykiem. Marcolith pędzi tam i z powrotem po polu walki, jednak nie może fizycznie uczynić niczego, co wpłynęłoby na ostateczny wynik, bowiem ciężki kordon strażników Królestwa odpycha nas, ludzie więc mają możliwość działania w tym swoim dramacie bez jakichkolwiek ingerencji.

Uklęci zaciętym oporem ze strony kolonistów, Brytyjczycy wycofują się i zaczynają dostrzegać, jak ich szeregi przerzedziły się (i wyszczuplały) z powodu upartego ognia od strony lasu po drugiej stronie. Maszerują jak dżentelmeni, tańcząc w rytm zawziętego dźwięku piszczałek i bębnow i umierają jak blaszane żołnierzyki wywracane ręką losu. Kto żyje, a kto umiera tego ponurego dnia, zależy całkowicie od kaprysu jakichś niewidocznych jankesów, strzelców pochowanych na drzewach, którzy decydują, na czybił trafił, który z czerwonych płaszczy stanie się kolejnym paciorkiem ich rusznicy. Wycofujące się wojska brytyjskie ratuje przed całkowitym zniszczeniem nadejście posiłków.

Jest to zwycięstwo, które jednoczy całą nadbrzeżną Amerykę.

Rok: 1776

Wojna trwa w swej śmiertelnej zaciętości, a ja wyglądam możliwości interwencji. Pewnego dnia przybywa posłaniec z wieściami, na które czekałem.

– Mistrzu, Zedronn mówi, abyś przybył natychmiast. Generał Washington właśnie popełnił klasyczny błąd taktyczny: podzielił swoją armię na Manhattan i wyspę Long, a dzieli je Rzeka Wschodnia. Zedronn twierdzi, że Brytyjczycy mogą rozdzielić jego armię na dwie części, jeśli tylko pošlą swoje wojenne okręty wzdłuż rzeki. Powinieneś się śpieszyć.

Nie potrzebuję drugiego zaproszenia. Jak dotąd, Washington odnosił całkiem niezłe sukcesy, ale armia Brytyjczyków nabiera sił, a Amerykanie mają tylko ograniczone źródła, więc jeden poważny błąd może położyć kres wojnie. Pędzę więc na miejsce i znajduję tam Zedronna napompowanego bardziej, niż kiedykolwiek widziałem.

– Mistrzu, jest to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Przyglądałem się wojownikom od samego początku czasów. Widziałem, jak walczył Aleksander Wielki i Juliusz Cezar, i Nebukadnezar w Babilonie, i powiem ci, że żaden z nich nie zrobiłby tak durnego błędu, jak ten. Popatrz, co ten człowiek zrobił!

Razem przelatujemy nad polem bitwy i widzimy to, co jest faktem: Washington rozrzucił swoją armię na obie strony kanału, który stoi otworem dla floty królewskiej. Niektórzy z Amerykanów zabawnie otaczają miejsce zwane Brooklyn'em, podczas gdy na Manhattanie pozostała armia czyni to samo. Są błogo nieświadomi niebezpieczeństwa, które czai się na kilka mil na południe. Tam, tuż za wyspą Staten, widzimy armadę brytyjskich okrętów wojennych z przygotowanymi działami, a flagi Św. Jerzego powiewają na wietrze. Gdy tylko te wspaniałe maszyny wojenne opuszczą żagle i posuną w kierunku rzeki Wschodniej, Washington będzie dowodził rozdwojoną armią. Ta wojna może się skończyć już o zachodzie słońca!

– W porządku – mówię, gromadząc w biegu myśli. – Ruszajmy. Zrób wszystko, co potrafisz, aby wprowadzić zamieszanie wśród Amerykanów na Manhattanie. Ja zrobię to samo na wyspie Long. Generał Howe na pewno dostrzeże tę możliwość, podobnie, jak i admirał dowodzący flotą. Na słodkie miłosierdzie, Zedronnie, śpieszmy się! Jest to szansa, na którą czekaliśmy.

Pomocnicy Zedronna, którzy go noszą, pędzą z nim, ja zaś szybko udaję się na wyspę Long, gdzie przekonuję się, że generał Howe rzeczywiście rozpoznał swoją dobrą fortunę. Pędząc do przodu, jego siły angażują do walki źle przygotowanych Amerykanów, podczas gdy brytyjskie okręty wojenne ożywają: żagle opadają na masztach, zostają podniesione kotwice i wciągnięte na pokład, a flota dostojnie posuwa się do przodu jak procesja, stopniowo przesuwając się w przestrzeń wodną pomiędzy siłami Washingtona. Gdy wpłyną w górę rzeki, rozdzielając armię amerykańską, zwycięstwo będzie całkowite.

Ale nagle coś dzieje się nie tak! Okręty zmieniają kierunek i poddają się wiatrowi, płynąc z dziwnym łopotaniem żagli na wietrze, i jak się wydaje, wcale się nie zbliżają. Jeden z moich niskich rangą posłańców zauważa tego przyczynę.

– Mistrzu, to przez ten wiatr. Zmienił się. Dmucha wzdłuż rzeki, prosto w dzioby statków. Tym sposobem nie mogą tu dopłynąć.

– Barshok! – wrzeszczę. – Potrzeba nam wiatru! Udaj się tam i zrób coś!

– Próbowałem już – mówi, ponuro potrząsając głową. – Wszystko dobrze biegło. Czy widziałeś, jak opuścili żagle? To mój podmuch zaczął ich popychać. Z łatwością poradziliby sobie z dotarciem do rzeki. Ale Strażnicy cofnęli mnie i sam Ramitan zajął się wiatrem. Przykro mi. Niczego nie mogę tu zrobić.

W beznadziei patrzymy, jak wiatr wzmaga się, przeciwstawiając się najlepszym umiejętnościom żeglarskim, jakie zdobyli Brytyjczycy, a w końcu flota poddaje się, zatrzymana w zatoce jakąś niewidzialną mocą, której nikt nie może opanować. W tym czasie Washington uświadamia sobie swój błąd, i jak tylko nastaje ciemność, rozpoczyna ewakuować swoją armię z wyspy Long. W jakiś sposób Brytyjczycy, tak bliscy przecież linii Amerykanów, nie uważają tego odwrotu, który trwa godzinami, niedostrzeżony tej letniej nocy. Jednak zadanie przewiezienia na ląd stały tak wielu żołnierzy tylko kilkoma łodziami, okazuje się niemożliwe w ciągu godzin nocnych, gdy więc nastaje poranek, dość liczna część armii nadal znajduje się na wyspie, czekając na transport przez rzekę Wschodnią. Brytyjczycy więc wciąż jeszcze mogą wygrać wojnę!

W tej właśnie chwili podchodzi do mnie Torshon, który jest bardzo niezadowolony. Jego stanowisko znajdowało się na linii frontu, wykrzyczał więc złe wieści, że nagle pojawiła się mgła.

– Przyszła nie wiadomo skąd, Mistrzu. Tak nagle, jakby z ziemi. I to w samolato! Brytyjczycy nie mogą dostrzec, jak Amerykanie się przenoszą!

– Mgła przyszła z Królestwa Światła, Thorshonie – odpowiadam i patrzę pośpiesznie, jak unosi się nad rzeką, maskując wycofywanie się wojska Washingtona. W mroku możemy jedynie usłyszeć stałe uderzanie wiosł, ciche odgłosy kroków, okazjonalnie wydawane rozkazy, wypowiedane cichym głosem, aby nie zdemaskować się przez wrogiem. I tak to trwa, aż ostatnia łódź odpływa od brzegu wyspy i zabiera na pokład ostatniego pasażera, samego generała Washingtona, który czekał, aż cała jego armia znajdzie się bezpiecznie na drugim brzegu.

Rewolucja amerykańska przetrwała dzięki pomocy wojowników Czwartego Wymiaru, którzy zamaskowali błąd Washingtona za pomocą prostych narzędzi wiatru i mgły! A my, przeklinając, wycofujemy się wraz z armią kontynentalną, obrabowani ze zwycięstwa, które wydawało się tak bliskie, że niemal mogliśmy je poczuć.

Rok: 1783

Wojna zbliża się ku końcowi. Generał Burgoyne musiał poddać się ze swoją armią w pobliżu Saratogi. Ta spektakularna strata przyciągnęła do wojny Francję, która stanęła po stronie Amerykanów. Teraz więc rewolucja staje się wojną światową: walczą wojska brytyjskie i niemieckie, amerykańskie i francuskie – mówi się nawet, że pewne oddziały holenderskie także uczestniczyły w wojnie. To nie jest mniejsza potyczka; ten konflikt zmieni historię ludzkości.

W tym czasie generał Cornwallis popełnił błąd, który kosztować go będzie utratę całej armii.

– Mistrzu, nie mogę uwierzyć w to, co zrobił Cornwallis – mówi Trior. – Zgromadził swoje siły w pobliżu miejsca o nazwie Yorktown w Wirginii. Rozłożyli się tam wzdłuż rzeki, z flotą francuską stojącą u brzegu i Washingtonem ostrzeliwującym go od frontu. To mógł być koniec wojny.

Pędzę do Yorktown z prędkością osiągającą dziesięć stopni i przybywam właśnie o czasie, aby to zobaczyć. Okręty brytyjskie na próżno próbują dopomóc swoim przyjacielom, którzy zostali otoczeni przy rzece. Są zatrzymane przy zatoce przez flotę francuską, w której znajduje się okręt *de Grasse*, najpotężniejszy z okrętów wojennych.

Przylapani na odosobnionej plaży nad rzeką York, z armią Washingtona z przodu, a flotą francuską z tyłu, Cornwallis patrzy na swoje siły, które maleją wraz z przybliżaniem się jesieni. Sytuacja jest beznadziejna i pewnego październikowego dnia poddaje się. Jego żołnierze wychodzą z okopów, odkładają na stos swoje muszkiety, a orkiestra regimentu odgrywa znaną melodię o tytule, który zdaje się być niezwykle odpowiedni. Ma ona tytuł: „Świat wywrócił się do góry nogami”.

Wojna się skończyła. Nowy naród, który nazywa siebie Stanami Zjednoczonymi Ameryki, rozpocznie teraz niezwykle rozwój przepowiedziany przez Jana. A moje problemy rozpoczną się na serio.

Dzień sądu

Rok: 1844

Jest jesień; po drugiej stronie niebieskoszarej wstążki rzeki Potomac leży miasto Waszyngton, a jego przypadkowo rozmieszczone domy, porozrzucane tu i tam, w świetle zanikającego październikowego słońca, przypominają nieuporządkowaną pracę. W pewnej odległości, w krajobrazie maluje się gmach kapitolu, mgliście widoczny pod swoją kopułą – to miejsce, gdzie mężczyźni w wysokich kapeluszach pompatycznie wchodzą i wychodzą, i gdzie, zapierające dech w piersi, przemówienia wysławiają chwałę młodej republiki. Często odwiedzam te odbijające echo pomieszczenia kongresu, aby słuchać oracji polityków, ale dzisiejszego popołudnia mam na myśli coś jeszcze – pomieszczenie, gdzieś zupełnie indziej. Jest to ogromne miejsce zgromadzeń, wybrukowane klejnotami, gdzie olbrzymi tron wznosi się pod słupem światła, a aniołowie śpiewają.

Dzisiaj moje myśli wędrują do Królestwa Światła.

Dawno temu prorok Daniel napisał przepowiednię, która w końcu ma się wypełnić. Król Persji miał wydać dekret pozwalający na odbudowę narodowości Hebrajczyków po ich niewoli babilońskiej, zaś w 2300 lat po tym wydarzeniu kosmiczna wojna ma wejść w swoje końcowe stadium. Pamiętam te słowa, tak dobrze, jakby napisane zostały wczoraj: „*Aż do dwóch tysięcy trzystu dni; wtedy świątynia zostanie oczyszczona*”.

Tak, jak wskazał mi na to Meldibon, owych 2300 dni w rzeczywistości przeopowiadają okres 2300 lat, po upływie których świątynia zostanie „oczyszczona” – jasne odniesienie do hebrajskiego Dnia Pojednania, który sam w sobie jest symbolem sądu ostatecznego. Tak więc to prorocstwo Daniela faktycznie przepowiada rok, w którym rozpocznie się sąd, i to właśnie wypełnia moje myśli dzisiejszego popołudnia. Dwadzieścia trzy wieki nadeszły i przeminęły, licząc od roku, gdy władca Persji, Artarkserkses wydał dekret o odbudowie Jerozolimy, a według Żydów, właśnie ten dzień jest owym Yom Kippur – dniem, w którym świątynia zostanie oczyszczona.

Yom Kippur; 1844: wreszcie symbolika przemienia się w rzeczywistość. Rozpoczął się sąd w Królestwie Światłości.

Sąd: jest to jedno z ostatnich wydarzeń tej wojny, coś, co ma się wydarzyć tuż przed powrotem mojego kosmicznego Wroga. Już u zarania historii ludzkości prorok Enoch przepowiadał dzień, w którym powróci Król, w towarzystwie obłoków lśniących istot, aby „dokonać sądu”, – co mi mówi, że kiedy przyjdzie,

musi to już się stać po części śledczej procesy. Sam Mesjasz powiedział, że kiedy przyjdzie, aby uratować swoich naśladowców, będzie już wiedział o tym, którzy to są. Kilka rzeczy jest teraz dla mnie jaśniejszych, na przykład fakt, że sąd oddzieli moich naśladowców od Jego, będzie miał miejsce tuż przed zakończeniem całej wojny.

I teraz to się dzieje! Niemal potrafię sobie wyobrazić w myślach Królestwo Światła. Wielka sala zgromadzeń połyskuje światłem. W towarzystwie gwardii honorowej wkracza Narodzony przy brzmieniu fanfar i dźwiękach hymnu i przyłącza się do Starodawnego na tronie. Stojący w szyku, w szeregach i echałonach wojownicy kosmosu oczekują na najuroczystsze wydarzenie od czasów Golgoty. A potem wychodzi od tronu rozkaz: „Aniołowie Boży, przygotujcie się. Zasiadł sąd. *Otwórzcie księgi.*”

Teraz przeglądane będą sprawozdania z życia ludzi. Na wadze, która jest wystarczająco wielka, aby pomieścić wszystko, co dany człowiek kiedykolwiek pomyślał lub uczynił, zostaną zważone życie albo śmierć, wieczne życie, albo wieczna noc. A gdy sąd się skończy, Królestwo będzie gotowe do zakończenia wojny. Wkrótce potem spodziewam się, że zobaczę przybywającego mego Przeciwnika.

Jak długo trwać będzie sąd? Nawet nie potrafię odgadnąć. Trzeba osądzić miliardy ludzi żyjących na przestrzeni wszystkich wieków i każdemu poświęcone będzie tyle czasu, jakby poza nim, nikt nigdy nie żył. Z perspektywy Ziemi taki proces może zająć całe eony czasu, jednak umysł Boga nie porusza się z prędkością ziemską, jestem więc boleśnie świadomy tego, że sąd może minąć bardzo szybko. Tak więc ten jesienny dzień ma wielkie znaczenie: od tej chwili każdy już żyje tylko na zapożyczonym czasie.

A przecież nikt tutaj, na tym świecie, nie wydaje się być tego świadomy! Każde zajęte jest, jak zwykle, swoimi sprawami, obdarzając uśmiechem i uściskiem dłoni tych, którzy potrafią im dopomóc, a wyrażając pięścią w kierunku tych, którzy nie potrafią, i nikt nie zdaje sobie z tego spraw, że gdzieś tam, w głębokiej przestrzeni kosmicznej, w miejscu zwanym Królestwem Światła, ich życie zostało położone na szali wagi z czystego światła. Dzieci „fruną” do domów ze szkół, gospodynie targują się z gospodarzami o cenę produktów na rynkach, złotnicy cierpliwie przemieniają arkusze metalu w eleganckie zawoje, gaworząc z beznymi patronami na temat pogody. *Rozpoczął się sąd i nikt o tym nie wie!*

Niedaleko stąd, prom przybił do błotnistego brzegu rzeki, a furman z ładunkiem beczek, przeklinając, zmusza swoje muły do pracy. Ładunek jest ciężki, zdecydowanie za ciężki, jak na wychudzone zwierzęta, które naprężają się w skórzanej uprzęży i starają się wykonać rozkaz swego pana, a korpulentny woźnica, który dodaje jeszcze 150 kg do ciężaru, jaki muszą ciągnąć, wcale nie myśli o zmniejszeniu tego i ułatwieniu im zadania, gdy wspinają się na brzeg rzeki. Zamiast tego, chłoszcze je splecionym skórzanym warkoczem i obsypuje

przekleństwami, aż wyczerpane zwierzęta w końcu ruszają z miejsca piszcząc cy wóz w górę, w kierunku całego dnia pracy, który trwać dla nich będzie aż do zmierzchu.

W tym też czasie w salach Kongresu, beztroska chciwość przybiera inną formę. Politycy w wykrochmalonych koszulach ze spinkami z brylantów ze złością bronią swoich praw utrzymujących niewolnictwo i szemrzą zakamuflowane groźby odejścia z Unii, jeśli tylko inny abolicjonista otworzy swoją gębę.

Nikt nie wie! Dla pewności, jest parę osób na różnych miejscach, które studiowały prorocstwo Daniela, ale i oni błędnie je interpretowali. Myśląc, że przepowiada ono datę powrotu Mesjasza, oczekują, że przyjdzie dzisiaj – ale jest to błąd, o którym się przekonają, gdy zegar wybije północ.

Nikt nie wie, co się dzieje – ani jedna dusza na ziemi!

I to właśnie mnie pociesza w dzisiejsze poważne popołudnie. To prawda, że umysł Wszechmogącego działa szybko, ale nie ludzi. *On* może dość wcześnie zakończyć sąd i postawić kres wojnie, ale ludzie, których ma zamiar wyratować nie są w najmniejszym stopniu gotowi na spotkanie się z Nim, gdy przyjdzie. W księdze Objawienia Jan mówi, że Jego lud będzie „przestrzegał przykazań Bożych”. Ale nikt z ludzi nie pasuje do tego opisu. Przestrzegać przykazań? Oni próbowali napisać je na nowo! Szabat, z jego cotygodniową pamiątką stworzenia jest tylko odległym wspomnieniem, teraz więc plan Zedronna gładko przechodzi do jego drugiej fazy: w Anglii, pewien charyzmatyczny naturalista, Karol Darwin, właśnie naszkicował teorię, którą nazwał ewolucją organiczną, podczas gdy pewien młody intelektualista z Prus, Karol Marx, właśnie w tym roku zakończył pisanie serii rękopisów, które mogą doprowadzić do globalnej rewolucji Zedronna!

Nikt nie wie: na tyle, na ile mogę to stwierdzić, wojna będzie trwać.

Rok: 1858

W Ameryce dzieje się coś alarmującego, a wszystko zaczęło się jakiś rok lub dwa lata temu. Zupełnie nieoczekiwanie i bez widocznego powodu, ludzie zaczęli rozwijać swój zapał do spraw religijnych. Zaczęło się, co bardzo dziwi, wśród kupców w większych miastach, którzy spontanicznie zaczęli rezygnować ze swoich przerw na obiad, prowadząc w tym czasie popołudniowe spotkania modlitewne w swoich biurach, a dziwactwo to rozprzestrzeniło się po całym wschodnim wybrzeżu Ameryki. Teraz „przeskoczyło” to nawet Atlantyk i skaziło także Europę, zaś zdumieni komentatorzy zaczęli nazywać to „ożywieniem z milionem nawróceń”. Bardzo mnie to martwi. Oto jesteśmy, zaledwie dwaście lat po rozpoczęciu się sądu, a Królestwo zaczyna zalewać świat świeżą mocą przypominającą Pięćdziesiątnicę. Istnienie kaznodziejów nawołujących do ożywienia, to jedna rzecz, a co innego, gdy ma to miejsce w biurach zazwyczaj chciwych biznesmenów, którzy rezygnują z posiłku po to, aby się modlić.

W tym czasie, kiedy rozpoczęło się to ożywienie, moi zwiadowcy przybyli z niepokojącym raportem.

– Mistrzu, coś niezwykłego dzieje się na korytarzu łączącym Ziemię z Królestwem. Jest tam ogromny przypływ aniołów, większy, niż widzieliśmy to od wieków, a jest ich tyle, jakby Królestwo miało zamiar przeprowadzić jakąś wielką ofensywę. Co się dzieje?

Dokonanie dodawania „dwa plus dwa” nie zajęło mi wcale wiele czasu: globalne ożywienie, napływ aniołów, to wszystko mogło oznaczać tylko jedno – Narodzony przygotowuje wszystko na swój powrót! Ruszyłem do działania.

– To może być to – powiedziałem zgromadzonej załodze – ostatnie ruchy w wojnie zaczęły się. Mówiąc szczerze, nie sądziłem, że Królestwo może być gotowe tak szybko, ale najwidoczniej tak się stało. Teraz musimy walczyć o własne życie. Jestem otwarty na sugestie. Czy ktoś ma jakiś plan?

Jako pierwszy odezwał się Ramsor.

– Mistrzu, sądzę, że może jest sposób. Pamiętasz, że według proroctwa Jana, Ameryka odgrywa główną rolę w wydarzeniach czasów końca. Możemy to powstrzymać przez doprowadzenie do podziału tego narodu na dwie części. Dojrzeli już do wojny domowej. Być może nastał czas, aby do niej doprowadzić.

Wpatrywałem się przez chwilę w tego bystrego, młodego współpracownika, który już osiągnął więcej, niż większość moich starszych doradców, a następnie popatrzyłem na Harshaka, którego pusta twarz nie zdradzała nawet śladu istnienia jakiegoś procesu myślowego.

– Harshak – powiedziałem, zaskakując tłustego i sennego starszego doradcę, zajmującego piątą pozycję po mojej prawej stronie. – Jakie ty masz pomysły, jeśli w ogóle myślisz?

Mrugnął oczami, niedowierzając, jakby nie potrafił pogodzić się z faktem, że poprosiłem go, aby coś uczynił. Powtórzyłem pytanie.

– Tak – odezwał się w końcu. – Widzę pewne światło w tym, co powiedział Ramsor.

– Bardzo dobrze – odpowiedziałem. – W takim razie zamień się miejscami z Ramsorem. On zajmie twoje miejsce, jako starszy doradca. W tej armii nie ma nagród za rady z drugiej ręki. Ci, którzy mają rady, będą awansowali. Ci, którzy nic nie wnoszą, zostaną zdegradowani. Od teraz będziesz młodszym doradcą, i bądź zadowolony, że nadal znajdujesz się w sztabie generalnym.

W radzie panowała śmiertelna cisza, podczas gdy Harshak ze skrzepowaniem ustąpił ze swojej prestiżowej pozycji Ramsorowi, a potem zapory się otworzyły. Współpracownicy, których nie słyszałem już od lat, nagle zaczęły podawać pomysły, tak, że plan bardzo szybko został ułożony. Jednym z pojawiających się kandydatów w wyborach prezydenckich w roku 1860 był wychudzony, samozwańczy polityk, o nazwisku Abraham Lincoln, ognisty abolicjonista, którego

samo nazwisko wywoływało iskry na południu. Gdyby on został wybrany, moglibyśmy zauważyć, że te iskry rozniecą ogień eksplozji.

Czas: lipiec 1863

Ogień wojny domowej szaleje po całej Ameryce i jej zmagania dochodzą do szczytu. Pod ukryciem gór, generał Lee poprowadził swoją armię daleko na północ, w głąb terytorium Unii, gdzie obecnie zajmuje pozycje pomiędzy Waszyngtonem D.C., a pozostałą częścią kraju, i jeśli odniesie sukces, jeśli uda mu się sprawić armii Unii jeszcze jedną krwawą porażkę – wojna może się skończyć. Przywódcy Południa, znajdujący się w Richmond, już mogą poczuć smak zwycięstwa.

Stosując wielką ostrożność, prowadzi swoją armię na wschód, wzdłuż cichej drogi wiejskiej, a obecnie pojawia się w pobliżu małego miasteczka, skupiska dachów i wieżyczek, które obejmują koniec grzbietów górskich. Miasteczko nazywa się Gettysburg.

Politycy w Waszyngtonie dostają niemal apopleksji. Gdzieś na północnym zachodzie zbuntowana armia szaleje po terytorium Unii, jedynie na kilka dni marszu od stolicy. Usztywnione koszule na wzgórzach kapitolu zmiękły z potu, a powietrze wypełniło się bolesnym nawoływaniem do działania. Obecnie generał Meade prowadzi swoją armię w kierunku małej wioski w Pensynwalii, gdzie widziano siły generała Lee.

I w końcu dochodzi do spotkania się armii, do eksplozji strzelaniny, która urasta aż do mocnego, przesywającego powietrze ryku; to sto tysięcy muszkietów, które wyjąc, skierowały na siebie piekło gorącego ognia ołowiu, podczas gdy artyleria i rakiety wypełniają niebo piskiem metalu. Wspaniałe wyglądający w swoich togach oficerskich, mężczyźni, na grzbietach galopujących koni, wymachują mieczami i poganiają swoich ludzi do szaleńczego działania, dopóki jakaś skorupa gruzu nie rozerwie ich ciała i zrzuci ich z siodła. Zdumione zaciekłością walki wojska federalne wycofują się, poszukując schronienia w górach, na wschód od miasta, a generał Lee wkracza teraz na to miejsce, przygotowany, by zaoferować swojej armii ołtarz marzeń.

Na południowym brzegu po stronie armii federalnej znajdują się dwa skaliste wzgórza, utrzymywane jedynie przez garstkę żołnierzy, i gdy zaczyna świtać i stawać się jasno i gorąco, wawozy u podnóża tych wzgórz wypełniają się wojskiem konfederatów, przyciągniętych tu olśniewającym pomysłem zajścia od tyłu wojsk Unii. Od razu widzę, do czego może to doprowadzić: jeśli plan ten powiedzie się konfederatom, będą mogli otoczyć armię Unii i wojna zakończy się już o zachodzie! Wzywam Marcolitha.

– To może być koniec wojny! – Wrzeszczę, starając się o to, by być słyszonym ponad wrzawą walki. – Popatrz na linię wojsk Unii: kończą się tam, na tym

małym skalistym wzniesieniu. Jeśli Lee z powodzeniem otoczy je od prawej, konfederaci będą mogli przejść od tyłu armii federalnej i zaatakować ich od tyłu. Udaj się tam i zobacz, co możesz zrobić!

Pędzi tam, ciągnąc za sobą grupkę pomocników, ja zaś przyglądam się z wielką uwagą. Od rozpoczęcia się sądu minęło już ponad dwadzieścia lat. Jestem przekonany, że Narodzony próbował już powrócić, i jeśli nie podzielimy tego kraju, nic nie powstrzyma już prorocтва z Objawienia przed jego wypełnieniem się. To, co dzieje się dzisiaj, jest niezwykle ważnym momentem, czekam więc z niecierpliwością, chcąc ujrzeć ubranych na szaro żołnierzy na szczycie. Wkrótce odzywa się szum muszkietów na górze i zdaję sobie sprawę, że armie spotkały się.

Jednak nie brzmi to tak, jak powinno! Jeśli, jak wiem z informacji moich zwiadowców, wzgórze jest bronione jedynie przez niewielu żołnierzy, to dlaczego walka trwa z takim uporem? Wysyłam posłańca do Marcolitha, a on powraca szybko.

– Wszystko idzie nieco wolniej niż się spodziewaliśmy, – sprawozdaje posłaniec – ale generał Marcolith mówi, abyś się nie martwił. Armia federalna nie wytrzyma. Istnieje zbyt wielka przewaga. Mówi, że jest rzeczą matematycznie niemożliwą, aby konfederaci przegrali tę walkę.

Odczuwam, że moja twarz przybiera wyraz nieprzyjemnego grymasu. *Matematycznie niemożliwe?* Marcolith, mój przyjacielu, byłeś generałem już przez tysiąclecia, więc powinienes wiedzieć lepiej. Same liczby nie decydują o walce. Jest jeszcze coś nieokreślonego, co nazywamy duchem. To emanuje od samego dowódcy i kształtuje cały przebieg walki. *Jestem ciekaw:* kto tam za to odpowiada? Kto dowodzi tymi ubranymi na niebiesko żołnierzami? Jakiego ma ducha?

Decyduję, że udam się sam, aby to zobaczyć i jestem zaszokowany tym, co widzę. Oficer, który broni tego pola nie jest nawet zawodowym żołnierzem – jest to młodociany pułkownik o nazwisku Chamberlain, który w swoim cywilnym życiu był nauczycielem religii! *Ale chwileczkę:* wbrew przewadze liczebnej, może to być właśnie to, czego potrzeba. On może być nowicjuszem w walce, ale jest także nieskrępowany naukami książkowymi swoich braci oficerów, którzy są wyszkoleni na wojnie i którzy tym sposobem mają już ustalone pomysły, co jest możliwe, a czego się nie da zrobić. Jego doświadczenie nie pochodzi z West Point, ale z walk opisanych w Biblii, gdzie garstka ludzi posiadających ducha często pokonywała tysiące. Czy coś takiego wydarzy się i dzisiaj? Czy Chamberlain posiada takiego ducha?

Raz po raz przyplływ szarych mundurów zalewa jego pozycję, ale jego linia frontu nie przerywa się. Jego ludzie strzelają tak długo, póki wystarcza im amunicji, wciąż więc utrzymują się, a gdy już nie ma niczego do strzelania, wydaje dziwny rozkaz: *założyć bagnety i atakować!* I wtedy stało się: niewielka grupa żołnierzy w niebieskich mundurach wylewa wyzywająco w dół wzgórze, a zasko-

czeni konfederaci ustępują w zamieszaniu. Cała walka zmienia się, a atakujący nagle stają się atakowani. Odrzucają swoją broń i unoszą ręce, zaś ich całe szwadrony prowadzone są na szczyt wzgórza, jako jeńcy wojenni. Nadzieja otoczenia armii Unitów znika wraz z ostatnim wystrzałem ich muszkietu. Po czymś takim dochodzę do ponurego wniosku, że przemija nadzieja na zwycięstwo Konfederatów, bowiem pozostała część armii Unitów jest tak mocno rozstawiona, że kolejny atak stałby się samobójstwem.

Jednak tego najwidoczniej generał Lee już nie dostrzegął. Mistrzowski taktyk, prawdopodobnie najwspanialszy generał, jakiego kiedykolwiek wydała Ameryka, tym razem popełnia straszliwy błąd. Kolejnego dnia, myśląc, że będzie mógł przerwać środek armii federalnej, wysłała śmietankę swojego dowództwa w kierunku otwartego, piekielnego ognia, wprost w zęby artylerii i wystrzałów muszkietów, które rozbijają ich szeregi. Przez krótką chwilę dywizja generała Picketta usiłuje desperacko przejąć pozycje Unii, szybko jednak zostają odrzuceni i pokonani przy ciężkich stratach. Kiedyś potężna armia Północnej Wirginii powraca na południe drogą, która prawdopodobnie poprowadzi do przegranej wojny.

Spotykamy się wieczorem, gdy obozowe ogniska zaczynają płonąć po obu stronach tej zdeprawowanej, niczyjej ziemi, z której nadal unoszą się krzyki rannych, a ja rozpoczynam spotkanie mojego sztabu.

– Tak więc, generałowie, – mówię – macie przed sobą przypowieść, czego nie należy robić w walce. Południe może tego jeszcze nie wiedzieć, ale przegrali wojnę. Jak sądzę, możemy zapomnieć o rozbiciu Unii.

Ugrzęźliśmy przy tym narodzie zwanym Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Ten naród przetrwa. Istotnie, według proroctwa Jana, stanie się on najsilniejszą mocą, jaką kiedykolwiek znano w historii i w jakiś sposób Wszechmogący wykorzysta go w końcowych chwilach naszej kosmicznej wojny. Decyduję, że wrzawę Wojny Domowej pozostawię za sobą: koniec i tak jest już tylko prostym wnioskiem, a ja mam znacznie ważniejsze rzeczy do przemyślenia. Daleko na zachodzie znajduje się kolorowy port o nazwie San Francisco, udam się tam, gdzie będę z dala od hałasu walki i znajdę trochę czasu na przemyślenia. Moja wojna także się kończy i muszę przygotować swoją ostatnią wielką strategię.

Wydłużające się cienie

Czas: styczeń 1904

Moje siły są obecnie zaangażowane w szerokie działanie. Od rozpoczęcia sądu minęło już ponad pół wieku, a nadal nie ma śladu po Narodzonym, chociaż odczuwałem Jego obecność przynajmniej dwa razy, jakby próbował powrócić. W tym czasie dostrzegam wypełnienie się przepowiedni, jaką raz podali mi moi pomocnicy.

Około 200 lat temu zapytałem moich doradców, w jakim kierunku zmierza technika ludzka, a oni ostrzegli mnie przed punktem zbieżnym, czasem, gdy odkrycia naukowe skupią się i ludzie staną się niebezpieczni także i dla nas. Przypuszczali, że pojawi się to na początku dwudziestego wieku. I mieli rację.

Ze szczytu Twin Peaks obserwuję rozciągające się pode mną miasto San Francisco. Zatoka jest pełna życia – wiele tu promów, statków pocztowych, parowców oceanicznych, a nawet okazjonalnie przycumował statek w pełnej gali, którego „skrzydła” wyciągnięte są na wietrze, jak starego ducha, który nie wie, że jego czas już minął. Zaś w mieście cała sieć drutów rozciągniętych na sterczących słupach dostarcza energię elektryczną z odległych zapór, podczas gdy inne druty przenoszą głos ludzki przy pomocy telefonu, a od czasu do czasu prychnanie i smród samochodów wskazuje na nadejście jeszcze innej rewolucji. W ubiegłym roku na plaży północnej Karoliny, dwóch majsterkowiczów, mechaników rowerowych, niemal że zdołało latać. Wszystko, co przepowiedzieli moi doradcy, dzieje się.

Jednak martwi mnie najbardziej to, że w ten mglisty, zimowy dzień, ludzkość dokonała kolejnego odkrycia, a jakby na ironię, to jeden z moich oddziałów doprowadził ich do tego. Było to około roku temu, gdy Kemitar, jeden z najbystrzejszych wojowników-naukowców przyszedł do mnie z wyrazem twarzy wskazującym na zadowolenie z siebie i pewne oczekiwania.

– Mistrzu, dokonywałeś promocji wojowników na wyższe stanowiska, jeśli wykazywali inicjatywę, a chcę, abyś wiedział, co udało mi się właśnie osiągnąć. Jest w Zurychu pewien błyskotliwy, młody naukowiec, którego umysł przekracza wielokrotnie przeciętność. Nazywa się Albert Einstein, a gdy go odkryłem, zdałem sobie sprawę, że nareszcie znalazłem człowieka, którego chciałem odnaleźć już od wieków – to ktoś, kto będzie mógł wiele zrozumieć.

Popatrzyłem na niego przymrużając oczy, bowiem specjalnością Kemitara jest jądro atomu. We wszystkich innych sprawach jest całkowitym osłem – nawet nie potrafi znaleźć drogi na apel jego echelonu – ale wie znacznie lepiej niż kto-

kolwiek inny w mojej armii o rozmiarach mocy, jaka ukryta jest w sercu materii. Czy to możliwe, aby ten gorliwiec, w swoich niezdarnych staraniach uzyskania jakiejś promocji, podzielił się pewnymi informacjami z jakimś człowiekiem?

Ale tak, wyszło na to, że tak zrobił. Myśląc, że będę zadowolony ze wszystkiego, co przyczyni się do samowyniszczenia człowieka, pozostawił wszędzie wskazówki – wskazówki, którym młody Einstein nie musiał się przyglądać dwa razy, aby je zestawić.

– Kemitarze – odrzekłem – czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co ludzie mogą zrobić, posiadając taką wiedzę? Mogą spalić całą ziemię.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– A co, z tego, jeśli ją spalą? – odpowiedział w końcu. – Przecież Ziemia nie jest najważniejszą planetą.

Aż trudno mi było cokolwiek powiedzieć. Jak to możliwe, aby istniał ktoś o tak zawężonym myśleniu? W końcu opanowałem się i odpowiedziałem.

– Najważniejsza, czy nie tak ważna, ale jest ona *wszystkim, co mamy*. Czy rozumiesz mnie?

Ścisnęło go w gardle, popatrzył nagle, jakby go olśniło, a następnie przytaknął.

– W porządku – kontynuowałem. – Popatrzmy, czy będziemy mogli powstrzymać zniszczenia. A tak dokładnie, to jakie wskazówki mu pozostawiłeś? Co on wie?

– Właśnie względność – obie zasady, zarówno szczegółowa, jak i ogólna. Jeszcze ich nie rozumie, ale pracuje nad obiema, jest jednak na tyle bystry, aby objąć wszystko. O, i ma jeszcze wzór.

– Wzór, czego?

– Tylko ten podstawowy, Mistrzu. $E=mc^2$.

Nigdy tak głośno nie wrzeszczałem.

– Strażnicy! – ryknąłem. – Zabierzcie go stąd! Wszystko mi jedno, co z nim zrobicie, ale upewnijcie się, że już nigdy obok mnie się nie znajdzie.

Szybko dokonałem sam pewnych wyliczeń. Jeśli Einstein wie już teraz ile energii znajduje się w jądrze i jeśli opublikował już swoją teorię, ludzie wkrótce zaczną poszukiwać sposobu, w jaki przełożą teorię w praktykę. Znajdą rudę uranu, nauczą się, jak poddać procesowi przemian jego izotopy i osiągnąć ich wystarczająco dużo, dla uzyskania masy krytycznej. Największym wyzwaniem będzie stworzenie przyrządu do wyzwolenia tej mocy, czegoś, co ich technologia jeszcze nie potrafi, ale zważywszy na tempo ich rozwoju, przypuszczam, że mogą to wszystko osiągnąć za jakieś trzydzieści lub czterdzieści lat. A potem?

A wtedy lepiej będzie rozglądać się za jakąś inną planetą!

Luty, 1916

Europa unosi się na morzu krwi. Tak daleko, jak okiem sięgnąć, po całym krajobrazie, gdzie roślinność dawno już została wyniszczona, ciągną się nierówne

rowy. Działa, (niektóre z nich są tak wielkie, że przewozi się je wagonami kolejowymi) wyrzucają pociski na polu walki – a czasami aż poza horyzont, a mała broń wywołuje głuchotę młodych ludzi. W tej scenerii, tak obcej, że przypominającej drugą stronę księżycy, charczą i rżęzą dziwne maszyny, którym odbija się ogniem i dymem z wieżyczek uczepionych do ich pancernych ścian. Ludzkie wynalazki faktycznie potrafią poruszyć fortami (chodzi o *czołgi*, bo tak nazywają je ludzie), poruszają się dzięki prostym silnikom na ropę, a poprzez ciasne szczeliny spoceni członkowie załogi patrzą z ukosa i strzelają do wszystkiego, co się porusza.

Niewiele porusza się już w ogóle. Wszyscy nauczyli się, że wystawienie głowy ponad parapet, oznacza proszenie się o kulę prosto w twarz. Tak więc kucają w błocie, gdzie deszczówka powoli rozmiękcza ich stopy, a przesiadywanie w rowach nawet podczas posiłków staje się bolesne. Europa zamknęła się w wojnie, której końca nie widać. Wojna jest brutalna, ale konieczna, bowiem stanowi ona preludium ostatniej fazy planu Zedronna.

Koronnym osiągnięciem Zedronna ma być rewolucja – ogromna, globalna rewolucja, której planem jest podporządkowanie całego świata jednej władzy i uczynienie ateizmu dogmatem całego globu. Jednak osiągnięcie tego okazało się trudne. Ci, którzy akceptują komunizm, zazwyczaj są bardzo biedni i nie mają niczego do stracenia, albo też są to modni intelektualisci, pochodzący z bogatych rodzin, którzy zmęczeni się już posiadaniem wszystkiego w nadmiarze, w wyniku czego polityczny plan Zedronna ugrzązł w bagnie bezradności klasy średniej. Dlatego dwadzieścia lat temu zaproponował rozwiązanie.

– Mistrzu, czas na to, aby potrząsnąć tym wszystkim. Obrabujmy ich ze wszystkiego, co mają – z ich domów, synów, z ich pokoju myśli. Rozerwijmy Europę na strzępy i pozostawmy ludzi tak rozczarowanych, że będą dojrzały do rewolucji. Wtedy będziemy mogli odbudować wszystko według mojego systemu.

Zdając sobie sprawę, że ten pomysł był pewnym wariantem jego starego podstępu, jaki wykorzystał w Rzymie, dałem mu pozwolenie, a on przystąpił do działania. Wkrótce kraje europejskie, kierując się wzajemnymi podejrzeniami, zaczęły tworzyć przymierza zbrojne. („Cudownie!” – wykrzyknął. – „Teraz trzeba nam tylko podrażnić jeden kraj, a wszyscy ruszą do wojny!”) Był wtedy wielki wyścig zbrojeń, zaczęto budować wielkie okręty wojenne, organizowano armie, a pewnego dnia, latem 1914 roku, jedna iskra rozpałała cały ogień. Wojna doprowadziła Rosję do krawędzi ruiny, a Zedronn uważa, że jego rewolucja rozpocznie się właśnie tam.

Rok: 1927

Dokładnie tak, jak spodziewał się Zedronn, Rosja przeszła na komunizm, a w tym czasie zmiany nastąpiły także i na zachodzie. Pojawił się nowy rodzaj młodzieży. Rozczarowani rzezią minionej wojny, znaleźli radość w paleniu pa-

pierosów, kokieterii i przemycie alkoholu, a wiele z tych przyjemności łączyło się z jazdą samochodami. Niemal z dnia na dzień zauważyliśmy zmianę standardów postępowania, wiele z nich pochodzi z fascynacji nowym wynalazkiem, nazywanym kinem. Okazało się, że ma ono bardzo silny wpływ na ludzi: prowokuje ich do niemal dziecięcej formy imitowania tego, co oglądają, i w tym gorliwie przeganiają się wzajemnie, próbując naśladować to trzepotanie i paplaninę ze srebrnego ekranu, co częstokroć przynosi tylko nasze przesłanie o przyradkowej miłości i pijaną przemoc.

Jednakże, oprócz Rosji, rewolucja Zedronna ugrzęzła! Coś wydarzyło się podczas wojny światowej, czego nie przewidzieliśmy. Wojna stworzyła ogromne zapotrzebowanie na broń, coś, czego w wielkich ilościach dostarczała Ameryka, wynikiem czego był wzrost rozwijającego się przemysłu, co uczyniło Amerykę niesamowicie bogatą. Podobnie też stało się z Francją i Anglią, zaś bogaci ludzie nie mieli zainteresowania w tego typu rządach, jakie zaplanował Zedronn. W istocie, doszliśmy do martwego punktu, który może trwać w nieskończoność.

Pewnego dnia Barshok przyszedł do mnie z planem.

– Mistrzu, – powiedział – z tego nie ma wyjścia, potrzebna nam będzie kolejna wojna. Poprzednia wywołała rewolucję, ale to nie wystarcza na dokończenie dzieła, bo nie była ona wystarczająco duża. Kolejna wojna powinna dać wszystkim, także Ameryce, taki wycisk, że ludzie zaczną wołać o światowy porządek i gotowi będą próbować wszystkiego, także rewolucji politycznej. Jeśli jesteś zainteresowany, mam plan.

Natychmiast odwołałem wszelkie spotkania, wezwałem najwyższe dowództwo i pozwoliłem Barshokowi mówić.

– Wojownicy, moja strategia koncentruje się na Niemczech. Warunki pokoju, jakie wymuszono na tym kraju, zrujnowały go, pozostawiając jego system monetarny w całkowitym rozkładzie. Ludzie są zdemoralizowani i zgorzkniali, gotowi do tego, by próbować niemal wszystkiego, nawet dyktatury, a jak sądzę moim siłom udało się znaleźć takiego człowieka.

– Kto to taki? – zapytał młodszy rangą doradca z brygady Zoratreena.

– Teraz jeszcze jest tylko ambitnym marzycielem, posiada jednak wszelkie potrzebne nam kwalifikacje. Jest wielomówny, charyzmatyczny, przepelniony oburzeniem z powodu losu Niemiec, a gdy jest sam, głośno wyraża swoje myśli. Słuchaliśmy jego zboliałych monologów i są one przesączone tym, co w większości odczuwa teraz wielu Niemców. Jak sądzę, może mu się udać podporządkować sobie cały kraj.

– A co potem?

– Tu właśnie wszystko zaczyna być interesujące. Ten człowiek jest rasistą. Z całą pasją nienawidzi Żydów, jeśli więc zdobędzie władzę, Niemcy prawdopodobnie dokonają rzeczy, które spowodują, że cały świat cofnie się z przerażenia. Jeśli trafne są moje analizy, poprowadzi on Niemcy do faszystowskiego

szafu, który roznieci najgorszą wojnę, jaka znana jest w historii, wojnę, która prawdopodobnie obejmie obie półkule ziemi, zaś w czasie, gdy świat będzie walczył o życie, opierając się faszyzmowi, wiele będzie ludzi, którzy chętnie zgodzą się na spróbowanie komunizmu. Podczas minionej wojny rozpoczęła się rewolucja. Jak sądzę, kolejna dokończy dzieła.

– A co z Ameryką? – zapytał Zoratreen. – W poprzedniej wojnie włączyli się i wprowadzili wiele zamętu w jej skutkach.

– Do tego dojdę zaraz – odpowiedział Barshok. – Przed kolejną wojną musimy coś zrobić z jej potęgą przemysłową. Mam propozycję, abyśmy popsuli ich ekonomię.

– W jaki sposób?

– Będziemy musieli doprowadzić do większego krachu ekonomicznego. Zatrzymamy tym sposobem ich zdolności produkcyjne.

– Czy będziesz mógł się tym zająć?

– Oczywiście. Mam całą brygadę wojowników, którzy specjalizują się tylko w sabotażu ekonomicznym. Będzie to największym zadaniem, jakiego się kiedykolwiek podejmowaliśmy, ale możemy to zrobić.

– Dobrze – odpowiedziałem. – Kiedy będziesz w stanie stworzyć tę depresję?

– Zobaczymy – wymamrotał, przez moment zwracając się po radę do Garshova, jego głównego ekonomisty. – W roku 1927, i będziemy musieli ponownie zorganizować pewne cykle... Mistrzu, powiedzmy, że dokładnie na jesieni 1929 roku.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedziałem. Ten człowiek, którego znalazłeś, jak się nazywa?

– Nazywa siebie Adolf Hitler.

Rok: 1940

Znowu rozwścieczyły się po Europie ognie wojny, ale nie w takim powolnym tempie, jak było to podczas pierwszej Wojny Światowej. Teraz niebo wypełniło się samolotami przewożącymi bomby, które potrafią zniszczyć całą dzielnicę miasta, a samoloty zabierają ich tysiące. Kraje padają jedne po drugich: Czechosłowacja, Austria, Polska. Bomby spadają na Anglię niczym grad jesienny, a rzeź jest tak straszna, że trudno ją opisać. *Jednak Brytania trzyma się!*

Hitler to próżny człowiek, daje się prowadzić do błędów, które wyniszczają go samego, a to jest moim celem. Moją intencją jest wykorzystanie go w celu zdziesiątkowania zachodniej Europy i pozostawienia jej bezbronnej, a kiedy nastanie odpowiedni czas, omamię niemieckiego dyktatora, aby dokonał samobójczego ataku na Rosję. Jest to bardzo elegancka gra, godna najlepszego mistrza w szachach: jeśli rzeczy potoczą się zgodnie z moim planem, Hitler wykrwawi się na śmierć na rosyjskim polu bitwy, po czym armie radzieckie mogą skierować się na zachód, przynosząc całej Europie komunizm.

Oczywiście, nieznanym czynnikiem jest Ameryka. Jak dotąd nie zaangażowała się jeszcze w wojnę.

Grudzień, 1942

Znajduję się w Waszyngtonie, gdzie obecnie mam swoją kwaterę dowodzenia, a jest właśnie okres świąt, zwany Christmas. W całej stolicy znajdują się dekoracje świąteczne, jednak panuje ponury nastrój i niewiele jest miejsc, gdzie celebruje się święta. Ameryka znajduje się w stanie wojny, wciągnięta w nią poprzez incydent na Hawajach, a cała atmosfera wydaje się sztywna z powodu tej ponurej determinacji.

– Mistrzu – odzywa się jakiś niepewny głos, jakby obawiał się mojej odpowiedzi. Od czasu tragedii na Pearl Harbor stałem się spięty i poirytowany, obciążony straszliwym przeczuciem, że cała idea wojny zaproponowana przez Barshoka teraz obróci się przeciwko mnie, często więc rozładowuję swoje zakłopotanie na kimkolwiek, kto znajdzie się w zasięgu mojej ręki.

Odwracam się zagniewany, aby zobaczyć, kto to i przekonuję się, że jest to główny posłaniec Marcolitha. Cokolwiek chce powiedzieć, musi to być ważne.

– Mistrzu, czy możesz udać się od razu? Jesteś bardzo potrzebny Marcolithowi. Coś dzieje się w Chicago.

Popołudnie

Udałem się tam szybko. Nie jest łatwo wzburzyć Marcolitha, tak więc nagle wezwanie, jakie przysłał wskazuje, że znajduje się w prawdziwym kłopotcie, nie odgadłem jednak jak wielkim. Znalazłem go na stadionie lekkoatletycznym należącym do kompleksu uniwersytetu w Chicago. Nie tracił czasu, aby przejść od razu do sedna.

– Mistrzu, wydaje mi się, że Amerykanie stoją na krawędzi wynalezienia bomby nuklearnej. Popatrz, co odnaleźliśmy. Tutaj, schowani pod powierzchnią tego stadionu lekkoatletycznego, prowadzą doświadczenia z łańcuchową reakcją.

– Słodka śmierci, rzeczywiście! – odrzekłem. – Odczuwam niski stopień energii, jaka się wydobywa. Jak długo to tak trwa?

– Nie wiemy tego na pewno – odpowiedział. – Dopiero co znaleźliśmy się tutaj. Ale wygląda na to, że taką broń będą mieli w rękach w niedalekiej przyszłości.

– Jak sądzisz, kiedy?

– No, nie mogłem zapytać o to Kemitara, ponieważ nikt nie wie, gdzie on się znajduje, ale moim zdaniem za jakieś dwa lub trzy lata.

– A co z innymi narodami? – zapytałem. – Czy inni są też tak blisko? Wiem, że Niemcy pracowali nad bombą, podobnie jak i Rosjanie. A Niemcy obecnie

planują pocisk trzystopniowy, który będzie mógł dotrzeć do Nowego Yorku. Czy jest jakaś szansa na to, że wygrają ten bieg?

– Jest to możliwe, ale mało prawdopodobne. Mają najlepsze na ziemi rakie-ty, ale ich program nuklearny niemal wykoleił się podczas ataków bombowych. Gdy chodzi o Rosję, to możesz o tym zapomnieć. Może pewnego dnia, ale jak na teraz, są jeszcze za Amerykanami. Mistrzu, ta wojna kończy się, pozostawiając świat z dominacją Ameryki.

– Tak, – odpowiedziałem powoli – tak, jak przepowiedziała to księga Objawienia, *wspominając o ogniu na niebie!*

Czas: sierpień 1945

Hiroszima jest malowniczym miastem, ze starożytnym zamkiem nad zatoką, która wychodzi na Morze Japońskie. Założona w szesnastym wieku, stanowi centrum militarne, na którego ulicach człowiek odczuwa nastrój dawnych samurajów, ale tego dnia nie wydaje się, aby coś szwankowało. Dla pewności, da się słyszeć warkot samolotów lecących bardzo wysoko, jednak ciekawskie oko, unosząc się ku górze, potrafi dostrzec tylko dwa, być może trzy z nich – zapewne nie aż tak wiele, aby miał to być atak bombowy. Najprawdopodobniej są to tylko szpiedzy, którzy poszukują przyszłych celów, albo jakieś samoloty do badania pogody, które zwykle latają w pojedynkę. Nic nie wskazuje na natychmiastową przyczynę troski, miasto więc prowadzi nad rzeką swoją zwykłą działalność, jakby pluskając się w ciepłym słonecznym poranku.

Przez wiele godzin wędrowaliśmy za amerykańskim samolotem, który wystartował z wyspy Tinian, a teraz kieruje się na kanały rzeki Ota, (podobne do sieci żył), nad którą rozpościera się Hiroszima. W luku bombowca B-29 znajduje się duży cylinder z zawartością kilku funtów wzbogaconego uranu. Niedawno temu technicy weszli do luku i dokonali połączenia obwodów, obecnie więc bomba cierpliwie wisi na swoim miejscu, czekając na swój moment w historii.

Daleko poniżej samolotu hałas silników przyciąga uwagę Japończyków, którzy nauczyli się już żyć z tymi powietrznymi intruzami i wiedzą, jak rozumieć określone dźwięki. Jednak ten dźwięk jest dziwny, jakby samolot starał się przyspieszać, by móc uciec przed czymś. Czy to możliwe, że ktoś za nim podąża – jacyś synowie cesarstwa, którzy nadal jeszcze mają dostęp do Mitsubishi i jakichś resztek paliwa? Jeśli tak, *banzai!* Byłoby to pewną wyczekiwaną ulgą, gdyby móc zobaczyć, jak znowu jeden z nich pada.

Wkrótce jednak samolot zatacza krąg, a z jego odległego luku długi kawałek metalu leniwie skręca ku ziemi, z trajektorią, która rozpoczyna się w miarę poziomo, a następnie zmienia ułożenie do całkowitego pionu. Kierując swój tępy nos do ziemi, zaczyna przyspieszać aż do osiągnięcia swej ostatecznej prędkości i nagle, gdy tak wolno opada z wysokości około 650 metrów, całe niebo

wyduje się ulegać eksplozji. Pojawia się znikający błysk światła oraz tak wysoka temperatura, która powoduje topienie się farby i skóry na wiele kilometrów dalej, a następnie ryk jakby tysięcy piekieł. Podmuch powietrza jest tak niesamowity, że kamienne kolumny budynku kliniki medycznej Shima zostają wbite na około 10 metrów w ziemię.

Podczas detonacji bomby wydaje mi się, jakbym widział retrospekcję pierwszego dnia stworzenia. To tak jakby światło zaczęło się łuszczyć, ze wszystkimi swymi odcieniami, kalejdoskop kolorów i energii, który nagle przemienia poranne niebo w sztuczne południe. Wszystko gotuje się, jak sądzę, w jakieś kilka sekund, a następnie fala uderza w ziemię. Parują budynki z ich betonowymi i stalowymi ścianami, znikając całkowicie w tym piekle gorąca i ciśnienia, a kula ognia tworzy nieziemską windę do nieba, kolumnę nadzwyczajnie nagrzanego powietrza, która nagle unosi się ku górze, na wysokość ponad 10.000 metrów, niosąc z sobą resztki zniszczonego miasta. Ciągnięte mocą najwyższego gorąca, kurz i dym unoszą się tym dziwnym kominem, aż gdzieś wysoko w stratosferze stygną w końcu i uspokajają, tworząc swego rodzaju filizankę, która wyglądała tak dziwnie jakby grzyb.

Na ziemi wszędzie wybuchają pożary, a gdy ryk przemija, cały hałas zamienia się w krzyk rozpaczony, który przenosi się całymi kilometrami. Zaś w samym mieście, na przestrzeni wielu kilometrów kwadratowych znikło wszystko.

Widzieliśmy ogień na niebie.

Rok: 1952

Zaraz po drugiej wojnie światowej staraliśmy się tak bardzo, jak to tylko było możliwe, aby siły komunistyczne dotarły na zachód, pochłaniając całe połacie Europy. Oczywiście było to znacznym ograniczeniem planu Zedronna-Barshoka, według którego cała Europa miała zostać tym objęta, było to jednak lepsze niż nic, a Sowietci działali z całym zapalem, pragnąc poszerzyć swoje wielkie imperium. Komunizm przyjęty został także przez Chiny, podobnie też przez Koreę Północną, a mam także swoich agentów, którzy działają na południu Azji, w centralnej Afryce, a nawet na zachodniej półkuli. W tym roku Sowietci wynaleźli swoją własną broń jądrową, co oznacza, że Ameryka już więcej nie jest monopolistą zastraszania bombą wodorową.

Barshok, Zedronn i Harmor, a każdy z nich, to wyśmienity technik, poświęcili wiele czasu w samym Związku Radzieckim, a w ubiegłym tygodniu Barshok przedstawił mi najnowsze informacje.

– Mistrzu, Sowietci są dobrzy, niesamowicie sprytni. Mało kiedy współpracowałem z ludźmi, którzy posiadają taką sztukę zbrojenia się. Wywiera to straszliwe skutki na ich środowisku, ponieważ każdy zaoszczędzony grosz wydają na rozwój zbrojenia, a w wyniku tego wszystko inne cierpi. Dziurawe rury wypusz-

czają ropę do ziemi, połowa zbiorów pszenicy ucieka z powodu przestarzałych wagonów kolejowych, ludzie tłoczą się w małych mieszkankach miejskich, gdzie kilka rodzin musi często dzielić jedną kuchnię, jednak program zbrojeniowy Sowietów posuwa się do przodu. Ich wielkim projektem są teraz rakiety. Pracują nad tym dniami i nocami, i przepowiadam, że za trzy lub cztery lata będą mogli wynieść satelitę na orbitę okołoziemską. Jak sądzę, prawdopodobnie dokonają tego jeszcze przed Amerykanami!

– Bardzo dobrze – odpowiadam. – Pamiętaj o tym, że naszym celem jest zjednoczenie świata. Prawdopodobnie trzeba będzie siły, aby to osiągnąć, jest więc bardzo ważne, aby stali się bardzo mocni. Nie pozwól im o tym zapomnieć.

Ale, zadumałem się, gdy wyszedł Barshok, *wciąż bardzo wątpię, jaki przyniesie to wynik*. To prawda, że Sowietci pokazują nam znamienne osiągnięcia, jednak ten wysiłek jest dla ich ekonomii straszliwym nadwężeniem, a nic nie wskazuje, aby miało się coś zmienić. Nawet jeśli włożą swoje rezerwy finansowe w tę egzotyczną broń, Ameryka może z nimi współzawodniczyć, produkując własną super-broń. Krwawa wojna w Korei – wielki błąd, jaki popełniliśmy, myśląc o zdobyciu łatwego terytorium na dalekim wschodzie – rozbudziła Amerykę, tak więc teraz ponownie się zbroi, budując broń nuklearną w tysiącach. Mówiąc gorzką prawdę, ten świat zmierza w kierunku takiego martwego punktu, jak pierwsza wojna światowa, podczas której potężne siły blokowały się wzajemnie w niekończącym impasie. Jeśli tak się stanie, plan Zedronna padnie.

Podaję decyzję: w najbliższej przyszłości będziemy kontynuować obecną strategię, z całą agresją starając się szerzyć państwo ateizmu przy pomocy brutalnej siły. Narobimy wiele szumu, wypełnimy powietrze ohydnyymi groźbami nuklearnej zagłady i będziemy zajmować każde terytorium, gdzie tylko się da. Ale jeśli po upływie trzech lub czterech dekad nie odniesiemy sukcesu, pozostawimy naszych sowieckich sprzymierzeńców i spróbujemy czegoś innego, bo inaczej przegramy. Ekonomia radziecka nie jest wystarczająco silna, aby przetrwać bez końca tak silne napięcia. Jeśli Amerykanie wytrzymają taką presję, komunizm spotka się z ekonomicznym dniem sądnym, a jego wielkie imperium upadnie jak domek z kart.

Rok: 1984

Przez jakiś czas wyglądało na to, że uda nam się odnieść sukces. Napływ komunizmu wydawał się na każdym miejscu nie do odparcia – w Afryce, Azji, a nawet na zachodniej półkuli. W południowo-wschodniej Azji wręczyliśmy Ameryce pierwszą militarną porażkę. Jednak nie było to wystarczające i pewnego dnia, na początku tego roku przyszedł do mnie Marconides z przygnębiającym sprawozdaniem.

– Mistrzu, wszystkie nasze przewidywania wskazują na upadek radzieckiego systemu. Pod zewnętrznym przykryciem i przechwałkami, istnieje naród, któ-

ry znajduje się w krańcowym rozkładzie. Ich ekonomia rozpada się. Przeglądaliśmy dane wielokrotnie, próbując ułożyć różne przypuszczenia i nawet nasze najbardziej optymistyczne scenariusze prowadzą do takiego samego wniosku: Związek Radziecki upadnie. Roztrzaska się z powodu stresu.

– Kiedy? – zapytałem. – Ile mamy jeszcze czasu?

– Pięć, a może dziesięć lat. Nie więcej.

To, z czego nie zdawał sobie sprawy Marconides, to fakt, że nasze zestresowane imperium miało jeszcze zrobić ostatni krok w kierunku zapomnienia. Ten fakt znany był tylko Meldibonowi, Ramsorowi i mnie, ale zatrzymaliśmy to, jako bardzo strzeżoną tajemnicę, bowiem objawiało to tylko, jak bardzo głęboko wchodzimy w ostatnie fazy prorocstwa księgi Objawienia. Tylko na kilka miesięcy wcześniej utworzono tajne przymierze pomiędzy wielką siłą świecką i wielkim kościołem, którego intencją było zniszczenie komunizmu we wschodniej Europie.

Wszystko zaczęło się od spotkania. W czerwcu 1982 roku prezydent Stanów Zjednoczonych i papież mieli prywatne spotkanie w Watykanie, podczas którego utworzyli tajne przymierze, którego zadaniem było wykorzenienie komunizmu z Europy. Wykorzystując swoich ludzi, swoje umiejętności oraz odpowiednio dobre warunki już poza Żelazną Kurtyną, Watykan mógł doprowadzić od środka do destabilizacji reżim komunistyczny. Ameryka natomiast dostarczyć miała pieniądze i odpowiedni sprzęt. Skomplikowany sprzęt techniczny warty miliony dolarów miał zostać przerzucony do Europy Wschodniej – maszyny drukarskie, komputery, a nawet w pełni wyposażone stacje radiowe – a przy ich pomocy, przywódcy ruchu oporu wzniecą bunt przeciwko marksistowskiemu reżimowi. W tym samym czasie Ameryka będzie podtrzymywała naciski militarne i polityczne z zewnątrz. Był to klasyczny ruch militarny, który miał na celu dokuczanie blokowi państw wschodnich, biorąc je jakby w szczęki zespolonego ataku.

Było jednak jeszcze jedno oblicze tego planu, wypełnione wielkimi intrygami. Podczas gdy komunizm niszczony był od środka, Ameryka rozpoczęła program, którego zadaniem było niszczenie sowieckiej ekonomii. Przyjęto formę wyścigu zbrojeń – wyścigu, który z założenia miał być tak drogi, że starając się w nim uczestniczyć, sowieci zaryzykowałiby całkowitą klęskę ekonomiczną.

Owo tajne spotkanie w Rzymie miało miejsce w czerwcu 1982 roku. A dokładnie dziewięć miesięcy później, wiosną 1983 roku, prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił ustanowienie całkowicie nowej strategii obronnej, która została zaplanowana, jak powiedział, aby ochronić Amerykę przed nadlatującymi pociskami. Stało się to znane jako Wojny Gwiazdne i zmusiło Kreml do straszliwej decyzji: jeśli nie uda im się dotrzymać kroku w wyścigu zbrojeń, zaryzykują utratę statusu super mocnego państwa. Jeśli zaś im się to uda, będą wywierali zbyt wielki nacisk na ekonomię, która i tak już jest za bardzo opodatkowana.

Wojownicy – powiedziałem pewnego dnia, podczas ogólnego spotkania dowódców, – obserwujcie z uwagą tę walkę. Jest to jedna z najdoskonalszych strategii, jakie kiedykolwiek widziałem. Wymyślając ją, papież dokonał czegoś, czego zazdrościliby mu Napoleon i Aleksander: zmusił swojego wroga do walki na terenie, którego sobie nie wybrał. To, co zobaczycie, będzie w rzeczywistości trzecią wojną światową, ale nie będzie się ona toczyła przy pomocy bomb i kul. Raczej przy pomocy dolarów i rubli. *I nasi rosyjscy przyjaciele przegrają.* Jest to absolutnie doskonałe!

Wiosna, 1991

Wydarzenie, które w końcu zniszczyło Związek Radziecki, miało miejsce poza jego granicami. W istocie, tak zdominowało ono wiadomości, że przez jakiś czas wydarzenia w Rosji zostały przyćmione, gdy cały świat oglądał, oniemiały, na widok pierwszego przykładu takiej hiper-wojny.

W sierpniu ubiegłego roku amerykańskie satelity przelatujące nad Bliskim Wschodem zauważyły kolumny z ciężkim sprzętem, poruszające się z Bagdadu, w kierunku granicy z Kuwejtem. W kilka godzin ogromne obiektywy zauważyły znaki rozpoznawcze na pojazdach wojskowych kierujących się na południe: Dywizja Bagdadzka, Dywizja Medyny, Dywizja Tawakalna, Dywizja Hammurabiego – wszystkie elitarne jednostki najlepszego dowództwa armii Iraku, zmierzające w kierunku granicy sąsiadującego kraju. Istniała tylko jedna interpretacja: satelity zarejestrowały pierwsze chwile zbrojnej inwazji. A jednak, co jest całkowicie dziwne, minął czas i niewiele się stało, co uczyniłoby tę inwazję rzeczywistością.

– Zupełnie tego nie rozumiem, Mistrzu – powiedział do mnie Zedronn. – Spójrz, dokąd zmierzają te czołgi. Jeśli zajmą Kuwejt, znajdą się w pozycji umożliwiającej im zagrabienie jednej czwartej światowych zasobów ropy, a zachód niewiele czyni, aby to wszystko zatrzymać. Dlaczego?

Sam musiałem dobrze to przemyśleć, bowiem i dla mnie nie miało to żadnego sensu, a potem, pewnego poranku, po szczególnie ciężkiej nocy, przez kilka chwil relaksu nagle stało się dla mnie jasne.

– Posłaniec! – krzyknąłem. – Wezwij Marcolitha, Marconidesa, Zedronna i Ramsora. O, i jeszcze Barshoka.

– Czy powiedziałeś, Mistrzu, Harshaka?

– Nie, Harshak, to stary głupiec. Powiedziałem Barshoka, i to szybko.

W kilka minut wszyscy zgromadzili się, przedstawiłem im więc, co moim zdaniem działo się na świecie.

– Właśnie miała miejsce inwazja Kuwejtu – powiedziałem. – O tym bez wątpienia już wiecie. Powstaje tylko pytanie, dlaczego dopuszczono, aby posunęło się to wszystko tak daleko bez jakiegokolwiek protestu, i jak sądzę, mam odpowiedź.

Istnieją potężne moce, które pchają ten świat w kierunku globalizacji. Świat już jest w dużym stopniu zunifikowany pod względem ekonomicznym, a teraz, w trakcie wojny, w której będą musieli wziąć udział, będą zmuszeni do połączenia się jeszcze militarnie. Ze względu na tę inwazję, każdy znajduje się w kłacie, co oznacza, że nie mają żadnych szans, jeśli nie będą współpracować. Japonia, klasyczny pacyfista, ma zapasów ropy naftowej jedynie na sześćdziesiąt dni. Nie może sobie pozwolić na to, by przesiedzieć tę wojnę. W podobny sposób i Europa uzależniona jest od ropy z Bliskiego Wschodu, podobnie też Ameryka. A jak wielki będzie stres, jaki pojawi się na Kremlu, przekracza wszelkie oczekiwania: aby zadowolić zachód, o którego względy zabiegają, przywódcy radzieccy będą zmuszeni zignorować własne zobowiązania i opuścić starego sprzymierzeńca – Irak. Związek Radziecki rozpadnie się w tym roku. Czy tego nie widzicie? *Cały glob zmuszony będzie do wspólnego działania jak jedna jednostka.* A teraz pozwólcie, że wam powiem, co moim zdaniem przyniesie przyszłość. Będziemy oglądali wojnę, która zaćmi nasze zmysły. Gdy się zakończy, wszyscy będą zmuszeni myśleć o wspólnym działaniu dla rozwiązania wspólnych problemów. Moi przyjaciele, jesteśmy bardzo bliscy wypełnienia się przepowiedni z księgi Objawienia, zapowiadającej powstanie zjednoczonego świata i musimy być gotowi, aby przejąć panowanie nad tą chwilą. Będzie to nasza ostatnia szansa.

Apokalipsa

Odczuwam, że nadchodzi: koniec jest bardzo bliski.

Nagle poziom energii podnosi się, a ziemia trzeszczy, nie mogąc sobie poradzić z takim stresem, który spowodował częste i bardzo gwałtowne wstrząsy, odbierające odwagę moim naśladowcom. Nie potrafię odgadnąć, którego dnia to się stanie, ale będzie to wkrótce – *bardzo blisko*.

Jakże szybko wszystko się rozpadło! Przez kilka lat po wojnie w Zatoce Perskiej dało się odczuć wielką euforię. Sojusznicy odnieśli spektakularne zwycięstwo, które sprawiło, że cały świat podziwiał tę zmyślną broń, zaś Amerykanie delektowali się swoim triumfem, wykorzystując Zatokę Perską jak kąpiel, w której starali się zmyć wspomnienia po Wietnamie. Tego roku, nieco później, rozpadł się Związek Radziecki, tak, jak to przewidywałem; była więc kolejna runda pełnych euforii wystąpień polityków przed mikrofonem. Amerykanom obiecano obniżenie podatków, „pokojową dywidendę”, zbalansowany budżet i bezpieczniejsze ulice, ale nic z tego nie zrealizowano. W istocie, wkrótce po tym, dumne siły amerykańskie zostały upokorzone w Somalii, a świat został zmuszony do oglądania bezsilności powykręcanych rąk, gdy ludobójstwo powróciło do Europy. Krok po kroku, a ów obiecany lepszy świat stał się jedynie śmiesznym marzeniem.

To pośmiewisko przeniosło się w głąb Ameryki, gdzie zwykli obywatele patrzyli bezradnie, jak wylatywały w powietrze publiczne budynki i jak następował rozkład środowiska. Coś działo się nie tak i nikt nie wiedział do końca co, oprócz faktu, że człowiek po prostu nie czuł się już więcej bezpiecznie, gdy wychodził z domu poza drzwi wejściowe. Było to podobne do straszliwego uczucia, jakby ktoś stał w miejscu, gdzie ma uderzyć piorun; ludzie odczuwali, że nastął czas ucisku. Coś działo się nie tak, jak powinno i każdy o tym wiedział.

Patrząc wstecz, to, co pchnęło ten świat poza krawędź bezpieczeństwa, to wydarzenie we Frankfurcie. W nieznanym sposobie grupa terrorystów przedostała się na strzeżony teren centrum badawczego i porwała trzy fiołki trucizny tak silnej, że jeden z terrorystów, wlokący się z tyłu, zmarł w kilka minut po nieumiejętnym obchodzeniu się z towarem. Pozostali dwaj zbiegli, znikając w dzikim pędzie po Europie, ostatecznie lądując w Niemczech. Dlaczego wybrali sobie Frankfurt, tego nikt nigdy się nie dowie, ale to właśnie tam rozrzucili swój śmiertelny ładunek, i chociaż sami musieli umrzeć jako pierwsi, krzycząc z bólu, pociągnęli za sobą całe tysiące. Wkrótce po tym, wydarzenia stały się jeszcze gorsze: po tygodniu ponownie wybuchła wojna na Bliskim Wschodzie, a następnie upadła amerykańska giełda.

Nadchodziło to już od pewnego czasu; przemijająca hossa, sytuacja, która od dawna domagała się korekty, spowodowała, że gdy pogorszyła się sytuacja międzynarodowa, notowania giełdowe spadły z dnia na dzień. Przez szereg dni z rzędu giełdę zamykano zaraz po jej otwarciu, a gdy notowania gwałtownie spadły, wstrzymano jej operacje, zaś nieszczęście wyszło poza Amerykę. Upadły także rynki azjatyckie, podobnie jak i w Europie, a skutki tego szybko dały się odczuć zwykłemu robotnikowi. Nie mogąc dalej gromadzić kapitału, korporacje zaczęły zamykać swą działalność, a recesja zmieniła się w straszliwą depresję. Następnie pojawiły się nieściągalne długi.

Trzeba było zapłacić znaczną część amerykańskich rezerw i zabezpieczeń rządowych, jednak Kongres stanął w martwym punkcie złośliwej debaty politycznej nad tym, kogo oskarżyć za taką depresję, zaś termin płatności nadszedł i minął – przyblokowany przez niekończące się wywody. Nikt się nie poddawał, a Stany Zjednoczone odmówiły spłaty długów.

W tym momencie świat wpadł w szal. Z dnia na dzień, szaleni inwestorzy podbili cenę złota do 2000 dolarów za uncję, a rozgniewany tłum stanął szeregiem przed urzędnikami opieki społecznej, domagając się zapomogi, która już i tak była opóźniona. W jednym z takich miejsc ktoś zasugerował: jeśli nie mogą wypłacić nam zasiłków w pieniądzu, w takim razie dlaczego nie odebrać ich w towarach? Strażnicy – którzy sami nie odbierali od trzech dni wynagrodzenia – łatwo dali się pokonać i tłum wtargnął do budynku, zabierając wszystko, co wyglądało na wartościowe. Komputery, aparaty telefoniczne, meble biurowe znikły w kilka minut, budynek stanął w płomieniach, a jego księgi i dokumenty znalazły się na ulicach. Za dnia to samo wydarzyło się także na innym miejscu.

I po tym wszystkim ludzie zaczęli ponownie poszukiwać religii. Stojąc wobec anarchii i depresji, wszyscy zaczęli mówić o powrocie do dobrych, starych dni moralności i cnót. W parkach publicznych i w stojących beczynnie fabrykach, spontanicznie zaczęto organizować spotkania modlitewne, a w narodzie aż dudniło od rozmów na temat narodowej ugody religijnej. W tym samym czasie ktoś zasugerował, aby wspomnieć stary podstęp Konstantyna prowadzący do jedności: dlaczego nie rozpocząć od czegoś namacalnego – czegoś takiego, jak narodowy dzień modlitwy?

Idea rozprzestrzeniła się jak iskra na polu z sianem. Kościoły były przepełnione po brzegi, a pastory i księża parafialni mieli wkrótce plan drugiego, a potem trzeciego nabożeństwa w każdą niedzielę, aby pomieścić tłumy. Po kilku tygodniach, udział w tym religijnym ferworze zaczęto zrównywać z patriotyzmem, pojawiały się więc naciski, aby wszystko to wpisać w prawo, aby zrobić coś, co zagwarantuje narodową, moralną jedność.

Aż w końcu nieoczekiwany kryzys na Bliskim Wschodzie doprowadził sprawy do punktu kulminacyjnego. Walki tliły się przez szereg tygodni, po każdej

stronie przelewała się krew, a w odwecie bito się znowu, aż pewnego ranka, o samym świcie, czujnik satelity wypatrzył wystrzeloną raketę. Przez szereg minut śledzono ją, a potem stała się celem prób przechwycenia jej, gdy wystrzelono pociski typu Patriot, aby ją sprowadzić na ziemię. Nadlatujące jednak pociski, wyposażone w najnowsze zdobycze techniki obronnej, zaczęły wyrzucać wabiki, przechytrzając raketę i kierując ją na niewłaściwe cele, a w wyniku tego głowica przedostała się – niosąc pełny ładunek substancji chemicznych. Miasto, nad którym doszło do detonacji, wkrótce zostało nasycone ludźmi martwymi i umierającymi.

W kilka minut dowódcy wojskowi przygotowywali kolejny pocisk, który chcieli wysłać w odwecie – pocisk średniego zasięgu z ładunkiem nuklearnym. Faktycznie odliczanie już rozpoczęto, gdy świat, który oglądał to wszystko w wiadomościach telewizyjnych, stał się świadkiem jednego z najodważniejszych czynów, jakie widziano w historii ludzkości. Premier kraju, który wystrzelił broń chemiczną podał poprzez radio ostrzeżenie, że jego naród jest także uzbrojony w broń nuklearną.

– Wiem, że rozpoczęliście swoje odliczanie – ogłosił, a jego przesłanie tłumaczone było równocześnie podczas nadawania. – Zanim wystrzelicie pocisk, musicie dwukrotnie to przemyśleć. Dokładnie za trzy minuty pocisk nuklearny będzie eksplodował na wysokości 80 mil nad Morzem Śródziemnym. Mógł zostać skierowany na was. Nie uczyniliśmy tego. Jednak mamy kolejny pocisk gotowy do wystrzelenia. Skierowany jest na waszą stolicę i dotrze tam: pokazaliśmy już wam, że potrafimy poradzić sobie z waszą obroną. Proponuję więc natychmiastowe zaprzestanie ognia i negocjacje. Jeśli zgodzicie się, przerwiemy nasze odliczanie. Jeśli nie, jesteśmy przygotowani na wymianę nuklearnego ataku. Daję wam pięć minut na odpowiedź, zanim wystrzelimy drugi pocisk. To wszystko.

Dokładnie w tym momencie, wysoko nad Bliskim Wschodem, widoczny był błysk od Istanbula, aż do Aleksandrii. Bomba nuklearna została zdetonowana tak, jak obiecano.

Świat znalazł się nagle na krawędzi samego piekła, nad otchłanią, która wysłała zapach śmierci planety, a efekt, jaki wywarło to na ludziach był przeogromny. W ONZ ludzie tłoczyli się przed mównicą, aby przyspieszyć światowy dzień modlitwy. W parlamentach w całej Europie brzmiały wezwania do tego, aby pójść za przykładem reform religijnych Ameryki – coś, o czym mówiło się wkrótce nawet w krajach niechrześcijańskich.

„To, co nas dzieli, jest daleko mniej ważne od tego, co nas łączy” – stwierdzono w jednym z artykułów redakcyjnych gazety w Azji. – „Na zachodzie ludzie dobrej woli poświęcają dzień każdego tygodnia, by pokazać swoją troskę o przyszłość ludzkości. Czy nie możemy uczynić podobnie?” Pewna umiarkowana gazeta na Bliskim Wschodzie stwierdziła, że „Ludzie wszędzie poszukują Boga.

Dlaczego nie mielibyśmy się do nich przyłączyć? Od dawna twierdziliśmy, że Jezus był dobrym człowiekiem i prorokiem. Czy nie będzie to służyło najgłębszym dogmatom naszej wiary, że upowszechnimy sprawę wraz z tymi, którzy są ludźmi dobrej woli?”

Legislacja nastąpiła najpierw w Ameryce. W obu izbach Kongresu przedstawiono projekty ustaw o obowiązkowym dniu modlitw. „*Obowiązkowy?*” – kwestionował jeden z senatorów, który był profesorem prawa konstytucyjnego, zanim został wybrany do Senatu. „Tak!” – zagrmiał kolega. – „Jeśli nie potrafimy się razem modlić, to możemy razem umrzeć. Jestem już zmęczony patrzeniem na nasz naród narażony na tak zwane prawa cywilne!”

Prawo, które wyłoniło się za sprawą zdecydowanej większości w obu izbach Kongresu, zostało nazwane Aktem Narodowego Dnia Modlitwy. Zakazywało ono jakiegokolwiek sprzedaży w niedzielę, jak też jakiegokolwiek niepotrzebnego zatrudniania, zakazywało też pracy nawet na własnym terenie. Rozpoczyna się ono następującymi słowami: „Niniejszym Kongres stwierdza, że Stany Zjednoczone Ameryki są krajem chrześcijańskim i w związku z tym...”

Tuż za Aktem Narodowego Dnia Modlitwy wydano Narodowy Akt Naprawy. Amerykańska infrastruktura znajdowała się bowiem w bardzo kiepskim stanie. Znaki na autostradach były zapaćkane graffiti i przez to stały się niemal nieczytelne; po kryzysie finansowym parki publiczne stały zarośnięte całkowicie i dlatego ktoś zasugerował, że każdy, kto zdrowy, powinien przez jeden dzień w tygodniu obowiązkowo pracować nad publiczną rekonstrukcją, polegającą na odnowie parków i czyszczeniu miejsc publicznych. Jakby obietnica powrotu do lepszego dnia wczorajszego, pomysł natychmiast wszedł w modę i szybko przedstawiono propozycję aktu prawnego: „Po wejściu w życie tego aktu, każdy zdolny obywatel będzie proszony, aby w każdą sobotę zgłosił się tam, gdzie skieruje go Komisja do Spraw Rekonstrukcji, w celu wykonania takiej pracy, jaka będzie potrzebna dla odbudowania lub usprawnienia prac publicznych. Niespełnienie obowiązku stawienia się, uznane będzie za sprzeciwienie się społeczeństwu i karane grzywną 500 dolarów lub aresztem na dziesięć dni”.

I tak pojawił się kryzys konstytucyjny.

– Jeśli pan pozwoli, zapytam, co z tymi, którzy nadal wierzą, że sobota jest biblijnym dniem odpoczynku? – dopytywał się profesor prawa, który został senatorem, gdy kolega znajdujący się przy mikrofonie odczytał ten fragment ustawy. – Nadal jest ich dość wielu i ostatnio mówiono o nich w wiadomościach. Domaga się pan od nich pracy w dzień, który świętują. W jaki sposób uniknie pan pogwałcenia sformułowania Pierwszej Poprawki? Od czasów Rogera Williama, aż do teraz, nadzwyczajną rzeczą w Ameryce była wolność religijna. Co zrobić z decyzją Hugo Black’a w sprawie Eversona? Co z konstytucyjną ochroną tych, którzy w swoich przekonaniach różnią się od większości?

„*Tak, co z nimi?*” Poczułem się bardzo zaskoczony, bowiem słowa te nie dotarły ze strony ludzkiej bariery – dotarły z naszej strony! Znajdowałem się w Senacie, obserwując debatę i gdy odwróciłem się, aby zobaczyć, kto to powiedział, zauważyłem, że nie byłem sam. *Był tam Gabriel, a także Ramitan i Thormak, i cała armia aniołów z Królestwa, cała galeria niewidzialnych obserwatorów, którzy jakby pobierali ostateczną miarę planety Ziemia.*

Pytanie zabrzmiało raz jeszcze, tak, jakby miało wyzwać do odpowiedzi na nie ludzi, którzy i tak tego nie słyszeli.

– *Co z tymi, których życie stoi teraz w niebezpieczeństwie? Czy w waszym kraju jest jeszcze dla nich miejsce?*

Kilku senatorów nagle się zamyśliło, tak jakby w jakiś nieznaną sposób treść tych słów, które padły spoza bariery, dotarła do ich myśli, jednak nie było tak z napuszonym człowiekiem przy mikrofonie.

– Proszę mnie nie rozśmieszać sprawami praw mniejszości! – odpowiedział ze złością. – Staramy się uratować ten kraj. Dwadzieścia osiem procent naszych ludzi jest bez pracy, rozpadła się nasza infrastruktura, a gdy obywatele dobrej woli starają się poprowadzić nas z powrotem do cnót moralnych, zostają odtrąceni przez kilku innych, którzy raczej wolą zobaczyć rozkładający się naród, niż ustąpić ze swych niektórych prywatnych doktryn religijnych. Powiem wam coś jeszcze – grzmiał, rozgrzewając atmosferę wokół własnych myśli. – Jeśli ludzie nie będą stali razem w odbudowie tego kraju, nie powinni korzystać z jego dobrodziejstw.

– Dosyć tego! – wykrzykiwał, machając wysoko jedną z tych zmyślnych kart, naszpikowanych komputerowymi chipami i czytnikami optycznymi. – Mówię, że mamy już tego dosyć! Mamy tu mechanizm, przy pomocy którego możemy wprowadzić jedność. Na mocy Aktu Bezgotówkowej Wymiany jest przestępstwem, aby angażować się w sprawy handlu bez potwierdzonej karty identyfikacyjnej, ci więc, którzy nie dopomogą nam w odbudowie, powinni oddać swoje karty. *Nie powinniśmy im pozwolić ani kupować, ani sprzedawać!*

Kilka głosów w kraju zaczęło wołać na alarm. Artykuł redakcyjny w pewnej gazecie w Los Angeles został opatrzone dużym, szerokim tytułem: *A co się złego dzieje?* – po czym umieszczono błagalną prośbę o wolność:

„Przez 250 lat Ameryka była miejscem dla ludzi, którzy widzieli rzeczy inaczej. Być może nie zawsze umieliśmy się pogodzić, posiadaliśmy jednak wyśmienity sposób radzenia sobie z tym. Powiedzielibyśmy: ‘Nie zgadzam się z tym, co mówisz, ale będę bronił aż do śmierci twojego prawa do powiedzenia o tym’.

Co stało się z tym duchem tolerancji?

Co stało się z amerykańskim marzeniem o wolności dla każdego?

Co stało się z Ameryką?”

Ku swemu zaskoczeniu, redaktorka gazety zauważyła, że powywracano jej pojemniki z prasą, rozsypując ich zawartość po ulicach, otrzymała też listy,

w których grozono, że jeśli nie przyłączy się do większości, wtedy także może oddać swoją kartę identyfikacyjną i przyłączyć się do nonkonformistów, którzy teraz muszą zbierać pożywienie tam, gdzie tylko można je znaleźć.

Zastraszenie społeczeństwa pociągnęło za sobą ogólną nietolerancję, a każdy, kto różnił się od większości, traktowany był jak przyczyna pogłębiających się narodowych problemów. Ze zdumiewającą szybkością stanowisko Amerykanów rozprzestrzeniło się po całym świecie, bowiem przerażeni ludzie znajdowali się wszędzie – bardzo chętni, by poświęcić swoją tolerancję na ołtarzu strachu. Używane już we wszystkich rozwiniętych krajach karty identyfikacji ekonomicznej, stały się wszędzie normą silnie skonsolidowanej kontroli planety. Bez takiej karty, po prostu, nie można kupować ani sprzedawać.

Mniej więcej w tym momencie nastąpiły kłopoty. Nic już nie działało prawidłowo; kraj wydawał się porażony plagą i zarazą i bez względu na to, jak bardzo trudzili się ludzie, nigdy tego nie wystarczało. Karty identyfikacji ekonomicznej stały się nieodpowiednie, niewiele bowiem zostało z tego, co można było kupić czy zjeść. I wtedy, przyspieszona głodem i desperacją, wybuchła wojna.

Skończyło się. Niemal mogłem już wyczuwać dotknięcie kosmicznej wagi. Nastąpił czas, aby On przyszedł.

Epilog

Jest poranek, a poniżej samego szczytu Twin Peaks rozpościera się nisko warstwa mgły nad całym San Francisco jakby srebrny falujący koc, lekko zasłaniając przed moim wzrokiem ruinę miasta. Patrząc na wschód w kierunku wież mostowych, które przepychają swoje połamane dźwigary poprzez mgłę i zauważam, że gapię się na wschodzące jak laser słońce, które obrysowuje szczyty gór na wschodzie. Potem słońce gwałtownie podnosi się nad horyzontem i gdy mrużąc oczy, przyglądam się blaskowi dnia, nagle cały koszmar powraca.

Każdego poranka, o wschodzie, przechodzę przez tę samą mękę, bowiem w jakimś stopniu przypomina mi to wszystko, jak zakończyła się wojna. Nasze pierwsze spostrzeżenie, że On powraca, nie łączyło się ze światłością, ale z odległą ciemnością, dziwną, jakby małym, ciemnym obłokiem. Ale gdy zwolnił, aby przybliżyć się do Ziemi, wokół Niego światłość zdawała się eksplodować jakby wynurzenie tysiąca wschodzących słońc, a całe niebo nagle załśniło od wojowników. Zmobilizowałem całą swoją armię i rzuciliśmy się naprzeciw Niemu, ale była to niepotrzebna fatyga, bowiem Jego towarzystwo, które przeszło promień kosmiczny z nadzwyczajną prędkością, zbudowało taką falę energii jakby przyływ jakiegoś potężnego, gwiazdnego oceanu. Rozbili moje formacje i dalej przybliżali się do powierzchni planety, która wykrzywiła się wskutek tytanicznego trzęsienia ziemi.

Odezwał się głos trąby i głos, który przeszedł przez cały świat, a miliardy ziemskich grobów oddało swoich umarłych. *Rozpoczął się ratunek.*

Czekał na nich wysoko ponad powierzchnią ziemi, otoczony obłokiem, który gotował się ognistym światłem. Ponad tym obłokiem wznosił się łuk gigantycznej tęczy, pod którą siedział On, zaś Jego oczy wydawały się przebiegać tu i tam po całej Ziemi, jakby w poszukiwaniu swoich przyjaciół. Gdy Jego spojrzenie spotkało się z twoim, wydawał się przenikać całe twoje istnienie, a gdy mi się to zdarzyło, nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Skierowałem twarz do ziemi, uderzając w nią głową tak mocno, dopóki zraniony i nieświadomy nie straciłem przytomności.

Gdy się obudziłem, była noc – czarna, pusta noc pozbawiona jakichkolwiek dźwięków, poza trzaskiem odległego ognia i niskiego pojękiwania wiatru. Odkupieni odeszli, jak i obłok, który ich uniósł, a ja błądziłem po omacku w ciemności, na próżno poszukując jakiegoś znaku życia. Dramat zakończył się, tak jak symbolika na Synaju to przepowiedziała: ja byłem tym kozłem z Dnia Pojednania, skazany na wędrowanie po pustkowiu, aż do czasu, gdy On rozпалиł ogień piekła.

I tak siedzę teraz o poranku, na moim zniszczonym szczycie wzgórza, oczekując, aż pojawi się widok miasta. Słońce wznosi się wyżej, jakby spalając mgłę i odsłaniając znany mi już widok opustoszałego świata. Przez trzy dni i noc zanurzyłem się w moim dzienniku, moje noce oświetlał pełny zimowy księżyc, gdy poszukiwałem odpowiedzi, które nie nadeszły. Dlaczego zdecydowałem się z Nim walczyć? Nie potrafię podać ani jednego sensownego powodu.

Kiedyś stałem przed Jego obliczem. Odczuwałem ciepło płynące od tronu i cieszyłem się Jego miłością. Śpiewaliśmy hymn, z podziwem patrzyliśmy na tę promienistą Istotę i wiedzieliśmy, że tak będzie zawsze.

Radość. Na zawsze.

A jednak z powodów, których nadal nie potrafię zgłębić, stałem się Jego najbardziej zacietrzewionym wrogiem. Dlaczego? To nadal jest tajemnicą i zastanawiam się nad tym przez cały dzień, na próżno poszukując sposobu, aby powiedzieć sobie samemu, że było to właściwe.

W końcu obsunąłem się wycieńczony. Na wschodzie, bukowe wzgórza stają się zakurzone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, a zatoka nabiera ciemnego, pomarańczowo-niebieskiego koloru, jakby poplamiona zanikającymi kropkami bieli. Przechyliam się do tyłu w kierunku kamienia, który stanowi moje oparcie, a gdy to czynię, czuję, że coś wysuwa się z mojej dłoni – pobrudzona ziemią, zniszczona książka z notatkami, które opowiadają historię mojego życia: *Pamiętnik Lucyfera*.